

# Gloriana

Moorcock Michael



calibre 0.9.43

**MICHAEL MOORCOCK**

# GLORIANA

PRZEŁOŻYŁ: RADOSŁAW KOT

*Dedykowane pamięci Mervyna Peake'a*

## ROZDZIAŁ 1

W KTÓRYM ZNAJDUJE SIĘ OPIS PAŁACU KRÓLOWEJ GLORIANY, A PONADTO  
PRZEDSTAWIENI ZOSTAJĄ NIEKTÓRZY JEGO MIESZKAŃCY. MOWA JEST TEŻ O  
PEWNYCH

WYDARZENIACH MAJĄCYCH MIEJSCE W LONDYNIE W WIGILIĘ NOWEGO ROKU  
KOŃCZĄCĄ

DWUNASTY ROK PANOWANIA KRÓLOWEJ GLORIANY

Pałac jest rozległy jak spore miasto, bowiem przez całe stulecia jego przybudówki,  
pawilony gościnne, wartownie, rezydencje lordów i dam ze świty łączone były bitymi  
ścieżkami, te z kolei kryte dachem. Zatem tu i ówdzie znajdujemy korytarze w korytarzach,  
przejścia w tunelach, domy w pokojach, pokoje te w zamkach, zamki owe w sztucznych  
jaskiniach, całość zaś pod dachem krytym dachówkami ze złota, platyny, srebra, marmuru i  
macy perłowej, tak że pałac mieni się w słońcu tysiącem kolorów i iskrzy się nieustannie w  
świecie księżycy. Mury natomiast zdają się falować bez końca, dachy podnoszą się i opadają,  
jak ulegające przyplýwom i odpływowom fale oceanu, a wieże i iglice pałacu sięgają ku niebu  
niczym maszty i kadłuby tonących okrętów.

\* \* \*

„Wewnątrz pałacu rzadko panuje bezruch; dostojni arystokraci przychodzą i odchodzą  
szeleszcząc brokatami, jedwabiami i aksamitami, pobrzękując łańcuchami ze złota i srebra,  
pyszniąc się misternymi poignardzkimi koronkami, krynolinami z kości słoniowej i  
płaszczami, ciągnąc po ziemi długie treny, które czasem są noszone za nimi przez małych  
chłopców i dziewczynki ubranych w stroje tak ciężkie, iż dzieci zdają się ledwie trzymać na

nogach; z niejednego źródła dobiega grana po mistrzowsku subtelna muzyka dyktująca szlachcie i służbie rytm kroków. W specjalnie przeznaczonych do tego komnatach odbywają się koncerty, malowane są portrety, szkicowane freski, tkane gobeliny, poddawane obróbce rzeźbiarskiej kamienie, recytowane są wiersze. Jak w każdym zamkniętym wszechświecie, tak i tutaj jasno płonie ogień uczuć, każdego dnia ponawiane są zaloty i codziennie dochodzi do spełnienia części z nich. W zapomnianych przestrzeniach pomiędzy ścianami żyją resztkami blasku władcy ciemności - wagabundzi, słudzy, którzy popadli w niełaszkę, odrzucone kochanki, szpiegdy, wygnani giermkowie, dzieci będące owocami zakazanych i lekkomyślnych miłości, postarzałe i oszpecone wiekiem i rozpustą kurwy, krewni idioci, pustelnicy, szaleńcy, romantycy gotowi zaakceptować każdą nędzę, by znaleźć się blisko źródła władzy, zbiegli więźniowie, zrujnowana szlachta, która nie ma odwagi pokazać się w mieście na dole, odrzuceni petenci, dłużnicy umykający przed wierzycielami, strachem owładnięci kochankowie, bankruci i chorzy z zawiści, a wszyscy znają dokładnie swoje miejsce i nigdy nie próbują wchodzić w paradę tym, którzy żyją we wspaniale oświetlonych komnatach pałacu. Chociaż obie te grupy żyją obok siebie (często dzieli je tylko grubość muru), to wyniesieni rzadko podejrzewają istnienie takiego właśnie tajemnego świata upadłych, którzy podzielili między siebie poszczególne okolice pałacu i źródła zaopatrzenia we wszelkie dobra, i skrupulatnie owego podziału rewirów przestrzegają.

U stóp pałacu rozciąga się wielkie miasto, bogata w złoto i sławę stolica Imperium - siedziba podróżników, kupców, poetów, komediopisarzy, magików, alchemików, inżynierów, naukowców, filozofów, rzemieślników wszystkich cechów, senatorów, studentów (jest tu rozbudowany uniwersytet), teologów, malarzy, aktorów, piratów, lichwiarzy, rozbójników, właścicieli wielkich, dymiących manufaktur położonych na obrzeżu stolicy Albionu, proroków, wygnańców przybyłych z obcych stron, treserów zwierząt, stróżów prawa i

porządku, sędziów, fizyków, bawidamków, dziwkarzy, wielkich dam i szanowanych lordów. Wszyscy oni kłębią się tłumnie w miejskich piwiarniach, szynkach, teatrach, operach, zajazdach, winiarniach i miejscach kontemplacji, nosząc paradnie fantastyczne stroje, opierając się wszelkim obowiązującym normom, tak że nawet dowcip miejskiego urwisa w giętkości przewyższa mowę wiejskiego pana na włościach, a wulgarny slang uliczników tak pełen jest metafor i treściwych odniesień, że antyczny poeta oddałby duszę, byle tylko osiąść język dzieci Londynu. Jest on jednak praktycznie nieprzekładalny i bardziej tajemniczy niż sanskryt, a jego reguły zmieniają się z dnia na dzień. Moraliści z niepokojem obserwują i wypominają ów nieustanny pęd do nowości, nie milknące żądania o więcej i więcej, perorując, że jest to zapowiedź zawsze towarzyszącej takiej pogoni dekadencji. Bowiem artyści, od których oczekuje się tylko i wyłącznie nowatorstwa nie tworzą nic innego, tylko tani kicz, kalając swe prace -jak mówią moraliści - językiem żywotnym i złożonym (bo wiedzą, że zostaną w ten sposób zrozumiani), rozbudzając marzenia, które są melodramatyczne i najzupełniej fantastyczne (bo wiedzą, że znajdzie to wiarę), posługując się argumentami pasującymi niemal do wszystkiego (bo wielu jest takich, do których tego typu argumenty trafiają). I tak właśnie dzieje się z najlepszymi muzykami, poetami i filozofami a nawet z tymi, którzy piszą, nieszczęśliwi, wyłącznie prozą. Wszyscy oni mogą zażądać uznania za dzido, które nie będzie niczym innym jak poronionym płodem. Krótko mówiąc, nasz Londyn tętni życiem na każdym poziomie i nawet jego robactwo, czego można zresztą oczekiwać, okazuje się że jest rozgarnięte i rozmowne. Pchła dyskutuje z pchłą roztrząsając tak głębokie zagadnienia jak to, czy liczba psów we wszechświecie jest skończona czy nieskończona, podczas gdy szczury kłócą się, co było pierwsze, piekarz czy chleb. Cóż, płomienista mowa rodzi wielkie czyny, a wielkie czyny wzbogacają mowę. Trzeba przyznać, że zaiste ważkie przedsięwzięcia podejmowane są w tym mieście w imię Królowej, której pałac spogląda na miasto z góry.

Nieustannie wyruszają stąd ekspedycje, ciągle dokonywane są cenne odkrycia. Wynalazcy i odkrywcy wzbogacają królestwo powodując, że do miasta spływają dwie bliźniacze rzeki. Jedna to rzeka wiedzy, druga złota, a jezioro w ten sposób powstające, to sama tkanka Londynu, której komórki są wzajemnie niezbędne sobie do życia. Jest tu też, oczywiście, i miejsce na konflikty i zbrodnie, a ponieważ pasje i namiętności płoną w Londynie jaśniej niż gdziekolwiek indziej, toteż zbrodnie nigdzie nie są tak gwałtowne i okrutne. Trzeba także przyznać, że gra idzie zwykle o największe możliwe stawki. Chciwość jest tu przykazaniem, a ambicja wiarą, którą wyznaje całkiem znaczna ilość mieszkańców miasta; jest narkotykiem, pucharem, którego nie sposób wychylić do dna. Mimo to znaleźć można wielu takich, którzy przyswoili sobie cnoty bogatych i są jednocześnie światli, ludzcy, miłosierni i wspaniałomyślni, którzy żyją w zgodzie z najszczytniejszymi tradycjami stoików, ostentacyjnie obnosząc swe szlachectwo i starając się służyć za przykład bliźnim, tak mającym jak biednym. Nienawidzi się ich za uniżoność, kpi się z ich powagi, zazdrości się im niezależności. Niektórzy nazywają ich postawę pompatyczną pobożnością i tak też jest w istocie, przynajmniej w odniesieniu do tych pozbawionych poczucia humoru i zmysłu ironii. Dumne księżątka i kapitanowie przemysłu, kupcy i poszukiwacze przygód, księża i naukowcy - wszyscy oni przyjmują bez szemrania kody kultury, która ich otacza, niemniej pozostają indywidualnościami i - nawet ekscentrycy - służą narodowi i Imperium (w osobie Królowej), a czynią to zawsze gotowi, w razie potrzeby, oddać nawet życie. Państwo jest bowiem wszystkim, a sprawiedliwość Królowej nie bywa kwestionowana. Prywatne sprawy i decyzje powszechnie uznaje się za wtórne wobec interesów Stanu.

Nie zawsze tak było w Albionie i nigdy jeszcze tak jak teraz, za rządów Gloriany.

Nawet ci ludzie, którzy poprzez swoje wysiłki utrzymują ową wspólnotę w równowadze, czyniąc z niej jedność i zapewniając jej spokój i rozwój, wierzą głęboko, że istnieje tylko jeden

czynnik, który pozwala osiągnąć im powodzenie - osoba Królowej.

Krąg czasu się obrócił. Po wieku złotym nastał wiek srebrny, po mosiężnym żelazny i teraz, za rządów Gloriany, ponownie zapanował wiek złoty.

Gloriana Pierwsza, Królowa Albionu, Imperatorka Azji i Yirginii, jest władczynią ukochaną i czczoną na podobieństwo bogini przez miliony poddanych na całej planecie.

Najbardziej radykalni teologowie widzą w niej przedstawicielkę bogów na Ziemi, dla polityków jest ucieleśnieniem Stanu, dla poetów Junoną, dla prostego ludu Matką; święci i lotry zjednoczeni są w miłości do Gloriany. Gdy ona się śmieje, królestwo się cieszy, gdy ona łka, naród lamentuje, gdy pragnie, tysiące gotowe są ofiarować się, by ją usatysfakcjonować, gdy jest zła dziesiątki na szept tylko czekają, by wziąć odwet na przedmiocie jej gniewu.

Nakłada to na Glorianę niemożliwą niemal do udźwignięcia odpowiedzialność: wszystkie poziomy jej życia cechować musi dyplomatyczne postępowanie. Tłumić musi emocje, unikać wyrzutów i zręcznie grać ze wszystkimi, których przyjmuje. Za jej rządów nigdy nie doszło ani do egzekucji, ani bezprawnego uwięzienia, skorumpowani słudzy publiczni są tropieni i skrupulatnie zwalczani, sądy i trybunały obdzielają sprawiedliwością po równo biednych i potężnych, a ci, których podejrzewa się o przeciwstawianie się literze prawa bywają uwalniani, o ile okoliczności ich zbrodni wskazują ewidentnie na ich niewinność. Tak zatem niesprawiedliwość prawa precedensów została w Albionie zniesiona. W mieście, na polach, we wsiach i w manufakturach, w stolicy czy w koloniach, utrzymywana jest równowaga dzięki szlachcie i Królowej o ludzkim obliczu.

Królowa Gloriana, jedyne dziecko Króla Herna VI (despoty i degenerata, zdrajcy Stanu, sprzeniewiercy, którego ręka spowodowała spadnięcie setek tysięcy głów, pozbawionego męstwa samobójcy) ze starej Unii Elficleosa i Brutusa, który doprowadził Gogmagoga do upadku, zawsze świadoma jest miłości poddanych i odwzajemnia ich uczucia. Niemniej

uczucie to, ofiarowywane i odwzajemniane, jest wielkim ciężarem będącym źródłem jej olbrzymiego, osobistego strapienia. Nie, żeby Królestwo nie zdawało sobie z tego cierpienia sprawy; szepcze się o nim w co ważniejszych domach i szynkach, w radach wiejskich i klerykałnych, w szkołach, nawet poeci nawiązują do niego w wierszach, zaś obcy wrogowie rozważają, jak wykorzystać je dla własnych celów. Stare plotki nazywają to przekleństwem Jej Wysokości, a pewni skłonni do metafizyki filozofowie uważają, że ciężące na Królowej przekleństwo wspólne jest całemu rodzajowi ludzkiemu, lub ewentualnie mieszkańcom Albionu (to ostatnie twierdzenie wypowiedziane jest wówczas, gdy ktoś pragnie zyskać przychylność nacjonalistów). Wielu już szukało sposobu, by zdjąć to dręczące brzemię z Królowej, która była i jest im przychylna, nigdy bowiem całkowicie nie straciła nadziei. Próbowano dramatycznych i fantastycznych środków, ale wszystko nadaremno. Królowa, szemrzą plotki, wciąż płonie, jęczy, łka, gdyż nie może doznać spełnienia. Nawet jednak żartownisie z piwiarni nie opowiadają o tym dowcipów; nawet najbardziej purytańscy i radykalni spośród ewangelistów nie prawią morałów nawiązujących do jej kłopotliwego położenia. Zdarzało się, że czynienie szumu wokół problemu Królowej sprowadzało na niewczesnych wesołków groteskową śmierć (jednak zawsze działało się to bez wiedzy Królowej).

Dzień za dniem Gloriana, piękna i dostojna, mądra i potężna, prowadzi sprawy Stanu zgodnie ze szlachetnymi ideałami rycerskości; noc po nocy poszukuje spełnienia - tego krańcowego zatracenia się, tej ulgi, której nie raz już niemal dosięgała po to tylko, by upaść z powrotem w cierpienie frustracji, smutek i nienawiść wobec samej siebie, w świadomość niepewności. Ranek za rankiem wstaje dławiąc cały swój żal i przystępuje do pełnienia obowiązków: czyta, podpisuje, konferuje, dyskutuje, przyjmuje emisariuszy i petentów, chrzci statki, odsłania pomniki, otwiera nowe gmachy, bierze udział w rozrywkach i ceremoniach,



pokazuje się ludowi jako żywy symbol bezpieczeństwa granic i całości Królestwa. Wieczorami zabawiać zaś będzie goście i rozmawiać z tymi dworzanami, przyjaciółmi i krewnymi, którzy są jej najbliżsi (włączając w to jej dziewięcioro dzieci), by potem znowu powrócić do łoża, do poszukiwań, eksperymentów; a gdy, jak zawsze, skończą się one porażką, leżeć będzie bezsennie, czasem znosząc cierpienia w milczeniu, a czasem wyrażając je głośno, nie wiedząc, że sekretne połączenia i przejścia niosą jej głos po olbrzymim pałacu i słyszać go w niemal każdym, najbardziej nawet odległym kącie. W ten sposób dwór dzieli z nią i gniew, i bezsenność.

\* \* \*

*Och, tęsknoto! Planety całe wtłoczyłabym do mego łona, żeby tylko wypełniły jego pustkę! Zbyt ciężka to tortura. Każdą inną zniosę lekko, ale czy naprawdę niczego i nikogo nie ma, by nasycić me pragnienia? Gdybym w umieraniu znaleźć mogła ukojenie, raz chociaż, dobrowolnie zniosłabym każdą okropność... To zdrada. Jesteśmy Stanem. Służymy zatem, służymy... Ach, gdyby była w naszym Królestwie choć jedna istota, która mogłaby nam usłużyć...*

\* \* \*

Lord Montfallcon leży w wielkim łożu posłanym futrami soboli i bobrów, z nagą żoną pod każdym z odzianych w jedwab ramion, i słucha tych słów docierających do niego jako szepty i urywane krzyki wiedząc, że wydobywają się one z ust oddalonej od niego o ćwierć mili Królowej. Królowa jest nadzieją, dzieckiem pilnie strzeżonym z idealistycznych pobudek przez Montfallcona przez cały czas pełnego okrucieństw panowania króla Herna. Ile razy usiłował znaleźć jej kochanka i ile niepowodzeń go spotkało, jak olbrzymią powodowało to rozpacz... - O, pani - szepcze tak cicho, by jego ukochane nic nie usłyszały - gdybyś była tylko kobietą, a nie Albionem. Gdyby krew twoja nie była tą krwią, którą jest. - I przytula swe żony do

siebie, aż włosy ich zakrywają jego uszy i dzielnym, sędziwym Kanclerz Jej Wysokości nie musi już słuchać żalów, których i tak nie opłakałby tej nocy.

\* \* \*

*Nic nie może mnie zgładzić. Nic nie może pobudzić mnie do życia. Czy to od tysiąca lat tak trwam? Trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy pełnych bólu dni i straconych nocy...*

\* \* \*

Jednym z samodzielnie odkrytych niegdyś tuneli przekrada się w kierunku pałacowej spiżarni Jephraim Tallow, banita i cynik z biało-czarnym kotem na ramieniu, jedynym jego przyjacielem. Przystaje, słysząc te słowa, które grzotem odbijają mu się w uszach, kości wprawiają w wibrację i brzuch pobudzają do burczenia.

- Dziwka! Zawsze nagrzana, a nigdy gorąca. Przysięgam, że którejs nocy wśliznę się do jej pokoi i obsłużę majestat dla własnej, a nie majestatu, satysfakcji. Aż stąd czuję jej wilgoć. To jej woń mnie poprowadzi.

Kot wydał cichy pomruk przypominając w ten sposób o właściwym celu wyprawy i wbił pazurki, aż przez cienką, plamami upstrzoną bawełnę sięgnął delikatnie skóry. Tallow zwrócił przebiegłe lecz łagodne oczy na swego towarzysza i wzruszył ramionami. Tak wielu próbowało już tylu sposobów... Królowa jest najtrudniejszym, bezkresnym labiryntem. Tallow obszedł metalową poręcz docierając do kamiennego przewodu wentylacyjnego wiodącego do nie używanego ścieku. Przemknął się po zakurzonej galerii skrzypiących belek i ciekących rur; jego świeczka kapie woskiem zostawiając na przegniłych deskach ślad kończący się przy wejściu, które jest niskie jak otwór psiej budy. Pociągnął nosem i złapał zapach niedawno pieczonego mięsa. Obliznął głodne usta. Kot zaczął mruczeć.

- To jeszcze nie kuchnia, Tom. - Tallow zmarszczył brwi i pozwolił kotu zeskoczyć i przejść dalej samodzielnie. Przepchnął się za nim, aż obaj zostali zatrzymani przez kratę z

rzeźbionego drewna, za którą migocze ogień. Banita przyłożył oko do otworu. Po drugiej stronie znajduje się jedna z wielkich sal pałacu. Na przeciwległym palenisku ogień już przygasł, długi stół zastawiony jest tym, co zostało z uczy. Jest tu też paru biesiadników, którzy zlegli na i pod blatem. Oto i jest wołowina, baranina, drób, wino i chleb. Tallow sprawdził wytrzymałość drewnianej ramy kraty. Rusza się. Poszukał zamknięcia, ale zamiast tego znalazł gwoździe. Sięgnął po niewielki nóż, który nosił na oplatającym szyję rzemieniu i przytknął do krawędzi podważając gwóźdź, aż ten niemal wypadł. Pracował nożem wokół całej ramy, aż w końcu, przytrzymując kratę palcami, wciągnął wolną ręką całość i ułożył ostrożnie za sobą, po czym ponownie spojrzął na stół. Do posadzki został dobry skok i powrót może okazać się problemem, chyba żeby przysunąć jakiś mebel, który jednak ujawniłby drogę prowadzącą do wnętrza. Kot, lekceważąc sobie ostrożność pana, z dochodzącym z piersi na wpół pomrukiem, na wpół warczeniem, jednym długim susem skoczył z otworu wprost na stół. Jego zdecydowanie przekonało ostatecznie Tallowa, który obrócił się, zwiesił na palcach i spadł zawadzając o małą ławę, wcześniej nie zauważoną, i otarł goleń. Przeklął i podskoczył chowając nóż za koszulę. Odwrócił się, po czym pospiesznie pokuśtykał do stołu, gdzie kot stoczył już batalię z indykiem. W tunelach było zimno i dopiero teraz, przy ogniu, Tallow poczuł jak dotkliwy był to chłód. Wraz z dobrym kawałem krzyżówki wołowej zasiadł w kąciku tuż przy kominku i zaczął przeżuwać, co i raz rzucając spojrzenia na chrapiących gości. Sądząc po strojach byli to artyści, których zaproszono tu dla rozrywki towarzystwa, a którzy sami rozerwali się aż za dobrze. Nagle blask padł na śpiące postacie. Jephraim podniósł zaniepokojony głowę aż dostrzegł okna umieszczone pod sufitem. Nie przywykł do okien, bowiem nie ma ich w jego własnej siedzibie. Do środka wpadało światło księżyca. Biali clowni i arlekini w łaciatych szatach leżeli odziani w srebro jak martwe gęsi na śniegu, a przebrania ich poplamione były winem, które, w miarę jak księżyc świecił coraz jaśniej, z czarnego stawało

się czerwonym. Okryte pudrem twarze w maskach wykręcały się w grymasie, szkarłatne usta rozwarte były szeroko, ramiona rozpostarte, malowane brwi uniesione. Tallow miał wrażenie, że wszyscy zostali pomordowani i rozejrzał się nawet za narzędziem zbrodni, ale dostrzegł jedynie błazeńskie pałasze, grzechotki i drewniany ogórek; odwrócił zatem oczy i całą uwagę skupił na mięsie czując, jak wypełnia mu się brzuch i westchnął, zwracając nagle zarumienioną i świecąca się od tłuszczu twarz do zamierającego ognia. Zlizując z warg sok pieczystego uśmiechnął się (nieodłączny to uśmiech, który ocalił go od tyluż niebezpieczeństw, w ile omal go nie wpędził). Pierwszy nastawił uszu kot, trzymający w pyszczku całe pieczone skrzydło. Jephraim wiedział, że nie należy lekceważyć odgłosu zbliżających się kroków. Sięgnął po butelkę wina, porzucił jedną, która była za lekka, złapał inną, prawie pełną, spojrzął na otwór w ścianie i zdał sobie sprawę, że nie dosięgnie go bez porzucenia mięsa i wina. Zanurkował zatem pod stół potracając przy tym chrząkającego błazna, którego workowaty chałat przesiąknięty był wymiocinami, a lewa ręka zagrzebana była w brudnożółtych sukniach jakiejś kobiety pachnącej bez umiaru fiołkami. Skryty za tym towarzystwem Jephraim spojrzął na odległe drzwi, przez które, stąpając ponuro, wszedł ktoś, kogo nie można pomylić z nikim innym, nie ma bowiem drugiej osoby w Królestwie, gotowej nocną porą nosić bez jakiegokolwiek potrzeby tak zdobną i bezużyteczną zbroję. To sir Tancred Belforest, orędownik i błędny rycerz Królowej, smutny jak zwykle i też na swój sposób pozbawiony satysfakcji, gdyż Gloriana zażądała od niego dania słowa, że nie użyje nigdy przemocy ani w jej imieniu, ani w imieniu ideałów rycerskości. Sir Tancred przystanął by rozejrzeć się po sali i podszedł do lustra odbijającego rozbłyśki ognia. Wystającymi z rękawicy nagimi palcami usiłował podkręcić długie, opadające wąsy, co nie udało mu się w pełni, westchnął więc, pobrzękując poszedł w kierunku stołu, po czym, jak domyślił się Jephraim, nalewał sobie puchar wina. Przyglądając się nabijanym złotem nakolannikom szlachetnego rycerza, Jephraim uniósł do ust własną butelkę

i przyłączył się do sir Tancreda w toaście.

Drzwi skrzypnęły i Tallow wykręcił głowę, widząc najpierw trio płonących jaskrawo świec, potem zarys postaci młodej kobiety, trzymającej kandelabr. Miała na sobie obszerny płaszcz narzucony na niewiele mniej luźną koszulę nocną. Jej twarz pozostawała w cieniu, zdawała się jednak być młoda i łagodna. Powyżej zarysowało się coś jeszcze - masa ciemnorudych włosów. Z młodych ust wyrwało się niecierpliwe westchnienie.

- Nazbyt szybko, sir Tancredzie, popadasz w głupie nadąsanie.

Sir Tancred odwrócił się, skrzypiąc nieco.

- Mnie winisz, a przecież to ty, lady Mary, pogardziłaś moimi objęciami.

- Po prostu bałam się, że ozdoby twej zbroi poranią mnie i sugerowałam, abyś zdjął ją, zanim weźmiesz mnie w ramiona. Nie ciebie odepchnęłam, Tancredzie mój drogi, ale twe przebranie.

- Ta zbroja jest wyrazem mego powołania. Jest częścią mnie samego na równi z moją duszą, bowiem w niej odbija się owej duszy natura.

Lady Mary (Tallow domyślił się, że jest to najmłodsza córka Perrotta) podeszła bliżej, tak blisko sir Tancreda, aż Tallow poczuł promieniujące od niej ciepło i odwzajemnił je narastającym pożądaniem zmuszającym do snucia beznadziejnych planów, jakby tu się z nią pokochać.

- Wracaj do mnie, sir Tancredzie. Wbrew moim przyrzeczeniom stary rok minął, a my nie zazналиśmy wspólnie miłości, zatem błagam cię, byśmy chociaż Nowy Rok zaczęli we właściwy sposób.

Błazen poruszył się i zacharczał. Jeszcze trochę wymiocin dobyło się bąblami z jego ust i spłynęło, dodatkowo brudząc chałat. Zakasłał i mocniej zacisnął chwyt na tym, cokolwiek to było, co trzymał pod szatami dziewczyny, i zaczął chrapać tonem poniekąd

usatysfakcjonowanym, przeszkadzając kochankom.

- Mój ukochany - mruknęła młoda Mary Perrott.

- Och tak, w rzeczy samej, ukochana - odpowiedział cichutko Tallow.

Mary sięgnęła po dłoń Tancreda.

Nie mogąc się powstrzymać, Tallow wziął rękę błazna i położył ją na drodze Tancreda, potracił jednak pancerną kostkę orędownika własną dłonią, tak że ten, zbyt wcześnie ostrzeżony, opuścił wzrok, a widząc jedynie niewinne palce błazna przystanął, by wsunąć je żelazną stopą z powrotem pod stół. Tallow uczynił wszystko, co uczynić był w stanie i pozostało mu tylko patrzeć ze smutkiem za kochankami odchodzącymi ze zgrzytem i skrzypieniem do komnaty lady Mary.

Uwolniony od niemiłego towarzystwa błazna, Tallow wydostał się spod stołu, odnalazł korek, zamknął butlę i wsunął ją za pas; syknął miękko na Toma, podniósł go do otworu, stanął na owej fatalnej ławie, dosięgnął palcami dłoni krawędzi przejścia i podciągnął się. Kiedy był już w środku, najlepiej jak umiał umocował kratę, czując za plecami chłód tuneli i żałując pośpiechu, z jakim opuścił miejsce przy ogniu. Westchnął i zaczął pełzać ku mrokowi.

- Cóż, Tom, obchody Nowego Roku już za nami.

Tom jednak pobiegł już naprzód w pogoni za szczurem i nie słuchał swego pana.

Przedzierając się za rozentuzjasmowanym łowcą, Tallow usłyszał wysoki, cienki lament dochodzący z dopiero co opuszczonej przezeń sali.

Wciśnięty w róg sali mistrz Ernest Wheldrake widział tak przyjście, jak i odejście

Tallowa, słyszał rozmowy kochanków, był jednak zbyt pijany, by się poruszyć. Teraz poeta podniósł się, znalazł swe pióro tam, gdzie upuścił je godzinę wcześniej, odszukał notes z rozpoczętym wierszem, nastąpił na palce błazna i przekonany, że rozdeptał jakiegoś drobnego gryzonia, potargał dłońmi swe niemal szkarłatne włosy i jęknął:

- Ach, czemuż ciągle przychodzi mi coś niszczyć?

Wheldrake wyszedł z sali w wytrwałym poszukiwaniu atramentu. Właśnie brak inkaustu skłonił go do opuszczenia odległych o ponad milę apartamentów. Pisał bowiem oskarżycielski sonet, dedykowany pewnej ulicznicy, która rano złamała mu serce i której imienia nie mógł sobie nijak przypomnieć. Jak mały, płomiennogrzebieniasty żuraw brodzący na płyciźnie w poszukiwaniu ryby, mistrz prze-kradł się jasno oświetlonymi korytarzami; ramiona sterczały mu po bokach jak sztywne skrzydła, pióro wyglądało zza ucha, notes kołysał się w wielkiej sakwie u pasa. Oczy mistrz wbite miał w podłogę i mamrotał przy tym urywki aliteracji:

- Słodka Sara zasiadła pośród gwiazd... Dumna Pamela oracza biednego serce rozdarła... Pogrom uczyniła Daphne tego dnia wyznaniem... - a cały czas usiłuje przypomnieć sobie imię tej okrutnej niewiasty. Pozdrowiony przez stojącego przy wyjściu z pałacu zbrojnego mężczyznę macha ręką, by otworzono mu drzwi.

- Śnieg pada, sir - oznajmił uniżenie strażnik otulając się sugestywnie w służbowe futra.

- To chyba najmroźniejsza noc tej zimy, ziąb taki, że rzeki mogą zamarznąć.

Mistrz Wheldrake znów westchnął ciężko.

- Temperatura jest tylko stanem umysłu - piszczy. - Gniew mnie rozgrzeje. I nie tylko on. Idę do miasta.

Strażnik zsunął płaszcz z ramion. Drobnego poeta zniknął spowity odzieniem.

- Niech pan to założy, sir. Bardzo proszę. Inaczej może nam świtem przybyć nowy posąg w ogrodach.

Wheldrake'a ogarnęły sentymentalne uczucia.

- Szlachetny z ciebie szelma, odważnym, zuchwałym i chełpliwym jesteś

niedźwiedziem Albionu, najlepszym z męznego rodu Boudicca'ego wojownikiem, którego

dobrze uczynki więcej winny zyskać sławy, niż kulawe rymy Wheldrake'a. Dzięki ci, przyjacielu, żegnam cię czule.

Mistrz przecisnął się przez drzwi w ciemność mroźnej nocy, w sypiący śnieg, i brnął ścieżką wijącą się ku paru odległym światłom, które wciąż płonęły w uszpionym już niemal całkowicie Londynie. Strażnik otulił się przez chwilę rękami i spojrzął za odchodzącym poetą; potem zamknął drzwi z hukiem, żałując swej wspaniałomyślności, która nie będzie, jak wiedział, pamiętana mu rano. Był jednak przesądnie zadowolony, że już tak wcześnie w Nowym Roku udało mu się spełnić dobry uczynek i zapewnić sobie w ten sposób nieco przychylności ze strony innych.

Szczęśliwa gwiazda mistrza Wheldrake'a zawiodła go tymczasem, niepomnego niebezpieczeństw, przez dwie śnieżne zasy, zamrożony staw i bramę w murze aż na peryferie miasta, gdzie śnieg nie zalega w zaułkach tak grubo. Instynktem raczej niż zmysłami odnalazł znajomą drogę do murów wielkiego, najeżonego okiennicami budynku, którego zawieszona nad wejściem wiecha i znak na drzwiach ogłaszają światu, że jest to tawerna Pod Koniem Morskim. Zza okiennic przebijały światła, przez drzwi dobiegał przytłumiony hałas, a wszystko to oznajmiało mistrzowi, że dotarł oto do miejsca, w którym najbardziej lubi popijać. Chociaż jest ono bez wątpienia wątpliwej sławy meliną, znajdzie tu zarówno gościnę jak i przygody, których tak domaga się jego krew. Zapukał i został wpuszczony, przeszedł przez podwórko otoczone na piętrach pierścieniami pogrążonych teraz w mroku galerii, wszedł do pubu i utonął w smrodzie kwaśnego wina, zgiełku chropawego śmiechu i wulgarnych żartów; tak już bowiem jest, że właśnie pośród takich jak tutaj łotrów i kurew, między zamieszkującymi w zatęchłych norach po tej stronie rzeki zdesperowanymi i cynicznymi z natury mężczyznami i kobietami o życiorysach zwichniętych od urodzenia, zraniony poeta najłatwiej może pozbyć się tego, co ciąży mu na sercu. Wheldrake pozwolił, by płaszcz gwardzisty zsunął mu się z ramion,



i krzykiem dopomniął się wina, które dostał pokazawszy złoto. Znajome kurwy podeszły do niego i drapiąc po karku, jęły wyliczać wszelkie rozkosze, których zaznać może, jeśli tego zapragnie; on zaś uśmiecha się, krzywi, kłania, pije, równie wesoło wita tych, których poznaje i tych, których sobie nie przypomina, w zamian spotykając się z kpinami i pogardą. Chichotem odpowiada na każdą zniewagę i krzyczy z rozkoszy przy kolejnym szturchnięciu lub uszczypnięciu. Przez cały ten czas spoczywało na nim zimne i okrutne spojrzenie mężczyzny, który siedział na galerii i wraz z wyraźnie poruszonym zachowaniem tłumu Saraceni opróżniał butelkę wina.

- Oni chyba chcą zrobić temu dżentelmenowi krzywdę - powiedział Saraceni pochylając się do towarzysza.

Ten zaś potrząsnął głową. Jego twarz skryta była częściowo przez ciężkie, czarne kędziory wysypujące się spod szerokiego, cudzoziemskiego sombrera ozdobionego strzępami wronich piór, a ciało spowijał czarny, poplamiony płaszcz marynarski.

- Zapewniam cię, sir, że to tylko przedstawienie, za które on płaci tym ludziom złotem.

To Wheldrake, z pałacu.

Protegowany Królowej, syn jakiegoś szlachcica z Sunderland, kochanek lady Lyst.

Wiele czasu spędza w tawernach takich jak ta, i było tak zawsze od chwili, kiedy pojawił się na uniwersytecie w Cambridge.

- To od tak dawna go znasz?

- Tak, ale on nigdy nie poznał mnie.

- Och, kapitanie Quire! - zaśmiał się Saraceni. Nie przywykł do wina i był już lekko

pijany. Pochodził z Arabii, tego najambitniejszego z regionów pozostających pod protektoratem Gloriany. Tam uchodzi za jednego z pomniejszych władców, tutaj zaś przybył jako kupiec. Bez wątplenia schlebia mu, że kapitan Arturus Quire uznał go za przyjaciela;

Quire zna cały Londyn i najlepiej wie, jak znaleźć w nim godne uwagi rozrywki. Maur podejrzewa, że kapitan Quire po cichu interesuje się jego sakiewką, niemniej spoczywa w niej tylko niewielka suma pieniędzy, na które kapitan i tak zasłużył sobie w zamian za dotychczasowe usługi. Maur zmarszczył brwi.

- Czy masz może zamiar obrabować mnie, Quire?

- Z czego, wasza wysokość?

- Ze złota, oczywiście.

- Nie jestem złodziejem - stwierdził kapitan Quire lodowatym głosem, bardziej znudzony niż urażony.

Saracen sięgnął po puchar z winem i spojrzał z ciekawością na dwie kurwy, które prowadziły mistrza Wheldrake po schodach i dalej galerią aż do drzwi.

- Arabia jest z każdym dniem silniejsza - powiedział młodzieniec znaczącym tonem. -

Rozsądnie byłoby zjednać sobie jej kupców i rozważyć zawarcie korzystnych sojuszy handlowych. Nasze statki zdominowały handel w Azji i zajmują drugie miejsce pod względem liczebności, zaraz po flocie Albionu.

Quire spojrzał na jego twarz poszukując ironii. Maur uniósł lewą dłoń i uśmiechnął się pokazując, że trzyma w niej następne złote monety.

- Mówię oczywiście o wzajemnych korzyściach, niczym więcej. Powszechnie jest wiadomym, że nasz młody kalif kocha Królową Glorianę. Jej ojciec nas podbił, ale ona przywróciła nam wolność. Jesteśmy jej wdzięczni. Pozostanie pod jej ochroną leży w naszym interesie.

Nagle z dołu dobiegło wycie, płomień buchnął długim jęzorem: to lampa została wrzucona do paleniska. Dwóch zuchów walczyło pomiędzy ławami na kord i sztylet. Jeden był wysoki i szczupły, w znoszonych aksamitach, drugi raczej średniego wzrostu, niemniej lepiej

władał orężem, a skóry zdradzały, że niemal na pewno jest zawodowym żołnierzem. Maur przechylił się ku barierce, ale Quire odsunął się wodząc palcami po imponującym podbródku i marszcząc w zamyśleniu grube, czarne brwi. Tymczasem Uttley, oberżysta, toczył się już przez brudną podłogę ku drzwiom. Miał okrągłą twarz o ziemistej cerze, zaś pod jego skórą, jak figi w cieście, tkwiły czarne plamy nadające mu srokaty wygląd. Otworzył drzwi i do wnętrza wniknął ziąb. Uttley rozpędził tłum w tę i we w tę jak pies rozgarniający owce, dając szerokie przejście pojedynkowiczom, którzy powoli wycofali się przez drzwi i podzwaniając żelazem zniknęli wśród nocy. Uttley zatrzasnął i zablokował odrzwia, spojrział na palenisko i schylił się, by pozbierać metalowe kufle i talerze spomiędzy plecionek i trocin. Jedna z kurew usiłowała mu pomóc i trącała go w ramię, ale została szturchnięta dzbanem. Uttley wrócił do swojego kąta, dokładnie pod tą galerią, na której siedzieli Quire i Saracen. Ogień rzucał długie cienie i nagle zapanował w tawernie osobliwy spokój.

- Może poszukalibyśmy jakiegoś cieplejszego miejsca? - zasugerował Maur.

Quire rozsiadł się wygodniej.

- Dla mnie jest tu dość gorąco. Mówiłeś coś o wzajemnych korzyściach?

- Przypuszczani, kapitanie Quire, że masz jakiś udział w statkach albo przynajmniej dowodzisz jakimś okrętem. Potrzebuję pewnej informacji, którą można zdobyć w Londynie, ale mnie nikt jej nie wyjawia, tobie natomiast...

- Aha. Czyli proponujesz mi szpiegostwo. Mam wywiedzieć się o różnych transakcjach na tyle rychło, byś zdołał wysłać swoje statki wcześniej, przed konkurentami. Chcesz przechwycić cudze zamówienia.

- Nie chciałem wcale proponować ci szpiegostwa, Quire.

- Niemniej zrobiłeś to.

Niebezpieczny moment. Czyżby Quire poczuł się urażony?

- Niezupełnie. To, co sugeruję, to powszechna praktyka. Twoi ludzie robią to samo w naszych portach... - przemówił pojednawczo Maur.

- Sądziś, że naprawdę gotów byłbym szpiegować rodaków?

Arab wzruszył ramionami i nie podjął wyzwania.

- Jesteś nazbyt inteligentny, kapitanie, by mówić to poważnie. Usiłujesz mnie podejść.

Wargi Quire'a rozchyliły się w uśmiechu.

- Tak, panie, ale nie byłeś ze mną całkiem szczery.

- Jeśli tak uważasz, to lepiej zakończmy naszą rozmowę.

Kapitan Quire potrząsnął głową. Długie kędziory zakołysały się pod rondem sombrera.

- Muszę ci powiedzieć, że nie mam żadnego udziału w statkach. Nie dowodzę żadną jednostką. Nie jestem nawet oficerem na jakimkolwiek pokładzie. W ogóle nie jestem marynarzem. Nie służę żadnej kompanii ani na lądzie, ani na morzu. Jestem Quire i tylko Quire, i tym Samym nie mogę ci nijak pomóc.

- Z pewnością tym bardziej mógłbyś mi pomóc - stwierdził Maur znacząco, choć niepewnie.

Quire oparł brodę na zaciśniętej pięści i spojrzał na Saracena.

- Teraz zamierzasz być szczery, co?

- Gotowi jesteśmy zapłacić dobrze za każdą informację dotyczącą jednostek Albionu, tak wojennych jak i handlowych. Zapłacimy za te plotki z dworu, które dotyczyć będą oficjalnie podejmowanych wypraw. Odwdzięczymy się również za wszelkie wiadomości o prywatnym życiu i kontaktach Królowej Gloriany. Podobno bez większego trudu można ją podsłuchać.

- Zaprawdę, panie? Kto ci to powiedział?

- Dworzanin, który w zeszłym roku odwiedził Bagdad.

Quire ściągnął wargi, jakby rozważał propozycję.

- Jak zapewne zauważyłeś, nie jestem bogaty.

Maur udawał, że myśl taka nigdy nie zaświtała mu w głowie.

- Owszem, sir, przydałby ci się nowy strój na miejsce obecnego.

- Nie jesteś głupcem, mój panie.

- Zapewne nie.

- I od początku domyśliłeś się, że nie jestem ani kapitanem, ani kupcem.

- Są w Albionie i tacy, którzy w szczególny sposób lubują się w ubóstwie. Czasem trudno ocenić...

Quire przytaknął i kilkoma chrząknięciami oczyścił gardło. Galerią nadszedł kościsty łotr z zębami jak pniaki. Na grzbiecie miał podarty pikowany kaftan, łydki okrywały nogawice z króliczych skórek, a czapeczka jeździecka opadła aż na uszy. U pasa kołysała się szpada, z której ktoś niewprawnie zdrapał rdzę. Jego krok był niepewny, ale raczej nie na skutek picia, a za sprawą jakiejś innej niedyspozycji. Pośmiała skóra zdradzała, że dopiero co przyszedł z mrozu, ale jego oczy płonęły już jasnym płomieniem.

- Kapitanie Quire? - przemówił, jakby został wezwany, lub przewidział jakąś epikurejską niegodziwość.

- W porę zjawiasz się, Tinkler, aby służyć mi za świadka. Oto lord Ibram z Bagdadu.

Tinkler skłonił się, kładąc brudną łapę na stole. Lord Ibram spojrzał niepewnie to na jednego, to na drugiego.

- Trzeba ci wiedzieć, że lord Ibram właśnie mnie obraził.

Maur w końcu zaczął wietrzyć podstęp.

- To nieprawda, kapitanie Quire! - Nie był w stanie się podnieść, gdyż stół mu nie pozwalał. Nie mógł też odejść nie przeciskając się albo obok Quire'a, albo Tinklera, który

najwyraźniej był sprzymierzeńcem kapitana. - A zatem staracie się doprowadzić do kłótni! Od początku tak to planowaliście?

- Proponował, bym podjął się szpiegowania samej Królowej - głos Quire'a był

lodowaty. - Powiedział, że młody sir Lancelot Teale ujawnił mu sposób, w jaki można tego dokonać.

- Ach! - nie wytrzymał lord Ibram. - Wiesz zatem wszystko. Jestem w potrzasku.

Dobrze więc - odepchnął stół, ale Quire przytrzymał mebel. - Przyznaję, że próbowałem zasugerować ci szpiegostwo, kapitanie Quire, i była to nierozsądna propozycja. Przynajmniej o tyle, że ty już teraz jesteś profesjonalistą w tym fachu. Mam jednak nadzieję, że nie gorszy z ciebie dyplomata i zrozumiesz, że gdybym został porwany, poddany torturom lub zabity, to reperkusje takiego zdarzenia byłyby bardzo poważne. Mój stryj jest szwagrem emira Maroka, ponadto jestem spokrewniony z lordem Shahryarem, ambasadorem Arabii, który wkrótce przybywa do Albionu. Odejdę teraz rozpamiętując, jaka popędliwości mojej udzielona została naučka.

- Niemniej faktem pozostaje, że obraziłeś mnie, lordzie Ibramie.

- A zatem przepraszam - skłonił się lord Ibram.

- To za mało. Jestem wiernym poddanym Królowej. Może nie najlepszym z jej sług, ale na pewno lojalnym. Mam nadzieję, że nie jesteś tchórzem, sir.

- Tchórzem? Och! Oczywiście, że nie.

- Pozwól mi zatem...

- Co? Satysfakcja? Tutaj? Czy zmierzasz do burdy, kapitanie Quire? - Patrząc nań

ciemnymi oczami lord Ibram naciągnął wyszywaną klejnotami rękawicę i pozwolił tak odzianej dłoni spocząć na rękojeści zakrzywionej szabli. - Zatem ty i twój wspólnik macie nadzieję mnie zabić?

- Uczynię pana Tinklera moim sekundantem i dam ci czas na znalezienie własnego, lordzie Ibrahimie. Skoro zaś nalegasz, poszukamy też jakiegoś spokojniejszego miejsca do walki.

- Zamierzasz walczyć uczciwie, kapitanie Quire?

- Powiedziałem ci już, lordzie Ibrahimie. Obraziłeś mnie. Znieważyłeś moją Królową.

- Tego ostatniego sobie nie przypominam.

- Czyniłeś insynuacje.

- Powtarzałem tylko ogólnie znane pogłoski. - Saracen zdawał sobie sprawę, że taka deklaracja jest poniżej jego godności i zacisnął usta. Tymczasem na twarzy kapitana Quire'a wykwitł krzywy uśmiech.

- Czy to przystoi, by ktoś tak wysokiego urodzenia dawał wiarę zwykłym plotkom?

Tylko ktoś pozbawiony honoru może powtarzać to, co szepcze sobie motłoch.

- Przyznaję ci rację - Maur wzruszył ramionami. - Niech będzie zatem, stanę do walki.

Czy w tej hałastrze muszę szukać sekundanta? Czy nie ma na górze dżentelmena, którego mógłbym poprosić o przysługę?

- Tylko mistrz Wheldrake. Mamy sprawdzić, ile w nim zostało życia? - Quire obszedł stół, a Tinkler odstąpił, pozwalając lordowi Ibrahimowi przejść. Quire ruszył już ku drzwiom, w których zniknął Wheldrake, ale Maur go powstrzymał.

- Ten biedak się nie nada.

- A zatem zostaje ci któryś z tych - Quire wskazał na ciżbę w dole. - Każdy się tego podejmie; jeśli zapłacisz, naturalnie.

Maur przechylił się przez barierkę.

- Potrzebuję sekundanta do pojedynku. Korona dla tego mężczyzny, który ze mną pójdzie - powiedział prezentując srebrną monetę. Rumianolicy zawadiaka w skórach, który niedawno wypadł w trakcie walki przez główne drzwi, wrócił widocznie jakimś tylnym

wejściem; stał teraz ze szramą na łysinie oraz dwoma zadrapaniami na czole i przyciskał gąbkę do naderwanego ucha.

- Ja pójdę. Wolę być raczej świadkiem walki niż uczestnikiem.

Quire uśmiechnął się.

- Co stało się z twoim przeciwnikiem?

- Uciekł, sir, ale zostawił to - sięgnął po coś leżącego na stole i zademonstrował kawałek ludzkiego nosa. - Odgryzłem mu go. Domagał się zwrotu, chciał znaleźć cyrulika, który by mu to przyszył. Ale skoro uczciwie sięgnąłem po wygraną, tak i odmówiłem - zaśmiał się rzucając ochłap w kierunku paleniska. Nos nie doleciał do ognia i zaczął przysmażać się na ruszcie.

Lord Ibram odwrócił się do kapitana Quire'a.

- Słyszałeś coś o mnie? Sir Lancelot mówił ci cokolwiek?

- Na przykład, że jesteś wyśmienitym szermierzem?

- A zatem uważasz, że jesteś lepszy? Quire nie raczył odpowiedzieć.

Kompania opuściła tawernę tylnym wyjściem i nadrzeczną ścieżką dotarła do powozu, którym Quire i Ibram przyjechali do Konia Morskiego. Trzęśli się z zimna wdrapując się do środka, a Quire polecił woźnicy skierować się na pole White Hali. Raz jeszcze kapitan spojrzął na szeroką, czarną rzekę. Padał gęsty śnieg i wydawało się, że rzeka toczy wody leniwiej, niż zwykle. Przez biel śniegu widać światła i sylwetkę sporego statku, słychać także wiosła holownika prowadzącego jednostkę ku dokom w Charing Cross. Quire spojrzął potem na Maura, który starał się nie okazywać po sobie złości, kiwnął na krzywiącego się pieńkami zębów Tinklera. Odwrócił jednak wzrok od żołnierza z poczerwieniałą już gąbką, który, pragnąc zarobić na obiecanie srebro, próbował wciągnąć lorda Ibrama w przyjacielską rozmowę.

Powóz podskakiwał na zamarzniętych koleinach i zniknął w mroku.



Na pokładzie statku, który o tak późnej porze i w tak niesprzyjających okolicznościach płynął w górę Tamizy, sir Thomas Ffynne stapał jedną nogą własną i jedną wyciętą z kości słoniowej po deskach mostku i wydawało mu się, że oddech jego zamarza ledwo opuściwszy nozdrza. Miał nadzieję, że świt pospieszy się i nadejdzie zanim statek dotrze do nabrzeża, nie ufał bowiem ludziom, którzy go holowali. Znaki nawigacyjne były ledwo widoczne, a na dodatek nie wszystkie paliły się tej nocy. Gęsty śnieg okrywał cały statek, spoczywając na rejach, takielunku, poręczach i pokładach; osiadał nawet na głowie Toma Ffynne'a, usiłował wdrzeć się między but a pończochę i zmrozić jedyną pozostałą stopę, by i ona została mu odjęta (pierwszą stracił na skutek odmrożenia podczas słynnej wyprawy do koła podbiegunowego).

Tom Ffynne powracał nasyciwszy się piractwem, określanym przez niego pobieraniem myta, a które uprawiał ostatnio na Morzu Meksykańskim. Najpierw zamierzał wrócić na czas Świąt Bożego Narodzenia, potem na noworoczną maskaradę, ale ponieważ i jedno i drugie ominęło go, był w podłym nastroju. Jednak z przyjemnością patrzył na Londyn, na odległy, skrzący się pałac i skłonny był nawet podziękować chłopcu, który przyniósł mu z kam-buza czarbkę gorącego rumu. Pił małymi łykami, metal parzył okolone brodą wargi. Tom Ffynne chrząkał, przytupywał mocno i krzyczał na holujących za każdym razem, gdy wydawało mu się, że zanadto zbliżyli się do wysokiego brzegu rzeki. Drobnny, pulchny i rumiany sir Thomas Ffynne to posiadacz jednego z najbystrzejszych umysłów w całym Albionie. W wieku lat dwudziestu sześciu, zostawszy admirałem, dowodził flotą wojenną Króla Herna i jak ryba w wodzie czuł się w tamtych czasach podbojów i łupiestwa. To pod Hernem zasłynął jako Łotr Tom Ffynne, a była to epoka, która znała naprawdę wielu niegodziwców. Obecnie jednak jego miłość do Królowej była równie silna jak uczucie lorda Montfallcona, jednego z niewielu, którzy przetrwali rządy Herna nie tracąc poczucia godności i jednego z zaledwie kilku nadal

piastujących swoje urzędy. Stryj Toma Ffynne'a podbił dla Herna kalifów mauretańskich, ale to Ffynne utrzymał zdobycz dla Korony i uczynił kalifów we wszystkim zależnymi od Albionu. On też zdławił obie wielkie rewolty, które wybuchły na kontynencie Yirginii, orężem umacniał potęgę Imperium w Kitaju, w Indiach, we wszystkich królestwach Azji i na wybrzeżach Afryki. Wszędzie wsławił się bezwzględnością w dążeniu do jednego celu - ustanowienia dominacji Albionu nad owymi ziemiami, które są teraz protektoratami Gloriany. Królowa zaś chroni te kraje zakazując przemocy i domagając się przestrzegania litery prawa wobec wszystkich tych, którzy prawo jej przyjmują za własne. Kłopotliwe to dni dla Ffynne'a, który terror uznawał niegdyś za najlepszy instrument zaprowa-

dzania ładu we wszechświecie, a wszelkie nowe prawa uważał za fanaberie i wyrzucanie pieniędzy po to tylko, by ułatwić nadużycia tym, których prawa owe miały w teorii chronić. Nauczył się jednak respektować decyzje Wielkiej Matki i ustępować tam, gdzie Królowa nie życzyła sobie jego zdania ni osoby. Od tej pory zadowalał się wyprawami badawczymi i sporadycznie uprawianym piractwem, które uchodzi mu na sucho tak długo, jak długo napadane statki nie pływają pod banderą zbyt znakomitego monarchy. Ładownie jego wyniosłego statku, *Tristana i Izoldy*, pełne były skarbów, zdobytych na zachodnioindyjskich cesarzach, których miasta odwiedzał Ffynne, wypływając szeroką rzeką na wiele setek mil w głąb ładu, oraz materią i sztabami złota z dwóch iberyjskich karawel, które po trwającej pięć godzin walce pokonał u wybrzeży Kalifornii, najbardziej na Zachód wysuniętej prowincji Yirginii. Tom Ffynne zamierzał oddać to wszystko swej Królowej, żywił jednak opartą na doświadczeniu nadzieję, że Królowa pozwoli rozdzielić sporą część tych skarbów pomiędzy oficerów i marynarzy *Tristana i Izoldy*. Niemniej audiencję pragnął uzyskać z innego jeszcze powodu - przywiózł wieści, które zainteresują zapewne Montfallcona, a może nawet zaniepokoją Królową.

Ffynne zdał sobie nagle sprawę, że w gęstym śniegu świt nadszedł niezauważenie.

Horyzont zbladł, stopniowo ukazując pałac wznoszący się dumnie jak alpejski szczyt, odsłaniając skryty pod śniegiem Londyn i nurt zamarzającej nawet w kilwaterze Tamizy.

Wszystko było białe i pogrążone w ciszy. Tom Ffynne przestał przytupywać i nieruchomo wpatrywał się z podziwem w stolicę Albionu, nad którą wstawał pierwszy dzień Nowego Roku rozpoczynającego trzynastą rocznicę pokojowego panowania Gloriany. Rok ten, zgodnie z przepowiedniami doktora Dee, astrologa Królowej, będzie najbardziej znaczącym tak w jej życiu, jak i w dziejach Królestwa.

Tom Ffynne wypuścił wielką, parującą chmurę westchnienia. Uderzył jedną dłonią o drugą i strząsnął z ciemnej brody sopelki lodu; mruknął z zadowoleniem na widok macierzystego portu, który wyłonił się przed nim w dumnym, zamarzniętym majestacie tymczasowej oazy spokoju.

## **ROZDZIAŁ 2**

**W KTÓRYM KRÓLOWA GLORIANA WSTĘPUJE W PIERWSZY DZIEŃ NOWEGO ROKU, PRZYJMUJE DWORZAN I DOWIADUJE SIĘ O PEWNYCH NADER NIEPOKOJĄCYCH SPRAWACH**

Owinięta w obszerną, obramowaną srebrną la-mówką koszulę nocną koloru kości słoniowej, z włosami skrytymi pod czepkiem ze zwykłego płótna, Królowa Gloriana podniosła się spomiędzy białych prześcieradeł. Bładymi dłońmi, na których lśniły gustowne platynowe pierścienie z wprawionymi perłami, odsunęła farbowane na biało kotary łóżka, wstała i podeszła do okna. Pomiędzy poprzycinanymi krzewami cisów, którym poranek nadał pozór marmuru, kroczyły dumnie po pokrytym śniegiem trawniku pawie. Na tropy ptaków padały jeszcze ostatnie, białe płatki, ale mleczne niebo rozjaśniało się z wolna ukazując subtelne ślady błękitu. Gloriana odwróciła się do niewysokiej damy dworu, która czekała obok ciężko zdobionej srebrem tacy ze śniadaniem.

- Świetnie wyglądasz, Mary. Bardzo kobieco. Nabrałaś kolorów... Ale zmęczona, jak sądzę?

Jakby na potwierdzenie, Mary ziewnęła:

- Ach, to świętowanie...

- Chyba za wcześnie opuściłam bal maskowy. Czy spodobał się on twojemu ojcu? A braciom i siostrze? Dobrze się bawili? Nie żałują? - Gloriana zadała zbyt dużo pytań na raz, by dało się na którekolwiek odpowiedzieć.

- To była wspaniała noc, Wasza Wysokość.

Gloriana siadła przy skromnym stole i podniosła pokrywę, wybierając na pierwszy ogień cynaderki i flaczki.

- Zimno dziś. Jadłaś już, Mary?

Asystująca przy posiłku Mary Perrott zdawała się drzeć lekko. Odkrywszy to, Gloriana wskazała widelcem na drzwi.

- Wracaj do łóżka i zdrzemnij się jeszcze z godzinę lub dwie. Nie będziesz mi teraz potrzebna. Najpierw jednak dorzuć drew do ognia i przynieś mi gronostajowy płaszcz. To nowa sukienka, co? Dobrze ci w czerwieni, chociaż stanik wydaje się być za ciasny.

Lady Mary zarumieniła się lekko i pochyliła nad kominkiem.

- Zamierzam go przerobić, pani. - Wyszła, wracając po chwili z gronostajami. Narzuciła płaszcz na szerokie ramiona swej Królowej.

- Dziękuję, pani. Dwie godziny?

Gloriana uśmiechnęła się, skończyła cynaderki i szybko zabrała się za szczęśliwie jeszcze niewystygłe śledzie.

- Tak. Ale nie odwiedzaj ukochanego i nie przyjmuj wizyt, tylko naprawdę śpij, Mary, a wówczas zdolna będziesz wypełnić wszystkie swe obowiązki.

- Zrobię jak każesz, pani. - Dworny dyg i Mary wymknęła się ze skromnego pokoju

Królowej.

Gloriana stwierdziła, że tak naprawdę nie ma wcale ochoty na śledzie i gwałtownie wstała od stołu. Wdzięczna losowi za darowaną nadprogramowo chwilę prywatności, podeszła do wiszącego na ścianie przy drzwiach lustra. Przyjrzała się pociągłej, pięknej twarzy o delikatnie zarysowanym kościcu; oczom, których ciekawość nie opuszczała jakby jedynie z obowiązku. Krytycznie oceniła szpetotę sztywnego czepka i uwolniła kasztanowate włosy, aż spłynęły na ramiona. Rozwiązała koszulę, zrzuciła gronostaje i naga, gładka i lśniąca stanęła przed lustrem odbijającym jej idealnie proporcjonalną, blisko dwumetrową figurę, nie skalaną wcale tym, co od dawna kochankowie ryli na jej skórze niby na korze drzewa. A przecież przeszła przez tuzin wtajemniczeń, zaznała, od czasów dziewczęcości, uderzeń niemal wszystkich rodzajów różeg i biczysk, torturowana była ogniem i żelazem, kaleczona, drapana, najpierw przez samego ojca lub tych, którzy, służąc mu, pragnęli zarówno wychować jak i ukarać ją; potem przez kochanków mających w zamiarze wynieść ją na szczyt owego doświadczenia, którego ciągle tak zawzięcie poszukiwała. Przesunęła rękami po biodrach, nie z narcyzmu jednak, ale w wyniku roztargnienia. Zastanawiała się bowiem, jak może tak zmysłowe ciało ulegające łatwo każdej podniecie odmawiać tej ostatecznej ulgi, której zaznała większość kochanków ciała owego używających. Gloriana westchnęła cicho i nałożyła szatę, owijając się futrem - akurat na czas, by zawołać „wejść” w odpowiedzi na pukanie. Do pokoju wkroczyła najbliższa przyjaciółka Królowej, a zarazem jej osobista sekretarka i powierniczka, Una, księżna Scaith. Księżna miała na sobie szarą barlotkę z wysokim, zupełnie zakrywającym szyję kołnierzem i krótkimi, bufiastymi rękawami, rozszerzającą się by odkryć ciemnoczerwoną i złotą krynolinę. Twarz Uny miała kształt serca i wyzierały z niej oczy szare, inteligentne i ciepłe, których spojrzenie starczało za wszelkie wstępy i poranne powitania. Obie

kobiety objęły się na chwilę.

- Na Hermesa, dość mam takich doktorów, jak ci, których ostatnio mi przysłano -

zaśmiała się Królowa. - Kłuli mnie przez całą noc jakimiś małymi instrumentami i nudzili przy tym tak bardzo, że zapadłam w mocny sen. Gdy się obudziłam, już ich nie było. Wyślesz im ode mnie jakieś podarki? Trzeba im podziękować za fatywę.

Księżna Scaith przytaknęła, będąc ostrożną w podzieleniu nastrojów przyjaciółki.

Wyszła z sypialni do przyległego pokoju, otworzyła sekretarzyk i wyciągając z niego notatnik, zawołała:

- Włosi? Ilu?

- Trzech chłopców i trzy dziewczyny.

- Podarunki równej wartości?

- Tak będzie najlepiej.

Una znalazła się znowu w sypialni.

- Tom Ffynne wrócił tej nocy. *Tristan i Izolda* odpoczywa od trzech godzin w dokach Charing Cross. Ffynne nalega na niezwłoczne spotkanie z tobą.

- Ze mną samą?

- Lub z lordem Montfallconem. Może o jedenastej, gdy zbiera się Tajna Rada?

- Wysonduj, co jest powodem jego niepokoju. Nie chciałabym zrażać lojalnego admirała.

- Który nie uznaje innych władców, prócz ciebie - zgodziła się Una. - Starzy słudzy twego ojca cenią cię o wiele bardziej niż młodzi. Pewnie dlatego, że dobrze jeszcze pamiętają...

- Tak, tak. - Gloriana nie lubiła ani wspomnień o ojcu, ani jakichkolwiek do niego porównań, i wołała skończyć temat. W miarę jak ojciec się starzał, kochała go coraz bardziej, aż w końcu nauczyła się współczuć temu potworowi wiedząc, że był on po prostu za słaby, by

nieść ciężar, który ona ledwo potrafiła przejąć po jego śmierci na swoje barki. - Jakie mam dzisiaj spotkania?

- Życzyłaś sobie audiencji dla doktora Dee. Została ona zaplanowana po spotkaniu Tajnej Rady. Potem nie ma nic w planie aż do obiadu, przy którym towarzyszyć ci będą ambasadorzy Kitaju i Bengalii.

- Jakiś spór graniczny?

- Lord Montfallcon przygotował już i rozwiązanie, i dokument. Opowie ci o tym rano.

- A po obiedzie?

- Dzieci i ich guwernantki. To do czwartej, a o piątej ceremonia w Sali Audiencyjnej.

- Znów zagraniczni dygnitarze?

- Zwykle noworoczne celebry i deklaracje. O szóstej burmistrz i radni miejscy, to samo.

O siódmej zgodziłaś się rozpatrzyć sprawę nowych budynków dla Franciszkanów. O ósmej kolacja, lord Kansas i Washington.

- Moi romantyczni Vrgińczycy! Na kolację czekać będę z niecierpliwością.

- Po kolacji zostaje już tylko jedno. Sir Tancred Belforest domaga się audiencji.

- Znów zagrała w nim rycerska krew?

- Sądzę, że tym razem to prywatna sprawa.

- Wspaniale - roześmiała się Gloriana wchodząc do garderoby i dzwoniąc na służące. -

Z przyjemnością raz chociaż obdaruję tego biednego rycerza. Usycha z pragnienia, by mnie zadowolić, ale jedyne, co zna, to wprawki bitewne i gimnastyka. Nie podejrzewasz przypadkiem, o co mu chodzi?

- Myślę, że poprosi o zgodę na poślubienie Mary Perrott.

- Z przyjemnością. Oboje ich kocham. Może to zdoła go ożywić i przestanie myśleć wciąż tylko o jednym.

Weszły damy dworu; piękne dziewczęta, z których każda była kiedyś kochanką Królowej, a że Gloriana nie potrafiła odprawić nikogo, kto chociaż spróbował ją zadowolić, a nie pragnął przy tym być wolnym, wszystkie zostały przez nią na stałe zatrudnione.

- Rozumiem, że zapowiada się raczej spokojny dzień.

- To zależy. Nie wiemy jeszcze, jakie wieści przynosi Tom Ffynne. Może zwiastuje wojnę w Indiach Zachodnich.

- Nic nas nie łączy z Indiami Zachodnimi poza protektoratem roztoczonym nad Panamą i dzięki bogom, że tylko tyle. Chyba żeby doszło do ataku na Virginię, ale które z tych państw jest na to dość potężne?

- A z pomocą iberyjską?

- Z pomocą iberyjską, to owszem, ale Indie Zachodnie nie wierzą teraz Iberii. Dobrze pamiętają, jak wielu ich ludzi wysłanych zostało na rzeź. Nie, prędzej wojna zagrozi nam gdzieś bliżej, Uno. - Gloriana pochyliła się, by pocałować sekretarkę, podczas gdy służące zaciskały na niej gorset, by uformować brzuch nabity grochem w stosowną dla Królowej sylwetkę. - Uch! -jęknęła, wypuszczając wiatry.

- Idę powiedzieć Sir Tancredowi, że ma twoje błogosławieństwo.

Una wyszła, Gloriana tymczasem poddała się dalszym torturom mającym na celu należyte przygotowanie jej do pełnienia dziennych obowiązków. Kolejno nakładano na nią warstwy pancerza: stanik i krynolinę, krochmaloną kryzę na drutach, pończochy z jedwabiu, buty na wysokim obcasie, obszywaną na sztywno halkę, zdobioną tuzinem różnego rodzaju klejnotów suknię ze złotego, wyszywanego w małe kwiatki materiału i uszlachetniony gronostajami płaszcz z ciemnoczerwonego aksamitu. Twarz została upudrowana, włosy związane sznurem pereł, nad czołem zabłysnął diadem, rękawiczki okryły dłonie, palce zaśniły pierścieniami, buława i berło znalazły się odpowiednio w prawej i lewej ręce, i już



Gloriana gotowa była zająć się swoimi sprawami; a zatem, jak fregata otoczona mewami, tak ona popłynęła pomiędzy małymi paziami i damami (z których kilka niosło jej tren), ku Tajnej Sali, w której oczekiwali cierpliwie członkowie Rady. Pożeglowała korytarzami obwieszonymi jedwabnymi flagami, gobelinami i malowidłami, z sufitami zdobnymi kasetonami, z których wyglądały bestie i bohaterowie, pyszniły się sceny mające ilustrować chwałę i zmienne koleje losu Albionu, egzotyczne krajobrazy Orientu, Afryki czy Virginii; mijała dworzan kłaniających się, dygających, prawiących jej komplementy i niektórym spośród nich musiała odpowiedzieć nawet „dzień dobry”, lub spytać o zdrowie; obok przesuwały się zastępy giermków, dam dworu, koniuszych, rządców, lokajów wszelkich szczebli oraz służących; stopy Gloriany stąpały po dywanach, mozaikach, posadzkach z kafli, parkietach, odrobinie srebra, garści złota, marmuru i ołowiu. Z wdziękiem kołysząc obręczami sukien, skręciła przechodząc po kolei przez pierwszą, drugą i trzecią salę audiencyjną, gdzie dworzanie, rezydenci i petenci oczekiwali na najmniejszy chociaż znak królewskiej życzliwości. Jej gwardia osobista, ludzie lorda Rhoone, cali w szkarłacie i w ciemnej zieleni, pozdrowili ją pikami, lokaje zaś otworzyli drzwi do pokoju audiencyjnego, który minęła bez zatrzymywania się, aż dotarła do wejścia Tajnej Sali. Radni wstali, skłonili się, poczekali aż ona siadnie na swym krześle u szczytu stołu, po czym cała dwunastka dostojnych dżentelmenów w sukniach z drogocennych materiałów i ze złotymi łańcuchami na piersiach z powrotem zajęła swe miejsca.

Przez wspaniałe okno za plecami Gloriany przedostawało się do wnętrza zabarwione na tysiąc kolorów światło. Wielki witraż ilustrował scenę Cesarza i Hołdu: oto ojciec Gloriany, przedstawiony jako Król Artur, przyjmował w uosabiającej Londyn Nowej Troi (legendarnej twierdzy z mitycznego złotego wieku Brytanii, wzniesionej przez przodka Gloriany, księcia Brutusa, siedem tysięcy lat temu) hołd przedstawicieli wszystkich narodów świata, składających dary u stóp dziewięćdziesięciu dziewięciu stopni schodów, na których szczycie

tron Cesarza opromieniany był przez żeńskie wyobrażenia Mądrości, Prawdy, Piękna i Miłosierdzia otaczające koronę. Prywatnie Gloriana uważała, że okno było w złym guście, ale szacunek dla tradycji i pamięć jej ojca wymagały, by zostawić witraż na miejscu.

Po obu stronach stołu, po sześciu z każdej, siedziała jej Tajna Rada. Dwanaście znajomych twarzy, a przed każdą z nich stały na blacie stołu kute w srebrze kałamarze i pojemniczki z piaskiem i gęsimi piórami, leżały ułożone w ordynku kartki papieru. Członkowie Rady zasiadali według rangi. Najbliżej po prawej stronie Królowej siedział lord Perion Montfallcon, Lord Kanclerz i Główny Sekretarz, w czerniach i szarościach, z opuszczoną jakby w drzemce wielką, siwą, lwią niemal głową. Pierwszym z lewej był zamyślony doktor John Dee, doradca-filozof o orlej twarzy, z długą, przyciętą prostokątnie białą brodą. Miał na sobie brązową czapkę, płaszcz, kubrak i złoty łańcuch z sześcioramiennej gwiazd. Obok lorda Montfallcona zajmował miejsce sir Orlando Hawes, Murzyn, szczupły i wynędzniały Minister Skarbu ledwo unoszący oczy znad papierów, w zwyczajnych, ciemnoniebieskich szatach z oszczędnym kołnierzem z jaśniejszej nieco koronki i ze srebrnym łańcuchem. Naprzeciw niego, nieruchomy jak kamień, tkwił rumianolicy i srogi starzec, Lisuarte Armstrong, czwarty baron Ingleborough i Minister Żeglugi Albionu, a zarazem najslynniejszy nawigator i żeglarz Imperium, bez mrugnięcia błękitnym jak oceany północy okiem znoszący coraz częstsze ataki podagry i masę ciężkiego jak kotwica łańcucha na szyi. Następny po prawej to Gorius, lord Ransley, Lord Przewodniczący Sądu Parów odziany w kryzy i mankiety w kolorze bladego złota oraz pikowany kaftan z najciemniejszego samodziału. Miał na sobie także łańcuch zdobny rubinami. Dalej, po prawej, siedział sir Amadis Cornfield, Skarbnik Królowej, mężczyzna przystojny, sardoniczny, złotousty i ciemnowłosy, szarmant poważnie jednak traktujący swoje obowiązki, odziany w błękit i biel jedwabnych pasów krzyżujących się na plecach i obejmujących nadgarstki dla podtrzymania karmazynowej podszewki z nałożonym wielkim,

luźnym kołnierzem oraz koronkami dopasowanymi tak do cienkiego, misternego łańcucha, jak i do zapinek jego płaszcza. Zdawał się teraz przyglądać jakiemuś szczegółowi okna, który wcześniej umknął jego uwadze. Na wprost sir Amadisa zajmował miejsce sir Vivien Rich, pulchny i włochaty Wicemarszałek Królowej upodabniający się wiejskim strojem do średniorolnego chłopca. Obok sir Amadisa siedział mistrz Florestan Wallis, sławny uczony, cały w czerni, bez łańcucha, ale z małą odznaką na piersi, z cienkimi, prostymi włosami spadającymi na ramiona i zaciśniętymi, wąskimi ustami. Sprawował on urząd Sekretarza Czystości Szlachetnego Języka Albionu, języka oficjalnych proklamacji i ceremonii, ale był też pisarzem, autorem krótkich sztuk wystawianych na dworze. Następna para to Perigot Fowler, Koniuszy odziany w ciemne brązy, i Isador Palfreyman, Sekretarz Wojny lubujący się w krwawych szkarłatach. Obaj z brodami, wyglądający niemal jak bliźniacy. Jako ostatni siedzieli - po prawej - Auberon Orme, Wielki Szatny w mdłych fioletach i jasnych zieleniach z Lincoln. Olbrzymia kreza w obu tych kolorach podkreślała długość jego nosa i, drobność ust i kontrastowała ze szkarłatem i bielą jego oczu; po lewej zaś - Marcilius Gallimari, Mistrz Gier i Zabaw, ciemny i zabawny Neapolitańczyk w bufiastym, barwnym niemal tak samo jak witraż, kaftanie z wycięciami. Włosy miał ułożone w fale, diament w jednym uchu i szmaragd w drugim, cienką, ostrą bródkę i zaledwie szczątkowe wąsy.

Królowa uśmiechnęła się.

- Widzę, że panuje w tej sali od rana atmosfera lekka i radosna. Czy mam przez to rozumieć, że święto trwa nadal?

Montfallcon podniósł się ciężko.

- Można powiedzieć, Wasza Wysokość, że na świecie panuje dziś cisza jak w grobie.

Niemniej sir Thomas Ffynne przyniósł pewne wieści...

- Wiem. Zamierzam zobaczyć się z nim, jak tylko narada się skończy.

- A zatem Wasza Wysokość wie już, czego owe wieści dotyczą? - spytał Montfallcon ze znaczącym chrząknięciem.

- Jeszcze nie, lordzie Montfallcon.

- Dalej, dalej, Lordzie Kanclerzu! - odezwane doktor Dee, z dawna rywal Sekretarza. -

Czynisz aluzje tak złowieszcze, jakby świat miał się jutro skończyć! Czy dlatego jesteś niezadowolony, że nic nie zagraża Albionowi? Pragnąłbyś nowej awantury? A może czekasz na znak? Mam skonsultować się z Talmudem? Wyczarować ci jakieś nieszczęście? Uwolnić kilka diabłów z butelki, wyczytać czarną przyszłość w gwiazdach, przestraszyć zebranych opowieścią o możliwych plagach...? Ostrzec, przestrzec, zagrozić...? - Jego niemal bezbarwny głos skłaniał do myślenia, gdy wypowiedź padała w sardonicznym, jak teraz, tonie. Jednakże najczęściej doktor brany był przez wszystkich dosłownie. Otoczony atmosferą tajemniczości, której przyczyn nie potrafił nigdy zrozumieć, często bezwiednie konfundował słuchaczy, a ci, w zamian, nierzadko zbijali go z tropu.

Perion Montfallcon, przyzwyczajony już do kpin, nie zareagował. Żaden z mężów nie kochał drugiego. Lord Montfallcon dał pokaz cierpliwości i zwrócił całą swą uwagę ku Królowej.

- Sprawa wydaje się mało istotna, jednakże trudno orzec, czy nie wyrośnie z niej, jak z małego orzecha drzewo, problem, który długo nam przyjdzie rozwiązywać.

Nie pragnąc wcale wieloaktowego przedstawienia w wykonaniu tych dwóch nieprofesjonalnych jednak (i miernych raczej) aktorów, Królowa Gloriana uniosła rękę.

- A zatem, czy powinniśmy wezwać Toma Ffynne'a przed nasze oblicze już teraz, by wyjaśnić całą sprawę?

- Cóż... - Lord Montfallcon wzruszył ramionami. - To nie zaszkodzi. Czekaj na zewnątrz, w pierwszej sali posłuchań.

- A zatem przyprowadź go, milordzie.

Lord Montfallcon odwrócił się od stołu i ruszył z wolna do małych drzwi, które prowadziły do przedpokoju pomiędzy Tajną Salą a jego własnymi biurami. Otworzył podwoje, szepnął słowo lokajowi, a po małej chwili do wnętrza wkroczył Tom Ffynne. Sir Tom zadbał na tę okazję nieco o brodę, na jego kapeluszu znalazło się pięć purpurowych strusich piór, z lewego ramienia zwisała peleryna w kolorze butelkowej zieleni. Ponadto przystroił się w szmaragdowozielony kaftan, białą, sztywną kryzę, w talii otaczał go gorset, pludry były szerokie, związane poniżej kolan tasiemkami opadającymi na białe pończochy, a czarne buty pobłyskiwały złotymi klamrami. Widać było, że naprawdę się postarał. Jego oczy rozszerzyły się, gdy ujrzał Królową; zdjął zaraz kapelusz, kłaniając się nisko. Postukując sztuczną, wpasowaną w kikut nogi stopą, ruszył ku zebrany.

- Wasza Wysokość...

- Dzień dobry, sir Thomasie. Oczekiwaliśmy cię o wiele wcześniej. Sztormy?

- I to wiele, Wasza Wysokość. Znaczyły każdą milę naszej drogi. Poszedł prawie cały takielunek prócz paru sztag, większość rei straciliśmy u brzegów Iberii. Ledwo dowlekliśmy się przez Kanał do Hawru, by dokonać prowizorycznych napraw. Było to cztery dni temu.

- Zatem twoje wieści dotyczą Francji?

- Nie, Wasza Wysokość. Doszły mnie one we Francji, gdy kotwiczyliśmy w zatoce, bardziej jeszcze opóźnieni przez niekompetentnych ludzi przysłanych nam jako żaglomistrze i skutnicy. Wszedł wówczas do portu wielki, staromodny galeon o czterdziestu, mniej więcej, wiosłach. Niósł polską banderę, co zaciekało mnie, bowiem wyglądał na okręt reprezentacyjny ze sporą ilością złocień i złotych wstęg na linach i barierkach. Wpłynął z wolna i rzucił kotwicę całkiem blisko nas. Udałem się zatem, by pozdrowić jego kapitana, który ceremonialnie powitał mnie na pokładzie. Był to stary, nader uprzejmy dżentelmen, szlachcic,

wyraźnie cieszący się ze spotkania. Powiedział, że zafascynowany jest Królową Gloriana i Albionem, i pragnie usłyszeć nowości dotyczące obu. Wychwalał nasz kraj i Królową, a gdy poznał moje imię, zaczął i mnie pochlebiać wspomnianiem moich własnych przygód.

- No i co w tym nowego, sir Thomasie? - spytał doktor Dee, wyraźnie na złość lordowi Montfallconowi. - Przecież Polska nas kocha.

- Doktorze Dee! - Królowa błysnęła okiem i ten umilkł.

- Sporo - ciągnął Ffynne -jako że okręt ten oczekuje teraz w Hawrze na polskiego króla, który podróżuje lądem kareta, i ma wkrótce wejść na pokład jednostki, by przyplłynąć nią do Londynu.

- W jakim celu? - Sir Amadis Cornfield oderwał niechętnie oczy od okna. - Sam król? Bez floty? Bez świty?

- Przybywa w konkury - powiedział Tom Ffynne cicho. Powiem więcej, przybywa niemal jako pan młody. Wydaje mu się, jeśli polegać na tym dżentelmeńskim Polaku, że Wasza Wysokość przyjmie jego zaloty i zgodzi się na małżeństwo.

- Ach! - Gloriana spojrzała z zakłopotaniem na lorda Montfallcona.

- Pani? - Lord Kanclerz uniósł głowę.

- Niedopatrzenie, wasza lordowska mość. Miałam zamiar cię poinformować. Wysłałam listy do króla Polski.

- Dotyczące małżeństwa?

- Oczywiście, że nie. Było to wtedy, gdy leżałeś powalony gorączką, ostatniego dnia listopada. Przyszła wtedy wiadomość z Polski. Dość formalna, sugerująca prywatną wizytę krok, zapewne sekretną jak teraz widzę, ale tak czy inaczej, incognito. Zgodziłam się, wysyłając dwa szybko skreślone listy, jeden zapewniający go o miłości, jaką żywimy do jego narodu, drugi sugerujący zaproszenie do Albionu w pierwszych dniach nowego roku. Nie

otrzymałam odpowiedzi. Zapewne zaginęła. Uważa się go za miłego mężczyznę i byłam ciekawa go poznać.

- A on z tego wywnioskował, bez wątpienia interpretując gest Waszej Wysokości w sposób przyjęty w jego kraju, że gotowa jesteś wysłuchać propozycji małżeństwa. - Lord Montfallcon odchrząknął i przycisnął dłoń do czoła. - A co się teraz stanie, jeśli odmówisz mu, pani?

- Trzeba uprzedzić go, wyjaśnić, że źle zrozumiał nasze listy,  
- Wtedy zacnie węszyć spisek. Polska jest dobrym przyjacielem. Jej imperium jest potężne, rozciąga się od Bałtyku do Morza Śródziemnego i obejmuje czterdzieści podległych krajów. Razem powstrzymujemy Tatarię...

- Jesteśmy obeznani z polityczną geografią Europy, lordzie Montfallconie. - Doktor Dee przeciągnął długim paznokciem po ustach. - Sugerujesz, że jeśli Polak uzna, iż jego zaloty zostały odrzucone, ba, miłość pogardzona, to wypowie nam wojnę?

- Nie - lord Montfallcon wyjaśniał dalej, jakby to on sam postawił to pytanie. - Zapewne nie wojnę, ale stosunki z Polską ulegną niewątpliwie pogorszeniu, a na to nie możemy sobie pozwolić. Tataria jest nazbyt czujna. A i Arabia ma swoje aspiracje.

- A zatem pewnie powinnam poślubić Polaka? - Królowa Gloriana była przez chwilę młodą, nieopanowaną dziewczyną. - Tak? Czy to by nas uratowało, milordzie?

- Wkrótce przybędzie jeszcze Wielki Kalif z oficjalną wizytą - mruknął lord Montfallcon. - Krążą pogłoski, że i on zamierza złożyć ci, pani, propozycję. Potem, w przyszłym miesiącu, spodziewany jest Teokrata Iberii, ale on wie, że praktycznie nie ma szans, bowiem nie dane mu jest mieć nigdy potomstwa. Jednak Arabia... Arabia... - jego głos nabrał stanowczości. - Nie ma innego wyjścia. Obaj muszą przybyć tu równocześnie!

- Ale Polska już nadciąga - zaznaczył Tom Ffynne. - Lada dzień monarcha przybędzie

do Hawru i nim minie doba, zacumuje w Londynie!

- Kiedy miał przybyć? - Montfallcon chodził w tę i z powrotem wzdłuż stołu, podczas gdy reszta rady usiłowała nadążyć za tokiem jego myślenia i nie stracić postaci z oczu.

- Za czterdzieści osiem godzin, jak sądzę, po mnie, a ja wypłynąłem wczoraj, z rannym pływem.

- Mamy zatem trzy dni.

- Najwyżej.

- Bardzo mi przykro, lordzie Montfallcon, że zapomniałam cię o tym poinformować - w głosie Gloriany brzmiał autentyczny smutek.

- Mniejsza z tym, pani. Będzie nieco zamieszania, trochę ambarasu, ale nic nadto.

Musimy modlić się, aby Polak zamarudził jeszcze trochę i przybył razem z Arabią.

- Ale czy to poprawi sytuację, milordzie? Czemu miałoby...

- To kwestia dumy, pani. Jeśli jeden lub drugi poczuje się urażony, wówczas nasze stosunki pogorszą się. Ale jeśli Polska zrani dumę Arabii lub vice versa, wówczas oni stracą, a my się umocnimy. Żaden z nich nie pomyśli źle o Królowej, każdy natomiast będzie miał pretensje do tego drugiego. Rozważam, pani, nie problemy istniejące, jak widzisz, ale potencjalne. Arabia i Polska nie kwapią się, by utworzyć sojusz, jednak nie ma powodu, by całkiem wykluczyć taką możliwość. Mają wspólne wybrzeże, czyli Morze Śródziemne, a wejście do niego kontrolowane jest przez Iberię, która, z kolei, wolałaby sprzymierzyć się z Arabią przeciwko nam...

- Ach, jakże kłębią się twoje myśli, sir! - czarna dłoń uniosła się lekko, jakby chciała odeprzeć atak. Sir Orlando przemówił po raz pierwszy. - Czy tylko ja odczuwam taką dezorientację? - spytał uprzejmie. Uwielbiał Montfallcona.

- To zbija z tropu nas wszystkich, oprócz Lorda Kanclerza, jak sądzę. - Królowa



Gloriana zaszeleściła mankietem. - Uznaję jednak jego rację, gdyż nie raz już trafnie przewidział istotne zagrożenia dla naszego królestwa. Musimy zawierzyć twojej sztuce uprawiania dyplomacji, mój lordzie, i honorować każdą decyzję, jaką podejmiesz.

- Dziękuję, pani - skłonił się nisko Montfallcon. - Jestem prawie pewien, że problem sam się rozwiąże.

- Nie potrafię sobie wybaczyć, sir, że spowodowałam ten kłopot. Byłam wtedy tak głęboko pochłonięta innymi sprawami... że jakby...

- Królowa nie musi się tłumaczyć - przerwał jej stanowczo lord Montfallcon.

- Ten Polak ma chyba w sobie coś z trefnisia - Lisuarte Ingleborough mrugnął znacząco okiem. - A już na pewno jest ekscentrykiem. Dziwne, że nie wysłał emisariuszy, nie bylibyśmy teraz tak zaskoczeni.

- Lord Ingleborough ma rację, przynajmniej na ile rozumiem jego słowa. - Tom Ffynne przeciągnął palcami po piórach na kapeluszu. - Hrabia Korzeniowski, o ile dobrze pamiętam jego cudzoziemskie nazwisko, powiedział prawie to samo, chociaż nie wprost. Jego pan niewiele uwagi poświęca sprawom państwa, bardziej pochłania go muzyka i inne, podobne rzeczy. Mówiąc po platońsku, to typowy dla tego nferodu dekadent. W Polsce jest parlament reprezentujący interesy narodu oraz szlachty i to on, a nie król, podejmuje decyzje - mały admirał zachichotał cienko. - Dziwny to kraj, co ma króla, ale go nie wykorzystuje, nieprawdaż?

Królowa Gloriana uśmiechnęła się lekko, prawie smutnie.

- Cóż, dziękujemy ci pięknie, Tomie Ffynne'ie. Czy masz jeszcze jakieś wiadomości?

Jak przebiegały twoje peregrynacje po Zachodnich Indiach?

- Balast złota przeprowadził nas przez sztormy, Wasza Wysokość, i wciąż jeszcze spoczywa pod pokładem *Tristana i Izoldy* cumującego w Charing Cross. Wszystko dla ciebie,

pani.

- Czy przeprowadziłeś już inwentaryzację towaru, sir Thomasie? - spytał Orlando

Hawes z żywym zainteresowaniem.

- Tak, sir. - Tom Ffynne podkuśtykał do stołu i, kłaniając się ceremonialnie, wyciągnął zza pasa zwój papieru i podał go Królowej. Gloriana rozwinęła dokument, ale dla większości obecnych oczywistym było, że i tak go nie przeczyta.

- Dość, by zbudować i wyposażyć nową flotyllę okrętów! - Gloriana zwinęła papier i przekazała lordowi Montfallconowi, który oddał go Orlandowi. - Czy mógłbyś rozdzielić dziesiątą część tego pomiędzy siebie i swoją załogę?

- Jesteś hojna, pani.

- Dziesiątą część tego! - Ministrowi Skarbu nozdrza chodziły jak podnieconemu ogierowi. - To za wiele! Jedna dwudziesta! Wasza Wysokość...

- Za tylokrotne ryzykowanie życiem?

Sir Orlando pociągnął nosem.

- Dobrze, pani.

Królowa Gloriana przebiegła wzrokiem całą długość stołu.

- Mistrzu Gallimari, czy twoi artyści gotowi są do wypełnienia dzisiejszych obowiązków?

- Tak, Wasza Wysokość. Do obiadu będziesz mieć muzykę mistrza Pavealli...

- Wspaniale. Pewna jestem, że wszystkie pozostałe wybory również będą odpowiednie.

A moja suknia na wieczór? Gotowa już, mistrzu Orme?

- Do ostatniej sprzączki i paska, pani.

- A ty, mistrzu Wallisie, przygotowałaś już mowę na popołudnie?

- Dwie, Wasza Wysokość. Jedną dla zagranicznych ambasadorów, jedną dla

burmistrza.

- A zatem nie muszę zapewne martwić się już o szczegóły dotyczące obiadu i kolacji.

Aha, jeszcze jedno, obawiam się, sir Vivien, że do przyszłego tygodnia nie będziemy mieli czasu na polowanie, ale proszę cię, byś wyprawiał się bez nas.

W ten sposób Królowa rozładowała atmosferę, bowiem wszyscy wiedzieli, że sir Vivien w niepoprawny sposób uwielbiał przechwalać się swoimi osiągnięciami łowieckimi.

Gloriana podniosła się powoli i uśmiechnęła jowialnie do Rady. Wstali, okazując protokolarny szacunek.

- Nie ma już więcej pilnych spraw? To był jedyny pałacy problem, lordzie Montfallcon?

- Tak. - Stary Kanclerz skłonił się i podał jej pergamin. - Tu są zapisane moje sugestie dotyczące rozwiązania sprawy Kitaju i Bengalii.

Gloriana przyjęła dokument.

- Żegnani was wszystkich, panowie.

Trzyście nóg zgięło się w ukłonie. Gloriana opuściła zgromadzenie wielbicieli i od razu otoczona została przez paziów i damy, mających odprowadzić ją z powrotem do apartamentów, gdzie miała w odosobnieniu spędzić trzydzieści minut potrzebnych, by przeprowadzić z księżną Scaith, wieczną konspiratorką i niewiniątkiem zarazem, własne śledztwo w sprawie Polski.

Perion Montfallcon zmarszczył brwi i skinął na Lisuarte Ingleborougha i sir Toma; było to trzech starców, którzy jako jedyni przetrwali tyranię, i którzy przysięgli nigdy nie dopuścić do jej powrotu. Montfallcon pożegnał się pospiesznie z pozostałymi radnymi i przez antyszambry poprowadził dwóch wybranych ku drzwiom prowadzącym do jego własnych biur. Były to duże komnaty pełne ksiąg prawniczych i historycznych, czasem nawet aż tak dużych jak sam Montfallcon. Światło wpadało przez specjalnie zaprojektowane okna uniemożliwiające

szpiegowanie wnętrza i kierujące blask głównie na sufit, toteż niewiele jasności docierało do podłogi, gdzie trzech mężczyzn stało przy uporządkowanym biurku lorda Montfallcona.

Lord Kanclerz westchnął i pocierając swój masywny nos potrząsnął głową.

- Po raz pierwszy zachowała się tak nieodpowiedzialnie. Czy to jedynie dlatego, że leżałem wówczas chory i czuła się przeze mnie opuszczoną? Czy to tylko postępek głupiego dziecka? Nigdy jeszcze taka nie była, a znam ją od urodzenia.

Lord Admirał oparł łokcie na biurku.

- Tęskni zapewne za wolnością.

- Jest zbyt świadoma odpowiedzialności - zaprotestował Tom Ffynne. - Może jest chora?

- To już bardziej prawdopodobne - Montfallcon potarł ramię, które zaczęło go nagle boleć, jakby stoczył walkę. - Ale czy dostrzegacie, jak ona cierpi? Zapewne, gdy pisała te listy, miała przez kilka chwil nadzieję na wolność.

- Tylko to może wyjaśnić tak drastyczne naruszenie zasad - westchnął lord Montfallcon klepiąc dłonią w lewe udo. Jego własne cierpienie groziło zupełnym wykoślawieniem ciała. - Musimy spełnić nasz obowiązek i nie dopuścić, aby to się powtórzyło. I, o ile to możliwe, zaoszczędzić jej bólu.

- Stajesz się sentymentalny, Perionie - zachichotał cicho Tom Ffynne w sposób, który już tysiącom ludzi zmroził krew. - Ale ostatecznie rozwiążemy jakoś ten dylemat.

- Ten problem sam musi się rozwiązać - powiedział Ingleborough. - Masz już jakiś pomysł?

Montfallcon potrząsnął z determinacją głową.

- Sposobów jest więcej niż jeden, ale najpierw spróbuję najmniej dramatycznego.

Przywykłem do takich manipulacji. Gdyby Królowa wiedziała tylko, do czego się uciekam, by

uczynić bezpiecznym los jej i wszystkich poddanych! W tym przypadku sztuka polega na skutecznym oszukaniu zainteresowanych i opóźnieniu przybycia załotników bez pozbawiania ich nadziei. Wręcz przeciwnie, należy zwodniczo podsycać w nich tę nadzieję i pocieszać strapionych, osłabiając jednocześnie ich upór. W ten właśnie sposób uprawiam mą grę z Królową - mówiąc to wykonał skromny, charakterystyczny taniec, który w zamyśle miał zapewne być nieco kokieteryjny, po czym usiadł. - Dekadencki Polak przybywa stąd, a wojowniczy Arab stąd. Trzeba pozwolić im dotrzeć w tym samym czasie w nadziei, że wpadną na siebie, spojrzą, jakby w lustrzane odbicie, i poczują wzajemną niechęć. I tak ich należy zostawić w gniewie i żalu.

- Ale Polska przybywa za wcześnie! - wtrącił Tom Ffynne.

- Toteż ją powstrzymamy.

- Jak?

- Sabotaż. Statek polskiego króla musi zostać zatrzymany w Hawrze.

- Znajdzie inny.

- Fakt. A zatem gdzieś bliżej... - Stukanie do drzwi spowodowało zmarszczenie czoła lorda Montfallcona. - Wejść.

W drzwiach pojawił się młody paź z kopertą w ręku. Skłonił się towarzystwu.

- Wiadomość od sir Christophera do pilnego doręczenia.

Lord Montfallcon przyjął kopertę i złamał pieczęcie, czytając szybko, a potem piorunując pismo wzrokiem.

- Człowiek, o którym właśnie myślałem, jedyny, który może przydać nam się w tej potrzebie, został dopiero co ogłoszony mordercą i jest poszukiwany. Na Zeusa, będę zadowolony ujrzawszy tego ropuchowatego typu dyndającego na szubienicy.

- To twój sługa? - skrzywił się Tom Ffynne. - Z tego, co słyszę, to zły poddany.

- Ależ nie, to najlepszy, jakiego mam. Jest szalony, ale bystry. Tyle tylko, że chyba się zapomniał. A do tego to arabskie książątko. Oczywiście! Arab sir Lancelota!

- Może i my byśmy czegoś się dowiedzieli? - spytał Tom Ffynne, mrugając wesoło, dając w ten sposób do zrozumienia, że jest bardziej niż trochę zainteresowany treścią listu. Lord Montfallcon podarł jednak wiadomość bez zastanowienia i spalił szczątki w kominku czarnym od popiołu nieaktualnych dokumentów.

- To by było na tyle - Lord Montfallcon był rozdrażniony. - Teraz muszę kombinować, jak ocalić od rożna mojego rzezimieszka, znajomka z konieczności. Jak mogę przeciwstawić się prawu, któremu wszyscy służymy?

- Zdaje się, że mamy tu do czynienia z tajemnicą o niezwykłej wadze. - Sir Thomas Ffynne kuśtykał już do drzwi. - Czy zjesz ze mną obiad, Lordzie Admirale? Albo, jeszcze lepiej, czy zaprosisz mnie na obiad?

- Z przyjemnością, Tomie. - Lord Ingleborough, naj-szlachetniej urodzony z tych, którzy przetrwali krwawe czasy, zdawał się być zakłopotany tak słowami jak i czynami Kanclerza. - Na bogów, Perionie, mam nadzieję, że nie ściągniesz na nas swymi planami dawnych, czarnych dni!

- Planuję tylko, jak powstrzymać jedno jedyne zdarzenie, lordzie Ingleborough. - Lord Kanclerz skłonił się przyjaciołom z powagą i życząc im dobrego apetytu pociągnął za linę dzwonnka, który miał wywołać z cieni Tinklera, by ten zaniósł wiadomość swemu panu, Quire'owi.

### **ROZDZIAŁ 3**

**W KTÓRYM KAPITAN QUIRE DBA O SWOJĄ PRZYSZŁOŚĆ ORAZ O PRZYCHYLNOŚĆ WŁAŚCIWYCH OSÓB I OTRZYMUJE NADER NIEMIŁĄ WIADOMOŚĆ**

Kapitan Quire siadł wśród szarej od brudu, przepoconej pościeli i kopniakiem odrzucił

koc, który przylgnął do kostki jego stopy niczym zdychająca płaszczka, a uczyniwszy to, przyjrzał się nieufnie młodej dziewczynie stojącej z koszykiem u wejścia do obscurnego pokoju.

- Krawcowa?

- Tak sir. Przysłano mnie, bym pocerowała rzeczy.

Ubrana była ponad swój stan, w stanik, halki i wyszywaną suknię, wszystko najwyraźniej jej własnej roboty. Ponadto dysponowała szerokimi biodrami oraz wstydliwym ale i zmysłowym wyrazem twarzy.

Quire mruknął z zadowolenia i wyciągnął ramię w kierunku stołka, na którym leżały podarte i okrwawione rzeczy. Nawet koszula, której nie zdjął na noc, poznaczona była, co dostrzegł w tej chwili, rdzawymi plamami blednącymi i rozsypującymi się w proszek przy potarciu. Quire odgarnął dłonią tłuste włosy z czoła i obserwował, jak dziewczyna zbliża się do stołka.

- Zajmij się nimi należycie. Zależy mi na tym. Te ubrania są teraz moje, przedtem należały do moich ofiar. Muszą zostać uprane i starannie pocerowane. Jak się nazywasz?

- Alys Finch, sir.

- Jestem kapitan Quire, morderca. Ostatniej nocy zabiłem pewnego Saracena. Młodego szlachcica o wspaniałym ciele bez najmniejszej skazy. Skalałem to ciało. Dwadzieścia razy ma szpada wniknęła weń i wtedy właśnie dostrzegła mnie ta banda tchórzy ze straży miejskiej.

- To był pojedynek, sir? - spytała trzęsącym się głosem, sięgając po łachmany.

Quire wyciągnął szpadę spod pościeli: orężę piękne, najlepszej jakości, jedyne w swoim rodzaju.

- Widzisz!/? Nie, to było tylko skrytobójstwo noszące pozory pojedynku. Wyszliśmy na pola za Wbite Hali i tam go zarznąłem. Ładna z ciebie panienka. Włosy kasztanowate, kręcone,

takie, jakie lubię. Oczy duże, wargi pełne. Miał już cię ktoś, Alys?

Dziewczyna układała rzeczy w koszyku, a spokojne i przerażające oczy Quire'a badały jej stanik.

- Nie, sir. Chciałabym wyjść za mąż.

Z czułym niemal uśmiechem Quire dotknął jej ramienia ostrzem brudnej od krwi szpady, jakby pasował ją na damę.

- Rozwiąż to, Alys, i pokaż mi, co tam rośnie pod spodem. Ta szpada,-dotknął czubkiem jej gardła-zabiła już niejednego. Niektórych w ucziwej walce. Tym razem jednak, gdy Maur pochylony podwiązywał, za mą sugestią, kraj szaty, uderzyłem bez uprzedzenia i przeszyłem go na wylot. Nigdy bym się nie spodziewał, że znajdą się w tak mroźną i ciemną noc jacyś świadkowie tego wydarzenia. - Głos Quire'a nabrał goryczy. - Nawet drzewa zamarzły.

Ośloniliśmy nasze latarnie, ale dwóch strażników i tak nas dostrzegło, a gdy podeszli, jeden z nich rozpoznał moje oblicze. Pech, że było ich aż dwóch. - Skierował jej palce ku wstążkom i nie posiadająca się ze strachu dziewczyna posłusznie zaczęła je rozwiązywać. Jego głos dochodził jakby z oddali. - Zaatakowali mnie, zanim należycie oprawiłem Saracena. Rozdarcia w moim płaszczu i kubraku to ich robota. Jeden sięgnął mi uda... - Poklepał miejsce pod koszulą. - Dziura w pończosze pochodzi od noża Saracena; sięgnął poń, gdy leżał już na ziemi, zdrajca... Myślałem, że już nie żyje, nawet Tinkler ściągnął mu już buty, odstawiwszy na bok latarnię. Dobre, mocne buty, ale co po nich, jak Tinkler nie odważy się ich teraz założyć? Widzisz, to krew. A to, tuż przy czubku ostrza? To był żołnierz ze straży. Załatwiłem go, zanim jego kompan uciekł nam w noc. - Quire przysunął czubek szpady do twarzy dziewczyny; jej oczy znieruchomiały, gdy dotknął stałą jej warg. - Spróbuj.

Stanik i koszula były już całkiem luźne, gdy Quire odsunął płótno na boki. Alys miała małe, jeszcze nie wypełnione piersi. Dotknął jednej z sutek ostrzem szpady.



- Dobra z ciebie dziewczyna, Alys. Wrócisz tu jeszcze, prawda? Przyniesiesz mi rzeczy z powrotem. I to niedługo!

- Tak, sir. - Oddychała ciężko, ostrożnie unosząc pierś i okrywając się ciemnym rumieńcem.

- Będziesz posłuszna i pozwolisz, by kapitan Quire pierwszy posiadał twoje skarby? -

Ostrze szpady badało nadal jej biust. - Nie odmówisz mi, Alys?

- Nie - odpowiedziała, zamknąwszy sarnie oczy i rozchyliwszy różane wargi.

- To dobrze. Ucałuj teraz szpadę, Alys, by przypieczętować nasz pakt. Ucałuj proch żołnierskiej krwi.

Alys pochyliła się posłusznie, gdy tymczasem drzwi zadrżały od uderzeń. Dziewczyna sięgnęła do tasemek stanika, nieprzytomnym wzrokiem spoglądając w kierunku wejścia.

- Tak? - odezwał się jakby po namyśle i naznaczył ramię Alys czerwoną kropelką krwi.

- Dobra dziewczyna - wyszeptał. - Teraz należysz do kapitana Quire'a. - Wyciągnął głowę, objął Alys i przywarł ustami do rany. - Kto tam?

- Marjorie, żona gospodarza, sir. Przyniosłam jedzenie, które pan zamówił oraz ubranie.

Quire zawahał się przez moment, potem wzruszył ramionami.

- To niech wejdzie - rozkazał, trzymając pewnie w dłoni swą szpadę.

Do środka wkroczyła kobieta olbrzymia niczym krowa morska i od razu spojrzała krzywo na ciężko jeszcze oddychającą Alys Finch, która dygnęła i skierowała się do drzwi.

- Czekam, Alys - rzucił Quire ciepłym głosem.

- Tak, sir.

Quire wyciągnął ciemne ubranie spod ramienia grubej gospodyni i zaczął się odziewać;

ona tymczasem, mocno skonsternowana, postawiła na blacie w nogach łóżka tacę z gulaszem, chlebem i winem.

- Czy to najlepsze, co udało ci się znaleźć, Marjorie?

- Owszem, a i tak dopisało mi szczęście, kapitanie.

- No to masz - wręczył jej dziesięcioszylingową złotą monetę zwaną aniołem.

- To za dużo. ,

- Wiem.

- Przesiąknięty jesteś na wskroś złem, kapitanie, ale szczodry z ciebie diabeł.

- Większość diabłów jest taka. - Przyciągnął blat do piersi i ujawszy dużą drewnianą łyżkę zabrał się za baraninę. - To leży w ich interesie. - Operujący sztucem żyłasty i umięśniony Quire wyglądał na człowieka bardzo niebezpiecznego.

Marjorie zwlekała z wyjściem.

- Słyszałam, że w Morskim Koniu doszło do walki? Złe to miejsce.

- Nie gorsze, niż to tutaj i lepiej dają tam pić. Walka jednak rozegrała się na polach White Hali. Pojedynek konkretnie. Przerwany przez straż, która teraz mnie poszukuje.

- To głupie prawo, by nie pozwalać ludziom pojedynkować się. A niechby się pozabijali, skoro wola. Królowa jest nazbyt łagodna.

- Lepiej już tak, niż żeby była nazbyt surowa. - Przywykły do podstępów Quire instynktownie zajął neutralną pozycję. - Prawo jest po to, aby nie dopuszczać do morderstw dokonanych pod pozorem pojedynku i uchronić wysoko urodzonych przed wymarciem.

Wysokie sfery wyrzynały się wzajem o wiele za szybko i Królowa zaczęła się obawiać, że arystokracja nam wymrze. A bez niej groziłaby nam mroczna przyszłość, totalny chaos!

- Och, kapitanie!

- To prawda, tak jak i to, że ten gulasz jest smaczny. - Druga część stwierdzenia byk całkiem szczerą.

- To i dobrze, potworze. - Marjorie założyła ramiona. - A co pan robiłeś z pomocnicą

pani Crown?

Quire skrzywił się i zanurzył kawałek chleba w sosie. Wiedział jednak, że gospodyni będzie raczej sprzyjać jego niecnym zamiarom.

- Budziłem jej pragnienia, poganiałem krew tej młodej dziewczyny do szybszego krążenia, rozgrzewałem ją na chwilę, gdy potrzebna mi może będzie odrobina wytchnienia.

- Przestraszyłeś ją. Ona ma narzeczonego. To syn Starlinga.

- Jasne, że tak. To najlepszy sposób, by pobudzić wyobraźnię i natchnąć ciekawością.

Teraz będzie chciała sprawdzić się przeciwko mnie, tęsknić będzie za zniewoleniem. A ty się mnie nie boisz, Marjorie?

- Mam wrażenie, że umiem się ciebie nie bać. - Ton głosu nie był całkiem pewny, a dłoń mocno ścisnęła złotą monetę. Kącik ust uniósł się ku górze.

- Miło mi, że tak sądzisz - stwierdził Quire z ironią.

- Ale Alys Finch nie jest odpowiednią dla ciebie kochanką. - Głos karczmarzowej w dalszym ciągu brzmiał niepewnie. - To dobra dziewczyna.

- Zaiste. Co ze strażą? - Wsunął kubrak pod pas, ruchem ramion ułożył odzienie na grzbiecie, zawiązał zszarganą bawełnianą chustę wokół szyi i usiadł, by założyć swe buty rybackie i zawiązać je nad kolanami.

- Nie pojawiła się. Ale przyjdą. Wielu wie, że się tu zatrzymałeś.

Odstawił pustą szklankę.

- Ach tak? - Znalazł kapelusz i wygładził na nim pióra. - Finch i Starling?

- Zostaw ją dla niego. To porywczy chłopak.

- Och, Marjorie, pewne rzeczy nie interesują mnie już tak bardzo. Potrzebuję coraz więcej czasu. - Dotknął palcami kapelusza na głowie i lekko go przechylił. Uśmiechnął się do niej z zaciśniętymi wargami. - Może z wiosną zabawię się w kukułkę.

- Do tej pory będziesz wisiał.

- Nie Quire. Poza tym, Gloriana nikogo nie wiesz. A nawet gdyby tOv się miało zmienić, to ja i tak ocaleję. Jestem Quire oszust, Quire złodziej i zbyt wiele długów pozostało jeszcze nie spłaconych, nazbyt wielu oczekuje, aż znów popiszę się maestrią mej sztuki. -

Schował szpadę do pochwy, wsunął nóż do buta, a sztylet za pas na plecach. - Jestem Quire cień. Potrzebuję płaszcza.

Wzruszyła ramionami uśmiechając się jak matka do szalonego ale kochanego syna.

- Wybierz jeden z tych na wieszaku przy schodach, a może właściciel nie zauważy straty.

- Dzięki. - Objął na chwilę jej ramię, by okazać wdzięczność. Marjorie patrzyła za nim, jak znika w mroku za drzwiami i światło bijące z dołu odbija się na chwilę w jego oczach. Quire zbiegł ze schodów, robiąc użytek z jej rady. Marjorie usłyszała odgłos przepychania, potem łomot przewracanej ławy i krzyk. Ruszyła zatem ku schodom przygotowując się w duchu, by skutecznie uspokoić dopiero co obrabowanego gościa.

\* \* \*

Spowity w ukradzione futro Quire przemierzał pokryte brudnym śniegiem ulice Londynu, gdzie mężczyźni i kobiety z przekleństwami na ustach wylaniali się z mgły tracąc co chwilę równowagę na lodzie, i zaraz w niej znikali, gdzie dzieci ślizgały się ze śmiechem, a para oddechu mieszała się z białymi kłębamii unoszącymi się ponad stoiskami, na których rozdzielano drogocenną zupę lub breję z orzechami mającą nasycić wiecznie głodny, zmarznięty dum. Chłód szybko zniechęcił pokrzywdzonego, który zaniechał tropienia Quire'a, ten zaś skręcił w Leering Street, po której bokach piętrzyły się pryzmy zamrożonego śniegu, brudnego od moczu i gnoju rojących się w górze mew. Krytym Rilke's Passage przeszedł na Craving Street, minął gotyckie mury Kolegium Platońskiego, by znaleźć się na ryneczku ze

skutą lodem fontanną. Posągi Heraklesa i Hydry lśniły odblaskami różowego i zielonego światła latarni zwisających ze ścian jakiegoś nowoczesnego budynku. Jeszcze jedno i drugie podcienie, jeszcze gromadka bawiących się w śnieżki chłopców i już Quire wkroczył w brudną mgłę, na wpół jak dym z kotła z gotującym się klejem. Dochodząc do celu zwolnił kroku. Przed sobą miał odrapane drzwi piwiarni U Bale'a, do której większość mieszkańców tego miasta dobrowolnie nigdy by nie weszła. Wciągnął zalatujące czymś słodkim, ciepłe powietrze i pchnął drzwi, które były, jak się okazało, otwarte. Zostawiając wilgoć i mróz za sobą, wszedł w duszne i śmierdzące wnętrze. Nieogolone twarze spojrzały na niego podejrzliwie sponad przygarbionych ramion; wśród klientów tego lokalu daremno by szukać żebraków lub pospolitych złodziei, tutaj zaglądała tylko arystokracja łotrostwa, oszuści operujący fortunami. Wśród takich ludzi Quire nie miał wrogów, wzbudzić tu mógł jedynie podziw i szacunek, czasem tylko stając się obiektem drobnej, niewartej uwagi zawiści. Za kontuarem w Odległym końcu długiego pomieszczenia, wśród dzbanów z piwem i jabłecznikiem, królował nie rozstający się z pełną ćwierć i półpensówek torbą Bale, człowiek z pewnością nie wpływający dodatnio na otoczenie. Po jego lewej stronie, skulony tam gdzie lada stykała się z wmurowaną w dREW-niano-ceglaną ścianę czarną belką, siedział i straszył pieńkami swych zębów Tinkler. Rękojeść jego szpady wystawała spod skórzanego płaszcza zamordowanego strażnika. Zdziwiony Quire podszedł do kontuaru i zdecydowanym gestem odsunął podawany mu przez Tinklera kufel.

- Już jesteś? Zrobiłeś, co kazałem? Byłeś u naszego przyjaciela?

- Tak. I już stamtąd wróciłem.

- Masz papiery, które zaoszczędzą nam dalszych kłopotów? - Quire wyciągnął rękę.

Odwracając wzrok, Tinkler podrapał się po odsłoniętych dziąsłach i zmieszany pokręcił głową.

- Co? Czy to znaczy, że wszyscy zostaliśmy bez patrona? Tak nagle? - Głos Quire'a

zdradzał cię konsternacji. Otoczył ramieniem kościste barki Tinklera.

- Tym razem odmawia. Sprawa jest zbyt poważna, kapitanie - Tinkler obniżył na wszelki wypadek głos, pomimo że Bale, wyrozumiały dla potrzeb gości, odszedł na drugi koniec kontuaru i pracownicy liczył miedziaki.

- Myślałem, że zależy mu na śmierci tego Maura.

- Uważa, że pokpiliśmy sprawę. Jest bardzo niezadowolony z całej afery.

Quire westchnął i skinął potakująco.

- Cóż, ma rację. Ale to był wypadek, z tą strażą. A tamtego samochwałę opłaciłeś? Ile mu dałeś?

- Pół złotej dziesięcioszylingówki, tak jak było ustalone. - Tinkler pokazał ścisną w dłoni odłamaną połówkę monety i wykrzywił usta w uśmiechu. - I mam ją tutaj.

- Zabiłeś go?

- Nie, ograłem go w kości, zanim poszedłem do naszego przyjaciela. Łotrzyk był tak przerażony poszukiwaniami straży, że w ogóle nie mógł pozbierać myśli. Idąc za twoją radą, kapitanie, nie skrzywdziłem go. Cała historia tak nitn zakręciła, że bez wątpienia spróbuje zastawić jakiś złoty pierścień lub ten wysadzany klejnotami kord.

- A złapany wyda nas, rzecz jasna. - Quire potarł dłonią ciężką szczękę. - Niczego innego nie można oczekiwać. A my nie jesteśmy w stanie nijak się wybronić.

- Bale za nas zaświadczy. Lub Uttley z Konia Morskiego.

- To wszystko na nic. Kto im uwierzy? Potrzebujemy dokumentu z wszechwładnym podpisem naszego patrona. Czy on był całkiem nieprzejednany, Tink?

- Jest zły. Mówił, że najchętniej wydałby cię straży. A potem wspomniał o sądach sir Christophera Martina. Następnie była mowa, iż ocalisz głowę, jeśli udowodnisz, że uknuto

przeciwno tobie spisek, a zeznania świadka są zwykłym fantazjowaniem. Mówił jeszcze o jakimś ukradzionym kapeluszu i płaszczu, twoich podobno. I tak dalej.

- No to jestem ugotowany.

- Nie. Jeśli pospieszysz się, wówczas nasz przyjaciel poinformuje sir Christophera, że byłeś w tym czasie gdzie indziej, i wykonywałeś jakieś ważne zadanie w służbie Królowej, wtedy będziesz wolny. Podkreślił jednak, że trzeba działać bez zwłoki, bowiem potrzebny jesteś do załatwienia pewnej nader pilnej sprawy. Zanim się do niej zabierzesz, musisz być czysty, inaczej wszystkie jego plany wezmą w łeb. Rozumiesz już?

- Tak, chociaż nie podoba mi się, że nasz przyjaciel zamierza mnie w coś wplątać.

- Czy musisz wszystko komplikować swoimi domysłami?

- Niby nie, ale nasz przyjaciel wie, że trudno zamordować kapitana Quire'a. Może zechcieć w ten sposób zmusić mnie do życia na wygnaniu. Chociaż wtedy inaczej zabrałby się do rzeczy. Każdego pająka poznać można po pajęczynie, wystarczy się przyjrzeć.

- To co, oddasz się w ręce ludzi sir Christophera?

- Nie mam wyboru, Tinkler, chociaż żal mi czasu, który w ten sposób zmarnuję, szczególnie, jeśli szykuje się już coś pilnego. Kiedy znowu dane mi będzie wytchnienie snu?

Podnosząc skórzany kufel do warg, Tinkler patrzył ze zdziwieniem na swego pana, jakby wyobrażał sobie kapitana Quire'a, który już nigdy w życiu nie zmruży oka.

## **ROZDZIAŁ 4**

**W KTÓRYM DOKTOR JOHN DEE, MAG, SNUJE ROZWAŻANIA O NATURZE KOSMOSU**

Zimne światło wlewające się przez okna kopulastego dachu Sali Audiencyjnej

nadawało wnętrzu bajkowy wygląd. W każdą ramę wprawione było szkło mieniące się

wszystkimi barwami tęczy splecionymi we wzory równie skomplikowane jak struktura płatka

śniegu. W całej okrągłej sali nie było miejsca pogrążonego w cieniu, tylko zaraz za tronem, tam

gdzie kotary skrywały drzwi, przez które przy uroczystych okazjach wchodziła Gloriana, zalegał mrok. Drzwi te prowadziły do jej salonu. Biało-srebrzyste ściany pokryte bukolicznymi wizerunkami w jasnych kolorach (zielenie, brązy i błękity) zakrzywiały się ku górze, by płynnie przejść w sufit. Sześć par drzwi nadawało sali tronowej pozór ośmiokąta; one także były zasłonięte - niektóre zasłonami, inne gobelinami. Przy głównych podwojach, wysokich i również zdobionych, stali lokaje. Jeden z nich wpuścił właśnie doktora Dee, siwobrodego starszego pana w szatach uczonego i takiejż czapeczce, w okularach przystających raczej urzędnikowi, z planszami pod pachą, przygarbionego jakby pod ciężarem wiedzy, ale i tak wzrostem dorównującego niemal samej Królowej. Gloriana zaprosiła na spotkanie z nim tylko najbliższe jej osoby, czyli Unę, księżnę Scaith, całą uśmiechniętą, w błękitach oraz majestatycznego, niby z kamienia wykutego lorda Montfallcona, przy czym ten ostatni zdradzał pewne oznaki niechęci i bez wątpienia, gdyby to od niego zależało, czym prędzej opuściłby szanowne zgromadzenie.

Królowa Gloriana siedziała na tronie ze złota i marmuru, kontur jej sylwetki ostro rysował się w bijącym z góry blasku. Twarz obramowana była sztywnym, wysokim kołnierzem, a wyszywana drobnymi klejnotami spódnica mieniła się przy każdym poruszeniu.

- Przyniosłeś diagramy, doktorze Dee?

Dee pomachał planszami. Lord Montfallcon potarł nagle nos dłonią i przeniósł wzrok z Królowej na maga; jak większość współczesnych uważał doktora Dee za pospolitego szarlatana, a piastowanie przez ową postać stanowiska Radcy Do Spraw Filozofii uważał wyłącznie za wynik słabostek, które Królowa miała prawo przejawiać jako kobieta.

Montfallcon obnosił się wręcz ze swoim sceptycyzmem wobec Dee, ten zaś odwzajemniał się rozbawieniem, które wzbudzała w nim taka postawa Montfallcona.

- Obiecałeś przedstawić nam dziś szczegóły twoich teorii kosmogonicznych -



przypomniała doktorowi Królowa. - Księżna Scaith wysłucha ich z własnej woli, lord

Montfallcon zaś z woli naszej, nie przestajemy bowiem żywić nadziei, że uda nam się kiedyś poszerzyć jego horyzonty myślowe.

Lord Kanclerz chrząknął i westchnął.

- Ośmielę się przypomnieć Waszej Wysokości, że czekają na mnie nader pilne i niecierpiące zwłoki obowiązki. Polska...

- Oczywiście. Za kilka chwil będziesz wolny. - Królowa spojrzała na srebrny zegar zdobiący hipnotyzującym wahadłem przeciwległą ścianę. Miękkimi ruchami uporządkowała halkę sukni i skinęła na Unę, by zajęła miejsce obok podium. Zmarszczeniem brwi wskazała jednocześnie lordowi Montfallconowi fotel pod drugiej stronie tronu. Wzruszyła ramionami, gdy ten odmówił i uśmiechnęła się do maga.

- Czy potrzebujesz pomocy przy planszach?

Dee otarł pot z czoła. W sali było gorąco za sprawą rur umieszczonych na rzymską modłę pod posadzką.

- A jest tu jakiś chłopak?

- Mamy tu jednego z pazi lorda Ingleborough. Czeka, aż wróci jego pan. - Wskazała na szkarłatną kotarę niedokładnie skrywającą lśniące drzwi. - Jest tam.

- Pójdę po niego - stwierdziła Una, wstając. Podeszła do kotary i pociągnęła drzwi. - A, to Patch.

- Dzień dobry lordowskim gościom - rozległ się delikatny głos pazia.

- Chodź tutaj, Patch - powiedziała z uśmiechem Una. Mało kto potrafił się oprzeć urokowi roztaczanemu przez pazia lorda Ingleborough.

Patch wkroczył, drobny i elegancki, odziany w ciemną zieleń, z krezą i trzymaną w dłoni czapczką w tym samym kolorze. Jasne, niemal białe włosy były krótko przycięte.

Skłonił się wdzięcznie i wielkimi, brązowymi oczami, w których malowały się po równo szacunek i inteligencja, spojrzął na doktora Dee.

- Proszę pomóc doktorowi, panie Patch.

- Sir? - Patch, cały już gotowy do pomocy, nie potrafił ukryć zakłopotania, gdy mag pogłaskał go swymi wyjątkowo długimi palcami po głowie.

- Dobry z ciebie chłopak, Patch.

Doktor Dee obejrzał się, zauważył stojący na boku stół i poszedł złożyć na nim większość plansz. Wrócił z jedną, wybraną.

- Weź jeden koniec, chłopcze, dobrze? - Patch usłuchał skwapliwie. - Odsuń się trochę, świetnie!

Razem rozwinęli planszę ukazując ją Królowej, która wraz z Uną pochyliła się do przodu. Lord Montfallcon spoglądał niezmiennie a tęsknie ku drzwiom prowadzącym do salonu.

Doktor Dee poczuł w nozdrzach woń Królowej i kolana pod nim zadrżały. Od dwunastu lat kochał ją i pożądał jej ciała. Rzadko zdarzało mu się o tym zapomnieć, ale nigdy nie znalazł sposobu by pisnąć Królowej choć słowo. Nazbyt przyłgnęła do niego rola mędrca i mentora zatopionego w metafizycznych rozważaniach, a nie śmiał zakłócać spokoju Królowej mąceniem tego obrazu. Zbyt mocno kochał Królową, by narażać ją na smutki. *O pani, pomyślał, gdybym tylko potrafił przemienić się pewnej nocy w łotra, w diabła samego, wśliznąłbym się do twej sypialni i obdarował tym, czego tak szukasz daremnie. Czego oboje, na bogów, szukamy...* Nagle zdał sobie sprawę, że Królowa o coś go pyta.

- Tak, Wasza Wysokość?

- Co to za sfery? Te przecinające się koła. Inne światy? Dee spojrzął na rozwiniętą planszę.

- Tak, Wasza Wysokość ( *czemu jedwab na jej udach musi szeleścić tak jednoznacznie?* ), ale ten diagram nie ukazuje żadnego Szczególnego przypadku, a tylko ilustruje samą zasadę. Ten centralny okrąg to nasz świat, chociaż tak naprawdę nie znajduje się on bardziej w centrum czegokolwiek, niż wszystkie inne światy ( *te brwi!* ), które istnieją równoległe do naszego i spośród nich niektóre są zapewne identyczne z naszym ( *i jest tam bez wątpienia też taki, w którym to ja jestem panem, a ty niewolnica* ), są także różniące się od niego tylko w drobnych detalach, w innych zaś dostrzec można zasadnicze różnice, na przykład mają morza tam, gdzie u nas rozciągają się kontynenty, lub też życie inteligentne wywodzić się może na nich z odmiennych form życia, jak małpy chociażby... Wszystko jest możliwe...

- Jak dotrzeć do tych światów, doktorze Dee? - rzucił lord Montfallcon drwiącym głosem. - A może tam byłeś?

- Nie, mój panie.

- A może byli tam inni, na przykład jacyś żeglarze? Rozmawiałeś z nimi?

- Żeglarze nie, ale wiele wskazuje na to, że dotarło tam paru podróżników...

- Przybyli statkami?

- Większość nie, mój panie.

- A jak? Lądem? - Lord Montfallcon wyprostował się, jakby gotując do dłuższej potyczki na słowa.

Królowa Gloriana wybuchnęła śmiechem.

- Spokojnie, lordzie Montfallcon. - Glorianę zwykle bawiło owo rozdrażnienie przejawiane przez najznakomitszego z jej ministrów. - Nie jesteś biegły w sprawach nauki, sir!

- Chciałbym tylko wiedzieć, pani - wysapał Montfallcon odwracając się do Królowej, - co jest czym, bowiem moim obowiązkiem jest ochrona tego świata, w którym rozciąga się twoje, pani, królestwo. A jeśli któryś z tamtych światów chciałby nas zaatakować?

- Mała jest szansa, mój panie, by jakikolwiek z owych światów mógł nam zagrozić. -

John Dee uśmiechnął się.

- Naprawdę nie czai się w nich żadna groźba? - lord Montfallcon spojrzał wymownie na maga.

- Nie jestem w stanie wyobrazić sobie żadnej. - Dee powiedział to tak obojętnie, jakby poruszał temat letniego deszczyku.

- Marnujesz panie tak swój, jak i mój czas. - Gloriana objawiła nagle niecierpliwość. - To wszystko to tylko teorie wysnute przez doktora...

- Ale wszystkie one opierają się na pewnych przesłankach, Wasza Wysokość - mruknął Dee.

- Oczywiście... - Królowa ujęła berło.

- Jak owi podróżnicy trafili do naszego kraju? - spytał lord Montfallcon tym bardziej zacięty w podejrzliwości, im szersze uśmiechy zdobiły oblicza obu dam.

- Widoczne tu sfery zachodzą czasem na siebie, przenikają się, i wtedy chcąc nie chcąc, dobrowolnie lub przypadkiem, podróżnicy tacy pojawiają się u nas. To znaczy większość z nich, bowiem są i tacy, którzy poznawszy umiejętność przemieszczania się z jednego świata do drugiego, której to sztuki my nie znamy, w wędrówki takie wybierają się zapewne z całym rozmysłem. Ale nazbyt daleko odeszliśmy w tych konkretnych rozważaniach od czystej idei, którą pragnę zaprezentować. Platon przypuszczał...

Lord Montfallcon wypuścił głośno powietrze.

- Nie jestem tępy ani niedokształcony. Studiowałem nauki klasyczne. Mam reputację osoby o przenikliwym umyśle, a pomimo to nadal niczego nie rozumiem!

-: Ponieważ wcale tego nie chcesz, panie. (*Ach, ten zadufek wie chyba, co naprawdę czuję! Wie, że jedyne, co naprawdę pragnę osiąść, to jej ciało...*). Proponuję, Wasza

Wysokość, aby przelożyć ten wykład i dyskusję na inną okazję.

- Nie, nie, nie. Proszę dalej, mistrzu Dee. - Gloriana postukała niecierpliwie królewską buławą.

- Tak, Wasza Wysokość. (*Dalej proszę, proszę bardzo. Ciepłe, miękkie zlegnie ciało...*).

Mam tu jeszcze jeden wykres, bardziej szczegółowy, na którym zaznaczony jest nasz rejon kosmosu.

Zwijając planszę zbliżył się do Patcha, wyrwał drugi koniec ze słabych dłoni chłopca i szybko odszedł od stołu. Wrócił z nowym wykresem i taniec rozwijania arkusza powtórzył się, jakby był samodzielnym przedstawieniem.

- Znajome konstelacje zaznaczone są na czerwono. Pod nimi widoczne są te same, przesunięte o pewien kąt, zazaczyłem je na niebiesko. Potem są jeszcze raz te same wymalowane na czarno, i też przesunięte, dalej zielone, żółte i kolejne. Nieuzbrojonym okiem możemy obserwować tylko te czerwone. Pozostałe istnieją zapewne, ale niedostępne są w naszej percepcji za sprawą, być może, warstw eteru. (*Te palce! Te dłonie! Gdyby tak dotknęły teraz mej męskości...*). Nie obserwowałem, lordzie Montfallcon, onych konstelacji przez teleskop, zakładam ich obecność tylko teoretycznie. Istnieją po temu znaczące przesłanki. Sam teraz pracuję nad alchemicznymi sposobami przenoszenia się z jednego świata do drugiego, ale jak dotąd niewiele udało mi się osiągnąć...

- Nie musisz się, mistrzu, przejmować ignorancją lorda Montfallcona. - Królowa gestem uspokoiła Lorda Kanclerza, nie ustając w namaszczeniu nadwornego filozofa dobrym słowem. - Robisz wrażenie zdenerwowanego, doktorze Dee.

Dee podniósł wzrok opanowując jednocześnie płonące w jego oczach ognie i puścił wyrazy troski mimo uszu.

- W minionych latach przyprowadzono do mnie parokrotnie pewne osoby, które

wydawały się szalone. Byli to zarówno mężczyźni, jak i kobiety, twierdzący, że pochodzą z innych światów. Wszyscy okazywali się zdolni do spójnego i logicznego rozumowania i jedynym, co pozwalało uznać ich szalonymi, było twierdzenie, przy którym trwali, że to nie jest ich świat. Prosiłem, aby opisali mi swoje ojczyzny i odkrywałem, że w zasadzie są one podobne do naszego świata, ale nazwy kontynentów i nacji bywały czasem inne. Opisywane mi społeczeństwa okazywały się często obce i barbarzyńskie. - Odłożył drugi wykres i sięgnął po trzeci. - Ten, na przykład, podobny jest do naszego, ale niezupełnie taki sam. - Patch ujął arkusz z lewej, Dee z prawej, i ukazała się mapa całego globu. - Proszę. Nazewnictwo zupełnie nie pokrywa się z naszym, ale istnieją pewne podobieństwa. Ten rysunek sporządziłem na podstawie opowieści jednego biedaka, który twierdził, że jest władcą nad wszystkimi państwami niemieckimi, kimś w rodzaju Karola Wielkiego dysponującego jednak zastanawiającą magiczną mocą...

- Wymierzoną przeciwko Albionowi?

Pedantyczny lord Montfallcon został zignorowany. Una z zainteresowaniem wpatrywała się w mapę, która wydawała się jej dobrze znajoma.

- Bardzo ciekawy rysunek.

- Chcesz pani powiedzieć: dziwaczny? - zasugerował Dee.

- Można i tak to ująć.

- Ja uważam go za prawdziwy. To jedyna kompletna mapa, którą udało mi się nakreślić.

Mój informator, jak się okazało, cierpiał na obsesję na punkcie map. Jak dotąd, Wasza Wysokość, nie udało mi się sporządzić drugiej podobnej, ale dzięki badaniom i rozmowom stworzyłem schemat wzajemnych położenia poszczególnych sfer i tego, jak mogą wpływać one na nasz świat. Raz jeszcze dla dobra wykładu przyjmijmy, że sfera, w której żyjemy, znajduje się pośrodku. Nasze działania powodują powstawanie kręgów, rozchodzących się

koncentrycznie niczym po powierzchni wody. My sami nie jesteśmy świadomi tych skutków, chyba że nagle poruszenie, nieoczekiwany prąd lub pływ ujawni je przed nami. Ludzie zwykle obawiają się takich chwil, bowiem w naszym uporządkowanym świecie nie zostawiliśmy miejsca na podobnie niezwykle zjawiska. W ten sposób rodzą się opowieści o diabłach, aniołach, duchach, elfach, chochlikach oraz bogach i ich wyczynach. Zresztą, wciąż jeszcze żyją i tacy, którzy gotowi są znakomitego muzyka, lorda Caudolona, nazywać demonem dlatego tylko, że znalazł się w naszym świecie nagle, mówił obcym językiem, opisywał nieznane nam rzeczy i dziwił się wszystkiemu, co widział ( *O pani, gdyby tak usta twoje dotknęły teraz mego rozpalonego fleta*), uspokoił się jednak potem i ogłosił, że został już wyleczony ze zmyśli, czy też obudził się ze snu, a przecież to my jesteśmy jego snem. Jak powiedziałem, poszczególne sfery nie są pozbawione podobieństw. Nawet ich historie zdradzają wiele wspólnego. Są tam inne Gloriany, inni doktorzy Dee, inni lordowie o nazwisku Montfallcon, w co wątpić nie można, chociaż czasem to tylko blade cienie naszych postaci, a czasem ich krzywe odbicia.

- Doktorze Dee - spytała Gloriana z oczami wbitymi w przestrzeń. - Czy sądzisz, że pewnego dnia będziemy mogli podróżować pomiędzy tymi sferami?

- Pracuję nad tym intensywnie, pani ( *Wargi twoje, jak twoje nogi, rozchylą się przede mną*), i mam nadzieję, że kiedyś uda mi się to osiągnąć, że będziemy przenikać przez sfery równie łatwo jak igła przez płótno.

- Czary! - parsknął lord Montfallcon. - Cała twoja matematyka prowadzi zawsze tylko do jednego. Do czarów. Widzisz pani teraz, dlaczego sam porzuciłem podobne studia narażając się na pomówienia o nieuctwo. - Montfallcon spojrział ze złością na doktora, ale Dee tylko wzruszył ramionami.

- Jest naszym życzeniem - powiedziała cicho Gloriana - aby wszystkie sztuki rozkwitały

na naszym dworze po równo.

- A zatem pozwólmy Królowej zadbać o bezpieczeństwo państwa, aby nie zostało spustoszone przez demony, które doktor Dee swoimi eksperymentami gotów jest sprowadzić do naszego świata - stwierdził lord Montfallcon bez większego przekonania.

- Moja pani... - Dee skłonił się niezgrabnie. - Nauki kabalistyczne...

Królowa drgnęła.

- Uważasz, że kryje się w tym rzeczywiście jakaś groźba?

Dee skłonił się ponownie i parę razy głęboko wciągnął powietrze. ( *Na krew Zeusa! Jeszcze trochę, a zostanę eunuchem przez te pantalony!* ).

- Nie sądzę, Wasza Wysokość. Wszystko, czego pochodzenia nie znamy a natury nie rozumiemy, zwykliśmy nazywać nasieniem diabelskim. Tych paru podróżników, którzy przebyli granice pomiędzy sferami, to mężczyźni i kobiety dokładnie tacy sami, jak my. Czasem gotowi byli sądzić, że przeniesieni zostali w przeszłość lub przyszłość, bądź uważali, że znaleźli się w niebie albo w piekle. Bez wątplenia, gdyby ktoś z nas objawił się nagle w świecie któregoś z nich, sądy nasze byłyby podobne. ( *Przysięgam, że piersi twoje rozkwitną w cieple mego języka* ).

- Biada twojej duszy, pani! - Słowa Lorda Kanclerza tak naprawdę były adresowane do rywala i jego miały ostrzegać. - Na końcu mrocznej drogi, którą wiedzie nas doktor Dee czyha Otchłań!

Dee był wyraźnie zdziwiony wypowiedzią, która pasowałaby raczej do sławnego dziadka Montfallcona, osoby żadnej zawsze wiedzy, ale przesiąkniętej zeszlowiecznymi przesadami. Wysilił się na dyplomację.

- Zapewniam cię, moja pani, że wszechświat nie stanowi dla nas zagrożenia. ( *Ach, aby posiąść ją w szale i bólu!* ). Planety, ich orbity i cienie są zagadnieniami dość złożonymi i bez



naszych roztrząsań, czy w innych sferach nie czają się jacyś wrogowie. ( *A ty, pani, sama jesteś wszechświatem, matką galaktyk... ścisnąłbym twoje półkule, aż śpiew twój oznajmiłby ostateczny triumf!* ). Gdyby Lord Kanclerz zachował nieco więcej rezerwy...

- Moim obowiązkiem jest chronić całe Królestwo, w tym i ciebie, doktorze Dee, i zamierzam wypełniać mój obowiązek najlepiej, jak potrafię. - Marszcząc brwi Montfallcon ciałniej otulił się ciężką materią.

- Szanuję twą sumienność, panie. - Dee najchętniej wycofałby się z tego sporu. -

Wydaje mi się jednak, że nadmierną wagę przywiązujesz do czegoś, co tak naprawdę pozostaje wciąż w sferze teorii. Mówię nie o tym, co istnieje na pewno, ale co jest tylko prawdopodobne.

- I rzeczy tylko prawdopodobne zwracają moją uwagę. Będę musiał się nad tym poważnie zastanowić.

- Jesteś wzburzony, mój panie, bowiem odrywamy cię od twych obowiązków. -

Przekonana argumentami Montfallcona, Gloriana postanowiła ostatecznie załagodzić sytuację.

- Możesz już powrócić do ich pełnienia.

- Moja wdzięczność nie zna granic. - Montfallcon skłonił się szybko, rzucił Dee pełne niechęci spojrzenie i oddalił się błyskawicznie ku swym tajemnym komnatom.

- Nie było moim zamiarem... - zaczął zmieszany Dee przygryzając wargę; jego biała broda zamarła przyciśnięta do piersi.

- Lord Montfallcon jest nieco roztargniony. Sprawy Stanu pochłaniają go do głębi. To moja wina, ja kazałam mu przyjść. Niepoprawna zachcianka. Potrzebne ci są dalsze fundusze na badania, doktorze Dee? Jeśli tak, to...

- Pani, nie przyszedłem, aby prosić...

- I nie posądzam cię o to. Wszystko to jednak wymaga złota, które trzeba będzie zapewne wysupłać z mojej sakiewki, bowiem Rada nigdy chyba nie będzie skłonna, by

patronować twojej nauce. Bo i faktycznie, czemu by miała to robić. Porozmawiam z sir

Amadisem, a potem ty powiesz mi dokładnie, czego pragniesz.

- Dzięki ci, pani. ( *Czego pragnę?! Ach, gdyby tylko wiedziała, czego pragnę!* ). Gdyby, na przykład, udało mi się znaleźć w domu wariatów dwóch ludzi, którzy zupełnie niezależnie zdają się cierpieć na tę samą chorobę, której symptomy opisałem, mógłbym poddać ich testom.

Tan Hermiston zaoferował mi już swą pomoc.

- Ależ to zwykły blagier! - Księżna Scaith uderzyła dłonią w poręcz krzesła. - Te bajdy o przygodach w królestwach wrózek, które snuł! Wierszokleta i kłamca, nic nadto.

- Nie sędzę, pani. Zresztą, to są jego więźniowie, a raczej trofea.

- Widzieliśmy ich kiedyś na dworze. Bezmyślne dzikusy. Lunatycy. - Uśmiechnęła się.

- Brzydko się bawili. Uważam, że Tan ujawnił całą swą wulgarność sądząc, że te nieszczęsne ofiary losu zabawią Królową.

Doktorowi Dee wydało się, że w głosie księżnej Scaith odnajduje więcej, niż tylko sceptycyzm. Zupełnie, jakby dziewczyna postanowiła go wypróbować.

- Był pewien mag, który przyszedł tu i sam stąd odszedł - powiedział Dee cicho, z wahaniem. - Nazywał się Cagliostro. Pojawił się nagle i równie nieoczekiwanie zniknął. To jeden z tych, którzy potrafią sami odnajdywać drogę pomiędzy sferami. Rozmawiałem z nim.

Wiele się od niego nauczyłem. Była też kobieta, Montez...

- Ona nie miała z tym nic wspólnego, doktorze Dee - wtrąciła Gloriana. -

Rozmawialiśmy z nią. Biedne stworzenie, zupełnie obłąkana. A ten strój! Dzieło szalonego krawca, który uciekł z tego samego, z którego ona przyszła, szpitala!

- A ja dałem wiarę jej słowom. Wprawdzie zgadzam się, że wydawała się być tylko jedną z wielu chorych, ale to, co opowiadała, było mi dziwnie znajome.

- Co się z nią potem działo? - spytała księżna.

- Przyłączyła się chyba do wędrownej trupy aktorów. Zmarła gdzieś pod Lincoln.

Una wsparła głowę na dłoni.

- A ten niemiecki cesarz, o którym wspominałeś? - Królowa skinęła paziowi, by przysiadł na stopniach podestu. - Żyje?

- Adophus Hiddler? Nie, samobójstwo. Był moim ulubieńcem. Wspaniały barbarzyńca, głęboko zainteresowany tak geografiami jak i alchemią. Wszystko wskazuje na to, że właśnie eksperymenty alchemiczne go do nas sprowadziły. W pewien sposób był uczonym, chociaż twierdził, że udało mu się podbić cały świat.

Gloriana przyłożyła palec do uśmiechniętych ust.

- Ani słowa, doktorze Dee. Niech lepiej lord Montfallcon nie wie nic o tych podbojach.

Będziesz informował nas na bieżąco o swych doświadczeniach?

- Tak, pani. (*Ach, ta gorączka! Jeden jest jeszcze eksperyment, który za życia muszę przeprowadzić! Na jednym tylko instrumencie muszę zagrać! Sprawię, że zaśpiewasz jak harfa Orfeusza...*). I dziękuję ci, pani, za okazane zainteresowanie.

- Zawsze ciekawi jesteśmy badań, które powiększyć mogą naszą wiedzę o świecie.

Powinieneś jednak uważać, doktorze Dee. W słowach lorda Montfallcona może kryć się odrobina prawdy. A nuż zdarzy się, że przywołasz z innej sfery jakiegoś demona, którego nie uda ci się opanować...

- I nie odchodź zbyt daleko w te bajkowe krainy nie zostawiając nam informacji, dokąd się oddaliłeś - dodała z przyjaznym uśmiechem księżna Scaith. - Nie pokładaj też zbyt wielu nadziei w pomocy Tana Hermistona.

- Ani w mechanicznych smokach jego przyjaciela, mistrza Tolcharde'a! - zaśmiała się Gloriana. - Biedny Tolcharde! Tyle pracy wkłada w swe zabawki. Musieliśmy oddać mu kilka sal, by miał je gdzie trzymać, a on wciąż konstruuje nowe! Widziałeś ten teleskop, który

Tolcharde sporządził w celu obserwacji mieszkańców Księżyca? Przyznaję, że ich zachowanie było niezwykle i nawet do pewnego stopnia zabawne, ale i ta nowość szybko się opatrzyła. Od tamtej pory Tolcharde zamierza zbudować statek, który zabrałby go na Księżyc.

- Aby oddać honor mistrzowi Tolcharde'owi - powiedział Dee - wspomnieć muszę, że bywa mi nader pomocny. Wykazuje się biegłością w rzemiośle i potrafi zbudować prawie wszystko, czego mi trzeba.

- Żyje po to tylko, by budować wciąż nowe urządzenia - zaśmiała się Una. - Nie obchodzi go, czy ktoś ich używa. Królowa przyjmuje dary, podziwia i każe odnieść do magazynów, gdzie kończy się ich kariera, a Tolcharde jest szczęśliwy, że może zająć się czymś nowym. Zrobił już chyba parę tuzinów mechanicznych ptaków i zwierząt, a każde bardziej skomplikowane od poprzednich!

Doktor Dee zaczął zbierać swe plansze. Twarz miał czerwoną, a pot pociemnił mu brodę.

- Wcale nie śmiałam się z mistrza Tolcharde'a - powiedziała Una. - Tak naprawdę, to podziwiam jego dary...

- Dobrze się czujesz, doktorze Dee? - spytała z troską Królowa.

- Czy dobrze? Tak, pani. (*O, bogowie, gdybym miał dość odwagi, by ściągnąć cię z tego tronu i przyłgnąć na podłodze ciałem nagan do ciała...*).

- Nie masz gorączki?

- Nie, pani. To chyba z panującej tu wysokiej temperatury. W moich komnatach jest chłodniej. (*Musi tam być chłodniej, inaczej stanąłbym w płomieniach!*).

- Przyłączysz się do nas przy obiedzie?

- Za twoim pozwoleniem, pani. (*Chociaż wołałbym raczej wgryźć się w twoje słodkie ramiona*). - Skłonił się i jęknął.

- Doktorze Dee?

- Do obiadu zatem, pani! - Jego głos był dziwnie wysoki. Przygięty, jakby walczył z wichurą, Dee wymknął się pospiesznie z sali tronowej, skręcił korytarzem w lewo, gdy nagle lady Lyst, piękna i nieprzeciętnie zdolna dziewczyna o niepohamowanej skłonności do alkoholu, wpadła na niego z naprzeciwka. Dee nie poznał jej i w pierwszym odruchu spróbował usunąć z drogi jak przeszkodę.

- Dzień dobry, doktorze Dee!

- Z drogi, dziewczko, na bok!

Ale ona wczepiła się palcami w jego kaftan, aż Dee dostrzegł w końcu, z kim ma do czynienia.

- Chciałam prosić o poradę, mądry panie.

- Poradę?

- W materii filozofii. - Wzrok Dee napotkał radosne, lekko szkliste oczy. Ciepła ręka otoczyła jego talię.

- Aha! - Za żadne skarby Dee nie znalazłby odpowiedniejszego substytutu, zatem nie zwlekając, objął jej ramiona. - Do moich apartamentów! Szybko! Szybko, lady Lyst, a przysięgam, że całą cię wypełnię moją filozofią!

Szarmancko pomógł jej wspiąć się na schody prowadzące do wschodniego skrzydła, gdzie jako niepoprawny tradycjonalista umieścił w wieży swoje gabinety i laboratoria.

## **ROZDZIAŁ 5**

**W KTÓRYM KAPITAN QUIRE ZOSTAJE W TAJEMNICY PRZYPROWADZONY DO PAŁACU,  
A**

**LORD MONTFALLCON WYPRAWIA GO NA STRACENĆCZĄ MISJĘ**

Lord Bramandil Rhoone, wielki i jowialny kapitan Straży Królowej sprawujący pieczę nad wysoko urodzonymi więźniami, przejął Quire'a (zakapturzonego jakby był łownym

sokołem) od ludzi sir Christophera i zaraz zajął się porządkowaniem wyglądu szpiega, nader niechętnego otrzepywaniu i poprawianiu odzieży. Ubranie Quire'a (pożyczone) nosiło wszelkie możliwe ślady pobytu w więzieniu Marshalsea, a słoma, łajno i zgnilizna sprawiły, że Quire roztaczał wkoło woń do złudzenia przypominającą odór emanujący z zabudowań starej, zaniedbanej i opuszczonej zagrody chłopskiej.

- Nie można, kmiotku, stawiać się w takim stanie na audiencję u samego wielkiego lorda Montfallcona, nawet jeśli to lord Montfallcon na owo spotkanie nalega, a nie odwrotnie, czemu zaś nalega, pojęcia nie mam, nie widzę bowiem żadnego powodu, dla którego należałoby chronić twoją głowę. - Okrągła, czerwona twarz kołysała się ponad szkarłatną krezą, a grubo ciosane dłonie poprawiały kołnierz Quire'a, który obiecywał sobie w duchu, że jeśli kiedykolwiek lord Rhoone wypadnie z łask lorda Montfallcona lub też z jakiegoś powodu zapuści się w wąskie uliczki złodziejskich dzielnic, wówczas pozostanie mu dokładnie czterdzieści osiem godzin życia, które Quire wykorzysta do końca, zabijając go w ostatniej sekundzie czterdziestej ósmej godziny. Myśląc to uśmiechał się pod kapturem chwiejąc się i czekając, aż rosły oficer skończy swe zajęcie.

- Dziękuję, panie. Jestem panu zobowiązany - powtarzał przy tym, cierpiąc nawet wtedy, gdy Rhoone wyciągnął mu szpadę z pochwy.

- To zostaje. Żadnej broni w pałacu, chyba że jest się rycerzem Królowej lub członkiem jej straży. - Tu poklepał się po własnej szpadzie. - Idziemy. - Z dłonią na ramieniu Quire'a ruszył żwawo korytarzem, zmuszając niemal ślepego więźnia do biegu. Quire poruszał się z trudem, obolały od twardej ławy i kamieni celi, w której spędził całą minioną noc.

- Może bym się chociaż umył, mój panie. Nie miałem ostatnio po temu okazji.

- Lord Montfallcon pragnie widzieć cię jak najszybciej. Zapewne chce wypytać o szczegóły tej sprawy związanej z Saracenenem. Miałeś szczęście, że lord Montfallcon ujął się za

tobą i stwierdził, że owej nocy byłeś w Notting, gdzie wykonywałeś zlecenie ci przez niego zadanie i zapewne pomyłono cię z kimś podobnie ubranym... - Spojrzawszy na łątany strój Quire'a, lord Rhoone powstrzymał się przed wygłoszeniem komentarza, że według niego to wszystko kłamstwo. - Nie darzę wprawdzie przesadną sympatią Saracenów, ale nie lubię też morderców - zaznaczył zasadniczym tonem. - I to niezależnie od tego, jakie pobudki nimi kierują. Królowa jasno dała nam wszystkim do zrozumienia, co o tym należy sądzić.

- Całkowicie zgadzam się z tym, mój panie-wydyszał Quire, wspierając się na lordzie Rhoone. - Chyba mnie kolka złapała.

Lord Rhoone wyduł grube wargi niczym zgrzany ogier.

- Za chwilę będziemy na miejscu.

Dotarli do trzeciej Sali Audiencyjnej, pomieszczenia tak obszernego, że bez najmniejszych problemów mogłoby pomieścić przeciętny plac targowy. Zbici w grupki dworzanie pogrążeni byli w rozmowach i ledwo zwrócili uwagę na przemykającą pospiesznie parę. Lord Rhoone pozdrowił parę osób.

- Sir Amadis! Dzień dobry, mistrzu Wheldrake.

Lady Lyst!

Kapitan Quire na wszelki wypadek nie rościł sobie prawa do rozpoznawania kogokolwiek, chociaż z kapturem na głowie przyciągał oczy bardziej, niż lord Rhoone. Przeszli przez sam środek sali aż ku skrytym przez gobeliny drzwiom do sali tronowej, których istnienie zdradzała tylko klamka. Rhoone zakołatał i zostali wpuszczeni.

Lord Montfallcon stał przygarbiony obok kominka, plecami zwrócony do przybyłych.

- Rhoone?

- Tak, Lordzie Kanclerzu. Mam go.

- Dziękuję.

Lord Rhooone raz jeszcze klepnął Quire'a po ramieniu i uśmiechając się do siebie wyszedł wraz z toledańską szpadą. Quire spojrzał ze złością na unoszoną broń, ale zaraz się opanował. Chwila nie była odpowiednia, by udawać urażonego; rozejrzał się po pokoju, którego wystrój był dlań całkiem obcy. Podrapał się za uchem, wyciągnął sombrero spod płaszcza i zsunął kaptur ujawniając do końca swą niewysoką, ciemnowłosą postać.

- Kapitan Quire, sir. Usłuchałem twych rozkazów i oto jestem.

Lord Montfallcon przytaknął, otulił się ciasniej jedwabnym płaszczem z bobrowym kołnierzem i odwrócił się powoli.

- Mówi się, że szczęście nigdy cię nie opuszcza, Quire.

- Bo i tak jest, mój panie.

- Ale w wigilię Nowego Roku było inaczej. Pokpiłeś sprawę. Za wiele chciałeś.

Widziano cię.

- Nic podobnego, mój panie. - Quire niebezpiecznie poczerwieniał na twarzy.

Lord Montfallcon westchnął i spojrzał ze złością na Quire'a.

- Tinkler przyniósł mi wiadomość od ciebie. Informacje na temat Arabii bez wątpienia nam się przydadzą, ale lord Ibram był człowiekiem z koneksjami. Prawdę mówiąc, to zapewniliśmy jego wuja, że bratanek będzie bezpieczny w Londynie. Gdyby nie to, że miał reputację raptusa i zapaleńca, trudno byłoby nam załagodzić sprawę. Może nawet musiałbyś ponieść wszelkie konsekwencje. Quire, którego szczęście opuściło, nie przedstawia dla mnie żadnej wartości.

Quire rozgrzewał ręce.

- Zabić mnie? - Żaden mięsień na twarzy Quire'a nie drgnął, a jego głos brzmiał

dumnie. - Chyba tylko w ostateczności. Gdyby bowiem nagle zdarzyło mi się zejść z tego

świata, kto wówczas strzegłby wszystkich tych sekretów, na których ujawnieniu nikomu tutaj



nie zależy? Puszka Pandory stanęłaby otworem. Czyżbyś, panie, postanowił zerwać z ostrożnością, której zawsze przestrzegałeś, i zagrać rolę doktora Faustusa wobec mrocznych sekretów Królowej?

Montfallcon słuchał, nie tyle z zainteresowania tematem, ten nic go nie obchodził, pragnął jedynie wniknąć głębiej w duszę tego nicponia.

- Niemniej, sir - ciągnął Quire - pewien jestem, że nie powstał ci nawet taki pomysł w głowie. Udowodniłeś to już, dostrzegając korzyści wynikające z pozostawienia Quire'a przy życiu. I to za wszelką cenę, jak się domyślam. Mam rację, sir? To ja jestem tym Cerberem, który nie pozwala diabłom i duszom potępionym uciec z Hadesu. Jestem tym, który gwarantuje pańskie bezpieczeństwo. Wdzięczność twoja jest nieproporcjonalna do mych zasług.

Montfallcon uznał, że Quire posunął się za daleko, zdradzając zresztą swoje prawdziwe myśli. Szlachcic od razu poczuł pewniejszy grunt pod nogami.

- A zatem mam do czynienia z wiernym psem, którego ukarano przez pomyłkę?

- Nazbyt surowo ukarano, mój panie. Mimo choroby, konstable sir Christophera umieścili mnie w najgorszej celi Marshalsea. Oczekiwałem, że lepsze spotka mnie traktowanie, skoro zgodziłem się na twój, panie, plan. Nie zachowano ponadto całkowitej tajemnicy co do mojej osoby...

- Otrzymałeś wolność, Quire. To moja nagroda.

- Dobrowolnie dar ten położyłem na szalę, nie uciekałem. Kapitan Quire to najlepszy twój sługa w Londynie, w całym Albionie, w Imperium. Jestem, jak wiesz, artystą, i nie ma dla mnie przeszkód.

- I to właśnie czyni cię niepewnym poddanym. Nie zawsze, ale jednak. Nazbyt jesteś inteligentny, jak do tej roboty, ze zbyt wysokich sfer się wywodzisz. Pobierałeś nauki w Cambridge i kariera powszechnie szanowanego teologa stała przed tobą otworem. Ale ty

porzuciłeś godne życie i nie wykorzystasteś sposobności.

- O wiele silniejsze, twórcze inklinacje pchnęły mnie do poznawania raczej moich zmysłów jak i geografii świata. Jedynym moim talentem jest, jak to mówią, zdolność czynienia zła, a w twojej, panie, służbie, jestem w stanie dalej prowadzić me studia. O wielu innych zajęciach myślałem, ale wszystkie wydawały mi się nieciekawe i bezsensowne. Z wieloma innymi profesjami się stykałem, a żadna nie wzbudziła mojego zainteresowania i sądzę, że wszystko, co robię w twojej, panie, służbie i tym samym w służbie Królowej, nie gorsze jest, a może i nawet lepsze, niż poczynania innych. Ostatecznie, z czym chyba zgodzisz się, panie, mogę ocenić dokładnie stopień wyrządzonego zła, o ile to w ogóle jest zło. Inni, jak uczeni, prawnicy, dworzanie, kupcy, żołnierze czy politycy, którzy są podporą naszego Królestwa, zdolni są tylko ciskać kamienie za siebie i nigdy nie mają dość odwagi, by obejrzeć się i sprawdzić, w kogo lub co trafili. Ja zaś patrzę moim ofiarom prosto w oczy, mój panie, i zawsze mówię im, co czynię, jak i przed samym sobą nigdy tego nie kryję.

Lord Montfallcon uspokoił się. Mowa Quire'a nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, zresztą sam Quire wcale tego nie oczekiwał. Wygłaszanie podobnych poglądów leżało w naturze tego człowieka, który podchodził do swego zawodu mordercy niczym natchniony poeta do poematu. Gdyby prosić zaczął o wybaczenie, gdyby przejawiał uniżoność, wówczas dopiero Montfallcon nabrałby podejrzeń. Cenił Quire'a właśnie za jego niecierpliwość i impertynencję, za odwagę i przebiegłość.

Pozostawiając więźnia przy kominku, Lord Kanclerz zasiadł za biurkiem.

- Rozczarowałeś mnie, Quire. Przykro mi rozczarowałeś, i to w chwili, gdy wszelkie dodatkowe kłopoty są mi szczególnie nie na rękę. Ale cóż, stało się.

- Tak, mój panie. King będzie musiał wyemigrować przez to morderstwo, czy jak kto woli za współudział w nim. Nieważne, czy miał z nim cokolwiek wspólnego.

- Mało kto wierzy w tego mordercę, a już na pewno nie sir Christopher. Wątpię też, by Saracenowie długo trwali w błędzie, szczególnie, gdy dostaną własne meldunki o zajściu.

Strzeż się, Quire, Saracenowie są mściwi.

- Zawsze mam się na baczności, sir. Jakie jest moje nowe zadanie?

- Udasz się na wybrzeże. Tam odegrasz rolę jednego z tych rabusiów, którzy naprowadzają statki na brzeg, a gdy ofiara już się rozbije, rzucają się na szczątki. Jutro, podczas wczesnego przyływu, zajmiesz się pewnym galeonem. Bez ofiar, jeśli to będzie możliwe.

Statek musi osiąść na piaszczystej mieliźnie u ujścia rzeki na wysokości Rye. Wysłałem już skiff, aby przechwycił pilota i podstawił w jego miejsce naszego człowieka. Skieruje statek do Rye pod pozorem, że Tamiza zamarzła.

- Dobry pomysł. Żadna jednostka pływająca nie może zawinąć do Londynu ni odpłynąć stąd nie ryzykując całości poszycia. Ale gdzie tu miejsce dla mnie? Pilot sam jest w stanie wypełnić zadanie.

- Niezupełnie. Dograsz szczegóły planu i przypilnujesz jego realizacji, potem wkroczysz. Szczegóły zostawiam twojej wyobraźni.

- Cieszę się, że nadal mi ufasz, panie.

- W takich sprawach, Quire, jesteś niezastąpiony. Pasażer tego galeonu o nazwie *Mikołaj Kopernik*, król Polski, musi wylądować na brzegu i zostać porwany przez bandę wyglądającą na zwykłych rabusiów czyhających na wraki, którzy traktować go będą jak zwykłego szlachcica. Ta część zadania wymaga niejakiej finezji. Jeśli mówi po angielsku, musi zostać przekonany, że został pomyłony z jakimś zamorskim dygnitarzem. Nie używaj szlachetnej mowy, chyba, że w ostatecznej potrzebie. Trzeba będzie potrzymać go przez jakiś czas. We właściwej chwili dam ci znać, kiedy i jak go uwolnić.

Quire wyglądał na rozbawionego.

- Król? Widzę, mój panie, że spotyka mnie wyróżnienie. Będę jednak potrzebował wszystkich moich ludzi.

- Czyli?

- Tinkler, Hogge, O'Bryan...

- Wciąż trzymasz tego bufona?

- W tym, czego odeń oczekuję, jest całkiem dobry. Ponadto ma za sobą dwa lata służby w polskim wojsku jako najemnik i może nam się przydać ze względu na znajomość języka.

Myślę jeszcze o Websterze...

- Nie! Ten łajdak związany jest z pewnym młodym mężczyzną z dworu i mógłby zostać potem rozpoznany.

- Kinsayder?

- Na nic. Żaden z tej bandy gryzipiórków i rzekomych dżentelmenów na nic się nie nada. Niektórzy z nich gotowi są sądzić, że reprezentują Królową, że znają dwór. Głupcy.

Tylko cień dworu im znajomy, pozór biorą za prawdę. - Montfallcon zmarszczył brwi. - Poza tym, skoro zamierzasz ciągnąć ze sobą taki kurnik, trzeba będzie liczyć się z plotkami.

- Może i kurnik, ale pełen walecznych kogutów, mój panie. Odważniejszych na dodatek, niż zwykli na dworze zawadiacy.

- I bardziej ambitnych, pełnych inwencji i inicjatywy. Tamtych ludzi zatrudniałem za czasów Króla Herna, ty zaś jesteś jedynym półkrwi dżentelmenem, który nie budzi we mnie wątpliwości, bowiem, w odróżnieniu od nich, nie nadużywasz grogu, nie posługujesz się ozdobną mową i nie łamiesz, jak oni, raz danego słowa. Ci głupcy czynią to aż nazbyt często, płacąc za każdym razem w jedynej walucie, której im nie zbywa: pomówieniach, skandalach, anegdotach.

- Wiem już, jak mam dobrać towarzystwo, panie. Potem zestawię listę i będę pamiętał o

twoich wskazówkach.

- Daj mi znać, gdy skończysz przygotowania.

- Niezawodnie, mój panie.

- Nie wtajemniczaj kompanów we wszystko. Niech wiedzą tyle tylko, ile będzie konieczne.

- Postaram się, ale cały ten plan jest osobliwy i pozbawiony subtelności.

- Na przygotowanie lepszego nie było czasu. Zależy nam na utrzymaniu przyjaźni króla Polski. Gdybyśmy użyli metod dyplomatycznych, wszystko z miejsca byłoby czytelne jak na dłoni, a tak desperacka akcja nie ściągnie żadnych podejrzeń na moją osobę.

- A co potem...?

- Jeśli dobrze wywiążesz się z roli, to nie będzie żadnych niepożądanych konsekwencji.

Quire pociągnął nosem.

- Ten kleptomani Rhoone wziął moją szpadę, a lepiej będzie, jeśli wymknę się pajęczymi drzwiami. - Naciągnął z powrotem kaptur.

Montfallcon zadzwonił brązowym dzwonkiem na lokaja.

- Clampe, poproś lorda Rhoone'a, by dał ci szpadę tego człowieka.

Montfallcon podszedł z powrotem do kominka.

- Cały ten spisek pasuje bardziej do czasów Króla Herna-powiedział Quire. - Miejmy nadzieję, że nikt już nie pamięta, jak kiedyś mu służyłeś. Bo ja na przykład...

- Ty byłeś dzieckiem, gdy Hern odebrał sobie życie.

- I nic nie pamiętam. Czyżbym wyraził się inaczej?

Montfallcon przyłożył palec do warg.

- Pomimo czterdziestoletniej różnicy wieku, obaj należymy do minionej epoki. Ironia

losu sprawiła, że to nam właśnie przypada w udziale walka o to, by owa mroczna przeszłość nie

powróciła.

- A na dodatek ja, łotr z łotrów, miłośnik dawnej sztuki życia, najwięcej czerpię korzyści z tego właśnie, że sprawiedliwość tego świata urosła w siłę, a cnoty stały się prawem.

- Jak długo ty chodzisz po ziemi, tak długo i ja jestem potrzebny - stwierdził kwaśno Montfallcon, wyciągając prawe ramię w kierunku Quire'a.

Łotr zastanowił się przez chwilę i potrząsnął głową.

- Wręcz przeciwnie. Dałoby się dowieść, że jak długo szlachetne umysły twego rodzaju znajdują się u steru władzy, tak długo ludzie mojego pokroju są niezbędni. Już Platon opisał, jakie niebezpieczeństwa niesie ze sobą okres rządów monarchy idealnego...

Zmieszany Montfallcon ze złością zmienił temat rozmowy.

- Niektóre drogi są obecnie nieprzejezdne. Mam nadzieję, że masz dobre konie, które nie ugrzęzną w śniegu.

- Będę musiał wynająć.

- Trzeba ci złota?

- Jasne.

Lokaj powrócił ze szpadą i Montfallcon zastygł z kluczem w dłoni. Quire postąpił krok i wziął broń z rąk służącego, podziękował i schował szpadę do pochwy.

Montfallcon poczekał, aż lokaj pokaże im plecy, i dopiero wtedy otworzył skrzynkę i odliczył złote monety.

- Pięć?

- Tak, to wystarczy by opłacić konie i ludzi.

Montfallcon wsunął złoto w niedbale wyciągniętą dłoń Quire'a.

- Wyjedziesz jeszcze dziś przed zmrokiem?

- Jak tylko wszystko będzie gotowe, a ja zjem coś i wreszcie się wykapię.

Obaj przeszli do drugiego, nie tak obszernego pomieszczenia, a potem do kolejnego, jeszcze mniejszego, gdzie za fotelem znajdowały się zamaskowane w drewnianej okładzinie ścian drzwi prowadzące pomiędzy mury: tajemne wyjście z pałacu, którego wyłączną znajomością mogli się pochwalić, a przynajmniej tak byli przekonani, tylko Quire, Tinkler i ich patron. Quire odsunął świeże pajęczyny ostrożnie, jakby były to delikatne koronki. Mruknął jeszcze coś na pożegnanie Montfallconowi i zagłębił się w ciemność. Ściągnął i odrzucił kaptur, założył sombrero oraz wynicował płaszcz, tak że jego postać widoczna była tylko jako czarna sylwetka. Przejście skąpo oświetlał czarny blask, zaś na podłogach, ścianach i białawoszarych niciach kłębiły się tysiące pajaków. Quire wyprostował się i ruszył przed siebie ostrożnie, by nie zgładzić zbyt wielu stawonogów ponad konieczność. Szklany tunel musiał kiedyś być oranżerią, bowiem gdzieniegdzie widniały jeszcze szczątki drewnianych i glinianych donic i przegniłe resztki gałęzi. Pokryty kurzem szklany dach został kiedyś przykryty jeszcze innym dachem i światło dobywało się do wnętrza przez odległe okna na końcu czegoś, co przypominało gigantyczną wozownię. Tunel zakręcał łagodnie, powietrze stawało się chłodniejsze a pająki coraz mniej liczne, aż w końcu Quire dotarł do starannie konserwowanych drzwi, przeszedł po zaśmieconej posadzce do muru, który musiał niegdyś być murem zewnętrznym prowadzącym do ogrodu. Przez dziurę wniknął w półmrok. Uczyniwszy kilka kroków po stopniach w dół, stanął na gołej ziemi. Zadrzał i ciasniej otulił się płaszczem docierając do kolejnego, wysokiego ogrodzenia. Nacisnąwszy ramieniem obrócił fragment muru, i wymaszerował chwiejnie w wysoki śnieg iskrzący się w blasku dnia. Zatrzasnął za sobą ceglane drzwi. Stał u stóp wyżółconego przez słońce i deszcze muru, przed nim zaś rozciągał się dawno zapomniany, zaniedbany i rozrośnięty dziko ozdobny ogród, którego granice wyznaczały teraz tylko śnieg i lód. Czarne gałęzie wyciągały się ku niebu, poobtłukiwane posągi spoglądały spod białych czap, niczym zamarznięci półbogowie jakichś cieplejszych

krain. Wobec tej bieli para oddechu Quire'a wydawała się ledwie szara. Stawiając wysoko nogi Quire brnął znajomą, choć niewidoczną teraz ścieżką pomiędzy kwadratami, kołami i prostokątami niegdyś kwiatnych rabat i zrujnowanych fontann. Skręciwszy w lewo, zbliżył się do jeszcze jednego muru okrytego wiecznie zielonymi bluszczami, przeskoczył niewielką, żelazną furtkę, kilkoma krokami przebył brukowaną podłogę wolnej od śniegu groty, docierając w końcu do większej bramy, którą otworzył wytrychem. Stał na wzgórzu, na które już dawno nie prowadziła żadna droga. Poczawszy głód, rzucił się biegiem w dół, ku linii topól wytyczających szlak oznaczony czarnymi koleinami. Wiatr nawiewał lekki śnieg, który przepływał jak wody płytkiej rzeki. Quire upadł, przetoczył się, zaklął, zachichotał i stanawszy na nogi doszedł do drzew. W ich cieniu przystanął, by złapać oddech. Mroźne powietrze tak boleśnie wtargnęło do płuc, że aż oparł się zeszywniałymi plecami o pień. Wzrokiem błądził po zadymionej sylwetce nieodległego już miasta. Ostatnią przeszkodę, ogrodzenie, pokonał powoli, nie obawiając się, że ktoś go ujrzy. Wylądował na nierównej drodze, pośliznął się na zamarznętej kałuży, i znów zerwał się do biegu.

Biegł poprzez śnieg przeskakując bruzdy. Wronie pióra na jego kapeluszu trzepotały na wietrze, płaszcz rozpościerał się niczym czarne płomienie. Droga opadała coraz bardziej stromo, aż doprowadziła go do murów Londynu. Przez niestrzeżone przejście wemknął się na porządnie utrzymane uliczki pomocnych dzielnic. Przystanął przy cieszącej się dobrą sławą pokaźnej gospodzie i podał odźwiernemu nazwisko i imię szanowanego uczonego, którego prace sprowadzały niegdyś Quire'a w pobliże Biblioteki Klasycznego Antyku, a który został zabity przez niego podczas sprzeczki na temat wątpliwej autentyczności historycznej postaci poety Justusa Lipsiusa. Od tej pory Quire bez przeszkód podszywał się pod owego mędrca. W gospodzie tej kapitan wykąpał się i zjadł obiad lepszy, niż mógłby dostać w szynkach, do których zwykle zaglądał. Potem wyszukał sobie i wynajął dobrego, czarnego ogiera. Mróz



ściskał coraz mocniej, ulice były zatem niemal puste, gdy Quire galopował na wschód, ku rzece, by powiedzieć oczekującemu w gospodzie Pod Koniem Morskim Tinklerowi, których ludzi ma ściągnąć jak najszybciej i gdzie ma się udać, by wynająć najlepsze rumaki. Tinkler, zarażony entuzjazmem szefa, z szelestem nowego odzienia pospieszył ku drzwiom i zniknął, Quire zaś, który dopijał małą miarkę gorącego rumu, już miał podążyć za nim, gdy drogę zagroziła mu mizerna postać Uttleya. Położył rękę na ramieniu kapitana i spojrzał na niego małymi oczami, ledwo widocznymi spomiędzy krost i obrzmiałych plam pokrywających twarz.

- Na zewnątrz czeka na pana nieprzyjaciel, sir. Przyczaił się tam, gdzie zostawił pan konia.

Quire podniósł głowę, by spojrzeć na ścienny zegar (dumę Uttleya) i stwierdził, że do spotkania ze swoimi ludźmi na drodze do Rye zostały mu jeszcze dwie godziny.

- Jakiś krewny tego Saracena?

- Młodzieniec, który twierdzi, że wyrządziłeś mu krzywdę, sir.

- Jak się nazywa?

- Nie powiedział. Jeśli chcesz, kapitanie, to każę stajennemu przeprowadzić twojego wierzchowca na tyły, tam...

Quire potrząsnął głową.

- To nie rozwiązanie. Nie przypominam sobie zresztą żadnego młodzieńca.

Zaciekawiony Quire podszedł do drzwi i wyszedł na zewnątrz. Oparł się o framugę i przyjrzał smukłej postaci chłopca, który z rozpalonymi oczami stał obok konia i trzymającego uzdę stajennego. Chłopak nosił kaftan z kapturem, nogawice z króliczych skórek i połatane buty, a w odzianej w rękawice dłoni ściskał około dwumetrowy drąg. Spod kaptura wymykały się kosmyki czarnych, lśniących włosów, rysy twarzy były ciemne, niemal cygańskie, a szerokie usta z wydatną dolną wargą oznaczały, jak ocenił to Quire, charakter szczery i

prostoduszny.

- O mnie chodzi? - uśmiechnął się Quire.

- Pan jest... Quire? - Chłopak oblał się rumieńcem zmieszany najwidoczniej, gdyż inaczej z pewnością wyobrażał sobie kapitana

- Tak, to ja, piękniśiu. Czym to niby cię skrzywdziłem?

- Jestem Phil Starling.

- Aha, syn kupca od garnków i stołków. Twój ojciec był kiedyś marynarzem. Dobry kompan. Przysłał cię po pieniądze? Zapewniam, że nie jestem nikomu nic winien, a szczególnie nie bywam dłużnikiem starych wilków morskich. Jeśli jednak uważasz, że powinienem powtórzyć mu to osobiście, to chętnie udam się z tobą...

- Wiesz panie o mnie więcej, niż ja o tobie. Przyszedłem w sprawie młodej damy, która niedawno skończyła czternastą wiosnę, a po dziewictwo której usiłowałaś niedawno wyciągnąć swe lubieżne dłonie, sir.

- Co? - Quire uniósł brwi.

- Chodzi o Alys Finch, służącą krawcowej pani Crown. Sierotę. Anioła. Nieskalany obraz dobra, który zamierzam poślubić, a który teraz otaczam opieką. - Starling podkreślał swoje słowa wymachując odruchowo kijem.

Quire opanował swój gniew.

- A jak niby zagroziłem tej dziewczicy? Gdzie niby położyłem te lubieżne dłonie? Ona sama zabierała moje rzeczy do cerowania i widziałem ją raz tylko czy dwa. Kto ci nagadał takich rzeczy!

- Sama powiedziała. Była bardzo zmieszana. - Chłopak zająknął się. - Ona nie kłamie.

- Niemniej zdarza się, że młode dziewczyny wiele pozorów biorą za prawdę, zaś ich wyobraźnia zdolna jest stworzyć najdziwniejsze obrazy. - Quire potarł brodę. - A to coś im się

zwidzi, a to coś im się objawi. Mało wiedzą o świecie i gotowe są nawet niewinne gesty interpretować jako napaść, zaś niejedną wulgarność uznać za przejaw cnoty. - Quire zaczął przemawiać przyjacielskim tonem. - A co takiego ci powiedziała, chłopcze?

- To właśnie. Była zdenerwowana i mówiła o pańskich lubieżnych rękach.

Quire podniósł dłonie na wysokość twarzy, jakby chciał się przyjrzeć rękawicom.

- Nie przypuszczam, bym to ja ją dotknął. Brała moje rzeczy do pocerowania. Czy byli tam jacyś inni goście? Może ktoś jeszcze dawał jej ubranie do naprawy?

- To był pan. To pan znany jest jako Książę Występku.

- Jak? - Quire roześmiał się. - Naprawdę? Kto mnie tak nazywa?

- Wszyscy w King's Beard.

- A ty im wierzysz, tym plotkarzom, którzy węszą tylko za wszelkimi skandalami? Nie cierpią mnie, ponieważ nie mieszam się z tym pospółstwem. Jestem tajemniczy i przez to nieustannie wiąże się moją postać z różnymi występkami. Nie słyszałeś nigdy o tym, że ludzie oskarżają zwykle innych o te czyny, których sami nie mają odwagi lub nie potrafią popełnić? Rzucają oszczerstwa na niewinnych.

- Słucham?

- Nawet ty, chłopcze, musiałeś się kiedyś z tym zetknąć. Powiedziano ci, że ten gość był szalony, a ty dopowiedziałeś sobie resztę. Czy nie było tak?

Obok przejechała skrzypiąca skórą i metalem kareta zaprzężona w dwie pary siwych koni. Okna miała zakryte, ale wokół rozszedł się zapach pieczonej kaczki i piżma; być może wewnątrz ucztowała jakaś bogata kurtyzana. Czarny ogier zarzucił zadem i chłopak został łagodnie popchnięty bliżej Quire'a.

- Dobry, mocny kij - powiedział Quire. - To dla mnie?

- A zatem przysięga pan, że nie dotknął Alys? - Starling wyraźnie nie wiedział już, co

myśleć.

- A powiedziała, że to uczyniłem?

- Mówiła, że kazał jej pan... że zmusił ją pan, by pokazała swoje...

Quire spojrzał srogo..

- Nie przypominam sobie, bym tknął ją choć palcem. - Quire ujął kij chłopca. - Ale

chciałbym wyjaśnić to do końca. Opowiedz mi wszystko dokładnie, a dojdziemy prawdy. Może przysiądziemy nad kwaterką? Bo widzisz, możliwe, że rzeczywiście mimowolnie uczyniłem jakiś gest, który ona odczytała opacznie.

Niemal przekonany już powagą Quire'a, Starling przytaknął.

- Możliwe. Nigdy nie oskarżyłbym fałszywie dżentelmena.

- To widać wyraźnie w twoich dużych oczach. Miły i uczciwy z ciebie chłopiec. Na swoje i innych nieszczęście jesteś również wrażliwy. Za szybko jednak najeżasz się przeciwko tym, którzy wcale na to nie zasługują. Twoja twarz wiele o tobie mówi. Nic dziwnego, że jesteś kochany, jest w tobie piękno, które rzadko spotyka się u młodych ludzi. - Quire niepostrzeżenie odebrał mu kij i oparł o ścianę. Po przyjacielsku objął chłopca ramieniem. - Byłbym szczęśliwy, mając takiego syna jak ty, miły Philu.

Ujęty do głębi gadaniną Quire'a Starling odprężył się i porzucił podejrzenia, tracąc tym samym wszelkie szansę wzięcia odwetu.

## **ROZDZIAŁ 6**

W KTÓRYM KRÓLOWA GLORIANA NIE USTAJE W SWYCH CIĄGLYCH I WCIAŻ  
BEZOWOCNYCH NOCNYCH POSZUKIWANIACH

Szkarłatne światło dwudziestu świec zawieszonych na chińską modłę wypełniało niewielką komnatę, a pomiędzy cieniami przechadzała się, tam i z powrotem, Królowa Gloriana. Zakładała ręce na piersiach, wspierała na biodrach, udach, zwieszała je i znów

splatała, zakrywała nimi twarz, obejmowała ramiona jakby obawiała się, że jej rozdygotane ciało wzbije się za chwilę w powietrze i odleci. Z rubinowej butli naląła do pucharu wina i zrzuciła szatę z podbitych jedwabiem wilczych skór. Oprócz płóciennej bielizny, zakrywającej ją od pasa do kolan, nie miała na sobie niczego więcej. Przeczesała błyszczącymi od złota długimi palcami kasztanowate włosy i podeszła do kominka. Mogło się wydawać, że składa modły, by nieznośne napięcie stopiło się w ciepłe ognia.

- Lucinda! - Jej głos przypominał krzyk.

Spomiędzy szkarłatnych poduch w rogu wyrzała śniada twarz dziecka.

- Nie. - Gloriana oznajmiła dziewczynce gestem, że może spać dalej. Nie miała sumienia męczyć jej więcej. :Poza tym nastrój czułości rozwiął się już i teraz Gloriana pożądała wrażeń, które byłyby bliższe pozorowi ostatecznego spełnienia. Przycisnęła pięść do brzucha. Z obudowy kominka ściągnęła klucz, odsunęła ciężkie draperie i otworzyła znajdujące się za nimi drzwi prowadzące do komnat jeszcze bardziej tajnych, niż ta, w której właśnie się znajdowała.

Oświetlone pochodniami niedługie schody zaprowadziły ją do asymetrycznej sali, gdzie sufit zwieszał się to wysoko, to nisko. Ściany ozdobione były wielkimi klejnotami niczym skały w jaskini, a gobeliny i freski ukazywały mroczne sceny tłumu ludzi oddających się antycznym biesiadom i rozkoszom. Nagie stopy zapadały się głęboko w miękkich dywanach. Na drugim końcu sali dwóch olbrzymów podniosło czujnie głowy. Jeden był albinosem z czerwonymi oczami i białymi włosami, drugi Murzynem czarnym jak smoła, poza tym jednak mógł uchodzić za identycznego bliźniaka albinosa. Obaj byli nadzy. Kupiec, który ich dostarczył, długo szukał takiej pary, aż w końcu na albinosa natrafił w Muskovy, a na Murzyna w Nubii. Pragnąc uzyskać zgodę na uprawianie handlu z Albionem, podarował ich Królowej. Obaj skłonili się, gotowi zadowolić Królową jak nieraz już to czynili, ale ona tylko

minęła ich, rzucając miłe słowo i pchnęła drzwi, przechodząc do następnego, mroczniejszego wnętrza wypełnionego wonią rozgrzanych ciał, krwi i piżma; tu zgromadzeni byli biczownicy Królowej, mężczyźni i kobiety, których jedyną radością i celem życia było ulegle znosić chłosty lub wymuszać batem uległość na innych. Gdy ich mijiała, niektórzy wciągali do niej ręce wspominając rozkosz, której doświadczyli za sprawą jej wprawnych dłoni, inni zaś wpatrywali się w Glorianę mając przed oczami poranione pośladki Królowej, słysząc wciąż, jak ich mocz spływa po jej nieskazitelnym ciele. Wołali za nią, ale ona dziś nie miała zamiaru być im posłuszna. Następny korytarz i jeszcze jeden chrobot klucza w zamku, a znalazła się pomiędzy swymi chłopcami i dziewczętami, uśmiechniętymi ale i niecierpliwymi. Szła dalej, mijając komnaty, z których witały ją szepty poddanych kochanków i kochanek. Coraz głośniej brzmiało w jej uszach powtarzane niby hymn lub pieśń pogrzebowa imię *Gloriana, Gloriana, Gloriana, Gloriana, Gloriana...*

- Ach!

Przechodziła obok zwierząt i tych, którzy żyli ze zwierzętami, mijiała lodowate piękno i zmysłową brzydotę; mężczyzn starych i młodych, nagich i przebranych w fantazyjne kostiumy; przechodziła przez łaźnie, gdzie czekała kąpiel w mleku, winie lub krwi; mijiała pnie katowskie, łoża i szubienice. Tu mieszkali ci, którzy sami pragnęli z nią zostać, bowiem Gloriana nie zatrzymywała nikogo wbrew jego woli. Mijiała młode dziewczyny i matrony; żłobki i gabinety lekarskie, szkoły i gimnazja, biblioteki i teatry; mijiała niewidomych, szalonych i całkiem obłąkanych, okaleczonych, niemych i głuchych; sunęła obok twarzy niewinnych i nabrzmiąłych żądzą, mijiała oblicza szczerze i obłudne, ciała szpetne i piękne, chude i tłuste, niezwykle i zwyczajne; nie zatrzymywała się też ani przy szlachcie, ani przy pospółstwie...  
*Gloriana, Gloriana, Gloriana...*

...orgie, bankiety, zabawy i tańce, muzycy, zespoły aktorów, gladiatorów i atletów; sale

puste i bez wyrazu, pokoje o wymyślnych kształtach, ciemne i tłoczne, pełne skarbów z całego świata, sale, przejścia, klasztory, pustelnie, rzeźby, malowidła...

*Gloriana, Gloriana!*

- Och! - Załkała zrywając się do biegu. - Ach!

Cisza. Rosłe, włochate postacie rozłożone leniwie całą gromadą wkoło sadzawki o ścianach z błękitnych i złotych kafelków spojrzwały na Glorianę. Wyczuły jej zapach, a Królowa podeszła i usiadła pomiędzy małpoludami. Minęła chwila, nim naprawdę ją zauważyły i z niejakim zainteresowaniem zaczęły ciągnąć ją za płaszcz z wilczych skór, burzyć włosy, wodzić łapami po jej ciele, obwąchiwać piersi i dłonie.

- Jestem Albionem - powiedziała z uśmiechem. - Jestem Gloriana.

Kudłacze zachrzękały słysząc znajomy dźwięk głosu, ale nie rozumiały niczego ani nie potrafiły powtarzać imion.

- Jestem Matką, Obrońcą, Boginią, Ideальnym Władcą.

Położyła się czując, jak szorstkie futro ociera się o jej skórę. Śmiała się, gdy włochate ręce penetrowały ją coraz śmieiej.

- Jestem najszlachetniejszą królową w historii! Najpotężniejszą imperatorką, jaką kiedykolwiek widział świat!

Westchnęła pod dotykiem chropowatych języków i palców docierających do najwrażliwszych miejsc. Tuliła z płaczem jednego, potem drugiego. Sięgnęła dłonią do ich podbrzuszy, aż chrząknięcia przybrały na sile, a pyski zaczęły się krzywić. Przeciągała się, skręcała ciało.

- Ach! - Uśmiechnęła się i jęknęła.

Małpoludy zaczęły przepychać się, by być jak najbliżej Gloriany. Objęła najbliższego i pociągnęła na siebie. Prychał i pojękiwał, ona zaś głaskała go po łbie i grzbiecie. Ledwie

poczuła, jak w nią wszedł. Ujęła jego biodra, swoje podając do przodu. Podnosiła się i opadała.

Zwierzę zadrżało, a Gloriana otworzyła oczy, by ujrzeć ponad sobą wyszczerzoną, oślinioną mordę wpatrującą się w nią bez wyrazu.

W chwilę później samiec stracił wszelkie nią zainteresowanie i razem z podobnie znudzonymi kompanami odszedł ku ścianie, by poszukać czegoś do jedzenia, zostawiając Królową Albionu siedzącą ze skrzyżowanymi nogami u brzegów basenu i wpatrującą się w nieruchomą powierzchnię brudnej wody.

## **ROZDZIAŁ 7**

### **W KTÓRYM KAPITAN QUIRE NAPROWADZA MIKOŁAJA KOPERNIKA NA MIELIZNĘ I PORYWA JEGO NAJWAŻNIEJSZEGO PASAŻERA**

Ze szczególną satysfakcją kapitan Quire obserwował ławicę chmur stopniowo przysłaniającą księżyc. Linia horyzontu zniknęła, a morze poczerniało. O'Bryan, irlandzki renegat siedzący wygodnie na coraz mniej żywotnym korpusie latarnika, wypatrzył już światła polskiego galeonu *Mikołaj Kopernik* i teraz spokojnie palił długą, glinianą fajkę, łowiąc przy tym wiatr.

- Za pół godziny wejdzie na mieliznę, kapitanie.

Latarnik jęknął. W jego plecach tkwił sztylet z kulką na rękojeści, własność O'Bryana.

- Na Jowisza, O'Bryan - mruknął Tinkler chuchając na okryte rękawiczkami dłonie. -

Wykończ wreszcie tego biedaka.

- A to niby czemu? - odparł przytomnie O'Bryan. Póki żyje, jest ciepły. Przy tak paskudnej pogodzie nie wolno zaniedbywać żadnej okazji, by się ogrzać. Na tym polega sztuka przetrwania, Tink.

Quire podniósł lunetę do oka. Wiatr wtargnął zaraz pod płaszcz zwiewając go z ramion.

Wcisnąwszy lunetę za pas, Quire złapał okrycie i założył zapinając pod szyją srebrną spinę,



której bardzo rzadko używał. Ponownie ujął lunetę i skierował na galeon. Wiatr przegiął rondo jego kapelusza do tyłu, splątał mu włosy niczym wodorosty i cisnął w twarz pianę przyboju.

- Idealna noc na załatwienie statku. - O'Bryan ponownie zapalił przygasłą fajkę i uniósł nieco siedzenie, by dać jeszcze parę razy zipnąć latarnikowi. O'Bryan nosił futrzany kapelusz skrojony na ukraińską modłę i futro sporządzone ze skóry jednego niedźwiedzia, którego przednie łapy przerobione zostały na pazurzaste rękawy, a łeb skrojony na kołnierz. Grubo ciosane rysy kwadratowej twarzy zdradzały, że O'Bryan często i obficie sięga po alkohol, a oczy mówiły o charakterze o wiele więcej niż uśmiech, czy pozostawiające wiele do życzenia maniery. Spojrzał na wieżę wznoszącą się ponad dwuizbowym domkiem latarnika. Paliło się tam czerwone światło ostrzegające statki, by nie próbowały wchodzić do kanału przed nadejściem poranka. Po bokach widniały dwie, teraz ciemne, latarnie, żółta i niebieska, wskazujące przy dobrej pogodzie, czy statki mijające kawałek lądu z latarnią winny wybrać prawy czy lewy szlak. Wysepka znajdowała się pośrodku piaszczystej łachy, a okoliczne wody obfitowały w niestałe głębie sąsiadujące z równie niestałymi płyciznami, których aktualna pozycja zależała od ruchów zaścielającego dno piasku.

Tinkler lustrował wzrokiem plażę, gdzie oczekiwała reszta kompanii pilnując koni, na których przyjechali tu podczas odpływu.

- Jeśli to potrwa dłużej niż pół godziny, to te łotry będą zbyt skostniałe, by zrobić swoje, i cały plan diabli wezmą.

- Ten plan nie może zawieść - powiedział Quire. - Głównie dlatego, że innego nie mamy.

- Czyste szaleństwo - mruknął O'Bryan. - Powinniśmy dostać dobrą cenę za polskiego szlachcica. Polacy są zamożni, w przeliczeniu na głowę bogatsi chyba nawet, niż mieszkańcy Albionu. Spędziłem kiedyś parę miesięcy w Gdańsku i widziałem tam więcej złota, niż przez

całe lata w Londynie. Mają jednak dziwne prawa stanowione przez pospólstwo i trudno jest tam wolnemu człowiekowi zarobić na godne życie. Chyba, że jest się żołnierzem i służy na wschodnich kresach, która to część Polski jest o wiele biedniejsza.

Quire postanowił nie przekazywać O'Bryanowi całej historii i zamierzał pozbyć się go w dowolny sposób, gdy tylko Irlandczyk przestanie być potrzebny. Uważał go za trudnego do utrzymania w karchach głupca, którego chciwość przerasta inteligencję.

- Nim minie miesiąc, wszyscy będziemy bogaci, O'Bryan. Twoim zadaniem będzie przekazać wiadomość do Polski.

O'Bryan nie miał nic przeciwko temu, szczególnie, że Quire już wcześniej okazał swą szczodrość. Irlandczyk ogrzewał palce nad cybuchem fajki, co pewien czas wymierzając obcasem kopniaka w żebra swej ofiary ruchem podobnym, jak inni rozniecają przygasające polana ogniska.

Quire raz jeszcze przyjrzał się statkowi i wydało mu się, że słyszy odległy dźwięk trąbki sygnałowej. Statek zbaczał gwałtownie z kursu znoszony silnym prądem przyływu. Quire dostrzegł sylwetkę pilota naradzającego się z kapitanem i wskazującego w ich kierunku. Na wzniesionym, rufowym pokładzie stała niedbale ubrana postać, którą Quire skłonny był uznać za króla Polski.

Tinkler wziął sygnałówkę i odpowiedział statkowi, Quire zaś wspiął się na wieżę i dmuchnięciem zgasił czerwoną lampę. Zaintrygowany dźwiękiem król spojrział na brzeg, Quire zaś zdrętwiałymi palcami zapalił najpierw duży zielony, a potem lewy, niebieski sygnał, który miał naprowadzić statek na mieliznę dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie oczekiwali jego ludzie. Teraz widział już *Mikołaja Kopernika* gołym okiem. Większość żagli była zrefowana, a wiosłarze usiłowali przewyciężyć unoszący statek prąd. Minęło jeszcze kilka chwil, zanim sygnał został odczytany, a potem, ku uldze Quire'a, galeon skierował się pewnie i bez wahań

dokładnie w pożądanym kierunku. Quire szybko ześliznął się z wieży, klepnął O'Bryana w ramię, mrugnął na Tinklera i pobrzękując ostrogami pobiegł plażą, by oczekiwać nadpływającej zdobyczy.

- Już płynie, chłopaki! - Zatrzymał się, by podnieść zwinięte cholewy wysokich butów i zawiązał je mocno na udach. Wiatr potargał jego ludzi, którzy przypominali teraz wiedźmy podczas sabatu, a kropelki wody tworzyły aureole wokół końskich grzyw. W dali fale załamywały się na mokrym piasku lub rozbijały na kamieniach, wiatr niósł osiadającą na wargach sól. Quire nie lubił morza; było dla niego za duże.

- Strzelamy, kapitanie? - spytał jeden z rozkudłanych spod płaszcza, którym się omotał.

- Po to wzięliśmy broń, Hogge. Zależy nam na hałasie. Kłopotliwą stroną takiego rozboju jest fakt, że jak długo nie obwieścisz swojej obecności niczym przekupień na jarmarku, tak długo nie zostaniesz zauważony, a dopóki nie zostaniesz zauważony, nikt nie będzie się ciebie bał. Nie przestraszeni zaś, mogą sobie pójść stąd lub odpłynąć nie zauważając nawet naszej bandy. - Quire wygłaszał tę kwestię z wyraźną przyjemnością, ale jego ludzie rozumieli tylko tyle, że nie mają pojęcia, o czym ich przywódca mówi. - Wystrzelicie w powietrze, bo przecież nie chcemy, aby nasza zdobycz zarobiła kulę w łeb, i będziecie strzelać tak długo, aż nasz gość dołączy do nas. Powiedziałem wam już, kogo macie wypatrywać.

O'Bryan zszedł na sztywnych nogach z wydm, podrapał się w pośladek i pierdnął. Z kieszeni futra wyciągnął dwa bandolety i podsunął je sobie pod nos, by sprawdzić zaniki.

- Ostrożnie z tym, O'Bryan. - Quire poklepał Irlandczyka po przedramieniu. - Jeśli wypalisz za wcześnie, ci ze statku mogą uznać, że atakuje ich regularne wojsko i oddać salwę burtową, a wtedy z wysepki zostałby tylko przemielony piasek.

O'Bryan uznał, że kapitan wygłosił komplement pod adresem jego broni, więc roześmiał się głośno.

Quire zauważył, że w szum przyboju wkradł się jakiś obcy dźwięk i odwrócił się szybko. Światła *Mikołaja Kopernika* tańczyły jak szalone, podczas gdy kil grzął coraz głębiej w piasku, a wiosła trzaskały jedno po drugim. Wiatr huczał wokół wielkiego statku niczym organy, a krzyki i jęki dochodzące z pokładu przypominały z tej odległości zawodzenie mew. Quire i Tinkler ruszyli z kopyta w kierunku galeonu.

Kadłub statku pochylony był wyraźnie na prawą burtę, wsparty zapewne na połamanych wiosłach niczym cielsko monstrualnej, rannej langusty. Wiatr wypełniał żagle poruszając okrętem, który tym bardziej przypominał wyrzuconego na brzeg, bezradnego potwora morskiego. Z pokładu dobiegały odgłosy przerażenia, bólu i niepokoju. Najbardziej poszkodowani byli bez wątpienia wiosłarze; ich jęki i krzyki wplatały się w ponurą melodię wiatru.

Gdy Polacy byli już blisko, Tinkler wzdrygnął się.

- Uff! Zupełnie jak przybycie anioła śmierci. Pewien jesteś, kapitanie, że nie pomyliliśmy oczekiwanego galeonu z jakimś statkiem-widmem? Te wody pochłonęły wiele jednostek...

Quire zignorował go i wskazał na ozdobne schody wbudowane w burtę statku.

- Tędy wejdziemy. Pospiesz się, Tinkler, musimy skorzystać z zamieszania.

Przy samym kadłubie, gdzie woda sięgała im do kolan, pochyliwszy głowy przeszli pod połamanymi kikutami potężnych wiosł. Pokład znajdował się wyżej, niż z daleka im się wydawało. Woda kotłowała się wirami wkoło butów Quire'a, jakby chciała powyginać mu ostrogi. Skrzypiący i pojękujący statek przechylił się nagle jeszcze bardziej i przez chwilę Quire sądził, że zaraz zostaną zgnieci. Na szczęście kadłub znieruchomiał, a schody znalazły się trochę niżej.

- Wskakuj mi na ramiona, Tink. - Quire pochylił się i uniósł łapiącego równowagę

kompana. Tinkler sięgnął do relingu schodni, chybił, wyciągnął ręce jeszcze wyżej i tym razem dłonie znalazły oparcie. Wciągnął się na najniższy stopień i zwiesił się zaraz, by Quire mógł, podskoczywszy, uchwycić jego ręce i wdrapać się na górę. Wielki statek znów się poruszył. Z góry dolatywały rozkazy wypowiedane w zupełnie dla Quire'a obcym języku i wiele wskazywało na to, że wkrótce uda się oficerom zaprowadzić niepożądaną dla napastników dyscyplinę. Szczęśliwie w tej właśnie chwili O'Bryan i Hogge rozpoczęli kanonadę i kto żyw rzucił się na dziób sprawdzić, co się dzieje. Przycisnąwszy plecy do burty, Quire i Tinkler weszli po pochyłych stopniach na górę. Dopiero tam mogli stanąć pewniej i rozejrzeć się wkoło - pokład zasłany był ciałami ludzi, których wstrząs zrzucił z rej; marynarze z połamanymi rękami, nogami i żebrami znaleźli już opiekę współtowarzyszy. W blasku przenoszonych z miejsca na miejsce latarni Quire dostrzegł kapitana pogrążonego w rozmowie z pilotem, który potrząsał głową udając zapewne zaskoczenie lub zarzekając się, że działał w dobrej wierze (Quire nie wiedział, na ile Montfallcon wtajemniczył pilota w cały plan). Usiłował dojrzeć, czy król znajduje się nadal na pokładzie rufowym, ale było zbyt ciemno. Z Tinklerem za plecami pokonał kilka ostatnich stopni i postawił nogę na pokładzie. Zaraz też, niczym dwa czarne cienie, ruszyli w kierunku rufy. Nad nimi łopotały żagle wybielone blaskiem księżyca wyglądającego z wolna zza cieńszych teraz chmur; spośród wielu mijających ich marynarzy tylko kilku spojrzało ze zdziwieniem. Zatrzymani zostali dopiero przez zdecydowany głos, tuż przed samą rufową nadbudówką. Quire podniósł latarnię i ujrzał oblicze uzbrojonego muszkietem.

- Przyszliśmy z brzegu. Chcemy pomóc. Widzieliśmy katastrofę.

Muszkietier potrząsnął głową, a Quire roześmiał się przyjacielsko, klepnął muszkietera w ramię i minął go przechodząc dalej. W chwilę później ujrzał króla Polski siedzącego przy relingu. Monarcha był wyraźnie zdezorientowany i zakłopotany. Nad nim pochylał się z

przejęciem jakiś siwobrody szlachcic.

- Przysłano mnie - powiedział Quire tonem człowieka strudzonego - bym zadbał o bezpieczeństwo pewnego dżentelmena. Czy ktoś mógłby tłumaczyć moje słowa?

Stary, owinięty w sobole szlachcic podniósł głowę.

- Ja znam twoją mowę, sir - powiedział, gardłowo wymawiając pojedyncze wyrazy. -

Jesteście z brzegu? Co się stało? Słyszę strzały. - Zamrugął w sposób charakterystyczny dla krótkowidza.

- Wpadliście na mieliznę, sir. Kadłub został uszkodzony. Jeśli szybko nie opuścicie statku, wszystkim wam grozi zagłada.

To ostatnie było, rzecz jasna, kłamstwem.

- To co mamy zrobić? - Szlachcic wpatrywał się w Quire'a. - Kim waść jesteś?

- Kapitan Fletcher ze Straży Ochrony Wybrzeża, sir. Te strzały, które słyszeliście, oznaczały odparcie ataku rabusiów, którzy zbiegli się do wraku jak kruki do padliny. Mielście szczęście, że byliśmy blisko. Zbierajmy się. Gdzie kobiety i dzieci?

- Nie ma tu żadnych.

- Ten pasażer wygląda na dostojnika.

- Bo i w rzeczy samej jest dostojnikiem.

- A zatem bierzemy go na ląd. I ciebie też, panie. Jeszcze ktoś?

- Przede wszystkim tego dżentelmena, ja nie jestem taki ważny. Poza tym są kosztowności. W kabinie. Trzeba je uratować. To podarunki...

- Tym możemy zająć się później, sir, ratowanie życia jest ważniejsze - powiedział Quire tonem reprimendy.

- Ale to bardzo ważne. Pomóżcie Jego... temu dżentelmenowi dostać się na brzeg. Ja zadbam o kosztowności.

Siwobrody powiedział coś królowi, który uśmiechnął się słabo.

Quire zmarszczył brwi, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał, potem skinął głową.

- Jeśli uważacie, że tak będzie lepiej, to niech będzie. Porucznik pójdzie z panem. -

Wyciągnął rękę, by pomóc królowi. Ten najpierw spojrzał na niego nie rozumiejąc o co chodzi, potem przyjął pomoc. - Proszę wstać, szlachetny panie.

Król niepewnie przybrał postawę pionową, a Quire doprowadził go do zejściówki i pomógł pokonać stopnie.

- Ostrożnie, sir.

- Jestem panu nader zobowiązany - odezwał się król w szlachetnej mowie, która na całym świecie była oficjalnym językiem dyplomacji, ale Quire konsekwentnie udawał ignoranta.

- Przykro mi, sir, ale nie rozumiem pana.

Znaleźli się na pokładzie i powoli skierowali się do schodni. Statek zadrżał silnie ciskając Quire'a na reling. Nuta wiatru zmieniła się, nabrała ostrości, księżyc zniknął, a woda kłębiła się wokół uszkodzonego kadłuba. Quire brnął niemal niosąc króla, który nieustannie mruczał słowa podziękowań i bez protestów dał się sprowadzić na dół. Na pokładzie tymczasem pojawił się Tinkler z tobołkiem w ręku. Stary szlachcic zagrzewał za jego plecami załogę, by podążyła w ślady Quire'a.

:- Ostrożnie, sir. Powoli. - Pomógł powolnemu królowi stanąć w płytkiej wodzie. -

Tędy. - Wziął monarchę za rękę i pociągnął za sobą. Tinkler zeskoczył ze schodni, ale stary szlachcic został na ostatnim stopniu, wciąż wzywając swoich ludzi.

Towarzystwo wyszło z wody i brnęło przez piasek, gdy w polu widzenia pojawił się

O'Bryan i reszta.

- Zmykamy, O'Bryan! - krzyknął Quire. - Zatrzymaj marynarzy, Tink. Spotkamy się w młynie.

O'Bryan wyciągnął rękę do króla i podprowadził go do zapasowego konia.

- Proszę wsiadać, mój panie.

Król zaśmiał się i potrząsnął głową. O'Bryan powiedział mu jeszcze coś po polsku i król znów się roześmiał, po czym bez sprzeciwów wdrapał się na gniadosza. Quire dosiadł już swojego karego i trzymał wodze królewskiego wierzchowca, podczas gdy O'Bryan zajmował miejsce w siodle. Słyszał, jak Tinkler wydaje rozkaz powstrzymania nadbiegających w poszukiwaniu cennego pasażera marynarzy. Dziesiątka łotrów, którymi dowodził Tinkler, wypaliła z muszkietów i pistoletów ścinając z nóg pierwszy szereg.

Król wykrzyknął jakieś pytanie do O'Bryana, który, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, odpowiedział, że po wybrzeżu włóczy się wiele band trudniących się łupieniem rozbitych statków i że straż właśnie odpędza napastników.

Dopiero gdy galopowali przez płycizny oddzielające wyspę od stałego lądu, monarcha zaczął głośno wyrażać sprzeciw i spróbował ściągnąć cugle. - O co mu chodzi, O'Bryan? - spytał Quire przekrzykując wiatr.

- Mówi, że niepokoi się o swoich ludzi i że powinien z nimi zostać.

- To szlachetnie z jego strony. Powiedz mu, że nadchodzi przyływ, więc musimy jak najszybciej dostać się na stały ląd, i że nasi ludzie zadbają o bezpieczeństwo załogi i o całą resztę.

O'Bryan powoli przetłumaczył to królowi, który odpowiedział coś, najwyraźniej nie do końca jeszcze przekonany.

- Co tym razem, O'Bryan?

- Mówi, że według niego to właśnie zaczyna się odpływ.



- W rzeczy samej! - skrzywił się Quire. Gdyby nie odpływ, nigdy nie byłoby w stanie przedostać się przez płycizny wierzchem. - Spostrzegawczy gość. Powiedz, że tylko mu się tak zdaje i daj do zrozumienia, że należy się spieszyć!

Zimny wiatr zaatakował ich z taką siłą, że aż konie zachwiały się na nogach.

- Jedźmy, na Mitrę! - wrzasnął Quire.

Za ich plecami gruchnęła następna salwa. Król usiłował zawrócić gnidosza.

- O słodka Ariadno! - jęknął Quire, podjeżdżając bliżej i ściągając królowi czapkę. Z olstra wyjął bandolet i podczas gdy monarcha usiłował odwrócić się i sprawdzić, co się dzieje, uderzył go rękojeścią pistoletu w podstawę wygolonej czaszki. Złapał bezwładne ciało, nim zsunęło się z siodła, i ułożył na łęku ubezpieczając cuglami przed spadnięciem, po czym ujął uzdę i poprowadził królewskiego konia. O'Bryan wypalił z jednego ze swoich pistoletów, najwyraźniej bez specjalnego celu, i pomachał drugim. Byli już prawie na porośniętych trawą wydmach; pokrywa śniegu jednoznacznie wskazywała, że zostawili już za sobą zalewane podczas przyływu płycizny i że wkrótce znajdą się w głębi lądu.

Nie ustawali w galopie na wschód. Za sobą ujrzeli jeszcze jakieś rozbłyski, usłyszeli kilka strzałów i krzyki. O ile mogli się domyślać, Tinkler nie napotkał większych problemów i jego ludzie dosiadali już zapewne koni, zostawiając *Mikołaja Kopernika* i jego załogę na łaskę losu. Pomoc mogła nadejść dopiero wtedy, gdy nowina o wejściu galeonu na mieliznę dobiegnie do Rye, w wtedy cała kompania z królem, a jeśli szczęście dopisało, to i z królewskimi skarbami, będzie już daleko, w drodze do Londynu.

Podczas jazdy Quire nagle zaczął wydawać dziwne, urywane dźwięki, coś pomiędzy skamleniem wilka a krakaniem kruka, i O'Bryan zdążył poważnie się zaniepokoić nim odkrył, że Quire po prostu się śmieje.

\* \* \*

Kilka godzin później przemoczony i zszargany Tinkler, którego samotny, poczerwiał kiel szczękał zgodnie z jeszcze jednym, mniej widocznym zębem, pojawił się u stóp wiatraka wyznaczonego na miejsce spotkania. Między nogami a łękiem jeździec ścisnął pokaźny węzełek, jego oczy lśniły szkliście jak pokryte lodem, a na twarzy dominował kolor siny. Wiatrak rysował się czernią na tle porannego nieba, jego skrzydła skrzypiały na usiłującym je poruszyć wietrze. Koń przeszedł kałuże przy ogrodzeniu krusząc pokrywą lodu i łamiąc zastygłe na mrozie źdźbła trawy. Krajobraz trwał wyprany z kolorów i Tinklerowi wydało się, że wszystko, czego nie okrywa biel, jest idealnie czarne, nawet pochylona sylwetka Quire'a siedzącego przed młynem przy małym ognisku. Tinkler zawołał i zaraz przeraził się siłą swojego głosu, który wydobył się spomiędzy spierzchniętych warg, strasząc dziką gęś, która gdzieś w pobliżu zerwała się z łopotem do lotu.

- Quire!

Kapitan podniósł głowę i pomachał przyjaźnie. Na jego kolanach leżał jakiś oskubany ptak.

Tinkler przejechał przez mały, rozpadający się mostek przerzucony ponad zamarzniętym strumieniem.

- Gdzie nasz podopieczny?

- Wewnątrz. Śpi związany.

- A O'Bryan?

Nożem, którym opraciał gęś, Quire wskazał na toból, na którym siedział. Ten zaś poruszył się i jęknął; spomiędzy futer wyrzały umęczone, nabiegłe krwią oczy.

- Wykonał już pierwsze swe zadanie i porozumiał się z naszym więźniem. Teraz wykonuje drugie, które sam zresztą zasugerował: grzeje mnie pracowicie od ponad dwóch godzin, podczas gdy ogień się rozpala.

O'Bryan otworzył usta i jęknął ponownie. Spomiędzy jego zaciśniętych zębów wypływała krew. Quire zebrał niespiesznie trochę gęsich piór i wepchnął je w usta O'Bryana, by krew nie ściekała na niedźwiedzie futro i nie zniszczyła włosów. O'Bryan targnął się, najwyraźniej oczekując od Tinklera pomocy, ale ten odwrócił wzrok i wszedł do młyna zauważając tylko kątem oka trzy sztylety umieszczone w starannie wybranych miejscach wygiętych pleców O'Bryana.

- Co robimy dalej? - spytał Tinkler patrząc na związanego króla Polski chrapiącego na słomie trzeciej świeżości. Sam usiadł na odłamany kawałku kamienia młyńskiego i zaczął rozwiązywać tobołek.

- Montfallcon wyśle pościg dla pozorów, a tymczasem Hogge doręczy jednemu z polskich kupców w Londynie notkę wyjaśniającą, że nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, kogo porywamy i ostatecznie, po sporym zamieszaniu, szlachetny gość zostanie odnaleziony cały i zdrowy, a razem z nim niemal wszystkie jego kosztowności - Quire przemawiał przez ramię do Tinklera, który wyciągnął właśnie złotą figurynkę i oglądał ją w strumieniu światła wpadającego przez dziurawy dach. - Niemal wszystkie, Tinkler, a to znaczy, że możemy wziąć naprawdę niewiele. Gdyby złapano nas z większą ilością precjozów, wówczas z pewnością by nas powieszono. Nawet, jeśli wymagałoby to zmiany prawa. Montfallcon nie mógłby palcem kiwnąć w naszej obronie, nie próbowałby nawet sprzeciwić się Polsce żądającej naszych głów. Cały skarb, no, prawie cały, musi odnaleźć się razem z właścicielem.

Tinkler schował złoto i położył tłumoczek w rogu.

- A kiedy to nastąpi, kapitanie? - Podrapał się w chroniące jedyny kiel dziaśło.

- Krótco przed Dwunastą Nocą, Tink. Król ma dotrzeć na dwór w czasie balu maskowego, wówczas bowiem zginie w tłumie dygnitarzy i książąt. Wszelkie jego żale i pretensje zabrzmiały wtedy słabo. Zresztą, bardziej będzie skłonny winić siebie i swoich ludzi za

całe zdarzenie, niż Albion czy Glorianę. A o to przecież chodzi.

Tinkler nie słuchał już. Przeszedł ponad głową O'Bryana i przyglądał się dłoniom

Quire'a kończącym oprawiać drób.

- Jak długo pieką się gęsi, kapitanie? - zapytał, po czym sięgnął głodnymi palcami i uszczypnął ptaka.

## **ROZDZIAŁ 8**

### **W KTÓRYM BŁĄDZĄCA W MURACH WARIATKA OBSERWUJE KRZĄTANINĘ W KOMNATACH ZEWNĘTRZNEGO PAŁACU**

Leżąc płasko, z twarzą przyciśniętą do kraty wywietrznika znajdującego się przypadkiem dokładnie naprzeciwko otworu, którego w wigilię Nowego Roku użył Jephraim Tallow, wariatka wpatrywała się we wnętrze sali biesiadnej, a uszy jej łowiły słodki śpiew chóru zabawiającego uczującą szlachtę. Jak zwykle była zagłodzona, ale nie odczuwała łaknienia. Szczupłe palce zaciskały się na kracie, od czasu do czasu rozdrapując szarą skórę długiego ciała, a robactwo bez przeszkód grasowało wśród jej łachmanów. Na brudnej twarzy malował się seraficzny uśmiech. Widok jedzącej szlachty i piękna muzyka napełniały ją takim szczęściem, że musiała tłumić narastający w gardle krzyk. Podano już słodycze i przystawki, a wyniesienie dzbanów z winem jednoznacznie dawało do zrozumienia, że uczta dobiega końca. Jak widz, który żałuje, że kończy się już jego ulubione przedstawienie, tak i ona pragnęła siłą woli skłonić biesiadników do pozostania, ale biesiadnicy wstawali jeden po drugim, zegnali się ceremonialnie z siwym szlachcicem siedzącym u szczytu stołu i wychodzili, by zająć się własnymi sprawami.

Wariatka skupiła całą uwagę na dwóch, którzy zostali. Jednym z nich był arabski ambasador, drugim tenże szlachcic uznawany przez wariatkę za jej ulubionego bohatera, a którego imię znała nie gorzej, niż cały niemal dwór.

- Montfallcon - wyszeptala. - Najbardziej zaufany ze wszystkich doradców Królowej.

Jej prawa ręką. Nie-przekupny, mądry Montfallcon!

Chór skończył i śpiewacy zaczęli wychodzić z sali. Teraz wariatka wyraźnie słyszała rozmowę toczoną pomiędzy Montfallconem a dumnym, śniadym mężczyzną odzianym w obszywany biały jedwab, ze złocistymi plecionymi sznurami owiniętymi wokół głowy, nadgarstków, szyi i pasa.

- ...mój pan ożeniony z Królową? To oznacza bezpieczeństwo dla nas obu i po wsze czasy. Taki alians! - dobiegła ją końcówka kwestii Maura.

- I tak już jesteśmy sojusznikami - uśmiechnął się lekko Montfallcon. - Arabia jest przyjacielem Albionu.

- I ochrona Albionu powstrzymuje Arabię przed ekspansją. Jesteśmy ludźmi sfrustrowanymi przez wybujałą ambicję, jak dzieci, które dorosły, ale ich rodzice wciąż tej dorosłości nie zauważają.

Montfallcon roześmiał się głośno.

- Daj spokój, lordzie Shahryar. Nie bierz mnie za głupszego, niż jestem, ani sam takiego nie udawaj. Arabia chroniona jest przez Albion, bowiem sama nigdy by nie dała rady powstrzymać naporu Imperium Tatarskiego. Nie dzieli sojuszy z Polską, bowiem kraj ten, choć na równi boi się Tatarii, ma jednak nadzieję, że ta zostawi go w spokoju i zajmie się raczej Arabią, która jest słabsza. Z drugiej zaś strony...

- Zaznaczyć muszę, panie, że Arabia nie jest już słaba.

- Oczywiście, że nie. Ma wsparcie Albionu.

- Dodam jeszcze, że Imperium Tatarskie nie jest niezwyciężone.

- Gloriana nie wywoła wojny, o ile bezpieczeństwo Królestwa nie zostanie zagrożone.

Walczyć będziemy jedynie zaatakowani. Tataria wie o tym i dlatego wstrzymuje swą agresję.

Królowa ma nadzieję, że taka polityka wykształci ostatecznie nowe zwyczaje wśród społeczeństw świata i skończy się rozwiązywanie wszelkich konfliktów za pomocą wojny.

Marzy jej się wspólnota, liga państw...

Ton głosu lorda Montfallcona zdradza jego prawdziwe myśli - uśmiechnął się do siebie lord Shahryar. Podobnie jak ja, nie wierzy on w ten kobiecy pacyfizm. - Owszem, należy podziwiać, gdy takie tęsknoty pojawiają się w niewieściej duszy-powiedział - ale należy dążyć do zachowania równowagi pomiędzy pierwiastkiem męskim i żeńskim. Tej równowagi tu brakuje. Na tronie powinien zasiąść mężczyzna równie silny jak Królowa, ale silny na męski sposób. Mój pan, Wielki Kalif, jest odpowiednim człowiekiem...

- Jednak Królowa nie chce wychodzić za mąż. Uważa taki związek za zbyt ciężki, a i tak ma już dość obowiązków.

- Kogoś innego ma na oku?

- Nie, nikogo. Żywi, oczywiście, wdzięczność za uczucia, którymi obdarza ją Wielki Kalif..

Lord Shahryar przeczesał brodę.

- Teraz ja muszę przypomnieć lordowskiej mości o mej inteligencji. To, co powiedziałem na temat potrzeb Królowej, miało również znaczenie dosłowne. Jesteśmy pełni troski o jej osobę.

- A zatem myślimy podobnie. Jeśli zaś żywicie do niej taki szacunek, jak ja, wówczas gotowi jesteście najpewniej uszanować jej życzenie, podporządkować się takim a nie innym decyzjom, jak ja to czynię.

- Nigdy nie robisz niczego bez jej aprobaty?

- Ona jest moją Królową, Albionem, królestwem. - Lord Montfallcon uniósł wyżej głowę. - Jest prawem.

- Nie zawsze skutecznym.

- Słucham?

- Mówię o waszych prawach. Wydaje się, że czasem zawodzą i winni niekiedy uchodzą kary.

- Nie rozumiem.

- Gdy wsiadałem na statek w Ben Gahshi, doszła mnie wieść, że mój krewniak, Ibram, został zabity w Londynie. Przybyłem, by dowiedzieć się więcej o jego śmierci, o zabójstwie właściwie i wiem już, że jego morderca chodzi wolno.

- King? Zostanie wywieziony w przyszłym tygodniu.

- W sprawę był zamieszany jeszcze ktoś. Mężczyzna, który wyzwiał Ibrama na pojedynek. Słyszałem, że poręczyłeś za niego, panie.

- Owszem, jednak był on wówczas w mojej służbie i nie mógł wziąć udziału w całej awanturze, a otaczająca go sława zabijaki nic tu nie zmienia.

- A zatem jesteś całkowicie przekonany o niewinności twego sługi? - Lord Shahryar spojrział ostro na Montfallcona. - Noszącego się na czarno szermierza, twojego szpiega...

- Quire miałby być szpiegiem? Bywa tylko wysłannikiem Królowej, nikim więcej.

- A zatem nazywa się Quire - skinął głową lord Shahryar. - Zapomniałem jego imienia.

Znany jest ze świetnej szermierki. - Nie sądzisz, panie, że w jakiś przebiegły sposób mógł skłonić mego krewniaka do pojedynku, aby go obrabować?

- Dobrze znam Quire'a. Nigdy nie marnowałby czasu na tak liche podstępny. Jest zbyt dumny na to.

- Dajesz zatem, panie, słowo, że twój kapitan Quire w żaden sposób nie mógł zabić mego krewniaka?

- Tak, lordzie Shahryar. - Lord Montfallcon spoglądał bez mrugnięcia powieką wprost

w oczy Araba.

- Czy mógłbym ewentualnie porozmawiać z nim? Nie dlatego, bym ci nie wierzył, ale po to, by uspokoić moje sumienie - spytał spokojnie lord Shahryar.

- Wysłałem go z kolejną misją i w tej chwili nie ma go w Londynie.

- Gdzie zatem jest?

- Pomaga rozwiązać problem związany z wizytą króla Polski. Tyle plotek krąży po dworze, czyżbyś nie słyszał o tej sprawie?

- Że król Kazimierz porwany został dla okupu przez łotrów z wybrzeża? Tak, słyszałem. Jak sądzisz, panie, czy on jeszcze żyje?

- Polscy kupcy otrzymali wiadomość od porywaczy, którzy nie podejrzewają nawet, kogo mają w rękach. Biorą go za zwykłego arystokratę.

- Cóż, mam nadzieję, że będzie miał większe szczęście do sprawiedliwości Albionu niż mój krewniak. - Saracen wstał. - Mam wrażenie, że Albion staje się krajem bezprawia, w którym bandy rzezimieszków i morderców chadzają sobie wedle upodobania, zabijając szlachtę i porywając królów...

- A czy w twojej ojczyźnie nikt nie popełnia morderstw, mój panie?

- Czasem się zdarzają...

- A przecież w czasach, gdy Albion nie objął was jeszcze swym protektoratem i nie dał wam swych praw, podobnych przestępstw zdarzało się o wiele więcej.

- Ale wtedy na tronie Albionu zasiadał Król Hern - zaznaczył lord Shahryar. - Tylko mężczyzna może właściwie sprawować rządy.

- Królowa jest najlepszym władcą, jakim kiedykolwiek Albion mógł się poszczycić. Świat zazdrości nam naszej monarchini.

- Która, jak każda matka, jest czasem nazbyt pobłażliwa wobec swoich dzieci. Nie



dostrzega w ten sposób ich przewinień, ani też występków tych, którzy podszywając się pod przyjaźń, stają się dla jej dzieci zagrożeniem. Mając u boku dobrego, surowego męża...

- Może liczyć na pomoc mężczyzn takich, jak ja. - Lord Montfallcon przyjrzał się talerzowi pełnemu suszonych fig, wybrał jedną i przełożył ją na swój talerz. - Czy brakuje nam doświadczenia? Lub srogości...

- Ale wy nie jesteście równi Królowej, mój panie.

- Nikt nie jest jej równy. Ktoś taki, mój panie, po prostu nie istnieje.

- Miałem nadzieję, że przekonam cię, panie, iż nasza oferta jest szczerą, a podziw mego pana dla twej władczyni prawdziwy, zaś potrzeba pełnego zjednoczenia naszych krajów w sposób, jaki monarchowie praktykują od stuleci, nie jest iluzoryczną. Wielki Kalif to człowiek młody, męski i przystojny. Jeśli zdarzyło wam się słyszeć jakieś tyczące go, nieprzystojne plotki, zapewnić mogę, że są one pozbawione podstaw.

- Królowa w ogóle nie przyjmuje konkurentów, mój panie, tym samym nikogo nie faworyzuje. Twój pan mógłby być stary, schorowany i z zapalem uprawiać sodomię, a i wtedy miałby u mojej pani takie same szansę, jak każdy inny...

- A zatem nie wstawisz się za nami? Miałem nadzieję, że jednak to uczynisz. Skłonny byłem sądzić, że król Polski przybywa incognito z jednego, nader istotnego powodu...

- Jeśli tak, to usłyszy to samo. Nikt mu niczego nie obiecywał.

- Nie otrzymywał żadnych listów z zapewnieniem o miłości Królowej?

- Żadnych, sir.

- To dlaczego został porwany? - Lord Shahryar uśmiechnął się krzywo do swoich myśli.

- Masz zbyt bujną wyobraźnię, mój panie. Jeśli takie są twoje wyobrażenia o Albionie, to lepiej będzie, jeśli zmienimy temat rozmowy.

- Skłonny jestem podejrzewać, że mój krewniak został zabity, bowiem próbowałem

szpiegować na szkodę Jej Wysokości. Domniemywam również, że król Kazimierz został uprowadzony, bowiem miał nadzieję w sekrecie zdobyć względy Królowej.

Lord Montfallcon roześmiał się.

- Nie jesteśmy dzikusami, mój panie! To Albion! Nasza dyplomacja jest o wiele wyższej próby!

Maur odsunął krzesło. Bardzo starał się ukryć lub zamaskować wzburzenie.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny, panie.

- Ależ oczywiście, przyjmuję! Twoje domysły nie uraziły mnie, ale rozbawiły!

Lord Montfallcon wstał i objął Saracena, który uśmiechnął się wymuszenie.

- Zapewniam cię, panie, o naszej przyjaźni. Cenimy Arabię ponad inne narody świata...

- Tak jak my Albion. Gdy Wielki Kalif przybędzie jutro...

- Nasz partnerski związek nie wymaga małżeńskich więzów, bowiem i bez nich przetrwa tysiąc lat.

- Wysoko cenimy i Królową, i Albion.

- Albion i Królowa to jedno.

Wariatka odpełzła na rękach i kolanach od kratki, kierując się przez brud podłogi do następnego punktu obserwacyjnego, małego okna, niemalże niedostrzegalnego z dołu.

Spojrzawszy, ujrzała mistrza Ernesta Wheldrake'a, nagiego i spętanego złotymi łańcuchami, klęczącego przed swą kochanką, ujmującą lady Lyst, która popijała coś z trzymanego w ręku kielicha. Imitacja korony zsunęła się jej na jedno oko, gdy powolnymi ruchami okładała pejczem płaszczącego się i jęczącego coś niezrozumiale kochanka. Scena ta była aż nazbyt znajoma wariatce, która popęzła dalej w poszukiwaniu nowych rozrywek. Po dziesięciu minutach dotarła do mysiej dziury wychodzącej na sypialnię Sir Ingleborough'a, ale starego lorda nie było nigdzie w polu widzenia. Rzuciła okiem na Patcha, jego biernego kochanka,

który bawił się akurata drewnianymi żołnierzami. Ruszyła dalej, aby sprawdzić, jakie postępy dokonały się w znajomości sir Tancreda i lady Mary Perrott. Zazdrościła im pogody, z jaką przeżywali swój romans. Uczucie to było tym silniejsze, że sama pragnęła z całych sił wieść życie pełne intryg i romansów, a spotykała się zawsze tylko z mdłymi wrażeniami, które nie potrafiły jej poruszyć. Nigdy nie zaznała miłości takiej, jaką sir Tancred obdarzał lady Mary. Patrząc marzyła tylko, iż i jej zdarzy się to pewnego dnia.

Jednak szczęście nie sprzyjało wariatce. Ani Sir Tancreda ani lady Mary nie było w komnacie, lord Rhooone chrapał smacznie przy biurku, nie zdjawszy nawet paradnego munduru. Usta przycisnął do zielonej krezy poplamionej kremem. Sir Amadis Cornfield też siedział za biurkiem pochylony nad rachunkami i pokwitowaniami, które sortował niebieskimi od atramentu palcami. Una, księżna Scaith, zdejmowała właśnie nader skomplikowany strój, który włożyła na nieoficjalne, zaplanowane przez Królową spotkanie z Saracenenem. Gabinet lorda Montfallcona był bez wątpienia pusty, zatem wariatka ominęła prowadzącą ku niemu pochylnię. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zajrzeć do seraju, ale odebrałoby jej to humor. Przez chwilę obserwowała aktorów ćwiczących pantomimę przygotowaną na jutrzejsze święto Dwunastej Nocy, ale nigdy nie gustowała w przedstawieniach o tak złożonej symbolice. Wracała już do swojej krypty, gdy mijając zakurzoną i pełną pajęczyn oranżerię, ujrzała po drugiej stronie szkła cień kierujący się ku sekretnemu wejściu do gabinetu lorda Montfallcona. Przystanęła, skryta w półmroku, aby sprawdzić, kto składa wizytę Kanclerzowi. To był Tinkler. Wesoły i beztroski.

Wariatka przykucnęła, by schować swą wysoką sylwetkę przed oczami Tinklera. Bez wątpienia ten hultaj pozostawał w służbie Montfallcona i przybywał właśnie po instrukcje. A zatem dobrze się domyślała; król Polski zostanie uwolniony nad ranem. Zachichotała do siebie potrząsając głową w podziw dla dwóch bohaterów: Montfallcona, którego wyobrażała sobie

jako swojego ojca, i kapitana, o którym śniła jako kochanku. Opracowany przez nich plan sprawdził się idealnie i zmierzał do szczęśliwego końca.

## ROZDZIAŁ 9

### W KTÓRYM KRÓLOWA GLORIANA I JEJ DWORZANIE ŚWIĘTUJĄ DWUNASTĄ I OSTATNIĄ

\*

#### NOC YULE TIDE\*

Una ze Scaith zaciągnęła się głęboko tytoniowym dymem z fajki i rozparła na łożu okrytym gobelinem. Otaczały ją starannie wyhaftowane sceny z życia krain leśnych (polowanie, nimfy i fauny, Diana i jej damy), przed nią huczał kominek. Jej krynolina przekrzywiła się jak źle umocowany dzwon, tasiemki stanika zwisały luźno, usztywniony kołnierz sterczał z boku, miast równo otaczać przyozdobioną już perłami głowę. Una wykorzystywała ostatnie minuty spokoju przed rozpoczęciem uroczystości, w której musiała, jako przyjaciółka Królowej, uczestniczyć. Pogłaskała rudawy grzbiet sporego kota, który spał w głowach łoża i zajęła się fajką czekając, aż krzątające się w sąsiedniej komnacie służące przygotowują resztę jej stroju. Księżna nienawidziła wszelkich oficjalnych okazji, szczególnie zaś takich, w których miała sama odgrywać jakąś rolę. Tej nocy Królowa poprosiła ją, by na początku każdej części obchodów odczytywała bieżący program, a to znaczyło, że Una będzie musiała być obecna podczas całej uroczystości, od rozdania podarunków, po końcową ucztę, która z pewnością przeciągnie się do wczesnych godzin rannych. Co gorsza, wieczór miał rozpocząć się pod Westminsterem, gdzie rzekę skuwał lód na tyle gruby, że można było na niej rozpałać ogniska, a nawet upiec prosię (zeszłej nocy wenecki intendent sprawdził to osobiście i na pewno nie poszedł potem spać głodny). Niemniej oznaczało to, że Una, podobnie jak wszyscy inni, przemarznie do kości i nadużyje, również w znacznym towarzystwie, jabłkowego kraletu, najpopularniejszego w takich chwilach napoju rozgrzewającego. Potem

czekało ją przedstawienie w Wielkiej Sali, co wiązało się z dalszą niewygodą pieczenia się żywcem w ciężkim stroju Urd, jednej z trzech Nora, czyli nordyckich bogiń rządzących przeznaczeniem bóstw i ludzi. Inni będą podobnie urzędzeni, a to w przebraniu Thora, a to Odyna czy Hel, bogini śmierci i podziemi. Zresztą, obecny miał być cały nordycki panteon. Dla Gloriany przewidziana była rola bogini miłości i królowej bogów, Frei. Całe towarzystwo miało wystąpić w sztuce mistrza Wheldrake'a *Wigilia Ragnarok*, przygotowanej dla uhonorowania znakomitego gościa z Polski, władającej oboma brzegami Morza Bałtyckiego.

Una, której majątki i ojczyzna leżały daleko na pomoc od Albionu, na wielkiej wyspie Ynys

\* Yule Tide Festival - przedchrześcijańskie święto Nowego Roku, nie mające dokładnego odpowiednika w krajach

słowiańskich. Trwało ono dwanaście dni od chwili zimowego przesilenia; w czasach późniejszych utożsamiane z

okresem Świąt Bożego Narodzenia i pełniące funkcje karnawału (przyp.tłum.).

Scaith, aż za dobrze znała całą tę mitologię na pamięć i uważała ją za nudną. Niestety, właściwa dworowi pogoń za nowinkami obecnie odsunęła w cień jej ulubione mity klasyczne.

Fajka dopaliła się i Una wstała z westchnieniem, by poprawić strój i wezwać damy,

które pomogłyby jej zebrać to wszystko razem. Okryta płaszczem z czerwonego ałtasu

obszytego zielono-lakową, puszystą morą, z twarzą ocienioną wielkim kapturem, została

przeprowadzona przez damy do drzwi jej apartamentów (będących w istocie jednym z wielu

domów wpasowanych w labirynt pałacu, z własnym obszernym podwórcem, pośrodku którego

znajdowało się malownicze sztuczne jezioro z równie nienaturalną, całkiem sporych

rozmiarów wyspą w centrum). Kryte sanie Królowej już czekały a lokaje, wszyscy w

misternych bonnetach z kokardami, krótkich brokatowych kaftanach z herbem Królowej i

rozszywanych, żółto-niebieskich bufiastych spodniach, pomogli jej wsiąść. Zanurzyła się w

mrok sań i opadła na miękkie poduszki. Ktoś krzyknął, coś skrzypnęło i wehikuł zakołysał się

na resorach, ruszając w krótką drogę do nieco bardziej okazałej fasady prywatnego wyjścia z ogrodów Królowej, gdzie gwardziści pod wodzą lorda Rhoone formowali już szyk paradny. Wyrzucający z siebie staccato rozkazów Rhoone otoczony był kłębamii pary marznącego błyskawicznie oddechu. Una schowała dłonie w mufce pod peleryną i zapatrzyła się przez przeciwległe okno na mroczniejący w zapadającym zmierzchu ogród. Śnieg padał coraz bardziej gęsty i wydawało się, że zima zamierza zapanować na zawsze nad światem i trwać tak do samego końca historii. Na myśl o wiecznym mrozie Una wzdrygnęła się. A jeśli to naprawdę wigilia. Ragnarok i świt już nie wstanie, a na całym świecie zapanuje po wieki wieków Chaos? Ziewnęła. Gdyby Władcy Entropii pragnęli raz jeszcze objąć władzę na Ziemi, jak zdarzyło się to już podobno w legendarnej przeszłości, wówczas Una powitałaby tę odmianę z radością i nadzieją, że nareszcie skończy się jej nuda. Nie wierzyła, oczywiście, w te upiorne opowieści o czasach prehistorycznych, ale czasem mimowolnie żałowała ich przeminięcia i tego, że sama nie może w nich żyć, bowiem bez wątpienia musiały być bardziej kolorowe i bogatsze w przygody niż jej terażniejszość, wiek, w którym rozum zastąpił romantyzm, a rtęć przemieniła się w granit.

Takie właśnie myśli błędziły jej po głowie, gdy do karety wsiadła Królowa. Na jej skroniach spoczywała platynowa korona.

- Na Ariocho! Piękny dziś z ciebie chłopak! - stwierdziła Una z uśmiechem.

Gloriana odwzajemniła uśmiech uradowana z rozmyślnej wulgarności słów Uny (zaklinanie się na imiona dawnych bogów było w nader złym tonie). Królowa ubrana była w gronostaje i biały jedwab przyozdobiony srebrem i perłami, bowiem miała dziś uosabiać monarchinię krain polarnych, Królową Śniegu. Tego samego, lodowego stylu, oczekiwano od wszystkich zaproszonych gości i dworzan. Strój Uny był bladoniebieski z przechodzącą w granat krezą, białą halką z małymi, błękitnymi kokardami. Całość została przerobiona z

przygotowanego na zeszlą wiosnę ubioru pasterki.

Tymczasem straż dosiadła białych rumaków, narzuciła na mundury srebrne peleryny, przyozdobiła głowy białymi, bobrowymi czapami z piórami sowy, i gotowa była do drogi. Szokujący w tej scenerii czarną brodą lord Rhoone podjechał do sań i spojrzał pytająco na Królową.

Gloriana machnęła koronkową rękawiczką i lord Rhoone mógł przystąpić do wykonywania obowiązków.

- Kłusem, panowie!

Śnieg zaskrzypiał pod stopami pieszych, podkowy zastukały głucho, i cała procesja wraz z saniami ruszyła ku Westminsterowi i rzece.

- Mam dobre wiadomości - powiedziała Gloriana. - Słyszałaś już, że udało się uratować króla Polski?

- Całego i zdrowego?

- Zmarł nieco, ale poza tym w porządku. Montfallcon powiedział mi dziś po południu, że porwanego znaleziono w starym młynie. Bandyty pokłócili się zapewne i uciekli, zostawiając jednego zabitego w sprzeczce i ofiarę w więzach. Chyba mieli zamiar wrócić, ale ludzie Montfallcona ich ubiegli. Jadą już z Polakiem do Londynu. Wszystko dobrze się kończy i hrabia Korzeniowski nie będzie już dłużej gnębić nas pytaniami o swego pana.

- Kiedy ten biedak tu przyjedzie?

- Dziś jeszcze. Może za godzinę, razem ze wszystkimi gośćmi.

- Ale będzie też Wielki Kalif. Czeka ją cię trudne chwile.

Gloriana zasłoniła okna, za którymi lśniły światła miasta.

- Montfallcon już tym się zajął. Władcy zostaną przedstawieni razem, z tym, że Polak pierwszy, ponieważ ma tytuł Imperatora.

Una przygryzła wargę.

- Zapewne obaj mają nadzieję na coś więcej, niż tylko oficjalne złożenie Waszej

Wysokości wyrazów uszanowania. Czy nie przybyli na dwór po to, by - Una wręcz wstydziła się wypowiedzieć te słowa - uderzyć w konkury?

- Polak owszem, przysięga przy świadkach, że żadnej nie chce, oprócz mnie. Deklaracje

Kalifa są tylko trochę mniej zdecydowane. Jeśli weźmie się pod uwagę otaczającą go sławę, musi to oznaczać zaiste wielkie uczucie i namiętność... - Gloriana była ironiczna. - A ty kogo

byś wybrała, Uno?

- Polaka do towarzystwa, Araba dla przyjemności - odparła Una bez namysłu.

- Chyba rzeczywiście twoja sylwetka spodobałaby się Kalifowi. Jest wystarczająco chłopięca, by go zadowolić.

- A zatem może wybrałby mnie jako substytut i uczynił Królową Arabii. - Una

potrząsnęła głową. - Brzmi całkiem niezłe. Obawiam się jednak, że jego uczucie podszyte jest polityką, a Ynys Scaith marnym partnerem do zawierania sojuszy.

Gloriana roześmiała się.

- Zaiste! Pragnie Albionu i całego Imperium, które mojemu królestwu podlega. Nic

skromniejszego go nie zadowoli. Może i dostałby to wszystko, gdyby darował mi coś, czego sama nie mam.

Sanie zarzuciły lekko na zakręcie, gdy Gloriana zanuciła refren ulubionej piosenki:

*Ach, gdybym tak była kim innym, niż jestem,*

*Miałabym wtedy, czego dzisiaj nie mam,*

*I gdybym to miała, wtedy nie...*

Słyszając ten żartobliwy lament, Una ucichła na chwilę. Gloriana zaraz pożałowała

wynurzenia i pochyliła się, by pocałować przyjaciółkę.



- Mistrz Gallimari obiecał, że wieczór dostarczy nam wspaniałych atrakcji.

- Rozrywki! - parsknęła Una. - Rozumiem. Niczego bardziej nam nie trzeba.

Oczywiście zaproszono wszystkich obcych ambasadorów?

- Oczywiście. A także wyższych urzędników z Londynu, wszelką szlachtę z całego kraju, która tylko zechce przybyć i wszystkich dworzan. Na Mitrę! - Uniosła w udanym przerażeniu dłoń do ust. - Jak sądzisz, Uno, czy lód utrzyma ich wszystkich? A może otworzy pod nami głębiny, a my zapamiętali w tańcu wpadniemy tam, przez co pół świata pograży się w chaosie pozbawione władcy i tylko liczba gór lodowych wzrośnie wraz z rannym odpływem?

Una potrząsnęła głową.

- O ile znam lorda Montfallcona, to dawno już spiął oba brzegi rzeki belkami, a może nawet w trosce o absolutne bezpieczeństwo Waszej Wysokości zastąpił lód obsydianem i kazał go pomalować.

- Dbaj o mnie niczym tygrysyca o młode - zgodziła się Gloriana. - Ale spójrz! - Wskazała przez cienkie zasłony. - Lód jest prawdziwy!

Wjechali na wzgórze, z którego roztaczał się widok na zakręcającą w tym miejscu wielką Tamizę, iskrzącą się od śniegu. Szerokie koryto rzeki ciemniało pomiędzy czarnymi sylwetkami budynków wyrastających po obu brzegach niczym puszcza obwieszona lampionami. Na oczach Gloriany i Uny na rzece pojawiało się coraz więcej świateł, aż mrok zmienił się w szary świt, a potem w jasny dzień przesycony bursztynowym poblaskiem. W obłoku mlecznej poświaty poruszały się drobne ludzkie sylwetki, niewyraźne jak odbicia w krzywych lustrach. Zaraz potem droga opadła i za oknami przesuwały się tylko pokryte śniegiem wzgórza. Podjechali ku blankom dwóch wież północnej bramy Londynu, tak zwanej Bramy Byka, gdzie orszak został powitany, a lord Rhoone (w imieniu Królowej) wymienił formalne uprzejmości z rumianym i mocno już wstawionym burmistrzem miasta.

Minąwszy to wszystko, kołyszac się na ledwo pokrytym śniegiem bruku, sanie podążyły pomiędzy szpalerami niosących pochodnie, machających czapkami i rękami, wiwatujących obywateli aż do bramy miasteczka Westminsteru, która została natychmiast po przejeździe orszaku zamknięta. Przez kilka minut sanie jechały we względnej ciszy szeroką aleją, mijając znakomite kolegia, świątynie kontemplacji, ministerstwa i koszary, aż do długiego nabrzeża, przy którym, w lepszą pogodę, mogły cumować statki wizytujących Albion monarchów. Tutaj wybudowane zostało zejście na pokrytą lodem rzekę. Una z daleka widziała odjeżdżające pojazdy, które dostarczyły już swych znakomitych pasażerów. Paziowie i lokaje biegali z miejsca na miejsce, stajenni stali w pogotowiu, a obok wysokich kolumn, okalających stopnie prowadzące na nabrzeże, gotowali się do zadęcia w fanfary trębacze. Stopnie osłonięte były markizami i wyscietane dywanami. Niczym ognie na trwogę płonęły wzdłuż murów nabrzeża koksowniki, a powyżej falowały niezliczone, bajecznie kolorowe sztandary. Jeszcze wyżej trwało hebanowe niebo przypominające ogarniający całe miasto baldachim. Nie lśniła ani jedna gwiazda, a wciąż nowe płatki śniegu padały, zależnie od szczęścia, na chłodną biel lub ginęły z cichym sykiem w płomieniach.

Gloriana zaklaskała, dała Unie kuksańca w zębra i szybko przywołała się do porządku, przybierając pożądaną na taką okazję pozę wspaniałości, piękna i wszelakich cnót. Una oblekła podobną maskę.

Lord Rhoone otworzył drzwi sań i Królowa wysiadła. Una nie zwlekając podążyła za nią.

Przy dźwięku fanfar przeszły pomiędzy kolumnami, zstąpiły po schodach, u których stóp płonęły dwie wielkie pochodnie dźwigane przez paziów ubranych od stóp do głów w futra z białych niedźwiedzi. Za pochodniami stali zgięci w ceremonialnym ukłonie lordowie i damy, odziani w biele, błękity i srebro, z upudrowanymi twarzami. Trwając tak w migotliwych

cieniach przypominali Unie tłum duchów, który przybył z zaświatów, aby w tę tajemniczą

Dwunastą Noc oddać hołd władczyni Albionu.

Od drewnianych schodów przy nabrzeżu biegła przez lód ścieżka wymoszczona

dywanami i również osłonięta markizami. Prowadziła ona do otwartego z jednej strony,

wysokiego, udrapowanego w srebrny jedwab pawilonu, gdzie czekał już delikatny, srebrny tron

dla Gloriany, i wymoszczony białymi poduchami fotel dla przybocznej Królowej Śniegu, Uny.

Czekając, aż Królowa zajmie miejsce, Una spojrzała ponad nabrzeżem na powolną

procesję niechętnie stąpających wołów poprzedzających hałaśliwe stado gęsi, które rychło

miały podzielić los rogacizny. Widziała przygotowana zawczasu w dostatecznej ilości hubkę i

stosy drewna, na których wszystkie te stworzenia miały zostać upieczone. Już niedługo miała

trysnąć posoka, zaskrzypieć zdzierana skóra, a cenne mięso nabrzmiewać ponad ogniem,

puszczając sos i aromat. Una oblizała wargi i spostrzegła, że Gloriana już siedzi, a zatem sama

też usiadła wzdragając się, gdy uniesiona krynolina wpuściła mrożące kolana powietrze.

Pośrodku lodowego placu stało przypominające szafot podwyższenie dla orkiestry;

muzycy czynili wszelkie możliwe wysiłki, by na mrozie nastroić instrumenty. Markizy i

dywany były tam, dla kontrastu, zielone i złote, a muzycy nosili stroje z ciemnozielonej wełny.

Sądząc po posturach, każdy założył kilka warstw odzieży. Fanfary z brzegu zagrały głośniejsze i

Królowa spojrzała znacząco na Unę. Księżna wstała powoli, ale czekała jeszcze, aż dworzanie

zbiiorą się w komplecie wkoło tronu.

Na dywanie prowadzącym do tronu pojawiła się postać w falującej szacie barwy kości

słoniowej. Zdejmując gronostajową czapkę opadła na jedno kolano. Był to Marcilius Gallimari,

Mistrz Zabaw.

- Wasza Wysokość...

- Czy wszystko gotowe, Mistrzu Gallimari?

- Tak jest! Wszyscy czekają! - Głos jego był donośny, pełen entuzjazmu.

- A zatem zaczynamy. Księżno...

Una dyskretnie odkaszlnęła w dłoń. Mistrz Gallimari odstąpił w cień markizy, przeszedł pomiędzy strażą i zniknął.

- Królowa rozda teraz dary Yule Tide wdowom i sierotom. Niech podejżą, by otrzymać to, co jest im należne.

Dworzanie rozstąpili się na boki, a paź wręczył Unie poduszkę, na której spoczywało dwadzieścia sakiewek z kozłej skóry. Una wzięła jedną i wsunęła ją w dłoń Królowej. Pierwsza z wdów, zdenerwowana, pulchna matrona w płóciennym fartuchu i szalu, zbliżała się już niepewnie ze wstydliwym uśmiechem na wargach i opuszczonymi oczami.

- Wasza Wysokość! - Dygnęła. - Lud Southcheap przesyła za moim pośrednictwem uniżone wyrazy szacunku i życzenia, aby nigdy żadne nieszczęście nie dotknęło Waszej Wysokości.

- Wdzięczni jesteśmy ludowi Southcheap. Jak się nazywacie?

- Starling, pani, wdowa po Starlingu kupcu.

- Mądrze gospodaruj tym, co otrzymałaś i pamiętaj zawsze o swoich powinnościach.

Łączymy się z tobą w twoim żalu.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. - Kobieta przyjęła sakiewkę drżącą ręką.

Potem nadeszło dwoje dygających już z daleka, trzymających się za ręce dzieci, chłopiec i dziewczynka.

- Wasza matka i ojciec nie żyją? Jak to się stało? - Gloriana wzięła od Uny drugą sakiewkę.

- Zginęli na rzece, Wasza Wysokość - powiedział chłopiec. - Pracowali na promie powyżej Wapping Stairs.

- Łączymy się z wami w waszym żalu. - Formułka była czysto ceremonialna, ale współczucie szczere. Gloriana wzięła jeszcze jedną sakiewkę, tak aby każde z dzieci dostało swoją.

Uroczystość trwała dalej, a Una lustrowała wzrokiem pomocne nabrzeże, jego bliźniacze kolumny, pochodnie i znamienitą robotę kamieniarzy. Po prawej, gdzie nabrzeże skręcało, widziała rząd gargulców wspartych na filarach z pierścieniami cumowniczymi wbudowanymi w pyski chimer. Powyżej rysowały się gałęzie nagich drzew, szare teraz i pozbawione drapieżności dzięki światłu latarni. Jeszcze dalej widniała zdobiona w żelazne diabły krata Bramy Wodnej Westminsteru.

Gdy podarunki zostały rozdane, lord Montfallcon stanął obok tronu i szepnął coś Królowej, podczas gdy fanfary obwieszczały przybycie dwóch gości honorowych. Herold Królowej podał ich imiona i godności, a oni zbliżali się już jeden obok drugiego, w przewidzianych protokołem pończochach i togach, wspaniali blaskiem jadeitów, diamentów, akwamaryny, turkusów, szafirów i całej kolekcji innych szlachetnych kamieni.

- Jego Królewska Wysokość, Król Casimir Czternasty, Imperator Elekt Wielkiej Polski.

Jego Królewska Wysokość, Wielki Kalif Hassan al-Giafar, Władca Całej Arabii.

Dwie koronowane głowy skłoniły się przed trzecią. Korona króla Polski, Kazimierza, wykonana była z białego złota, z gotyckimi pałkami i bardzo subtelnymi zdobieniami. Hassan al-Giafar miał turban, do którego przypięty był diadem ze srebra i macicy perłowej, ukształtowany we wzory roślinne. Wprawdzie zgodnie z tradycją szaty ich były proste, ale obaj ukazali się na tyle bogato, na ile tylko pozwalał protokół.

W trakcie tej ceremonii wszyscy musieli używać szlachetnej mowy. Pierwszy zabrał głos Arab, którego oblicze zdobiła rozwidlona broda.

- Gloriano, któraś jest wcieleniem Ishtar na Ziemi, Bogini nas wszystkich, której imię

budzi lęk, lecz wymawia sieje z szacunkiem w Czterech Kątach Świata. O ty, któraś jest Słońcem i Światłem naszych dni i Księżycem rozświetlającym noc, której blask przyćmiewa gwiazdy. My, Kalif Hassan al-Giafar, spadkobierca Pierwszych Oświeconych Sheeny, obrońca Raschich, Ojciec Nomadów, Władca Pustyni, Rzek i Mórz, Tarcza przeciwko Tatarii, Pan Bagdadu i Pięćdziesięciu Miast, przynosimy Ci pozdrowienia i życzenia szczęścia od całego naszego ludu.

Królowa wstała, ujęła podane przez Unę berło i uniosła je w oczywistym geście błogosławieństwa.

- Albion wita cię, wielki królu. Jesteśmy zaszczytzeni, że zechciałeś wziąć udział w naszych ceremoniach. - Usiadła. Tymczasem do mowy przygotowywał się król Polski. Palcami skubał płaszcz, przekrzywiona korona opadła mu na krzaczaste brwi, włosy zsunęły się na oczy, broda uwolniła się od zapinek i trzepotała swobodnie, usta poruszały się bezgłośnie.

- Hm... - zaczął. - Wasza Wysokość.

Piękne oczy Wielkiego Kalifa błysnęły starannie ukrywanym rozbawieniem. Miło mu było widzieć rywala pogrążonego w konfuzji.

- Przede wszystkim, dziękuję tobie, pani, czy raczej twoim ludziom, za ratunek. Jestem nader zobowiązany. Głupio postąpiłem darząc zaufaniem tych łajdaków. Przykro mi, że sprawiłem tyle kłopotu...

- Zapomnijmy o tym - mruknęła Królowa. - Ale to nie jest właściwa formułka powitania. Wasza Wysokość?

Król był wyraźnie wdzięczny za przypomnienie mu jego roli.

- Wasza Wysokość. Królowo Gloriano. Pozdrowienia z Polski. - Zmarszczył brwi. -

Jestem... Jesteśmy Kazimierz... Imperator Elekt Wielkiej Polski... ale tyle to już ci wiadomo, prawda? Dopiero co mnie zapowiedziano. Zdaję sobie sprawę, że istnieje odpowiednia mowa

powitalna na takie okazje, ale obawiam się, że jej zapomniałem. Jesteśmy Królem Skandynawii i jeszcze... no, wszystkich lądów od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego. Na Jowisza! Tym właśnie jestem. Cóż, tak naprawdę, Polska to republika. Dokładnie rzecz biorąc, związek republik. Autonomicznych. Mnie trzymają chyba tylko jako symbol. O Boże, miałem ci dać pierścień. Są jeszcze inne prezenty... - Obejrzał się. - Gdzie one? To piękny pierścień... Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że będę musiał wystąpić przed aż tak liczną publicznością. Staram się unikać ceremonii, oneśmielają mnie. No, gdzie te prezenty...?

Kalif strzelił palcami, by chłopcy w turbanach przynieśli jego podarunki. Gloriana obejrzała nie wyróżniające się niczym szczególnym skarby (w tym naszyjnik z karnalinu i złota) i przyjęła je wraz ze zwyczajowymi podziękowaniami, podczas gdy król Polski szeptał coś ze złością do swego sekretarza, hrabiego Korzeniowskiego, aż w końcu wysłał go gdzieś z poleceniami.

- Jest jeszcze kilka słoni, Wasza Wysokość - powiedział z namaszczeniem Kalif - ale uznałem, że niemądrze byłoby wprowadzać je na lód.

Una uśmiechnęła się zakrywając twarz dłonią. Wyobraziła sobie bowiem tuzin słoni tracących nagle grunt pod nogami i wpadających w mroczne wody Tamizy.

Procesja z darami od Kalifa odeszła, gdy król Polski podniósł głowę, westchnął z ulgą i pomachał komuś nadchodzącemu. Do tronu zbliżał się następny orszak odzianych w futra tragarzy niosących cenne ikony i biżuterię cudownej roboty, której może brakowało wymyślności darów Kalifa, ale widać było zawarte w niej mistrzostwo i artyzm twórców.

- Niestety, paru rzeczy brakuje. Niewielu, w sumie mieliśmy szczęście. Ale... - Sięgnął pod szatę, jakby czegoś szukał. - Miałem jeszcze pierścień. Z rubinem. Może uznasz to, pani, za wulgarne, ale miałem nadzieję... Niemniej to nie czas i nie miejsce, by o tym mówić. W Polsce podobnie uroczyste okazje są obecnie rzadkością i musisz wybaczyć mi moją niezręczność.

- Twoje dary są wyjątkowo piękne, królu.

- Zaiste. Ale pierścień... Było jeszcze trochę wspaniałej wiedeńskiej roboty. Nie ma pierścienia! Ukradli!

- Bandydzi? - spytała szeptem Gloriana.

- Rzezimieszki! Najpiękniejszy z moich darów!

- Nie obawiaj się, panie. Złapiemy ich przywódcę - obiecała władczyni Albionu.

Lord Montfallcon odchrząknął, by przemówić.

- Królowa wdzięczna jest obu Waszym Wysokościom...

Gloriana skinęła głową i też postanowiła zakończyć ten punkt programu.

- Albion wita was, wielcy królowie. Jesteśmy zaszczyceni, że zechcieliście wziąć udział w naszych ceremoniach.

Wniesiono fotele, trony niemal, dla obu gości i ustawiono je po prawicy Królowej, pod kątem, tak aby żaden z monarchów nie był faworyzowany, a Una z uśmiechem zabawiała ich cichą rozmową, podczas gdy Królowa przyjmowała pozostałych gości. Po kolei podchodzili: Rudolf z Bohemii, Król Naukowiec, wasal Kazimierza; Księżę Alençon de Medici z Florencji, młodzieniec, którego rycerska miłość do Gloriany znana była w wielu krajach; ambasador Azteków, książę Comius Sha-T'Lee z Chlaksahloo (który uważał siebie za półboga, a Glorianę za boginię), cały w złotych piórach i pierzastym płaszczu; kawaler Persival-le-Gallois z Brytanii; Oubacha Khan, poseł Imperium Tatarskiego w malowanej zbroi, żelazie i futrach; książę Lobkowitz w czerniach i srebrze, przybyły z niezależnej Pragi; książę Hira z Hindustanu, protektoratu Albionu; lord Li Pao, ambasador dworu Kitaju, jeszcze jednego państwa wasalnego; lord Tatanka Iyotakay, ambasador wielkiego narodu Siouxów w orlich piórach i białej skórze kozła; lady Yashi Akuya, ambasadorka z Wysp Nipponii; książę Karloman, syn starego króla reprezentujący Związek Nizinny; książę Rotomondo, Namiestnik



Paryża; mistrz Ernst Schelyeanek, astronom i medyk z Wiednia; wysłannicy z Yirginii, a wśród nich obdarzony jastrzębim nosem lord Kansas i drobny, kłótlivy baron Ohio; mistrz Ishan, matematyk z tatarskiego protektoratu Anatolii; Caspar, wielki inżynier z Jawy; palestyński uczony Micah z Jeruzalem; odkrywca nowych ziem Murdoch, tan Hermiston w dorzuconym niedbale do brązów i szkockich krat białym bonnecie z piórami jastrzębia sterczącymi beztrosko spomiędzy rudych, kręconych włosów. Poza nimi napływało jeszcze wielu innych dygnitarzy, uczonych, naukowców, magów, alchemików, inżynierów, odkrywców i żołnierzy. Ich przemarsz przed tronem zabrał ponad półtorej godziny.

Potem zaczęła się zabawa. Na początku Rycerz Lodowy (lord Gorius Ransley) i Rycerz Ognisty (sir Tancred Belforest) wiedli konną potyczkę w pełnych zbrojach, na lodowej pokrywie pośrodku rzeki. Kawałki lodu strzelały wysoko w powietrze, oddech koni parował niczym wyziewy smoków. Rozległ się szcęk metalu, gdy lance napotkały na tarcze i obaj rycerze błyskawicznie zeskoczyli z koni.

Widowisko to obserwowała niekształtna postać spowita od stóp do głów w obszerne, niedźwiedzie futro, oparta łokciami o kamienne obmurowanie nabrzeża. Twarz zasłonięta była w większości przez czapę z niedźwiedziego skalpu i tylko chwilami, gdy ogień (na którym pieczono już gęsi i woły) strzelał wyżej, można było dostrzec lśnienie czarnych, sardonicznych oczu.

Zgodnie ze scenariuszem Ogień pokonał Lód i na scenę wjechali na łyżwach aktorzy w strojach tradycyjnej komedii delTarte, w tym Arlekin, Pantalón, Trębacz, Isabela. Zaczęli skakać i kręcić się w rytm żwawej i wesołej, choć nieco nieharmonijnej muzyki granej przez rozdygotane towarzystwo na podium. Królowa tymczasem, skłoniwszy głowę ku gościom, pograżyła się w rozmowie. Przez tłum wędrowali powoli paziowie w butach podbitych żelaznymi kolcami, dźwigając tace z grzanym winem; kucharze z pomocnikami polewali

tluszczem obracane na różnach pieczone, a u przeciwnego brzegu niepostrzeżenie wyrosło gigantyczne rusztowanie.

Postać w niedźwiedzim futrze oderwała się od kamiennej balustrady i zeszła powoli najpierw jednymi, potem drugimi schodami, dołączając do tłumu na lodzie. W jej ręce szybko znalazła się czarka z klaretem, a uwagę przykuły dzieci szlachetnie urodzonych, wszystkie przebrane za Wróżki Zimowe, i dźwigające na noszach olbrzymi tort Dwunastej Nocy przeznaczony dla Królowej. Nowoprzybyły nie pogardził ni mięsem ni chlebem, które w sugerującym głód tempie zniknęły w jego ustach. Bez specjalnego celu, zdając się na przypadek, krążył pomiędzy cieniami na obrzeżach tłumu. Z przeciwnego brzegu doleciał trzask i pierwsze fajerwerki z sykiem wspięły się pod niebo. Przez ludzką ciżbę przeszła fala poruszenia i westchnienie jak wiatr przemknęło ponad głowami. W górze zarysowała się ozdobna litera G, a już ze świstem startowały kolejne rakiety rozbłyskujące się diamentowymi iskrami, i powódź blasku spłynęła na lód. Postać w niedźwiedzych skórkach cofnęła się odruchowo w cień zakątka, gdzie molo stykało się z murem nabrzeża. Płonące gwiazdy spadły na lód, który zasyczał wzbudzając niepokój u co bardziej spostrzegawczych widzów.

Wraz z wystrzeleniem czerwonych i zielonych ogni rusztowanie drgnęło, a lód zatrzęszczał nieznacznie, ale lord Montfallcon wyłowił ten ledwie słyszalny dźwięk i zaraz zawołał lorda Rhoone'a, który stał w pobliżu z panią Rhoone i dwójką dzieci, mistrzem Wheldrake'em i beztrąsko kołyszącą się lady Lyst.

- Rhoone! Słyszałeś?

- Co? - Lord Rhoone wręczył swą czarę starszemu synowi, który rad z niespodziewanej sposobności, zaraz zabrał się do picia.

- Lód. Lód pęka przy brzegu.

- Ale tutaj jest dość mocny. Sprawdziliśmy go i nadal sprawdzamy.

- Niemniej...

Rhoone potarł brodę i rozejrzył się mocno skonsternowany.

- Musimy przenieść się na brzeg. - Lord Montfallcon rzucił okiem na postać w niedźwiedzich futrach, która wspinała się powoli po schodach i znikła już w mroku. Na niebie eksplodowały kolejne fajerwerki i czcigodny Montfallcon ponownie ujrzał odchodzącą postać.

Uniósł rękę, która zawisła w pół gestu i opadła.

- Wasze Wysokości, panowie i panie - zawołał. - Musimy powrócić na brzeg. Lód grozi załamaniem. - Ale jego głos ginął w syku i trzaskach sztucznych ogni oraz śmiechach i krzykach pijanego już tłumu.

Montfallcon przepchnął się spieszenie do boku Gloriany, która zaśmiewała się właśnie z czegoś, co powiedział jej król Polski. Ku wyraźnemu zdegustowaniu Hassana al-Giafara jej twarz nabrała rumieńców w blasku coraz głośniejszych rozrywających się, coraz jaśniejszych fajerwerków.

- Moja pani, lód może się załamać!

Z góry spłynęła oślepiająca fala gorąca.

- Ach! - Gloriana aż rozchyliła usta z zachwyty.

- Lód pęka! - krzyknął Montfallcon. - Wasza Wysokość! Lód pęka!

Postać w skórach przemknęła obok murów nabrzeża i weszła pomiędzy drzewa.

Spojrzała na koryto rzeki, a do jej uszu doleciał zaniepokojony głos Montfallcona, który został wreszcie wysłuchany i przemawiał do ucichłego zgromadzenia. Z góry widać było, jak tłum porusza się i w ślad za Królową wędruje ku nabrzeżu. Gloriana od razu skierowała się, do sań, ciemna postać zaś wzruszyła ramionami na taki kres zabawy, i pochyliwszy głowę wśliznęła się w dziurę w murze Westminsteru, a potem wąską alejką udała się ku wschodnim dzielnicom miasta, gdzie czekały na nią dalsze, o wiele ciekawsze rozrywki.

W saniach Królowej Polak i Arab usiedli razem naprzeciwko Gloriany i jej damy, księżnej Scaith.

Kazimierz Czternasty był w świetnym humorze.

- To najwspanialsza przygoda od chwili mojego przybycia do Albionu! Na bogów, Wasza Wysokość, cieszę się, że wreszcie się zdecydowałem! Gdybym złożył wizytę oficjalnie, z całą moją flotą i świtą, niewątpliwie wynudziłbym się za wszystkie czasy!

Hassan al-Giafar wyprostowanym małym palcem prawej dłoni sięgnął pomiędzy przednie zęby i zaczął wydłubywać paznokciem oporne włókienka mięsa. Z niejakim żalem spoglądał przy tym na oddalającą się rzekę.

- Tak naprawdę, to nie było żadnego niebezpieczeństwa - powiedział. - Łód jest wciąż mocny.

- Lord Montfallcon żyje tylko po to, by dzień i noc czuwać nad bezpieczeństwem Królowej - wyjaśniła Una uśmiechając się ironicznie.

Młody Kalif spojrzał wymownie na Królową.

- Pozwalasz, pani, aby ten człowiek kontrolował wszystkie twoje decyzje?

Gloriana wyraźnie nie była zachwycona pytaniem.

- Troszczy się o mnie od chwili moich narodzin. Dziwnie i niepewnie chyba bym się czuła, Wasza Wysokość, gdyby nie przekonanie, że Montfallcon zawsze krąży gdzieś w pobliżu.

- Na Hermesa! Pani! - zdziwił się król Kazimierz. - Czy nigdy nie jest ci dane zaznać wolności? - Mówiąc to położył naturalnym i wyrażającym tylko sympatię gestem dłoni na kolanie Królowej.

Gloriana zastanawiała się, jak w dyplomatyczny sposób zażegnać tę niezręczną

sytuację, ale nagle wstrząs sań cisnął Kazimierza z powrotem na poduszki.

- Gdyby Montfallcon był moim wezyrem, kazałbym go wychłostać za tak obcesowe przerwanie mi zabawy - stwierdził Hassan, gdy król Polski sadowił się wygodniej obok niego.

Gloriana uśmiechnęła się.

- No, ale ja jestem mężczyzną - stwierdził Wielki Kalif Arabii.

- To prawda, że kobiety skłonne są okazywać więcej miłosierdzia - zauważył król

Kazimierz. - Zniesienie kary śmierci przez wieszanie i zastąpienie jej wygnaniem wydaje mi się idealnym rozwiązaniem, pozwalającym uniknąć konfliktu sumienia. Niemniej oficjalnie nie muszę stawiać czoła takim problemom, jako że władzę stanowi w Polsce nie król, ale parlament.

- Taka władza to żadna władza - stwierdził zdecydowanym tonem Hassan.

- W ostateczności wychodzi na to samo, przynajmniej jeśli uznać, że oznacza odpowiedzialność nałożoną na włodarza przez poddanych.

- Sądzę, że co do tego wszyscy się zgadzamy - wtrąciła pojednawczo Gloriana.

Dojechali do pałacu, gdzie wśród ukłonów i dygów udali się do osobnych apartamentów, by przebrać się w kostiumy przewidziane na maskaradę.

Pierwszą osobą, na którą natknęła się Gloriana, był lord Montfallcon.

- Muszę przeprosić, Wasza Wysokość, za to, że tak zdecydowanie przerwałem zabawę.

Uznałem jednak, że...

Gloriana skinęła niecierpliwie głową. Równoczesne zabawianie wyniosłego Hassana i wciąż zmieszanego Kazimierza w taki sposób, by ani nie urazić, ani nie wyróżniać żadnego z nich, okazało się nadspodziewanie wyczerpującym zajęciem i Gloriana zamierzała w pełni wykorzystać wolną godzinę dla siebie.

- Każde z nas powinno pamiętać o swych obowiązkach, Lordzie Kanclerzu - mruknęła i

uśmiechnęła się słabo. - Czas, byś przemógł się, wdział odpowiedni strój i przygotował do odegrania swojej roli w przedstawieniu. Znasz już tekst?

- Zamierzałem go przeczytać, pani, ale nie było czasu...

- Jak zwykle. A zatem za godzinę, mój panie. - Pożegnała Montfallcona niepewnym machnięciem ręki i zniknęła w swych apartamentach, a strażnik zaraz zamknął za nią drzwi.

Na spotkanie Królowej wyszła lady Mary Perrott z wyrazem normalnego dla niej zmęczenia na twarzy. Królowa uniosła rękę.

- Rozbierz mnie, Mary. - Z westchnieniem zdjęła koronę. - A potem, bardzo cię proszę, zrób mi mały masaż. Wszystko mnie boli i uwiera...

Lady Mary odebrała koronę i skinęła na służki, by uwolniły Królową od ciężkiego stroju. Jej kostium czekał już gotowy obok przebrania Gloriany. Lady Mary wystąpić miała jako Walkiria, a jej gorący kochanek, sir Tancred, jako Baldur.

\* \* \*

Znalazłszy się wreszcie we własnych komnatach, księżna Scaith obejrzała wysadzaną diamentami szkatułkę, którą przysłał jej Hassan. Własnoręczna notatka Kalifa dziękowała za uprzejmość (Una nie miała pojęcia, gdzie on dopatrywał się tej uprzejmości) i prosiła o przypomnienie Królowej o wielkim uczuciu, którym Arab darzy Glorianę. Rozbierana przez służki, Una zastanawiała się, czy powinna opowiedzieć o tym Królowej od razu, czy potem, gdy obie już wypoczną. Zdecydowała się poczekać.

W samej białej ułożyła się na łożu, nabiła fajkę i sięgnęła po tekst, który mistrz Wheldrake przewidział na otwarcie przedstawienia.

*Zimą, gdy rok się już dopala*

*Jak ogień bez smolnych bierwion,*

*I wiatry wieją rozpraszając*

*Burzowe tumany śniegu,*

*Serca ludzi Północy jasno płoną*

*Radością, która z wiosny drwi,*

*Niebiańskich dzwonów dźwięczne granie*

*Budzi pieśń duszy. Dzień noc czci.*

Wersom brakowało dawnego żaru utworów Mistrza, który wprowadzie zawsze niechętnie pisał cokolwiek na okazje dworskich zabaw, ale ostatnio wyraźnie spuścił z tonu.

Coraz więcej czasu spędzał z osobliwie piękną i nawiedzoną lady Lyst.

Pykając fajkę, Una pomyślała o przebraniu, po czym wstała z wysiłkiem i podeszła do szafki, w której wisiał jej strój. Grające role pozostałych dwóch Norn, lady Rhoone i lady Cornfield, z pewnością miałyby jej za złe spóźnienie.

Przystanęła, rozglądając się wkoło. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje, ale pokój był pusty, o ile nie liczyć jej i kota służącej. Przesunęła wzrokiem po mrocznej ścianie pod sufitem, gdzie znajdowała się kratka wywietrznika, po czym wzruszyła ramionami i sięgnęła po gorset.

\* \* \*

W Wielkiej Sali której ściany ozdabiały sylwetki gór lodowych, a sufit zamieniono na ponury obraz zasnutego chmurami nieba, odziani z barbarzyńskim przepychem w futra, brąz i srebro aktorzy zebrali się już na scenie niczym mieszkańcy jakiegoś arktycznego dworu.

Publiczność, składająca się głównie z przedstawionych uprzednio Królowej gości, zajęła rzędy krzeseł, a usadowieni na galerii muzycy zadęli w rogi i przeciągnęli smyczkami po strunach kontrabasów, które nadawały ton skomponowanej specjalnie na tę okazję przez mistrza Harveya muzyce.

Księżna Scaith, w kapturze i czarnym futrze, wygłosiła już swój mroczny wstęp i cofnęła się, by zrobić miejsce dla Freyji i Odyna. Bóg na jednym oku miał opaskę, na głowie

kapeluszu z trzepoczącym rondem, w rękę ścisnął gipsową głowę, a na ramieniu kołysał mu się wypchany kruk. Pod całym tym przebraniem skrywał się zaś niechętny owej maskaradzie lord Montfallcon. Jego partnerką była Królowa Gloriana.

Występująca jako Skaal (Norn rządząca przyszłością) lady Rhoone, wystąpiła przeciwko swemu mężowi, czyli Thorowi:

*Dzierżąc odciętą głowę Mimera, Odyn zamierza*

*Bitwę ostatnią, przeciwko żywym i dawno umarłym.*

*Wilk Femis się uwolnił w Zatoce Czarnego Żalu.*

*Ach, nadchodzi wiek noża, topora i tarcz połamanych.*

*Doznają gwałtów wszelkich pokój miłujący.*

*Martwy świat ziemia całunem spowije.*

Lord Montfallcon niezgrabnie wyciągnął przed siebie rękę z gipsową głową i starając się ukryć kartkę z tekstem, zaczął czytać swoją rolę. Skryty w ostatnim szeregu krzesel Mistrz Wheldrake krzywił się i gryzł palce, zaznając cierpienia większego, niż kiedykolwiek spotkało go z ręki lady Lyst.

*Hearken! Heimadal w róg zadął, a na jego głos*

*Zbudziło się dziewięć światów. Przez pradawny most*

*Nadciągają Giganci. Bifrost pęka!*

*Bliska już godzina, gdy Skoll pożre słońce,*

*A po ziemi będą jeno prochy drżące!*

Nadeszła kolej Gloriany, która dostrzegła z daleka Mistrza Wheldrake'a i zastanawiała się, czy w jego bólu nie ma jednak udziału, do pewnego stopnia, poczucie winy. Wciągnęła głęboko powietrze:

*Na wzgórzu Ironwood orzeł skrzydłami łopocze,*



*Wichry z tego się rodzą, co świat omiatają.*

*Cały Midgard wraz z królem do piekieł wpędzają.*

*Fjular-Suttung idzie skraść Miecz Zwycięstwa,*

*Na swój los niewdzięczny przekleństwa mamrocze.*

Krzepki Thor, czyli lord Rhoone dzierżący w ręku sporych rozmiarów młot, postąpił krok do przodu:

*Boscy Asowie zmierzchu swego się nie boją,*

*W bój wyruszają ochoczo i z pieśnią na ustach.*

*Porwą się na kły węzowe straszego Midgarda,*

*Zetrą nieprzyjaciela ludzkiego rodzaju.*

*Poległych ogień i śnieg okryją jak paradna chusta.*

Ciągnął swą perorę (w podobnym tonie) jeszcze przez chwilę, aż w końcu Una wyszła przed wszystkich, by zaniknąć teatrzyk ze słowami:

*Ragnarok nadszedł. Już martwi bogowie*

*Legli w walce. I nikt nie ocalał,*

*Rubaszny Thor i Loki wstydlivi*

*jednako okryli się bitewną chwałą.*

*Z nimi radosna Freya. I ona umiera*

*Pragnąc tylko pewności, że Albion wspaniały*

*godnie przejmie ich brzemień i swoją Glorię*

*na cały świat wypowie.*

Una spostrzegła, że Mistrz Wheldrake nie czekał końca przedstawienia, tylko spoglądając z rozpaczliwą nadzieją na lady Lyst, wymknął się z sali. Jeśli tak dalej pójdzie, pomyślała, to biorąc pod uwagę obecny stan sztuki poetyckiej Mistrza Wheldrake'a, Królowa

będzie musiała rozejrzeć się niedługo za nowym nadwornym poetą. Publiczność jednak wybuchła oklaskami, a król Kazimierz i Hassan omal nie zderzyli się, pragnąc jak najszybciej pogratulować Królowej gry aktorskiej i wyrazić uznanie za piękno i mądrość strof, pochwalić patetyczną muzykę. Una mogła spokojnie wycofać się za jeden z okalających scenę parawanów, by zedrzeć z głowy niewygodny kaptur. Za kulisami natknęła się na rozchichotaną z nieznanых przyczyn lady Lyst i niepewna, czy wariactwo nie udziela się przypadkiem poprzez spojrzenie, wróciła czym prędzej na salę, wpadając prosto w ramiona również dziwnie wesołego lorda Montfallcona. Kanclerz okazał się o wiele serdeczniejszy niż zwykle. Na co dzień widział w Unie rywalkę, która wywiera destrukcyjny wpływ na Królową i odciąga ją od obowiązków.

- To było piękne - stwierdził Montfallcon. - Wheldrake naprawdę postarał się w tym roku. Będziemy musieli nadać mu wiosną tytuł szlachecki. Porozmawiam o tym z Królową. *Że Albion wspaniały godnie przejmie ich brzemień i swoją Glorię na cały świat wypowie. Ileż prawdy w tych słowach!*

- O tak, mój panie! - Uśmiechnęła się Una ucieszona, że chociaż raz odmiana wkradła się w ich stosunki. - Zaprawdę, milordzie!

Zza sceny doleciał kolejny wybuch śmiechu.

Z Montfallconem u ramienia Una przeszła ku środkowi Wielkiej Sali, gdzie Królowa wciąż przyjmowała pochwały monarchów i książąt, i gotowa już była nawet uczynić Mistrza Wheldrake'a earlem z równym zapałem, jak jeszcze kilka minut wcześniej pragnęła go surowo wychłostać (o której to rozkoszy śnił zresztą poeta w swych najtajniejszych marzeniach. O mały włos ominęła go najwyższa nagroda, jakiej mógł zapragnąć za swoje dyskusyjne wiersze).

Obok przeszedł doktor Dee zasłuchany w słowa starego przyjaciela, króla Bohemii,

który opowiadał właśnie o rezultatach swoich ostatnich eksperymentów.

- I jak, udała się transmutacja? - spytał Dee. Una zauważyła, że doktor kątem oka spojrział na szyję Królowej.

- Niestety, tylko w części. Ale to przedstawienie przypomniało mi coś, co czytałem o prawdziwym pochodzeniu owych krasnoludów pojawiających się w starych sagach. Tak naprawdę byli to potężni czarnoksiężnicy, którzy nie pochodzili z Ziemi, a tylko przylecieli tu z innej planety, gdzie alchemia jest o wiele bardziej rozwinięta niż u nas. Wszystko, co wiemy, to tylko odpryski ich mądrości. Zapewne gdzieś, może na Biegunie Pomocnym, powinny znajdować się jeszcze dzieła, które spisali. Gdyby je odnaleźć, ludzkość stanęłaby u progu nowej ery. Wysłałem już tam trzy czy cztery ekspedycje, ale jak dotąd żadna nie wróciła...

Znów rozbrzmiała muzyka, tym razem żywa i subtelna, a aktorzy, większość nadal w kostiumach, przyłączyli się do publiczności w trippe, skomplikowanej wersji najmodniejszego ostatnio gallimarda. Taniec ten był absolutnie niewskazany dla kogoś ubranego w futra rządzącej terazniejszością bogini Nora i księżna Scaith zaczęła z utęsknieniem wypatrywać uczty.

\* \* \*

Na obszernym podwórku Gryffyn Inn płonęło wielkie ognisko rozpalone dla uczczenia Dwunastej Nocy i było dość ciepło, by ogrzać się mogli nawet ci, którzy przysiedli na otwartych galeriach na piętrze i z góry wylewali piwo na głowy wrogów i przyjaciół, parskając śmiechem ubawieni widokiem trupy karlich skrzypków, którzy podskakiwali wkoło ognia, piszcząc i skrzypiąc smyczkami w jazgotliwej parodii muzyki. Ci wyżej z różnych powodów nie podzielali gorzejącego od początku dwunastodniowego święta dzikiego entuzjazmu tłumu, który kłębił się wypełniając każdy cal podwórka i rozdzierał kawały mięsa, chleba i sera, sikał, pierdział i wymiotował nie tylko w mrocznych kątach podwórca. Młodzi hulali, tańczyli lub

kołysali się jedynie, wyrażając wrzaskiem nieustające uwielbienie dla towarzyszy zabawy lub nienawiść dla starszych kamratów. Chłodne powietrze zdawało się płonąć, roznosząc łaskoczącą podniebienie woń pieczonej wołowiny i drobiu, bukiety wina i rumu, odór potu i piżma, zapach osmalonych przez płomienie krokwi i topniejącego śniegu. Ze wszystkich stron dochodziły wybuchy śmiechu, który czasem, jak w chwili, gdy mająca jakieś pretensje do Tinklera dziewczka wepchnęła go w ogień, wprawiał ściany drewnianej gospody w drżenie. I tutaj prezentowali swą grę zawodowi komedianci, czasem ci sami, którzy bawili Królową, jak paru błaznów, arlekin, chełpliwy, wyniosły elegant, stary ramol; były też piękne damy w sukniach włoskiego kroju (choć większość z nich pochodziła z Londynu), a wszyscy pijani dzięki Królowej, która wcześniej złotem opłacała to, co oni teraz dostawali za darmo.

W tenże tłum wkroczył sztywno wyprostowany kapitan Quire. Obejmował w pasie przytuloną doń postać, szpada kołysała się z tyłu jak ogon kundla, który wśliznął się nie zauważony do sklepu rzeźnika. Towarzysząca mu osoba w misternie zdobionym, srebrno-białym stroju, z fałszywą, miniaturową koroną na koafurze i twarzą upudrowaną na białło, z obrysowanymi oczami i szkarłatnymi od szminki ustami, była wyraźną parodią samej Królowej i jej przebrania na czas zabawy na lodzie.

Otrzeputując tył swojego sponiewieranego i osmalonego płaszcza, Tinkler ruszył niepewnym krokiem, by powitać swego pana, ale przystanął wstrząśnięty.

- Na Hermesa, kapitanie, któż to jest?

- Nasza własna królowa, Tink. Przyszła zobaczyć się ze swym ludem. No dalej, oddaj jej hołd. Zobaczymy, czy potrafisz dygać.

Niezmiennie ulegający wpływowi Quire'a Tinkler przyjął błyskawicznie ustalone przez swego pana zasady gry i skłonił się głęboko, ściągając z głowy wymiętą czapkę i ukazując w uśmiechu jeden z dwóch ocalałych zębów.

- Wasza Wysokość, witamy na... na Dworze Króla Chłania! - Zachichotał i zachwiał się na nogach, chwytając za ramię przechodzącego obok czarnobrodego Szkota z dwoma uwieszonymi na nim dziewczkami. - Niech mi wolno będzie przedstawić Jej Wysokości lorda Knura ze Szkocji. - Chwycił mocno nadgarstek dziewczki, która wcześniej potraktowała go tak nieprzystojnie. - A oto lady Maciora, jego piękna połówica. - Kurewka pchnęła go raz jeszcze i Tinkler, wciąż chichocząc, wylądował w błocie. - Ale z jakąż to królową mamy przyjemność? Jakie jest jej imię?

- No, może być Philomena - stwierdził Quire wyzwalając się z niedźwiedziego futra, pod którym miał własny czarny płaszcz. Wyjął zza pasa złożone sombrero, rozprostował je i przetań wronie pióra. - Królowa Philomena, królowa miłości!

Quire uszczypnął najpierw umalowany policzek, potem obleczony jedwabiem pośladek, wymuszając uśmiech na twarzy „królowej”, której oczy zdradzały jednak niejakie zaniepokojenie. Razem przeszli bliżej ognia, gdzie Quire odebrał Szkotowi obie dziewczki, po jednej dla niego i dla królowej.

- Panie i panowie, goście Gryffyn Inn. Zechciejcie głośno powitać waszą władczynię, królową Philomenę, która uczyni tę noc czasem miłości i życzy sobie, abyście godnie to obesзли.

Tłum zaczął wiwatować, a ten i ów złożył nawet królowej sprośne propozycje. Kapitan Quire rozejrzał się wkoło z udawanym zaskoczeniem.

- Nie widzę tronu. Gdzież się podziewa? Gdzie wielki, paradny tron królowej? Na czym ma usiąść?

Odpowiedź była głośna i oczywista. Quire nie zamierzał jednak przestać zabawiać tłumu. Uniósł obie ręce.

- Żli z was gospodarze. Sir Arlekin może wam zaświadczyć, że goście Królowej byli

traktowani o wiele lepiej. - Objął ramieniem pstrego komedianta, który czknął potężnie i potarł oko pod maską. - Tam wszyscy mieli krzesła, prawda?

- Ależ tak, sir.

- Porządne, wygodne krzesła?

- Prześwietne, sir. Twa królowa to prawdziwa piękność, i przysięgam, że...

Ale oto już ponad głowami podawano krzesło z wysokim oparciem. Quire skłonił się raz jeszcze.

- Usiądź, proszę, pani.

Dygnawszy niezgrabnie, fałszywa królowa spoczęła i rozejrzała się po dworzanach, którzy gapili się na nią z otwartymi ustami. Wydawało się, że jest pijana lub oszołomiona jakimś narkotykiem, bowiem oczy lśniły jej jak u lalki, a usta poruszały się bezgłośnie, reagowała jednak radośnie, ile razy Quire przesunął palcami po sukniach lub muskał językiem jej ucho, szepcząc przy tym czule.

- Och, Phil, jak wspaniałą byłbyś teraz żoną dla Kalifa... O wiele lepiej spisałbyś się niż Królowa. - Quire uśmiechnął się i ciaśniej objął nałożnicę.

Zaś Phil Starling, oszalały z żądzy i miłości, wdzięczył się do swego kochanka i pana, i co raz podnosząc dłoń do oczu spoglądał z zachwytem na wspaniały pierścień z rubinem. Ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć, że to jemu właśnie przypadło w udziale takie szczęście i bogactwo.

## **ROZDZIAŁ 10**

**W KTÓRYM PARU PODDANYCH KRÓLOWEJ ROZWAŻA RÓŻNORODNE PROBLEMY  
ALCHEMICZNEJ, FILOZOFICZNEJ I POLITYCZNEJ NATURY**

- No, nareszcie - powiedziała lady Lyst klęcząc na ławie pod oknem i wyglądając na lutowy poranek. - Myślałam już, że ten śnieg ma zamiar leżeć wiecznie, a tu popatrz,

Wheldrake, topnieje. No zobacz, są nawet krokusy i przebiśniegi! - Obejrzała się przez ramię na zagracony pokój pełen książek, papierów, atramentu, instrumentów, części ubrań, butelek, żywych zwierząt i wypchanych ptaków. Pośrodku całego tego bałaganu stał w czarnej koszuli nocnej jej drobny, rudowłosy kochanek, z kartką papieru w jednej ręce i piórem w drugiej.

- Mhm... - mruknął. - Już niedługo będzie wiosna. Posłuchaj - i odczytał z kartki:

*Uczenie gada, gada, gada...*

*Słowiańskie słowa biją jak młot*

*Z żelaza. Gaśnie Ada.*

*A on, uczony nos drze oto,*

*Dumny z dowcipu co - mniema rad -*

*Żelazo zmienia w szczerze złoto*

*I znaczy w dziejach głęboki ślad.*

- No i co o tym myślisz? Chyba go załatwiłem?

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Jaki rywal? Inny poeta? Naprawdę, Wheldrake, jesteś coraz bardziej niepojęty i wyraźnie zaczyna brakować ci inwencji.

- Nie! To on! To on jest coraz bardziej niezrozumiały! - Mistrz Wheldrake zamachał ramionami jak przedpotopowy pterosaur usiłujący po raz pierwszy w życiu wzbić się w powietrze. - To on, nie ja!

- I ty też. A jego nawet nie znam. - Spojrzała na niego powłóczyście a smutno i jej piękne, niebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe niż zwykle. Cudowne, złote włosy spłynęły chaotyczną kaskadą na złocistą twarz kochanki. - A sądząc po tonie twoich słów wątpię, by on znał ciebie.

- Do cholery z nim! - Wheldrake przedzierał się przez swój pokój niczym przez dżunglę. Ary i inne papugi wzbiły się z jazgotem na co grubsze odroślą bluszczu wspinającego

się aż pod sufit. - On jest bogaty, ponieważ schlebia publiczności, która ma duże mniemanie o jego inteligencji! Ba! Zresztą, skoro jestem tu, gdzie jestem i korzystam dożywotnio z patronatu Królowej, to najważniejsze, żeby ona mnie ceniła.

- Mówiła, że bardzo podobało jej się przygotowane przez ciebie przedstawienie, a Montfallcon wspomniał coś, że szlachectwo cię nie minie.

- Marnuję czas, Lucindo, skrobiąc te jałowe ataki na moich rywali i żalosne lamenty z powodu kobiet, które mnie odrzuciły. Zarabiam na życie, płodząc chore na słoniowaciznę, pompatyczne pierdułki dla tych dworskich filistynów. Coraz bardziej oddalam się od poezji, od mojej dawnej poezji. Brakuje mi weny...

- Na Ariocho, Wheldrake! Myślałam, że dość masz ostatnio natchnienia i na sto sonetów!

Wheldrake zmarszczył brwi i ruszył w drogę powrotną, wymachując piórem, aż atrament przyskał na wysoką pierś lady Lyst, na niedoczytane metafizyczne księgi i na draperie.

Ostatecznie Mistrz zmiął kartkę papieru.

- Mówiłem ci już. Żadnych więcej upokorzeń!

Ponownie spojrzała w okno.

- A może powinieneś powrócić na pomoc? - spytała obojętnie. - Do swojego majątku?

- Gdzie czeka mnie jeszcze mniej zrozumienia. Myślałem raczej o podróży do Arabii.

Ta kraina mnie przyciąga. Co sądzisz o Wielkim Kalifie?

- Cóż, jest bardzo arabski. Ma o sobie chyba wygórowane zdanie. - Lady Lyst

niezdecydowanie podrapała się po żebrach.

- Był bardzo pewny siebie.

- A tak. - Ziewnęła.

- Widać, że jego orientalna zmysłowość zrobiła na Królowej wrażenie/ O wiele



większe, niż ten biedny, zalatujący kruchą król Polski.

- Była miła dla Polaka.

- Ale obu odprawiła sfrustrowanych, nie dając im nawet szansy podbicia Albionu. Obaj popełnili ten sam błąd i podeszli do niej jak do obleganej twierdzy, a tymczasem należało niczym ostatni niewolnik rzucić się do jej stóp.

- Sam stworzyłeś sobie taki wizerunek Gloriany. Nic nie świadczy...

Wheldrake spłonął się tak bardzo, że przez krótką chwilę jego włosy i skóra były tej samej barwy. Rozwijał z zakłopotaniem kartkę z satyrą, gdy weszła służąca.

- Gość do waszych lordowskich gości. Tan.

- Wheldrake! To twój krajan.

- O tyle, o ile. - Wheldrake pociągnął nosem i podszedł do niej, by usiąść obok. Rozparł się niby na tronie nie zauważając, że spod koszuli wystaje mu kościste kolano.

Wychudzony lecz krzepki Tan Hermiston wkroczył powiewając kraciatą spódniczką i skórzaną torbą. Na głowie miał monstrualnych rozmiarów bonnet, zaś płomienista broda zdawała się poprzedzać go. Położył dłonie na biodrach i uśmiechnął się do siedzącej pary.

- Jaki piękny widok! Świeżo z pościeli, zaspani jak kocięta. No, no, no!

Wheldrake zamachał papierem.

- Od rana pisałem wiersz, sir! - Jego głos popiskiwał sztuczną afektacją.

- Zaprawdę? Ja zaś cały rano strawiłem na przedzieraniu się przez pięć światów po to tylko, by złożyć starym przyjaciołom wyrazy szacunku.

Lady Lyst klasnęła i zamarła, jakby zdziwiona odgłosem.

- I co przyniosłeś ze sobą z wycieczki w te metafizyczne rejony?

- Znowu romansidła? - Wheldrake był sceptyczny. - Opowieści o bogach i demonach, historie z cyklu miecza i czarów?

Tan Hermiston zignorował przytyk.

- Przekonany byłem, że udało mi się ująć pewną bestię, ale przybywszy, stwierdziłem, że uciekła. Później zamierzam porozmawiać z mistrzem Tolchardem, który wynalazł pojazd przenoszący mnie do tych krain.

- Powóz ciągniony przez zjawy, co? - powiedział Wheldrake. - Duchy, które dały ci mocnego napoju i sprowadziły sen.

Tan roześmiał się serdecznie.

- Lubię cię, mistrzu Wheldrake, za twój sceptycyzm nader podobny mojemu. Naprawdę pojmałem to zwierzę. Wielkiego gada przypominającego smoka. Nazywał się aligator.

- Żyją one w południowych hrabstwach Virginii - stwierdził Wheldrake. - Roją się w rzekach i bajorach. Wielkie stworzenia. Widziałem raz wypchanego. Prawdziwe krokodyle z Tygrysu.

- Ale ten jest większy - powiedział Tan i zmarkotniał. - Czy raczej - był większy.

Wehikuł Mistrza Tolchrade'a tak ryczał i trzął się, jakby jego niewidzialne moce pociągowe chciały zabawić się kosztem powierzonego ich pieczy śmiertelnika. Dostałem czymś w łeb, aż mi świece w oczach stanęły, chociaż przedtem pokonałem dwóch półbogów i wyszedłem z walki bez draśnięcia.

- Na Hermesa! Zawsze intrygowało mnie, czy twoje opowieści biorą się z pełnej fuzli wódki zbożowej, którą wlewasz w siebie kuflami, czy też po prostu kłamiesz z nudów.

Tan i to przyjął bez obrazy.

- Ani jedno, ani drugie, mistrzu poezji. Sprawa wygląda o wiele prościej. Prawdę mówiąc, miałem też jednorożca, ale aligator go pożarł.

- Twoje podróże do obcych krain to tylko wytwór wyobraźni wysilającej się na kiepskie metafory. Takich poetów spotyka się co dzień.

- Ale ja nie jestem poetą i nie wymyślam tych krain, tylko je odwiedzam. Lady Lyst, czy zechcesz wybrać się ze mną do manufaktury mistrza Tolcharde'a?

- Tylko się ubiorę.

- Ja też się przejdę. - Wheldrake był zazdrosny, mimo że wiedział, iż Tana i lady Lyst łączy tylko niewinna przyjaźń. - Chyba, że poznanie jego sekretów dostąpić mogą tylko wybrani.

- Tam nie ma tajemnic, Mistrzu Wheldrake, a tylko wiedza. Ta sama, którą ludzie nagminnie odrzucają w pogoni za złudnymi sekretami.

Gospodarze poszli się przebrać, tymczasem gość rozejrzał się po pokoju, biorąc do ręki, przerwane w połowie pisania, tezy lady Lyst, otwierając bez większego zainteresowania księgi poświęcone filozofii, matematyce, historii, alchemii i astronomii. Tan Harmiston był człowiekiem czynu. Nawet do zagadek metafizycznych podchodził w sposób praktyczny, gotów najpierw wszystko trącać czubkiem szpady. Lady Lyst pojawiła się w błękitnych, wymiętych jedwabiach, a mistrz Wheldrake w czarnych atłasach. Niedopięta kreza kołysała się luźno po obu stronach jego szyi. W ślad za chudym Tanem podążyli pałacowymi korytarzami ku schodom, by następnie galeriami dotrzeć do starszej części budowli. Wschodnie Skrzydło można było rozpoznać po ostrych woniach chemikalii i odorze jakby świeżo wytopionego żelaza.. Po niemal zrujnowanych, szerokich marmurowych schodach wspięli się na jeden podest, potem na drugi, a zawieszona rozsypującymi się koronkami galeria z zakurzonymi, półkolistymi okienkami pod sufitem doprowadziła ich do wysokich drzwi. W odróżnieniu od sklepienia i kolumn galerii, wstawione były w stare, niemal barbarzyńskie ostrołukowe odrzwia obłożone ospowatym drewnem, brązem i czarnym żelazem.

Tan Hermiston uderzył we wrota pięścią, aż te zadrżały w posadach, i niemal natychmiast zostały otwarte przez jednego z wielu uczniów mistrza Tolcharde'a. Młodzieniec

ów miał okulary, skórzany fartuch i narękawniki. Jego twarz rozpoznała się, gdy rozpoznał Tana.

- Dzień dobry, sir.

- Dzień dobry ci, Colvin. Możemy wejść? A może twój pan jest akurat zajęty?

- Oczekuje cię, sir. - Młody Colvin odstąpił na bok i wpuścił ich do mrocznego, pełnego oparów pomieszczenia. Dym napływał z antyszambrów, zupełnie jakby zaciekawiony hałasem postanowił sprawdzić, kto przyszedł w gości. Ze ścian spoglądały spod kurzu pożółkłe tablice astrologiczne, skrzynki i księgi. Woń laboratorium była tu bardziej intensywna. Wheldrake rozkaszał się i by nie zginąć od smrodu, musiał przycisnąć chusteczkę do ust. Minawszy kilka dalszych komnat doszli do podziemia pełnego poskręcanych miedzianych rur, wyglądających jak wnętrzności jakiegoś dawno wymarłego lewiatana. Poprzez ten rokokowy labirynt dostrzegli stojącą w drugim końcu pomieszczenia ławę z retortami, a przy niej niskiego mężczyznę o ostrych rysach i z nienaturalnie niezmiennym uśmiechem. Bez słowa obserwował retorty.

Sam mistrz Tolcharde wyłonił się nagle spoza wielkiej, miedzianej kuli, przerywając uderzenie w nią młotkiem.

- Za pomocą tej maszyny zamierzam wysłać cię w podróż przez czas, Hermiston!

- Ale nie dzisiaj, jeśli można.

- Dopiero za parę miesięcy. Wciąż jeszcze wymaga ona wiele pracy, tak w kwestii konstrukcji jak i teorii. Doktor Dee mi pomaga. Nie przyszedł z wami? - Lśniące gorączkowo, ale przyjazne oczy mistrza Tolcharde'a raz i drugi omiotły całą gromadkę. Uśmiechnął się ukazując poobłamywane zęby i otarł pot z łysiny.

Tan potrząsnął wystającymi spod nakrycia głowy lokami.

- A to kto? - spytał wskazując kciukiem na postać przy ławie.

- Podróżnik. Przybył tu nie tak dawno za sprawą lśniącej piramidy, która go wciągnęła i wyrzuciła w to właśnie miejsce.

Mistrz Wheldrake odwrócił się i w miedzianej gładzi kuli przyjrzał się odbiciu własnej twarzy.

- A zatem zachodzi wymiana pomiędzy światami?

- Tak - odparł prostodusznie mistrz Tolcharde. - Tan odwozi wielu z powrotem, ale i liczni przybywają. Inni zjawiają się i odchodzą bez naszego udziału. Gdybyście ujrzeli niektóre z tych stworzeń...

Mistrz Wheldrake uniósł dłoń.

- Innym razem, sir. Nie chciałbym marnować twego czasu.

- Ależ ja zawsze gotów jestem służyć tym, którzy szczerze dążą do Prawdy.

- Potem, mistrzu Tolcharde. Zacząłeś mówić o swoim gościu.

- Nazywa się Calhoun i mówi, że jest z White Hali. Baron. Wiele pojmuje z filozofii mojej nauki, ale na tym porozumienie się kończy. To dość miły człowiek, choć szalony, niestety. Aha! Jest i doktor Dee!

Wielki mędrzec wkroczył odziany w brązy i pobłyskując wplecioną we włosy i w brodę siwizną, przywitał się z towarzystwem serdecznie, aż wzrok jego padł na lady Lyst i na twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

- Miło mi... Żałuję, ale ja chyba nie...?

Lady Lyst uniosła brwi. Nie przychodził jej do głowy żaden powód tak znacznego zmieszania uczonego.

- Czyżbyś obiecał mi coś, doktorze Dee?

- Och, pani, błagam o wybaczenie... - Aż zmałał ze strachu. - Błagam...

Oczy lady Lyst zrobiły się jeszcze większe niż zwykle.

- Nie wiem, w czym rzecz, ale jeśli moja obecność jest ci nie na rękę, to natychmiast się oddalę.

- Nie, nie. To zaszczyt gościć tak znamienity intelekt pomiędzy nami. Niemniej jest tam ktoś - obejrzał się za siebie, na miedziane zwoje - kogo musisz spotkać, jeśli jeszcze go nie poznałaś. - Doktor Dee oblał się na chwilę purpurą i wskazującym palcem połuźnił kryzę wokół szyi. - Herumph! Wasza Wysokość!

- Tutaj, Dee! - odpowiedział z mroku głos zdradzający cudzoziemski akcent.

- Królu Rudolffie, jesteśmy tutaj, przy kuli!

Ku ławie z retortami kierował się zwawo młody król-naukowiec. Ręce trzymał za plecami, kaftan, spiczasta czapeczka i bryczesy utrzymane były w kolorach myśliwskich.

- Co się dzieje?

- Chciałbym przedstawić cię lady Lyst.

Król Rudolf spojrział na damę z uśmiechem.

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Korespondowaliśmy kiedyś ze sobą, gdy pierwsza rozprawa lady Lyst została opublikowana w Pradze. Parę razy rozmawialiśmy podczas moich wizyt na dworze. Rad jestem takiej kompanii. I my też chyba kiedyś się już spotkaliśmy, mistrzu Wheldrake. Podziwiam twe wiersze, chociaż ostatnio niewiele ich do mnie dociera...

- Jestem skończony - wybuchnął miniaturowy poeta. - Oto czemu nie ma wierszy.

Poezja odeszła.

- Nie poprosiłeś doktora Dee, by wskrzesił twój talent?

- Moja reputacja jest dla mnie ciężarem, Wasza Wysokość - uśmiechnął się doktor Dee.

- Wielu zwraca się do mnie z takim właśnie żądaniem w imieniu krewnych i ukochanych. Ale gdybyś miał, panie, rację, wówczas mistrz Wheldrake jest pierwszym, który poprosiłby o to osobiście.

Wheldrake oparł się o kulę, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

- Może powinieneś zaprosić mistrza Wheldrake'a na swój dwór, Wasza Wysokość - zaproponowała lady Lyst. - Nas tutaj uważa za Filistynów, a wiadomo powszechnie, że Elfbergowie są na swój sposób znakomitymi artystami i uczonymi.

Doktor Dee klepnął króla w plecy.

- A to najświetniejszy ze wszystkich Elfbergów. Żołnierz, poeta i naukowiec!

- A nade wszystko, jak się obawiam, okrutny dyletant. - Król Bohemii nie dał wziąć się na pochlebstwa. (W rzeczy samej wydał trzy wspaniałe zbiory poezji, dwie rozprawy naukowe, monografię z dziedziny historii naturalnej, a pięć lat wcześniej poprowadził udaną kampanię Macedonii przeciwko Imperium Tatarskiemu). Wheldrake nie cierpiał tej jego ułożoności i poświęcił mu kiedyś parę wersów (*Jakaż jest łaskawość takiego króla, który pcha swój nos do każdego ula, niech lud przy trze mu nosa, bo zabraknie króla*).

- Na pewno nie jesteś, panie, dyletantem w dziedzinie nauki - powiedział Wheldrake głośno.

Lady Lyst rozejrzała się po laboratorium.

- Może powinniśmy ugościć jakoś czcigodnego gościa, mistrzu Tolcharde?

- He?

- Może podać wino? Masz tu coś? Czy nic? - Wzięła do ręki wielki słoik. - Może to?

- To jest akurat mocz ciężarnej ropuchy - stwierdził mistrz Tolcharde - i obawiam się, że nie ma w tym ani procenta alkoholu.

- Nie, w urynie nie ma. - Jak zwykle, wiedza doktora Dee okazywała się pomocna. - Jest jednak kilka gatunków, których mocz...

Lady Lyst oddaliła się ku ławie i zajrzała do zacienionej alkowy.

- Co to jest?

- Mechaniczni komedianci. Zamierzam stworzyć cały zespół, a potem przedstawić ich Królowej.

Metalowe postaci naturalnej wielkości kołysały się niczym wisielcy na szubienicy i pobrzękiwały z cicha: Kolombina, Pierrot, kapitan Fracasse i Scaramouche w beżowo-srebrnych kostiumach najmodniejszej Comedie Parisienne. Wszystkie lśniły świeżym lakierem.

- Wspaniale - mruknęła lady Lyst. Pochyliła się i podniosła z podłogi zakurzoną flaszkę.

Jak ich ożywasz?

- Za pomocą sprężyn i kół zębatych mego własnego pomysłu. - Poklepał zwisającą nogę, która jakby drgnęła. Obrócił mechaniczną lalkę, a ta spojrzała z godnością w przestrzeń ponad jego głową. - Niestety, nie zamocowałem jeszcze paru prętów i osi, więc nie mogę wam ich zademonstrować.

Tan Hermiston otoczył ramieniem barki króla Rudolfa i pokazywał mu coś w rodzaju barokowej, żelaznej karety stojącej przy przeciwległej ścianie lochu. Colvin tymczasem pomagał zgrzybiałemu baronowi Calhounowi wstać z krzesła i oddalić się do antyszambrów.

Doktor Dee przyłączył się do lady Lyst i mistrza Tolcharde'a, podziwiając łysą jeszcze Kolombinę obracającą się na haku niczym podczas piruetu.

- I kto odgadnie, mistrzu Tolchardzie, gdy ukończysz swą pracę, że te stworzenia nie są, jak my, z krwi i kości? - Doktor zastanawiał się nad czymś. - Z krwi i kości...

- Ach - mruknął Tolcharde. - W rzeczy samej. - Potarł odruchowo lśniącą łysinę.

Doktor Dee mrugnął porozumiewawczo.

- A jak idą inne prace, mistrzu?

- Przy kuli?

- Nie, mam na myśli moje zamówienie.



- A tak! - Tolcharde odślonił w uśmiechu brunatne zęby. - Prawie gotowe, doktorze

Dee. Samo zwieńczenie dzieła należeć jednak będzie do ciebie.

- Rozumiem. - Doktor Dee aż pojaśniał. - A zatem wszystko w porządku?

- Skromnie muszę przyznać, że jest to zapewne najlepsze dzieło. Szczyt moich talentów i idei. Natchnienie przychodzi zwykle nagle i mimowolnie, ale konieczna jest jeszcze metoda i środki, by przełożyć samą pasję na język nauki i okiełznaną sprowadzić do poziomu praktycznych wynalazków. Podziękowania Królowej dostarczają mi zwykle największej motywacji. Słyszałem, że zachwycona jest małym sokołem, prawda to, lady Lyst?

- Tak. Szkoda tylko, że nie wbudowałeś mu instynktu nakazującego wracać do domu.

Poleciał ponad puszcze Norbury w pogoni za siewką i przepadł bez wieści.

- Sokoły są proste w konstrukcji. Zrobię jeszcze jednego. - Zadowolony mistrz

Tolcharde odwrócił się do ławy.

Wheldrake wziął do ręki oprawne w srebro zwierciadło z wypolerowanego kwarcu, które krzywo odbiło ptasie rysy jego twarzy.

- Czy to magiczne lustro, mistrzu Tolcharde?

- Pochodzi z Indii Zachodnich - powiedział doktor Dee biorąc przedmiot z rąk

Wheldrake'a. - Przywiezione przez Thomasa Ffynne'a jest zapewne częścią jakiegoś iberyjskiego łupu. Pierwotnie chyba służyło kapłanom Azteków do przywoływania bogów lub demonów. Zawsze jest trudno i trochę niebezpiecznie eksperymentować z zaklęciami i napojami, gdy trzeba zdać się na ślepy traf. Nie ustajemy jednak w wysiłkach w imię nauki. - Schował lustro do prostego pudełka z polerowanego drewna, to zaś wcisnął pod ramię. - Zdaje się, że król zamierza zostać tu trochę, a zatem poproszę Tana, by się nim zaopiekował. Ja sam muszę oddalić się na umówione spotkanie. Dziękuję, mistrzu Tolcharde, za dobre wieści. Lady Lyst. - Skłonił się. - Mistrzu Wheldrake.

Unosząc brązową szatę, jakby chciał wzbić się do lotu, pospieszył pomiędzy miedzianymi rurami ku drzwiom.

Przez labirynt schodów, galerii i korytarzy doktor Dee powrócił do jaśniejszej i lepiej wentylowanej nowej części pałacu. W Długiej Galerii natknął się na dwóch ministrów pograżonych w rozmowie z sir Thomasem Ffynne'em. Czarno-biały strój admirała pasował raczej do otwartego morza, niż do dworu, i mocno kontrastował z ciężkimi brokatami, sterczącymi krezami, falującymi atłasami i łańcuchami lorda Ingleborougha i zacnego Montfallcona.

Lord Kanclerz ukłonił się doktorowi Dee sztywno i formalnie, ale Ffynne powitał go radośnie, z serdecznością, którą zwykle rezerwował dla doktora Dee. Sir Thomas uważał go za nieszkodliwego i miłego ekscentryka służącego Królowej bardziej jako błazen, niż minister.

- Dzień dobry, doktorze Dee. Jak zakłęcia? Co nowego w kartach? - Więcej niż raz korzystał z jego geograficznej wiedzy i jak mógł odwdzięczał się zebranymi po świecie informacjami.

- Wróciłeś właśnie z kolejnej podróży, sir Thomasie?

- Twoje poczucie upływu czasu nie należy do najbardziej precyzyjnych, Dee. - Tom Ffynne zmrużył oczy i roześmiał się, postukując kościaną nogą o marmurowe płyty posadzki. - Wróciłem z Indii już niemal miesiąc temu i od tego czasu nie pobierałem cła od iberyjskich statków zbłąkanych na chronionych przez nas akwenach. Dopiero co byłem u Królowej. - Pomachał trzymanym w dłoni pakietem. - Mam już dokumenty i żegnam się właśnie z przyjaciółmi. Niech tylko lody uwolnią Tamizę, a zaraz wyruszam. *Tristan i Isolda* czeka na mnie w Charing Cross. Miesiąc na ładzie to za dużo dla mnie. Pamiętam o świecidełkach, o które mnie prosiłeś. Będę się za nimi rozglądał, doktorze Dee.

- Zawsze jestem ci zobowiązany, sir Thomasie. - Skinąwszy głową lordom

Ingleboroughowi i Montfallconowi, Dee ruszył dalej. - Bezpiecznej podróży, sir. Żegnajcie!

Och! Przepraszam, chłopcze. - Odwracając się wpadł na Patcha. - To ty, dobry z ciebie dzieciak. Taki miły. Żegnajcie!

Patch przysunął się do swego pana, a Ingleborough uśmiechnął się z czułością.

- Nic ci się nie stało, Patch? Niezgrabiasz z tego doktora!

- W rzeczy samej - zgodził się lord Montfallcon zezując na brunatną postać, która właśnie zniknęła za rogiem. - Brakuje mu zręczności. Boli mnie, że ma tak wielki wpływ na Królową.

- Ale nigdy w istotnych sprawach - powiedział Tom Ffynne. - A poza tym, jego wiedza znacznie wspomogła moją nawigację. Wiele uczynił dla żeglugi, Perionie.

Lord Montfallcon zignorował niemiłą mu pochwałę doktora Dee. Złożył ramiona na szerokiej piersi i spojrzał z góry na przyjaciela.

- Piractwo nie zawsze popłaca, Tomie. Najlepiej byś zrobił, dając sobie z tym spokój.

Szczególnie na Morzu Śródziemnym, gdzie łatwo o przypadkowego świadka. I nie tykaj statków Maurów, ani jednostek polskich. No i tatarskich, przynajmniej w tej chwili.

- Wtedy zostaną mi tylko okręty Sojuszu Nizinnego, iberyjskie i jeszcze paru niezawisłych państw...

- Ciężka sprawa - mruknął Pierwszy Lord Admirał nieświadomie popierając niezadowolonego Ffynne'a. Mimowolnie dotknął przy tym dłoni Patcha.

- Znasz reguły, Tomie. Nie rób niczego, co mogłoby zaniepokoić Królową. Nie wolno ci szkodzić dobremu imieniu Albionu. Nie utrudniaj mi uprawiania dyplomacji.

- Dobrze, rozumiem. Innymi słowy, porzuć żeglowanie. Przyjdzie mi pozostać na Kanale Angielskim i Morzu Irlandzkim, wypatrując ławic śledzi. O ile oczywiście twoje intrygi nie obejmują także prostych rybaków!

Montfallcon był nieugięty.

- Wiedziałem, że uszanujesz honor Królowej.

- Albion jest wzorem dla świata - przytaknął posmutniały nagle Ingleborough.

- Będę o tym pamiętał. A teraz... - Ffynne wyciągnął ku przyjaciołom niewielkie, poznaczone bliznami, ale mocne dłonie. - Uważajcie, by spokój dworu nie uspił was, bo nigdy się już nie obudzicie. A ty dbaj o zdrowie, Lisuarte.

Ingleborough dotknął bladego policzka.

- To tylko zwykłe, zimowe dolegliwości. Gdy wrócisz, będę już rumiany i żywy jak zwykle.

Sir Thomas Ffynne odwrócił się na sztucznej nodze i odszedł postukując *klip-klap*, *klip-klap*...

Montfallcon i Ingleborough w towarzystwie pięknego paza, postępującego o parę jardów z tyłu, podjęli przechadzkę po pałacu, którą praktykowali często, gdy pogoda uniemożliwiała zdrowotny spacer na zewnątrz. Krok po kroku oddalali się coraz bardziej od zatłoczonych korytarzy, aż doszli do Wschodniego Skrzydła, które nie tak dawno opuścił doktor Dee. Oni jednak zmierzali dalej i głębiej przez rozległe, przestronne podziemia, pełne butwiejących śladów świetności: sztandarów, pancerzy i broni pokrytych kurzem. W końcu znaleźli się w rozbrzmiewającym echemi sanktuarium katedry tyranii: Sali Tronowej ojca Gloriany, Króla Heraa. Teraz rządziły tu szczury, a pająki nieskończenie powtarzały kroki odwiecznego tańca stawonogów snujących sieci. Jakies cienie poruszyły się w mroku i zniknęły. Salę oświetlał tylko jeden promień, pionowo padający na mozaikową posadzkę. W tym kręgu blasku, obecnie naznaczonym jedynie śladami przepęczających węży i ślimaków, niegdyś mrużyły oczy ofiary Heraa: więźniowie i dworzanie, którzy utracili łaski, podczas gdy ich oprawcy skrywali się w ciemności. Tron pozostał: asymetryczny, z oparciem jak

wypaczona półkula. Stał na postumencie, na który prowadziło trzynaście stopni. Ingleborough i Montfallcon przychodzili tu czasem, by wspomnieć bolesną przeszłość, do której przemienienia doprowadzili, i której powrót wciąż pracownicy uniemożliwiali. Teraz było tu zimno, ale obaj starcy pamiętali blask płonących koksowników i krwawy syk płomieni. Nie zapomnieli szeptów i zemst planowanych i dokonywanych, nosili w pamięci trucizny i korupcję opanowującą każdą, najbardziej nawet niewinną duszę, która ośmieliła się wejść na tę arenę zbrodni.

Ponad nimi górowały obsydianowe posągi o groteskowo człowieczych kształtach, śniące zapewne nadal w zadumie o ponurej, okrutnej i niesamowitej zarazem epoce, gdy Sala Tronowa Herna rozbrzmiewała jękiem okaleczonych ofiar i chrapliwym śmiechem pijanych degeneratów, zbyt przerażonych lub zafascynowanych, by wyrwać się spod wpływu trującej atmosfery szaleństwa Herna, który w okrucieństwach szukał ucieczki przed trawiącą go nienawiścią wobec samego siebie.

Miejsce to napępniało Patcha lękiem. Przysunął się do swego pana i dla dodania sobie odwagi ujął go za rękę.

- Czy Król Hern był niespełna rozumu? - szepnął. - Był, prawda?

- Jego szaleństwo uczyniło Albion bogatym Królestwem - odpowiedział Montfallcon. -

We wszystko. Wprawdzie nie miał żadnych ambicji politycznych, przynajmniej w normalnym rozumieniu, doprowadził jednak do tak ostrej rywalizacji pomiędzy dworzanami i szlachtą, że ci ze wszystkich sił starali się pomnażać swe dobra, a tym samym majątek Albionu. Pod koniec jednak o mało wszystkiego nie stracono. Nasi wrogowie gotowi byli uderzyć, czekali tylko na wybuch wojny domowej, która wydawała się nieunikniona po śmierci Herna. Na tron wstąpiła jednak Gloriana, a stało się to dzięki wysiłkom ludzi takich, jak twój pan i ja. Ona to w ciągu trzynastu lat panowania odmieniła Królestwo, mrok śmierci zastępując złotym blaskiem.

- Niestety - dorzucił ze smutkiem Ingleborough. - My sami zostaliśmy w swoim czasie dotknięci obłędem Herna. Wszyscy nosimy w sobie ślady krzywd, zostaliśmy niegdyś skorumpowani i wykoślawieni.

- Wszyscy, ale nie Królowa! - zaprotestował Montfallcon.

Lord Ingleborough wzruszył ramionami.

- I nie ty, sir! - powiedział Patch do swojego pana z lojalnym podziwem w głosie.

- Nie ma się co łudzić, lord Montfallcon i ja służyliśmy Królowi, służyliśmy mu dobrze.

Zawsze jednak marzyliśmy o szlachetniejszej przyszłości, o peryklejskiej erze Albionu.

Strześliśmy Gloriany, która była symbolem naszej nadziei. Zwracaliśmy Króla przeciwko jego

popiecznikom i sączyliśmy mu w uszy plotki o spiskach tak długo, aż z czasem wymordował

większość swoich zwolenników i zastąpił ich ludźmi takimi, jak my, których żołądki były za

słabe, aby znieść widoki codziennie obecne w tej sali...-Ingleborough westchnął i przytulił

chłopca. - Królowa zaś ma jak dotąd dziewięć córek, a żadna nie pochodzi z prawego łoża. To

mnie przeraża. Ona uznaje je wszystkie, ale nie wie nawet, kim byli ich ojcowie. Gdyby teraz

umarła... Nastalby chaos! Gdyby jednak wyszła za mąż...

- Konflikt - powiedział Montfallcon. - Dojdzie do niego wcześniej czy później. Gdyby

to chociaż był obywatel Albionu, czego nader mocno pragniemy, to uciszyłoby niektórych. Ale

ona poślubi tylko mężczyznę, który doprowadzi ją do... przyniesie jej spokój. A ta sztuka nie

udała się dotąd nikomu. - Spojrzał na posągi. - Jeśli Gloriana upadnie, to samo czeka Albion.

Lub nawet gorzej. Możemy mieć do czynienia z państwem słabym, cynicznym,

niesprawiedliwym i zachłannym. Znow pochłoną nas sprawy małe, a zgnilizna drążyć będzie

od środka. Arabia pragnie niewątpliwie, byśmy zachowali swą wielkość, ale gdyby to Arabia

zaczęła rządzić Albionem, katastrofa byłaby nieunikniona, ponieważ jest nazbyt niesforna,

dumna i męska... My zaś przetrwaliśmy dzięki charakterowi Królowej, jej kobiecości... To ona

wpaja ludziom idealizm, uczy ich działać dla dobra Albionu, ma wpływ na cały świat.

Podobnie jednak jak wielu śni o tym, by słońce ściągnąć z nieba i mieć je wyłącznie dla siebie, tak niejeden kochający Glorianę mężczyzna liczy na to, że wykorzysta ją dla własnych celów.

Nie dostrzega, że to Albion stworzył ją w równej mierze, jak ona wykreowała obecny Albion.

Nie widzą, że niszcząc korzenie, unicestwiają również kwiat. Nie wiem, czy na całym świecie jest taki książę, który oddałby się Albionowi na tyle, by Gloriana oddała się jemu?

- Jak dotąd żadnego nie spotkaliśmy. - Montfallcon odwrócił się gwałtownie; wydało mu się, że widzi kogoś przyczajonego za posągami. Uśmiechnął się do siebie. - I póki co nie ma nikogo, kto by okazał się taką szlachetnością ducha, by zadowolić Królową. Na Xiombarg! Dość już próbowaliśmy, Lisuarte. Mam wrażenie, że wkrótce Królowa będzie zmuszona do pewnych poświęceń...

- Obawiam się jednak, że Królowa czyniąc to, czego nie chce, będzie osobą o niestałym charakterze, będzie Królową niepewną. Nie potrafię zapomnieć o wzajemnych powiązaniach łączących Albion i Glorianę. Jeśli ona straci nadzieję - wówczas i nadzieja całego kraju sczeźnie.

Ingleborough wyprowadził Patcha za rękę z Sali Tronowej. Montfallcon wahał się jeszcze przez chwilę, aż podążył za nimi.

Gdy wyszli, zza tronu dobiegły najpierw jakieś szelesty, a potem wynurzyła się z mroku obszarpana postać wariatki, która wstała i oparła jedną rękę na czarnej poręczy tronu, i zastygła nasłuchując na wypadek, gdyby ktoś wracał. Potem zbiegła zgrabnie po schodach, dygnęła przed pustyni tronem, i niby dym mieszający się z mgłą zniknęła w cieniach.

Śledzący ją Jephraim Tallow wyszedł z ukrycia i przystanął z rękami na biodrach i kotem na ramieniu, by się rozejrzeć, ale nie udało mu się wypatrzeć wariatki.

- Cóż, Tomie, wywiodła nas w pole. Miałem nadzieję znaleźć z jej pomocą chociaż

jakąś spiżarnię. Obawiam się, że jako przewodniczka na nic nam się nie przyda i musimy poszukać sobie kogoś, kto bardziej jest obeznany z sekretami pałacu.

Podszedł do wąskich schodków przy ścianie i wspiął się pod kopulaste sklepienie, a potem wyżej, do mostku, którego barierki sięgały wyżej jego głowy. Nad nimi była tylko ciemność, poniżej szumiało coś, jakby spływająca woda. Szedł szybko, aż natknął się na kilka stopni i drzwi prowadzące na niewielki balkon skąpany w blasku dnia. Zadrżał spoglądając na dwie postaci przechadzające się w ogrodzie poniżej i zniknął z powrotem we wnętrzu.

\* \* \*

Oubacha Khan, syn Wodza Zachodniej Ordy i ambasador Tatarii na dworze Gloriany Pierwszej, odziany w sięgający mu kostek płaszcz ze skóry kucyka i z takiegoż surowca buty oraz nakrycie głowy z kolczugi podbitej wełną, kroczył wraz z lady Yashi Akuyą przez bezbarwny ogród. Spowita w kimono obywatelka Nipponii musiała zrobić kilka drobnych kroczków na jego jeden, ale ponieważ skrycie kochała się w Tatarze, znosiła tę niewygodę (jak i zimno) z uśmiechem. Tataria i Nipponia były z dawien dawna wrogami, toteż oboje zwykle krępowali się pokazywać razem na tym obcym dworze.

Pewni, że nikt ich nie obserwuje w zapomnianym ogrodzie, rozmawiali spokojnie o sprawach, które nurtowały ich najbardziej.

- Ostatniej nocy znów wybrała się do stworzeń nad basenem - poinformowała Oubachę

Khana lady Yashi - a przynajmniej tak powiedziała mi moja dziewczyna (lady Yashi Akuya wprowadziła niegdyś do seraju Gloriany swoją gejszę, która wysyłała regularne raporty).

- Po czym zajęła się, o ile dobrze zrozumiałem, dziwnymi praktykami z owcą karłowatą

- powiedział młody chan, a lady Akuya oblała się rumieńcem. Tatar miał w seraju własnego szpiega, Mauretanina, który informował go nie tyle o specyficznych rozrywkach Królowej (o ile tak to można określić), co o stanie jej umysłu i ciała. Wiele krajów uzależniało swą politykę



od zdrowia Gloriany i własnych interpretacji jej prywatnego nieszczęścia.

- Ale jak zwykle bezskutecznie - dodała ze współczuciem lady Yashi Akuya. Sama cierpiała na to samo, co Gloriana, jednak nie tak intensywnie. Miała też nadzieję, że pozna wszelkie rozkosze orgazmu, gdy tylko Oubacha Khan zdecyduje się wreszcie ją posiąść.

- Wciąż jest sfrustrowana.

Ambasadorka Nipponii westchnęła ledwo rozchylając małe usta.

- Nie ma poszlak, by Polak lub Arab odwiedzali ją w sekretnych apartamentach?

- Żadnych. Chociaż obaj aż palili się do tego. Próbowali, słali bileciki i tak dalej.

Ostatecznie Polak wyjechał upewniony co do siostrzanej miłości, którą darzy go Królowa, a Arab pocieszył się paroma paziami i, choć tutaj plotki nie są do końca wiarygodne, księżną Scaith.

- Miał nadzieję, że księżna utoruje mu drogę do Gloriany. Nie mogło być inaczej, skoro postąpił wbrew swoim upodobaniom. - Tatar zachichotał, by ukryć trawiącą go zazdrość.

Wprawdzie Królowa nijak go nie pociągała, ale od dwóch lat żywił gorące uczucie do jej najbliższej przyjaciółki i sprawa dawno już wyglądałaby inaczej, gdyby opuszczając ojczyznę nie złożył ślubów czystości, wymaganych od wszystkich noszących szlacheckie tytuły emisariuszy Tatarii, wyruszających do obcych krajów.

- A na dodatek - powiedziała z radością lady Yashi Akuya - tak Arabia jak i Polska wydają się skłonne jeszcze ściślej potraktować swe sojusze z Albionem.

Tatar przytaknął.

- To wynik manewrów Montfallcona i niewinnego zachowania Królowej. Myślałem, że upewniając lorda Shahryara co do roli, jaką odegrał Montfallcon w zamordowaniu jego krewniaka, wzbudzę dość emocji, by doszło do swarów, ale najwidoczniej ambicje Arabii sięgają o wiele dalej i gotowa jest zapomnieć o honorowym załatwieniu sprawy, jeśli tylko

istnieje szansa pozyskania samej Królowej. - Tatar był pełen dezaprobaty. - Gdyby taka rzecz zdarzyła się z naszym wysłannikiem, zemsta byłaby natychmiastowa i to niezależnie od szkód, jakie spowodowałyaby na gruncie dyplomatycznym.

- W Nipponii byłoby podobnie - powiedziała lady Yashi wachlując długimi rzęsami. -

My także wiemy, co to honor.

- Wyspy Nipponii są synonimem samopoświęcenia. - Tatar zapomniał na chwilę o tradycyjnych uprzedzeniach. - Nasze dwa narody jako jedyne czuwają jeszcze na straży dawnych wartości w świecie, w którym pacyfizm stanowi teraz credo wszelkiego działania. Oczywiście jestem zwolennikiem pokoju, ale wywalzonego przez zwycięskie armie, dobrze zasłużonego odpoczynku u kresu wielu kampanii. Bitwa oczyszcza powietrze, pozwala jaśniej dostrzec słuszne cele. Cała dyplomacja jedynie niepotrzebnie komplikuje sprawy, które jedna porządna wojna rozstrzygnęłaby bez zbędnego gadania. Zwycięzcy wiedzą zwykle, co wygrali, przegrani, co stracili i każdy dobrze zna swoje miejsce, przynajmniej do chwili, gdy coś ponownie zaciemni obraz. Wiemy dobrze, że Arabia o niczym tak nie marzy, jak o wojnie z Tatarią, ale Albion powstrzymuje te zapędy frustrując Arabię niepomiarowo. Stąd też kraj ten ulega z wolna degeneracji, bowiem naturalna energia nie znajduje żadnego ujścia.

Stanęli przy drzwiach prowadzących do pokojów lady Yashi.

- Miło mi słyszeć słowa tak słuszne i tak zdecydowane - powiedziała. - Czy nie uznasz tego za zbyt śmiałość, jeśli zaproszę cię na herbatę, by jeszcze przez chwilę móc posłuchać twych słów?

- Absolutnie nie - odpowiedział chan. - Jestem zaszczycony twoim zainteresowaniem.

Odstąpiła, by wpuścić go do komnaty, która utrzymana była wyłącznie w tonacji bieli i czerni.

- Musisz opowiedzieć mi jeszcze o mordercy tego Araba. - Klasnęła na służących, by

wzięli jego wypłowiały płaszcz. - Mówisz, że to sprawka Montfallcona?

- To był jego człowiek.

## **ROZDZIAŁ 11**

W KTÓRYM KAPITAN QUIRE PRZYPROWADZA NOWEGO UCZNIA JOSIASOWI  
PRIESTOWI,

NAUCZYCIELOWI TAŃCA

Kapitan Quire siedział w wąskiej lektyce niesionej przez czterech klnących głośno na śliski bruk, wymizerowanych lokajów. Niemal z czułością spoglądał na siedzącą sztywno naprzeciwko, z rękami na podołku i złączonymi kolanami, Alys Finch. Ubrana była w odpowiednio skromny stanik, koszulę i halkę, a kreza otaczała jej szyję niby aureola, podkreślając nienaturalną biel skóry. Wyglądała równie dostojnie, jak jej ukochany. Oboje siedzieli posłuszni demonowi, który ich opanował.

- Szybko pniesz się w górę, Alys - pochwalił ją Quire. - Jeszcze trochę, a będę z ciebie dumny.

- Dziękuję, sir - odpowiedź była cicha i wyuczona.

- Przyrodzony jest ci wdzięk oraz dobry gust i tutaj nie mam wiele do roboty.

Sprawdziłem już, jak się ubierasz, pokazałem ci jak zachowywać się przy stole, odzywać się dwornie i tak dalej, ale nie mam czasu nauczyć cię rzeczy najważniejszych, to jest jak się śmiać, jak zachowywać pogodę i obserwować wszystko wkoło nie popadając w niebezpieczną beztroskę. Czuję się odpowiedzialny za ciebie, Alys, niczym ojciec (bo i tworzę cię o wiele bardziej świadomie i starannie, niż stworzył cię naturalny rodzic). Pragnę, byś była odporna na wszelkie możliwe ciosy. Obiecałem, że uczynię cię silną i nauczę polegać tylko na sobie i na tym, kto będzie twoim panem. Aby to osiągnąć podążamy teraz do Josiasa Priesta.

- Tak, sir.

- Skłonna byłaś uważać siebie za istotę słabą, a Phila za kogoś silnego. Dowiodłem, że

się myliłaś. W tobie jest moc, Alys, a niebawem zyskasz jeszcze więcej siły. Staniesz się zdolnym porucznikiem kapitana Quire'a w jego nieustannej wojnie z mizerotami tego świata. Quire bowiem jest tym, którego Matka Natura wyznaczyła, by oddzielił ziarno od plewy. - Jego czarne oczy błysnęły w sposób, którego ona, zapatrzona weń od przeszło dwóch miesięcy, nie potrafiła ani zrozumieć, ani rozpoznać jako dumnego samozadowolenia. - Oto czemu nigdy nie znieважаłem twej siły ni twej inteligencji żądaniem, byś mnie kochała. Zamiast tego oczekiwałem absolutnego posłuszeństwa, a w zamian ofiarowałem ci pewność siebie, moc i bezpieczeństwo. Niewielu mężczyzn rozumie to, co rozumiał Quire: jak silny jest fizyczny strach kobiety. Właśnie tę strunę poruszyłem w tobie z samego początku. A teraz uwalniam cię od strachu. Wyćwiczyłem cię jak sierżant swój oddział. Powiedziałem: „Zaufaj mi i oddaj mi swe życie, duszę i wolność, a będę chronił cię i uczył, jak sama masz zadbać o swoje bezpieczeństwo”. - Wyciągnął ku niej okrutną, muskularną rękę i uniósł jej brodę. - Czy czujesz się silna i bezpieczna, Alys?

- Tak, sir. - Jej szare oczy były spokojne, ale brakowało w nich życia.

Lektyka zakołysała się i z hukiem opadła na bruk. Quire otworzył drzwiczki i wyskoczył na zewnątrz. Stali przed bramą ogrodzonego wysokim murem podwórca. Za murem, otoczonym roslymi krzakami i ozdobnymi drzewami, wznosiły się ściany dwupiętrowego domu, który sądząc po wyglądzie, mógł należeć do bogatego kupca. Zostawiając Alys Finch w lektyce, Quire załomotał w bramę.

- Priest! Jesteś tam? - Jakies psy się rozszczękały i zza lewego węgła domu pojawiły się dwie latarnie niesione przez, służących w krótkich bluzach i pończochach. - Priest! To ja, Quire!

Zanim służący doszli do drzwi, te otworzyły się i jasny blask zalał podwórzec. Chuda postać uniosła rękę.

- Wpuść tego dżentelmena, Franklin.

Quire wrócił do lektyki i pomógł Alys wysiąść. Naturalny wdzięk dziewczyny został rozwinięty i zachowywała się obecnie skromnie z wyrachowania raczej niż odruchu. Quire dał tragarzom dwa razy tyle zapłaty, ile zażądali, puścił mimo uszu głośne wyrazy wdzięczności i przeprowadził Alys przez bramę, która została zaraz zatrzaśnięta i zamknięta na klucz.

- Przyprowadziłem ci młodą damę, mistrzu Priest, byś nauczył ją dobrych manier i tańca, a także przygotował ją do dworskiego życia.

Josias Priest, Mistrz Tańca, czekał na progu swego domu w aksamitnej szlafmicy na mizernych, mysich włosach, i w długiej koszuli z tego samego ciemnego aksamitu na ramionach. Oczy miał przebiegłe, a półotwarte usta przypominały pysk rozdrażnionego i przekarmionego kucyka. Był chudy i o głowę wyższy od Quire'a, w prawej dłoni trzymał nóż kuchenny, jednakże nic nie zdradzało, by miał agresywne zamiary.

- Już późno, kapitanie Quire - powiedział, gdy goście znajdowali się dość blisko.

- Nie musisz zaczynać od razu. - Zażartował Quire, a w wodnistych oczach Priesta odmalował się niepokój. - Zostawiam ją tutaj, by nauka przebiegać mogła szybko i sprawnie.

- Nie prowadzę internatu dla uczniów, kapitanie...

Quire przeszedł do jadalni, gdzie na wielkim stole czekała kolacja tak skromna, że byle zamiatacz ulic z doków byłby wyśmiał gospodarza. Quire zgromił wzrokiem okrawki sera, tłuszcz od szynki i skórki chleba.

- Ta dama przywykła do jedzenia lepszego, niż to. Jest pod moją szczególną opieką i strażą, a zatem nie będziesz jej skąpił żadnego jadła ni napoju. - Przysunął krzesło i Alys siadła z oczami wbitymi w blat stołu. - Jeśli ci się uda, zadbam o wzbogacenie twojej trupy o nowego członka.

- To nie jest najlepszy pomysł, kapitanie, by ta młoda osóbka zostawała w moim domu.

Po pierwsze, pojawią się plotki. Poza tym będzie rozpraszać pozostałych uczniów. Co więcej, zawsze grozić jej będzie niebezpieczeństwo, które czyha na tak młode panny, jakiś... nagły napad namiętności...

- Jak sądzisz, Alys, czy grozi ci zakochanie się w mistrzu Prieście?

- Nie, sir.

- No widzisz! Zatem jesteś bezpieczny, mój drogi. Mając takie gwarancje, nie możesz odmówić. Chcę, by umiała wszystko, co niezbędne, a zatem postaraj się. Jesteś w tym dobry. Musisz nauczyć ją chodzić, tańczyć, prowadzić rozmowę. Przede wszystkim naucz ją prawieć komplementy. Wiesz, jak to się robi, prawda? Oczywiście, że wiesz, to sztuka, w której jesteś niedościgniony, ba, na tym opiera się twoja filozofia życiowa. A zatem - dobre maniery, taniec i pochlebstwa. Będę zaglądał od czasu do czasu, by sprawdzić, jakie poczyniłeś postępy. A oczekuję, że będą znaczące, Priest!

- Kapitanie Quire! Ależ ja nie mam jej gdzie ulokować!

- Masz duży dom i wielu służących. Jeśli będzie trzeba, to zwolnisz któregoś. W pewnym sensie będzie to akt miłosierdzia. - Quire poprawił sombrero, by pewniej leżało na grubych, czarnych włosach, i przejrzał się z uwielbieniem w jednym z wielu luster mistrza Priesta. - Sprawuj się dobrze, Alys. Będę z niecierpliwością oczekiwał końca twojej nauki.

- Tak, sir.

- Przyślę dla niej ubrania - powiedział Quire.

- Lekcje, zakwaterowanie... Kto za to wszystko zapłaci?

- Ja, mistrzu.

- Ile?

- Tyle, ile zwykle, i w sposób jaki najbardziej nam obu odpowiada. Moja zwykła moneta to milczenie. Płacę za nią sześcioma miesiącami milczenia.

Mistrz Priest zasiadł za stołem i odsunął talerz z kolacją.

- Niech będzie. W jakim celu mam ją szkolić?

Quire zatrzymał się przy drzwiach i podrapał w podbródek. Potrząsnął głową i wykrzywił usta w uśmiechu.

- Jak na razie w żadnym. Może jednak pojawi się jakiś. Czasem czynię coś, jak wiesz już przecież, tylko dla samej przyjemności.

- Nie rozumiem cię, kapitanie Quire.

- Bo ja jestem artystą, a ty rzemieślnikiem. Dla ciebie każde działanie musi przynosić gotówkowy profit, może być niewielki, może nie być natychmiastowy ni bezpośredni. Potrafisz tylko liczyć. Ja jestem twórcą. Ja czynię. Ale świat jest dość duży, by pomieścić nas obu. Nie próbuj niczego rozumieć, rób tylko, co ci każę. Pamiętaj o tym, a będziesz o wiele bardziej szczęśliwy, Priest.

Spojrzawszy jeszcze znacząco wprost w oczy Alys, Quire zniknął za progiem.

## **ROZDZIAŁ 12**

### **W KTÓRYM KRÓLOWA GLORIANA ZABAWIA GOŚCI PODCZAS KOLACJI I ZASTANAWIA SIĘ NAD SWOIM I ALBIONU POŁOŻENIEM**

Długi stół przypominał Glorianie ścieżkę bielejącą niby w koszmarze sennym, który każe jej biec pomiędzy dwoma rzędami pułapek czyhających w regularnych odstępach po obu stronach szlaku zasłanego różnymi przeszkodami, mającymi opóźnić ucieczkę (srebrne stojaki na przyprawy i solniczki pod postacią fantastycznych bestii) i złymi duchami czającymi się za każdym kompletem zastawy. Rezygnując z normalnej ostrożności sięgnęła raz jeszcze po wino; udawała przy tym, że słucha gości z prawej i z lewej, przybierała na twarz wyraz zainteresowania, zdziwienia lub współczucia. Nie pozwalając sobie ani na apatię, ani na cynizm, cierpiała, bowiem wino nie dawało nic, poza częściowym usunięciem wiecznie

towarzyszącego jej napięcia.

*W rzeczy samej, mój panie. Szczera prawda, mój panie. Jaka szkoda, moja pani. Jak zręcznie... Jak mądrze...*

Szary jak granit lord Montfallcon odziany w czarny plusz z szarą, sterczącą kryzą i łańcuchem ze złota i hebanu na piersi, wymieniał przez stół złośliwe uwagi z sir Amadisem Cornfieldem, który starał się ignorować pomruki swej małej żony i nastawiał ucho ku jego lordowskiej mości.

- Są i tacy, którzy uznają Polskę za wzór demokracji i chcieliby jej ustrój zaprowadzić w Albionie. Słyszałem jak wyrażano takie poglądy także tutaj, w pałacu. Usunąć monarchię! Już Platon stwierdził, że ustanowienie demokracji to przedostatni krok ku całkowitej dekadencji. *Pozbyć się kiedyś tego brzemienia! Ale nie, obowiązek... Powinność...*

Sir Amadis, który w odróżnieniu od przystrojonej w purpurę i zielenie żony preferował tradycyjnie stonowane kolory, w szczelinę otwierającą się gdzieś pomiędzy brodą a wąsami włożył kawałek kuropatwy i żując powoli starał się okazać, że słucha z uwagą.

- A Arabia? Czy nie ma też takich, którzy oglądają się na rozmiłowaną w tyranii Arabię i nie marzą o tym, by i Albion stał się wojowniczym, żarłocznym smokiem?

- Który straciłby wszelkie siły w jednym, krwawym pchnięciu. - Sir Orlando pomachał trzymanym w dłoni widelcem do marynat. - Wojny to wyrzucanie pieniędzy i marnowanie życia poddanych. Wieczne boje odzierają narody z młodości. Inwestuje się każdą sztukę złota po to, by osiągnąć zwycięstwo, które nie przynosi żadnych korzyści, prócz konieczności dalszego łożenia na ujarzmienie podbitych terytoriów. - Poglądy ekonomiczne sir Orlanda były dla większości aż nazbyt radykalne.

- Wojna! - krzyknął tonem zaklęcia ambasador Tata-rii, jakby miał nadzieję samym wspomnieniem wywołać rzeczywisty konflikt. - Wojna dodaje siły narodom. Albion nie



powinien bać się zbrojnych potyczek.

*Ale ja obawiam się i wojny, i wszystkiego, co wojnie towarzyszy... Gwałt jest przeciwnikiem Prawdy, która wynosi bydlęta ludzkie do godności...*

Gloriana wyobrażała sobie bydlę ludzkie dokładnie i plastycznie. Nie przypominało jej ojca, którego pamiętała z młodości. Było to stworzenie zdradzieckie, złośliwe i skomlące, o trudnej do ustalenia potędze, które nawet najbardziej złożone problemy rozwiązywało błyskawicznie za pomocą siekiery i narzędzi tortur, a każdą decyzję podejmowało kierując się własnymi podejrzeniami i gubiąc w rozczulaniu się nad samym sobą interesy bezpieczeństwa zagrożonego państwa... Gloriana wspomniała to szaleństwo i żal...

- Pewni szlachcice z Virginii są zdeklarowanymi republikanami. - Kansas uśmiechnął się do słuchaczy rad z efektu, który wywołały jego słowa, i dołał sobie wina. Ubrany był, według mody własnego kraju, w ponure czerwienie i ciemne żółcie, z szerokim i wysokim kołnierzem wokół szyi.

- A pomimo to Virginia jest najbardziej lojalnym spośród narodów Albionu! - Żona sir Amadisa (najstarsza z sióstr Perrott) spojrzała w piękne, okrągłe oczy lorda Kansasa.

- Zaiste, pani. Królowa czczona jest u nas niczym bogini. Nie ma wątpliwości.

- Czyli...?

- Bycie republikaninem nie oznacza bycia antymonarchistą. Przykładem tego myślenia jest właśnie Polska. Sto lat temu Kazimierz Dwunasty (znany jako Zrównoważony) oddał parlamentowi całą władzę i stał się raczej symbolem i reprezentantem państwa, niż prawdziwym prawodawcą.

- No i gdyby Polsce zagroziła wojna - zawołał Ouba-cha Khan - nic nie uchroni jej od zguby! Zamiast jednej, podjąć trzeba będzie tysiące decyzji! - Spojrzał na lady Yashi Akuyę, której aprobatą była dlań wyznacznikiem wartości wypowiedzi. - Pospólstwo niezmiennie

pogrąży się w bełkocie, a król rządzi. Starożytne Ateny są tego najlepszym przykładem!

Mało kto gotów był się z nim nie zgodzić. Nawet hrabia Korzeniowski, na wpół głuchy i niedowidzący, pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Republikanie to zdrajcy stanu - powiedział lord Ingleborough, który spóźnił się z powodu łagodnego ataku serca i siedział sztywno na swym krześle z futrem narzuconym na ceremonialny strój. - Należy kierować się logiką. Zdrajcy powinni być... no cóż... - Zmieszał się, obejrzał na Królową i szybko odwrócił głowę. - Skazywani na wygnanie - zakończył.

*On chciał powiedzieć: zabici. Zadławieni, uduszeni, ścięci, rozdarci na strzępy...*

*Koniec z rozlewem krwi... Zbyt wielu zginęło... Zbyt wielu. Nie pozwolę zabijać w imieniu Albionu...*

- Zdrajca, lordzie Ingleborough - zahuczał sponad oskubywanego właśnie ptaka znany z mądrości lord Rho-one, którego broda spływała sokami - to ktoś, kto spiskuje czynnie przeciwko osobie Królowej lub bezpieczeństwu państwa. Jeśli stanowisko republikanów, stoików, teologów lub kogokolwiek innego nie zawiera w sobie żadnego bezpośrednio zagrażającego nam elementu, wówczas nie można osoby tak myślącej nazwać zdrajcą. Na każdym szanującym się dworze spotkać można bardzo różne opinie i przekonania, bowiem tam powinna odbijać się różnorodność poglądów narodu a nawet, o ile to możliwe, całego świata. Od monarchy oczekuje się, że będzie przewodził dworowi korzystając z porad wiernych doradców takich jak wy, szanowni członkowie rady, oraz z rad wszystkich tych, których mądrość może być użyteczna przy zrozumieniu konkretnych faktów. Dopiero wtedy monarcha może podejmować przemyślane decyzje.

*Och, zaufany, wierny Rhoone. Jak ułożony i niezmienny jest twój doskonały wszechświat! Jak mocną twoją wierność jest mi podporą! To, jak oboje rozumiemy wolność, czyni z nas niewolników...*

- Zgadzam się, lordzie Rhoone-powiedział wysłannik Kalifa, lord Shahryar, odsuwając prawie nietknięty talerz. - Czy jesteś skłonny również przyznać, że stabilność państwa uzależniona jest od trwania linii królewskiej, której potomkowie od wczesnego dzieciństwa wprawieni są w odpowiedzialnej sztuce rządzenia? - Z wyrachowaniem wywołał upiora, po czym zaraz się zastrzegł: - Oczywiście mówię tylko ogólnie, Wasza Wysokość.

Gloriana skinęła nie słysząc go prawie, ale poznając po tonie, że chodzi o znajome jej zaszłości. Ponownie zainteresowała się winem.

Lord Gorius Ransley, dygnitarz zarządzający uroczystościami koronacyjnymi, który siedział obok Saracena, obrócił ku mówcy głowę zdobną w sztuczne loki. Wepchnął koronki w rękawy i uniósł nóż, na który nadziany był kęs mięsa.

- W Polsce, jak wam wiadomo, król jest wybierany.

- Ale spośród szlachty związanej z linią panującą - zaznaczył lord Shahryar udając, że nie zauważa palących spojrzeń kierowanych ku niemu nie tylko przez doradców Królowej. -

Zaś stary król Hern tak skutecznie eliminował wszelkich rywali, że obecnie nie ma w Albionie nikogo, kto mógłby przejąć...

- Sir! - Spokojny zwykle Vivien Rich wydał podobne do śliwek policzki. - Ten ton nie przystoi rozmowie!

- Pewien jestem, że nie powiedziałem niczego, co nie było już wielokrotnie i na trzeźwo rozpatrywane przez tych, którym dobro Albionu leży na sercu - powiedział lord Shahryar poruszony wyraźnie poniżeniem, które go spotkało. - Jeśli się mylę, to proszę o wybaczenie.

John Dee nie był jedynym dżentelmenem przy stole, który poczuł się urażony, chociaż sama Królowa zdawała się taktownie nie słyszeć całej rozmowy. Doktor postarał się rozproszyć nagle zgęstniałą atmosferę.

- Wszystko to tylko spekulacje, które na dodatek sugerują, że nasza Królowa jest

śmiertelna! A wiemy przecież, że jest nieśmiertelna! - Uniósł kielich, a Gloriana uśmiechnęła się uprzejmie. Dee zinterpretował to jako aprobatę. - Cały Albion pewny jest, że nigdy nie spadnie na nas ta plaga!

Oubacha Khan wyglądał na zaniepokojonego: - Czyżby w Albionie szalała jakaś zaraza?

- Zarazy nie ma - wyjaśnił sir Vivien. - Plaga nam nie grozi, ponieważ Królowa żyje.

Nie słyszał pan powiedzenia prostego ludu: „Niech nigdy nie spotka nas najgorsza z plag”? Jest legenda, że kiedy Perykles umarł, plaga spadła na Ateny.

- Ale ja boję się zarazy. Jakie są jej objawy?

Sir Amadis Cornfield skrzywił się i włączył w działania mające na celu odegnanie dziwnego nastroju, który zapanował przy stole.

- Rzecz w tym, że oni nie obawiają się zarazy. - Żona sięgnęła pod jego pochyloną głową po kawałek sera. - Życzenie odnosi się bezpośrednio do zdrowia Królowej.

- Mojego? - spytała Gloriana, jakby budziła się ze snu. - Mojego zdrowia?

- Wiesz przecież, pani - powiedział lord Montfallcon - że prosty lud wierzy, iż gdybyś umarła, wówczas wielkie nieszczęście spadłoby natychmiast na Albion.

Gloriana wyprostowała się i zebrała na odwagę.

- Aha! A zatem niech dalej w to wierzą, a wówczas nie będę miała w Albionie wrogów.

Wszyscy starać się będą, bym żyła wiecznie. - Wychyliła kielich do dna i roześmiała się. Kilka osób zawtórowało jej, ale tak smutne słowa padające z tak dostojnych ust napełniły najbliższych siedzących obawą o samopoczucie Królowej.

- Tak, moja pani - odezwał się lord Ingleborough. - Módlmy się zatem, aby owi republikanie, którzy mogliby zburzyć tradycję i tym samym zagrozić podstawom naszego państwa, pamiętali o owym prorocztwie nie gorzej, niż lud Albionu! - Atmosfera zageściła się

jeszcze bardziej.

Sir Amadis zebrał siły raz jeszcze, wstał i uniósł złoty puchar.

- Pragnę wznieść toast. Za następne pół wieku pod rządami Gloriany!

Wszyscy musieli wypić, prócz Królowej, rzecz jasna.

*Bogowie, gdybym już była stara, a ciało moje cierpiało tylko zwykłe udręki zgrzybkości... Czemu nie mogę zaznać ugody, zaznać jedności? Bo znaczyłoby to śmierć Ducha. Niemniej to ciało wciąż przemawia głośniej niż ja sama, to popędy ciała mną kierują, sprawiają mi ból... Ciało, nie Duch. Są jednym, jak Gloriana i Albion... Czy skazana już jestem na pogoń mą bez końca jak błędni rycerze, którzy wyruszają na poszukiwania mitycznego Kielicha Brana po to tylko, by nigdy go nie znaleźć, bowiem nie byli dość niepokalani? Czyżbym straciła szansę trwoniąc siły? A może utraciłam ją odrzucając sekret niewinnej dziewczyci? Och, Ojczy, to wiedza, której ode mnie wymagałeś, a której ja nie odrzuciłam, bowiem bałam się ciebie tak bardzo, tak bardzo cię szanowałam, kochałam cię tak... Gdybyś tylko pozwolił i sobie i mnie na odrobinę ignorancji...*

- Gloriana! Gloriana!

Znów pili.

Królowa oprzytomniała i wstała unosząc własny kielich.

- Piję za zdrowie wszystkich szlachetnych dżentelmenów i ich dam, jak i przedstawicieli innych dworów!

Poprzednie wzmianki o pladze sprawiły, że toast zabrzmiał jak dobry żart. Gloriana uradowała się głosami pełnymi wesołości, wysłuchała komplementów i uśmiechnęła się jakby wszystko to było zaplanowane zauważając, że Oubacha Khan i lord Shahryar spoglądali na nią ze szczególną uwagą, biorąc przypadek za celową ironię. Obaj byli przekonani, że oto poznali jeszcze jeden rys charakteru Królowej Gloriany i obaj się mylili, bowiem nigdy w trakcie

oficjalnych spotkań nie byli w stanie wychwycić wielu rzeczywiście ironicznych uwag, których Królowa im nie szczędziła. Rozbawiło to Glorianę, ale ukryła uśmiech zwracając skwapliwie całą uwagę na służącego nalewającego jej wino.

*Jaka szkoda, że Una nie wróciła jeszcze ze Scaith... Oto jest idealny materiał na małżonka Królowej! A gdybym tak zmienić prawo i poślubiła księżniczkę? Razem rządziłybyśmy o wiele lepiej. Gdyby tak mogła przejąć ode mnie część władzy. Brakuje mi Ciebie, Uno...*

Podniosła głowę. U końca stołu siedział poskrzypując opancerzony sir Tancred Belforest w towarzystwie lady Mary Perrott. Gloriana zaczynała z wolna żałować, że Mary nie dzieli już z nią łoża. Jeszcze niedawno świetnie sprawiała się w roli chłopca, teraz przyjęła rolę demoiselle wobec rycerskiej pozy Tancreda. Kochała go. Gloriana poczuła ukłucie zazdrości i zawstydziała się nieszlachetnych porywów zatrutego serca. Przedmiotem jej uczuć nie był sir Tancred, ale Mary, która znalazła przeznaczenie wiążąc się z jedną, jedyną osobą.

- Wasza Wysokość - zaczął sir Tancred, którego rumiana twarz wyglądała ze stalowego hełmu zbroi, a potargane wąsy tańczyły na poruszających się policzkach. - Jako Rycerz Jej Wysokości i Albionu, jako obrońca Honoru Królowej, ofiarowuję ci mój miecz. - Jako jedyny z obecnych we dworze miał prawo nosić przy sobie ciężką broń, potężny obosieczny miecz w pochwie iberyjskiej roboty, który wyciągnął przed siebie rękojeścią do przodu. - Niech mi wolno będzie wyzwać na pojedynek każdego, kto gotów byłby obrazić Waszą Wysokość lub znieważać dobre imię Albionu. - Przerwał, wyraźnie już pijany, ale nie zmniejszyło to umiłowania, które Królowa doń żywiła. - Na walkę wręcz, na miecze, szpady, maczugi, kopie bądź każdą inną honorową broń, aż do pierwszej krwi lub do śmierci.

Gloriana z powrotem była już Królową, uprzejmą, o czystym, donośnym głosie.

- Jesteśmy wdzięczni za tę deklarację lojalności, sir. Oświadczenie to może stanowić

przykład do naśladowania i godne jest Dworu Niedźwiedzia i Wielkiej Ery Nowej Troi, kiedy to rozkwitały ideały rycerstwa. Gdyby zdarzyło się, że obrażono by nas, wówczas rozkażemy ci, abyś pomścił ową zniewagę siłą swego oręża. Póki co jednak, prosimy cię, oszczędzaj siły na majowy turniej.

Sir Tancred zamrugał oczami.

- Ależ, Wasza Wysokość, spośród zasiadających przy tym stole obraziła cię dziś więcej, niż jedna osoba!

- Nie słyszeliśmy żadnych obraźliwych słów, sir, a tylko niewinne żarty. Szczęśliwi jesteśmy, mogąc czasem zapomnieć o przepisach protokołu, szczególnie, gdy zgromadzą się sami dobrzy przyjaciele.

- Honor, właśnie... Honor... - Oubacha Khan spojrzał szybko na zmarszczone oblicze sir Tancreda i poszukał palcami rękonożki schowanego pod ubraniem sztyletu.

Sir Tancred otworzył znowu usta, ale jego ukochana pociągnęła go za sprzączkę i z łomotem opadł na krzesło.

Oubacha Khan szeptał coś do lady Yashi, która rozumiała wprawdzie jedynie co drugie słowo, ale przytakiwała, energicznie poruszając głową.

- Tak oto nadmiernie miłująca matka zamienia nawet swych najwaleczniejszych i najbardziej honorowych dworzan w ostatnie ofiary. - Zerknął poprzez stół na lorda Shahryara, który odpowiedział równie znaczącym spojrzeniem.

Gloriana, której cały incydent przypomniawszy o monarszych obowiązkach, zwróciła się do lorda Kansasa.

- Słyszałam, że podróżował pan znacznie oddalając się od Yirginii?

- Byłem we Wschodnich Indiach, pani, oraz w interiorze Afryki, gdzie odkryłem kilka narodów rządzonych przez potężnych królów, którzy przyjęli mnie z wielką gościnnością i

przesyłają Waszej Wysokości pozdrowienia. - Przemawiał tonem właściwym ludziom wykształconym, pamiętając o roli, jaka mu była przypisana.

- Przekaż im, proszę, nasze ukłony, gdybyś kiedyś jeszcze tam zawędrował. Ale natknąłeś się też i na dzikich?

- Wiele szczepów, pani. Ale i oni przyjęli nas całkiem dobrze i uprzejmie. Towarzystwo wodzów tych szczepów było mi równie miłe, jak towarzystwo cywilizowanych ludzi.

- Zapewne byli w mniejszym stopniu skrupowani konwenansami i etykietą? - przypuściła Królowa.

- Wręcz przeciwnie, pani. Wydawali się znajdować w ceremoniach i rytuałach o wiele większe upodobanie, niż my. Chociaż z drugiej strony, często ci, którzy hołdują ceremonialności, nawet nie zdają sobie z tego sprawy.

- To prawda, lordzie Kansas. Nauczyłeś się ich języków?

- Tylko paru, pani. Dyskutowałem z ich kapłanami oraz mędrkami i stwierdziłem, że słusznym jest twierdzenie, iż wprawdzie składnice mądrości gatunku ludzkiego są coraz pełniejsze, to, rozumu wcale nie przybywa. Dzicy mędracy są pod tym względem równi mędrcom cywilizowanym.

- Dobrze powiedziane, lordzie Kansas! - Królowa lubiła tego ogorzałego Virginińczyka o ciemnej karnacji i pociągłej twarzy, szanowała w nim stoickie usposobienie (to właśnie Stoicy pierwotnie zasiedlili Virginie) i atmosferę tolerancji, którą roztaczał wokół siebie. Myślała, by uczynić z niego kochankę; poszła nawet dalej, widziała w nim kandydata na swego męża, którego będzie musiała ostatecznie poślubić. Wprawdzie uwagi lorda Shahryara zostały przyjęte z niechęcią, ale w rzeczywistości wyraził on głośno myśli wszystkich, którym drogie było bezpieczeństwo Albionu. Wzięcie męża, który by jej nie zadowolił, oznaczać musiało zaniechanie poszukiwań, a to równałoby się z powolnym popadaniem w szaleństwo. Gdyby



przerwała poszukiwania, straciłaby nadzieję i wiarę, a Albion utraciłby w jej osobie szlachetny symbol. Zaczęłaby upadać na duchu, tracić rozum i to samo spotkałoby Albion. Oczami wyobraźni widziała Albion trawiony przez płomień, wyobrażała sobie całun czarnego dymu snujący się nad lądem od morza do morza, od oceanu do oceanu. A w dymie tym okrutną wojnę, rzeź i zniszczenia. Wizję tę zaszczepił jej, gdy była jeszcze dzieckiem, jej wychowawca, lord Montfallcon. Gdyby raz tylko zaniechała sprawowania swej powinności, wówczas wszystko to mogłoby się ziścić. A teraz powinność wymagała od niej małżeństwa...

*Nie mają pojęcia, jaka naprawdę jestem słaba. Nie potrafię wiecznie dźwigać tej odpowiedzialności. Jeśli wyjdę za mąż, brzemień to zostanie podzielone, ale ja przestanę być Glorianą. Ale dopóki pozostaję tą samą Królową, Albion jest zagrożony. A może to nie jest takie ważne? Może powinnam ogłosić kraj republiką? Ale nie, to zasiałoby zwątpienie i zniechęcenie zarówno pośród pospólstwa jak i szlachty, osłabiłoby nas, uczyniło podatnymi na ciosy wrogów... Republiki powstają z konieczności, a nie za sprawą wyborów moralnych... Muszę powrócić do kierowania się intuicją i do pełnienia powinności. A może, wzorem księżniczek z bajek, powinnam ogłosić, że poślubię pierwszego księcia, który przyniesie mi spełnienie? Lub poślubić Araba i wypowiedzieć wojnę Tatarii, Polsce, reszcie świata? Wykorzystać mą energię, podobnie jak uczynił to ojciec, w celu doskonalenia sztuki zła. Zarazić rakowatą naroślą żołądek i serce, nerki i mózg, całe Królestwo, niech też poczuje tę boleść, którą on czuł i którą ja po nim odziedziczyłam. Nie! Przysięgałam, że nigdy do tego nie dojdzie, a moje pragnienia pozostaną skryte i w prywatności będą zaspokajane... Tylko dwakroć ojciec zdołał znaleźć osobiste ukojenie. Przy okazji pierwszego stworzył mnie, przy drugim zaś złożył na moim łonie swój ciężar równie skutecznie, jak Montfallcon nałożył w cztery lata później ciężar korony...*

Stół znów stał się drogą, a głowy biesiadników patrzyły na nią niczym sępy, gotowe

rzucić się na padlinę. Zdecydowanie odsunęła od siebie ten obraz. To właśnie takie złudy sprawiły, że Króla Herna z wolna ogarnęło szaleństwo. W każdym oku widział oskarżenie, w każdym głosie słyszał nutę prośby o podzielenie się majątkiem, aż w końcu, by zamknąć oczy i uciszyć głosy, zaczął mordować w imię Sprawiedliwości. W ten sposób przepadła rodzina lorda Montfallcona, zginęli bracia i ojciec lorda Ingleborougha, kochanka i syn sir Thomasa Ffynne'a... Zagłada spotykała całe rody, wioski... Gdyby starczyło mu czasu, wytępiłby zapewne całą ludność Albionu do ostatniego niemowlęcia, a wszystko po to, aby zagłuszyć poczucie winy wynikłe z odrzucenia powinności. A potem Montfallcon, któremu ambicja pomogła przetrwać niebezpieczny czas strachu, i którego własnym szaleństwem było związanie swego losu z Glorianą, ukoronował ją i ogłosił nowy Wiek Złoty. Nazwał Glorianę nowoczesnym, żeńskim i pokojowo nastawionym Peryklosem, okrzyknął ją Sprawiedliwością, Miłosierdziem, Miłością, Litością i Nadzieją. Montfallcon zapalił ponownie jasny dzień nad Albionem. Odrodził Wiarę, Prawdę i Godność w całym Imperium, a Królowa Glorianą Pierwsza zdołała w ciągu pierwszych pięciu lat panowania potwierdzić wszystkie jego i narodu nadzieje. Montfallcon tymczasem, z natury i przyzwyczajenia nieśmiały i pełen rezerwy, w chwilach, gdy wymagały tego okoliczności, potrafił nadal przybrać pozę diabła minionej nocy. Glorianą z wysiłkiem otrząsnęła się z tych myśli niczym seter po wyjściu z wody i znów wsłuchiwała się w głos lorda Kansasa, który ze swadą starego gawędziarza opowiadał o swych przygodach we Wschodnich Indiach.

- I tak, moi panowie, wszyscy przybrani w zgrzytające zbroje, rycerze spotkali się w wysokiej niby-chacie z bambusa, w której panował chłód i mrok, bowiem światło wpadało tam jedynie przez kratę z drobnymi oczkami. Była to ptaszarnia Króla Bengalu. W ruch poszły migoczące niby biały ogień tarcze, szpady i włócznie, podczas gdy wkoło nas skrzeczały i podlatywały papugi z ogonami długimi i krótkimi, kawki, rajskie ptaki, kanarki i kakadu.

Potem okazało się, że rozlaliśmy o wiele więcej krwi ptasiej niż ludzkiej. Cała sprawa zakończyła się szczęśliwie, gdy wszyscy byli już zmęczeni i sir Colum Feveril zobowiązał się do zapłacenia żądanej ceny za dziewczynę, z którą ożenił się z miłości. O to tylko chodziło. Po prostu nie dogadali się zawczasu!

Gloriana wciągnęła głęboko powietrze i jej głos przyłączył się do ogólnego śmiechu.

## **ROZDZIAŁ 13**

**W KTÓRYM LORD MONTFALLCON ODMAWIA DZIEŁU ARTYSTY NALEŻNEGO PODZIWIU I**

**W KTÓRYM ARTYSTA NAPOTYKA ŚMIERĆ I BŁAGA JĄ O ZLECENIE MU JAKIEGOŚ ZADANIA**

Marcowe wiatry pozrywały gęsty bluszcz obrastający wysokie okna komnat lorda Montfallcona; długie pnącza trzepotały niczym ciężkie spódnice wiejskich matron, przypominając Quire'owi coś dawnego, ulotnego, trudnego do zidentyfikowania. Wiedział tylko, że tajemnicze wspomnienie ma coś wspólnego z dzieciństwem, kiedy zdarzało się, że przypadkowe obserwacje wprawiały jego umysł w stan barokowego zachwyty. Z dłonią na rękojęści szpady i z sombrero pod pachą przyglądał się, jak stary lord czyta pamflet, który Quire właśnie dostarczył mu do rąk własnych.

- To jedyna kopia, która uniknęła ognia? - spytał z powagą Montfallcon.

- Tak. Rękopis też spłonął.

- Szanuję Stoików, Quire. Sam w znacznym stopniu podzielam ich poglądy. Ale fanatyzm... To niebezpieczne. W tym świetle Królowa staje się nierządnicą, nie szkodzi, że niewinną. Zła krew? Co to ma znaczyć? To najlepsza krew, jaka istnieje! To jej ojciec miał krew zatrutą. Goni za rozkoszami zmysłowymi, gdy nieprzyjaciel zbiera siły... Bogowie! Nikt nie ma pojęcia, jak ciężko Królowa pracuje dla dobra Albionu. Już nie raz widziałem takie teksty. Kto jest autorem?

- Ktoś, kto właśnie rozpoczyna nowe życie, mój panie, które będzie pełne nieszczęść.

Znajduje się teraz, zakuty w łańcuchy, w drodze do Afryki, gdzie zajmie się nim Shaleef z Bantustanu.

- Sprzedałeś go, Quire? - Zachichotał Montfallcon. - Jako niewolnika?

- Jako pisarza. Dobrze go potraktują, według standardów Bantustanu, oczywiście.

Gdzieś tam napisał, że jest jako niewolnik, zatem pomyślałem, że umożliwienie mu poznania prawdziwego niewolnictwa będzie jak najbardziej na miejscu.

- A ten, który to wydrukował? - Montfallcon zamachał kartką i zbliżył się do kominka.

- To prostak. Normalnie drukuje plakaty i obwieszczenia. Wystarczyło go nastraszyć.

- Pewien jesteś?

- Usprawiedliwiał się, że słabo czyta i nie zrozumiał sensu pamfletu. Nawróciłem go na dobrą drogę i sprawiłem, że nigdy nie będzie już miał kłopotów z czytaniem.

- Quire, Quire - westchnął ciężko lord Montfallcon. - Czasem zastanawiam się, czy pewnego pięknego dnia nie przyjdiesz, aby *mnie* nastraszyć?

- To nie dla mnie zadanie, mój panie.

Zaniepokojony Montfallcon spojrzał uważnie na Quire'a i zbył pytanie, które malowało się wyraźnie w oczach kapitana.

- Sam chciałbym wiedzieć, jakie właściwie zadanie jest ci pisane, Quire. Nie pracujesz dla złota, jak wiem, chociaż dobrze jesteś opłacany. Co z tym robisz, jeśli ciągle widzę cię w tym samym ubraniu i z tym samym połatanym płaszczem? Nie jesteś przecież pijakiem ani hazardzistą. - Zmarszczył brwi wpatrując się w ogień. - Nie płacisz kobietom. Oszczędzasz,

Quire? - Montfallcon wrzucił pamflet do kominka i pchnął pogrzebaczem w płomień.

- Pozbywam się ich z lekkim sercem, sir. Równie często w dobrej, jak i w złej intencji. -

Quire był zadziwiony, a nawet zgorszony takim brakiem zrozumienia. - Tutaj wdowa, tam

kaleka...

- Quire! -Montfallcon chrząknął. - Ty i działalność charytatywna?

- Jestem skłonny do współczucia. Ale tylko wobec słabych. Nie toleruję szalonych czy nazbyt potężnych i zwalczam ich lub unikam. Moje dobre czyny powodowane są, jak wszystko, w co się angażuję, prostym egoizmem. Obaj korzystamy w naszej działalności z reputacji ludzi szczodrych. Zatrudniamy wielką armię dusz niewinnych ale lojalnych, ludzi wiernych choć niezbyt rozgarniętych. Wykorzystujemy tępawy choć serdeczny i uczciwy lud, z którym nasi wrogowie nigdy się nie liczą. Lud się ignoruje lub jest się dla niego łaskawym. Na łaskawość reaguje wdzięcznością i gotów jest znosić mi wszelkie informacje nie dla nagrody, ale z prostej uległości i wdzięczności. Jestem ich bohaterem. Lud czci kapitana Quire'a i gotów jest wybaczyć mu każdą zbrodnię („najwidoczniej ma swoje powody”) i w miarę możliwości uchronić go przed jej konsekwencjami. Na takich ludziach opiera się każdy mój plan.

- Pochlebia mi takie zaufanie, Quire. Nie obawiasz się zdradzać mi sekretów twego fachu?

- Fachu? - Zdumiony Quire zawahał się, po czym potrząsnął przecząco głową. - Nie, sir.

Niewiele jest na świecie osób mego pokroju. Większość złodziei to głupcy, mordercy to zwykle niepoprawni romantycy a szpiedzy - zadufki. Dumny jestem ze sformułowania teorii mego zawodu, podobnie jak artysta chętnie wyjaśnia tajniki swej metody. Wie, że mało kto naprawdę będzie zdolny podążać jego tropem i z radością dodaje tej gromadce odwagi.

- Czy mam rozumieć, że uważasz mnie za swojego ucznia?

- Oczywiście, że nie, mój panie. Za równego sobie.

Lord Montfallcon pokiwał palcem.

- Wbijamy się w dumę, Quire! Obawiałem się tego. Obcując z królami zakosztowałeś nazbyt wystawnego jadła. Poznałeś smak mocnego wina i teraz wszelki inny trunek wydaje ci

się mdły. Uważaj, bo próżność cię zgubi.

- Ale mi to odpowiada - zasępił się Quire. - Zwykłem cieszyć się każdą chwilą radości i nigdy jej nie tłumić. Nie wiązę specjalnych nadziei z konkretną przyszłością.

- Przeczuwasz własną śmierć?

- Nie. - Quire był jeszcze bardziej zdziwiony. - Uznaję raczej wiele możliwych przyszłości i planuję zawsze, przynajmniej do pewnego stopnia, biorąc pod uwagę wszystkie warianty. Lub też, mówiąc inaczej, nie robię żadnych planów.

- Nie jesteś wcale taki niefrasobliwy. Nie próbuj mnie nabierać.

- Moje życie jest równie dobrze zorganizowane jak... - wskazał na poczerniały i rozsypujący się pamflet - ...jak zdyscyplinowane było jego życie. Choć jemu brak dyscypliny już nie zagrazi. Gram jednak na emocjach własnych oraz tych, których skłonny jestem wykorzystywać. I muszę przyznać, że robię to z wprawą utalentowanego muzyka.

- Ale musisz mieć jakieś przemyślane zamiary.

- Powiedziałem ci już, mój panie, że moją ambicją jest wzmacniać i definiować wrażenia odbierane przez me zmysły.

Lord Montfallcon zmieszał się wyraźnie.

- Używasz uczonej mowy do opisywania rzeczy powszednich, to wszystko.

Wyglądał, jakby miał ochotę niezwłocznie odprawić Quire'a. Marszcząc brwi bardziej niż zwykle, powrócił do biurka.

- Mój panie - Quire wziął sombrero w rękę, uczynił kilka kroków w kierunku drzwi i odwrócił się. - Ale uważasz mnie za artystę, prawda? Opisałem to szczerze, najlepiej jak potrafię. Obiektywna prawda nie powinna powodować twego wzburzenia, mój panie.

Montfallcon wydał wargi.

- Znajdujesz przyjemność w tym, co robisz. Rozkoszujesz się tym.

- O, tak! - W ciemnych oczach Quire'a malowało się lekkie rozbawienie.

- Na Zeusa! Wolałbym, żeby to nie było konieczne... Ale jest i koniecznie muszę się tym zająć. - Chrząknął z wysiłkiem. - Na dodatek przychodzi mi odgrywać przed tym nowoczesnym Kalliklesem Sokratesa!

Quire przecesał lewą dłonią gęste loki i spojrzał uważnie na patrona.

- Czyżbyś cierpiał, mój panie? - spytał zimnym głosem.

Montfallcon walczył z szufladą.

- Muszę ci zapłacić.

- Jesteś chory, milordzie?

- Do cholery z tobą, Quire. Dobrze wiesz, że nie chodzi o moje zdrowie. Zastanawiam się tylko coraz częściej, co właściwie robię i czemu zatrudniam takich jak ty.

- Ponieważ jestem najlepszy. Przynajmniej w tym, czym obaj się zajmujemy, sir. Ale nie do mnie należy ocena mojej roli. To twoje zadanie.

- Co? - Montfallcon wyciągnął roztrzęsionymi dłońmi szkatułkę ze złotem.

- Ten świat tak już jest zorganizowany, że niektórzy obyć się nie mogą bez zadawania bólu i ponizania bliźnich, mój panie. Niemniej, nawet żołnierz po wygranej bitwie gotów jest roztkliwiać się nad obłudą, krwawym charakterem i bezsenssem wojny. Płakać będzie i krzyżeć: *To straszne, ale tak być musi!* Będąc żołnierzem tak samo bym się pocieszał (i ty też, panie, bowiem widzę wyraźnie, że takiego właśnie wsparcia dziś po mnie oczekujesz). Nie cierpię jednak podobnej sofistyki i zamiast tego krzyżeć: *To straszne, ale jakie rozkoszne!* Gdybym to ja był ofiarą, wówczas starałbym się jak najgłębiej przeżyć swoje nieszczęście, bowiem i ono uraczyłoby moje zmysły. Przede wszystkim poszukuję jednak wolności dla mej siły, bowiem wówczas swoboda działania jest większa. Dlatego też tak cenię przywilej twego, panie, patronatu, bowiem daje on mej sile fory. Koniec końców wolę cieszyć się bólem czymś

niż własnym.

- Cierpienie należy znosić w milczeniu i tyle. Jesteś istotą do głębi perwersyjną i niedorozwiniętą, Quire. - Montfallcon starannie odliczał złote monety, wrzucając je do sakiewki.

- Nie, sir. Moja dusza jest równie szlachetna, jak i twoja. Po prostu nazywam i odczytuję jej pragnienia w sposób odmienny, niż ty to czynisz. - Quire był urażony nie tyle obelgami, które padły z ust lorda, ile niechęcią do zrozumienia prawdy.

- Nie zapominaj, że pracujesz za pieniądze! - powiedział Montfallcon podając w roztrzęsionej dłoni sakiewkę.

- Jak wiesz, panie, nie zwykłem uciekać się do kłamstwa. Czemu zatem właśnie tego ode mnie oczekujesz? Aż do dzisiaj nasza współpraca układała się wręcz idealnie.

- Rzygać mi się chce od tych wszystkich sekretów!

- Nie zatrudniłeś mnie, milordzie, jako podporę duchową.

- Idź już. Jesteś wulgarny, a twoja ironia do mnie nie trafia.

Quire uklonił się niezgrabnie, ale nie wychodził. Czuł, że nie może tak łatwo ustąpić, że musi jakoś rozładować narastającą gdzieś w głębi duszy wściekłość.

- Jeśli tak, to przepraszam pokornie, ale brak mi obycia. Moje maniery nie mogą się równać z gładkością i dwornością lordów, ale też inne życie jest mi pisane i odmienną mową przychodzi mi posługiwać się na co dzień.

- Kuisz los, Quire! Nie będę dla twej radości udawał tu niedźwiedzia na łańcuchu. Idź! Kapitan Quire wziął pieniądze i wsunął je za pas, lecz w dalszym ciągu nie ruszał się z miejsca.

- Zwykłem przemawiać do tych, którzy są na wpół głusi z przerażenia lub umierają od bólu. Podobnie rozmawia się z ludźmi nauczającymi młodzież lub opiekującymi się chorymi i



szalonymi, sir. Ich słownictwo jest ograniczone, sposób wyrażania się prostacki, a cała ich sztuka to kunszt prowincjonalnego komedianta, zaś poczucie humoru to rubaszość zwykłego nicponia z jarmarku.

- Twoje przeprosiny mnie nudzą, mistrzu Quire. Jesteś zwolniony.

Montfallcon rozsiadł się wygodnie, a Quire postąpił krok w jego stronę.

- Ofiarowuję ci szczerą prawdę, panie, a ty mnie odpychasz. Spytałeś mnie, lordzie, ja odpowiedziałem. Sądziłem, że obaj cenimy prawdę i że w naszych kontaktach nie ma miejsca na dwuznaczności. Czy muszę kłamać, by zachować twój, panie, patronat?

- Niewykluczone. - Lord Montfallcon zamknął szufladę na klucz. - Czy uważasz mnie za idealnego pracodawcę?

- Najlepszego aż do teraz, wasza lordowska mość. Czy naprawdę tak trudno o porozumienie pomiędzy ludźmi o podobnej wrażliwości?

- Zaiste! Ładne porozumienie! Ja płacę, ty zabijasz, porywasz i knujesz.

- Myślę o wzajemnym zrozumieniu dwóch pokrewnych dusz wysoko ceniących kunszt swej sztuki, mój panie.

- Cóż, przyznaję, że rozumu odmówić ci nie można. - Montfallcon zmieszał się wyraźnie. - Ale co jeszcze muszę uczynić, byś wreszcie sobie poszedł? Rzucić zaklęcie? Może oczekujesz zaszczytów? Może chcesz, abym uczynił cię księciem?

- Nie. Mówiłem tylko i wyłącznie o sztuce, i o mojej wierze, że potrafisz cenić ją dla niej samej.

- Jeśli ci na tym zależy. - Montfallcon odprawił go gestem dłoni.

- Co? - spytał wstrząśnięty Quire.

- Idź już, Quire. Przyślę po ciebie.

- Głęboko mnie uraziłeś, mój panie.

- Chronię cię, Quire - powiedział podniesionym, drżącym głosem Montfallcon. -

Pamiętaj o tym. Całe twoje zwyrodniałe życie, podstępny, szantaż i zabójstwa z własnej inicjatywy uchodzą ci na sucho... - Montfallcon przycisnął palce do siwej skroni. - Nie zamierzam zaspokajać twoich osobliwych pragnień! Nie czas na to... O wiele ważniejsze sprawy mam obecnie na głowie. O wiele ważniejsze, Quire, niż zaspokajanie próżnej dumy jakiegoś łotra. Idź, idź już kapitanie!

Czarny strój tylko mignął i Quire zniknął.

\* \* \*

Gdy wynurzył się z mroków pałacu i wkroczył do zapuszczonego ozdobnego ogrodu, przystanął, by obejrzeć się na wysokie mury, zmarszczył brwi i potrząsnął głową. Jego duma została rzeczywiście w znacznym stopniu urażona. Idąc dalej przez bramy i w dół, ku Unii drzew, przy których oczekiwał go oparty o ogrodzenie i pogwizdujący ze wzrokiem wbitym w gnające po niebie poszarpane chmury Tinkler, Quire zaczął zgłębiać targające nim emocje.

- Tink. - Kapitan wspiął się na ogrodzenie i odwrócony tyłem do Tinklera wpatrzył się w drogę wiodącą ku miastu okrytemu smugami dymu.

- Co się stało, kapitanie? - Tinkler błyskawicznie wyczuwał wszystkie nastroje swego pana i był jedynym, którego naprawdę one obchodziły. Zbliżył się poskrzypując sztywnym płaszczem i zatknął kciuki za pas kubraka.

- Jestem wstrząśnięty-mamrotał Quire, ostrym czubkiem buta przetaczając jakiś kamyk.

- Myślałem, że cieszę się szacunkiem. Jednak i tutaj zostałem zaatakowany. Uderzono w moją miłość własną. Nie zostałem zrozumiany jako artysta. Czy nikt nie pojmuje geniuszu mego dzieła? Czyżbym nie ujawniał go nieustannie? Jak jeszcze mogę go dowieść? Co jeszcze mam uczynić?

- Ja cię podziwiam, kapitanie. Bez reszty. - Tinkler nie czuł współczucia, a tylko

uspokajał, bowiem nie znane mu były ani podobne uczucia, ani gesty. - Wszyscy cię podziwiamy... i w Koniu Morskim, i u Gryffyna, i gdziekolwiek indziej...

- Myślę o osobach wysoko urodzonych. Sądziłem, że lord Montfallcon dostrzega we mnie artystę, bratnią duszę. Nie wiem teraz, co myśleć. Lord okazał się zwykłym pozerem i cynikiem.

Tinklerowi zdało się, że odgadł przyczynę całego zamieszania.

- Nie zapłacił? O to chodzi, kapitanie? Dotąd zawsze... - Urwał, gdy Quire wcisnął mu sakiewkę w rękę.-Ach, dzięki.

- A ja przez cały czas wierzyłem, że rozumie on zasady mej gry. Ale nie, on nie pojmuje ani finezji, ani ironii, ani pierwiastka komediowego, a przede wszystkim nie ma pojęcia o strukturze, o wizji i talencie, który codzienną rzeczywistość potrafi zamienić w dramat. Och, Tink!

Nieprzywykły do wysłuchiwania tak osobistych zwierzeń swego pana Tink był głęboko przejęty, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, o co chodzi.

- Cóż - powiedział dołączając do Quire'a, który machając we wzburzeniu rękami, ruszył drogą. - Cóż, kapitanie...

- Każdy artysta potrzebuje patrona. - Quire obejrzał się na targane wiatrem czarne topole. Ciaśniej owinął się płaszczem i mocniej nacisnął na głowę kapelusz. Wronie pióra wybijały staccato na denku sombrera. - Nie mając patrona artysta biednieje i zaczyna kupczyć swoją sztuką ku uciechu większości. Ja nigdy nie tworzyłem dla ogółu, ale dla elit, Tink.

- W rzeczy samej, kapitanie.

- Wydałem wszystko, do ostatniego miedziaka, na materiały. Zainwestowałem w sztukę.

- Zawsze byłeś szczodry, panie.

- I tego on nie rozumiał. Tego i mojej dumy. Wysłuchiwałem zwykle jego obelg, znosiłem pogardę, bowiem uważałem je za element gry Montfallcona.

- Czasem wszyscy musimy grać, kapitanie.

- A on przez ten czas objawiał tylko swój prawdziwy charakter i mówił po prostu, co o mnie myśli! Stary głupiec! - Quire zatrzymał się pośrodku drogi.

Czerwono-szaro-biały Londyn był już wyraźnie widoczny. Przy murach miasta kołysały się zbite z byle czego chaty i namioty tych, którzy tu mieszkali i pracowali. Dalej wznosiły się dachy z zielonych lub srebrzystych łupków, strzechy pokryte miedzią lub, w kilku przypadkach, listkami złota. Smukłe i delikatne iglice, przysadziste i ciężkie kopuły, wieże fortyfikacji, wysokie świątynie wiedzy: uczelnie, biblioteki w modnym ostatnio stylu greckim lub gotyckim, wszystkie z cegły, granitu i marmuru; jaskrawo pomalowane teatry wzniesione z drewna i oblepione tysiącami plakatów; ulice z dworkami, pałacami, zajazdami, tawernami, gospodami, sklepami z tkaninami, z mięsem, rybami, warzywami i owocami, kramy jubilerów, malarzy, złotników, wytwórców instrumentów muzycznych, krawców, siodlarzy, kupców tytoniowych, winiarzy, szklarzy, golibrodów, aptekarzy, budowniczych karet, kowali, metalowców, drukarzy, zabawkarzy, szewców, blacharzy, kupców artykułami gospodarstwa domowego, giełdy zbożowe, jatki, domy cechów kupieckich, galerie wystawowe...

Quire wahał się, czy iść dalej. Zszedł z drogi i przysiadł na wielkim, gładkim kamieniu.

- A gdzie ja mam pokazywać światu moje prace?

- To może się napijemy? - zaproponował Tinkler. - Wstąpimy do Konia Morskiego?

Quire śledził wzrokiem szwadron kawalerii przemierzający z proporcami i piórami, w połączonych hełmach, pancerzach i w wyszywanych płaszczach. Sunęli szeroką Clerkenwell Road pomiędzy wspaniałymi budynkami wielkich gildii. Spojrzał na rzekę i na miasto na drugim brzegu, na wiekową bramę Brana a dalej na barki, łodzie promowe i galeony

przesuwające się pod żaglami po rzece.

- Mógłbym być generałem lub sławnym żeglarzem, ulubieńcem ludu wykorzystującym swe zdobycze dla pomnożenia własnej sławy i przyjmowanym przez Królową. Z moim talentem zostałbym pierwszym kupcem Albionu wzbogacającym kiesę swoją i mego narodu, aż doszedłbym godności lorda majora tego miasta. Ale ja porzuciłem te niegodne cele. Żyłem tylko dla mej sztuki...

- Kapitanie? - zaniepokoił się Tinkler.

- Pójdiesz do miasta, Tink, i wydasz całe złoto. To pewnie już ostatnie.

- Zostałeś zwolniony? - Tinkler był przerażony.

- Nie.

- Kończysz naszą przyjacielską współpracę? - Tinkler przygryzł pieńkiem zęba wargę.

- Tego nie powiedziałem.

Tinkler z ulgą klepnął swego przygarbionego pana w plecy. Ledwie tylko Quire zmienił ton, Tinkler natychmiast zapomniał o smutkach.

- Chodźmy razem do Konia Morskiego, kapitanie. Ta ponura, wietrzna pogoda każdego wpędzi w melancholię.

Quire wstał z brodą opuszczoną na piersi i twarzą ukrytą za ruchliwym rondem kapelusza.

- Dobrze - stwierdził z niezwykłą i wręcz podejrzaną uległością.

Tinkler znów się zaniepokoił.

- Potrzeba nam paru dziewczuch do towarzystwa, kapitanie. To nas rozgrzeje. Wyciągnie z nas zły humor.

- Dziewuchy? - Quire spojrzał na Tinklera, jakby po raz pierwszy słyszał to słowo.

Tinkler zadrzał.

- Każda dziewczka w Koniu Morskim pójdzie za tobą, gdy skiniesz palcem. I każdy chłopak. Miłości ci potrzeba, panie.

Quire odwrócił oczy od swego adiutanta i wyprostował sztywny grzbiet.

- Kocham moją sztukę.

- Jesteś najlepszy. - Tinklerowi zaschło w ustach i głos jego brzmiał chropawo. - Spytaj kogo chcesz.

Ruszyli znowu ku murom miasta odległym już tylko o niecałe pół mili.

- To prawda - zgodził się Quire.

- I jesteś silny, kapitanie. Kochasz swoją robotę, swoją sztukę, jak ją nazywasz, i nic poza tym. Ale pozwól, żeby i one cię kochały. Przyjmij nagrodę.

Quire uśmiechnął się.

- Zależało mi na podziwie Montfallcona i nie oczekuję, by ktokolwiek inny mnie rozumiał. I ty, Tink, i reszta, będziecie zawsze tylko uczniami, którzy mogą tylko trochę wzbogacić koloryt dzieła, domalować coś w tle. Dobrzy, solidni rzemieślnicy, nie mniej, nie więcej. Ludźmi takimi jak O'Bryan pogardzam, udają tylko wielkość, sztuczkami zastępują prawdziwy talent i mając ambicje do wielkości, odznaczają się ledwie zwykłym instynktem mordy i zdrady. Trzeba opanowywać odruchy, uczyć się je wykorzystywać, szkolić, stroić... Dokonałem tego wszystkiego po to tylko, by dowiedzieć się, że nie jestem niczym lepszym niż ten nieczuły, chciwy, pretensjonalny, chełpliwy rzeźnik O'Bryan. Typem człowieka, którym tak mocno pogardzam.

- No, ale dostał od ciebie to, na co zasłużył. - Tink coraz bardziej podupadał na duchu.

- Uważa się, że nie potrafię kochać, Tink. I ty też tak myślisz...

- Nie, nie, kapitanie. Chciałem tylko powiedzieć, że zbyt poświęcasz się swojej pracy, że się nie marnujesz ze swoim talentem... Nie popadaj w sentymentalizm... - Tinkler zamknął

usta, ukrywając resztki uzębienia tak skwapliwie, jakby żałował, że sam nie może zaszyć się teraz w mysiej dziurze.

- Ale tak bardzo i tak wielu kochałem. Równie wielu jak pokonałem. Jestem typowym zdobywcą. Zakochuję się w tych, których mogę zwalczyć. Kto by się temu oparł? Niektórzy potrafią kochać tylko dzieci, bowiem uważają, że tylko one nie mogą być dla nich niebezpieczne. Ja kocham tych, którzy grozili mi, ale już nie grożą. Czy moja miłość nie jest ze wszech miar racjonalna, Tink?

- Bez wątpienia, sir. - Tinkler zapragnął nagle przyspieszyć kroku i wyjść przed swego pana. - I wielu, jak już powiedziałem, kocha cię, kapitanie.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział Quire z niezadowoleniem. - Wcale tego nie pragnę. Nie żądam tego.

- Chciałem powiedzieć - sapał zupełnie zdezorientowany sługa - że jesteś podziwiany, kapitanie, i tak dalej.

- Podziwiany? Przez tłum? To łatwo zdobyć. Wystarczy kilka dramatycznych gestów, parę tanich żartów i już gawieź będzie rechotać stąd do Tilbury, nawet na statkach więziennych. Gardzę tymi, którzy płaszcą się przed tłumem dla własnych korzyści. Moja sztuka musi stać się przedmiotem zachwyty innych artystów, ludzi, będących w wysokich sferach poważnymi osobistościami, jak lord Montfallcon. Całe lata spędził przy tronie Herna kalkulując, spiskując i knując dla dobra Gloriany i jej sukcesji. W młodości był moim bohaterem, Tink, i szanowałem go za to, co robił. Nadal go podziwiam. Z pewnością wyczuwał to. Ale i moje dokonania, na swój sposób, są wielkie.

- Nawet większe, kapitanie!

- Przyjąłem jego patronat, aby zdobyć większe doświadczenie i udoskonalić mą sztukę... Był moim jedynym mistrzem. A teraz mną pogardza...

- Zlekceważ go, kapitanie. On już przegrał.

Twarz Quire rozjaśniła się.

- W rzeczy samej. Masz rację, Tinkler. - Z niejakim wysiłkiem Quire wydłużył krok.

Byli już prawie przy murach. - Pójdiesz do Konia Morskiego, a ja dołączę do ciebie trochę później. Zajrzę do pewnego znakomitego domu i sprawdzę, jak mistrzyni Philomena, żona uczonego, radzi sobie bez ukochanego. Uniósł sombrero i przekrzywił je. - Zobaczymy się w Koniu Morskim, Tink.

Ucieszony z jasnego sformułowania poleceń Tinkler pobiegł ku bramie. Odwrócił się jeszcze, pomachał ręką i zawołał:

- Niedługo znów będziesz sobą, kapitanie!

Humor Quire'a poprawiał się z minuty na minutę.

- Tak. Zlekceważę go. Wart jest tylko pogardy. Nauczyłem się już od niego wszystkiego, co mógł mi zaoferować. Jestem teraz lepszy, niż nasz przyjaciel, Montfallcon. Po prostu dam sobie z nim spokój!

W takim nierealistycznym i buńczucznym nastroju Quire wszedł w podcienia bramy, gdzie został błyskawicznie zaatakowany przez sześciu opryszków z sieciami, płachtami, linami i nożami.

- To on!

Quire sięgnął szybko po szpadę, ale pętla zacisnęła się już na jego ramionach i chociaż wywijał się i szarpał, trzymała go coraz mocniej.

Ukrywający twarze pod kapturami, a sylwetki pod płaszczami napastnicy byli już przy nim.

- Głupcy! Jestem Quire! Mam przyjaciół! Londyn się ruszy!

Zignorowali jego krzyki, skrzępowali i nim zdołał zebrać myśli, wyładował w cuchnącej



skrzyni furmanki. Oczywiście miał zasłonięte, liny boleśnie wpijały się w ciało. Po raz drugi tego dnia spotkała go niemiła niespodzianka; zaczął poważnie powątpiewać w to, by kiedykolwiek został zrozumiany tak on sam, jak i jego świat. Gdyby nie był zakneblowany, kląłby w głos.

*Na Ariocho! Zostałem porwany. Za dużo już tego dobrego. Jednego dnia pozwoliłem sobie na utratę zaufania i tym samym nadziei, a teraz mogę stracić jeszcze życie, o ile nie zdołam przekonać ich, by mnie uwolnili. Ale kto to jest? Kto się odważył...?*

I nagle dotarło do Quire'a, że rozmowa z Montfallconem i to, co zaszło w jej trakcie, może mieć coś wspólnego z jego obecnym położeniem.

*Wydał mnie! Zdradził. Ma nadzieję zamordować mnie, zanim ujawnię wszystko, co o nim wiem. Jemu nie wolno wierzyć w prawdę. Powinien wiedzieć, że jeśli zginę, wówczas wszystko zostanie opublikowane w „Spowiedzi kapitana Quire'a”. Bogowie, to powali Albion! Mój przyjacielu Montfallconie, jeśli przeżyję, wówczas poznasz, co znaczy zemsta. Zrozumiesz wówczas prawdę: że uczeń przerósł mistrza. Zmuszę cię do uznania tego faktu, a może i jeszcze innych...*

Małym palcem poszukał ukrytego sztyletu, ale nie mógł go sięgnąć. Zgryzł ostrożnie knebel i spróbował go przeżuć. Sprawdzał siłę sieci i więzów. Wytężał uszy, by usłyszeć porywaczy. Teraz było tylko trzech: dwóch z przodu i jeden za nim na wozie, i wszyscy milczeli.

Ponieważ żył ciągle (a łatwo byłoby zamordować go tutaj lub wrzucić do rzeki), doszedł do wniosku, że nie czeka go natychmiastowa śmierć. Może Montfallcon miał nadzieję torturami wydobyć przedtem od niego miejsce ukrycia *Spowiedzi*. Postanowił smakować każdą chwilę męki i frustrację oprawców, gdy w końcu umrze. Oznaczało to również, że ma szansę odzyskać wolność, o ile tylko będzie mógł mówić. Porywacze z Merę Kent Street nie słynęli z lotności umysłu, można ich było przekupić, zastraszyć lub oszukać. Zastanawiał się, komu

Montfallcon zlecił przesłuchanie. Zwykle przecież nikomu nie ufał w takich sprawach oprócz Quire'a. Wychodziłoby, że Montfallcon będzie musiał zająć się osobiście torturami i zabójstwem. Ta myśl dostarczyła Quire'owi takiej satysfakcji, że ułożył się na wozie jak mógł najwygodniej i ku konsternacji porywaczy zaczął coś sobie nucić przez knebel.

W końcu wóz zatrzymał się i Quire został ściągnięty na ziemię, a następnie, po licznych skrzypiących stopniach, wtargany do jakiegoś pomieszczenia, w którym silnie pachniało kawą. Quire pomyślał, że znajduje się zapewne w jednym z licznych magazynów kawowych na Flax Hill. Dwóch porywaczy odeszło, trzeci został jako strażnik. Quire zaczął wiercić się, by zobaczyć cokolwiek, ale dostał kopniaka w nerki i znieruchomiał. Drzwi otworzyły się i wszedł ktoś stąpający dostojnie i pobrzękujący ostrogami, w sposób wskazujący na osobę wojskową. Kaptur i opaska zniknęły i Quire z wysiłkiem skrzywił usta w uśmiechu oczekując, że ujrzy Montfallcona, ale wykrzywił je jeszcze bardziej (i boleśniej) widząc wysłannika Kalifa, lorda Shahryara z Bagdadu, który odwzajemnił uśmiech przez czarną, starannie utrzymaną brodę i musnął palcami wielki, rzeźbiony sztylet wiszący na złotych rzemieniach u pasa. Spojrzał na rzezimieszka stojącego za sztywnym wciąż ciałem Quire'a.

- To jest ten kapitan?

- Tak, sir.

Garść monet zmieniła właściciela, po czym rzezimieszek wypadł na schody i zbiegł tak szybko, jakby nie chciał być świadkiem tego, co nastąpi.

Arab wyciągnął sztylet z pochwy i aż nazbyt oczywistym gestem przyłożył go do gardła Quire'a, rozcinając jednak tylko więzy utrzymujące knebel, i pozwalając tym samym w pełni rozkwitnąć uśmiechowi kapitana.

- Stałem się przedmiotem wymiany, co? - Quire w nienormalny dla siebie sposób zaniechał wszelkiej ostrożności. - Z nieznanых przyczyn wykonujesz polecenia Montfallcona.

Lord Shahryar nieco się zdziwił.

- To znaczy - ciągnął Quire - że zostawił mnie na twojej łasce. Wniosek z tego, że starość już go pustoszy, bowiem, jak zapewne wiesz, znam wiele sekretów, które mogłyby cię zainteresować.

Lord Shahryar schował sztylet i wyprostował się otulając się szatą i dotykając burnusa okrytymi złotem palcami.

- Nie jestem twoim poddanym - powiedział Quire uznając, że ujawnił już nazbyt wiele.

- Czemu mnie porwałeś?

Lord Shahryar potarł miejsce tuż za lewym uchem.

- Z całą pewnością jesteś dżentelmanem - ciągnął Quire z oburzeniem w głosie - a nie łotrem, który porywa dla okupu. Czemu zatem uprowadziłeś mnie, sir?

- Z kilku powodów, kapitanie Quire. Przypuszczasz, że lord Montfallcon cię zdradził?

Może. Znasz moje imię i wiesz, że jestem wujem lorda Ibrama, którego podstępem skłoniłeś do pojedynku, a potem tchórzliwie zaszlachtowałeś.

- Podejrzewasz mnie o morderstwo! Mój panie! - Quire spojrzał na niego pewnie. - A

zatem proszę cię usilnie, oddaj mnie w ręce konstabli sir Christophera Martina, abym mógł zostać sprawiedliwie osadzony. Jestem uczonym, sir. Byłem w drodze do gospody, w której zwykle się zatrzymuję gdy jestem w Londynie. Czeka tam na mnie moja żona. Wyślij posłańca, sir, a potwierdzi, że mówię prawdę. Gospoda nazywa się Partridge.

- Ty się boisz, kapitanie Quire! - lord Shahryar znów się uśmiechnął. - Czyżbyś rozumiał, że umrzesz powoli i boleśnie...

- To prostacki dowcip, sir. Jestem zatem ofiarą żartu?

Lord Shahryar okazał niejaką niecierpliwość.

- Myślałem, że jesteś przynajmniej zawodowcem, i że nie będziesz próbował oszukiwać

mnie w tak naiwny sposób, kapitanie Quire. Wiem, że zabiłeś mego krewniaka.

- Lord Montfallcon mnie nienawidzi. Zazdrości mi. Powiedział ci o tym?

- Wygląda na to, że bardzo ci zależy na stwierdzeniu, że to Montfallcon cię zdradził.

Czemu?

Quire zamrugał i zacisnął mocno usta.

- Jeśli liczysz na to, że Montfallcon cię ochroni - mówił z zamyśleniem lord Shahryar - to nic z tego. Nie będzie nawet specjalnie żałował, gdy cię zabiję. Ale jaki możesz podać motyw zdrady Montfallcona?

Saracen był przebiegły, ale Quire nie widział nic złego w udzieleniu odpowiedzi.

- Zapewne taki, że dostrzega we mnie zagrożenie.

- A to czemu?

- Bo jestem lepszym artystą od mego.

- Szpiegostwo, mordowanie i zdrada jako sztuka. - Lord Shahryar uznał pomysł za interesujący. - Zapewne jest to sztuka, podobnie jak wojna. Rozumiem cię, kapitanie Quire. W ramach powołania, które wybrałeś, nie masz godnego rywala.

Wyznanie to sprawiło, że Quire gotów był uznać lorda Shahryara wręcz za przyjaciela i postanowił od razu, że umrze najszybciej, jak to będzie możliwe i bez tortur, opowiedziawszy przedtem Maurowi wszystkie znane mu tajemnice. Chciał być szczodry, jak każdy artysta, który spotyka się z pochwałami w miejscu, gdzie ich nie oczekiwał.

- Masz reputację człowieka na swój sposób uczciwego, kapitanie Quire.

- Owszem. Nie kłamię, chyba że mam po temu szczególne powody.

- Na twoim słowie podobno można polegać.

- Rzadko daję je komukolwiek i nigdy bez głębokiego zastanowienia, czy mogę się nim związać. Po prostu wierzę w prawdę. - Quire przesunął się i podniósł nieco, opierając plecy o

popękany tynk ściany. - Życie artysty jest z konieczności pełne niedopowiedzeń. Nie należy jednak pozwalać dwuznacznościom wyrastać tam, gdzie nie są niezbędne, i dlatego prawda i szczerść są takie cenne.

- Dziwnym jesteś człowiekiem, mistrzu morderco. Wierzę ci. Czy jesteś szalony?

- Tak o większości artystów myślą ci, którzy ich nie rozumieją.

- Jesteś zatem marzycielem?

- Może. To zależy od tego, co rozumiesz przez to słowo. Gdybym tak mógł pozbyć się tych więzów... Czy byłbyś, panie, tak uprzejmy, aby przeciąć liny? Szczególnie sieć wrzyna mi się coraz głębiej w ciało.

- Czy dasz mi słowo, że nie będziesz próbował ucieczki?

- Nie, sir. Ale twoje łotry czekają pewnie jeszcze na dole. Obiecuję cię nie skrzywdzić, co w gruncie rzeczy jest przysięgą o wiele więcej wartą.

- Też tak sędzę. - Zmrużywszy oczy Saracen przeciął więzy szybkimi, ostrożnymi ruchami.

Quire wciągnął głęboko powietrze i nadal siedząc, zaczął rozcierać ramiona i nogi.

- Dziękuję, sir. Cóż zatem, lordzie Shahryar, może to Montfallcon mnie wydał, może nie, ale ty nie miałeś zamiaru zabić mnie od razu, a to znaczy, że chciałeś mi coś zaproponować.

- Powinienem zabić cię i pomścić mego krewniaka.

- Który okradał cię, o czym zresztą wiedziałeś.

- Krew to krew. Skąd możesz wiedzieć, czy jeszcze cię nie zgładzę?

- Zabijanie, jak wszystko, związane jest z pewnym rytuałem, często nieświadomym. Są to pewne szczególne przygotowania, wprawianie się w specyficzny nastrój, zmiana tonu głosu. Wiele słyszałem takich pieśni śmierci, mój panie, i sam wiele odśpiewałem. Sędzę, że wiem wszystko o ludziach, którzy właśnie mają spotkać się ze śmiercią. Słowa, rytm i melodia

zawsze są podobne, nawet w wykonaniu tych, którzy mają zginąć. Czy rozpoznałeś

kiedykolwiek taką pieśń, mój panie?

- Nie słyszę, byś śpiewał coś takiego, kapitanie Quire.

- Ja nie. - Quire wstał i podszedł do ławy zastanej wyschlými ziarenkami kawy. Zmiotł

je wszystkie na podłogę, a echo ich uderzeń o nagie deski wypełniło magazyn dźwięcznym

pogłosem. Quire patrzył, jak podrygują, aż niepodal zauważył swój kapelusz, podniósł go i

otrzepał. - Dla mnie życie jest przyjemnością.

- A śmierć?

- Też, ale nie moja. - Teraz Quire wiedział już, że jest bezpieczny, przynajmniej na

razie, i szybko zebrał z powrotem całą dumę nadszarpniętą spotkaniem z Montfallconem. - Ilu

ludzi zabiłeś w służbie Montfallcona, kapitanie?

Quire nabrał ostrożności.

- Zadawaj mi, proszę, pytania w kwestiach politycznych, nie osobistych.

- Ilu? Jak dużo żywotów przerwałeś w swojej karierze?

- Przynajmniej ze sto, a zapewne więcej. Tylu zabiłem sam, a wielu zginęło jeszcze w

trakcie walk i tym podobnych zawieruch. Pamiętam jednak tylko nielicznych.

- A mojego krewniaka?

Quire przycisnął dłoń do ucha.

- Aha, mam wrażenie, że wyczuwani w twoim głosie tę pieśń, o której wspomniałem.

Lord Shahryar potrząsnął głową.

- Sądzę, że powinieneś go pamiętać, skoro to było tak niedawno.

- Przypominam sobie tylko moje najlepsze dzieła, a nie masową robotę. Była na

przykład mała dziewczynka, którą nadziałem na rożen, przymilając się jednocześnie o

informacje do jej matki. Ale nie potrafię ci tego plastycznie opisać, nie umiem nawet zawrzeć

tego w poezji.

- Ale jaki to system moralny przyjąłeś, że pozwala ci spokojnie popełniać podobne zbrodnie? - Lord Shahryar zadał pytanie szczerze, chociaż ton jego brzmiał neutralnie. - Bardzo chciałbym to wiedzieć.

- System moralny? Żaden. Etyka nie ma tu nic do rzeczy. To byłoby nieprzyzwoite.

Zabijałem z każdego możliwego powodu, dla przyjemności, złota i dla subtelnych przeżyć, z ciekawości, z zemsty, dla ratowania skóry i tak dalej. Z każdego powodu prócz jednego: nie zabiłem nigdy nikogo z pobudek moralnych.

- Montfallcon musiał bardzo dobrze ci płacić. Na co wydawałeś złoto?

Quire roześmiał się jakby wspominając coś.

- Już drugi raz słyszę dziś to samo pytanie. Widać mamy dziś idealny dzień na śledztwa.

Moje ubóstwo nie oznacza spartańskiego życia. Niczego nie posiadając, nie mogę niczego utracić. Wynajmuję lub pożyczam to, co jest mi akurat potrzebne. Pieniądze wydaję szczerze, ale kapryśnie. Przede wszystkim wyściełam sobie srebrem ewentualną drogę odwrotu, jeśli rozumiesz, panie, o czym mówię. Buduję z ich pomocą to, co najważniejsze: władzę i siłę.

Ponadto pożyczam, ale nie po to, by otrzymać je z powrotem, ale by mieć dłużników.

- To rozumiem. - Lord Shahryar nie był zaskoczony. - Zastanawiałem się, jakie są twoje słabe punkty, kapitanie Quire, i teraz już jeden znam. Masz zwyczaj działać patrząc daleko w przód. Nie mylę się chyba?

Quire otworzył usta by odpowiedzieć, ale lord Shahryar zmienił już temat.

- Wiele słyszałem o twojej szpadzie.

- Jest najlepsza na świecie. We krwi hartowana stal z Iberii. Moja szpada i sztylety to jedyne, co posiadam. To moje narzędzia pracy. One i mój błyskotliwy umysł.

- A zatem nie masz innych słabości, kapitanie Quire... - Lord Shahryar odwrócił się,

wciąż błędząc palcami w okolicy ucha.

- Owszem. To skłonność do dyskusji o naturze i owocach mojej sztuki. Jestem dość dumny - dodał Quire jakby chciał pomóc Maurowi w rozważaniach. - Kończę zwykle nawet wtedy, gdy wiem już, że dzieło nie będzie udane lub wyraźnie inne od zamierzonego.

Wymagam stanowczości. Nie cierpię krytyki, nawet jeśli czasem na nią zasłużę. Z pewnością mam jeszcze inne słabe punkty.

- Ale żadnych typowych. Kobiety?

- Moje potrzeby seksualne zaspokajam bez kłopotów.

- Pozycja społeczna?

Quire roześmiał się.

Lord Shahryar zrezygnował z wypytywania.

- Co zrobiłbyś, aby ocalić życie?

- Z pewnością niejedno, sir.

- Poświęciłbyś honor?

- Twoje rozumienie honoru może być inne od mojego, sir. Jestem wierny sobie i swojej sztuce.

Lord Shahryar wyjaśniał jakby spłynęło na niego natchnienie.

- Zaczynam rozumieć. Montfallcon zatrudnił cię, aby wykorzystać twoje specyficzne umiejętności i talenty. Nie jesteś zwykłym zabójcą.

Quire poprawił się na ławie.

- Lord Montfallcon już mnie nie zatrudnia.

- Co? Nareszcie pojmuję, o co ci chodziło na początku. Wyrzucił cię!

- Nie, mój panie. To ja z niego zrezygnowałem.

Lord Shahryar przytaknął.



- I dlatego sadziłeś, że to on cię wydał.
- Teraz wiem, że nie zrobił tego wprost, może tylko przypadkiem. Oczekiwałem, że będzie bardziej lojalny.
- Kto? On? - Maur klasnął z uciechy. - Nie Montfallcon. On nikogo nie szanuje. Dawno porzucił już wszelkie ludzkie wartości dla czystego idealizmu.
- Też się dziś o tym przekonałem.
- Potrzebujesz zatem nowego patrona?
- Tego nie powiedziałem, sir. Ale wyznam to, jeśli zgodzisz się darować mi życie i pozwolisz odejść stąd w zdrowiu. Wówczas podejmę każdą służbę, której ode mnie zażadasz, prócz królobójstwa.
- Każde zadanie, Quire?
- Ale tylko jedno, sir. Za moje życie. To będzie fair.
- Jedno życie już jesteś mi winien. Przypominam ci o moim krewniaku.
- Nie powiedziałem, że go zabiłem.
- Ale to ty. Wiele kosztowało mnie wykrycie sprawcy, w końcu mi się udało.
- King został wysłany za to zabójstwo do Newgate. Może nawet dotarł już na miejsce.
- A ty i twój pachołek jesteście wolni.

Quire wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że zgadzam się na tę wymianę. Jedna usługa za jego życie, jedna za moje. Już sporo na tym zyskałeś. Czym zatem mam się zająć, lordzie Shahryar?
- Na razie niczym. Jeszcze nie zgodziłem się na twoją propozycję. Niemniej gotów byłbym od tej chwili spisywać wszystkie „winien” i „ma”. Ale zamiast tego ofiarowuję ci patronat. - Lord Shahryar roześmiał się serdecznie i rozłożył ramiona jakby chciał pomóc sztyletowi Quire’ a znaleźć drogę do jego piersi. - Chcę mieć ten honor, by otoczyć cię opieką,

kapitanie Quire! Oferuję ci najlepszą z możliwych sposobności do doskonalenia twojej sztuki.

Montfallcon nie szanował cię, ale ja docenię twój talent.

- Ale jakie masz dla mnie zadanie, lordzie Shahryar?

Maur wpadł w ekstazę. Łzy radości płynęły mu z oczu, gdy spoglądał na swego potencjalnego protegowanego.

- Albion.

Kapitan Quire zsunął kapelusz na plecy i podrapał się w czuprynę. Jego los i nastrój odmienił się całkowicie w ciągu ostatnich godzin. Sposobność była wymarzona, lepszej nie mógłby sobie nawet wymodlić. Rozumiał ogólnie, o co chodzi Maurowi i wcale mu się to nie podobało.

- Gloriana?

- Będzie o wiele szczęśliwsza, gdy poślubi Wielkiego Kalifa. Ciężar stanu to za wiele na jedne kobiece barki.

- Montfallcon?

- Popadnie w niełaskę. - Saracen wzruszył ramionami. - Lub cokolwiek innego. Jak będziesz chciał.

- A konkretnie, to co mam robić?

- Twoim zadaniem będzie skorumpować dwór. Naturalnie szczegóły pozostawiani twemu uznaniu: szantaż, uroki, zdrada, morderstwo... Cokolwiek zechcesz, przynajmniej jak długo szerzyć będziesz wśród zwolenników Gloriany cynizm, desperację, podejrzliwość i występki. - Głos lorda Shahryara wznosił się coraz wyżej w trakcie roztaczania perspektyw przyszłości, w której, nie hamowany już przez rozsądek i wątpliwości Montfallcona, Saracen rozniecał wymarzony ogień. Quire słuchał tego hymnu i poddawał się wizji płomieni, otrzymywał bowiem to, czego najbardziej pragnął: pełny szacunku podziw za kunszt sztuki

swego zawodu. -Dajemy ci tę sposobność, kapitanie Quire, wraz z darowaniem życia i obietnicą naszego złota.

- Zdobyłeś mnie, panie, pochlebstwami - stwierdził gestykulując podniecony i rozbawiony Quire.

- Zawsze podziwiałem twój talent - powiedział lord Shahryar. - Ale złoto też ci się przyda - dorzucił, nie rozumiejąc słów Quire'a.

Kapitan zdjął z dłoni czarną rękawicę i skierował rozmowę na inne tory.

- Prosiłem o wyznaczenie mi jakiegoś konkretnego zadania.

- Jeśli ci powiem, mógłbyś powtórzyć Montfallconowi.

- On nie jest już moim pryncypałem.

- A ja?

- Wciąż oczekuję na szczegóły planu.

- Przrzekasz milczenie?

- W każdym razie nie powiem nic Montfallconowi, jeśli o to chodzi.

- Wielki Kalif pragnie poślubić Glorianę, by Arabia i Albion zrównały się pod każdym względem. Dysponując taką potęgą, będzie mógł wyprawić się przeciwko Tatarii i pokonać ją raz na zawsze. Ale zanim to uczyni, poplecznicy Gloriany sami muszą dojść do wniosku, że Królowa słabnie, a szlachta musi stracić wiarę w jej wszechmoc i zarazić wątpliwościami prosty lud. Dwór musi zasłynać korupcją i bezwładem, Montfallcon popaść w niełaskę Królowej jako ostatni głupiec. Jak na razie tylko jego słucha podczas zebrań rady. Księżnę Scaith trzeba usunąć z dworu, wszystkich członków rady omotać intrygami i sprowadzić na złą drogę. Morderstwa muszą splamić ręce bez skazy. Swary, podejrzenia, podjudzanie...

Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Oczywiście, ale nie wiem, czy to wykonalne.

- Niewykonalne dla wszystkich, oprócz ciebie, Quire.

Kapitan przytaknął.

- To prawda, że gdybym ja ci odmówił, miałbyś, panie, kłopoty ze znalezieniem kogoś równie utalentowanego. Jest jeszcze mistrz Van Haag z Sojuszu Nizinnego, paru

Florentyńczyków, pewien Wenecjanin, ale żaden z nich nie zna dworu tak dobrze jak ja. Będzie to ciężka praca, wymagająca szczególnie wielu starannych przygotowań.

- Poczekamy cierpliwie. Wielki Kalif pragnie przybyć do Albionu jako wybawca, akceptowany po równi przez Królową jak przez jej lud. - Maur niemal już oczarował Quire'a. -

Dasz radę?

- Zapewne tak.

- To co my, Arabowie, możemy ofiarować Albionowi, to bezpieczeństwo, czystość obyczajów i zdrowe zasady moralne. Twoim zadaniem będzie zamieszać do tego stopnia, by Albion sam zatęsknił za naszym porządkiem, a wtedy pojawimy się jako zbawcy Królowej i Królestwa.

- A ja będę miał okazję do zemsty - mruknął Quire do siebie. - Muszę dojść swoich praw.

- Zostaniesz nagrodzony, rzecz jasna. Będziesz wielki. Czy Montfallcon chciał nadać ci jakąś godność?

- Nie, mój panie. Uprzedzałem go zresztą, że żadnej nie chcę.

- Nie próbuj mi wmawiać, kapitanie Quire, że nie pożadasz władzy. - Lord Sharhyar objął ramieniem mordercę krewniaka.

- I tak mam jej dość.

- Ale nie masz pozycji.

- I tym samym nie spoczywa na mnie żadna odpowiedzialność. Gdybym był baronem

Quire'em musiałbym święcić przykładem, a po co, skoro wówczas cieszyłbym się wolnością tylko trochę większą, niż Królowa!

- A księstwo? A naród? A możliwość pofolgowania sobie na wiele większą skalę?

Quire pokręcił głową.

- Podobnie jak Montfallcon, i ty nie rozumiesz mnie, sir. A poza tym wiem, że będziesz próbował zabić mnie, gdy ukończę dzieło. Propozycja ofiarowania mi księstwa czy narodu we władanie jest czystym nonsensem. Nie byłbyś skłonny tolerować świata powstałego zgodnie z moimi wyobrażeniami. Nie, sam wybiorę sobie nagrodę, gdy skończę zadanie, a wykonam je, jak się domyślasz, dla samej artystycznej wartości takiego czynu. Pomagam ci, ponieważ w jednym jesteś lepszy od Montfallcona: akceptujesz we mnie estetę. Przygadałeś mnie dla swej sprawy, próbowałeś zachęcić jeszcze na inne sposoby. Owszem, poddałem się. Zostałem zjednany. Ale naprawdę pociąga mnie jedynie samo zadanie. Jeśli powalę Albion i Królową na kolana, to nawet jeżeli potem uda ci się mnie zabić, umrę z wiedzą, że wykonałem największą i najbardziej trwałą z moich prac.

Lord Shahryar odstąpił od Quire'a i spojrzał w jego lśniące oczy.

- Czy Montfallcon boi się ciebie?

Quire przeciągnął się i wciągnął głęboko w płuca przesycone aromatem kawy powietrze.

- Sądzę, że niedługo zaczniesz.

Quire kontemplował wizję wspaniałej i krwawej przyszłości, ziewając jak leoparc, który ocknął się z drzemki i stwierdził, że w nocy rozłożyło się wkoło niego stado tłustych gazel.

Uśmiechnął się.

**ROZDZIAŁ 14**

## W KTÓRYM GLORIANA, KRÓLOWA ALBIONU, I UNA KSIĘŻNA SCAITH, PODEJMUJĄ RYZYKOWNĄ WYPRAWĘ DO TAJEMNEGO ŚWIATA

Księżna Scaith otworzyła okiennice i wystawiła twarz na ciepło słońca. Wciągnęła w nozdrza zapach fiołków. Z okna sypialni rozciągał się widok na trawniki i rozkwitające ogrody otaczające sztuczne jezioro, które straciło tego ranka charakterystyczny zimowy, nieporządnny wygląd. Wszędzie kręcili się ogrodnicy wraz z pomocnikami, plewienie i porządkowanie postępowało z każdą chwilą. Nadejście wiosny pomyślała Una popadając nagle w melancholię, chociaż z dawna oczekiwane, potrafi jednak być przykre. Za jej plecami, na łóżku z zasłonami, spała wciąż Gloriana Przyszła tu w nocy zapłakana, szukając ukojenia. Odziana w czarny jedwab damaskijski, Una sięgnęła po linę dzwonka, ale zawahała się, spojrzawszy na spokojnie śpiącą przyjaciółkę, która niewątpliwie miała się niedługo obudzić Kasztanowate włosy pięknej Gloriany rozpościerały się wokoło głowy, spływając falami na ramiona, a na jej jasnej, niewinnej i ostro zarysowanej twarzy, częściowo odwróconej od wpadającego przez szparę w zasłonach światła malowało się tyle dziecinnego smutku, że w oczach Uny pojawiły się łzy i szybko zasunęła szczelnie kotary, zastanawiając się jak ulżyć Królowej i przynajmniej na parę godzin pomóc jej znowu być dziewczynką.

Już od jakiegoś czasu Una pragnęła (nieco samolubnie) pokazać Glorianie wszystko, czego dowiedziała się o zagadkach pałacu. Wahała się z kilku powodów: Gloriana niemal w ogóle nie dysponowała swoim czasem, wołała zwykle te trochę chwil prywatności spędzać w towarzystwie Uny, a poza tym znała już dość tajemnic tyczących dworu, miasta i Królestwa, by każda dodatkowa wiedza tylko wzmagala jej lęki. Niemniej taka wyprawa byłaby ucieczką, nawet jeśli tymczasową, byłaby możliwością podzielenia się prywatnym sekretem, dalekim od spraw stanu i polityki. Wprawdzie Una nie mogła przypomnieć sobie, żeby Gloriana miała na ten dzień zaplanowane jakiegokolwiek spotkania, nadal jednak nie była przekonana. Pozostawiała

jeszcze ta niezbywalna odpowiedzialność, ciężąca Unie w stopniu tylko trochę mniejszym, niż Królowej. Wiedziała też, że jasne pomysły poranka, który pozwala śnić na jawie, mogą rychło zostać zmacone przez wspomnienie niezliczonych zobowiązań, od niechcenia rzuconych obietnic czy lekkomyślnych gwarancji, nie mówiąc już o ustalonym rytuale i rutynie. Obudzić Glorianę teraz znaczyło dać jej nadzieję na zapierającą dech w piersiach przygodę i wolność, i w tym silniejszą wpędzić ją potem melancholię, gdy wszystkie obowiązki dnia upomną się o swoje prawa. Una postanowiła, że poczeka jeszcze i sprawdzi serce przyjaciółki, lepiej poznając jej publiczne i prywatne pragnienia.

Zostawiając zakryte aksamitem łożo, Una przeszła do sąsiedniego pokoju. W czarnych jedwabiach wyglądała jak istota nie z tego świata: na wpół cień, na połę srebrzysty płomień. Do małej sypialni służby wkroczyła, jak miała we zwyczaju, bez pukania. Elizabeth Moffett była już ubrana w proste płótna i właśnie rozczesywała włosy.

- Dzień dobry waszej książęcej mości. - Elizabeth Moffett traktowała obecność swej pani zupełnie naturalnie; twarz poczerwieniała jej trochę od wysiłku szczotkowania. Jej kwadratowe, zdrowe rysy były typowe dla północnej krainy, skąd pochodziła cała służba Uny, która nie wierzyła zwykle pozbawionym poczucia obowiązku i ogłupiałym, jak uważała, mieszkańcom Południa. Wiedziała, że to tylko niesprawiedliwe uprzedzenie, ale wolała zachować ten klucz doboru ludzi, którzy mieli z nią najbliższy kontakt. Elizabeth kochała szczególnie za zupełnie niezwykłą umiejętność cieszenia się codziennością życia.

- Dzień dobry, Elizabeth. Mam gościa. Bądź tak dobra, przygotuj śniadanie na dwie osoby i zadbaj, aby nam nie przeszkadzano.

- Ho, ho, ho... - Elizabeth Moffett mrugnęła do księżnej. Jej reakcje na poczynania Uny były zawsze bezpośrednie i pozbawione subtelności.

Una uśmiechnęła się i szeleszcząc jedwabiem wróciła do własnej komnaty, gdzie

słysząc już było poruszającą się Glorianę.

Zasłony rozchyliły się i przez szparę wyrzało zakłopotane i zawstydzone oblicze pierwszego ideału tego świata.

- Och, Una!

Księżna Scaith stała znów przy oknie i obserwowała konia roboczego, który ciągnął ładunek sadzonek i szczepów uprawianego dopiero od niedawna ligustru.

- Wasza Wysokość? - odezwała się Una nieco sardonicznie, powodując, zgodnie z zamiarem, wybuch śmiechu Królowej.

- Uno! Która godzina!

- Dość wczesna. Zdążysz jeszcze zjeść śniadanie, pani. Co masz dzisiaj?

- Dzisiaj? Ty wiesz to lepiej. Powiedz mi.

- Aż do południa nie ma żadnych spraw, potem obiad z ambasadorem z Lyonu i jego żoną.

- Och! - Głowa Gloriany zniknęła, ale jej przytłumiony głos nadal dobiegał spoza zasłon. - Ale do południa mam wolne?

- I owszem - powiedziała Una. W końcu odważyła się dodać: - Czas wolny na wyprawę. Tylko we dwie. Jeśli Wasza Wysokość nie ma innych pomysłów...

- Co powiedziałaś? - Głowa pojawiła się ponownie z szeroko otwartymi oczami.

- Odkryłam coś, czym pragnę się z tobą, pani, podzielić. Jak wiadomo, pałac jest bardzo stary.

- Niektórzy uważają, że równie stary jak Albion. Jego fundamenty wykopano w tym samym czasie, co Nowej Troi.

- Właśnie. Podobno dachy dawnego pałacu znajdują się teraz głęboko pod ziemią.

- Uчени sporo spekulują na ten temat. Co chcesz powiedzieć, Uno? Czyżbyś odkryła



stare podziemia?

- Nawet więcej. Tajemne przejścia...

- Nie są takie tajemne. Jako dziecko zwiedziłam ich sporo i wszystkie prowadzą donikąd, zawsze trafia się na mur.

- A co jest dalej?

- Co? Montfallcon pewnie by wiedział, gdyby było tam cokolwiek. To jego sprawa.

- Jeśli nawet wie, to z pewnością nic nie powie. Sprawdziłam go. Daje wymijające odpowiedzi. Pewnie tak postanowił. Zawsze zresztą woli ślizgać się po powierzchni i nawet jeśli uznaje możliwość istnienia głębi pod stopami, to na tym się kończy.

- To chyba kwestia jego temperamentu.

- Zdaje się, że tak. A zatem mamy wspólną tajemnicę, której Montfallcon nie zna. I mniejsza o jego postanowienia.

- Kocham takie sekrety! - Gloriana wyskoczyła z łóżka i stanęła boso w pomiętych białych mgiełkach nocnego odzienia; niemal uniosła przyjaciółkę w objęciach mocnych ramion. - Czy będziemy się ukrywać?

- W pewnym sensie. Nikt nie może wiedzieć, gdzie idziemy. Znalazłam to przejście wkrótce po moim powrocie ze Scaith. Prowadzi do podziemnej części pałacu. Pełno tam starych przedmiotów i śladów wydarzeń, o których nasza historia ledwie napomyka.

- Możemy wejść do tych tuneli? Zaprowadzisz mnie?

- Jeśli tylko zechcesz. Powinnyśmy ubrać się możliwie prosto. To doda smaku przygodzie.

- Racja. Przebierzemy się za młodzieńców. Mamy odpowiednie stroje.

- Też tak pomyślałam. Ze szpadami, sztyletami i bon-netami z piórami.

- Wysokie buty i skórzane kaftany. Tak! Już, teraz?

- Mamy jeszcze chwilę.

- No to wykorzystajmy ją dobrze! - Gloriana ucałowała przyjaciółkę w usta. - A potem, gdy wrócimy, opowiemy o tym niektórym. Doktorowi Dee na przykład. Jak sądzisz? A może Wheldrake'owi?

- Najlepiej będzie zachować wszystko w sekrecie. Ani słowa. Pokażę ci potem, dlaczego.

- Masz nasze przebrania, Uno?

- Są tam, gdzie zawsze, w skrzyni.

- A latarnie? Będziemy potrzebować jakiegoś oświetlenia?

- I owszem.

Gloriana zmarszczyła brwi.

- A jeśli tam jest niebezpiecznie? Spróchniałe schody, ukryte zapadnie, ledwo trzymające się dachy?

- Będziemy omijać pułapki. Poprowadzę cię. Już tam byłam. - Una wiedziała, że Królowa nie obawia się o siebie, ale o bezpieczeństwo filaru Królestwa.

- A czy spotkamy demony?

Ucieszona poruszeniem Gloriany, Una nie chciała mącić radości jakąkolwiek obawą.

- Tylko takie, które złękną się naszego miecza i męstwa - zakrzyknęła - bowiem serca nasze są prawe!

- Gdzie jest wejście? - Gloriana otwierała już skrzynię i wyciągała przebrania, których używały jakiś czas temu, gdy wpadły na pomysł, aby razem zabawić się w podrywanie dworek.

- Tutaj. - Una wskazała na ścianę. - W sąsiednim pokoju, a dokładnie w szafie, której rzadko używam. Prowadzi do korytarza, o którym wiedziałam już wcześniej. Kilka stopni i zamurowane drzwi, niegdyś wychodzące na zewnątrz. Jedne z wielu.

- Tak, masa tego powstała za czasów Herna. Ale to nie wszystko. Co dalej?

- Stwierdziłam, że mur jest cienki, a niektóre cegły się ruszają. Zrobiłam w nim dziurę i już! - Una wciągnęła luźne spodnie i zapięła je. Narzuciła na nagie ciało płócienną koszulę i ułożyła ją, poprawiając koronki kołnierza i mankietów, po czym otuliła się groszkowym kaftanem i zapięła go na całej długości. Jeszcze pończochy i buty, szkarłatny kapelusz o zagiętym rondzie z błękitnymi piórami strusia, i mogła nałożyć pas ze szpadą i krótkim sztyletem. Gloriana, której włosy były o wiele dłuższe, zwinęła je i schowała pod ciasnej przylegającą czapkę, również udekorowaną piórami. Z ramienia zwisała jej krótka peleryna, a jej kubrak był z brązowego tłoczonego aksamitu. Ogólnie jednak w przebraniu bardzo przypominała Unę. Stały obok siebie, biodro przy biodrze, z lewymi dłońmi na rękojeściach szpad, i roześmiały się: dwóch elegantów z miasta, dwóch biednych młodszych synów gotowych na każdą eskapadę.

- Najpierw śniadanie - powiedziała Una, która zawsze w podobnych przypadkach obejmowała przywództwo. - Musimy też wziąć jeden z przenośnych zegarów mistrza Tolcharde'a, abyśmy wiedziały, kiedy wrócić. Może zegarek kieszonkowy? Znalazła urządzenie i schowała do sakiewki. Z wysokości jej uda rozlegało się teraz głośnie tykanie zegarka, będącego łupem z jakiejś zapomnianej kampanii w Indiach Zachodnich. Wdzięcznym krokiem podeszła do drzwi i uchyliła je nieco. Zgodnie z poleceniem, Elizabeth Moffett przygotowała owsiankę, śledzie i chleb, które czekały już na kryształowym stoliku.

Gdy zjadły, Una zaprowadziła Glorianę do szafy, otworzyła skrzypiące drzwi i uniosła latarnię, by pokazać stopnie i mur, w którym, zaraz po lewej, widoczna była świeża dziura.

- To tutaj - powiedziała. - Samą wnękę odkryłam, gdy stwierdziłam, że z wywietrznika w jednym z moich pokoi na dole wieje chłodem. Zawsze sądziłam, że tamte pomieszczenia wykute są w litej skale. Odkryłam tam małe przejście, za małe by się w nim wyprostować, które

mija potem ten pokój i też pozwala tu zajrzeć. Gdybym chciała, mogłabym sama siebie szpiegować! Ale to nie byłoby zbyt interesujące.

Una pomogła wysokiej Glorianie przejść przez otwór, za którym dalsze, identyczne stopnie prowadziły w dół.

Blask latarni był aż zbyt jasny na tak wąskie przejście. Porozumiewały się ledwie szeptem, ale ich głos odbijał się wzmocniony podobnie, jak światło wydawało się silniejsze niż w rzeczywistości. Paradoksalnie, uspokajało to je. Zapach kurzu nasuwał bliżej nieokreślone, nostalgiczne wspomnienia. Obie były znowu dziećmi trzymającymi się za ręce i nie oddalającymi od siebie ani o krok. W pobliżu przebiegł szczur. Cisnęły w niego nakryciami głowy. Obejrzały dokładnie pająki i plamy porostów na murach, poszukując w nich podobieństw do twarzy niektórych dworzan. Podniecenie doszło do szczytu, gdy tunel zakręcił opadając, potem znów się podniósł, oddalając je od dostojeństwa, blasku, miłosierdzia i wszystkich trzeźwych wymogów urzędu. W końcu dotarły do wielkiej galerii o rzeźbionych w barbarzyńskie wzory ścianach i pradawnych filarach podtrzymujących panelowe, drewniane sklepienie. Latarnie rzucały głębokie cienie, ukazując nieludzkie oblicza i przedziwne formy zwierzęce. One zaś chichotały, ciszej już jednak, jakby bały się rozgniewać te wiekowe rzeźby. Nawet, gdy w oddali poruszył się jakiś większy cień, który nie był ich, nie poczuły lęku, pomimo że nie udało się rozpoznać, do kogo lub czego należał. Znalazły ponure malowidła i otarły je z pyłu, aby wyrazić zachwyt nad mistrzostwem dawnych twórców. Siadały na zakurzonych krzesłach, zastanawiając się, ile stuleci czekały te meble, aż ktoś znowu z nich skorzysta. Trafiając na połamane kije, przegniłe resztki drewnianych wykończeń, pordzewiała broń, szkielety kotów i szczurów wmawiałały sobie, że odnajdują ludzkie szczątki dokumentujące morderstwa opisywane w legendach Albionu. Zaglądały do małych pomieszczeń, w których stały prycze i ławy, leżały łańcuchy i kajdany pozostałe zapewne po

tych więźniach, którzy mieszkali tu niegdyś, wykańczając tę wyłożoną drewnem galerię, którą dopiero co minęły. Schodziły po stoczonych przez wilgoć kamieniach i słyszały płynącą wodę, ale ani razu jej nie widziały. Trafiały na воск tak świeży, jakby dopiero przed godziną skapnął ze świecy, widziały kęsy żywności zaciągnięte tu niewątpliwie przez wszędobylskie szczury. Słyszały wszędzie stapania i szmery, które, jak uznały, dochodzić musiały z zamieszkałych części pałacu, odległych czasem tylko o grubość kilku ścian. Przebywanie tak blisko życia bez możliwości ujrzania czegokolwiek, czy zidentyfikowania źródła hałasu było dziwnym uczuciem. Do ich uszu dochodziły ludzkie głosy, śmiechy, krzyki, brzęki narzędzi, stukot obcasów; czasem głośnie, czasem bardzo ciche, jakby przestrzeń nabierała gdzieś pomiędzy murami zupełnie szczególnych właściwości. Wydawało się pewne, że podziemia były nawiedzane przez żywych.

Una prowadziła Glorianę przez kręte schody, a następnie wąskim tunelem, w którym musiały pełznąć, aż do światła jaśniejszego niespodziewanie z otworu w murze. Una zawróciła z wysiłkiem i podczołgała się do Gloriany, by obie mogły równocześnie wyjrzeć przez kratkę. Zdziwienie okazane przez Glorianę w pełni usatysfakcjonowało Unę. Ujrzały doktora Dee we własnej osobie. Chodził w tę i z powrotem przez całą długość pokoju pełnego skromnych mebli, szkła laboratoryjnego, zwiniętych pergaminów, instrumentów z brązu i polerowanego drewna, zaśmieconych półek i szaf, kryształów, luster, globusów, planetariów, menzurek zawierających różnokolorowe płyny i proszki, jak i innych parafenaliów i przedmiotów, mających dostarczyć uczonemu naukowego natchnienia.

Dee miał na sobie jedynie luźną szatę, spod której wyglądało jędrne ciało, zbite włosy i zadziwiająco duże genitalia, które nieprzytomnie trącał co pewien czas palcami, jakby pomagało mu to w koncentracji. Gloriana przygryzła wargę i zdumiona potrząsnęła głową. Potem zawstydzona trąciła Unę, by iść stąd.

Una jednak cofnęła się do następnego wywietrznika i Gloriana nie oparła się pokusie.

Ujrzała równie zaśmiecącą księgami i przyrządami, jak poprzedni pokój, sypialnię doktora Dee. Tylko łożo, udrapowane w czarną materię wyszywaną w symbole astrologiczne, mające podkreślić godność następcy Prometeusza, wolne było od papierzysk. Gloriana zmarszczyła pytająco brwi, ale Una poprosiła ją o cierpliwość. Nie trwało długo, a w drzwiach pojawił John Dee. Szata spłynęła z nagiego ciała; jego nadal spoczywająca w dłoni męskość była teraz o wiele większa. Gloriana stłumiła okrzyk.

- Och - słyszały jego jęki. - Gdyby tylko istniało antidotum na miłość. To subtelna trucizna! Wypełnia mnie. Gdyby wynaleźć filtr, który oczyszczałby ciało z żądz i umysł pozostawiał czystym i jasnym. Ale nie! Ulec tym żądzom znaczy porzucić poznanie rozumu. A ja potrzebuję i jednego, i drugiego! Muszę mieć i to, i to! Och, pani, pani!

Gloriana patrzyła na to wszystko z niedowierzaniem.

Dee rozsunął ostrożnie zasłony łoża i wydało się, że na pościeli leży jakaś wysoka postać o niewyraźnych konturach, lśniąca słabo jak rozkładające się zwłoki. John Dee pochylił się i zaczął głaskać ów obiekt mruczając coś przy tym, aż w końcu położył się i objął dziwną postać ramionami, przerzucił nad nią nogę i zadrżał.

- Och, moja piękna! Moja ukochana! Niedługo już ożyjesz i ukoisz tę rozpaloną cząstkę mej osoby! Ach! Ach!

Gloriana szarpnęła Unę i wycofała się.

W końcu stanęły na schodach. Gloriana oparła się ciężko o ścianę i przez chwilę patrzyła na przyjaciółkę z otwartymi ustami.

- Una!

- Jakże zwykłymi śmiertelnikami są arystokraci, co?

- Nie powinnyśmy na to patrzeć! To coś... Co to było? Czy on kocha się ze zwłokami?

Ludzkimi czy zwierzęcymi? A może to demon? Pewnie demon, Uno. Lub ciało czekające, aż ów w nim zamieszka. - Szelesty i pomruki dochodzące ze ścian zaczęły ją teraz drażnić. - Czy Dee uprawia nekromancję?

- Nic z tych rzeczy. - Una poprowadziła na dół. - To coś, to była zapewne jedynie czyjaś woskowa podobizna. Właściwie to nawet nie czyjaś, ale twoja. On cię kocha, Wasza Wysokość. Nie zauważyłaś?

- Miałam takie wrażenie, ale sądziłam, że się mylę.

- Już przedtem go szpiegowałam. Wciąż mówi o tobie. Jest nieustannie rozpalony, tak cię pragnie.

- Ale nigdy nie wspomniał ani słówkiem...

- Nie potrafi. Kocha cię i boi się... wielu rzeczy. Że go wyśmiejesz, że wywoła u ciebie szok, że będziesz się go bała. Nie potrafi rozwiązać tego dylematu. I wiele wskazuje na to, że nie może też doznać spełnienia z żadną inną kobietą.

- A wydawało mi się, że jest w całkiem bliskich stosunkach z tą...

- Ale przez cały czas wyobraża sobie, że to ty.

Gloriana uśmiechnęła się szeroko.

- Och, biedny Dee. Czy nie powinnam...?

- To byłoby niewłaściwe posunięcie, Wasza Wysokość.

- Ale świetna rozrywka. A poza tym, on byłby szczęśliwy. Koniec końców niejedno mu zawdzięczam, wiele też zrobił dla Królestwa. Ma prawo do szacunku i wdzięczności. Mało kto potrafi zrozumieć jego ból tak dobrze jak ja.

- On nie cierpi tak jak ty.

- Do pewnego stopnia chyba jednak podobnie, Uno.

- Ale nie aż tak bardzo. Bądź ostrożna, Wasza Wysokość. Montfallcon...

- Uważasz, że to byłoby szkodliwe? Od czterech lat nie zabawiałam się z żadnym z dworzan. Wpadają wtedy w melancholię lub opętuje ich chorobliwa ambicja, inni jeszcze zaczynają szaleć, a w całym pałacu zapanowuje jakaś nerwowa atmosfera. A wszystko przez zazdrość.

- I rosną wydatki - dodała księżna Scaith. - Tylu z nich musiałaś obdarzyć majątkiem...

Twoja uprzejmość wobec tych, którzy cię kochają...

- Jest moją winą - Gloriana przytaknęła zgadzając się z Una. - Ale masz rację, kochana.

Dee musi płonąć dalej, a moim zadaniem jest robić wszystko, aby traktować go tak samo, jak zawsze.

- I nadal z szacunkiem.

- Oczywiście, ale trudniej będzie drażnić go teraz, gdy wiem o jego bólu, podsycając waśń pomiędzy nim a Mont-fallconem. A tak lubiłam to robić. Przyznaję jednak, że to rozrywka niegodna Królowej i najpewniej żadna dla Dee.

Przeszły przez salę o nisko zwieszającym się suficie i znalazły wyłamane drzwi, przez które weszły, i już miały zagłębić się w znajomy tunel, gdy w jednej z wnęk z prawej strony zajaśniała pochodnia. Przystanąły zalęknione.

Spod uniesionego wysoko drzewca spoglądał na nie niski mężczyzna mający jakby garb lub narośl na ramieniu. Ubrany był w skórzany kaftan i spodnie oraz ciemną koszulę z kołnierzem złożonym na szyi. Miał wielkie oczy i szerokie usta nadające mu wygląd uczonej żaby. Uniosły swoje latarnie, mimowolnie przybierając pozy stosowne do przebrania.

- Co to jest? - Oparta nonszalancko o ścianę Una postanowiła być arogancka. -

Zapomniany przy wyprowadzce klucznik podziemi?

Ujrzała, że na ramieniu mężczyzny siedział prosto mały biało-czarny kot patrzący na nie otwarcie i szczerze żółtymi oczami.



- A to co takiego? - Kpiący głos Jephraima Tallowa poniósł się echem. - Dwóch aktorów, którzy zgubili drogę w zgliszczach teatru?

- Jesteśmy dżentelmenami, sir - powiedziała śmiało Gloriana. - Możesz pożałować swoich słów.

Tallow otworzył wielkie usta i roześmiał się. Una przekonana była już niemal, że zostały rozpoznane, chociaż przecież było to praktycznie nieprawdopodobne. Postąpiła krok.

- Badamy te tunele na polecenie lorda Montfallcona. Szukamy zdrajców, renegatów i włóczęgów.

- Aha. No to jednego już złapaliście, panowie. - Tallow uśmiechnął się oszukańczo. -

Albo i dwóch, jak wolicie. Mnie oraz Toma. Świetna z nas para włóczęgów. Zgrana paczka łotrów. Uliczników. Nie jesteśmy jednak ani zdrajcami ani renegatami, bowiem nikomu nie służymy i przeciwko nikomu nie występujemy. Żyjemy z Tomem wyłącznie na własne konto. - Skłonił się, a kot mocniej wbijał pazurki w jego kaftan. - Jak widzisz, sir, nie mam szpady ni miecza, a zatem nie mogę przyjąć nawet propozycji pojedynku.

- Przesadziłem. - Una odskłoniła się z wahaniem. - Twoje nagłe pojawienie się nieco nas zaskoczyło.

- I ja jestem zaskoczony. - Tallow znalazł w ciemności kamienną ławę, i usiadł krzyżując ręce i nogi, i spojrzał na przybyszów. - A zatem?

- Znasz tu wszystkie przejścia?

- Chwilowo są one moim domem. Może znudzą mnie kiedyś, wtedy się wyprowadzę, jednak niezbyt rozumiem realny świat i wolę się od niego separować w tych podziemiach.

Chociaż, z drugiej strony, ten świat również mnie fascynuje. Mówicie zatem, że reprezentujecie badaczy lorda Montfallcona? W służbie Królowej?

- I owszem - powiedziała Gloriana z ironią, która wydała się Unie w niebezpieczny

stopniu oczywista.

- Z początku myślałem, że jesteście którymiś z większych zwierząt zamieszkujących pałac. - Unie wydało się tym razem, że jest to ukryta odpowiedź na wcześniejszą deklarację Gloriany.

- To tu są zwierzęta? - spytała Królowa.

- Zasypiają na zimę, ale niektóre mogą już zacząć się budzić. Jest ich wiele i w dużym wyborze. Czasem mocno utrudniają nam życie. A teraz pora na chwilę prawdy, panowie. Montfallcon nigdy nie wysyła nikogo pomiędzy mury. Nie ma takiej potrzeby. Albo więc uciekliście z więzienia, albo przed więzieniem i najpewniej szukacie ukrycia.

- Montfallcon wie...? - zastanowiła się głośno Gloriana.

- O najmroczniejszych zakamarkach pałacu? Oczywiście, przynajmniej o niektórych. Ale Tallow zna je wszystkie. Zostaniemy przyjaciółmi? Mogę być waszym przewodnikiem.

- Oczywiście - powiedziała Gloriana, nazbyt chętna zdaniem Uny do ugody. - Przyjaciel zatem i przewodnik, mistrz Tallow.

- Te sale ciągną się jeszcze o wiele głębiej - wyjaśnił Tallow. - Aż do naturalnych jaskiń, gdzie kłębią się i pożerają nawzajem białe, ślepe bestie. Są tam sale wykute w żywej skale, zanim jeszcze nastał pierwszy Wiek Złoty. Znajdują się też klasztory zamieszkałe przez skarłałych ludzi, którzy żyli na Ziemi, jeszcze przed pojawieniem się człowieka. Wszystko to leży poniżej pałacu, umieszczonego pod pałacem. Te tutaj wnętrza są stosunkowo młode, liczą tylko kilkaset lat. Prawdziwie starożytne zakątki są dla ludzkich oczu tak obce, że ledwie można znieść ich widok. Ci, którzy je zamieszkują, nie podlegają już ludzkiej mierze normalności, chociaż sami nie dostrzegają swego szaleństwa. Są tam kobiety i mężczyźni... Pewnie czasem się nawet rozmnażają...

Una wyprostowała się.

- Chcesz nas przestraszyć, panie Tallow?

- Nie, panowie. Nie bawi mnie to. Opowiadam wam tylko, co wiem ciekawego. -

Pogłaskał kota. - Zimno tu.

- Tak - odparła cicho Gloriana.

- Zabiorę was tam, gdzie będzie cieplej - powiedział Tallow. - Może spotkamy kilku podobnych wam wygnańców. Przynajmniej tych, którzy nie mają nic przeciwko takim spotkaniom. Większość mieszkańców podziemi woli się ukrywać. Ostatecznie po to właśnie wybrali życie w murach.

- Ilu ich jest? - wyszeptała Gloriana.

- Nigdy ich nie rachowałem, sir. Może stu, może dwustu. Żywimy się przede wszystkim odpadkami, czasem możemy liczyć na przesądnych służących. Ci, którzy uważają nas za diabły lub za wróżki, wystawiają nam smakowite kąski. Nie doceniają jednak naszej liczby. Ktoś tak mocno zbudowany, jak ty, musi codziennie jeść mięso, jeśli chce zachować formę. Osobliwie wyglądasz, sir-mówił Tallow prowadząc je dalej. - Jedna tylko ze znanych osób może poszczycić się taką posturą...

- Lepiej wracajmy - powiedziała nagle Una chwytając Glorianę za ramię. - Nie mamy już czasu.

Ale Królowa wyrwała się i szła dalej, a Una z konieczności podążyła za nią.

Korytarz był coraz szerszy, aż przeszedł w wielką salę, rozmiarami dorównującą placowi targowemu. Migoczące pochodnie oświetlały wnętrze, a na zaniedbanym palenisku przy przeciwległej ścianie płonął ogień. Po bokach, schowane w cieniach, stały pojedynczo i grupami namioty. Terytoria należące do poszczególnych mieszkańców oznaczone były linami lub ogrodzeniami ze śmieci, gruzu, kawałków mebli lub bloków wydartego ze ścian kamienia. Z namiotów wyglądały szczupłe twarze z wielkimi, jakby zaadaptowanymi do mroków oczami.

Nowa rasa.

Gloriana zatrzymała się przerażona, gdy ujrzała to wszystko. Una, która zamysliła się w marszu, wpadła najpierw na Królową, potem dopiero spostrzegła otoczenie.

- Kto to jest? - wyszeptała Gloriana.

Od ognia podniosła się rosła postać i znieruchomiała, wahając się zapewne, czy ma ochotę spotkać się z nowo przybyłymi. Potem zanurkowała jednak w ciemność - i zniknęła.

Przerażona Una wpiła się w ramię Gloriany.

- Dość - nalegała. - Musimy wracać.

- Spokojnie, to tylko nieśmiała wariatka. Jedyna taka wśród nas. - Tallow był rozbawiony. - Nie trzeba się jej bać.

Na twarzach mieszkańców podziemi nie było widać zaciekawienia. Tallow nie witał się z żadnym z nich. Wyglądało na to, że nie uważa się za członka plemienia. Traktował ich jak przewodnik eksponaty w muzeum.

- A tutaj mieszkają tacy, jak wy. Wśród nich dobrze urodzone damy, które oczywiście dodają sobie nieco szlachectwa. Ale co w tym złego? W tym miejscu każdy sam od nowa kształtuje swoją osobę i swoje otoczenie. To jedyne, co się tu posiada.

Gloriana obudziła się wreszcie z odrętwienia fascynacji i posłuszna namowom Uny zaczęła się wycofywać.

Tallow zawołał za nimi, ale nie usłuchały. Biegły przez korytarze aż do miejsca, gdzie uprzednio spotkały swego przewodnika. Wspięły się na górę i biegły dalej tunelami i schodami, pełne lęku, że zmyliły drogę, chociaż wszystkie przejścia wyglądały znajomo. Jeszcze tylko pokryta rzeźbami galeria, która przypominała teraz siedlisko upiorów, długi wąski korytarz i schody, w końcu szafa. Przecisnęły się przez dziurę i z hukiem zatrzasnęły za sobą drzwi.

Twarz Gloriany była bledsza niż oblicza nomadów podziemi. Oparła się, okryta

kurzem, o ścianę i dyszała ciężko. Usiłowała coś powiedzieć, ale nie mogła dobyć z siebie słowa.

W końcu ciszę przerwała Una.

- Trzeba to wszystko wymazać z pamięci. Och, Wasza Wysokość! To była niewybaczalna głupota! Zapomnieć, to jedyne wyjście.

Królowa Gloriana wyprostowała się. Wspomniała wielką postać rysującą się na tle ognia w sali na dole. Z przerażeniem wspomniała tę pozbawioną wyrazu twarz i łzy napłynęły jej do oczu.

- Tak - powiedziała. - Musimy o tym zapomnieć.

## **ROZDZIAŁ 15**

### **W KTÓRYM LORD MONTFALLCON WYŚLUCHUJE Z PRZERAŻENIEM PEWNYCH NOWIN I ZACZYNA ŻAŁOWAĆ NIEDYPLMATYCZNYCH POSUNIĘĆ**

Lord Montfallcon leżał sam na obszernym łożu, podczas gdy w sąsiedniej komnacie jego żony, szepcząc i pojękując, wcierały sobie nawzajem balsam w rany. Tego ranka czuł się wyjątkowo podle, dość miał samego siebie i wszystko go drażniło, a to za sprawą żalosego i pełnego bólu głosu Gloriany, który rozbrzmiewał przez całą noc. Obudził w końcu swoje żony, aby ich krzyki zagłuszyły lament Królowej. Montfallcon poprawił się na pościeli, przeklinając się za brak zdecydowania i energii. Był stary i chociaż ciało nadal miał silne, to jego umysł, który tyle spraw rozstrzygał i kontrolował, zaczynał wykazywać oznaki kryzysu. Czyżby nadchodził kres jego sprawności? Na dodatek Królowa ostatnio coraz częściej wpadała w melancholię, a Montfallcon nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Dyplomatycznie uchyliła postawione jej wprost pytanie o małżeństwo. Z Morza Śródziemnego doszła wiadomość o pojmaniu Toma Ffynne'a. Cierpiący na pogłębiającą się krótkowzroczność, stary pirat wziął arabską barkentynę za iberyjską barcę i teraz oburzona Arabia lamentowała głośno i oficjalnie,

pomimo że pomyłka była oczywista. Co gorsza, na dodatek wszystkich tych kłopotów został otruty sir Christopher Martin. Wszystko wskazywało na samobójstwo szlachcica, który poczuł się odarty z honoru. Zły znak dla szlachty i dla pospólstwa. Pojawiły się też plotki o sporze pomiędzy Królem Kazimierzem a Wielkim Kalifem. Słysząc je było na zmianę z pogłoskami o sojuszu pomiędzy oboma monarchami. Inne jeszcze plotki dochodziły do Montfallcona z Tatarii, Niemiec i Flandrii, z Iberii i Krajów Wyżynnych, z Afryki i z Azji, a tymczasem Quire, jego oko i ręka, jego broń przeciwko światu, zniknął gdzieś i nie dawał znaku życia o sobie. Montfallcon nie miał pojęcia, czy obrażony niepolityczną odpowiedzią Quire puszył się tylko niczym urażona kokota, by osiągnąć parę drobnych korzyści, czy też jego duma została zraniona na tyle głęboko, by wybrał się na wycieczkę za granicę, a może nawet ofiarował swe usługi innym mocarstwom. Mógł też przypadkiem zapłacić najwyższą cenę za swoje zbrodnie, ale o tym Montfallcon też nic nie słyszał, a Lord Kanclerz ze wszystkich rzeczy najbardziej nienawidził niewiedzy. Jego obsesją było, aby być zawsze o wszystkim doskonale poinformowanym. Teraz zaś nie tylko źródło wyschło, ale nawet nie było wiadomo, gdzie się znajduje. Pozbawiony stałego dopływu informacji, na których mógłby oprzeć plany działania, Montfallcon odczuwał paniczny lęk podobny obawie wojownika, któremu podczas bitwy zagrozi nagle paraliż lub ślepotą. Wydawało mu się, że niewidoczni wrogowie podpełzają coraz bliżej i złośliwie chichocząc osaczają go.

Montfallcon odmówił swemu narzędziu zrozumienia, zadowolił się pozą, wyżej ceniąc ją od prawdy; złamał własną zasadę głoszącą, by nigdy nie wierzyć pozorom, zawsze docierać do głębi. Ta jedna chwila nieopanowania mogła kosztować go teraz utratę kontroli nad Quire'em, który pracował kierowany miłością do sztuki, podobnie jak Montfallconem kierowała miłość do Ideału uosabianego przez Glorianę. Ich partnerska współpraca opierała się na wzajemnym zrozumieniu, Montfallcon nie był jednak skłonny uznać ich za równych

partnerów ślęczących nad dziełem niczym dwaj poeci nad sonetem. W przeszłości Lord Kanclerz nauczył się ukrywać dumę, która, zdarzało się, była źle odczytana lub czasem utrudniała osiągnięcie celu poprzez niepotrzebne, próżne gesty. W ostatniej rozmowie z Quire'em nie opanował jednak gniewu, do głosu doszła arogancja, która zderzyła się z miłością własną interlokutora. Montfallcon wiedział dobrze, że gdyby Quire oskarżył go o to samo, przypisując mu niskie pobudki działania dla dobra Albionu, reakcja szlachcica byłaby podobnie emocjonalna. A przecież Montfallcon żywił spory szacunek dla inteligencji Quire'a i wiedział, że długotrwałe obrażanie się nie leżało w charakterze tego łotrzyka. Owszem, dzień, może dwa, a tymczasem mijał już cały miesiąc. Do Montfallcona zaczęło docierać, że Quire mógł pomyśleć o zemście. Prosty odwet nie wchodził w grę, bardziej już można się było spodziewać misternie utkanej intrygi szpiegowskiej, będącej jednocześnie rzuceniem wyzwania Montfallconowi.

Lord Kanclerz nie był jednak niczego pewien, ponieważ zaś zdarzyło mu się popełnić już jedną pomyłkę, nie wierzył teraz żadnej ze swych ocen. Błąd mógł się przecież powtórzyć. Z jękiem podniósł się z przesyconej wonią potu i lawendy pościeli. Zaczynał się dzień, a wraz z nim obowiązki.

\* \* \*

Szczerbaty giermek kapitana Quire'a czekał na lorda Montfallcona w gabinecie, ubrany w czapkę ze skórek króliczych, za duży skórzany płaszcz, kaftan z galonami, bufiaste spodenki i zrolowane wysokie buty. Skłonił się, szurając nogą i odchylając do tyłu szpadę, sprawiając swym widokiem tyle radości strapionemu Montfallconowi, że ten przywitał go serdecznie, pytając o zdrowie i o wszystko inne. Zaraz potem zasiadł energicznie za biurkiem zasłanym większą niż normalnie ilością papierów i zmarszczył brwi.

- No, panie Tinkler?

- Tak, Lordzie Kanclerzu?

- Masz wiadomości od kapitana Quire'a?

- Nie, mój panie. Nie wiem nic pewnego. Przyszedłem, bo pomyślałem, że dowiem się czegoś. Moje długi rosną, a kapitan nie płaci mi już od miesiąca. A wciąż dla niego pracuję...

Montfallcon podniósł wzrok znad listu z Bantustanu.

- Słucham? Jak to tak, panie Tinkler? Przyszedłeś tylko po złoto?

- Lub srebro, sir. Coś, co pozwoli mi przetrwać do powrotu kapitana Quire'a lub...

- Dobiegły cię jakieś plotki o nim?

- Owszem, słyszałem kilka, mój panie, ale nic więcej. Gdy ostatnio wyszedł od ciebie, poszliśmy razem do bramy Aresa. Tam kapitan, lub ktoś bardzo do niego podobny, został zaatakowany i uwięziony martwy bądź ranny.

- Przez kogo?

- Nie ma świadków, sir. Wszystko wiem tylko z drugiej ręki. Jakies dziecko coś widziało, jakaś gospodyni podglądała zza firanek. Potem słyszałem jeszcze inne plotki, ale kapitan Quire nauczył mnie zawsze docierać do samego źródła i tam się pytać.

- I co, sprawdziłeś informacje?

- Oczywiście, sir. Kapitan Quire jest moim przyjacielem i dobroczyńcą. I nie tylko.

Pytałem w każdym domu. Skontrolowałem wszystkie wozy, które widziano w pobliżu bramy Aresa. Nie przepuściłem żadnemu łotrzykowi ani kieszonkowcowi, o ile tylko mogłem go odnaleźć. Wydaje się, że ktoś wynajął bandę w celu porwania kapitana Quire'a. Nie wiem jednak ani kto ich najął, ani kim byli, ani po co zostali wynajęci.

- Masz tu dziesięć szylingów, Tinkler. - Montfallcon wyciągnął rękę ze złotą monetą. -

Dostaniesz więcej, jeśli ustalisz miejsce pobytu twego pracodawcy lub wyjaśnisz jego los. Czy sądzisz, że nie żyje?



- Podobno Saraceni usilnie go poszukiwali.

- Ale w ich zwyczaju nie leży ukrywanie ciała ofiary zemsty. Pochwaliliby się.

- Owszem, widziałem niejednego trupa pozostałego po ich porachunkach, gdy byłem z kapitanem na wyprawie na Morze Śródziemne, mój panie.

Montfallcon zastanowił się, czy Tinkler nie chce w ten sposób przypomnieć o latach wiernej służby dla Albionu. Przyjrzał się bliżej szczupłej twarzy o ziejącej czernią paszczęce i poczuł lęk, że raz jeszcze może się pomylić i niesłusznie odprawić kolejnego sługę.

Ale Tinkler, rad z otrzymanego złota i bardzo pragnący zadowolić Lorda Kanclerza, przypominał raczej nieszczęśliwego psa, który utracił właściciela, i nijak nie mógł zostać uznany za substytut Quire'a.

Lord Montfallcon poczuł, jak humor go opuszcza. Utracił najlepszego sługę i nigdy nie znajdzie już kogoś tak sprawnego i bystrego.

- Jeśli zobaczysz go, o ile żyje oczywiście, to przekaż mu moje pozdrowienia i powiedz, że bardzo się niepokoję.

- Oczywiście, sir. Zrobię to. Obaj jesteśmy lojalnymi sługami, sir.

- Tak, oczywiście. - Montfallcon wziął do ręki zaszyfrowany list z Bohemii. - Powiesz mu, jak bardzo mi go brakuje, jak bardzo potrzebny jest Imperium i jak wysoko cenimy jego umiejętności i sztukę.

- Nad tym właśnie się zastanawiał, sir. Właśnie nad tym.

- Co?

- Czy docenicie artyzm tego, co robi w waszej służbie. Perfekcję jego planów i sposób ich realizacji, rzucający podejrzenie w innym zupełnie kierunku i dostarczający dalszych pożytecznych informacji. Jak wygaszał wszystkie plotki i tępił paszkwile. Sam siebie uważał raczej za poetę, mój panie.

- A mnie?

- Za najwdzięczniejszą publiczność.

Lord Montfallcon westchnął i rzucił szyfrowany list na biurko.

Tinkler, któremu uczciwość nie pozwoliła zauważyć, że przemawia przeciwko sobie, wybuchnął nagle:

- Z pewnością został zamordowany, mój panie. Pewien jestem, że nie żyje. Taki rozum, taka odwaga! Przepadło!

- Daj mi dowód na to, że Quire nie żyje, a wynagrodzę ci to. Albo dowiedz, że żyje, a wtedy nagrodzę cię w dwójnasób. Przyrowadź mi do tego pokoju żywego kapitana Quire'a, a gwarantuję ci, że resztę życia spędzisz w bogactwie.

Tinkler skłonił głowę, ale podniósł ją szybko, jakby nagle zaświtała mu jakaś myśl.

- A póki co, Tinkler - uśmiechnął się krzywo Montfallcon - przynoś mi wszystkie wieści, jakie dotrą do ciebie o sprawach dziejących się za granicą. To pewny kawałek chleba.

Tinkler skłonił się raz jeszcze i wycofał do zasnutych pajęczynami drzwi, do labiryntu zapomnianych podziemi i katakumb tkwiących w tkance pałacu, niczym Hades ukryty pomiędzy filarami Niebios.

Gdy Tinkler wydostał się ze sporą ulgą na wilgotne powietrze jasnego, kwietniowego dnia, Montfallcon zmuszał swój rozgorączkowany umysł do rozważań nad organizacją nadchodzącego Święta Wiosny, podczas którego Królowa miała przyjąć i uhonorować wielu wybitnych ludzi, jak i okazać swą łaskę tysiącom pomniejszych dygnitarzy. Szczęśliwie większość spraw spoczywała i tak na głowie Gallimariego, Mistrza Ceremonii, i Montfallconowi pozostawały tylko kwestie dyplomatyczne. Ogólnie uznawał to za marnowanie czasu, z którego nic nie wynika, niemniej tego rodzaju publiczne wystąpienia Królowej potrzebne były dla upewnienia ludu o potędze, stałości i bezpieczeństwie Albionu.

Odnalazł dostarczone mu wczoraj (zgodnie z życzeniem) wiersze Wheldrake'a i przeczytał je dokładnie. Nie dowierzał poecie, szczególnie, że ten przybył do pałacu poprzedzany rekomendacją osoby bezbożnej i lubieżnej. Nie było jednak żadnych wątpliwości, że w pełni dostosował swą twórczość do wymogów dworu. Montfallcon pożałował, że podpisał już wiosenną listę mianowań szlacheckich, ale postanowił sobie, że przy następnej okazji poprosi Królową o uczynienie przynajmniej baronem tego, kto tak dobrze zrozumiał subtelną materię spraw związanych z odpowiedzialnością wobec Albionu.

## **ROZDZIAŁ 16**

W KTÓRYM KRÓLOWA GLÓRIANA ŚWIĘCI NADEJŚCIE WIOSNY I DOŚWIADCZA  
PIERWSZEJ SPOŚRÓD WIELU NADCHODZĄCYCH TRAGEDII

W biało-zielonej szacie wyszywanej w drobne jaskry, stokrotki i żonkile Królowa Gloriana została wniesiona w otwartej lektyce oplecionej girlandami z bluszczu, laku wonnego, dzwonek i nagietek do rozległego, ogrodzonego murem parku za pałacem. W cieniach dziko rosnących i zasłaniających gęstym szpalerem odległy mur dębów i topól przemykały płowe sarny i jelenie. Na górze zaś, na kołyszących się kładkach pomiędzy konarami, trębacze przytknęli fanfary do ust i zadęli triumfalnie powitalne hasło:

GLORIANA.

Dziś jako Majowa Królowa wkraczała na plac, gdzie wkopano pal wiosenny i gdzie zebrali się już wszyscy goście przebrani za pasterzy, pasterki, dojarki i wieśniaków; było też liczne grono Kupidynów oraz Satyrów, kilku Faunów, pięć Driad i jeden gigantyczny Baranek. Z kładek na drzewach i z galerii pałacu przyglądało się ceremonii wielu dalszych szlachetnie urodzonych. Lektyka została postawiona na ziemi i dżentelmeni niosący ją do tej pory (wśród nich księżna Scaith w przebraniu myśliwego z łukiem i kołczanem) zajęli miejsca po obu jej stronach. Publiczność skłoniła się, a trąby zagrzmiały:

GLORIANA.

Wysoko ponad parkiem usadowił się na balkonie lord Montfallcon i na zmianę obserwował piękne widowisko rozgrywające się poniżej i nadciągającą z zachodu ciemną chmurę, która wyraźnie szykowała się, by przesłonić słońce. Zawsze bardzo żałował, że nie może w takich przypadkach panować nad pogodą, i że doktor Dee, który powinien temu zagadnieniu poświęcić więcej czasu, nie trafił, jak dotąd, na żadne zaklęcie dające człowiekowi władzę nad podobnymi sprawami. Jeśli spadnie deszcz, doktor Dee zmoknie jak wszyscy, bowiem też znajdował się na dole, w przebraniu kosmatego satyra. Towarzyszyli mu lady Lyst (nimfa wodna w błękitnych jedwabiach), sir Amadis Cornfield (elegancki kowboj), lady Pamela Cornfield (pasterka z kijem i wypchanym jagnięciem), sir Vivien i lady Cynthia Rich (myśliwy i myśliweczka), i mistrz Ernest Wheldrake przebrany za jakieś osobliwe fruujące stworzenie (zapewne za słowika), z piórami sterczącymi chwiejnie tu i ówdzie, i lśniącem dziobem. Jego zadaniem było przywitać Majową Królową. Wraz z uderzeniami pierwszych kropli deszczu doszło do Montfallcona odległe popiskiwanie...

*Zieleni się ziemia, niebo błękitnieje.*

*Dla miłości są razem i mądre i głupie,*

*Natura wszechpotężna daje nam nadzieję,*

*Że doszły kresu zimy uściski trupie.*

*Myśli stają się ręce, a wieśniacy*

*Rażno bieżą do orki. I wszystkie oblicza*

*Szukają słońca. W spokoju czy w pracy*

*Pieśń płynie. Ziemia znowu jest dziewicza.*

Mistrz Wheldrake, który nigdy nie uczył się swoich utworów na pamięć, wyrwał nerwowym ruchem parę niesfornych piór zasłaniających mu widok na kartkę i wyraźnie

przyspieszył tempo, pragnąc przeczytać wiersz, zanim deszcz do szczętu rozpuści atrament...

*Z ochotą poświęcają Mitry błogosławieństwa,*

*Krew żywiej w nas płynąca i serc radosne tętna.*

*Kwietne girlandy dziś ozdobią altany i świątynie,*

*A wielki Pan przegania ostatnią mroczną godzinę.*

*Pieśń wszystkich dzwonów tę wieść promienną głosi.*

*Że władczyni Albionu wiosnę do nas prosi.*

- Jak zwykle, świetnie to ująłeś, mistrzu Wheldrake! - Majowa Królowa skinęła mu srebrnym berłem spowitym mirtem, tymczasem służba rozpostarła nad jej lektyką zielony baldachim mający uchronić Glorianę przed przemoknięciem, czekającym niewątpliwie wszystkich pozostałych jeszcze przed rozłożeniem przygotowanych zasłon.

Deszcz łomotał w płótno, gdy Gloriana ujęła w dłoń miecz podany jej na poduszce przez lorda Ingleborougha i wypowiedziawszy „Sir” przytknęła go po kolei do ramion dzielnych, choć ociekających wodą żeglarzy mających otrzymać szlachectwo. Potem nadała jeszcze kilka tytułów lordowskich i parę majątków w Virginii, Kitaju i Hibernii. Wszystkie dostały się trzeźwo myślącym, wiernym sługom Imperium, wyznaczonym przez lorda Montfallcona po to, by jeszcze lepiej i z jeszcze większą odpowiedzialnością strzegli interesów Królestwa. Wysłannicy do obcych krain otrzymali listy uwierzytelniające i certyfikaty, zagraniczni ambasadorzy przedstawili z kolei swoje pisma i przekazali pozdrowienia. Dziewięć małych dziewczynek (każda następna trochę starsza od poprzedniej, wszystkie rodzone córki Gloriany) wpędziło na przytępioną murawę baranki i pokichując zaczęło śpiewać sielanki, co ostatecznie przerwała im sama Królowa, prosząc niańki, by wzięły dzieci jak najszybciej do pałacu i wysuszyły, bo inaczej skończy się to ciężkim przeziębieniem.

Pokazy ćwiczeń z kopią postanowiono odłożyć na następny dzień (albo do chwili, gdy

znów wyjrzy słońce). Rydwan Słońca, na którym stał mokry i bardzo nieszczęśliwy półnagi lord Ransley jako Matras, bóg światła, w oklapniętych żółtych spodniach i koronkach, pojawił się tylko na chwilę ciągniony przez młodzież przystrojoną również na żółto i mającą symbolizować promienie słoneczne. Pozostawił za sobą głębokie koleiny w rozmokłym gruncie. Muzycy i przebierańcy zostali poproszeni o przejście do Wielkiej Sali, gdzie miały zacząć się tańce. Zrezygnowano z marszu po nadrzewnych kładkach. Postanowiono jednak rozegrać do końca tę część przedstawienia, w której przywiązana do wiosennego pala Gloriana miała zostać uwolniona przez sir Tancreda, reprezentującego rycerskie tradycje Albionu. O ile oczywiście deszcz nie zamieni się w potop, przeciwko któremu nie pomógłby już płócienny dach rozpięty niczym żagiel ponad słupem. Zorganizowawszy to wszystko, poproszono mistrza Wheldrake'a, by wystąpił przed wszystkimi i odczytał kolejny wiersz.

Pióra jego przebrania ociekały wodą, która przy każdym geście poety pryskała na twarze zgromadzonych. Ernest Wheldrake zapowiedział, iż zamierza przeczytać kilka nowszych fragmentów długiego poematu epickiego, nad którym pracuje już od sześciu lat, zatytułowanego *Atargatis, lub Niebiańska Dziewica*.

- Jak Wasza Wysokość pamięta, sir Felicites, rycerski pastuszek, opuścił dopiero co towarzystwo sir Hemetesa, Króla Pustelnika, który wskazał mu prawdziwą drogę na dwór Króla Atargatisa. Zanim jednak tam dotrze, musi przeżyć wiele przygód, z których każda będzie dla niego nauką, by tak przygotowany mógł zostać Obrońcą Królowej, kierującym się Mądrością, Opanowaniem, Sprawiedliwością i Odwagą.

Strumyk wody spłynął mu po dziobie i rozprysnął się na stopie.

- Pamiętamy twą opowieść, mistrzu Wheldrake, i z niecierpliwością oraz wielką przyjemnością wysłuchamy jej dalszego ciągu.

Zachęcony w ten sposób mistrz Wheldrake wyciągnął spomiędzy upierzenia zawilgły

nieco tom i odchrząknął.

*Skroś strasznej kniei bieży rycerz krewki,*

*Duszycka mu się na ramieniu trzęsie.*

*Bo knieja, o dostojni, to nie są przelewki.*

*Wtem widzi drwala, chłopisko potężne,*

*Który rąbie toporem wiąz i jarzębinę,*

*A nie ostają mu się dęby niebosiężne.*

*Zakrzyknął Felicites, by zaprzestał znoju*

*I opuścił lancę, dając znak pokoju.*

*Jakież twe imię? - Odezwał się grzecznie,*

*Jakiż twój zamiar, że tniesz do korzenia*

*Drzewa, co zda się, rosły tutaj wiecznie?*

*Czemuś niechętny sosnom, cisom smukłym?*

*I cóż poczniesz, gdy ostatni pień padnie*

*Powalony ostrzem twym okrutnym?*

*Lecz nade wszystko powiedzże mi przecie,*

*Jak mi się godzi zwać ciebie, człowiecze?*

*Srebrnych włosów welon twarz jego ukrywa*

*Na żelazną i czarną pierś jego potężną*

*Złocista broda kaskadami spływa.*

*Dłonie jego różane Unią niby jutrzienka,*

*A oczy niby gwiazdy przed się poglądają.*

*Jam jest Kronos - drwal woła. - Władca Czasu, panie.*

*A topór Levellera nosi zawołanie.*

*Gigant rozpoczął mowę łagodną i smutną:*

*Nie wiesz - powiada - że zespolić trzeba*

*Ze śmiercią życie w harmonię okrutną.*

*Tedy ja stary, za boskim wyrokiem*

*(skoro człowiek nie zdoła uczynić wyboru)*

*Pilnuję, by dzień za dniem, a rok szedł za rokiem.*

*Ależ lud na to właśnie żali się i płacze,*

*że rodzi się, umiera - i nigdy inaczej.*

*To pamiętaj - rzekł Kronos - czas się kołem wije,*

*Nie ma w nim przerw nijakich, nie ma i granicy.*

*Życie dąży ku śmierci, a śmierć też przemija.*

*Tak już ustanowiony został los człowieczy.*

*Dbam, żeby należycie swoją biegł koleją*

*I żeby nie chybił w najdrobniejszej rzeczy.*

*Daremnie tedy biadać, skarżyć się żałością,*

*Mądrze czyni, kto zimą rozmyśla o wiosnie.*

*Pojąłem - odrzekł rycerz. Ujął cugle krótko.*

*Coś ginie, żeby nowe mogło się narodzić,*

*Chociaż takowe prawo napawa nas smutkiem.*

*Chwalebne twoje dzieło, choć niesie cierpienie.*

*W znoju wielkim karczujesz drzewa, którym czas już*

*Ustąpić, dać miejsce na nowe kwitnienie.*

*Odchodzę pokrzepiony tą myślą radosną,*

*Że mądra Gloria włada nową, złotą wiosną.*



Pomimo deszczu, ta chwila należała do Wheldrake'a. Nikt nie pozostał nieporuszony żarliwością i mądrością wierszy. Może tylko jedna Una, księżna Scaith, z jakiegoś powodu o ułamek sekundy spóźniła się z oklaskami. Nawet Wheldrake przyjmował tym razem podziękowania bardziej ostentacyjnie, niż zwykle, co utwierdziło tylko Unę w przekonaniu, że artysta najwyraźniej ostatecznie zrezygnował z własnych prób poetyckich i całkowicie podporządkował się wymogom publiczności.

W końcu krople przestały bębnić o płótno, a spomiędzy chmur wyjrzało nieśmiało słońce. Zwinięto i odniesiono na bok dachy. Spomiędzy pachnących słodko dębów przyglądał się zgromadzeniu podskubujący trawę ciekawski jelonek.

- Jak widzisz, mistrzu Wheldrake, twoje słowa rozpędziły nawet chmury i wywabiły słońce z ukrycia! - pospieszyła z pochwałami Majowa Królowa, zbliżając się do owiniętego liśćmi laurowymi słupa. Roześmiała się widząc muzyków wracających z bębniem baskijskim, rogami i fletami. Wmieszali się pomiędzy dworzaków, spośród których każdy ujął jedną z przymocowanych do słupa wstęg i tanecznym krokiem wszyscy ruszyli dookoła, by przywiązać dziewczęcą, radosną Glorianę do wiosennego słupa - symbolu tak mocno, jak lord Montfallcon przywiązał tę niewinną, rudowłosą olbrzymkę do powinności stanowiska władzy. Montfallcon znów wyszedł na balkon. Początkowo chciał jedynie wysłuchać wierszy mistrza Wheldrake'a, teraz jednak odczuwał coraz większy niepokój widząc dwór ciasno krępujący (choć wszystkie łańcuchy były z oplecionego kwiatami jedwabiu) najwyższy ideał i ledwo wstrzymał się, by nie zbiec do parku i nie krzyknąć, by natychmiast ją uwolnili. Opanował odruch, westchnął głęboko i uśmiechnął się. Niecierpliwie oczekiwał teraz chwili, gdy z bram pałacu wynurzy się sir Tancred, który poczeka, aż Królowa wygłosi swoją kwestię i potem ją uwolni. Tym razem autorem słów Królowej był mistrz Wallis, sekretarz strzegący czystości szlachetnej mowy (w porównaniu z dziełami mistrza Wheldrake'a Montfallconowi

wydawały się suche i wyprane z uczuć).

*Czy w całym świecie szerokim zabrakło rycerza,*

*Co Królową Majową uwolni z więzienia? ...*

...zawołała Gloriana i spojrzała wyczekująco na bramę parku, przez którą powinien wbiec jej wybawca.

Sir Tancred nie pojawiał się.

Księżna Scaith poczuła przyływ irracjonalnego niepokoju. Sir Tancred zawsze nader gorliwie wywiązywał się ze wszystkich obowiązków wobec Królowej i zwykł przy podobnych okazjach raczej za wcześnie pojawiać się na scenie.

Gloriana potrząsnęła głową i odśpiewała kuplet po raz drugi.

Zapadła cisza. Słysząc było wodę skapującą z liści drzew i z kładek. Dalekie szelesty zwierzyny tylko podkreślały nastrój wyczekiwania. Słońce zniknęło.

Nagle w polu widzenia pojawił się brnący z wysiłkiem sir Tancred. Zgubił gdzieś hełm i tylko połowa rzemieni jego ozdobnej, złotej zbroi była zapięta. Luźne płyty pancerza kołysały się, brzęcząc w takt jego kroków.

Najpierw krzyknęła, wysoko i urywanie, lady Lyst. Potem krzyk podjęli inni.

- Sir Tancred! - Królowa szamotała się z więzami, ale sama nie była w stanie uwolnić się z pułapki.

Na złotej zbroi, na twarzy, wąsach i dłoniach sir Tancreda rozmazana była krew. Z oczu płynęły łzy, a usta wykrzywiały się w niemym grymasie cierpienia.

Pierwsza dopadła go księżna Scaith. Ujęła go za ramię.

- Sir Tancredzie! Co się stało!

Rycerz Królowej jęknął, aż w końcu zdołał wydobyć z siebie kilka słów.

- Nie żyje. Lady Mary. Przyszedłem... teraz dopiero... Och... Została zamordowana!

- Uwolnijcie mnie! - krzyknęła Gloriana szamocąc się i kołysząc słupem. - Niech ktoś mnie uwolni!

## **ROZDZIAŁ 17**

**W KTÓRYM LORD MONTFALLCON ZACZYNA OBAWIAĆ SIĘ POWROTU TERRORU, A KRÓLOWA GLORIANA POWĄTPIEWA W WARTOŚĆ WSZELKICH CNÓT**

To już trzynaście lat - powiedział w zamyśleniu lord Montfallcon - odkąd widziałem tyle krwi. Spoglądał na niemal oddzieloną od ciała głowę lady Mary Perrott i na miecz sir Tancreda, który uczynił to spustoszenie. Żał mu było nie tyle dziewczyny, która zginęła w straszny sposób i nie sir Tancreda, który grzech ten popełnił, ale sposobu, w jaki kończył się, być może, jego wielki sen. Oto okazało się, że pod przybraniem rycerskości ukrywał się pospolity występki. Żał miał zarówno do ofiary, jak i mordercy, że naruszyli harmonię zaprowadzaną z takim trudem od dnia koronacji Gloriany.

Lord Ingleborough dyszał ciężko w oficjalnym pancerzu uciskającym mu gardło i piersi w sposób mogący zagrozić kolejnym atakiem serca. Wciąż nie rozumiał, co się stało.

- Czemu właściwie Tancred miałby ją zabijać? Owszem, bywa, że popełnia się takie czyny z zazdrości, która odbiera człowiekowi rozum...

Montfallcon nie znalazł zrozumienia dla banałów wygłaszanych przez dawnego przyjaciela.

- Muszę przygotować raport dla Królowej. Czy sir Tancred został zatrzymany?

- Lord Rhoone go wziął.

- Musi zostać przesłuchany.

- On oszalał. - Ingleborough usiadł ciężko na jednym z niewielu stojących normalnie w zdemolowanym pokoju krzesel. - Biedne dziecko. Taka była wesoła. Królowa ją kochała. A co z Glorianą?

- Jest w swoich apartamentach - powiedział lord Montfallcon z westchnieniem. -
- Najpewniej księżna ją uspokaja. Perrottowie to jedna z najpotężniejszych rodzin Królestwa i z pewnością będą oczekiwać czegoś więcej niż tylko suchego wyjaśnienia, co tu się stało.
- To co, zabierzemy się za niego? W dawnej Sali Tronowej? - Ingleborough otarł pot z czoła. Musiało mu chyba być bardzo gorąco.
- Tylko, jeśli Królowa pozwoli. Nie widzę jednak, co dobrego mogłoby wyniknąć z nadmiernie surowej kary. Lepiej będzie zamknąć go w pokojach wieży Brana. Tam, gdzie jest już księżę Lamartis i tych dwóch szlachciców sprowadzonych przez Tana Hermi-stona.
- Ale Tancred nie jest cudzoziemskim lunatykiem.
- Wieża Brana będzie najlepsza - stwierdził stanowczo Montfallcon.
- O ile jest winny. - Ingleborough schylił się, jęknął i skrzywił próbując podnieść miecz, ale nie dał rady. Oręż upadł z powrotem na przesiąknięty krwią adamaszek sukni lady Mary.
- A kto inny? - powiedział Montfallcon. - W czasach Herna byłyby setki podejrzanych, ale teraz... Boję się, Lisuarte. - Spojrzawszy po raz ostatni na ciało dziewczyny, lord Montfallcon ruszył do wyjścia niczym ocalały okręt żeglujący powoli przez zasłane szczątkami pobojuwisko. Ingleborough wywlókł się na zewnątrz przypominając zmęczonego, zbitego psa.
- Źle się czujesz. - Montfallcon wsparł przyjaciela ramieniem. Przystanęli w korytarzu, gdzie czekał na nich w zielonym przebraniu fauna Patch.
- Zaprowadź swego pana do domu, chłopcze. I idźcie ostrożnie. - Uśmiechnął się do urodziwego Patcha.
- Tak jest, sir.
- Dotrzymasz mi towarzystwa? - spytał Lisuarte Ingleborough obejmując szczupłe ramię Patcha i oglądając się na przyjaciela. - Co?
- Muszę iść teraz do Królowej złożyć jej raport.

- Zatem turniej zostaje odwołany?

- Oczywiście, skoro najważniejszy uczestnik, sam mistrz, jest niedysponowany.

Lord Ingleborough wzruszył ramionami.

- Spośród całej uroczystości zawsze najbardziej obchodził mnie turniej. Ale teraz to tylko cień tych walk, które pamiętam z czasów mej młodości.

- Na rozkaz Królowej wszyscy mamy żałobę po lady Mary.

- Aha! - Ingleborough wycofał się do własnych komnat.

Lord Montfallcon zastanowił się, czy i jego czeka los niedołęznego starca, i raz jeszcze spojrzął za kuśtykającym przyjacielem.

- Mój panie? - To był Wheldrake, odarty częściowo z piór, z ptasią maską pod pachą. -

Czy to prawda, że lady Mary została zamordowana?

- Niestety, tak.

- Przez kogo? - Głos poety był tak wysoki, że niemal niesłyszalny. - Przez Tancreda?

- Tak się wydaje. Jego miecz tkwił w szyi ofiary.

- Na Hermesa!

Lord Montfallcon położył uspokajająco dłoń na drobnym i wykoślawionym ramieniu.

- Czy nie czas pomyśleć o odzie pogrzebowej? Na rozkaz Królowej dwór od godziny pogrążony jest w żałobie.

- To było dziecko. Szesnaście wiosen - powiedział Wheldrake trzęsącym się głosem. -

Szczęśliwe dziecko. Tak kochała sir Tancreda, tak niewinna osóbka. Miałem ich za idealnych kochanków i szczęśliwych przyjaciół. Dała mu wszystko...

- Ale pewnie nie dość było tej romantycznej duszy. Ktoś taki, jak sir Tancred, mógł oczekiwać odpowiedzi równie żarliwej jak jego uczucie. Wspomnij, jak płonął chęcią usłużenia Królowej. Jego wiara w ideały rycerstwa była absolutna. Dlatego też nader często jemu

podobni są odrzucani i cierpią zranieni bez miłości. Był zbyt uczuciowy, nazbyt wiele emocji wkładał w swoją lojalną służbę...

- Nie - powiedział Wheldrake. - Pewien jestem, że ktoś inny ją zabił.

- Ale kto? - Szli powoli przez ciche, złociste sale.

- Może służący? Chciał ją uwieść, nie udało się, więc się zemścił?

- Nie sądzę, panie poeto.

- Inny kochanek?

- Nie miała. - Lord Montfallcon zwilżył wargi. - Trzeba powiadomić jej ojca. Wyślę posłańca do Hever. Pełen jestem wątpliwości, mistrzu Wheldrake. Coś złego wisi w powietrzu. Ten pałac spłynął już kiedyś niewinną krwią. Sam wiesz, że przesiąknięty jest jej wonią. Krwia nasiąkły gobeliny i tynki, jej ślady są wciąż na ostrzach. Kiedyś dziewczyny takie jak Mary ginęły niemal codziennie. Zasztyletowane, otrute, uduszone... Był to czas mrocznego szaleństwa, strach kazał zapomnieć o wszelkich cnotach. Albion przeżywał Wiek Żelaza. Nie chciałbym nigdy jego powrotu...

- Jedno morderstwo to jeszcze za mało, by odrodzić tyranię - uspokajał mistrz

Wheldrake, chociaż i jego przeszedł dreszcz, jakby od podmuchu lodowatego wiatru. - Jeśli to sir Tancred popełnił tę zbrodnię, zostanie osądzony i uznany winnym, a nam będzie smutno jeszcze przez miesiąc czy dwa, ale to wszystko.

- Jeśli?

- Tak, jeśli - Wheldrake był pewien swego. - Jeśli bowiem to nie Tancred, to należy znaleźć prawdziwego mordercę. Lord Rhoone i następca sir Christophera powinni razem przesłuchać wszystkich podejrzanych. A tych jest wielu, bowiem na majową uroczystość zaproszono mnóstwo gości.

- Zatem wciąż sądzisz, że to służący?

- Oszalały służący, bowiem to jest czyn szaleńca. Gdyby pomyślał, zrozumiałby, że nie uda mu się ukryć tej zbrodni i że lepsza byłaby trucizna, zaduszenie lub pozorowane samobójstwo. To bez wątpienia musiał być jakiś obłąkany.

- Ale i sir Tancred wydaje się niespełna rozumu. - Montfallcon wzruszył ramionami.

- Z żalu.

- Tylko dlatego?

Stanęli przed apartamentami Królowej.

- Instynkt mi tak podpowiada - powiedział Wheldrake. - To tylko intuicja i nie potrafię podać żadnego racjonalnego wyjaśnienia. - Skłonił się i gubiąc pióra pożegnał Lorda Kanclerza.

Z ciężkim sercem Montfallcon zapukał do drzwi Jej Wysokości. Mógł się jedynie zgodzić z mistrzem poetą, niemniej wcale tego nie pragnął, bowiem sir Tancred byłby dogodnym i niekłopotliwym oskarżonym, nie posiadającym na dodatek żadnych krewnych. Osobiście Montfallcon skłonny był podejrzewać któregoś z akredytowanych przy dworze ambasadorów, jak obdarzonego zimną krwią i determinacją Oubacha Khana, który nie zwykł godzić się z porażką. Śluby czystości czyniły go tym bardziej porywczym, uderzenie zaś zostało zadane przez kogoś, kto potrafi obchodzić się z obosiecznym mieczem. W grę wchodził też wojowniczy ambasador z Bengalu, który zabił już kiedyś dwie dziewczyny w wieku Mary, gdy przyłapał je razem w swojej sypialni. Lub tajemniczy Li Pao mający więcej niż jedną kochankę we dworze, który zemścił się niegdyś na Maeve Rhys, wypalając jej na pośladku swój znak rodowy. Ewentualnie wysłannik Islandii, będący kochankiem siostry lady Mary do czasu, gdy ta poślubiła sir Amadisa Cornfielda; czy też ambasador Peru, kraju wciąż niezmiennie rozmiłowanego w okrucieństwie i krwawych ofiarach. Montfallcon postanowił przebadać każdego z nich z osobna i raz jeszcze pożałował nieobecności Quire'a i braku pod

ręką nieodżałowanego sir Christophera. Najbardziej jednak dokuczała mu ciemność, w której musiał się poruszać i panujący w jego głowie chaos, żywo przypominający to, z czym codziennie musiał mierzyć się za czasów króla Herna.

Gestem pełnym rezygnacji zapukał raz jeszcze.

Miał nadzieję, że Tancred okaże się jednak winnym. Brak oskarżonego, nawet takiego, musiał zaowocować spekulacjami, plotkami, pogłoskami, podejrzeniami i strachem.

Zagrożeniem dla Złotego Wieku i dla wszystkiego, co było szlachetne w rządach Gloriany.

Zapukał po raz trzeci i tym razem otworzyła mu blada jak ściana dama, przystrojona wciąż w kostium driady.

- Mój panie?

Montfallcon wepchnął się do środka.

- Co z Królową? Jak się czuje?

- Płacze, panie. Kochała Mary Perrott.

- Oczywiście. - Zakłopotany Montfallcon podszedł do okna i wyjrzał na tonące w ulewnym deszczu trawniki, fontanny i przycięte krzewy. Słońce od czasu do czasu wyglądało nieśmiało zza chmur. Montfallcon odwrócił się plecami do okna i spojrzał ponuro na słabo oświetlony pokój pełen ciężkiego zapachu kwiatów i na rozdygotaną driadę.

- Zapowiedz mnie.

- Ale mój panie, polecono mi, abym przez najbliższą godzinę nikogo do niej nie dopuszczała - powiedziała dama i dygnęła głęboko.

Montfallcon poczerwieniał ze złości.

- Powiesz Królowej, że tu byłem - rzucił, wychodząc zwawo z komnaty.

- Oczywiście, mój panie.

Przerażona zamknęła drzwi za wściekłym Montfallconem i znowu zaczęła się trząść.



Zza drugich drzwi dobiegał płacz i błagalne krzyki... To Gloriana rozpaczała po swej podopiecznej, swej kochance, swym dziecku...

Gloriana z bolesną żywością pamiętała, jak bardzo zazdrościła lady Mary szczęścia i w gorączce gotowa była oskarżyć się, że tym właśnie sprowadziła na nią nieszczęście nieświadomie tłumiąc bojowość sir Tancreda, aż frustracja przywiodła go do złego. Może nieustanne odmawianie mu prawa do uczynienia użytku z monstrualnego miecza sprawiło, że skierował go przeciwko tej, którą kochał...

*Co gorsza, ta pokręcona logika wspierana była przez wieloletni sposób myślenia monarchini, która reprezentowała swoją osobą całe Królestwo i w pełni czuła się za nie odpowiedzialna. Skoro zatem taka zbrodnia miała miejsce, to znaczyło, że Królowa nie była dość przewidująca, by zapobiec podobnym wypadkom. Poza tym, jeśli coś tak strasznego mogło zajść w jej własnym pałacu, to do jakich, o wiele bardziej przerażających rzeczy, musi dochodzić w całym Imperium? Ile niesprawiedliwości i okrucieństwa umyka oczom Królowej? Czyżby cały Złoty Wiek był jedynie maską wobec ponurej prawdy? Przebraniem ledwie w doskonalszy sposób niż za panowania mego ojca kryjącym Wiek Żelaza? Gorszym nawet, bo kapiącym od hipokryzji? Była jeszcze dzieckiem, gdy Montfallcon już mnie przekonywał, że sen, w który on wierzył i ku któremu dążył, ziści się wkrótce. Najgłębiej zaś spośród wszystkich nas uwierzył w ów sen właśnie Tancred; on też najbardziej na tym ucierpiał przywykłszy oceniać swe czyny wedle jego ideałów. Pozwoliłam, by Montfallcon uczynił ze mnie symbol, ideał... Uznałam konieczność. Albion ożywił się, poznał radość, przyciągnął wysłanników ze wszystkich stron świata, mądrością pozyskał sobie uczonych, bogactwem kupców. Czy może to tylko pozór, który musi wkrótce rozpęknąć się na dwoje, by ukazać zgniliznę i fundamenty toczone przez robactwo? Bylibyśmy wszyscy oczarowani jedynie snami Montfallcona i jemu podobnych marzycieli? Mój ojciec wyniósł na wyżyny mit cynizmu odmawiając wszelkich praw*

*szlachetnym ideałom. Czyżbym uwielbiła mit szczęścia oszukując się, że nie ma na świecie zbrodni? Czy całe dziedzictwo człowiecze nie jest niczym, ponad piękną opowieść, ponad bajkę mającą dodać nam odwagi i pobudzić w naszych duszach próżną nadzieję? Kłamstwo nam podaje zamiast prawdy, której okrucieństwo przerasta nasze pojmowanie. Czy może wyobrażamy sobie, że okiełzналиśmy chaos jak dziecko, które odnajduje znajome kształty w unoszących się na powierzchni strumienia wodorostach, ale gdy wraca po minucie, zdumione jest, że rośliny i woda zmieniły się miejscami w wiecznej niestałości? A może spoglądając przez zasłonę z palców na uciekające po niebie chmury wyobrażamy sobie, że cały nieboskłon już poznaliśmy i uczyniliśmy sobie posłusznym?*

*A może to Gloriana winna jest i niegodna epoki...?*

- Och, Mary! Mary! Mary!

Księżna Scaith była już przy niej obejmując, całując i przytulając do swego mocnego, chłopięcego ciała.

- Spokojnie!

- Och, Mary!

- Już dobrze, moja kochana!

- Byłam jej matką. Sir Thomas Perrott powierzył mi ją, a ja obiecałam, że będzie bezpieczna. Wzięłam pod swoją opiekę jej cnotę, dziewictwo, niewinność. Pozwoliłam jej na ten związek. Dodawałam odwagi. Chwaliłam wybór. I nienawidziłam równocześnie, ale nie mogłam przeciwstawić się jej miłości do sir Tancreda, bowiem była tak szczęśliwa, a teraz zabrałam...

- Niczego nie zabrałaś. Dawałaś. Byłaś szczodra i ona cię kochała. Tak jak inni, gotowa była na wszystko dla ciebie i to nie dla Królowej, ale dla Gloriany.

- Tancred powinien zawisnąć.

- Nie!
- Zawisnąć, powiedziałam!
- Nie powinien.
- Powinien...
- A gdzie są dowody, że to on zamordował Mary? Nie ma żadnych.
- Jego miecz. - Gloriana podniosła zaczerwienione oczy.
- Jedyne taki, prócz broni noszonej przez lorda Rhoone'a i jego ludzi. Każdy, kto chciał ją zabić, mógł go użyć. Pamiętasz, co powiedział Tancred?
- Że lady Mary została zamordowana. Niewiele więcej.
- Czy wspomniał coś o winie?
- Zbyt gorzko płakał, by mówić dalej.
- Tancred nie popełnił tej zbrodni. - Una była nieugięta. - Winiłabym raczej Montfallcona. Tancred daleki był zawsze od gwałtowności. To, że nawoływał do niej w twoim imieniu, jasno tego dowodzi. Walkę znał jedynie z turniejów i zabaw. Nie zabiłby nikogo. Obie zawsze to wiedziałyśmy. To właśnie dlatego uczyniłaś go swym rycerzem, nie pamiętasz?
- To prawda - przytaknęła Gloriana.
- Mordercą jest człowiek z gwardii Rhoone'a. Ktoś, kto upatrzył sobie lady Mary. Przepyta się służących, oni go wskażą. To na pewno jeden ze straży.
- Ale morderstwo nie miało prawa zdarzyć się na moim dworze, Uno!
- Ale zdarzyło się. Pierwsze od trzynastu lat. I niemal na oczach wszystkich. Zresztą wątpię, czy istnieje drugi dwór na całym świecie, w którym okres spokoju byłby kiedykolwiek tak długi.
- Czemu jednak, przez czyją hipokryzję, ten spokój został zakłócony?
- Może za sprawą woli bożej, przeznaczenia, wiary w sprawiedliwość. - Księżna Scaith

była zmęczona. - Honor jest wynalazkiem człowieka, a człowiek niszczy czasem swoje dzieło.

Nie wolno ci jednak zważać w prawość dworu Gloriany...

- Za wiele myślałam o sobie, zbyt dużo czasu marnowałam na sprawy osobiste...

- Za mało czasu im poświęcałaś, kochana. - Księżna Scaith głaskała głowę łkającej przyjaciółki. Unie wydawało się, jakby wszystko to było skutkiem ich nieopatrznej wyprawy w mury pałacu. Po dniu, kiedy ujrzali nomadów zamieszkujących głębiny podziemi, Una zamurowała sekretne wejście, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zdążyła przedtem uwolnić złego ducha, który zaczął panoszyć się w jasnym pałacu (opanowując, być może, sir Tancreda) i przywiódł do zguby lady Mary. Teraz, nawet jeśli duch ten uleciał, to zostawił po sobie ślad. Wiele czasu będzie musiało upłynąć, nim powróci dawny optymizm...

Ktoś zastukał do drzwi.

- Księżna Scaith odeszła od boku przyjaciółki i poszła sprawdzić, o co chodzi pilnującej wejścia damie.

- Lord Montfallcon tu był, pani, i kazał o tym powiedzieć. Teraz przyszedł doktor Dee.

Una wyszła z sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

- Chcę z nim porozmawiać.

Driada wpuściła doktora Dee. Biel brody podkreślała czerń wspaniałej i godnej szaty.

- Królowa odpoczywa - powiedziała księżna Scaith.

- Mam pokrzepiające wiadomości. Jestem przekonany, że sir Tancred jest niewinny.

- Czyżby znalazł się świadek? - Una podeszła już do drzwi sypialni Królowej, by przekazać wiadomość.

- Nie.

Księżna zatrzymała się.

- W każdym razie, niezupełnie. Sądzę, że zbrodnię mógł popełnić gość mistrza

Tolcharde'a. Przybył niedawno w towarzystwie Tana Hermistona, który wrócił właśnie z kolejnej astralnej podróży. To barbarzyńca z mieczem, toporem, maczugą i sztyletami, zakuty w żelazo i polerowaną miedź. Nosi jakieś cudzoziemskie imię, które zapomniałem. Krótko mówiąc, uciekł Tanowi, gdy zamierzaliśmy odesłać go z powrotem. Podejrzewam, że wciąż znajduje się gdzieś w pałacu.

- Ale czy masz na to jakiś dowód, doktorze Dee?

- Wiem, że sir Tancred jest człowiekiem łagodnym i szlachetnym, i że kochał lady Mary równie mocno, jak Albion.

- Ale to jego miecz. Jej krew na jego zbroi...

- Bo przytulił ją. Odwiedziłem go właśnie. Lord Rhoone trzyma go pod kluczem w starym skrzydle pałacu.

- Ma wszelkie wygody?

- O potrzeby doczesne nie musi się martwić. Ale krzyczy, majaczy. Jest jak opętany.

- Przez twego demona?

- Co mówisz? Moje demony są pilnie strzeżone, a ich praca zawsze jest pożyteczna.

- Powtarzam tylko zdanie innych.

- Rozumiem. Wiem też, że do wszystkiego podchodzisz sceptycznie, moja pani.

- To nie jest sceptycyzm, doktorze Dee. Tyle jeszcze rozróżniam. Ale rozmawialiśmy o sir Tancredzie.

- Według mnie jest normalny. To znaczy, był taki do chwili, gdy znalazł ciało. Teraz nie potrafi uwierzyć w to, co się stało. Jego umysł próbuje uciec od prawdy. Na zmianę płacze i uspokaja się, a wówczas zaczyna przemawiać do rzeczy. Nie do końca jednak, bo ciągle wspomina o lady Mary i pyta, kiedy będą mogli się pobrać. Prosi, by mogła go odwiedzić i tak dalej. To smutne szaleństwo. Nie jest ono wywołane poczuciem winy, ale żalem.

- A zatem sprawcą jest ten zbiegły barbarzyńca?
  - Wydaje mi się, że nikt inny nie mógłby popełnić równie bestialskiego i bezsensownego czynu. Zwykle szaleństwo nie popycha jeszcze do zbrodni.
  - Też tak myślę. Ale wracając do barbarzyńcy...
  - Wysłałem Tana, by go pojmał. Ludzie lorda Rhoone'a też go szukają, bowiem sam lord Rhoone jest, podobnie jak ja, przekonany o niewinności Tancreda.
  - Nie sądzę, żebyście go znaleźli - powiedziała Una i ugryzła się w język.
  - Słucham?
  - Ale nie traćmy nadziei, doktorze Dee. Czy ktokolwiek inny widział tego waszego podejrzanego?
  - Nie w pałacu. Poza mną oczywiście Tan oraz mistrz Tolcharde.
  - Taki człowiek powinien rzucać się w oczy.
  - Owszem, ale nie podczas zabawy kostiumowej. Prędzej czy później trafimy na jakiegoś świadka.
  - O ile taki istnieje.
  - Powątpiewasz...?
  - Wątpię we wszystko, prócz samego morderstwa. Najpewniej ten barbarzyńca powrócił jednak do swej własnej sfery. Intuicja podpowiada mi, że nieprzyjaciela należy szukać w samym dworze.
  - Zawsze łatwiej oskarżyć jest obcego, co?-powiedział doktor Dee ze szczególnym przekąsem.
  - No właśnie.
- Księżna Scaith wsparła dłoń na biodrze i pokiwała powoli głową.
- No i musimy uratować Tancreda - dodał alchemik. - Z pewnością jest niewinny.

- Ocalić go kłamstwem? Niech żyje oportunizm?

- Ale to jeszcze nie jest kłamstwo, tylko spekulacje.

Una uśmiechnęła się blado.

- Subtelna różnica, doktorze Dee.

- Niemniej utwierdza mnie w przekonaniu, że niewinny nie powinien ucierpieć.

- Zła to logika i nic dobrego nie może z niej wyniknąć.

Doktor Dee wzruszył ramionami.

- Nie jestem politykiem. Możesz mieć rację. Poza tym, kto wie, może już odnaleziono barbarzyńcę.

- Miejmy tę nadzieję.

- Powiesz Królowej?

- Jeśli tego pragniesz.

- Uważasz mnie za głupca, co?

- Żywię do ciebie szacunek, doktorze Dee. Większy, niż mógłbyś się domyślać.

- Słucham? - Doktor Dee potarł wygolony podbródek. - Jesteś dla mnie zagadką, pani.

Zdumiewa mnie, że mając tak bystry umysł żywisz tyle podejrzeń wobec moich teorii.

- Powiedziałabym, że dyskutuję jedynie z twoimi metodami zdobywania wiedzy.

- Zatem będziemy musieli porozmawiać. Jestem zawsze do dyspozycji...

- Teraz jednak nie czas na to.

- Oczywiście. Musisz za wszelką cenę uspokoić Królową. Nie chciałbym, żeby jej żal narastał nieutulony. Wiem, że lady Mary była jej bardzo bliska...

- Rozumiem kierujące tobą pobudki, sir.

- A zatem dziękuję ci, księżno Scaith.

Rozglądając się na boki jakby niepewny drogi, doktor Dee ruszył korytarzem skręcając

w kierunku sali tronowej Herna i własnych apartamentów we Wschodnim Skrzydle. Una trafnie odgadła, że chociaż tylko po części wierzył w historyjkę o barbarzyńcy Tana, to jednak w pełni przekonany był o niewinności sir Tancreda i to ostatnie chciał przede wszystkim przekazać Królowej. Teraz spokojniejszy mógł powrócić do swych eksperymentów. Po drodze zastanawiał się, czy starożytna sztuka nekromancji nie mogłaby wskrzesić lady Mary przynajmniej na chwilę, by ujawniła imię mordercy. Nie podejmował nigdy podobnych prób, uważając, że muszą istnieć lepsze, alchemiczne metody prowadzące do tych samych rezultatów, które mieli podobno osiągać pogardzani przez Dee magowie za czasów Herna. Niemniej, gdyby w jakikolwiek sposób można było wskrzeszać zmarłych, ile byłoby z tego pożytku! Cała pradawna wiedza z ery przedklasycznej, mądrości poprzedniego Wieku Złotego i Srebrnego u zarania świata... Tajemnice gwiazd, sekrety transmutacji, sztuka żeglugi...

Rozważania te uwolniły nieco doktora od brzemienia smutku i rozpogodzony dotarł do swoich komnat. Brodząc w papierach zawahał się przy drzwiach sypialni.

Miał już zamiar wejść, gdy zauważył z niejakim zdziwieniem, że ma gościa.

Jakaś postać siedziała za jego biurkiem oglądając nie ukończoną jeszcze lunetę i próbując dopasować soczewki, których montaż Dee pozostawił sobie dla większej satysfakcji na później.

Doktor Dee zmarszczył brwi.

- Sir?

- Sir - odpowiedział gość niczym echo.

- Czyżbyśmy się znali? - spytał Dee - Czy jesteś jednym z przyjaciół Murdocha? -

Poczuł dreszcz, jakby naprawdę stanął wreszcie twarzą w twarz z demonem.

- Ja ciebie znam, sir. I znam twoje najgłębsze marzenia.



- Zaiste! - Dee był zdumiony.

- Zaiste. - Znów jak echo odpowiedział mu gość.

Postać wstała i niczym cień przesuwający się na tle ściany, podeszła bliżej do Dee zastygłego z dłonią na klamce sypialni.

- Wejdziemy, doktorze Dee?

- A to czemu? - Dee zbyt często miał do czynienia zarówno z osobliwościami natury, jak i z manifestacjami bytów nadprzyrodzonych, by dać się zbić z tropu, niemniej nie miał ochoty ujawniać przed kimkolwiek sekretu skrywanego w sypialni.

- Ponieważ - powiedziała wolno postać - chciałbym zaproponować ci pewną wymianę.

Wiem, co tam kryjesz. Znam problemy, na jakie napotkałeś i potrafię je rozwiązać.

Dee zawahał się. Jego serce przyspieszyło rytm.

- Powiadasz, że je znasz?

- Tak. I mogę zaofiarować ci to, czego od tak dawna poszukujesz.

- Cena?

Wzruszenie ramionami.

Doktor Dee roześmiał się otwierając drzwi szeroko i przepuszczając gościa.

- Przyszedłeś po moją duszę, przyznaj się tylko! - Oczy mu płonęły.

- Nie, sir. Przybyłem, by sprzedać ci pewną duszę, a przynajmniej podpowiedzieć ci pewny sposób jej zdobycia.

Drzwi zamknęły się za nimi. Papiery zaszeleściły przez chwilę w przeciągu i zamarły.

Czarny szczur, który ukrył się widząc wchodzącego Dee, wybiegł na środek pokoju i wspiał się na ławę, gdzie stała klatka z białą szczurzycą wpatrującą się z zachwytem w dzikiego gościa.

Szczurze serduszko waliło jak młotem, wąsiki nastroszyły się niczym miotełki.

Czarny szczur obwąchał skuloną w kącie klatki samicę i piskiem wydał jakiś rozkaz.

Bardzo powoli szczurycą podeszła do pretów, aż oba zwierzątka stanęły nos w nos.

Z sypialni dobiegł nagle głośny krzyk i czarny szczur drgnął gotów do ucieczki.

- To niemożliwe!

- Wręcz przeciwnie, sir. Zapewniam cię.

- W takim razie, przyjacielu, gotów jestem oddać ci wszystko, czego tylko zażadasz!

Czarny szczur powrócił do obwąchiwania.

## **ROZDZIAŁ 18**

### **W KTÓRYM LORD I LADY RHOONE OMAWIAJĄ TAJEMNICZE WYPADKI ZAKŁÓCAJĄCE NORMALNY TOK ŻYCIA DWORU**

- Przede wszystkim, kochana - powiedział lord Rhoone biorąc z trzymanej przez służącego tacy ostatni kawałek wołowiny - powinien mieć miejsce proces.

Siedzieli właśnie przy śniadaniu w swoim przeładowanym meblami apartamencie ogrzewanym przez wczesnoczerwcowe słońce. Po drugiej stronie stołu lady Rhoone wsparła potężny podbródek na dłoni, odłożyła nóż i machinalnie wzięła w rękę skibkę chleba.

- Tancreda?

- Przysięgłbym, że nie jest winien morderstwa.

- Wydaje się zadowolony z pobytu w Wieży Brana. Wmówił sobie, że jest mężnym rycerzem uwięzionym przez olbrzymia ludożercę i czeka na jakąś amazonkę czy inną Clorindę, która przybędzie go uwolnić. Winny czy nie, mój drogi, on jest szalony i musi znajdować się pod stałą opieką. Królowa go odwiedza, inni też. - Ugryzła kawałek pieczywa.

- Należałoby jednak udowodnić jego niewinność i z większą energią poszukać

prawdziwego mordercy. - Lord Rhoone wziął przez serwetkę skibkę czarnego chleba i

powąchał ją. - Jak na razie wciąż istnieje podejrzenie, że sprawca pozostaje na wolności i może znów zabić. Nie ma procesu, nie ma ceremonii, nie ma rozwiązania. To dlatego sir Thomas

przekrada się wciąż pod ścianami...

- Lord Montfallcon uczynił wszystko, co w jego mocy, Bramandilu. W apartamentach lady Mary nie widziano nikogo, oprócz Tancreda. Przez miesiąc Montfallcon prowadził śledztwo badając wszystko. Wciąż jeszcze przesłuchuje różne osoby.

- Owszem, ale nikogo to nie uspokaja. Widziałaś, jak dziwnie zachowuje się doktor Dee? Zupełnie, jakby miał coś na sumieniu. A sir Orlando Hawes? Ostatnio jakiś dziki i nieprzystępny. Sir Amadis Cornfield skłócił się z lordem Goriusem Ransleyem, a mistrz Florestan Wallis wciąż znajduje wymówki zwalniające go od wypełniania obowiązków. A był jednym z najbardziej sumiennych sług Królowej. Wszystko to zaczęło się po śmierci lady Mary. Gdy sir Thomas Perrott przybył na dwór ze wszystkimi swoimi synami, groził, że porąbie sir Tancreda na kawałki, ale po rozmowie również przysięgał, że Tancred jest niewinny. Potem dniem i nocą przemierzał pałac w poszukiwaniu prawdziwego mordercy. - Lord Rhoone przyciszył głos. - Po czym nikt go już nie widział. Zniknął, kochana, pewnej nocy i słuch o nim zaginął. Nie udało się go odnaleźć. Kto spotkał go ostatni? Najpewniej sam morderca! Zabił ojca tak, jak i córkę, ale tym razem ukrył ciało. Jego synowie najpierw dalej prowadzili poszukiwania, potem wyjechali oznajmiając, że winę ponoszą Saraceni. Nie ujawnili jednak nazwiska swego informatora.

- Czemu Arabia? - Lady Rhoone przeżuwała chleb.

- W zemście za zamordowanie lorda Ibrama. Pamiętasz to?

- To lady Mary go zabiła? - Lady Rhoone aż się wzdrygnęła. - Och, bogowie!

- Podobno Ibram kochał ją i został zgładzony za nachalność. Najpewniej przez tego tajemniczego, bezlice go szpiega Montfallcona. W zamian zabito ją.

- A gdzie szpieg?

- Nie żyje. Zabity przez Saracenów.

- Pewien jesteś?

- Wszyscy tak mówią.

- Zatem bracia Perrottowie starają się teraz znaleźć Maura, który popełnił te zbrodnie?

- Podobno ma to być lord Shahryar, ambasador, który chwilowo powrócił do ojczyzny.

- Perrottowie będą szukać go w Arabii?

- Nie powiedzieli, ale to jedna z największych rodzin armatorskich i szlachezny ród.

Mają dość dużą flotę, by poważnie zagrozić wojną.

- Ale nie będą występować przeciwko woli Królowej? - Lady Rhoone stwierdziła, że

wciąż jest głodna i skinęła na służącego, by przyniósł ponownie tacę z frytkami. Nieprzytomnie patrzyła, jak jedzenie rośnie w stos na jej cynowym talerzu. - Perrottowie znani są z lojalności.

- Z tym tylko, że tym razem uznali, że Królowa ich zdradziła.

- A Gloriana?

- Też tak sądzi, bowiem lady Mary była pod jej osobistą ochroną. Uważa, że zawiodła

pokładane w niej nadzieje i gdy Perrottowie oskarżyli ją, że ochrania mordercę, zaprzeczyła,

ale takim tonem, jakby kłamała, bowiem głos jej drżał. Rozumiesz teraz, kochana?

- Uznali to za przyznanie się do winy?

- Właśnie.

- Biedna Królowa. Na dodatek żal jeszcze jej nie opuścił! - Lady Rhonne ze smutkiem

wgryzła się we frytkę. - A przecież ona nie ukrywa nigdy swoich prawdziwych uczuć, chyba że

w naturalny sposób wymaga tego jej godność. Czy Montfallcon rozmawiał z Perrottami?

- Nie ufają mu. W czasach Herna zdradził i wydał na śmierć ich wuja.

- A zatem mają precedens.

- Dokładnie. To stare sprawy, które ich ojciec pogrzebał za panowania Gloriany. Był

lojalny, ambitny i dbał o swoje córki. Jedną wydał dobrze za sir Amadisa Cornfielda, drugą nie

gorzej za młodego Lepsiusa Lee (który był kochankiem Królowej). Wszystkie trzy cieszyły się dobrą pozycją we dworze. Tym sposobem sir Thomas Perrott pomnażał swój majątek i flotę dobrze służąc Albionowi, i nikt nie miał mu nic do zarzucenia. Teraz jednak synowie jego nazwali swe siostry niemal zdrajczyniami i, jak słyszałem, przynajmniej pięć ich statków jest już przerabianych na okręty wojenne, a Montfallcon z wolna odchodzi od zmysłów.

- Na Mitrę, Bramandil! Mój panie! Chcesz powiedzieć, że grozi nam wojna domowa?

W Albionie? Pod rządami Królowej?

- Nie wojna domowa, ponieważ nikt nie przyłączy się do Perrottów, przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale możliwe jest krwawe powstanie, które spowoduje sporo zamieszania i pogorszy los prostego ludu. Jak długo nikt nie powstrzyma braci biednej Mary, grozi nam wojna z Arabią, naszym najpotężniejszym sojusznikiem. Można to nazwać zagraniczną wojną domową, chyba że znajdzie się sposób na Perrottów.

- A sir Thomas Ffynne?

- Królowa dała za niego okup i zgodziła się zapłacić odszkodowanie za statki, które zatopił. Drogo kosztowała ją ta lekcja, ale najwyższy był na nią czas. Thomas Ffynne nie da się ogarnąć temu szaleństwu, które opętało dwór od czasu zamordowania lady Mary, a poza tym będzie odtąd uważał na Arabię.

- Czy myślisz, kochany, że to Arabia jest za wszystko odpowiedzialna?

- Wątpię. Lord Shahryar robił na mnie zawsze wrażenie człowieka nader praktycznego.

- A zatem ktoś chce obrócić nas przeciwko sobie? - Lady Rhoone zmarszczyła brwi zdumiona własną konkluzją. - Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Ale komu może na tym zależeć? - Lord Rhoone ruszył swoje cielsko i wstał.

Rozstawiwszy szeroko nogi przeciągnął się w swoim zielono-czerwonym mundurze, a jego napierśnik zdawał się puchnąć nad wypchanym brzuchem. - Byt dworu zależny jest od

stabilizacji. To nie czasy Herna, gdy można było coś osiągnąć morderstwami i oszustwami.

Teraz liczy się wierna służba, cnoty i lojalność.

- Jakiś zagraniczny spisek?

- Nazbyt łatwo - stwierdził rozważnie lord Rhoone - widzimy zagranicę winną naszym kłopotom. Nie jestem skłonny obwiniać obcych o cokolwiek, zanim nie upewnię się, że wszyscy mieszkańcy Albionu są niewinni.

Żona objęła go, rozplaszczając olbrzymi brzuch na pancerzu.

- Jesteś aż nadto sprawiedliwy, kochanie. Zbyt ostrożny i łagodny, jak na swoją pozycję.

- Chronię Królową.

- I uparty.

- By ją dobrze chronić, nie wolno mi powstrzymywać rumaków wyobraźni, ale to nie ma nic wspólnego z moimi codziennymi obowiązkami, nie pozwalam sobie zatem na spekulacje, jak czyni to Montfallcon, chociaż jego zadanie jest trudniejsze. Jeśli letnie szaleństwo urośnie do niepokojących rozmiarów, wówczas będę musiał przeciwstawić mu się za pomocą zdrowego rozsądku.

Ucałowała go.

- Ale nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym wyjechała z dziećmi do naszego majątku na wsi?

- Odgadujesz moje myśli. Wyjeżdżajcie jak najszybciej. Lord Rhoone uniósł masywną głowę i spojrzał w zamyśleniu na talerz z jabłkami.

## **ROZDZIAŁ 19**

**W KTÓRYM ROZWAŻANE SĄ KWESTIE DYPLOMACJI, A LORD MONTFALLCON CZUJE, JAK GĘSTNIEJE OTACZAJĄCY GO MROK**

Iguany i pawie nadawały trawnikom ogrodu Królowej szczególny, tropikalny wygląd.

Błądziły i wylegiwały się na kwietnikach i tarasach, a osobliwa, skórzasta woń opalizujących gadów, prezentu od sir Thomasa Ffynne'a, które przesypiały większą część roku w pobliżu pieców ogrzewających pałac, dochodziła przez otwarte okno aż do Gloriany pochylonej właśnie nad planami przedstawionymi jej przez Marsiliusa Gallimarię, Mistrza Ceremonii.

- Jak zwykle będzie to uroczystość radosna i pełna przepychu, Wasza Wysokość - wyjaśniał gorliwie Gallimari. - Ze wszystkimi rycerskimi wspaniałościami i na wielkim podwórcu, by przypomnieć ludziom o ich szczęściu i bogactwie. Wasza Wysokość weźmie udział w turnieju jako Królowa Urganda...

Gloriana westchnęła.

- Plan wygląda na dopracowany, mistrzu Gallimari. - Rozsiadła się wygodnie na poduszkach i przysunęła bliżej do twarzy wachlarz. Ubrana była lekko w jasne płótna, muśliny, jedwabie i koronki, małą czapkę wyraźnie wyróżniającą się na ognistych włosach. - Masz moją aprobatę.

- Chciałbym poprosić mistrza Wheldrake'a o parę wierszy, szczególnie że sprawa bliska jest jego sercu.

- Wiersze? Oczywiście. Powinieneś też przyjąć przynajmniej kilka wersów od mistrza Wallisa, inaczej poczuje się urażony.

- Może pieśń lub wprowadzenie?

- Wyśmienicie.

- Mistrz Tolcharde zajmie się iluzjami. Trzeba jeszcze obsadzić role rycerzy, bogów, bogiń, potworów i tak dalej.

- Wybierz, kogo chcesz.

- Niektórzy już dobrali sobie role, oczekują tylko na twą zgodę, Wasza Wysokość. -

Ciemna twarz zdobyła się na uśmiech.

- Zgadzam się z góry.

Mistrz Gallimari czuł narastającą frustrację wynikającą z wyraźnego braku zainteresowania Królowej misternym planem zabawy organizowanej na Dzień Przesilenia.

Przywykł wprawdzie do tego, iż Królowa zawsze przywiązywała małe znaczenie do Letniego Święta, ale tym razem był pewien, że śmierć lady Mary nadal rzuca cień na samopoczucie Gloriany. Mając jeszcze nadzieję rozproszyć wątpliwości, wrócił do pytań.

- A muzyka, Wasza Wysokość?

- Wybierz jakąś.

- Trzeba będzie zapłacić kompozytorowi i orkiestrze.

- To im zapłacimy.

- I tancerzom.

- Tancerzy dostarczy jak zwykle mistrz Priest.

- Tak jest, Wasza Wysokość.

Mistrz Gallimari spojrzał na posępne oblicze Królowej Albionu.

- Wasza Wysokość jest niezadowolona?

- Z nadejścia Letniego Święta? Twoje pomysły, jak zwykle, są wspaniałe. To powinna być pyszna zabawa.

Gallimari był pewien, że dosłyszał w jej głosie ironię.

- Wydaje mi się, Wasza Wysokość, że straciłaś zainteresowanie moją pracą. Jeśli uważasz, że czegoś tu brak...

Uśmiechnęła się wdzięcznie.

- Twoim jedynym grzechem, mistrzu Gallimari, jest to, że uznajesz mój smutek za niechęć wobec twojej osoby. - Zdobyła się na odwagę. - Sam twój widok poprawia mi humor.



Postaraj się, by wszystko poszło jak najlepiej. Będziemy cię podziwiać.

Neapolitańczyk, któremu wyraźnie ulżyło, skłonił się i szybko zniknął z oczu Królowej, która wyjrzała przez okno.

Przez trawnik szła z wolna, odziana w letnie jedwabie i rozkołysaną krynolinę Una, księżna Scaith i słuchała lady Lyst, która w pewnej chwili wybałuszyła oczy na ciężkie gady i komicznym gestem wpiła palce w przedramię Uny.

- Smoki, słowo daję!

- Strzegą Królowej - powiedziała spokojnie Una. - Tak jak te, które strzegły Królowej Ginewry.

- O, to bardzo dobrze. - Lady Lyst wyprostowała się. - Wszyscy znaleźliśmy się w wielkim niebezpieczeństwie, a szczególnie kobiety. Ktoś planuje więcej naszych zabójstw.

Wheldrake też tak sądzi. - Szybko umknęła oczami przed spojrzeniem zimnokrwistego jaszczura.

- Słyszałaś coś?

- To tylko przeczucie.

- To niepodobne do ciebie, lady Lyst, by wierzyć samej intuicji.

- Ostatnio logika zdaje się zawodzić. Im kto mądrzejszy, w tym większą wpada konfuzję, a moja biedna głowa i bez tego jest zawsze zbyt skołatana. - Lady Lyst uśmiechnęła się oszukańczo i dygnęła, widząc Królową wchodzącą do ogrodu. - Wasza Wysokość.

- Witajcie lady Lyst, Uno. Piękny mamy dzień.

- Dla mnie jednak jest zbyt gorąco - powiedziała lady Lyst, poprawiając mankiety, kołnierz i rozgarniając miodowe loki. - Bardzo chce się pić.

Podeszły do marmurowej fontanny przedstawiającej Króla Aleksandra Wielkiego na dworze Królowej Hekate z Iberii w otoczeniu nimf wodnych i delfinów. Wystawiły twarze na

prysznic drobnych kropelek.

- To najgorętsze lato, jakie pamiętam. - Królowa starła wilgoć ze stanika i spódnic. -

Wydaje się, że gorąco ogarnia cały pałac, rozpalając najdziwniejsze i nieoczekiwane pasje nawet w chłodnych zazwyczaj głowach.

- Czy Wasza Wysokość uważa, że to tylko aura winna jest tym nastrojom? - Lady Lyst pytała, jakby miała nadzieję rozproszyć swe obawy.

- Pogoda ma z tym wiele wspólnego. - Przesłaniając oczy dłonią Gloriana spojrzała na błękitne niebo. - Zawsze byłam o tym przekonana, lady Lyst. Gdy tylko gorączka opadnie, zaraz i nasze zmysły ochłoną.

Lady Lyst potknęła się i wyciągnęła ręce, by uchronić się przed upadkiem, ale odzyskała równowagę.

- To pocieszające. - Rozejrzała się, jakby w poszukiwaniu jakiegoś siedziska, a może tylko butelki z napojem.

Spoza wielkiego krzewu przyciętego w kształt ptaka dał się słyszeć przenikliwy krzyk i w polu widzenia pojawiła się długonoga postać w płytowym pancerzu. Przemknęła przez ścieżkę, pokonała żywopłot i wbiegła na trawę. Królowa i jej damy zamarły zdumione, tym bardziej, że w ślad za lśniącym uciekinierem nadbiegło trzech powiewających mankietami strażników w przekrzywionych czapkach i z mieczami w dłoniach. Za nimi gnał zdyszany mistrz Tolcharde w poplamionym kitlu i aksamitnej czapeczce.

- Trzymajcie go! Trzymajcie go! Ale nie zróbcie mu krzywdy!

- Mistrzu Tolcharde! - Głos Królowej zatrzymał go w miejscu i skłonił do niezdarne go ukłonu, niemniej jego oczy nadal śledziły żołnierzy i ich ruchomy cel. - Co się stało, sir? -

Królowa była jak zwykle ciekawa, ponadto zapewne zamierzała zabawić trochę przyjaciółki.

-Kogóż oni ścigają, mistrzu Tolcharde?

Mistrz usiłował przemówić, ale tylko zamachał rękami. Był zbyt zmęczony.

- Pani. Potrzebne są jeszcze tylko drobne poprawki. Błagam o wybaczenie.

- To jakiś twój sługa? Jakiś więzień Tana?

- Nie, Wasza Wysokość. Niezupełnie. O Boże! -Widać było, że najchętniej rzuciłby się w pogoń. Nie spuszczał niespokojnych oczu ze lśniącej postaci biegającej teraz wokół rosnącego krzewu przyciętego na podobieństwo zamku i zdeptującej grządkę bratków. Jeden z żołnierzy padł popchnięty.

- W pierwszej chwili myślałam, że to sir Tancred uciekł z wieży - powiedziała lady Lyst, lecz zaraz zagryzła wargi żałując nietaktu.

- Kto to jest? - spytała Królowa.

- Arlekin, pani.

- Komediant? A co to ma wspólnego z tobą?

- Bo należy do mnie. Sam go zrobiłem, Królowo. To mechaniczna istota. Chciałem przedstawić go tobie, pani... a potem sprezentować. Tylko błagam Waszą Wysokość, powiedz swoim strażnikom, by go nie skrzywdzili. To bardzo delikatny mechanizm.

- I łatwo się psuje?

- Na razie. Gotowy będzie bez wad. Jeśli mi wolno, pani, to chciałbym...

- Tylko nie zniszcz całego ogrodu, mistrzu Tolcharde!

Wdzięczny wynalazca skłonił się szybko i pobiegł nie szczędząc gardła.

- Wstrzymajcie się! Nie tak! Uszkodzicie go! Pozwólcie mi podejść, a go wyłączę!

Wszystkie trzy usiadły na kamiennej ławie i zaśmiewały się z radością, która od wielu tygodni nie zagościła w pałacu.

Ten sam śmiech przypomniał jednak nieszczęsnej Glorianie raz jeszcze o jej obowiązku przywrócenia dworowi tej pogody ducha i spokoju, które zostały poważnie nadwerężone. Pełen

mrocznych podejrzeń Montfallcon nie wspominał o koniecznej stabilizacji, chociaż przysięgał jednocześnie, że jego zamiary i ambicje nie uległy zmianie. Coraz słabszy i chory lord Ingleborough nie był już w stanie udzielić wsparcia Królowej. Połowa Rady pochłonięta była własnymi sprawami. Nawet zwykle pełen entuzjazmu doktor Dee nie przejawiał ochoty do badań i całe godziny spędzał w swoich apartamentach. Widząc w sobie zdrajczynię lady Mary, Gloriana czuła się teraz opuszczona przez Radę, chociaż może z drugiej strony oczekiwała od niej zbyt wiele? Uznała, że tylko od jej starań zależy, czy optymizm powróci. To ona musi pobudzić umysły, ożywić służących jej dżentelmenów, odegnać złe nastroje. Musi być Albionem, musi ukazać im twarz władczyni. W walce tej nie mogła liczyć na nikogo, prócz Uny, która była przede wszystkim jej osobistą przyjaciółką pomagającą zaspokajać prywatne pragnienia. Gloriana powstrzymała śmiech, wstała i pożegnała się z damami.

- Zarządziłam zebranie Rady i pewnie już na mnie czekają.

Nagle poważna księżna Scaith chciała jeszcze zadać jakieś pytanie, ale Gloriana odeszła szybko pomiędzy syczącymi iguanami i pokrzykującymi pawiami z powrotem do swoich apartamentów.

\* \* \*

Zebrana w Tajnej Komnacie Rada wydała się Glorianie jakaś ospała: spocone twarze skąpane w barwnym świetle wpadającym przez witraż, rozleniwione postacie kontrastujące z dumną alegorią zdobiącą okno.

Lorda Ingleborougha służący przynieśli w zamienionym w lektykę fotelu. Serce wciąż odmawiało mu posłuszeństwa, zaś podagra ledwo pozwalała poruszyć ręką na tyle, by podpisać się na oficjalnych dokumentach. Niejaką ulgę w cierpieniach przynosiły różne mikstury, żadna jednak nie potrafiła go uleczyć. W oficjalnym stroju wyglądał groźnie i majestatycznie, ale inteligentne oczy często przesłaniała mgiełka bólu. Choroba postępowała tak gwałtownie, że

hołdujący niekiedy przesądom sir Amadis Cornfield gotów był wiązać ją z tym samym morowym powietrzem, które przyniosło śmierć lady Mary. Twierdził, że lady Mary została najpewniej złożona w ofierze demonowi wezwanemu przez doktora Dee i odtąd ów zły duch włóczy się wszędzie, sprowadzając na mieszkańców pałacu szaleństwo, choroby i ponure myśli. Sam doktor Dee dziwnie się postarzał i wyglądał na równie osłabionego, jak Ingleborough, jednakże cechowało go osobliwe ożywienie. Sir Amadis odsunął na bok podejrzenia i skupił się na rzeczach przyjemnych, czyli na swej małej kochance, która przybyła akurat na czas, by ulżyć jego zmartwieniu. Niemniej sir Amadis rychło wspomniał mimowolnie rzecz niemiłą, czyli bezpardonowe próby czynione przez lorda Goriusa Ransleya, by odbić mu dziewczynę. Lord posunął się nawet do groźby, że doniesie o romansie żonie sir Amadisa. Lord Gorius, wdowiec cieszący się sporym powodzeniem wśród kobiet, pragnął najpewniej jedynie uwieść dziewczynę sir Amadisa z czystej złośliwości. W dawnych dniach równałoby się to z obrazą honoru i wyzwaniem na pojedynek. Sir Amadis pożałował przez chwilę, że niektóre zwyczaje z czasów Herna zostały zarzucone. Spojrzał poprzez stół na niedawnego rywala, ale lord Gorius udał obojętność.

Trochę dalej zasiadł mistrz Florestan Wallis przelewający na papier jakieś nowe wiersze. Na jego obliczu malowało się niebiańskie niemal uniesienie, za nim zaś pomrukiwał sobie coś, pod wtulonym w bukiet kwiatów nosem, mistrz Orme, wyraźnie zadowolony i radosny. Gallimari zajęty był przygotowaniami, a sir Vivien Rich narzekał na upał i przepraszając nieustannie zraszał obficie kroplami potu stół i leżące na nim przybory. Mistrzowie Palfreyman i Fowler ziewali na potęgę i wymieniali ponad głową sir Viviena leniwe uwagi o dusznej pogodzie, powodującej u obu napady senności.

Lord Montfallcon, z poważną twarzą, zasiadł na swoim zwykłym miejscu i ogarnął spojrzeniem długi stół. Przez chwilę nie mógł wyjść z podziwu, jak udało mu się zgromadzić

taką kolekcję fircyków, plotących od rzeczy niczym baby na jarmarku. Postanowił zmienić skład całej Rady, usuwając z niej nawet Lisuarte'a, który nazbyt podupadł na zdrowiu, by móc podołać obowiązkom. Wspomnił, jak starannie dobierał niegdyś tych ludzi biorąc pod uwagę ich inteligencję i charakter. Już miał zacząć powątpiewać w swoje umiejętności oceny, gdy nagle z impetem wpadł do komnaty zdyszany sir Orlando Hawes podtrzymujący dłonią guziki kaftana i przepraszaający za spóźnienie. Jego mahoniowa skóra miała niezdrowy odcień. I on był spocony, a na dodatek zalatywał lawendą i kobiecą sypialnią, co było pewnym urozmaiceniem, reszta bowiem zebranych pachniała głównie różami lub makami. Cóż za przywiędły kwietnik, pomyślał Montfallcon. Wystarczył jeden tylko kryzys za progiem własnego domostwa, pierwszy od blisko trzynastu lat, a już się załamali. Chociaż z drugiej strony wydawało się mało prawdopodobne, by jedno morderstwo mogło zrobić na nich aż takie wrażenie. Montfallcon zatęsknił za swoimi dawnymi współpracownikami, ludźmi silnymi i cynicznymi, ale większość z nich nie żyła już lub znajdowała się na wygnaniu, ewentualnie wycofała się z życia publicznego. Ich zmysł praktyczny szybko pomógłby zażegnać kryzys. Paru służących skończyłoby na kole, kilku ze szlachty zostałoby oskarżonych o zdradę i prawda błyskawicznie wyszłaby na jaw.

Otworzyły się drzwi i wszyscy, nawet Ingleborough, wstali na powitanie Królowej. W ciężkich szatach podeszła powoli do krzesła, oni tymczasem mrugali oślepieni przez blask bijący z okna za jej plecami. Przystanąła na chwilę przy stole kontemplując widok, po czym usiadła w zamyśleniu, pozwalając im też zająć miejsca.

- Dzień dobry, panowie.

Montfallcon był zdumiony brzmieniem jej głosu.

- Co mamy na dzisiaj? - spytała, gdy oni jeszcze odpowiadali na jej powitanie.

- Okup za T oma Ffynne'a został przyjęty-powiedział lord Ingleborough zapominając o

protokole. - Wraca niebawem na swym statku.

- Wspaniała wiadomość. Musi jednak zostać ukarany, Lordzie Admirale. Wszystkie jego łupy, jeśli wiezie jakieś, zostaną skonfiskowane. Będzie też musiał zwrócić sumę równą zapłaconemu za niego okupowi.

Lord Ingleborough skłonił się, zgadzając się ze sprawiedliwym wyrokiem.

Montfallcon poczuł, jak poprawia mu się samopoczucie. Ostatnimi czasy Królowa nie zwracała większej uwagi na sprawy Rady, odmawiając im swego przewodnictwa. Teraz jej odwaga wróciła. Krew krążyła szybciej w żyłach Lorda Kanclerza i nie miało to nic wspólnego z upałem. Gloriana udowadniała znów, ile siły odziedziczyła po ojcu. Rada siedziała poruszona, wpatrując się w uśmiechniętą i wyprostowaną Glorianę.

- Wasza Wysokość - zaczął Montfallcon. - Niestety, w kwestii morderstwa lady Mary muszę stwierdzić...

Gloriana machnęła dłonią.

- Najlepiej zrobimy zapominając o tym, mój panie. Wprawdzie bardzo żał mi nieszczęsnego i szalonego sir Tancreda, ale ostatecznie wszystko zdaje się wskazywać, że to jednak on był mordercą.

Wszyscy poczuli przyływ ulgi słysząc to, na co od dawna czekali. Mrok zaczął ustępować z ich myśli.

- Pozostaje jednak sprawa synów Perrotta - powiedział lord Montfallcon. - Mamy wiadomości, że pospiesznie uzbrajają statki.

- By zaatakować Arabię?

- Na to wygląda, Wasza Wysokość.

- Muszą zostać powstrzymani.

- Zgadzam się, Wasza Wysokość. Niemniej sprawa jest delikatna, bowiem oni działają

ukradkiem.

- Wezwij ich na dwór. Nie będzie tajemnic w tym państwie. Zawsze tak mówiliśmy i nie zmienimy zdania.

- Nie przybędą, Wasza Wysokość - powiedział sir Amadis z zakłopotaniem, jako że był krewnym buntowników.

- A czy działa nie mogą zostać zagwożdżone, a statki zatopione? - spytał sir Orlando i spojrzał na Ingleborougha.

- Zapewne tak. - Starzec wciągnął głęboko powietrze. - Ale to tylko pogorszyłoby sytuację i odwlekło kłopoty, niczego nie zażegnując.

- Czy masz ludzi, którzy by się tym zajęli? - Tym razem sir Orlando spojrzał na Montfallcona.

Kanclerz raz jeszcze pożałował śmierci Quire'a. Gdyby się zgodził, musiałby wysłać Tinklera, Hogge'a i jemu podobnych, którzy zapewne pokpiliby sprawę. Może się okazać, że będzie zmuszony zaangażować Webstera i jego gadatliwą bandę.

- Wahasz się, mój panie. - Sir Orlando odzyskał najwyraźniej swój stoicki spokój.

- Owszem, sir. Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł. To podstęp...

- Skoro oni działają według tej metody, to i my możemy uciec się do oszustwa.

Wyczuwszy, że Hawes przemawia z wielką wiarą w potęgę swego rozumu i pozycji, Montfallcon zamilkł i spojrzał z powątpiewaniem na milczącą Królową.

- Wasza Wysokość nigdy nie zezwalała na stosowanie podobnych metod. Zawsze z wielkim wyczuciem pamiętała o tym, że korona musi pozostać bez skazy. - Odniósł wrażenie, że Królowa gotowa jest uznać plan, który aż nadto przypominał Montfallconowi dawne dni.

Zaniepokoił się. Nie pozwalał nigdy, by Gloriana dowiedziała się, jakimi sposobami posługuje się jej Lord Kanclerz uprawiając dyplomację. Chronił ją w ten sposób. A teraz słyszał, jak na



otwartym forum, w obecności Królowej, jeden z członków rady zaproponował rozwiązanie siłowe i nie został natychmiast zdymisjonowany... Dla Montfallcona był to wstrząs. - Sądzę, że nie powinniśmy tego czynić - powiedział w końcu.

- Nawet ryzykując wojnę z Arabią? - spytał mistrz Orme.

- Owszem, ale...

- A właściwie, to czemu nie. - Mistrz Palfreyman zarządzający siłami zbrojnymi wstał żywo. - Ukarzmy Arabię. Pokażmy właściwe jej miejsce. Zbyt długo pozwalaliśmy im na wszystko: spiskowali, mordowali nasz lud, ośmielili się zaproponować małżeństwo naszej Królowej. Zburzmy Bagdad, Wasza Wysokość!

Gloriana zbladła, jakby dopiero teraz zrozumiała, jakie siły mogą zostać uwolnione w jej imieniu; być może wspomniała, jak kiedyś ten sam moment przeżywał jej ojciec...

Uśmiechnęła się jednak.

- Wojny nie będzie - powiedziała. - Zawsze zgadzaliśmy się z sir Orlandem, że wojna to niepotrzebna śmierć poddanych i równie bezsensowne wydatki. Jedna agresja prowadzi nieuchronnie do dalszych, bowiem po ustaniu walk powstaje pustka. Ktoś, kto przywykł do wojny, nie potrafi przegrywać i tym samym rychło wyszukuje sobie nowego wroga i wywołuje następne konflikty.

- Zatem zaatakujmy samych Perrottów. Obnażmy prawdziwą przyczynę ich działania - powiedział sardonicznie Fowler. - Przepraszam, Wasza Wysokość. - Usiadł.

- Bracia Perrottowie zostali wezwani na dwór i odmówili przybycia. Takie nieposłuszeństwo gniewa nas, współczujemy im jednak. Wybaczamy im niesubordynację.

Stracili najpierw siostrę, potem ojca. Jaki jednak jest dowód na to, że winna temu jest Arabia?

- To jest powszechnie wiadome, Wasza Wysokość - powiedział sir Amadis. - To zemsta lorda Shahryara, który zaraz potem w wielkim pośpiechu wrócił do Bagdadu.

- Wezwany przez Kalifa. Ta plotka pozbawiona jest podstaw. Twierdzą, że to sir

Tancred jest mordercą. - Królowa zdawała się płonąć gniewem. - Nie zezwolę na wojnę. Nigdy.

Chyba, że zostaniemy zaatakowani.

- Arabia z dnia na dzień staje się coraz bardziej agresywna. Uderzy prędzej czy później

- stwierdził wojowniczy Palfreyman.

- Jeśli to zrobi, wówczas odpowiemy. Jesteśmy Albionem. Naszym obowiązkiem jest

zwalczać stare zwyczaje pozostałe po Wieku Żelaza. Czyżbyście byli innego zdania niż cały

nasz lud zamieszkujący na trzech kontynentach? Czy chcecie, by ten drogocenny Złoty Wiek

przetrwał i okrzepł? By stworzył nowy, nienaruszalny porządek tego świata? Tak, panowie,

wiem, że tego właśnie pragniecie. To nasze wspólne marzenie. Lord Montfallcon i lord

Ingleborough wyśnili je w mrocznych czasach, gdy stopnie szubienicy wycierały się od

częstego używania, a topór katowski nigdy nie miał okazji obeschnąć. Pokazujemy całemu

światu, jak powrócić do prawdziwych cnót rycerstwa. Występujemy przeciwko

niesprawiedliwości, niemoralności, okrucieństwu i tyranii. Oto dlaczego jesteśmy bezpieczni.

Jeśli raz naruszymy nasze zasady, wówczas cały Albion runie, marzenie szczególnie. Jestem

Gloriana, waszą Królową, waszym sumieniem i przeznaczeniem. Przypominam wam o

obowiązku, który zaniedbaliście, a którego zaniedbywać nie wolno.

Montfallcon słuchał z rozpromienionym obliczeni. Widział, jak znikają ze wszystkich

twarzy: gniew, niezadowolenie, cynizm, samolubność, rozpacz i złośliwość.

- Słuchajcie! Słuchajcie! - Lord Ingleborough gestykulował ściśniętą w pięść dłonią i

popatrywał wokoło jakby szukał tego, kto ośmieli się sprzeciwić.

Gloriana roześmiała się i wyprostowała. Sztynny kołnierz jaśniał wokół jej

płomienistej głowy jak zorza, a dumne i pewne zielono-błękitne oczy spoglądały na nich

wzrokiem Herna, którego wielu uważało za księcia demonów i przywódcę sfory dzikich

myśliwych, skrywającego pod wysoką, żelazną koroną jelenie rogi. Dłonie wsparte na biodrach były silnymi dłońmi jej ojca, uśmiech zaś słodki był i serdeczny jak uśmiech jej matki, Flany, która w wieku lat trzynastu oddała życie przy narodzinach Gloriany. Po części świadomie, po części mimowolnie przypomniawszy członkom rady swą legendę i potęgę, przypomniawszy o swym pochodzeniu, które chociaż znane wszystkim, wydawało się teraz po części przynajmniej nadnaturalne.

Lord Montfallcon skłonił się przed nią.

- Żaden z nas nie zaniedba swych obowiązków.

- Nawet drobne odstępstwo-powiedziała - oznaczać będzie zdradę całej sprawy.

Potem, ukrywając zmęczenie i niepokój, życzyła miłego spędzenia reszty dnia i zostawiła ich, by wiedli dalej debatę, pamiętając o honorze i szlachetnych ideałach.

Tylko rozparty bezwładnie na krześle lord Ingleborough spojrzawszy za nią rozumiejąc, na jaką odwagę i wielkoduszność zdobyła się tego dnia Królowa Gloriana.

## **ROZDZIAŁ 20**

### **W KTÓRYM KRÓLOWA NADAL SZUKA UKOJENIA, A KSIĘŻNA SCAITH DOKONUJE STRASZNEGO ODKRYCIA**

Tego wieczoru dwór odetchnął. Po raz pierwszy od wielu tygodni były tańce i Królowa poprowadziła dworzan w habanerze i w pawanie, a muzycy z ogniem przypomnieli swoje najlepsze kompozycje. Przez wiele godzin po zakończeniu zabawy sale i korytarze wypełniał śmiech. Potem zmęczona, samotna Gloriana przeszła sekretnymi drzwiami do tajnych pomieszczeń, by tam otrzymać nagrodę za wspaniałe wywiązanie się z roli i rozproszenie zawisłych ponad dworem chmur. Stęskniła się za kochającymi ją karłami i dziećmi przebranymi w mitologiczne stroje, za pieszczotami i czułymi szeptami gejsz, za pachnącymi piżmem, uległymi młodzieńcami, za szorstkimi dłońmi rozmiłowanych w okrucieństwie

kobiet, pozwalających poznać jej każde poniżenie, za bezrozumnymi mieszkańcami dżungli, za oziębłymi synami i córami sprzedajnej miłości w przebraniach z białego jedwabiu, za drżącymi dziewczynami skowyczącymi pod uderzeniami bata. Chodziła od jednej przegrzanej sali do drugiej z nadzieją, że dobrze spełniwszy obowiązek zazna wreszcie ucieczki z więzienia niespełnionych pragnień ciała. Ale ucieczki nie było. Osłabiona wróciła ostatecznie do własnego łóżka i w samotności zasunęła ciężkie kotary, by w ciemności rozpaczać nad niesprawiedliwością losu.

Lord Montfallcon, spokojniejszy od chwili, gdy Gloriana podjęła wyzwanie i nie obawiający się już tak o przyszłość swego marzenia, obudził się w nocy, słysząc odległe łkanie. Obok niego poruszyły się jego załęcznione, ale śpiące już żony. Zdumiał się, że Królowa nie czuje tej samej ulgi, co on i trwało chwilę, nim w trakcie rozmyślań radość jego uległa zmąceniu.

*Ach, Albion wciąż nie zaznał spełnienia, podobnie jak cel mój wciąż jeszcze nie został osiągnięty. Czyżby jedno z drugim tak blisko było związane? Ta zbieranina, którą chowa, pogłębia tylko jej żal, niemniej zobowiązała się wobec nich i wie, że nie może zawieść ich i wygnać. Przez jej miłosierdzie wszystko uchodzi bezkarnie tym zdeprawowanym, lubieżnym i nieopanowanym potworom. Co gorsza, nagradzani są wszelkimi wygodami. O wiele szczęśliwsza byłaby, uwolniwszy się od nich, od obowiązku dbania o dworaków, komediantów, dzieci. Ale ona wciąż przyjmuje nowych. Nie takie zasady wpajałem jej od wczesnego dzieciństwa. To zwykły sentymentalizm, a ona jest już tym wszystkim wyczerpana. Jakie z tego pożytki? Dla Albionu żadne. Pora dla niej na małżeństwo. Ale z kim?*

Hern wygubił tylu swych krewnych, że teraz zaledwie garstka szlachty w Królestwie mogła pochwalić się królewską krwią. Montfallcon przypominał sobie wszystkich książąt, diuków i earłów z Hiberni, Irlandii, Walencji i Virginii. Gdyby Scaith miał syna na następcę, a

nie córkę, która zastępuje teraz Królowej tak dobrze męża, sprawa byłaby rozwiązana. Wielki Kalif był zbyt łasy na władzę, której nie zamierzał z pewnością w żadnym razie z nikim dzielić, poza tym nie gwarantował pozostawienia potomka, a tego właśnie Albion potrzebuje najbardziej. Małżeństwo z Kazimierzem z Polski było niemożliwe bez otwartej obrazy Kalifa. W innych zaś krajach byli książęta zbyt starzy lub zbyt młodzi, szaleni lub chorzy. Królowa Koryntu wymordowała w zeszłym miesiącu wszystkich swych braci. W Wenecji, Genui, Atenach i Wiedniu nastąpiły republiki, i rody królewskie zostały wyrżnięte w pień lub wygnane, co czyniło je bezużytecznymi do celów matrymonialnych. Władca Etiopii był chory psychicznie, książę Henri z Paryża spoczywał na łożu śmierci. Nie, to musi być jakiś szlachcic z Albionu, może nawet taki, któremu trzeba będzie najpierw nadać tytuł książęcy. Głos Gloriany znów rozbrzmiał w ciemności i Montfallcon ciaśniej przytulił do siebie żony, jakby chciał stłumić dźwięki.

*Ta sama krew, ten sam głos i żal. I ta sama bezradność!*

Księżna Scaith usłyszała słowa desperacji, przebudzona z głębokiego i niemiłego snu, w którym zwiedzała inny, bardziej złożony świat: jedną ze sfer Johna Dee...

Sam John Dee też słyszał Królową, ale odpowiadał jej na swój sposób, atakując pożądliwie leżącą pod nim postać.

- Tak! Jeszcze wyżej! Śpiewaj! Teraz crescendo, a potem orgazm! - Żywiołowa

kochanka przyłączyła się do niego w wyścigu o rozkosz, gdy krzyczał: - Gloriana! - Zerwał się z niej. - Gloriana... - Poglaskał ogniste włosy, wyraziście zarysowaną twarz, ramiona, piersi, uda i brzuch. - Och, Gloriano, jesteś moja i my oboje znamy spełnienie.

Sir Amadis Comfield zdążył do dawnej sali tronowej na rozkoszne spotkanie z nocną nimfą, roześmianą pięknnością. Zatrzymał się słysząc szept Gloriany i zmarszczył brwi.

*Zdradzana jestem przez me własne ciało... które wciąż odmawia mi wytchnienia... Och,*

*ten ciężar, to płonące, wstydlive brzemie...*

Głos ucichł. Gloriana wreszcie zasnęła.

Sir Amadis wznowił marsz, oddalając się od żony i obowiązków, cały drżący

lubieżnym oczekiwaniem i pewny, że tej nocy jego ukochana pozwoli mu na więcej, niż tylko pocałunek...

\* \* \*

W mrocznej sypialni Mistrza Wheldrake'a, odziana w nocną koszulę lady Lyst wzięła w jedną dłoń szklany puchar, a w drugą koński bat, i uczyniła krok, by nieszczęsny, dyszący i nagi poeta mógł wycisnąć pocałunek na jej bucie i wypowiedzieć swoją kwestię.

- Wasza Wysokość. - Jak zawsze, gdy Wheldrake wpadał w owo szczególne natchnienie, musiała odgrywać przed nim Królową. - Wasza Wysokość, pora na karę, bowiem nieposłuszny byłem i godny pogardy. Niech bat nauczy mnie męstwa i poszanowania muzy, by moje wiersze odzyskały ową moc, którą miały, gdy po raz pierwszy ujrzałem portret Jej Wysokości i postanowiłem za wszelką cenę dotrzeć do dworu i paść u twych stóp... Wasza Wysokość!

- Teraz? - spytała niewyraźnym głosem lady Lyst i uniosła bat.

- Tak! Teraz! Teraz!

Bat opadł.

Lady Lyst skrzywiła się czując piekący ból rozdartej batem własnej nogi.

\* \* \*

Księżna Scaith miała już zasnąć w ciszy nastącej po lamencie Królowej, gdy

zaniepokoił ją inny zupełnie dźwięk dochodzący gdzieś z góry, jakby szczur buszował w przestrzeni stropu. Słyszając dochodzący z bliska jęk, usiadła i poszukała dłonią sztyletu, z

którym sypiała na wszelki wypadek od czasu śmierci lady Mary. Odsunęła kotary, odnalazła na

stoliku świeczkę. Błysnęło krzesiwo, hubka przyjęła iskry i po chwili blask świeczki wypełnił pokój ponurymi i podejrzanymi cieniami. Zebrawszy wkoło siebie ciężkie płótna, Una wstała i trzymając sztylet w gotowości, uniosła świeczkę, by rozejrzeć się wkoło.

Jęk rozbrzmiał znowu gdzieś z góry. Przypomniała sobie o kratce wywietrznika i podniosła wzrok. Czy i ten prowadził pomiędzy mury? Czy coś tam się ruszało? Może oczy lśnią spomiędzy prętów?

- Kto tam?

Znowu jęk. Słaby, lecz wyraźny.

- Czego chcesz? Jęk.

Wzięła krzesło, by przyjrzeć się bliżej wywietrznikowi i nagle zamarła.

- Przepadnij! Miauknięcie.

Ustawiła krzesło pod ścianą przesłoniętą niebiesko-zielonym gobelinem z Tristanem i

Izoldą na tle zamku i morza, wspięła się na górę i z drzeniem serca zajrzała do otworu. Coś zajarzyło się w środku, znów rozległ się jęk, ale nie tylko.

- Pomocy...

- Kim jesteś?

- Błagam...

Wcisnęła czubek sztyletu w szparę pomiędzy ścianą i kratką, i przycisnęła. Krata

wypadła dziwnie łatwo, jakby nie była zbyt dokładnie osadzona, i z hałasem wylądowała najpierw na krześle, potem na dywanie.

Usłyszała cienki, żaloszny głos. Wsunęła świeczkę głębiej i pierwszym, co ujrzała, był mały, biało-czarny kot, którego oczy pełne były bólu. Rzucił się ku niej, nie żeby zaatakować, ale szukając bezpieczeństwa. Omal nie spadła, gdy stworzenie uczepiło się jej ramienia. Kot był ranny, przez bok biegła paskudna szrama, a sierść zmatowiała była od krwi. Ostrożnie

zeszła na dół i ułożyła zwierzę na toalecie z dzbanem wody i miską. Zaczęła obmywać krew, gdy doszło do niej, że koty przecież nie mówią.

Odwróciła się i ujrzała bladą, na wpół przytomną twarz wpatrującą się w nią z góry.

Usta była otwarte, pomiędzy wargami pękały pęcherzyki krwi. Una stała jak sparaliżowana, przybysz tymczasem wyczołgiwał się z otworu, aż zawisł na krawędzi niczym powieszona żaba. W jego plecach tkwił sztylet o zaokrąglonej rękojeści.

- Tallow! - krzyknęła księżna, rozpoznając przewodnika z podziemi.

Ciało upadło na krzesło, które zatoczyło się marszcząc dywan, potem zsunęło się na podłogę, aż legło na plecach, ukazując ostrze sztyletu wystające z piersi i rozpryskując wkoło krew. Tallow usiłował się wygiąć i przewrócić na brzuch, ale śmierć była już zbyt blisko. Una podbiegła do niego i pomogła mu usiąść, powodując jeszcze obfitszy wypływ krwi z ust.

- Zabił mnie. Stawiłem mu opór...

- Kto, Tallow?

Ale głowa włóczyci opadła, oddech ustał. Strumień krwi zmalął najpierw, potem zanikł.

Una, księżna Scaith stanęła nad zwłokami i z przerażeniem wpatrywała się w szczątki Jephraima Tallowa. Ranny kot miauknął znad miski.

Pogłaskała zwierzątko i opatrzyła najlepiej, jak potrafiła. Ściągnęła z łóżka prześcieradło i okryła nim Tallowa. Skwapliwie, jakby obawiała się, że z wywietrznika wypadną zaraz następne zwłoki, osadziła na miejscu kratkę i przysunęła krzesło z powrotem do ściany. Wzięła jeszcze jedno prześcieradło i owinęła w nie kota, kładąc go na swojej poduszce. Ubierała się pospiesznie, gdy Elizabeth Moffett zastukała do drzwi.

- Pani! Moja Pani?

- Wracaj do łóżka, Elizabeth! - Księżna nie chciała wtajemniczać we wszystko prostej dziewczyny. - Nic się nie stało.



- Nic ci nie grozi, pani?

- Nic.

Una rozważała kwestie polityczne. Następna zbrodnia, tym razem jeszcze bardziej tajemnicza, bowiem ofiara też nie była znana, wpędziłaby dwór w desperację gorszą, niż za pierwszym razem. Sir Tancreda uznano winnym i osadzono w wieży. Tamta sprawa została zamknięta i wszyscy odetchnęli. Pomyślała, że może Tallow pojawił się tutaj jako ostrzeżenie. Nie mogła jednak angażować w to Królowej. Nie chciała przypominać Glorianie ich wyprawy w mury, nie teraz. Niemniej potrzebna była pomoc.

Dopięła szatę i wyszła zamykając drzwi na klucz. Elizabeth nie było już w przedpokoju.

Una odblokowała drzwi na jasno oświetlony korytarz, po którym przechadzali się strażnicy.

Żaden jednak nie zaczepił jej, gdy przemykała się do komnat mistrza Wheldrake'a. Zapukała w dębowe odrzwia i usłyszała dochodzące z wnętrza pomruki i jęki. Czekwała cierpliwie.

- Kto tam?

- Scaith.

- To ty, Uno? - Lady Lyst była pijana.

- Wpuść mnie.

Po drugiej stronie drzwi naradzano się tak długo, że księżna zaczęła tracić cierpliwość.

W końcu klucz za-chrobotął w zamku i przed Una stanęły dwie postaci: wyraźnie zakłopotany Wheldrake i chwiejąca się Lyst, skrywająca coś za plecami. Oboje byli w nocnych koszulach.

- Wheldrake i ja... - zaczęła lady Lyst. Cokolwiek miała z tyłu, teraz spadło to na podłogę za stołem. -My...

Mistrz Wheldrake podsunął kochance krzesło i gestem poprosił, by Una też usiadła, ona jednak nie skorzystała.

- Popełniono morderstwo - wyszeptała.

- Znowu? - Lady Lyst skrzywiła się i sięgnęła po pobliską karafkę. - Na Mitrę!

- Tutaj, w pałacu? - pisnął Wheldrake, zaczynając rozumieć powagę sytuacji. - Och, księżno! Kto tym razem?

- Ktoś obcy. Tak się składa, że znałam go trochę. - Zauważyła porozumiewawcze spojrzenie lady Lyst. - Nie zapraszałam go do pałacu. Wśliznął się tu. Bez wątpienia zamordowano go w ogrodzie. Tak czy inaczej, sądzę, że nie należy nikogo niepokoić tym faktem i najlepiej będzie ukryć ciało.

- Ale ty nie... nie chcesz... to nie ty zrobiłaś? - spytał Wheldrake.

- Gdyby zginał z mojej ręki, czyżbym komukolwiek mówiła o tym? - odparła ostro księżna.

- Przepraszam.

- Potrzebuję pomocy, by go pochować. Najlepiej chyba w nie używanych ogrodach. Znać je? Blisko obcych ambasad.

- Teraz? - Mistrz Wheldrake spojrział z powątpiewaniem na nadal sączącą trunek lady Lyst.

- Nie można czekać. Pamiętacie przecież, jaki cień rzuciła na dwór śmierć Mary. Tyle podejrzeń, gadaniny o zemście. Dość tego. Jeśli Tallow, ten zabity, zostanie od razu pochowany, to tak jakby nigdy go nie było. Nikt go nie będzie szukał i nikt we dworze nie dowie się o morderstwie, zapewniam was.

- Był złodziejem? - spytał Wheldrake. - Pewnie przyszedł z którejś tawerny...

Księżna wiedziała, że Wheldrake dobrze zna zakamarki nadrzecznych dzielnic.

- Tak - powiedziała. - Najpewniej stamtąd. Był posłańcem i czasem przynosił mi różne wiadomości. Wybaczcie, ale nie chciałabym mówić więcej.

- Oczywiście. - Wheldrake zrozumiał jej małomówność po swojemu, biorąc Unę za

bratnią duszę, również uprawiającą nocne wypadki. Bez oporów przystał na dyskrecję. - Chodź, lady Lyst, idziemy do apartamentów księżnej.

Towarzyszka zabaw, zebrawszy się w sobie, odważnie wstała z krzesła.

- Prowadź.

Pomogli jej przejść tylko kilka kroków, gdy okazało się, że znów stąpa pewnie i jest niemal trzeźwa.

W sypialni Una pokazała im przesiąknięte krwią prześcieradło, w które zawinięty był Tallow.

- Musimy go wynieść. Proszę, mistrzu Wheldrake. Lady Lyst, tam jest latarnia.

Kot miauknął zza poduszki. Una obejrzała raz jeszcze ranę, stwierdzając, że nie jest groźna i powinna szybko się zagoić. Zwierzątko wydawało się być zainteresowane już teraz tylko własnym losem i nie próbowało zbliżyć się do ciała martwego opiekuna.

- Lekki jest. - Mały poeta wziął Tallowa za nogi, Una za ramiona, i poprowadzeni przez lady Lyst wyszli tylnymi drzwiami na zewnątrz, do oświetlonych blaskiem księżyca ogrodów. Lady Lyst poprowadziła ich tam, gdzie kilka miesięcy wcześniej Tallow widział z balkonu na wieży przechadzających się Oubachę Khana i Lady Yashi Akuyę.

Poniewczasie Una zorientowała się, że nie wzięła łopaty. Wheldrake znalazł jednak zrujnowaną cembrowinę studni. Nieszczęsny Tallow został wrzucony do środka, po czym cała zdyszana i lękająca się odkrycia trójka wzięła się za poszukiwanie kamieni. Okoliczne okna pozostawały ciemne. W drodze powrotnej lady Lyst dwukrotnie wprowadziła ich błędnie prosto w gęste zarośla, ale w końcu dotarli z powrotem do sypialni księżnej.

- Jestem wam bardzo wdzięczna - powiedziała Una. - Rozumiecie, dlaczego było to konieczne?

- Jak on tu wszedł? - spytała lady Lyst siadając na łóżku i głaszcząc kota. - Bardzo dużo

tu krwi. Na tobie, na podłodze, na łóżku.

- Doszedł tu śmiertelnie ranny. - Una była zadowolona, iż uznano Tallowa za jej dochodzącego kochanka z miasta. - Jakiś złodziej połakomił się na jego sakiewkę.

- I dostał ją - powiedział Wheldrake. - Nie miał żadnej, jak wyczułem. Nie posiadał też broni, prócz tego sztyletu w plecach. Biedaczysko. - Zamyślił się. - Jesteś pewna, że zabójstwo nie miało miejsca na terenie pałacu? Słyszałem spekulacje, że morderca lady Mary nadal spokojnie porusza się pośród nas. A sir Thomas Perrott? A może to ten twój gość był mordercą? Może sir Thomas go odnalazł?

- Właśnie po to, by uniknąć podobnych podejrzeń, poprosiłam was o pomoc, mistrzu Wheldrake.

- Wybacz mi. - Wheldrake uśmiechnął się.

Lady Lyst oddychała ciężko, jakby dopiero teraz zdała sobie z wszystkiego sprawę.

- Morderstwo! - krzyknęła niespodziewanie głośno. Una wzdrygnęła się.

- Proszę, lady Lyst...

Ta opuściła głowę i chyba usnęła.

- Jest zmęczona - powiedział Wheldrake.

- Nikomu poza wami nie mogłam zaufać - stwierdziła z naciskiem księżna. - Usunięcie zwłok wydawało mi się konieczne. Prawie nie zastanawiałam się. Może działałam nieco pośpiesznie...

- Postąpiłaś mądrze - przerwał jej Wheldrake. - Dwór właśnie wraca do siebie, a takie zdarzenie uczyniłoby go miejscem nie do zniesienia. Jak długo pewna jesteś, że morderca lady Mary i tego tam biedaka to dwie różne osoby, to wszystko w porządku.

- Tego nie mogę być pewna. - Księżna Scaith spojrzała na biało-czarnego kotka, który właśnie oczyszczał języczkiem ranę. - Ale zapewniam cię, mistrzu Wheldrake, że dołożę

wszystkich starań, by odkryć prawdę i zrobić, co do mnie należy.

- Z pewnością - powiedziała lady Lyst. - Powinnaś powiedzieć o tym przynajmniej lordowi Rhoone'owi. A może i Montfallconowi?

- Może. Muszę to wszystko rozważyć.

- Postanowiłaś milczeć, by ochronić Królową? - Lady Lyst wstała. - To o to chodzi, Uno?

- Z pewnością to jeden z istotniejszych powodów.

- Nader szlachetnie - stwierdził Wheldrake.

- Tak - przytaknęła niepewnie lady Lyst.

- Sądzisz, że milczenie będzie sprzyjało podejrzeniom? Czyżbym tylko pogorszyła sprawę?

- Jestem zbyt pijana, by myśleć.

- Poważam logikę twego rozumowania.

- Nie ma żadnej logiki. Wypływa ze mnie dzień za dniem. Zresztą, na nic się nie przydaję... - Lady Lyst ruszyła ku drzwiom. - Wheldrake.

- Idę. - Skinąwszy ze współczuciem księżnej Scaith, poszedł w ślady kochanki.

Una została sama. Po jakimś czasie przyłapała się na nadspodziewanie częstym zerkaniu na kratkę. Wydawało się jej, że spomiędzy prętów ścieka wciąż krew setek ciał spoczywających gdzieś w czeluściach murów. Aż do tej chwili nie przyszło jej do głowy, że morderca lady Mary mógł przybyć z podziemi pałacu; a może był nim sam Tallow? Tak, to wydawało się najłatwiejszym wyjaśnieniem. Postanowiła zbadać sprawę i porozmawiać z Rhoonem, któremu ufała, i dobrać sobie oddział co dzielniejszych strażników. Może gdzieś tam toczyła się nawet wojna pomiędzy dawnymi wrogami walczącymi o supremację w podziemnych korytarzach, dawno zapomnianych jaskiniach, zrujnowanych komnatach i

rozpadających się salach? Tak, to wyglądało sensownie.

Resztę nocy spędziła pielęgnując kota i zerkając często ku wywietrznikowi, ale nic więcej się nie zdarzyło. Gdy nastał dzień, oczyściła z krwi dywan i zwinęła prześcieradła.

Zmyła większość ciemnoczerwonych śladów z gobelinu, po którym zsunął się Tallow. Jeśli Elizabeth Moffett to zauważy, wówczas trzeba będzie wymyślić na jej użytek jakąś historyjkę o walce, w którą dziewczyna łącznie powinna uwierzyć, i tym samym zapewnić sobie jej milczenie.

Potem, ubrawszy się stosownie, wyszła i skierowała swoje kroki ku apartamentom lorda Rhoone'a, którego postanowiła ostatecznie we wszystko wtajemniczyć.

Pukając, przekonała się, że drzwi są otwarte. Ku swojemu zdziwieniu usłyszała ze środka piskliwy głos doktora Dee i zaniepokojony bas lorda Rhoone'a.

- Księżno? - W drzwiach ukazała się zapłakana służąca.

- Co się dzieje? Muszę zobaczyć się z lordem Rhonem.

- Lady Rhoon i dzieci...

Księżna zdrętwiała z przerażenia.

- Co? Nie żyją?

Służąca poprowadziła ją do jadalni, gdzie na podłodze leżała otyła i rumianolica żona lorda, a obok niej pulchne dzieci, chłopiec i dziewczynka w wieku lat trzynastu i czternastu, radość i duma rodziców.

Doktor Dee uklęknął przy dziewczynce i przyłożył ucho do jej piersi. Lord Rhoone krążył niespokojnie po pokoju.

- To cynaderki - powtarzał. - To musiały być cynaderki.

- Najprawdopodobniej zatrute - stwierdził Dee spoglądając na Unę, która właśnie weszła. - A ty ich nie jadłeś?

- Prawie wcale.

- Kto? - spytała bezradnie Una. Czyżby w nocy doszło do całej serii zabójstw? Czyżby Tallow i rodzina lorda Rhoone'a miały być tylko jednymi z ofiar?

- Zepsute mięso - stwierdził Dee. - Trzeba im opróżnić żołądki.

- Będą żyć? - spytał błagalnie Rhoone.

- Niech służący zanoszą ich do mnie. Albo nie, lepiej do mistrza Tolcharde'a. Tam jest lekarz, który może mi pomóc. Spróbujmy sporządzić antidotum. Szybko, nosze!

Nie zwracając uwagi na Unę, lord Rhoone i doktor Dee sprowadzili służących, którzy wynieśli troje ofiar z pokoju. Nie wiedząc zupełnie po co, Una ruszyła za nimi, stając się częścią postępującej za noszami procesji.

Przeszli przez stare rejony pałacu i Salę Tronową, dalej po rozpadających się schodach, przez galerię, do drzwi pełnych różnych woni laboratoriów mistrza Tolcharde'a. Dee zapukał głośno. Trwało chwilę, nim ktokolwiek otworzył.

- Tylko Rhoone i ja - powiedział Dee. - Niewtajemniczonym wstęp wzbroniony.

Una zawahała się. Dee spojrział na nią z zaciekawieniem i szybko wciągnął do wnętrza, na sekundę przed zatrzaśnięciem i zablokowaniem drzwi.

- Księżno? Słyszałaś coś? Tak szybko przyszłaś...

Una potrząsnęła przecząco głową. Nosze i pilnujący ich Rhoone znikali już w komnatach mistrza. Dee rwał się, aby pobiec za nimi, ale powstrzymał przed tym Unę.

- Ty coś chyba podejrzewasz?

- A jakie są wyniki twoich badań, doktorze?

Dee westchnął.

- Po prostu nieczysta gra - odpowiedział niechętnie.

## **ROZDZIAŁ 21**

# W KTÓRYM JEDNI DWORZANIE KRÓLOWEJ ZOSTAJĄ WSKRZESZENI, INNI ZAŚ POGRZEBANI

Zdyszany lord Rhoone wbiegł do salonu Królowej i padł u stóp fotela, by ucałować dłonie Gloriany.

- Uratowani - powiedział. - Dzięki pewnemu jasnowidzowi i pigularzowi zarazem, gościowi doktora.

- A nie dzięki niemu samemu, drogi lordzie Bramandilu? - Królowa zwróciła się do niego po imieniu, by podkreślić swą sympatię dla lorda Rhoone'a.

- Nie potrafił. Przyznał się do bezsilności, gdy już umierali. Wtedy Tolcharde przyprowadził tamtego. Zaraz gdy odeszłaś, księżno. Pamiętasz? Poszłaś zawiadomić Królową.

Odwrócona plecami, zmęczona Una przytaknęła.

- Nim ustał oddech moich najbliższych, gotowe było już antidotum, które ich uratowało. Przychodzą teraz do siebie w naszych apartamentach.

- Jasnowidz? - spytała Gloriana. - Kto taki?

- Zapewne podróżnik. Dee powiedział, że to przybysz z innego świata.

- Aha, podopieczny Tana - stwierdziła Królowa pozbywając się sceptycyzmu.

- Zapewne.

Una, odwróciwszy się od widoku Wielkiego Podwórca i lazurowego jeziora, odeszła od na wpół otwartego, wysokiego okna. Była blada, głęboki i ciężki oddech podnosił jej pierś odzianą w ciemnoniebieską halkę ozdobioną wyszywanymi chabrami, perłami i błękitną koronką.

- Będą żyć? - spytała cicho.

Lord Rhoone podniósł się, ujął jej dłonie i ścisnął mocno.



- Widzę, księżno, że i ty nie wyglądasz zbyt zdrowo. Musisz mi wybaczyć, ale lęk uczynił mnie ślepy i głuchym na wszystko inne...

Una uśmiechnęła się, jednak w tej chwili i ona bliska była szaleństwa.

- Już myślałam, że to znowu morderstwo. Doktor Dee był tak pewien...

- Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. To stało się tak nagle i biorąc pod uwagę niedawne wydarzenia wiele można było podejrzewać.

- Musimy zapomnieć o Mary - powiedziała zdecydowanie Królowa Gloriana.

- O tylu rzeczach nie wolno nam obecnie pamiętać. - Una rozejrzała się wkoło, jakby spodziewała się ataku. Jej dłonie wciąż znajdowały się w uścisku lorda Rhoone'a. - Czy to dobrze?

- Dobrze czy nie, mały mamy wybór. - Gloriana wstała, majestatyczna w łagodnych brązach i złotym diademie na głowie. - Nie ma dalszych morderstw. Powodem zatrucia twojej rodziny były zatem nieświeże cynaderki, lordzie?

- Tak, pani. Upał sprawia, że podroby psują się-szybciej niż mięso. Nie powinniśmy ich jeść teraz, chyba że zostaną wycięte ze świeżo ubitego stworzenia.

- Posłaliśmy już wiadomość do naszej rzeźni. I do spizarni.

- A zatem nikt nie zatrul ich rozmyślnie? - Księżna Scaith uwolniła dłonie i udając spokój wpatrzyła się w barwne malowidła na suficie. Kupido i Psyche, Jupiter i Semele, Tytania i tkacz oraz Leda z łabędziem ostro kontrastowały z panującym w jej umyśle chaosem.

- Wszystko świadczy przeciwko temu. - Lord Rhoone stanął pomiędzy starającą się za wszelką cenę zachować spokój Królową a zdesperowaną księżną Scaith. Pozbywszy się niepokoju, pragnął wygnać go też z serc wszystkich obecnych. Przyczyna niedosłej tragedii okazała się najzupełniej naturalna i to mu wystarczało. - Muszę do nich wrócić.

- Czy możemy spotkać się z tym jasnowidzem i nagrodzić go? - spytała z uśmiechem

Królowa, gdy Rhoone już kłaniał się i szykował do odejścia.

Lord podrapał się po głowie.

- Ale on już zniknął. Pewnie wrócił do swojej sfery. Nie oczekiwał wdzięczności.

Dobry człowiek. Prawdziwy uczeń Asklepiosa.

Królowa zmarszczyła brwi.

- Miejmy nadzieję, że pojawi się jeszcze kiedyś. Porozmawiam z doktorem Dee.

Zaprośmy go, Uno.

- Zajmę się tym - obiecała osobista sekretarka Królowej, wdzięczna za wyznaczenie jej jakiegoś zadania. - Jeszcze dziś porozmawiam z doktorem, Wasza Wysokość.

Lord Rhoone skłonił się dwukrotnie, lokaj otworzył na chwilę drzwi, po czym zamknął je łagodnie, zostawiając obie kobiety same.

- Widzę, że sprawa lady Castory i jej dzieci bardzo cię wzburzyła i popsuła humor. -

Gloriana podeszła do przyjaciółki. Też wyglądała na mocno zmęczoną.

Tak sztywna atmosfera, pomyślała Una, tylko nas przygniata. Ciągłe rozglądamy się wkoło napięci do granic możliwości, i ledwie podrażnieni gotowi jesteśmy od razu gryźć. Na dodatek nie mogła zwierzyć się Królowej ze swych niepokojów. Nie potrafiła też skupić się na rozmowie i co chwila popadała w milczenie, które tylko rozbudzało w Glorianie wątpliwości, zaś bujna wyobraźnia skwapliwie je wykorzystywała.

- Tak, pani - odpowiedziała krótko.

- Najlepiej zrobisz wracając do łóżka. Odpocznij trochę. Ja chyba zrobię to samo. W nocy... cóż... - Rozmowa znów zawisła w pół słowa. Obie wiedziały, że Gloriana szukała w nocy zapomnienia. W sercu Uny nie było już współczucia. Lęk związany z zatruciem rodziny lorda Rhoone'a przeminął, ale nadal nie była w stanie dodać odwagi tej, którą spośród ludzi kochała najbardziej. Czuła się winna z tego powodu. Stwierdziła, że lepiej będzie odejść od

razu i nie zarażać Królowej ponurym nastrojem.

- Zrobię tak, pani. Mam nadzieję, że po południu obie dojdziemy do siebie. Wtedy przepytam doktora Dee i poszukam tego zagranicznego filozofa. Przyprawdżę go od razu, o ile tylko będzie to możliwe.

- Może uda nam się namówić go, by zdradził nam jeszcze jakieś inne tajemnice - powiedziała poważnie Gloriana. Ucałowała księżnę i rozstały się.

\* \* \*

Przechodząc przez Salę Audiencyjną, Una stwierdziła z zazdrością, że panuje tam ogólnie radosny nastrój i ledwo powstrzymała się przed ostrzeżeniem wszystkich przed enigmatycznym niebezpieczeństwem, które jej zdaniem zawisło nad dworem. Pałac przypominał jej teraz sadzawkę, pod której spokojną i słoneczną powierzchnią igrały złote rybki nieświadome czyhającego wśród wodorostów na dnie drapieżcy.

Wtajemniczenie roztrzęsionego lorda Rhoone'a byłoby teraz aktem sadyzmu, a Una bała się zwracać do kogokolwiek innego. W tej chwili nie mogła liczyć na niczyje milczenie, a chociaż zwykle uznawała nadmiar tajemnic za bardziej szkodliwy, niż ich naruszenie, tym razem jednak, czyli do chwili odnalezienia mordercy Tallowa i, najpewniej, lady Mary, dyskrecja była nader wskazana. Unie potrzebny był dowód winy owego złoczyńcy i wiedza, jak go podejść, nim na zawsze zniknie w tajemniczych, mrocznych tunelach. Obeszła szeroki łuk Królewskiej Klatki Schodowej, na której dworzanie, a wśród nich sir Amadis Cornfield oraz mistrz Auberon Orme, beztrąsko przepędzali dzień i zeszła niżej, do własnych apartamentów. Przede wszystkim dała wychodne Elizabeth Moffett i wszystkim służącym. Przebrała się w bardziej stosowny strój: pończochy, kaftan, szpada i wysokie buty. W posługiwaniu się bronią (za pas wetknęła jeszcze dwa sztylety) ćwiczyła się w Scaith na równi ze wszystkimi dziewczętami i niejeden raz zabawiała już Królową, występując w pełnej zbroi jako amazonka

podczas letniego turnieju. W tym roku miała zastąpić sir Tancreda w roli rycerza wieśniaczego.

Teraz jednak nieodległa uroczystość mało ją obchodziła. Podeszła do biurka i pomyślała o pozostawieniu wiadomości, ale odłożyła pióro na pustą kartkę papieru i przesunęła krzesło na miejsce, w którym stało podczas pojawienia się Tallowa. Na gobelinie wciąż widoczne były ślady krwi, przynajmniej gdy ich właśnie się szukało. Una wyjęła kratkę i już zamierzała odłożyć ją na łóżko, gdy przypomniała sobie o konieczności zachowania tajemnicy.

Z koszyka (przyniesionego przez opiekunczą Elizabeth Moffett) miauknął kot:

zupełnie, jakby chciał ją ostrzec. Potrząsnęła głową zastanawiając się, jak uniknąć pozostawiania niepotrzebnego śladu. W końcu oderwała od zasłony łóżka długi pas materii i przywiązała jeden koniec do kratki, a drugi owinęła sobie wokół nadgarstka. Potem weszła na krzesło, uchwyciła się krawędzi otworu i zapierając się stopami w gobelin tak mocno, że aż, ku jej niezadowoleniu, częściowo oderwał się od ściany, wdrapała się do środka. Postanowiła zostawić gobelin w takim stanie i poczołgała się dalej, słysząc, jak za nią kratka uderza o ścianę. Wreszcie przejście poszerzyło się na tyle, by umożliwić obrót. Cofnęła się zatem i umocowała kratkę w otworze, luźny koniec sznura obwiązując wokół pręta, który sterczał pomiędzy kamieni. W ten sposób droga jej wniknięcia pomiędzy mury została ukryta bez blokowania drogi powrotu. Przez kilka chwil poruszała się w ciemności, odgadując drogę, którą w nocy pokonał umierający Tallow.

Zapaliła ostrożnie świeczkę: była w wąskim przejściu, dość wysokim, by stanąć prosto.

Pożałowała, że nie wzięła latarki, bowiem świeczka łatwo mogła zdradzić jej obecność.

Przeszła kilka kroków, wyciągnęła szpadę i od razu poczuła się pewniej. Ciężar kawałka stali dawał jej iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa. Z lżejszym sercem doszła do galerii z celami po jednej stronie. Rzeźby nie wydawały się już oryginalne, tylko odrażające. Pokonywała kolejne tunele, przeszła następną galerię, aż długimi schodami dotarła do wielkiej, pustej sali,

przez którą nigdyś zapewne wychodziło się z pałacu. Biorąc ją przez pomyłkę za tę samą salę, do której Jephraim Tallow zaprowadził ją kiedyś z Królową, zeszła do połowy drogi pomiędzy sufitem a podłogą, i wyrzała poza barierkę. Sala była mniejsza, niż z początku jej się to wydawało i wyglądała na nie używaną. Z dołu spoglądały na nią tylko zaciekawione różowe ślepka stojących na tylnych łapkach białych szczurów.

Ruszyła po chwiejnych stopniach z powrotem na górę. Musiała odzyskać orientację.

Rozległy się szmery, które przypisała aktywności gryzoni, potem szept, który równie dobrze mógł być ludzki, ale te same odgłosy towarzyszyły jej także przy poprzednich wyprawach, nie widziała zatem podstaw do niepokoju. Na wszelki wypadek oświetliła jednak wyraźnie ostrze szpady, by potencjalne złośliwe oczy mogły przekonać się, przed ewentualnym atakiem, że nie jest bezbronna. Przy tej okazji zauważyła u góry schodów jasny odblask i serce załomotało jej głośno.

- Ha?

Uniosła świeczkę raz jeszcze. Błysk srebra. Jej głos wracał echem z dołu, jakby to zmiennokształtne upiory ją zwodziły, zamierzając zająć jej miejsce. Znow ciemność.

Przystanęła, zdając sobie sprawę, jak głupim pomysłem była ta cała wyprawa. Powinna wyspać się najpierw i poszukać porady. Przynajmniej u mistrza Wheldrake'a i lady Lyst, którzy mogli przecież pójść razem z nią. Chociaż... Poeta miał zbyt bujną wyobraźnię, a jego towarzyszką była zwykle zbyt pijana, by mogła liczyć na ich pełne zrozumienie. Z drugiej zaś strony nazbyt dociekliwe poszukiwania przyczyn zguby Tallowa mogły i ją doprowadzić do marnego końca. Niemniej postacie, które kiedyś widziała, nie wyglądały groźnie. A jeśli to jednak któryś z nomadów zamordował Tallowa? A jeśli inny, lub ten sam, zabił przedtem lady Mary, przyłapaną zapewne na jakimś niecnym uczynku? Myśli goniły jednavdrugą, utrudniając spokojne rozważenie sytuacji. Po pierwsze, trzymała szpadę, w którą Tallow nie

był uzbrojony. Lady Mary w ogóle nie miała broni. Nomadzi baliby się tknąć dżentelmena z orężem. Z pewnością nie byli odważni, po cóż inaczej kryliby się w podziemiach?

- Co? - Echa zdawały się coraz głośniejsze. Cienie za jej plecami wydawały się gęstnieć.

Una była już w galerii i szła dalej, czując, jak wrażenie czyjejś obecności powoli ustępuje.

Znów była sama i wymyślała sobie za głupotę, skłonność do paniki i dziecięce lęki.

Nagle w blasku świeczki pojawiła się smukła postać w łachmanach, która zakryła dłonią oczy i wycofała się skulona.

- Nie!

Zniknęła. Gdzieś daleko zaskrzypiały deski.

Una poczuła przypływ odwagi. Jeśli to był wróg, znaczy że tutejsi wrogowie są niegroźni. Ignorując drzwi cel, ruszyła na poszukiwanie wielkiej sali.

Przejście wyprowadziło ją na podest kolejnych schodów, które biegły zygzakiem gdzieś w górę, a spomiędzy słupków rokokowej barierki spojrzały na nią zaciekawione, ale nie wrogie twarze, przypominające oblicza skazańców wyglądających zza krat. Twarze te były dziwnie zniekształcone: chociaż o normalnych rysach, zupełnie nie pasowały do zwieńczonych przez nie ciał. Una zrozumiała, że jest obserwowana przez całkiem spore plemię karłów, mężczyzn, kobiety, dzieci i młodzież, którym przeszkodziła w wędrówce pomiędzy piętrami, wszyscy bowiem dźwigali tobołki i zawiniątka. Uspokojona uśmiechnęła się do nich.

- Witam was!

Jej głos powrócił echem nadspodziewanie miłym i wysokim, jak tremolo skrzypiec.

Kilka karłów wykrzywiło się do niej odsłaniając zęby, które rosły w dwóch rzędach. Uśmiech

Uny zgasł na ten widok. Skłoniła się szybko i na wszelki wypadek poszła dalej. Karły, które nie uznały jej widocznie za potencjalną zdobycz, pomrukując i szurając nogami wznowiły wspinaczkę po nie kończących się schodach.

Po paru chwilach dotarło do niej, że karły zachowywały się tak, jakby wyrzucone z dawnych siedzib szukały nowego miejsca osiedlenia. Pomyślała o własnej wizji życia w podziemiach: bytu wypełnionego walką o władzę i terytoria. Przypomniała sobie też jedyne zdanie wypowiedziane przez Tallowa tuż przed samą śmiercią: Zabił mnie. Stawiałem mu opór...

Kolejna komnata miała sufit wymalowany w sceny opisujące przygody Ulissesa. Były to dzieła tak wspaniałe, że Una przystanęła na chwilę, by przyjrzeć się freskom, na ile kurz i mrok pozwalały. Una zdumiała się, nigdy dotąd nie widziała niczego równie pięknego. Oczywiście, ten sposób malowania dawno już wyszedł z mody. W miarę, jak wkoło dobudowywano nowe części pałacu, sztuka minionej ery wywoływała coraz większe zakłopotanie, aż w końcu pogrzebana została niezależnie od wszelkich jej wartości. Księżna pomyślała, że niewielu władców wykazywało zrozumienie dla sztuki. Podobnie jak cała dawna rasa ludzka, byli wulgarni i skłonni do pretensjonalności, zaś wszelkie ich rozrywki (jak pogonie wierzchem i polowania) nie odbiegały poziomem od uciech i zabaw ich poddanych. Reprezentowali w ten sposób ideały pospółstwa o wiele lepiej, niż dowolne ciało rządzące doby republikańskiej. Una nie chciała odchodzić od malowideł, ale nie miała wyboru.

Wybrała wielkie drzwi, za którymi ciągnęły się dziesiątki pokoi: salony i sypialnie, których zetlała i przegniła pościel wyglądała na wciąż używaną. W jednej z nich natknęła się na leżącą w łóżku wychudzoną parę: mężczyznę i kobietę. Spali oboje brudni, w wyściełanych pluszem złotych koronach na głowach. Trochę później musiała ustąpić drogi procesji ostro wypachnionych dam i lordów, którzy kuśtykali podtrzymywani przez drobne dłonie ślepych dzieci. Nie usiłowała ich ani zatrzymać, ani pytać o drogę, czekała tylko, aż przesuną się przed jej oczami niczym pochód duchów dawnych władców Albionu, nadal rządzących swym dworem zagrzebywanym pod kolejnymi warstwami kamienia i cegieł. Niemniej z pewnością

nie były to duchy, tylko zwykli śmiertelnicy poprzedzani przez zastarzały smród brudnych ciał. Księżna Scaith wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała poradzić się kogoś, jak dalej iść, w przeciwnym razie zgubi się w podziemiach na resztę życia i przyłączy do tych nieszczęsnych stworzeń. Wróciła na wąskie i kręte schody, które wydawały się jej dziwnie bezpieczne dzięki swojej długości. Nie zwracając uwagi na drzwi, zeszła na sam dół i już miała wybrać dalszą drogę, gdy jej stopa natknęła się na coś miękkiego. Pochyliła się, oczekując widoku kolejnego ciała, ale ujrzała tylko spoglądające na nią i mrugające w zwolnionym tempie obce ślepia wielkiego gada, któremu wyraźnie nie podobało się światło. Zwierzę rozwarło długą i szkarłatną paszczkę, syknęło i poszło swoją drogą. Poruszało się ciężko i z dużą pewnością siebie, zupełnie jakby wiedziało, dokąd zmierza. Una postanowiła podążyć za stworzeniem, niczym zgubiony podróżnik za wiernym psem, ale gad zniknął w tunelu zbyt wąskim i niskim, by człowiek mógł nadążyć za nim spokojnie, a Una wolała nie ryzykować spotkania całego stada podobnych bestii. Gdy odwróciła się, szukając jakichś drzwi, ujrzała dziewczynę ubraną w proste i czyste suknie wieśniaczki, która stała nieruchomo i zdumiona wpatrywała się w księżną.

Na tle dotąd napotkanych mieszkańców podziemi normalnie ubrana dziewczyna wyglądała jak osoba niespełna rozumu.

- Sir? Czy przybyłeś mi pomóc?

- Pomóc ci? - Una zawahała się. - Potrzebujesz wsparcia?

- Tak. - Dziewczyna opuściła wzrok. - Miałam nadzieję... Ale w całym tym przerażającym pałacu nie ma nikogo, kto miałby dość odwagi...

- Pomogę ci, jeśli to będzie możliwe. - Una podeszła do niej, by lepiej przyjrzeć się twarzy i upewnić się, że postać jest realna. - Ale i ty musisz mi pomóc. Jak się tu znalazłaś?

- Mój ojciec mnie tu przyprowadził, sir. Uciekał wierzycielom. Myślał, że tu będzie



bezpieczny. Od swego dziadka słyszał o wejściu do podziemi - dziewczyna zaczęła płakać

cicho. - Och, sir. Pewnie z rok już tu siedzę!

- A gdzie twój ojciec?

- Nie żyje. Zabity przez niesławnych lordów Eviusa i Picusa D'Amville.

- Stronników Herna? To oni żyją?

- Starzy są, sir, ale przetrwali tu zaprowadzając porządek, który poznali na dworze.

- Montfallcon wysłał ich do Lidii na wojnę. Obaj zginęli z rąk najemników.

- Nie zginęli. Po śmierci Herna wrócili potajemnie i od tamtej pory chronią się w podziemiach - głos dziewczyny załamał się. - Mają posłusznych sobie ludzi. Niewielu, ale bardzo krwiożerczych. Rządzą wielkim obszarem.

- Jesteśmy na ich terytorium?

- Nie, sir. To było kiedyś królestwo innego pogardzonego rycerza. Zginał niedawno.

- Wiele wiesz o tym, co dzieje się w murach pałacu. Jeśli pomogę ci uciec, to czy będziesz moją informatorką?

- Z ochotą, sir.

- Gdzieś tu jest wielka sala, chyba w pobliżu, ale nie mogę jej znaleźć. Biwakuje tam sporo rodzin. Wiesz, gdzie to jest?

- Chyba tak, sir.

- Słyszałaś o Jephraimie Tallowie?

- Oczywiście, sir. Jest panem samego siebie. Był dla mnie miły.

- No właśnie, Tallow tam mieszkał. Przynajmniej tak sędzę.

- To już wiem, o którą salę chodzi, sir. - Dziewczyna ujęła Unę za rękę. - Chodź. Znam bezpieczną drogę.

- Stamtąd trafię już do wyjścia. - Una uznała, że dość będzie na ten raz, jeśli uratuje tę

dziewczynę i wróci bezpiecznie do siebie. Poza tym pozyskała kogoś, kto poświadczy przed Królową, na jakie to osobliwe zjawiska trafić można w podziemiach. To powinno wystarczyć, by zarządzono ekspedycję, która aresztuje tyranów i uwolni ciemionych. Nadal jednak Una zdawała sobie sprawę z niewiarygodności całego zjawiska. Czy Gloriana uzna podobną ekspedycję za konieczną? Zapewne jej rodzina od pokoleń akceptowała istnienie tego mikrokosmosu, a mieszkańców murów traktowała jako ofiary składane martwym przodkom, którzy wzniesli podwaliny pałacu, jak dworzani usługujących duchom dziesiątków królów. Dziewczyna pewnie prowadziła Unę przez kręte korytarze, aż w końcu przystanęła przed drzwiami, zagryzła wargi i spojrzała pytająco na swego wybawiciela.

- To chyba tutaj, sir.

Una ostrożnie uchyliła drzwi. Skrzypnęły, a w szparze pojawił się znajomy odblask ognia. Otworzyła je na parę stóp i rozpoznała widzianą już kiedyś salę. Teraz jednak pomieszczenie wyglądało zupełnie inaczej. Na samym środku wzniesiono podwyższenie z płyt granitu i marmuru wydartych najpewniej ze ścian, bowiem na niektórych widniały jeszcze podniszczone płaskorzeźby. Na szczyt prowadziły nieregularne stopnie, tam zaś stał barbarzyński tron z kości słoniowej, bez wątpienia przywieziony niegdyś z Indii Zachodnich, cały rzeźbiony w sceny bitewne i zaloty miłosne. Na tronie rozparła się postać o twarzy skrytej pod kapturem, dłońmi ginącymi w szerokich rękawach i stopach niewidocznych pod długą szatą. Na kapturze lśniła spiczasta korona ze stali, zdobiona diamentami i szmaragdami: wojenna korona, jedna z tych, które mogli zakładać na bitwę przodkowie Gloriany. Zamiast nomadów salę wypełniał hałaśliwy dum łachmaniastych elegantów i niesamowitych, umalowanych jak dziwki kobiet. Wszyscy oni, ze złotymi i srebrnymi tackami w dłoniach, wpatrywali się w zakapturzonego monarchę, który mógł być samą Śmiercią lub kimś, kto posiadał równą jej władzę. Groteskowi dworzanie w brudnych ubraniach, które zdarte zostały

zapewne z dawno pochowanych trupów, sami wyglądali jak gromada zwłok ożywionych przez władcę na kościanym tronie.

- Czy to czary?

- Tego miejsca szukałeś, sir? - spytała dziewczyna głosem niewinnym i o wiele za głośnym, jak na pragnienia Uny. - Czy tu jesteśmy bezpieczni?

- Trochę się tu zmieniło. - Una stanęła pomiędzy dziewczyną a zgromadzeniem, które ucichło i spoglądało na przybyszów.

Zakapturzoną postać uniosła ramię, najwyraźniej wzywając je do siebie.

- Z kim mam honor? - spytała Una nie ruszając się z miejsca. Strach powrócił.

Nagle dziewczyna pobiegła ku tronowi. Tłum rozwarł się przed nią, i już była na stopniach, już klękała u stóp władcy i łasiła się doń jak do opiekuna. Una napała na drzwi, którymi weszła, ale nawet nie drgnęły.

- Zostałam zwiedziona zatem? Czarownica urokiem mnie opętała, co? - odezwała się

Una ze straceńczą ironią. - Kim wszyscy jesteście?

Postać na tronie znów skinęła dłonią i tłum zaczął zbliżać się do Uny. Wysunęła w ich kierunku szpadę, a oni w odpowiedzi pokazali pordzewiałe ostrza. Okryte wrzodami dłonie sięgnęły po nią, twarze pełne zaropiałych strupów wpatrywały się w nią chciwie. Cięła szpadą trafiając w czyjś nadgarstek. Nóż upadł na ziemię. Pchnęła. Jej jedyna broń została zablokowana przez tuzin szpad i brudne dłonie opadły na nią, sięgając szponiastymi palcami w każdy zakamarek jej ciała. Wrywała się, krzyczała, usiłowała się uwolnić. Za plecami napastników zauważyła zakapturzoną postać głaszczącą po głowie judaszowego kozła, dziewczynę, która kuliła się przy tronie wpatrując się na wpół przerażonym, na wpół triumfującym wzrokiem jak rzemienie i pasma materii krępują Unę coraz ciaśniej, jak pod ścianą ląduje jej odrzucona szpada, jak tłum bierze ją na ramiona.

Roztrzęsiona i miotająca niewyraźne pogroźki Una została przyniesiona bliżej tronu i niemal łagodnie złożona na najniższym stopniu. Umilkła oślepią blaskiem.

Postać wstała i, nadal skrywając ciało, spojrzała na więźnia.

- Wspaniała robota - przemówiła do dziewczyny. - Nie ma wątpliwości, to ona.

Una przytrzymała spojrzenie opanowując powoli strach.

- Oczekiwałeś mnie?

- Mieliśmy nadzieję, pani, że przybędziesz. Jesteś księżną Scaith, najbliższą przyjaciółką Królowej. Ciemna Una, oszukańcza prawda...

- Prawda jest jak lustrzane odbicie, sir. Zawsze spogląda na nas. - Una przestała mocować się z więzami i całkiem się już uspokoiła.

Władca podziemi zdawał się rozbawiony odpowiedzią.

- Najlepsza spośród nich wszystkich. Więcej warta nawet niż sam Montfallcon. Oto przeciwnik, którego należy się bać. No cóż, pani, przewidzieliśmy tu zadanie dla ciebie. Może mało ambitne, ale zawsze. Zajmiesz się pewnym starszym panem, aby siedział cicho. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko szaleńcom?

- Co?

Pytanie władcy było jednak czysto retoryczne. Dał znak poddanym, którzy dźwignęli ją i ponieśli przez cienie sali i krótki korytarz. Odsunęli sztaby blokujące drzwi, zza których dobiegł się odór zaniedbanego do granic możliwości ludzkiego ciała. Usłyszała najpierw pisk, potem krzyk i szczęk żelaza. Tłum roześmiał się i cisnął ją do środka, na zbutwiały kłęb szmat.

- No, staruszkule! Masz wszystko, czego ci trzeba, i siedź cicho! To kobieta! Cała dla ciebie!

Drzwi zatrzasnęły się, klucz zgrzytnął w zamku i Una wsłuchiwała się w dochodzące z ciemności nieludzkie odgłosy wydawane przez stworzenie, które brnęło w jej kierunku po

przegniętej słomie.

## **ROZDZIAŁ 22**

**W KTÓRYM ROZKWITAJĄ WAŚNIE I MNOŻĄ SIĘ ZAGADKI, A LORD MONTFALLCON WIDZI KRES SWYCH ZWYCIĘSTW**

- Tak czy inaczej - lord Montfallcon upierał się przy swoim - ta uroczystość jest konieczna i Królowa musi wyruszyć w coroczny objazd. Nigdy nie był bardziej potrzebny. Podobne ceremonie, sir Amadisie, to nie jest bezsensowny rytuał. Mają upewnić ludzi o majestacie i miłosierdziu Gloriany, przypomnieć im, że Królowa istnieje naprawdę. I tak już w stolicy pojawiły się plotki, które z wolna docierają do najdalszych zakątków kraju i rozchodzą się po świecie. Jeśli Królowa się nie pojawi, wówczas plotki upasą się jak muchy na gnoju i zarażą całe Królestwo mnogością innych chorób, osłabiając nas z każdej strony. Znieśliśmy władzę Miecza zastępując ją rządami Sprawiedliwości, a jej symbolem jest właśnie Królowa. Umocniliśmy nasze prowincje, całe światowe imperium, nie poprzez żołnierzy, ale dzięki filozofii uosobionej w postaci Gloriany. Na Mitrę! Nasz własny los zależy od niej i od tego, jak ona postępuje.

Sir Amadis Cornfield czuł się nieswojo w dusznych i jak zwykle przegrzanych, nie wietrzonych komnatach Montfallcona. Miał wrażenie, że można tu odnaleźć każdą istniejącą chorobę, nie chciał jednak wychodzić nie przekonawszy Lorda Kanclerza.

- Królowa pogrążona jest w żałobie - powiedział. - Tyle strasznych rzeczy zdarzyło się ostatnio. Jej najbliższa przyjaciółka została zapewne zamordowana...

- Nikt nie jest jej wrogiem. - Montfallcon skrzywił się z zadowoleniem. - Księżna Scaith wywierała niekorzystny wpływ na sprawy bezpieczeństwa dworu i Królestwa. Oczywiście, że uknuła spisek z sir Tancredem, mający na celu zamordowanie lady Mary. Zabiła sk Thomasa Perrotta we własnej sypialni. Znalaziono ślady krwi na podłodze, łóżku, gobelinie, praktycznie

wszędzie. Niewątpliwie niedługo znajdziemy ciało sir Thomasa.

- To tylko plotki, mój panie. - Sir Amadis był wstrząśnięty.

- No to czemu księżna opuściła cichaczem pałac?

- A może też stała się ofiarą?

- To nie jest osoba, która łatwo staje się czyjąkolwiek ofiarą.

- Nie wiedziałem, mój panie, że ofiary wybierane są ze względu na ich temperament.

- Twoja wiedza, sir, nie jest poparta moim doświadczeniem.

- Tak czy inaczej, Królowa pogrążona jest w żalu i szaleje z niepokoju.

- Obowiązki publiczne przyniosą jej ukojenie.

- A kto zastąpi księżnę podczas turajeju? Najpierw zniknął Tancred, teraz ona. Czy jakieś fatum ciąży nad rolą rycerza Królowej?

- Lord Rhoone zgodził się go zagrać.

- A zatem miejmy nadzieję, że przetrwa do dnia święta. - Amadis spojrział na zegarek z brązu i polerowanego drewna, który wisiał nad kominkiem. Wskazówki zbliżały się do południa; nie było czasu na dalsze jałowe rozważania. - Powiedziałem tylko, co o tym myślę...

- A ja wysłuchałem.

- Można by ogłosić, że Królowa jest chora...

- I pogorszyć sprawę? Od wielu lat sprawuję funkcję sternika tego okrętu i wiem, co jest dobre dla Albionu. Znam mapę prądów i potężnych pływów ludzkiej woli. Znam płycizny i rafy, wiem wszystko o ładunku, który wiozę. Potrafię powiedzieć, kiedy należy opróżnić ładownie, a kiedy powinny być pełne. Oto, czemu Królowa polega na mojej umiejętności osądu. Oto dlaczego robi to, co jej proponuję. Glorianie nie wolno okazać własnej słabości. ani uważać się za słabą, szczególnie teraz! Podczas turnieju każdy, co bardziej znamienity szlachcic, będzie obserwował ją szczególnie uważnie, a wszelkie informacje o jej zdrowiu i

nastroju błyskawicznie pójda w świat.

Sir Amadis wzruszył ramionami i ledwie skinąwszy głową, opuścił komnatę.

Szybko przeszedł do nie używanego pokoju za Salą Tronową, gdzie zgodziła się spotkać z nim jego psotna dziewczka, dziewiczość niewinna, która dziś wreszcie miała oddać mu się bez reszty. To postanowienie było wynikiem decyzji podjętej przez jej strażnika i opiekuna, który współczuł ogarniętemu żalem i udręczonemu sk Amadisowi. Poinformował zatem dziewczynę, że w jej interesie będzie służyć jak najuprzejmiej kanclerzowi Królowej.

Sir Amadis żywił ciepłe uczucia wdzięczności do tego miłego dżentelmena, który przejął się jego obolałym sercem i cierpieniem ciała, ponadto zaś rósł w nim triumf zwycięstwa nad rywalem. Lord Gorius mógł oczekiwać teraz najpewniej tylko odrzucenia.

Gdy dotarł do opustoszałego niemal Wschodniego Skrzydła, natknął się niespodziewanie na odzianego w kwietne żółcie i zielenie mistrza Florestana Wallisa, pogrążonego w rozmowie z kimś, kogo Sir Amadis wziął za dziewczkę kuchenną. Mistrz Wallis z niejakim lękiem rozejrzał się wkoło, po czym przybrał prowokującą pozę i odwrócił się tyłem do dziewczyny.

- Sir Amadis!

- Dzień dobry, mistrzu Wallisie. - Cornfield ze wszelkich sił starał się nie zwracać uwagi na dziewczynę, ale był rozbawiony, ponieważ zawsze dotąd uważał sekretarza za istotę aseksualną i z zapałem praktykującą celibat. Widok zakłopotanego i napuszonego Wallisa tylko wzmagał jego wesołość, pozbawioną jednak złościwości. Cieszył się raczej, że oto ma towarzysza do konspiracji.

Zostawił ich pogrążonych w przyciszonej rozmowie i tylko przez chwilę w jego głowie zagościło mgliste podejrzenie, że zapewne istnieje jakiś związek pomiędzy cynaderkami a kuchnią.

Lord Montfallcon spojrział ostro spod ciężkich brwi, a Tinkler, drapiący się zawzięcie po głowie, będącej wylęgarnią wszelkiego zaprzyjaźnionego z człowiekiem robactwa, złączył stopy, odchrząknął, potarł nos, po czym usiadł.

Lord Kanclerz raz jeszcze przeczytał trzymaną w ręku listę. Tinkler czekał cierpliwie, ale pora była pozwolić mu mówić. Montfallcon wiedział, że z im większą gorliwością łotrzyk zacznie przekazywać informacje, tym mniej zdoła je ubarwić bezsensownymi interpretacjami.

- Ani śladu Quire'a? - To pytanie tradycyjnie już zaczynało ich rozmowy.

- Z pewnością nie żyje, sir. - Tinkler rozłożył bezradnie ręce. - Nie tylko ja go szukam.

Minęło już sześć miesięcy. Musimy dać sobie z nim spokój.

- Kto jeszcze się nim interesuje?

- Ojcowie, którym popsuł synów i córki. Porwał lub zabił. Kto by to pamiętał?

- Jakie nastroje w mieście?

- Prawie wszyscy zapomnieli już o kapitanie.

- Głupcze, pytam o Królową.

- Kochana jak zawsze, mój panie. Szanowana.

- Plotki?

- Bez znaczenia.

- Tak? - Montfallcon uniósł sceptycznie brwi.

- Nie... - zająknął się Tinkler. - Nie warto...

- Mów, Tinkler!

- Chodzą słuchy o kilku morderstwach, o powrocie dworu do czasów Herna, o Królowej ogarniętej szaleństwem na skutek jej...

- Jej niezaspokojonej żądz?



- Można tak powiedzieć...

- Co jeszcze?

- Że sir Thomas Perrott został przez ciebie, mój panie, uwięziony i poddany torturom. Że cała rodzina lady Mary została wygnana z dworu i planuje rebelię. I że faworyci Królowej gwałcą każdą dziewczynę wartą uwagi.

- Plotki godne Quire'a - lord Montfallcon parsknął upiornym śmiechem. - W rzeczy samej, wracają dawne dni. Jakie sposoby naprawy proponuje pospólstwo?

- Każdy inne, sir. - Tinkler zorientował się wreszcie, jakie wiadomości są najbardziej pożądane, i żwawo rozwijał temat.

- Ogólnie panuje powszechne przekonanie, że Jej Wysokość powinna wyjść za mąż, mój panie. Za jakiegoś silnego mężczyznę. Takiego, jak wasza lordowska mość, mówią.

- Chcą, żebym to ja się ożenił z Glorianą?

- Nie, sir. No, niektórzy...

- Nie ufają mi?

Tinkler poczerwieniał.

- Uważają cię, panie, za zbyt ponurego, i za starego.

- To kto?

- Kto uderza w konkury, mój panie?

- Kogo lud chciałby widzieć jako męża Królowej?

- Króla, sir.

- Króla Polski?

- Nie, sir, bo uważa się go za nie dość męskiego dla tak zdecydowanej kobiety. Wielu sugeruje Saracena, który wzbudził zimą wielki podziw. Był przystojny, młody i rycerski, akurat na pretendenta.

- Czemu niby? Przecież nie prowadzimy wojny.

- Przekazałem tylko, co śpiewają na ulicach, co piszą w ulotkach. Przyniosłem ci kilka, mój panie. Wszystkie o tym samym. O wojnie domowej. O zbrojnym konflikcie z Arabią lub Tataria.

- A zatem myśl o wojnie nie ginie, zawsze wraca, zawsze kusi-mruknął Montfallcon. -  
To trzeba zmienić.

- Błagam o wybaczenie, ale nie słyszałem cię, mój panie.

Montfallcon przyjrzał się Tinklerowi.

- A zatem Królowa ma poślubić Wielkiego Kalifa, który będzie jej panem i poprowadzi Albion do wiktorii...

- Wielu sympatyzuje z rodziną Perrottów, sir. Morderstwo lady Mary rozpałiło ich wyobraźnię.

- Takie wydarzenia zawsze wywierają podobny skutek. Wszystko, co trzeba, podane jak na tacy. I niewinność, i zguba niewinności!

- Ludzie wierzą, że rodzina Perrottów wywoła powstanie, sir, i że wielu się do nich przyłączy. Myślą, że krewni zamordowanej wesprą Królową i pomogą jej oczyścić pałac z... -

Tinkler znów się zająknął.

- Ze starych sług Herna?

- Tak, mój panie.

- Zatem Królowa jest dobra, tylko jej słudzy źli?

- Zgadza się, mój panie.

- I jest za słaba, by rządzić samodzielnie?

- Prawie dokładnie tak, milordzie.

Montfallcon opuścił głowę i potakując powoli przesunął palcem po wargach.

- Obawiają się, że słaba Królowa oznacza niedołączny Albion.
- Mówi się raczej o kobiecie, która ma sika wolę, ale złych doradców. - Tinkler poprawił ściśnięty pod pachą aksamitny kapelusz. - To nie jest powszechna opinia. Niektórzy się z nią nie zgadzają.
- Ale lud popada powoli w zwątpienie?
- Nie aż tak. Za parę dni zapomni już o wszystkim, poza morderstwami. Jeśli nie będzie ich więcej, ale doszły mnie słuchy...
- Nic więcej się nie wydarzyło.
- Księżna Scaith uciekła, jak słyszałem, po próbie otrucia lorda Rhoone'a i zabiciu jego dzieci.

Lord Montfallcon machnął niecierpliwie dłonią.

- Nonsens. Wyjechała z całkiem innych powodów.
- Niektórzy mówią, że więzisz ją, panie, w Wieży Brana. Razem z sir Tancredem. Ten biedak też był bardzo popularny.
- A ja nigdy - uśmiechnął się lord Montfallcon. Jak prosto lud dzieli wszystkich na bohaterów i łotrów. - Zresztą, do czasu morderstwa było to nawet dobre. Gdybym tylko miał Quire'a. Pięknie opowiadał. Bardzo przekonująco. Teraz to twoje zadanie, Tinkler. Musisz powtarzać, że Królowa jest silna i nosi się z zamiarem udzielenia mi dymisji, że prawie się już kończę, zdrowie mi szwankuje tak jak lordowi Ingleboroughowi...

Zdumiony Tinkler otworzył szeroko oczy.

- Nie może być, mój panie.

Montfallcon rzucił mu złoto.

- Możesz być pewny zapłaty, Tinkler. Powiedz im, że jak zwykle będą mogli za tydzień obserwować z murów i dachów turniej, i Królowa pojawi się na uroczystości, a wkrótce potem

wyruszy na doroczny objazd królestwa. Mów też, że sir Thomas Perrott został niemal na pewno zamordowany przez księżną Scaith, która rzeczywiście uciekła z Albionu, i że gdy tylko rodzina Perrottów dowie się o tym, znów będzie lojalna i posłuszna. Nie powiemy jednak nic na temat małżeństwa Królowej, ponieważ głupotą byłoby przedwczesne wykorzystywanie najlepszego sposobu na wygaszenie plotek. Najpierw zdecydujemy, którzy zalotnicy warci są uwagi...

- To Królowa otrzymuje jakieś propozycje, mój panie?

- Tyle możesz powiedzieć.

- Sądzę, że to uraduje lud - stwierdził przytomnie Tinkler.

- Tak, niewykluczone. - Lord Montfallcon podłubał w zębach końcem pióra. - Możesz iść, Tinkler.

Człowiek, będący jedynie namiastką Quire'a, wymknął się cichcem, a lord Montfallcon pociągnął za linę dzwonka wzywając Patcha, który zjawił się w zielonych aksamitach, zdjął czapkę i skłonił się nisko.

- Mój pan czeka, sir. Jest z nim sir Thomas Ffynne.

- Poproś, niech wejdą.

Patch skinął ręką i odstąpił na bok, a lokaje wnieśli powoli na ramionach lektykę z osłabionym bólem lordem Ingleboroughem. Lewą rękę przyciskał do słabnącego serca.

Zakołysał się, opuszczany na podłogę, i wyciągnął ściśniętą dłoń w kierunku Patcha, który podbiegł natychmiast. Miłość łączyła ich niby ojca i syna, niby męża i żonę, i nawet

Montfallcon nie pozostał obojętny wobec tego gestu. Ingleborough był do tego stopnia

przeżarty nowotworem, że mało który mięsień nie płonął bólem, ale jego mózg i jasna myśl

pozostały nietknięte, przynajmniej jak długo nie próbował pomóc sobie alkoholem lub różnymi

oparami. Za nim pojawił się kuśtykający sir Thomas Ffynne z poważną twarzą, w ciemnych

aksamitach i czarnym płótnie. Patch zamknął drzwi za wychodzącymi lokajami i na polecenie Montfallcona przekręcił klucz w zamku. Lord Kanclerz westchnął i gestem zaproponował sir Thomasowi krzesło. Ten usiadł, uwalniając sztuczną nogę od ciężaru ciała.

- Gorąco - powiedział, masując kikut. - Zupełnie jak w Indiach.

- I po co się w to wplątałeś, Tom? - wymamrotał Ingleborough. - Sporej dyplomacji wymagało zwrócenie ci wolności! Ciężko jest uprawiać politykę z Maurami i Neptun jeden wie, czemu! Są ambitni...

- Tego nie możemy być pewni - powiedział lord Montfallcon.

- Wszystko to pachnie mi wojną - skrzywił się Ingleborough zbyt mocno ścisnąwszy dłoń. Patch pogładził skurczone węzły palców. - Nigdy od czasów Herna nie byliśmy bliżej wojny. Jak temu zaradzić, Perlonie?

- Królowa musi wyjść za mąż.

- Ale ona nie chce.

- Musi!

- Ale nie chce - roześmiał się lord Ingleborough. - Bogowie! Jest gorsza niż Hern, bo jej nie można ani oszukać, ani zagadać. Za dobrze nas zna. Przywykła do naszych szeptów i sztuczek już od wczesnego dzieciństwa.

- Ale poza tym kocha nas i wysłucha naszych rad - stwierdził poważnie Montfallcon. -

A co byś powiedział, Tom, na temat rywalizacji pomiędzy Arabią a Polską?

- Napięcie narasta od Nowego Roku. - Twarz pojaśniała żeglarzowi, gdy mógł wreszcie przekazać nowości. - Kazimierz i Hassan wyjechali stąd jako przysięgli rywale i każdy rozmyślał, jak to śmierć przeciwnika otworzyłaby mu drogę do Królowej. Stara sprawa, tej drugiej strony konkurenci nigdy nie pytają o zdanie tylko hodują iluzję, na ile fakty pozwolą, a im ich mniej, tym bujniejsza wyobraźnia. Im mniejsze zainteresowanie wykazuje sam obiekt,

tym więcej zalotników pewnych jest, że to ich właśnie dama wybierze, jeśli tylko znikną pozostali.

- Dobrze to znamy - powiedział Montfallcon. Niecierpliwy z natury zaczynał tracić z wolna opanowanie. - Ale jak konkretnie wygląda ta rywalizacja...?

- Planowany jest pojedynek pomiędzy Polakiem a Arabem.

- Nie! - Montfallcon nie dowierzał.

- Słyszałem o tym od emira Babilonu, który jest blisko z Kalifem.

- Gdzie będą walczyć?

- Na tureckim statku, zakotwiczonym na samym środku Morza Śródziemnego.

- Na szpady?

- Na wszelką broń rycerską.

- Konno? Nie może być!

- Tak słyszałem. To wielki statek i areną walki będzie cały górny pokład. Lance, miecze, szpady, maczugi i tak dalej.

- Do śmierci?

- Lub pierwszej krwi.

- Ale czy któryś z nich może w tym zginąć? Jak sądzisz, Tom?

- Tak.

- A zatem grozi nam jeszcze wojna pomiędzy Arabią, którą chronimy, a Polską, naszym najlepszym przyjacielem.- Montfallcon zasępił się i usadowiony głęboko w fotelu spojrzał na przyjaciół przygryzając wargę.

- Królowa powinna wybrać jednego z nich. To by ich powstrzymało. Ale którego? -

Lord Montfallcon wyprostował się. - Polaka nasz lud nie będzie szanował, Arab nie da nam następcy. Którego zatem?

Tom Ffynne przesunął palcem po nosie.

- Araba. Jest wielu, którzy mogą zostać uznani za jego spadkobierców.

- Jeszcze trochę - nadal krakał Montfallcon - a zaczną się procesje kandydatów na mężów dziewięciu córek Królowej. Pomyśleliście kiedyś o tym, panowie? Wiecie, co to oznacza?

- Będą chcieli korony?

- Zapewne.

- Nie jest aż tak źle - stwierdził Tom Ffynne.

- Aż tak, nie. Przez trzynaście lat stworzyliśmy nowy Wiek Złoty. To nigdy nie trwa długo, ale jeszcze mniej czasu potrzeba, by terror powrócił. Gloriana powinna poślubić Araba. Hassan jest zresztą obywatelem Albionu. Są też precedensy z czasów rzymskich, nawet greckich.

- Wynikną z tego dalsze kłopoty. Saracen tylko czeka na naszą zgodę, by rozpocząć wojnę z Tatarią. Królowa wie o tym i dlatego, między innymi, nie chciała poślubić Hassana. Obawia się, że zbyt wiele władzy znalazłoby się w rękach człowieka nazbyt podobnego do Herna. - Głos lorda Ingleborougha zadrżał przy kolejnym ataku bólu.

- Będziemy musieli dobrze go pilnować - powiedział Montfallcon.

- Na dworze pojawią się Saraceni, którzy roztoczą dyskretną opiekę nad Królową i nad nami - stwierdził Tom Ffynne. - Obawiam się, że nijak nie będziemy w stanie kontrolować poczynań Hassana.

- Można ustalić, że zostanie tylko jej małżonkiem, a nie królem.

- Ustalić można - powiedział Ingleborough. - Ale w praktyce...? Jego ambicją jest wykorzystanie Albionu przeciwko Imperium Tatarskiemu. Wszyscy o tym wiedzą. A skoro tylko pójdzie w świat informacja o małżeństwie, wówczas możemy być pewni, że Tataria

pierwsza, nie czekając, zaatakuj Arabię. Najlepiej będzie zostać z samą Królową lub znaleźć jej małżonka gdzieś bliżej i zrobić to w taki sposób, aby ukreślić łeb sprawie wojny. Albion widywał już większe zagrożenia.

- Wojna zniszczyłaby wszystko, co osiągnęliśmy - powiedział Montfallcon i jęknął. -

Jak do tego doszło? W ciągu kilku miesięcy pojawiły się groźby na zewnątrz i wewnątrz państwa! A przecież utrzymywałem wszystko w doskonałej równowadze. Jak mogłem stracić nad tym kontrolę?

- Ta cała historia zaczęła się od zamordowania lady Mary - powiedział Ingleborough. - I rozprzężenia, które zapanowało pomiędzy nami.

- Jedno morderstwo? Niemożliwe!

- Może Polak dowiedział się o całym spisku i porwaniu? - wtrącił Ffynne. - Jeśli tak...

- Musiałby to sprawdzić, a nie ma już nikogo, komu mógłby zawierzyć. Główny porywacz nie żyje.

- Zabiłeś go? - Lord Ingleborough poruszył się na krześle.

- Nie ja. To sprawa Arabii.

- Czemu?

Montfallcon wzruszył ramionami.

- Przecenił swoje talenty szpiegowskie.

- W twojej służbie?

- Nie, Albionu.

- No i proszę! - wybuchnął lord Ingleborough, oblewając się potem. - A ostrzegałem, że jeśli będziesz stosował stare metody, to i rezultaty będą podobne dawnym.

Montfallcon potrząsnął głową.

- To nie może mieć wiele wspólnego ze śmiercią lady Mary i sprawą Perrottów.



Zapomnijmy o tym. Jeśli zaatakują Arabię...

- To zdobędą sporą popularność - dokończył Tom Ffynne.

- Nie będziemy zdolni ich wesprzeć - skrzywił się Lord Admirał. - A zresztą, nie możemy tego zrobić.

- A jeśli ich powstrzymamy, połowa szlachty Albionu zwróci się przeciwko nam.

Podobnie lud. Dojdzie wtedy do czegoś w rodzaju powstania. Niewielkiego zapewne. Ale kto wie? Jedno prowadzi do drugiego...

Ból wykrzywający twarz Ingleborougha udzielił się jakby Montfallconowi, który raz jeszcze ujrzał w trakcie tej rozmowy, jak rozwiewa się jego wielki sen. Wstał.

- Musi być jakiś sposób, aby ocalić to wszystko, ku czemu dążyliśmy, uratować dobro, które już zaistniało!

- Ale nie starymi metodami. - Lord Ingleborough przyciągnął Patcha do siebie, jakby chciał zasłonić się przed gniewem Montfallcona. - W służbie Herna nabraliśmy złych

nawyków, nawet wtedy, gdy działaliśmy przeciwko niemu. Nic nie możesz na to poradzić,

Perionie. Nadal sięgasz po narzędzia spisku i terroru. Zmodyfikowane zapewne, ale nadal te same. Działasz według utartych schematów...

- By chronić Królową i Albion! - Montfallcon nie podniósł głosu, ale i tak zabrzmiało to

jak napełniający lękiem krzyk. - By chronić niewinność dziewczyny, której życia wszyscy trzej

strzeegliśmy niegdyś przed okrucieństwem i fanaberiami jej ojca! Całym sercem oddałem się

temu zadaniu. Podobnie jak wy. Nie mogę zgodzić się z tobą, Lisuarte, że moje działania były w jakikolwiek sposób chybione.

- Ani niemoralne? - spytał cicho Ingleborough przez zaciśnięte zęby. Ból narastał, dłoń coraz mocniej przyciskała się do piersi.

- Chroniłem Albion i wszystko, co go reprezentuje, posługując się moralnością

najwyższej próby. Świat nie jest doskonały, musiałem uciekać się do stosownej taktyki postępowania... Nigdy jednak nie wystawiłem na szwank dobrego imienia Królowej. Nic na niej nie ciąży...

- Rozlewanie krwi Albionu jest zbrodnią w imieniu Królowej - westchnął Ingleborough, opuszczając głowę na piersi.

- Nie jest dobrze. - Tom Ffynne wstał. - Jeśli i my zaczniemy się kłócić, to wszystko, co osiągnęliśmy, z pewnością przepadnie.

- Działamy zawsze dopiero wtedy - ciągnął Montfallcon - gdy Królowa i tym samym Królestwo jest zagrożone. Zapewne wielu zginęło nie za zbrodnie, ale za głupotę, którą mogli zarazić Królową, najczęściej bezwiednie zresztą. Ona nigdy o niczym nie wiedziała. Nie zdarzyło się, by kiedykolwiek Albion był w coś zamieszany.

- Boję się, że zaraz powiesz - jęknął Ingleborough, - że to ty zabiłeś księżną i innych.

- Una wywierała niedobry wpływ na Glorianę. Jej sugestie odciągały naszą drogą władczynię od obowiązków. A Królowa to Albion, a Albion oznacza pewne powinności.

- To były przyjaciółki! - wykrzyknął Tom Ffynne. - Nic nadto! Zaczynacie popadać w skrajności, a to jest niebezpieczne! Trzymajmy się może środka. Pamiętajcie, naszym zadaniem jest pilnować równowagi. Zawsze to zgodnie powtarzaliśmy. Powinieneś teraz odpocząć, Lisuarte, ból cię zabija. Sam porozmawiam z Perlone. Przemawiasz jak poeta, który upoił się swoją twórczością i gotów jest zawierzyć jej w ocenie całego świata.

Montfallcon usiadł za biurkiem. Patch pobiegł po lokajów, by wynieśli jego pana. Tom Ffynne stanął obok zimnego kominka i wsłuchał się w tykanie i zgrzytanie ankieru zegara.

Gdy Ingleborougha już nie było, Tom Ffynne spojrzał na przyjaciela.

- Nie może być żadnych więcej zabójstw, Perlone. Jeszcze jedna śmierć, a wszystkie nasze plany wezmą w łeb.

- Nikogo nie zabiłem. Sugestie Ingleborougha nie mają absolutnie żadnych podstaw.
- Nikogo nie oskarżam. - Tom Ffynne przeciągnął się. - Poza tym, niestety, rozumiem ton Lisuarte'a. Też się do tego przyczyniłem. Dałem się ponieść. Mój ostatni wyczyn był wybitną głupotą i nie wypłynę już więcej. Od teraz jestem szczurem lądowym. Mówię po prostu, że dość już tego. Musimy przypilnować, by nie było więcej zabójstw. Waszym zadaniem jest oczyścić atmosferę, Perlonie, i przywrócić rzeczom blask, a Królowej pogodę ducha. Dla wspólnego dobra. Nie uda się tego osiągnąć starymi, krwawymi metodami.
- A jak niby? - Montfallcon najeżył się, lecz nie kwestionował prawdy zawartej w słowach Toma Ffynne. - Żelazo rozlewa krew, ale ono również broni.
- Te same właściwości ma złoto.
- Mamy opłacać nasze bezpieczeństwo? Nigdy w historii to nie skutkowało.
- Złote myśli - roześmiał się pod nosem Tom Ffynne. - Złote sny. Obaj lata życia spędziliśmy w służbie złotego środka.
- Królowa była z nami. Ostatnio przywróciła nam na chwilę nadzieję, już wydawało się, że wszystko jest znów w porządku. Teraz zniknęła, zamordowana najpewniej, księżna Scaith i Królowa się załamała. Uległa nastrojowi i nie chce nikogo widzieć. Książę Korzeniowski prosił o audiencję w ważnych sprawach dotyczących Polski, zapewne chce zapobiec pojedynkowi, bo kocha swego pana. Oubacha Khan rozpowiada wszędzie o tatarskich armiach zbierających się u granic Arabii i rozsiewa plotki usłyszane od jego przyjaciółki, lady Yashi, że lady Lyst i mistrz Wheldrake przyczynili do zamordowania Perrotta i wrzucili jego ciało do starej studni, tak że lady Lyst i Wheldrake lękają się teraz o swoje życie, bo niech ta plotka dotrze do Perrottów...
- Wierzysz, że są niewinni?
- Tak. Tych dwoje pozbawione jest morderczych instynktów.
- Krążą plotki o uprawianych przez nich perwersjach...

- Nic strasznego. Znam upodobania Wheldrake'a. Pragnie być chłostany codziennie przez Królową, a lady Lyst jest dlań jej substytutem. Ona zaś ulega jedynie pociągowi do wina. Królowa potrafiłaby uciszyć takie plotki, ale nie robi tego teraz. Już od tygodnia nie miała berła w ręce. Nie przyjmuje ambasadorów, nie zagląda do Komnaty Audiencyjnej. Nie chce mnie wysłuchać. Przybyła też delegacja od Saracenów, około pięćdziesięciu człeka, i domaga się pilnej rozmowy, bez wątpienia w tej samej sprawie, z którą przyjechał książę Korzeniowski. Odtrąca ich i obraża, każąc wyczekiwać codziennie pod drzwiami; chodzą w strojach wojennych i pobrzękują stalą (choć nie mają broni) niby armia gotowa do oblężenia.

- Księżna Scaith nie została odnaleziona?

- Zniknęła na dobre.

- Jesteś do niej .uprzedzony.

- Owszem. Ale znam jej charakter. Osłabiała Królową.

- Gloriana uwierzyła, że przyjaźniła się ze zdrajczynią? - zdumiał się Ffynne.

- Królowa ze mną nie rozmawia.

- Może uważa, że ją oszukujesz, Perionie?

- Może.

- Czy Ingleborough ma do niej dostęp?

- On ledwo żyje.

- Dzisiaj był przytomny.

- Owszem, próbował ją nieco uspokoić w zwykły sposób, ale i jego odprawiła. Zapewne sama też skłonna jest przypuszczać, że księżna Scaith została zamordowana i że krew znaleziona w sypialni była krwią jej przyjaciółki.

- Czy to możliwe?

- Znaleziono ślady walki.

- Ale żadnych dowodów na śmierć Perrotta?-Ffynne sceptycznie odnosił się do nowej teorii.

- Długo radziliśmy nad tą tajemniczą sprawą. - Montfallcon wstał powoli. - Miała wiele czasu, by upewnić się, że nikt nie podejrzewa jej o zabójstwo Perrotta. Dopiero wtedy zdecydowała się na ucieczkę. Nie mogło tak być?

- Ktoś ją podejrzewał?

- Ja, zawsze.

- I żadnych nowin ze Scaith?

- Nic. Wiedzą tylko, że bawi za granicą. Una ma majątki na całym świecie. Niektórzy mówią nawet, że Imperator Tatarii jest jej kochankiem.

Tom Ffynne otarł twarz rękawem.

- Królowa potrzebuje wsparcia, Perionie. Jeśli nie przyjmie mojego, wówczas znajdzie je gdzie indziej. Una ze Scaith była jej najbliższą duszą. Zapewne jedyną osobistą przyjaciółką.

- Królowa nie jest osobą prywatną - powiedział lord Montfallcon. - Niedługo przypomni sobie, że jej przyjaciółmi są przyjaciele Albionu. To prosta prawidłowość.

Sir Thomas Ffynne przygryzł wargę.

- Może być i tak, mój panie, że widzimy wszystko nazbyt prosto. A swoją drogą, gdzie jest doktor Dee? Należało się spodziewać, że on ukoji Jej Wysokość.

- Całkowicie pochłonięty eksperymentami. Ostatnio prawie nie wychodzi ze swych apartamentów.

- Wygląda na to, że wszyscy zostaliśmy od niej odcięci. - Pokuśtykał w kierunku drzwi.

- Nie uważasz, że musi istnieć jakieś wyjaśnienie tego stanu, mój drogi?

- Co? - Montfallcon podniósł głowę. - I ty mnie winisz?

Tom Ffynne odwrócił się twarzą do niego.

- Za szybko bierzesz wszystko do siebie. Nie oskarżam cię, tylko zadaję pytanie w nadziei, że twój lotny umysł znajdzie odpowiedź.

- Zbyt wiele pytań drażni go ostatnio. - Montfallcon zawstydził się swego zachowania. -  
Wybacz mi, Tomie.

- Pomyśl o tym. Ostatecznie twoim zadaniem jest, między innymi, pilnować jedności dworu i Królestwa. A spoiwem jest tutaj, jak zwykle, Głoriana. Gdy ona zawiedzie, wówczas i jedność zniknie.

- Zawsze to powtarzałem.

- A jednak nie dość myślimy o jej ochronie. Lub o uzdrowieniu jej, jeśli odniosła rany -  
mówił spokojnie Tom Ffynne. - Musimy działać z wyczuciem, ostatecznie ona w pewnym sensie nadal nie jest kobietą. Pomyśl o niej jak o dziecku, Perionie.

- Dość już sentymentów. - Lord Montfallcon wciągnął głośno powietrze. - Czułość odeszła, Tomie, został tylko obowiązek.

- Ale małżeństwa zawarte z konieczności warzą się szybko i obrastają w cynizm. - Tom Ffynne już wychodził. - Niemniej przyznaję, że podobnie jak Lisuarte nigdy się nie ożeniłem, zatem mogę nie mieć racji.

- Ja za to robiłem to już wiele razy - stwierdził Montfallcon głosem nabrzmiałym żalem.

## **ROZDZIAŁ 23**

W KTÓRYM KRÓLOWA BIERZE UDZIAŁ W UROCZYSTOŚCIACH ROCZNICY JEJ  
KORONACJI I W KTÓRYM SZLACHETNE TRADYCJE DOWODZĄ SWEJ WARTOŚCI, A  
KRÓLOWA

POZNAJE NOWEGO RYCERZA

Płonąc złotem i błyszcząc srebrem, w roziskrzonych czerniach i lśniącej stali, w narzuconych na zbroje opończach z marszczącego się jedwabiu, w jasnych błękitach i czerwieniach, w zieleniach i żółciach, purpurach i brązach, pośród rozkołysanego morza

tęczowych piór i kopii z brokatowymi szarfami, z bajecznie udekorowanymi tarczami i powiewającymi dostojnie sztandarami, turniejowi rycerze Królowej wjechali na równie przepysznie wystrojonych koniach przez szeroką bramę na Wielki Plac i ruszyli procesją wokół pola turnieju. Z murów i dachów rozległy się wiwaty podziwiającej i witającej swych faworytów publiczności; zgodnie z dawną tradycją, prosty lud otaczał tego dnia Wielki Plac ze wszystkich czterech stron. Królowa Gloriana pozdrowiła rycerstwo z tego samego starego balkonu we Wschodnim Skrzydle, z którego spoglądał niegdyś jej ojciec, a wcześniej jego ojciec. Rozdała róże (rzucane przypadkowo pomiędzy konnych). Podniecony widokiem i rozpalony upałem, tłum krzyknął jeszcze głośniej. Kopie uniosły się i opadły, heroldowie wywołali po kolei obecnych, a ci zaprezentowali tarcze. Z całego Królestwa zjechało rycerstwo, by stawić się przed Królową. Padały sławne imiona: Tirante, diuk Lyonesse z Wysp Zachodnich; sir Gandalac z Doliny Księżycowej w Krajach Północnych; sir Esplandian z Valentii; sir Hector z Rannach w Hibernii; sir Turquine z Lincoln, a wszyscy ze swoimi sługami, paziami i przybocznymi, własnymi heroldami i giermkami. Spoza Albionu przybyli sir Hakan z Tauronu, Król Huronów w zbroi przystrojonej w wojenne pióropusze i paciorki; sir Herlwin z Wicheetaw, król Desrame z Mauretanii; Emir Saragossy; książę Hira z Bombaju; sułtan Matroco z Etiopii; książę Snan z Kitaju; sir Bulamwe z Beninu. Tłum znał dobrze wielu z nich, bowiem co roku stawiali się na turniej prześcigając się nie tylko w znajomości sztuk walki, ale również we wspaniałości ekwipunku, broni, wierzchowców i świty przebranej w fantastyczne kostiumy faunów, dzikusów i bożków. Niektórzy zabrali zwierzęta, jednorożce, słonie i żyrafy, by zaprząć je do rydwanów. Inni wiedli stada szkolonych do polowań hien lub małp, a sir Miles Cockaigne, który sławny był z tego, iż nigdy nie wygrał jeszcze żadnej walki, prowadził skrzypków i tancerzy, a jego zbrojni miast oręza nieśli puzony. Sam rycerz, w pelerynie w kratę i obszernej, pstrej kolczudze łańcuszkowej z romboidalnych ogniów, objawił

się jako zuchwały Arlekin i pragnął jedynie rozbawić Królową i tłum.

Zadowolić Królową pragnęli także wszyscy inni, jednakże wielcy możni ze znamienitych domów i zamków Albionu, którzy zarządzali swoimi włościami i poddanymi w jej imieniu i w imię tradycji rycerstwa, którzy przestrzegali stanowionych przez nią praw i czcili ją, bowiem dla ich pokolenia była symbolem wierności, ideałem ucieleśnionym, spoglądali bacznie na postać władczyni, lękliwie wypatrując potwierdzenia nadziei i wiedząc, jak łatwo romantyzm obrócić się potrafi w prosty cynizm. To za jej pośrednictwem Montfallcon odmienił Królestwo, i stworzył mit na użytek spóółstwa. Rozповідаł złociste kłamstwa, przekonany, że z czasem staną się one prawdą o próbie przynajmniej dukatowego srebra. Zresztą, fałszywym słowom Lorda Kanclerza wszyscy gotowi byli dać wiarę z tych samych powodów, dla których Montfallcon je podsuwał. Uroczystości rocznicy koronacji zaś, trwające pełny tydzień, były widocznym znakiem udziału szlachty w rządzeniu, współprzyznaniem się do oszustwa... Cieszyli się zatem, pozdrawiali Glorianę, gotowi stanąć do przyjacielskich zmagania i przestrzegać złożonych zasad kodeksu rycerskiego, skłonni nacieszyć swym widokiem oczy publiczności i walcząc o palmę nie tyle najlepszego wojownika, co najbardziej honorowego męża, potwierdzić wierność temu wszystkiemu, co symbolizowała Gloriana, wierność i przywiązanie do prawdziwych, najszczytniejszych zasad swego stanu.

\* \* \*

Królowa wycofała się do długiej galerii, skąd zgodnie z tradycją mogła obserwować turniej na siedząco, oddzielona szybą od kurzu i częściowo od hałasu. Zachowywała się tak naturalnie i godnie, że ktoś nie znający jej dobrze mógłby pomyśleć, że szybko zwykła zapominać odeszłych przyjaciół. Galerię wypełniali liczni ambasadorzy, damy dworu i ich towarzysze oraz zalotnicy, krewni członków Rady, żony i dzieci uczestników turnieju oraz



dalecy krewni Królowej, którzy wykorzystali sposobność i przybyli z prowincji w odwiedzinie. Była też sama Tajna Rada, a przynajmniej ci, którzy nie brali tego dnia udziału w turnieju i wraz z Królową czekali na ten romantyczny moment, kiedy to Gloriana pojawić się miała jako tajemnicza Królowa Urganda, dobra wróżka z legendy, przyjaciółka bohaterów, zbawczyń szlachetnych i odważnych.

Gloriana grała rolę łaskawej monarchini, czerpiąc siły z nowego jej zupełnie poczucia gniewu i żalu na niesprawiedliwy los, który postawił ją w takim położeniu. Montfallcon nalegał, by wzięła udział w tej uroczystości, przypominając wszystkie nieszczęścia, które ściągnęła na jego głowę, zanim jeszcze wstąpiła na tron. Powołał się na tradycję Albionu, na jej znaczenie i wartość dla świata. Obudził w niej sumienie, ale nie ducha. Rozumiała kierujące nim pobudki, ale ich nie podzielała. Przez minione dwanaście lat zawsze z radością witała to święto i długo przygotowywała się do jego kulminacji, maskarady, w której grała główną rolę. Ale teraz, gdy zabrakło Uny, Mary i głupawego ale miłego sir Tancreda, wszystko przypominało jej o utracie najbliższych i uśmiechając się, szczebiocząc i pozdrawiając od czasu do czasu kogoś przez okno, tak naprawdę coraz głębiej pograżała w żałobie.

Czuła się zdradzona przez niewinną Unę, przez wszystkowiedzącego Montfallcona, przez Radę i towarzyszy. Nie miała już przyjaciół, tylko służących i poddanych. Została sama z kłopotami i tajemnicami. Musiała grać swą rolę, co czyniła najlepiej jak mogła i niewielu odgadywało, że wszystko to nietrwały pozór, a nawet ta garstka domyślnych mało się tym przejmowała. Była jak wspaniały okręt, który płynie pod pełnymi żaglami, z banderą i proporcami, lśniącym brązem i drewnem, farbą mieniącą się w słońcu i podziwiany jest przez wszystkich, a nikt nie wie, że pod Unią wodną w miejsce kotwicy i steru jest tylko pustka.

Na scenie wzniesionej pośrodku sztucznej wyspy na jeziorze, w miejscu doskonale zewsząd widocznym, rozpoczął się pierwszy pojedynek.

Sir Timon z Bridge, młody rycerz w bielach i błękitach, potykał się z bardziej doświadczonym, odzianym w złoto, czerwień i czerń sir Peregrinem z Zamku Kilcolman. Nie minęło wiele czasu, a sir Timon znalazł się na ziemi, a wówczas sir Peregrine zsiadł, wziął dwie piki i pomagając przeciwnikowi stanąć na równe nogi, wręczył mu jedną, by mogli walczyć dalej, aż któryś upadnie, lub pęknie po kolei pięć pik. Powoli i dostojnie obchodzili się w ciężkich, lśniących zbrojach z opuszczonymi przyłbicami, co kilka chwil atakowali się wykorzystując przy tym pełen wdzięku, taneczny gest. Tłum ucichł spocony i świadom, ile wycierpieć muszą rycerze wystawieni w ciężkich pancerzach na żar sierpniowego słońca. Lord Oubacha Khan wymienił spojrzenia z Królową, gdy ta odwracała twarz od sceny. Uśmiechnął się i skłonił.

- Proszę, lordzie, proszę podejść i usiąść obok! - krzyknęła do niego Królowa. - Wieki minęły, odkąd mieliśmy okazję porozmawiać.

Wysoki Tatar w opończy i srebrnej kolczudze, będących w jego kraju zwykłym strojem szlachcica na uroczyste okazje, zbliżył się i ucałował dłoń Królowej.

- Bardzo niepokoję się - powiedział cicho - o los księżnej Scaith.

Gloriana skłoniła go, by usiadł.

- Jak i my wszyscy, mój panie - odpowiedziała lekko.

- Podziwiałem ją.

Gloriana nadal zachowywała obojętność, ale pewna była, że ciemne, orientalne oczy wysłannika zdradzały szczerość jego uczuć.

- I ja też, lordzie Khanie.

- Mówi się, że podobno nie żyje.

- Mówi się też, że uciekła. Słysząc również, milordzie, że potajemnie wyjechała do twojego pana, by żyć z nim w Tatarii w waszej stolicy.

Oubacha Khan uśmiechnął się lekko.

- Zapewne byłaby do tego zdolna, Wasza Wysokość.
- Wydaje się, że nie uważasz jej za morderczynię.
- To mnie nie obchodzi. Jeśli tylko żyje, to i tak ją znajdę.

Gloriana zdumiona była stanowczością tych słów, ale zaraz przypomniała sobie o roli Królowej.

- To już sprawa lorda Montfallcona i lorda Rhoone'a.
- Moi ludzie też jej szukają - wyznał szeptem Oubacha Khan.
- W Albionie?
- Wszędzie, Wasza Wysokość.
- Nie zapomnij zatem podzielić się wszystkim, co usłyszysz, z lordem Rhoone'em.
- Zrobię to niezawodnie, Wasza Wysokość. Ale tak osobliwie się składa, że dotąd nie natrafiliśmy na żaden ślad. Wszystko wskazuje na to, że w ogóle nie opuściła pałacu.
- Naprawdę? - Udając znudzenie, Królowa odwróciła głowę, by ukryć swoje poruszenie.
- Niemniej nadal prowadzimy poszukiwania.
- Słyszeliśmy, mój panie, że kupcy tatarscy robią dobre interesy - zaczęła Gloriana nienaturalnie wysokim głosem - z narodami Wschodnich Indii, a szczególnie górskich państw Pakistanu i Afganistanu. Czy wasi handlarze bogacą się?

Oubacha Khan też przybrał pozę osoby publicznej.

- Kupcy robią majątek lub znikają, Wasza Wysokość. Niektórzy bez wątpienia zbijając fortuny.
- Handel pomiędzy narodami wzbogaca o wiedzę, a wiedza oznacza mądrość, mój panie. Czy wasi kupcy stają się również mądrzejsi? - Wypełniała obowiązki, które nałożył na

nią Montfallcon, byle tylko nie myśleć o Unie.

- Naród tatarski znany jest ze swego błyskotliwego rozumu, Wasza Wysokość.

- Mądrość podpowiada, że handel sprzyja pokojowi i rozkwitowi, podczas gdy wojna prowadzi do ubóstwa. - Ciągnęła wywód, jednak Khanowi wydawało się, że jej uwaga jest przynajmniej w połowie skierowana na okno.

- Istnieje też taka mądrość, Wasza Wysokość - podjął odruchowo i równie obojętnie jak ona - która jest sofistycznym przebraniem dla ostrożności. Jest też inny rodzaj mądrości, która bez osłonek powiada, że nazbyt wielkie podporządkowanie państwa interesom kupców osłabia naród moralnie i fizycznie, czyniąc z niego łatwy łup dla innych, mocniejszych narodów.

- Wielu naszych stoików zgodziłoby się z tobą, panie - powiedziała. - Ale świat powinien mieć respekt dla filozofów i sądzę, że obowiązkiem prawomyślnych jest chronić słabych i dodawać odwagi silnym.-Królowa ledwo rozumiała, co właściwie mówi, recytowała jedynie słowa właściwe dyplomatycznej mowie. Niemniej Oubacha Khan, chociaż podobnie rozdwojony, uznał je za znaczące.-Pod pozorami słabości kryje się szczególna siła-kontynuowała Królowa, rzucając spojrzenia na scenę, na którą wstąpiła już następna para rycerzy. - Oczywiście mieszkańcy Tatarii słyną z lotności umysłów, a zatem muszą o tym wiedzieć.

- Takie przekonanie może być niebezpieczne dla tego, kto je żywi. Siła potrafi zniknąć niepostrzeżenie.

- Chyba, że ktoś przypomina nieustannie o konieczności jej zachowania, mój panie. -

Uśmiechnęła się wstając, by lepiej widzieć rycerzy, którzy opuścili lance i pogonili do galopu parujące wierzchowce. Zderzyli się z hukiem, tłum zaszumiał, obie włócznie pękły, ale walczący pozostali w siodłach i sięgali właśnie po inny oręż. - Gdybym ja, na przykład, osłabła, to ty, jako przyjaciel, gotów byłbyś z pewnością szybko mi to uświadomić.

- Jak najbardziej, Wasza Wysokość. - Oubacha Khan bawił się tą wymianą poglądów o wiele bardziej niż Królowa. Rozumiał, że czyni ona aluzje do armii tatarskich gromadzących się wzdłuż granicy z Arabią, co niewątpliwie musiało niepokoić Albion. Aluzje to było to, co nieodłącznie wiązało z dyplomacją.

- Lordzie Kansasie! - Ze szczerą radością Królowa przywitała ciemnoniebieskiego Virgińczyka. - Nie wróciłeś jeszcze do majątków w rodzinnym kraju?

- Już niedługo, Wasza Wysokość. Wiele rzeczy zatrzymuje mnie jeszcze w Albionie, a przede wszystkim nie chciałem stracić turnieju. - Łagodnie przemawiający szlachcic uśmiechnął się, skłaniając głowę, by ucałować dłoń w rękawiczce. Odziany był w kubrak i bufiaste spodnie w różnych odcieniach żółci, w krótką, purpurową pelerynę zwisającą z ramienia i ozdobiony piórami kapelusz z szerokim rondem, który zdjął w ukłonie.

- Jaskrawo wystroiłeś się, mój panie, jak na stoika - zażartowała Gloriana.

- Bo dzisiaj dla Królowej się tak ubrałem.

- Idealny z ciebie dworzanie, mój panie.- Poklepała ławę, by lord Kansas usiadł obok niej. Oubacha Khan oddalił się uprzejmie.

- Prawdę mówiąc, pani, czuję się jak wypchana dynia - wyznał z uśmiechem. Jego żal był komiczny.

- Ależ wyglądasz nader przystojnie, mój lordzie. Jak podoba ci się turniej?

- Całkiem, całkiem.

- Nie bierzesz udziału?

- Nie, pani. Mało wiem o władaniu orężem i nie miałbym z kogo skompletować świty.

W każdym razie nie tutaj.

- Słyszałam, że przybyłeś w nielicznym towarzystwie.

- Jak zwykle, pani. Wiesz z pewnością, że najczęściej podróżuję tylko w kompanii

żołnierzy.

- Czytałam jednak, że w Virginii też urządza się turnieje.

- Nawet dość barwne, Wasza Wysokość.

- Ale ty, jako stoik, nie przepadasz za uroczystościami?

- Uznaję ich niezbędność, pani. Szczególnie tutaj. Podobnie jak księżna Scaith...

- Wyraźnie pożałował natychmiast braku taktu, ale przerwał tylko na bardzo krótką chwilę. -

Preferuję prostsze metody podbudowania autorytetu stanu. Sądzę jednak, że niedługo i to się zmieni. Rycerskość i szlachetność pokona z czasem złe wspomnienia.

- Też tak uważam - powiedziała Królowa. - Zazdroszczę ci pasterskiego życia w Virginii. Czy Kansas to spokojny kraj?

- Dla ludzi mego pokroju aż nazbyt. Wiesz zapewne nieco, pani, o temperamencie Virgińczyków. Kochamy naszą ojczyznę. Jesteśmy tam bezpieczni i żyjemy w pokoju z sąsiednimi narodami, a obecnie i z Albionem.

- Rebelianci byli dość nieliczni.

- I nie występowali przeciwko Królestwu, a tylko przeciwko pewnym osobom. - W oczywisty sposób nawiązał do Herna.

- Tak. - Gloriana przetarła oczy i zagłębiła brodę w krezę oficjalnego stroju. - Ale gdyby doszło do wojny? Czy virgińska szlachta gotowa byłaby nas poprzeć?

- Wojna? - Lord Kansas był zdumiony. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jak na razie żadna nam nie grozi, a przynajmniej nic o tym nie wiemy. Tylko pytam.

- Virginia poszłaby na wojnę. Niechętnie, ale jednak.

- Tak też myślałam.

- Jeśli chodzi o Perrottów, pani, to czy naprawdę sprawa jest już aż tak poważna...?

- Nie ma żadnej sprawy, wasza lordowska mość. Tyle tylko, że opanował ich

sprawiedliwy gniew po tragicznej śmierci ich siostry i zaginięciu ojca. Zachowają się rozsądnie.

- Żaden z nich nie przybył na turniej.

- Zauważyłeś to? - Uśmiechnęła się blado. - Tak. W tym roku rodzina Perrottów i ich krewni trzymają się z daleka. Ale czy można ich winić? Zapewniam cię jednak, że nie będą postępować pochopnie.

- Mam taką nadzieję, pani. Jak pamiętam, żona sir Amadisa jest z Perrottów?

- Została wezwana do domu. Sir Amadis miał jechać razem z nią, ale został. Rozdzielili się. Ale to się zmieni. Sir Lepsius Lee wybrał się z żoną i swoimi dworzanami do Kentu.

- Nie bolejesz nad taką nielojalnością, pani?

- Jesteśmy Królestwem, milordzie, a tym samym obce są nam ludzkie słabostki. -

Ukrywając uczucia spojrzała na scenę. Dłoń trzymała nadal na ramieniu lorda. - Twoje proste, farmerskie podejście do rzeczy wpływa na nas odświeżająco, ale nie zawsze rymuje się z dworskim życiem.

- Wybaczasz mi, pani? - zachichotał.

- Pozostajemy pod twoim urokiem, mój panie.

- Lordzie Kansasie? - Montfallcon podszedł cicho i mrużąc oczy wpatrywał się w Virgińczyka.

Ten wstał i skłonił się. -

- Wasza dostojność.

W tej chwili Królowa Gloriana zrozumiała, o co chodziło Lordowi Kanclerzowi: musiał uznać Virgińczyka za potencjalnego zalotnika. Czyżby go akceptował? Czy naprawdę Kansas nosił się z taką myślą? Spojrzała na jednego, potem na drugiego i przesunęła wachlarzem po policzku.

- Widzę, że dorosłeś do tego, by polubić dwór - powiedział lord Montfallcon.

- Tak jak kocham całą wyspę. - Kansas zawahał się, jakby nie chciał kontynuować tematu. Zapewne bał się pułapek interpretacji jego słów przez Montfallcona.

Siwy lord podszedł bliżej Królowej zupełnie, jakby chciał ją ukarać, a lord Kansas uniósł odruchowo rękę w geście obrony. Nagle opuścił dłoń i zwarł palce na rękojęści paradnego sztyletu.

- Pani - powiedział lord Montfallcon nie zdając sobie sprawy z niefortunności całej pantomimy. - Ambasador Kitaju pragnie z tobą rozmawiać.

- Niech podejdzie. - Gloriana pożegnała uśmiechem lorda Kansasa i powróciła do wykonywania obowiązków.

Pełniła je przez cały następny tydzień, podczas gdy upał narastał, tłum jazgotał coraz głośniejsze, a rycerstwo wiodło ze sobą potyczki powiewając jedwabiami i lśniąca stała na zakurzonej scenie, która codziennie zamieniała się w senne marzenie. Królowa brała udział w bankietach i oczarowywała wszystkich, którzy na nią spojrzeli. Czyniła honory, przyjmowała dary, nie skąpiła pochwał i z wolna narastało przekonanie, że oto odbywa się najwspanialsze letnie święto w historii Albionu. Żaden rycerz, żaden zbrojny ani ambasador, żadna dama, żaden dygnitarz ni kupiec nie odchodził od stóp Królowej, nie pokrzepiony nadzieją. Nie wiadomo, że każdego dnia Gloriana musiała nakładać na twarz więcej makijażu. Nikt, poza milczącym sir Thomasem Ffynnem i obolałym lordem Ingleborough nie zauważył, że jest coraz bledsza.

Lord Montfallcon, który krążył pomiędzy gośćmi, wzmagając dobry efekt wywierany przez Królową, nie chciał niczego widzieć i nie słuchał Toma Ffynne'a ani Ingleborougha, gdy któryś wspominał o osłabieniu Gloriany. Serdeczny niemal wobec potencjalnych wrogów i znajomych, ochłódł wobec przyjaciół.



Tymczasem sir Amadis Cornfield brał udział tylko w tych ceremoniach, podczas których niechybnie zauważono by jego nieobecność i większość czasu spędzał we Wschodnim Skrzydle. Nieprzytomny lekko, ale pewien swego, doktor Dee rzadko opuszczał swoje apartamenty, a wychodząc zamykał starannie drzwi na klucz. Lord Gorius Ransley znikał o różnych porach w zakamarkach starego pałacu. Mistrz Florestan Wallis osłabł i widywano go rzadko, a gdy ktoś już go ujrzał, zawsze widział człowieka, w pocie czoła wypełniającego swe obowiązki. Nawet lojalny lord Rhoone spędzał większość czasu w towarzystwie najbliższych, ale to akurat nikogo nie dziwiło.

Gdy czasem brakowało Glorianie mistrza Wheldrake'a lub lady Lyst, przypominała sobie, w jakim strachu żyją oboje i nie wzywała ich. Poza tym Wheldrake wciąż jeszcze pracował nad wierszami przewidzianymi na rocznicę koronacji. Lord Shahryar powrócił z Bagdadu, przynosząc pozdrowienia od swego pana Hassana, Wielkiego Kalifa, i przywożąc kosztowne podarunki. Nie chciał jednak nijak skomentować plotek dotyczących zbliżającego się pojedynku na pokładzie statku, zaś lord Montfallcon nie potrafił zdobyć się na uśmiech wobec człowieka, który pozbawił go najlepszego sługi, czyli Quire'a.

Sir Vivien Rich wziął udział w turnieju i wygrał. Narzekał jednak, niemiłosiernie poobijany, że przez miesiąc nie będzie mógł dosiąść konia i że ominie go przez to wrześnie polowanie. Sir Orlando Hawes wyzwiał swego kuzyna, sir Yulturnusa, nubijskiego rycerza o wielkiej sławie, pokonał go przez przypadek, i kilka następnych dni chodził po dworze dumny i blady.

Parę razy wyprawiono się na pola za miastem i na otwartym powietrzu urządzano wielkie uczyty, podczas których pito bez umiaru, w związku z czym niektórzy goście gdzieś się zawieruszali i odnajdywano ich dopiero nazajutrz w sianie na stryszkach, w stogach, żywopłotach lub rowach, a paru wyciągnięto nawet z wygodnych łóżek wdów po farmerach.

Sierpniowe powietrze rozpałało, ale i łagodziło umysły; gdy napięcie narastało w jakiejś chwili do niebezpiecznych granic, zaraz tonęło w zdrowym śmiechu. Liczni dworzanie, którzy wybierali się rankiem lub o zmroku na przejażdżki, widzieli pogodny krajobraz, pola, z których zbierano zboże, strojne barki płynące prostym kanałem do rzeki, obserwowali miasto i statki rozładowujące i zabierające towary całego świata. Oto był szczęśliwy, spokojny i nowoczesny Albion, dobrze rządzony przez Królową. Cienie żałoby po lady Mary i innych gdzieś zniknęły. Dochodziły nowiny, że rodzina Perrottów słabnie w swej nienawiści, i że niektórzy z nich radzili się krewnych, jak zawrzeć pokój z Królową, która zawsze była ich najlepszą przyjaciółką. Polacy, Saraceni i Tatarzy mieszały się z ludem Albionu dowodząc, że są równie cywilizowani, a duch Marsa zaszedł za horyzont.

W końcu zaświtał dzień rocznicowy. Rano rozegrano ostatnie cztery walki mające wyłonić dwóch rycerzy, którzy wieczorem zmierzą się przed Królową, a zwycięzca otrzyma z jej rąk wieniec. Przedtem zaś zaplanowano jeszcze przedstawienie z udziałem Królowej i dworzan, które stanowić miało wyczekiwaną z niecierpliwością kulminację obchodów. Wszyscy wychwalali Glorianę, pamięć o skandalach wygasła, moralność, odwaga i miłosierdzie triumfowały, a twarde rysy lorda Montfallcona zmiękły jakby i zdawały się nawet wyrażać uczucie bliskie zadowoleniu.

\* \* \*

Błada Gloriana znosiła cierpliwie wszystkie zabiegi zmierzające do przebrania i umalowania jej, stosownie do roli. Wokół kręciły się po apartamentach służące, damy i paziowie. Królowa miała już na sobie błyszczący kostium z damaskijskiego jedwabiu i krochmalonego płótna, aksamitu i brokatu wyszywanych tysiącami klejnotów: szafirami, ametystami, turkusami, rubinami, perłami i diamentami, których było najwięcej. Na głowie pyszniła się wysoka, ostro zakończona korona z niewielką, koronkową woalką mającą dodać

jej postaci tajemniczości. Za głową wyrastał usztywniony drutem kołnierz wznoszący się na dwa metry i piętnaście centymetrów od podłogi i pozwalający sylwetce królowej górować nad każdym rycerzem. Wbita w gorset, omotana wstążkami, obciążona metalem i drogocennymi kamieniami, upiększona różem i czernidłem, wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze i w głębi ducha tęskniła za Uną, która śmiałaby się z niej, żartowała z każdego gestu, nigdy przy tym nie wpadając w cynizm, zawsze dzielając jej osobiste uczucia i rozumiejąc publiczne obowiązki. Jasne, samotne oczy Królowej wyzierające spod makijażu, spoglądały coraz chłodniej, coraz bardziej oficjalnie.

Była gotowa.

Podprowadzona przez świtę, wsiadła do karety mistrza Tolcharde'a, która miała zawieźć ją na wyspę, gdzie mistrz Wheldrake rozpoczął odczytywanie wstępu do przedstawienia.

*Czarodziejka Urganda, pani wielkiej mocy*

*Z niewiadomej krainy jakże do nas dotrze?*

*Patrzcie na naszą wyspę, gdzie roku każdego*

*Dwunastu paladynów, a każdy bez skazy,*

*Zwykło się mierzyć o najgodniejszego*

*Rycerza imię. Tam za dnia pilnie patrzcie.*

*Tam też baczcie w nocy, a postrzeżecie*

*Kulę ognistą. Z morza zrodzoną karocę.*

Głosowi mistrza Wheldrake'a brakowało zwykłej pewności. Niemal piskiem przekazywał strofy zasłuchanemu tłumowi. Poeta ubrany był zapewne najbardziej funkcjonalnie ze wszystkich, bo tylko w prostą togę, sandały i koronę z liści laurowych. Tysiące oczu spoglądały na niego z galerii, z okolicznych pawilonów, z dachów i murów.

Rozwijał kolejne całe zwoju, tymczasem główne postacie przejeżdżały już po niewielkim mostku z podwórca na wyspę. Każdy rycerz w stroju innego koloru, z wielką tarczą z godłem postaci, którą reprezentował.

*Ze wspaniałych rycerzy każdy swój znak miał:*

*Pierwszy - blask srebrzysty. Był to chwyt na schwał.*

*Drugi - głównię płonąca, trzeci z brylantów dłoń,*

*Czwarty był królem bez tronu, więc nie troskał się on,*

*Piąty złamaną miał włócznię (i pewnie taki grosz)*

*Szósty, najmłodszy, pierścień miał złoty (i chyba pełny trzos).*

Nazwani przez Wheldrake'a rycerze unosili kolejno lance. Sir Amadis Cornfield w srebrnej kolczudze; lord Vortigern z Glastonbury w szkarłatnej zbroi i z tarczą ozdobioną wizerunkiem ognistego miecza; sir Orlando Hawes w zieleniach i czerwieniach z wysadzaną klejnotami rękawicą na prawej dłoni i tym samym motywem powtórzonym na tarczy i opończy; sir Felinnarte z Hyrcanii, który nosił rozdwojoną koronę i zbroję z brązu; mistrz Auberon Orme w błękitach obszytych srebrem i malunkiem złamanej lancy na tarczy i mistrz Perigot Fowler w złotej zbroi, z pierścieniem jako znakiem. Naprzeciw tych sześciu stało po drugiej stronie wysepki (ozdobionej niewielkimi, sztucznymi drzewkami) drugie pół tuzina rycerzy i ku nim skierował teraz uwagę mistrz Wheldrake.

*A siódmy z nich był kruczogłowy, ósmy to syn, co ponoć poległ,*

*Dziewiąty panem był księżycowym i po nim - Prometeusz*

*Wyzwolony.*

*Ten jedenasty był z Mglistych Jarów, choć nie wie nikt,*

*gdzie to jest.*

*Ostatni, Czarnym Krzyżem znaczony, stracił blask oczu.*

*Lecz nie był gorszy i tak jak inni miał wielki gest.*

Był tu mistrz Isador Palfreyman w czarnej zbroi z kruczym pióropuszem; mistrz Marsilius Gallimari w pancerzu pozbawionym jakichkolwiek znaków; sir Sylvanus Spence, brat młodego sir Peregrine, w bladożółtej zbroi i z bronią oznaczoną wizerunkiem księżyca w pełni; lord Gorius Ransley w ognistych szkarłatach z odpowiednimi symbolami; sir Cirus z Malty w jasnych szarościach i na końcu sir Vivien Rich w śnieżnobiałym pancerzu noszącym znak czarnego krzyża i w hełmie z przyłbicą opuszczoną dla zaznaczenia ślepoty.

Gdy rozbrzmiały trąby, mistrz Wheldrake wycofał się przez mostek. Był to sygnał dla rycerzy, którzy ruszyli do szarży łamiąc na sobie specjalnie podpiłowane wcześniej lance.

Potem zsiadli z koni i pieszo zaczęli toczyć walkę na monstrualne, obosieczne miecze.

Losy „bitwy” ważyły się przez kilka chwil, podczas których część uczestników

okazywać zaczęła duże zmęczenie, aż nagle z jedwabnego pawilonu, ustawionego przy

Zachodnim Skrzydle, wytoczyła się na wielkich brązowych kołach olbrzymia, brązowa kula przyozdobiona licznymi wypukłymi wzorami misternej roboty. Z jękiem i łomotem

przetoczyła się pchana i ciągniona przez karły przebrane za groteskowe delfiny, które zdawały się ślizgać po ziemi. Z boku, na osiach kół zamocowane były rakiety, które strzelały iskrami.

Całość z wolna zbliżała się do mostku, podczas gdy mistrz Wheldrake natęzał głos, by poprzez jazgot przekazać zgromadzonym kolejne strofy.

*Blisko przez siedem dni walczyli.*

*Oręż szczekał o oręż, a tarcza o tarczę.*

*Wszyscy równej potęgi. Zda się, potrafili*

*Nie znać znużenia. Siły im wystarczy.*

*Aż dnia siódmego głos się obcy rozległ.*

*Przerwali walkę, to rzecz oczywista*

*I zdumieli się wielce. Zobaczyli bowiem,*

*Że zdąża ku nim kareta ognista.*

Kula przetoczyła się przez drżący mostek, a delfiny ciągnące ją aż za środek wyspy szybko porzuciły dyszle, i aby ratować życie skoczyły do wody, płynąc na drugi brzeg. Rycerze tymczasem najpierw udali wielkie zdumienie, potem upadli na kolana, unieśli ręce, porzucili broń i wpatrywali się tylko w cichą teraz kulę. Mistrz Florestan Wallis wstał w końcu, z wysiłkiem podniósł przyłbicę hełmu, zamachał ramionami i zawołał do tłumu:

*Cóż to za potwór przybywa magią ożywiony,*

*by lękiem napęłnić rycerzy strapionych?*

(Były to jego własne wiersze, bowiem Wallis odmówił wygłoszenia strof autorstwa

Wheldrake'a). Sir Amadis Cornfield, Rycerz Srebrny, zaśpiewał:

*Toż to Lewiatan, o którym w legendzie*

*usłyszeć można. Krucho z nami będzie!*

Stojący na drugim brzegu Wheldrake wykrzywił się i wzruszył ramionami, pragnąc dać wszystkim do zrozumienia, że to nie on jest autorem tych nędznych wypocin. Przyznawał jednak, że ministrowi należą się pewne względy, nawet jeśli ten słabuje na umyśle, głowę napchaną ma bezużyteczną wiedzą, wypowiada się jakby cały czas przemawiał, a ucho ma tak czułe, że nie potrafi odróżnić śpiewu słowika od pierdnięcia pieska salonowego...

Wheldrake obserwował zmęczonymi oczami, jak oba boki powozu opadają, odsłaniając wielkiego zielonego węża zrobionego z błyszczącego papieru. Łuski jego lśniły, toczył ślepiami po okolicy i spomiędzy kłapiących szczęk wysuwał się co chwila długi język. Było to jedno z najlepszych dzieł mistrza Tolcharde'a i tłum zgodnie wyraził mu swoje zgiełkliwe uznanie. Ze dwadzieścia oplecionych kwietnymi wieńcami dziewcząt, w zwiewnych płóciennych strojach nimf, przebiegło obok Wheldrake'a. Były to tancerki przygotowane przez

mistrza Josiasa Priesta, który poganiał je z tyłu. Wszystkie młode, o nie uformowanych jeszcze, na wpół chłopięcych sylwetkach hermafrodytów prowadzone przez najpiękniejsze stworzenie, jakie Wheldrake widział dotąd w życiu ( *Na Mitrę! Jaka urocza i rozkoszna byłaby z niej tyranka!* ). Za dziewczętami nadbiegł faun z wielkimi, pełnymi żądzы ślepiami, brykający i dmący w trzcinową fujarkę. Z jednego z ukrytych w tłumie pawilonów rozbrzmiała muzyka mająca reprezentować sobą eteryczny głos fauna.

Wielki wąż wypełznął z kuli i ruszył na rycerzy, którzy uformowali linię i gotując się do walki unieśli miecze.

Wtedy nastąpiła kolejna przemiana; wąż zadrżał, łuski zapadły się i po chwili oczom wszystkich ukazała się piękna olbrzymka zasiadająca na koralowym tronie. Mierzyła ponad dwa metry, była wspaniała, rudowłosa i promieniowała szlachetnością. Na jej skroni spoczywała srebrna korona, płonąca klejnotami tak jasno, że wpatrzenie się w nią oślepiało. Uniosła perłowe berło i uśmiechnęła się do mrużących oczy herosów, podczas gdy służki jej tańczyły wkoło, okrywając ich kwiatami. Faun zaś skakał i kręcił się udając, że wypełnia powietrze słodką muzyką, przy której dziewczęta zaśpiewały:

*Uczcijmy Królową graniem na harfach i na złotych fletach,*

*Pokłońmy się Urgandzie, Szczęśliwych Krain Królowej,*

*Pani o czystym sercu i słowicznym głósie, w świecie*

*Sławionej przez bohaterów dla swej mądrości przedniej.*

*Ona to błaga walecznych rycerzy, by oręż porzuciwszy poniechali*

*boju*

*I na cześć swoją zaprzysięgli dla niej odtąd przykładne życie*

*wieść w pokoju.*

Wheldrake spojrział ze złością na Florestana Wallisa, który, cały przejęty, wykrzyknął

nienaturalnym głosem:

*Słuchajcie, cni rycerze, wyznam z serca głębi:*

*Wszakóż dwornie nas prosi ta szlachetna dama,*

*Której ślubowaliśmy miłość i oddanie.*

*Niech sławy jej nie ujmie nasze zawahanie,*

*Precz z wojennymi orłami, nastał czas gołębi!*

Muzyka znów się odezwała i służki włączyły się z pieśnią:

*Z niewiedzy ludzkiej rodzą się potwory,*

*A z chorej duszy kłamstwa powstają upiory.*

*Prawda i piękno giną, nikogo nie cieszą,*

*I radzi są wrogowie, że liczni tak grzeszą.*

*Jednak cnoty nie sczezły. W dalekim Albumie*

*Ogień możej Urgandy ciągle jasno płonie,*

*I w najdalszy zakątek blask się jego wwierca,*

*Napełniając bojaźnią niegodziwców serca.*

Florestan Wallis zapatrzył się w fauna, który wyraźnie go fascynował, zatem następną swą kwestię wygłosił z niejakim opóźnieniem:

*Jak, o Pani, inaczej tego znaleźć mamy,*

*Co miałby nami władać i wszystkich jednoczyć?*

*Czy umie w boju stawać, to musimy zoczyć,*

*A razem z tym - czy ma on laskę przed bogami.*

Wheldrake oparł się ciężko na barierce mostku i spojrzał ku pawilonowi, z którego powinien niedługo wyłonić się konno lord Bramandil Rhoone.

Królowa przemówiła (ze względów dyplomatycznych wybrano dla niej strofy Wallisa):



*Prześwietni panowie - oto co wam powiem,*

*Wybrałam na rycerza tego, co świat przemierza,*

*Wielkie przed nim godności, choć nie ma wcale włości,*

*A swoim pastuszym kijem wszystkich wrogów pobije.*

*Niebo mu za dach nad głową, ma duszę czystą i zdrową,*

*Nie znajdzie jego imienia, kto pergaminy orze,*

*Bo nie w księgach pisane, jeno w lesie na korze.*

*Takiego to tej wiosny dostaniecie pana,*

*Tedy przed Palmerinem zegnijcie kolana!*

Wszyscy wkoło klękali, ale Wheldrake, który nie spuszczał z oka odległego pawilonu, ze zdumieniem wpatrywał się w niewielką, idącą pieszo postać, która właśnie wyłoniła się z wnętrza. Człowiek ten spowity był w spłowiałe czernie, na głowie miał czarny kapelusz z szerokim rondem i kilkoma wronimi piórami zatkniętymi za obszycie, czarne loki opadały na ramiona, ciemne brwi ocieniały lśniące oczy, rysy miał blade, nos długi, szczękę wydatną, wargi cienkie i zmysłowe. Srebrna spinka łączyła pod szyją poły płaszcza, buty były z czarnej, pomarszczonej skóry, ręce ukryte, głowa opuszczona. Postać skierowała się pewnym krokiem na mostek, przeszła go, ku zdumieniu Wheldrake'a (który przypomniał sobie, że gdzieś już widział tego człowieka, ale gdzie, nie potrafił powiedzieć), a następnie przemaszerowała pomiędzy szeregami klęczących żołnierzy, a faun i najpiękniejsza z dziewczyn podbiegli, by zawiesić mu na szyi girlandy kwiatów. Przystanął i przedstawił się jako Palmerin, rycerz wieśniaczy. Obrzucił wzrokiem zgromadzonych na brzegu dworzan, wyszukując przez dłuższą chwilę pomiędzy nimi przyjaciół i wrogów, po czym podszedł do tronu i dygnął.

- Moja Królowo.

Skryta za woalką twarz Gloriany wyrażała jedynie zdziwienie, które pozostało ukryte, gdy

obcy przemówił słowami przewidzianymi dla lorda Rhoone'a (pierwotnie miała je wygłosić księżna Scaith). Gloriana domyśliła się, że może Rhoone zachorował i wysłał służącego w zastępstwie. Odrzucała od siebie szaloną i nachalną myśl, że może kolejny rycerz zginął, zanim zdołał zagrać swą rolę.

*Pani moja, chociaż niskiego jestem stanu,*

*Lojalny ze mnie sługa twój i tego kraju.*

Ciemne, zimne i sardoniczne oczy przebijały jej woalkę i Gloriana czuła, jakby nieznajomy wnikał spojrzeniem w jej ciało, a nawet duszę. Była jak zahipnotyzowana. W oczach tych skrzyły się również intrygujące iskierki humoru. Królowej wydało się przez chwilę, że stoi przed nią nowe wcielenie Uny. Na czas reszty przedstawienia Gloriana zapomniała o lękach, o powinnościach, o żalu, i zafascynowana wpatrywała się jedynie w te wspaniałe, inteligentne, choć nieżyczliwe oczy.

Wśród widzów, zadziwionych przybyciem tak dobrze znającej swą rolę i dworskie zwyczaje, obcej zupełnie postaci, było kilku, którzy rozpoznali go i uśmiechnęli się tak, jak powitać można napotkanego w niezwykłych okolicznościach przyjaciela. Sir Amadis Cornfield ujrzał dżentelmena, który zapewnił mu względy Alys Finch, dziewczyny, która prowadziła dziś tancerki; mistrz Florestan Wallis poznał patrona swego kochanka, pięknej „Philome-ny” skrywającego się w przebraniu fauna; lord Gorius Ransley rozpoznał mediatora, który w imieniu Alys Finch obiecał rychłą zgodę na związek małżeński. Pełen wesołości z udanego żartu, wyglądający z namiotu lord Rhoone, widział w nim aptekarza, który dostarczył antidotum i uratował w ten sposób życie jego żony i dzieci. Brnący ku głównej scenie wydarzeń, w spiczastej czapce i luźnych niebieskich szatach doradcy Urgandy, Merlina, doktor Dee przystanął na mostku dostrzegając dobroczyńcę, czarownika, który pomógł mu zaspokoić największe pragnienie.

Ale przypatrujący się wszystkiemu z galerii lord Montfallcon wpadł we wściekłość, nie mając wątpliwości, że oto przed Królową stanęły jego ucho i usta, jego miecz, jego narzędzie i zrozumiał, jak przebiegle i zuchwale został oszukany i wykorzystany przez kapitana Quire'a. Ten zaś podawał Królowej ramię, przemawiając wierszem, który nie wyszedł ani spod pióra Wallisa, ani Wheldrake'a. Zupełnie ignorując scenariusz przedstawienia poprowadził Glorianę na mostek.

*I tak razem ruszą przed siebie idąc ręka w rękę,*

*Prosty pasterz, co wziął z dobrej rodziny panienkę.*

Tłum był zachwycony tym pomysłem. Małżeństwo pomiędzy szlachcianką a chłopakiem z gminu zawsze uchodziło za popularny temat, a wykorzystane w przedstawieniu tym lepiej podkreślało jedność Albionu. Królowa nie miała co prawda schodzić z tronu, ale zrobiła to, a wtedy Quire poprowadził ją wkoło placu. Powiewał przy tym kapeluszem, zaś kompletnie zaskoczona Gloriana wymachiwała berłem, wywołując szaloną radość tłumu i aplauz dworzan. Dziewczęta z faunem tańczyły przed nimi, zaś dwunastu paladynów, którzy w międzyczasie dosiedli z powrotem koni, jechało z tyłu. W ogonie procesji włókł się Merlin kiwający z niedowierzaniem głową i ściskający w dłoni nie wygłoszone kuplety.

Płonący gniewem Montfallcon musiał przyznać w duchu, że ta inscenizacja, chociaż nieco prostacka, była jak najbardziej po jego myśli. Quire raz jeszcze dowiódł, że zawsze wiedział, jak postępować z tłumem.

Niemniej widok tego krętacza, ucieleśnienia wszelkiej nieszlachetności i przewrotności, wielbiciela kłamstwa i oszustwa idącego, ramię w ramię z niewinną dziewczyną, którą Montfallcon latami chronił przed infamią i pomówieniami, przed cynizmem i świadomością, że złoto zawiera jednak domieszkę żelaza i że potęgę osiągnąć można jedynie siłą; widząc jak razem kroczą występki i cnota... krew zawrzała mu w żyłach i chciał, nie

czekając, krzyknąć z okna, by straż pojmała Quire'a i zawlokła go na wyspę, by natychmiast przyniesiono pień i topór... Z tego samego okna Hern patrzył niegdyś, jak tysiące o wiele bardziej niewinnych głów spadały codziennie z karków, a woda jeziora barwiła się na czerwono. Wśród tych nieszczęsnych było też pięciu członków najbliższej rodziny Montfallcona, który słowem nawet nie pisnął w ich obronie, byle tylko Gloriana mogła zasiąść kiedyś na tronie.

Przypomniawszy sobie tamte egzekucje, Montfallcon opanował się. Wciągnął głęboko powietrze i spróbował się uśmiechnąć. Kapitan Quire prowadził Królową po raz drugi wokół placu, oklaskiwany przez szlachtę Albionu, Arabii, Tatarii, Polski i całego świata. Krzyki, gwizdy, tupania tłumu były tak głośne, że pałac zadrżał w swych posadach. Spoglądając na scenę Montfallcon przeszedł powoli galerią, otworzył drzwi tunelu i po niedługiej chwili stanął w mroku i ciszy Sali Tronowej Herna. Wsłuchał się w bicie własnego serca i szmer oddechu.

- Och, jak romantyczne ideały potrafią wszystko obrócić w niwecz!

Jego głos był niemal przyjacielski i wydawać by się mogło, że Montfallcon zwierza się przed duchem Herna. Bo przecież to Montfallcon zabił starego Króla, podszeptami rozpalając jego szaleństwo; to Montfallcon dodawał Hernowi odwagi, gdy ten zaciskał pętlę na swojej szyi i gotował się do skoku z blanków wieńczących wieżę, by zawisnąć na murze z oczami wytrzeszczonymi na ten sam podwórzec, na którym Quire rzucił wyzwanie zarówno konwencji, jak i karze, doprowadzając letnie święto do radosnego zwieńczenia.

## **ROZDZIAŁ 24**

**W KTÓRYM LORD MONTFALLCON ZASTANAWIA SIĘ, JAK PRZYWRÓCIĆ SŁUSZNEJ SPRAWIE DAWNY BLASK**

Tytuł earla dla Perrotta, potem Perrott dla Królowej - głos Montfallcona zadrżał, gdy

Lord Kanclerz ujrzał, jak łatwo można rozwiązać cały problem. - Niemniej będzie musiała zrezygnować z niektórych zaszciości. Seraj, dzieci... - Po dwóch dniach spędzonych w łóżku, na rekonwalescencji, powrócił z nowymi planami do starej Sali Tronowej. - Co do Quire'a, to nie jestem w stanie zrobić tego, co należałoby. Ingleborough będzie musiał z porozmawiać z Królową, ostrzec ją... - Potarł swędzący nos i mrugając oczami rozejrzał się po zakurzonej wewnątrz oświetlonej padającym z góry blaskiem.

*Klip-klap, klip-klap...* Spomiędzy ponurych małych posągów wynurzył się Tom Ffynne.

- Czemu tutaj, Perionie?

- Tutaj czuję się bardziej bezpieczny.

- Niż we własnym gabinecie?

- Właśnie.

Ffynne wzruszył ramionami.

- To miejsce budzi niemiłe wspomnienia.

Z tuneli za starą Salą Tronową dobiegł zgiełk maszynierii kilku dawno oszalałych zegarów i lokaje wnieśli lektykę z lordem Ingleboroughem. Jego twarz była blada, ściągnięta bólem. Obok biegł błękitno-srebrny Patch.

Lord Montfallcon wskazał miejsce na posadzce i lektyka została ustawiona, a lokaje wyszli. Trzech mężczyzn pozostało w kręgu brudnożółtego blasku słońca: Montfallcon w fałdzistych szatach stał na pierwszym stopniu podium tronu, Tom Ffynne przysiadł na kamiennym bloku wyciągając nogę, a Ingleborough pozostał w fotelu. Dyskretny Patch odszedł ku ścianom sali.

- A zatem ten rycerz wieśniaczy, syn Tatyrysa, dzieli teraz łóżko Królowej! - mruknął

Tom Ffynne. - Ale to chyba nie jest powodem twego niepokoju, Perionie? To nie pierwszy

chłopak z ludu...

- Ale najpewniej pierwszy morderca. - Montfallcon wzdrygnął się opanowując przyływ wściekłości.

- Podejrzewasz go? - spytał szeptem Ingleborough. - O co?

- Znam tego łotra. Wiem dobrze, co potrafi. To sam Quire.

- Jak długo uszczęśliwia Królową - powiedział Tom Ffynne, pomimo poruszenia Montfallcona - to jego niskie urodzenie nie ma większego znaczenia. - Urwał i spojrzał uważnie na przyjaciela. - Nie sadzisz?

- Uszczęśliwia ją. Owszem, ale to tylko transakcja. Oszustwo i słodkie słówka. -

Montfallcon słyszał nieco z tego, co Quire szeptał Królowej pierwszej nocy i dotarło też do jego uszu to, co ona odpowiadała. Montfallcon był bezradny: Quire oczarował Glorianę, dodał jej odwagi, był dla niej równocześnie ojcem, bratem i mężem. Wykorzystywał jej zagubienie, żal i zmęczenie, budząc w Królowej miłość do swej osoby. Był łagodny, jego pieszczoty przypominały Królowej (Montfallcon słyszał to na własne uszy) dotyk skrzydeł nocnego motyla. Miast wpędzić Glorianę w jeszcze głębszy kryzys, Quire ukoił ją i, jak żaden z dotychczasowych kochanków, otoczył opieką. Montfallcon omal nie oszalał tej pierwszej nocy, skutkiem czego jedna z jego żon leżała teraz ciężko poturbowana i walczyła ze śmiercią.

- Przekonany jestem, że to on zamordował lady Mary i zapewne także sir Thomasa Perrotta - dodał Montfal-Icon, rwąc zaległą po jego poprzedniej wypowiedzi ciszę.

- Ależ on dopiero co pojawił się w pałacu.

- Był już tu, krążył w murach przygotowując swoje wielkie wejście. To świetny aktor.

- W murach czai się śmierć. Żyją tam różne stwory. Sam słyszałem! - Tom Ffynne spojrzał na solidne granitowe bloki ściany. - Na wpół człowiecze gryzonie, których nie sposób wytępić, bo kryją się w zapomnianych kryptach głęboko pod ziemią.

- Wszystkie ekspedycje kończyły się fiaskiem - powiedział powoli lord Ingleborough głosem tak cichym, że słycać go było tylko dzięki akustycznym właściwościom gwiaździstych sklepień. - Nigdy jednak mieszkańcy murów nie zagrażali nam bardziej niż szczury, na które wystarcza zwykła trucizna.

- No właśnie - stwierdził Montfallcon. - Sądzę, że to tam się ukrywał. Zna zakamarki podziemi jak mało kto spoza pałacu. Dla niego cały czas stały otworem.

- Masz jakąś hipotezę, Perionie? - zaciekał się Tom Ffynne.

- Żadnej. Quire był moim agentem. Zwrócił się przeciwko swojemu panu.

- Wyjąłeś go spod prawa?

- Sam to zrobił. Gotów jestem przysiąc, że jego ambicje sięgają tronu. Oszałał żądny władzy. Dawno już podejrzewałem, że może do tego dojść.

- Zatem będzie naszym królem? W ten sposób gmin Albionu poczuje się wywyższony.

- Linia królewska pozostawała czysta od tysiąca pięciuset lat - wyszeptał lord

Ingleborough. - Wywodzi się od legendarnych Oberona i Tytanii. Oni zaś byli potomkami mitycznego Brutusa, który pokonał Gogmagoga. Gloriana ma żyłach krew Elficleosa.

- A my nie? Tyle stuleci... - uśmiechnął się Tom Ffynne.

- To nie czystość krwi pragnę ocalić - przerwał niecierpliwie Montfallcon. - Ciało, dusza, życie naszej Gloriany są zagrożone. Gdyby Quire był jedynie zwykłym zabijaką z tawern i małżeństwem z Królową mógł ochronić Albion, z miejsca uczyniłbym go szlachcicem, a nawet, gdyby było to konieczne, dowiodłbym jego wysokiego urodzenia. W ostateczności zmieniłbym prawo. Ale problem nie tkwi w pochodzeniu Quire'a, ale w jego intencjach. Zabił Saracena, porwał Króla Polski... Uczynił jeszcze wiele innych rzeczy. To on zainicjował wypadki, które doprowadziły nas do obecnej mizarii.

- A ty nawet słowem nie wspomniałeś o tym Królowej? - Ingleborough zmarszczył

brwi. - Czemu? - Pomimo obolałej szyi obejrzał się wokoło, szukając wzrokiem spacerującego w odległym kącie pazia. Odgłos jego kroków przypominał szmer wolno padających kropeł wody.

- Quire dobrze wie, dlaczego. To jego zagrywka.

- Rozumiem. Ujawniając jego naturę, musiałbyś wyjawić wszystkie swoje sekrety. O to chodzi? - Tom Ffynne wydadł wargi.

Montfallcon skinął twierdząco głową.

Lord Ingleborough westchnął, co zabrzmiało, jakby powiew odległej burzy wdarł się do podziemi.

- Czyżby już teraz zagrażała nam tymokracja? Czyżbyśmy mieli przejść wszystkie stadia monowładzy: od oligarchii do tyranii? Nie pozostaje ci nic innego, Perionie, jak ujawnić swe tajemnice.

- I uczynić tym samym jeszcze więcej złego? - Mont-fallcon był pewien swego. - Nie, Lisuarte, to ty z nią porozmawiasz. Powiedz jej, że słysześ o jej nowym kochanku że to złodziej, zabójca i szpieg. Możesz też wspomnieć, że to on zapewne zamordował wszystkich jej przyjaciół, w tym i księżną Scaith.

- Skłamałbym - odrzekł Ingleborough. - Do czego zmierzasz?

- To nie byłoby kłamstwo! - Kołysząc szatami Montfallcon zaczął wspinać się do tronu szaleńca. - Powtórzysz tylko to, co słyszałeś.

- Ale to ty ją zabiłeś! Czy sam mi tego nie mówiłeś? To ty!

- Nieprawda!

- Nie rozumiem. - Lisuarte Ingleborough zwilżył wargi. - Chcesz, abym przedstawił fałszywe świadectwo przeciwko człowiekowi, którego znam dopiero od dwóch dni? To jest bez sensu, Perionie. Nie dam się wplątać w twoje knowania!



- To ma sens. - Kurz zatańczył wokół Montfallcona, gdy Lord Kanclerz stanął na szczycie schodów i opadł na asymetryczny tron. - Mnie obecnie nie dowierza, ale tobie zaufa. To sprawka Quire'a. Wmówił jej, że jestem po prostu zazdrosny.
- Przedstaw jej zatem konkretne dowody przeciwko niemu - powiedział rozsądnie Tom Ffynne.
- Znajomość faktów będzie dla niej zbyt ciężkim ciosem.
- Ale mówisz, że Quire wiele już powiedział Glorianie i że dąży do całkowitego jej zepsucia. - Sir Thomas podrapał się za uchem. - Więcej przegrać i tak już nie możesz.
- Jest jeszcze Albion. Szlachetność, którą zbudowaliśmy.
- Nie doceniasz Gloriany, jeśli sadzisz, że znajomość prawdy może ją załamać. - Lord Ingleborough spojrział twardo na przyjaciela.
- Ta akurat wiedza może. Zwątpi we wszystko. W cnoty, w wartość szczerości. Stanie się Hernem odrodzonym, zaprowadzi cyniczną tyranię. - Montfallcon uderzył pięścią w poręcz tronu. - Czy chcesz powrotu tego wszystkiego? Czy dość masz odwagi, by podjąć ryzyko, mój panie? Czy weźmiesz rzecz na swoje sumienie? Czy uradujesz się, gdy za twoją sprawą duch Herna znów z wyciem uleci ponad świat?
- Królowa daje mu odpór równie zdecydowanie, jak każdy z nas - powiedział Tom Ffynne. - Jestem po stronie Lisuarte'a - należy oddać Glorianie co królewskie. Powiedz jej wszystko.
- By spotkać się z niewiarą? By nie mając dowodów rozbudzić jej podejrzania? Jak mogę dowieść czegokolwiek, nie ujawniając wszystkich oszustw, których dopuściłem się w jej imieniu? Błagam cię, porozmawiaj z nią, Lisuarte. Ciebie wysłucha.
- Jeśli tak mówisz, Perionie. - Lord Ingleborough opuścił przyćmione bólem oczy. - Ale czy przysięgasz, że nie masz nic wspólnego z morderstwami w pałacu?

- Daję słowo honoru.

- I obiecujesz, że nie uciekniesz się do morderstwa? Że Quire zostanie potraktowany zgodnie z prawem, wygnany na przykład?

Montfallcon wiedział, że dość już trupów. Jeszcze jedna zbrodnia, a dwór popadnie w nastrój gorszy, niż przed letnim turniejem.

- I to przysięgam. Quire nie umrze ani z mojej ręki, ani za moją przyczyną. Ale nie obejdzie się bez wygnania.

- Zatem porozmawiam z nią jutro. - Ingleborough uniósł powykręcaną dłoń do twarzy. - Rano lepiej się czuję.

- Przysłużysz się Albionowi. I Królowej - stwierdził Montfallcon.

- Mam nadzieję. - Skrzywił się. Zabolało go serce. - Patch! Wezwij ludzi, by wzięli fotel!

Mały paż zniknął, najpewniej uprzedzając życzenia swego pana.

Trzej mężczyźni czekali w ciszy, bowiem nie zostało im już nic do powiedzenia. Każdy z nich sceptycznie oceniał pozostałych i potrzebował samotności, by wszystko sobie przemyśleć.

W końcu Tom Ffynne znecierpliwił się i sam poszedł poszukać pazia i lokajów.

Znalazł służących i skierował ich do pracy, ale Patcha nie było ni śladu. W drodze powrotnej omdlały z bólu Ingleborough niemal nie zauważył braku kochanka.

## **ROZDZIAŁ 25**

**W KTÓRYM LORD INGLEBOROUGH PRZYJMUJE GOŚCIA, OTRZYMUJE OSTRZEŻENIE I PRZESTAJE CIERPIEĆ**

Lord Ingleborough leżał z dłonią zaciśniętą na poręczy fotela i głową spoczywającą na oparciu, dokładnie naprzeciwko drzwi wychodzących na małe, przytulne podwórko, z którego

przejść można było na duży plac. Rosły tam nagietki i róże, pośrodku basenu tryskała mała fontanna. Wieczór był upalny i lord Ingleborough przyglądał się leniwie owadzim wzorom fontanny. Obok czekali lokaje gotowi w każdej chwili podać wino; co pewien czas lord pytał o Patcha przekonany, że chłopak po prostu znowu zamarudził gdzieś w zabawie z rówieśnikami. Brania podwórka otworzyła się ze skrzypem i lord Ingleborough skupił spojrzenie na wejściu w nadziei, że ujrzy swojego ulubieńca, ale nadchodząca postać była nieco wyższa (choć ogólnie nie grzesząca wzrostem) i odziana w znoszone czernie. Oto zjawił się kapitan Quire, nowy faworyt Królowej, człowiek, którego następnego dnia Ingleborough obiecał oskarżyć. Może Montfallcon uprzedził w swoim gniewie Quire'a o tym zamiarze i teraz kapitan przyszedł prosić o łaskę lub paktować? Starzec wyprostował się w fotelu.

Kapitan Quire zdjął nakrycie głowy, ukazując grzywę grubych, czarnych włosów obramowujących twarz. Ścisnął sombrero w prawej, skrytej pod płaszczem dłoni, palce lewej, również schowanej pod materia, kładąc na rękojeści sztyletu, który Królowa, nazywając go swoim obrońcą, pozwoliła mu nosić na terenie pałacu.

- Lordzie Pierwszy Admirale - głos był zrównoważony i wydawał się wręcz uspokajać.

Quire skłonił się uprzejmie. - Ładne mamy ostatnio wieczory, nieprawdaż, mój panie?

- Ciepło przynosi jakąś ulgę moim starym kościom, kapitanie Quire. - Zawsze

najbardziej sentymentalny z całej ocalałej trójki, nie był w stanie odnieść się do przybyłego

nieuprzejmie, szczególnie, że wypił już sporo brandy, która jeszcze bardziej złagodziła jego

skłonność do ugody naturę. - Sztywniejsze są z dnia na dzień. Lekarze mówią, że to paraliż. -

Skrzywił się w uśmiechu. - Niedługo będę jak posąg i skończy się wreszcie cierpienie. Każę się

tam postawić - wskazał na podwórko - i przynajmniej zaoszczędzę kamieniarzom roboty przy moim pomniku nagrobnym.

Kapitan Quire raczył okazać wesołość.

- Może wina, kapitanie? - Ingleborough poruszył się z wysiłkiem.

- Nie, dziękuję, sir.

- Nie wyglądasz na miłośnika alkoholu. Czy jesteś może jednym z tych, którzy uważają go za zło wcielone?

- Raczej za złodzieja czasu, mój panie. Miesza w głowie. Wiele narodów wyniósł na szczyty i wiele pogłębił. Doceniani jego władzę, a nie każda władza od razu musi być złem.

- Władzę, jak doszły mnie słuchy, cenisz sobie bardzo wysoko.

- Słyszałeś coś o mnie, panie? Jestem zaszczycony. Od kogóż to?

- Od lorda Montfallcona, który jest moim starym przyjacielem. Opowiadał mi o czasach, gdy pracowałeś dla niego.

- Owszem, był przez jakiś czas moim patronem. - Quire oparł się o framugę, częściowo pozostając w cieniu, częściowo w blasku, bokiem do Lorda Pierwszego Admirala.

- Po rozmowie z Montfallconem odniosłem wrażenie, że jesteś osobą ogólnie nieokrzesaną. - Lord Ingleborough przyglądał się Quire'owi. - A czasem nawet rzezimieszkiem.

- W pewnych kręgach cieszę się nawet jeszcze gorszą reputacją. Podobnie zresztą jak lord Montfallcon i sir Thomas Ffynne. Oni też bywali brutalni w służbie dobrej sprawy.

- A ja?

Quire był niemal zdziwiony.

- Ty, mój panie? Wiodłeś wzorowe życie, i to pod każdym względem. O dziwo, nie jesteś też uważany za szalonego.

- Aha, widzę, kapitanie, że przybyłeś z jakąś sprawą!

- Nie, mój panie. Poza tym, lord Montfallcon i sir Thomas podziwiani są głównie za ich przebiegłość. O tobie zaś tego bym nie powiedział.

- Bo ja jestem, jakby to ująć, bardziej pobożny?

- W każdym razie nie masz krwi na sumieniu - Quire przemawiał łagodnie i spokojnie, jakby przyszedł spędzić trochę czasu z chorym przyjacielem, którego zwykł odwiedzać. -

Chyba niewielu uchroniło się przed tym za panowania Króla Herna.

- Nikt mnie jeszcze nie nazwał niewinnym. Ostatecznie znany jestem jako pederasta.

Wszyscy moi lokaje, ci młodzi mężczyźni, byli moimi kochankami. - Ingleborough poprawił się w fotelu i spojrzał na uśmiechniętych służących. Wydawał się być urażony. - Niewinny! -

Czuł się jednak mile połączony słowami Quire'a. - No, no! - Skrzywił się, gdy ból znów go zaatakował. - Hipokratesie, Hipo-kratesie! Jak bardzo potrzebna mi twa pomoc! Wina, Crozier.

- Lokaj napełnił z dzbana cynową filizankę i przytknął ją do ust Ingleborougha. - Dziękuję.

Spojrzał ostro na kapitana.

- Jak wiesz, odegrałem pewną rolę w budowaniu nowego Albionu. Parę razy, dla dobra Królowej, rezygnowałem z własnych przekonań. Gotów jestem bronić Królestwa przed każdym przeciwnikiem.

- Jak chyba my wszyscy. Też służyłem wytrwale interesom Gloriany.

- Naprawdę?

Kapitan Quire przytknął palec do warg.

- Cóż, sir, można powiedzieć, że przedsiębrałem akcje, które zgodnie ze słowami innych miały przysłużyć się interesom Królowej.

- Chcesz powiedzieć, że ty nigdy ich nie oceniałeś? A może cechuje cię sceptycyzm?

- Nie mam własnego zdania.

- A zatem jesteś amoralny.

- Chyba tak, mój panie, taki zapewne jestem. - Quire uśmiechnął się, jakby uradowany

epitetem wypowiedzianym przez Ingleborougha. - Amoralny. Każdy artysta musi być poza

dobrem i«złem. Amoralny pod każdym względem, chyba że chodzi o obronę jego sztuki.

- A zatem jesteś artystą, sir? - Ingleborough skinął gwałtownie, by podano mu więcej wina. - Malujesz? Rzeźbisz w kamieniu? Może piszesz utwory sceniczne? Poezję? Lub prozę?

- Powiedziałbym, że to ostatnie jest najbliższe prawdy.

- Skromny jesteś. Musisz opowiedzieć mi więcej o swojej twórczości. - Ingleborough zapałał silną sympatią do Quire'a, co jednak nie zmieniało w niczym zobowiązań podjętych wobec Montfallcona.

- Wolałbym nie, mój panie.

- Nie masz wyboru. Słucham, kapitanie Quire. Czemu skrywasz talent? Powiedz mi, co robisz? Muzyka? Pantomima? A może po kryjomu ćwiczysz taniec?

Quire roześmiał się.

- Nie, wasza lordowska mość. Ale jeśli zostaniemy sami, przedstawię ci próbkę mojej sztuki.

- Wspaniale. Odprawię służbę. - Skinął lekko głową i błyskawicznie został zrozumiany.

Lokaje odeszli, zostawiając swego pana sam na sam z Quire'em.

- Lord Montfallcon powiedział ci, że wspierałem czynem jego polityczne zabiegi - stwierdził Quire tonem tak pewnym, jakby podsłuchiwał niedawną rozmowę w starej Sali Tronowej. - Wspomniał o Saracenie i o Królu Polski. Oczywiście robiłem o wiele więcej. Byłem w sławnej Panamie, gdzie władą teraz poprzedni sekretarz Królowej. Osadziłem go tam na tronie w imieniu Albionu. Od tamtej pory krwawe i bezmyślne obrzędy ustąpiły miejsca cywilizowanemu prawu. Zawsze tępiłem dzikich, podobnie jak ignorantów oraz tych, którzy działanie przedkładają nad myślenie. Takie zwyczaje prowadzą do hipokryzji.

- Nieświadomie.

- Oczywiście, ale nie umniejsza to zalet umysłów oświeconych.

- Bardzo cennych zalet, kapitanie. - Lord Ingleborough czuł się rozbawiony tą wizytą. -

Oddawanie czci bogu, na przykład, niszczy godność człowieka.

- Dokładnie. Nie będę jednak wyliczał wszystkich moich dokonań, niemniej

powiedzieć mogę, że odmieniły one oblicze tego świata.

- Nic nie powiedziałaś jeszcze o swej sztuce. Miałaś ją' zademonstrować.

- Oto właśnie jest moja sztuka.

- Szpiegostwo?

- Można to i tak nazwać. Po części przynajmniej. Ogólnie to polityka.

- I masz w tym swój cel. Moralny, aczkolwiek ogólny: oświecenie.

Quire słuchał uprzejmie i rozważał słowa lorda Ingleborougha.

- Całkiem możliwe. Tak. To bardzo ogólny cel.

- Kontynuuj.

Quire zaczął przemawiać z większą swobodą.

- Moja sztuka wymaga wielu talentów. Pracuję bezpośrednio na tkance świata, podczas gdy inni artyści oddziałują na nią tylko pośrednio lub ją naśladowają.

- Trudna to sztuka. Wiele musi czaić się w niej niebezpieczeństw, na które inni artyści nie natrafiają.

- Oczywiście. Moje życie i wolność są nieustannie zagrożone. - Quire stał się poważny.

- Z pewnością, mój panie. Gdy jutro rano odwiedzisz na prośbę lorda Montfallcona Królową, w szczególny sposób zagroziś tak moim planom, jak i zapewne mojej wolności.

Lord Ingleborough uśmiechnął się, niemal zapominając o bólu.

- A zatem Montfallcon powiedział ci. I przyszedłeś po prośbie.

- Nie, milordzie.

- A zatem chcesz skłonić mnie do złamania danego słowa.

- Chcę powiedzieć, że lord Montfallcon nie przekazał mi niczego wprost i że nie przyszedłem prosić o cokolwiek. Podśluchałem waszą rozmowę. Zobaczyłem, że się zbieracie i poszedłem za wami. Jak trafnie odgadł lord Montfallcon, dobrze znam tajemne przejścia pałacu.

- Podśluchiwałeś? Cóż, też to robiłem w dawnych czasach. Czy to ty zabiłeś księżnę Scaith?

- Nie.

- Tak myślałem.

- Uważasz, panie, że to Montfallcon ją zabił? - spytał Quire obojętnym głosem.

- Cóż, nigdy nie był jej przyjacielem.

- Plotki głoszą, że uciekła z pałacu.

- Nic o tym nie świadczy. O wiele więcej zdaje się wskazywać na to, że nie żyje. Ale

odbiegliśmy od tematu, kapitanie. - Siły znów opuszczały lorda Ingleborougha. Zmierzch z

wolna przeradzał się w noc. - Może najlepiej będzie, jeśli powiem ci po prostu, co zamierzam

zrobić. Dałem słowo Montfallconowi, że poinformuję Królową o niebezpieczeństwach

grożących jej z twojej strony. Perlton określił cię jako mordercę, szpiega, a nawet gorzej.

Zaznaczę twoją uczciwość, bowiem zwykłem dostrzegać wszelką uczciwość; nawet jeśli jest w

okrucieństwie, chciwości, zbrodni. Wolę to od hipokryzji. To wszystko powiem Królowej.

- Ona i tak już wie, kim jestem - stwierdził Quire głosem, w którym znać było tłumioną wściekłość.

- Sam jej to powiedziałaś?

- Doceniła we mnie artystę, którym jestem przede wszystkim. Jest oszukiwana, ale woli być zwodzona przeze mnie niż przez ciebie lub Montfallcona, czy Wielkiego Kalifa.

- Rozumiem. Ale muszę wyliczyć twoje zbrodnie tak, jak opisał mi je Montfallcon. Nie



podejrzewam cię o chęć skrzywdzenia Królowej. Jeszcze nie teraz. Sądzę jednak, że z czasem staniesz się zdolny wyrządzić wiele złego Królestwu i skorumpować Królową. Jesteś bowiem o wiele bardziej bystry, niż sugerował mi to lord Montfallcon, Kapitan Quire skłonił się w podzięcie.

- Gdybyś, panie, był moim patronem, nie doszłoby między nami do konfliktu.

- Jakie są twoje plany, kapitanie Quire? Co zamierzasz osiągnąć?

- Wzmacniać i definiować wrażenia odbierane przez me zmysły. Zawsze wszystkim udzielani tej samej odpowiedzi.

- Ale musisz mieć jakieś określone zamiary. Czy jesteś lojalny wobec Albionu?

- To nic nie znaczy. Co to jest lojalność? Przekonanie, że to, co jeden człowiek robi dla drugiego, jest tym właśnie najlepszym dziełem, którego można dokonać. Nie, ja nie podejmuję się wystawiania takich ocen. Powiedziano mi, że to, co robię, najlepiej przysłuży się Albionowi.

- A zatem masz pana. Kto to jest?

- Mam patrona.

Ingleborough skrzywił się w kolejnym ataku bólu. Quire nalał brandy do filiżanki i przytknął ją do wykręconych ust.

- Dziękuję, kapitanie. Kto nim jest?

- Nie zwykłem zdradzać nazwisk takich osób.

- Z patronatu Montfallcona nie robiłeś sekretu.

- Nie wtedy, gdy byłem w jego służbie, mój panie.

- Jakie zadanie wyznaczył ci twój opiekun?

- Takie samo, jak Montfallcon. Uratować Albion.

- Ale jest przeciwnikiem Lorda Kanclerza?

- Pod pewnym względem.

- Perrott? Żyje? Czy to on cię wynajął? Quire potrząsnął głową. Ochłodziło się.

- A zatem nadal zamierzasz porozmawiać z Królową?

- Tak, kapitanie.

Quire odsunął połą płaszcz i ukazał sztylet.

Lord Ingleborough spojrział na ledwo rysującą się w półmroku broń i wzruszył ramionami.

- Chcesz mnie zamordować? Przy tylu świadkach?

- Oczywiście, że nie. Nie zdobyłem jeszcze wystarczającej pozycji na dworze.

- Niemniej wymowa twego gestu była jednoznaczna.

- Obiecałem dać ci przykład mej sztuki.

- Owszem.

Quire spojrział w ciemność dziedzińca.

- Cóż, mam twego kochanka.

- Patcha? - Lord Ingleborough uniósł obie obrzmiałe dłonie do twarzy. - Ach!

- Pojmałem go jak tylko dowiedziałem się o twoich zamiarach. Zabawiałem się już z nim po południu. - Palce musnęły rękojeść sztyletu. - Teraz jest mój, ale odzyskasz go, o ile przysięgniesz milczenie w mojej sprawie.

- Nie. - Ingleborough trząsnął się i głos jego był prawie niesłyszalny. - Och, nie!

- Jest bezpieczny, ale jeśli powiesz cokolwiek, zostanie zabity.

- Nie!

- Wspomniałeś, że nie masz przeciwko mnie żadnych dowodów, a Królowa będzie ich oczekiwała. Będzie zła, że oczerniasz przyjaciela, którego we mnie znalazła. Pomyśl o tym, mój panie.

- Owszem. Ale moim zadaniem jest wypełnić obowiązek. Teraz tym bardziej. Muszę ostrzec Królową.

- Wówczas Patch umrze.

- Oszczędź go - głos brzmiał jak powiew wiatru. - Błagam cię. Nic nie uzyskasz, gdy go skrzywdzisz. Kocham go.

Kapitan Quire ścisnął sztylet w dłoni.

- Mój instrument wdarł się już w jego świątynię... Rozgrzany wszedł jak w masło... Cóż, umrze starą, sławną śmiercią pederasty...

Lord Ingleborough jęknął.

- Przyrzeknij milczenie, lordzie, tak twoje jak i Patcha, a ten miły młodzieniec będzie wolny.

- Nie!

- Nie chcesz złamać lekkomyślnie danego słowa i wolisz zadać straszną śmierć twemu ukochanemu...

Lord Ingleborough płakał, wykrzywiając usta. Quire wyprostował się.

- A zatem mam iść go zabić, mój panie?

- Po prostu przyprowadź go, Quire - Ingleborough miał kłopoty z mówieniem.

- I...?

- Oddaj mi go! Błagam cię.

- Będziesz milczał?

- Nie.

- A zatem i ja muszę dotrzymać słowa. Cokolwiek się zdarzy, przyniosę ci jakąś pamiątkę. Może oko? A może drobną, delikatną mosznę?

- Proszę, oszczędź go.

- Nie.

- Kocham go.

- Właśnie dlatego go porwałem.

Ingleborough dostał drgawek. Usta jego otwierały się i zamykały gwałtownie, oczy lśniły chorobliwie, twarz okryła się purpurą, potem zsiniała.

Z niejaką przyjemnością Quire rozpoznał pierwsze symptomy tego, co było nieuchronne.

- Spokojnie, panie. Twoje serce zawodzi. - Wziął dzban ze stolika i przytrzymał w pewnej odległości od wyciągającej się po naczynie ręki. - W takiej chorobie jak twoja, często pierwej powala człowieka atak serca. Pamiętam, jak mój stryj... Nie, nie, alkohol może tylko pogorszyć sprawę. Chcesz umrzeć i nie uratować Patcha? Jeśli nie zmuszę cię do milczenia, to chłopak będzie musiał zniknąć. Co wybierasz, mój panie...

Lord Ingleborough zakwilił z głębi gardła. Usta rozwarły się niby siłą rozciągnięte, język wysunął z ust, oczy wyszły na wierzch.

- Służba! - zawołał Quire z wielkim przejęciem w głosie. - Szybko! Wasz pan jest chory!

Młodzi lokaje nie spieszyli się zbytnio, grali bowiem w karty kilka pokojów dalej.

Gdy przyszli, ujrzeli Quire'a usiłującego wlać brandy w usta ich pana. Crozier wyjął dzban z rąk kapitana.

- Za późno, sir. Nie żyje. Chyba umarł szczęśliwy, bo wygląda na to, że setnie go rozbawiłeś. Odnoszę jednak wrażenie, że emocje były zbyt silne.

- Obawiam się, że masz rację - zgodził się Quire.

## **ROZDZIAŁ 26**

**W KTÓRYM KRÓLOWA PRZYJMUJE KILKU DWORZAN I PODEJMUJE PEWNĄ DECYZJĘ**

Strój Królowej był odpowiedni na panujący wielki upał, a zarazem stanowił odzwierciedlenie nastroju Gloriany. Miał orientalny krój: lśniące jedwabie i bawełniane welony, wiele wszytych pereł i barokowych ozdób z saraceńskiego złota. Quire, w swych zwykłych czerniach, ułożył się na kanapie obok jej fotela ustawionego na wprost okna salonu. Królowa odpoczywała tu, starając się zapomnieć o Sali Posłuchań. Jak na jej gust zbyt wielu chętnych tłoczyło się wciąż w Sali Audiencyjnej; przyszli mając nadzieję, że zaraz po święcie Królowa znajdzie dla nich czas. Gloriana rozmarzyła się niby egipska cesarzowa, jednakże mimo owej samooszukańczej pozy nadal była uśmiechnięta i miła dla wszystkich. Smuciła się też jeszcze po stracie Ingleborougha.

- To było nieuniknione i cieszę się, że nie umarł samotnie - powiedziała tego ranka swemu kochankowi, gdy ten ukoił ją, wprowadzając w nowy nastrój spokoju i równowagi ducha. Potem ona odkryła i zaspokoila jego pragnienie. Żyła po to, by go uszczęśliwić. Nie znała nigdy nikogo, kto z takim wdziękiem przyjmowałby czyjąś miłość. Jego mocne, przystojne, choć nieduże ciało inspirowało ją tak, jak piękny instrument muzyczny mógłby napełnić natchnieniem kompozytora. Każde dotknięcie odkrywało przed nią nowe, słodkie brzmienia, które przynosiły rozkosz. Teraz mogła bez trudu zapomnieć o obojętności własnego ciała, bowiem Quire nie czynił żadnych wysiłków, by ją pobudzić i była mu za to wdzięczna. Dowodziło to jego wielkiego zrozumienia i miłości.

Jej damy, ubrane w suknie harmonizujące ze strojem Królowej, przypominały rozchichotany harem jakiegoś indyjskiego władcy. Osobę Quire'a przyjmowały z zainteresowaniem i poświęcały mu wiele uwagi. Gdy John Dee w biało-złotej szacie wszedł do komnaty, damy przeniosły się do antyszambrów. Doktor wyglądał blado i robił wrażenie rozkojarzonego, ale jego ukłon przed Quire'em był więcej niż przyjacielski, a powitanie z Królową wykraczało ponad przyjęte na dworze ramy uprzejmości.

- Wasza Wysokość, zgodnie z twoim życzeniem wykonałem polecenie Montfallcona.

Ponieważ Lord Kanclerz i mnie nie ufa, obecni byli także inni lekarze. Ciało zostało otwarte, a wnętrzności zbadane. Nie znaleziono niczego poza winem. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny zmarły nie przyjmował żadnych pokarmów. Ani śladu trucizny. Żadnych odbarwień, woni ani zmian.

Królowa machnęła wachlarzem, jakby chciała odgonić pchającą się przed oczy wizję.

- Dziękuję, doktorze Dee.

- Według mnie, pani, lord Montfallcon cierpi na brak spisków. Przywykł tropić zdrajców jak pies gonić za szczurami. Żyje po to tylko, by demaskować wrogów.

- Lord Montfallcon dba o bezpieczeństwo Królestwa. Wykonuje swój obowiązek tak, jak uznaje to za stosowne. - Królowa nie była skłonna gorliwie bronić Montfallcona.

John Dee przeczesał palcami długą, śnieżną brodę.

- Trybiki w jego głowie kręcą się niby w zegarze, któremu odjęto wahadło.

- Lord Ingleborough był jego najlepszym przyjacielem. To głęboki smutek. W żalu tym szuka złoczyńcy, którego mógłby obwinie o wszystkie nasze nieszczęścia. - Głos Królowej nabrzmiał współczuciem. - Jego uwaga skupia się tym samym na najbardziej podejrzanych i na wszystkich nowych twarzach. A kapitan Quire dopiero co pojawił się na dworze.

- Chciał uzyskać dowody na to, że lord Ingleborough został otruty i teraz jest rozczarowany. - Dee spojrzał z sympatią na Quire'a. - Jest o ciebie zazdrosny, kapitanie, i uznaje cię winnym wszystkich zbrodni Albionu.

Quire wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Wydaje mu się, że mnie zna. Tak mi powiedział.

- Nie może znać cię, sir - powiedział poważnie Dee - bowiem ledwie kilka miesięcy temu zjawiałeś się w naszej sferze. Przyjechałeś w rydwanie mistrza Tolcharde'a.

Quire wyciągnął się na kanapie.

- To ty tak mówisz, doktorze Dee. - Wobec niego kapitan udawał w tych sprawach amnezję, bowiem pozycja człowieka bez przeszłości, przynajmniej tutejszej przeszłości, była bardzo wygodna wobec Królowej.

Drzwi salonu otwarły się i stanął w nich lokaj.

- Wasza Wysokość, sir Thomas Ffynne czeka na przyjęcie.

- Proszę, niech wejdzie. - Gloriana zamknęła wachlarz i wyciągnęła dłoń, by Tom Ffynne mógł ją ucałować. Przywitał się mruczając coś pod nosem do doktora, uśmiechnął się do Quire'a i na znak Królowej usiadł w krześle wyściełanym białym jedwabiem.

- Dzień dobry, Wasza Wysokość, witajcie dżentelmeni. Perion Montfallcon skończył już swe ponure dzieło?

- Tak. Właśnie stamtąd wracani. - Doktor Dee wymienił z nim spojrzenie.

- Ani śladu trucizny?

- Nic.

Tom Ffynne był usatysfakcjonowany.

- Jego mały paż uciekł. Wiecie, Patch. Najpewniej zrobił to, gdy usłyszał, co się stało, lub ujrzał zwłoki pana. Nie można go znaleźć.

- Pewien jestem, że z czasem wróci - powiedział kapitan Quire.

- Przykra sprawa. Patch był bardzo silnie związany z Lisuarterem, ale ten biedak cierpiał już ponad miarę. Śmierć była dla niego wyzwoleniem, ale żyć będzie tutaj - Ffynne poklepał się po czole. - Był najlepszy z nas wszystkich. Najszlachetniejszy z dawnych sług Herna. Co stanie się z jego dobrami? Nie pozostawił bezpośredniego spadkobiercy.

- Miał w Dale krewnego - powiedziała Gloriana - który przez wiele lat był rządcą Ingleborough.

- Prawdziwy krewniak, czy...?

- Dokumenty dość wiarygodnie świadczą o więzach krwi - uśmiechnęła się Królowa. -

W takich sprawach, o ile nie ma innych pretendentów, urodzenie jest sprawą względną. Onże krewniak będzie nowym lordem.

- A gdzie jest Perion? - Tom Ffynne spytał doktora Dee.

Gloriana i kapitan Quire wymienili znaczące spojrzenia i nie dosłyszeli pytania Toma.

- Zapewne wrócił do swoich gabinetów. - Doktor Dee nałożył złotą czapeczkę na siwą głowę. - Nie jestem jego stróżem, sir Thomasie.

- Tak, trudno z nim teraz wytrzymać. Pamiętam, gdy był młodszy i jego rodzina żyła jeszcze. Wówczas nie ulegał tak silnym emocjom. Ale stopniowo jego duch hardział w służbie Albionu jak stawy biednego Lisuarte'a. Podejrzewam, że mocno przez to cierpi. Nie powinieneś źle o nim myśleć, doktorze Dee.

- Bo nie myślę tak. To lord Montfallcon ma o mnie złą opinię. Widzi we mnie czarownika, który usiłuje rzucić urok na Królową.

- No proszę - uśmiechnął się Tom Ffynne. - W jego oczach nie jesteś już, jak dawniej, nieszkodliwym dziwakiem. Teraz dostrzega większe zagrożenia, jak chociażby kapitan Quire. - Spojrzał ostro na czarną postać.

Ten roześmiał się beztrósco.

- Co takiego o mnie opowiada, sir Thomasie?

- O, wiele rzeczy. Na przykład, że jesteś waść przyczyną wszystkich kłopotów Albionu.

- Tyle już słyszałem. A konkretnie?

Sir Thomas uśmiechnął się krzywo. Miał świadomość, że Quire świetnie zdaje sobie sprawę, jak głębokim zaufaniem darzy Montfallcon starego przyjaciela. Kapitan rzucał wyzwanie, oczekiwał, że Ffynne powie wszystko, co usłyszał od Lorda Kaclerza, a czego



nawet sam Montfallcon nie odważyłby się przekazać Królowej. Potrząsnął z podziwem głową.

- Mówi o tobie jako o mordercy, szpiegu, porywaczu, gwałcicielu i złodzieju. Lista występków wydaje się nie mieć końca.

Królowa roześmiała się.

- Skąd on może mieć tyle danych o tobie, Quire? Czyżbyś kiedyś odrzucił jego zaloty?

Ale dość, koniec z tym tematem. Lord Montfallcon jest najbardziej lojalnym poddanym Królestwa i dobrze nam służy. Nie obgadujmy go.

- Nie sądzę, aby to była obmowa - powiedział sir Thomas. - To mój przyjaciel i podjąłem temat w uzasadnionej obawie o jego zdrowie psychiczne. Należy wysłać go do jakiegoś majątku na wsi, by odpoczął.

- Uzna, że został wygnany.

- Wiem. Należy oddać mu cały szacunek, na jaki zasługuje w oczach Waszej

Wysokości - Tom Ffynne był całkiem poważny. - Nie chciałbym, żeby poszedł w ślady Lisuarte'a.

- Ale to chyba raczej nam nie grozi? - spytał kapitan Quire głosem obojętnym jak ktoś, kto włącza się do dyskusji nie znając jej zasadniczego wątku.

- Wszystkie te pogonie za cieniem mocno go osłabiają. - Ffynne podrapał się w ogorzałe czoło. - Lato zaś to czas, kiedy ożywa wyobraźnia. Skryte humory wypływają na wierzch wraz z potem.

- Myślisz, że jesień go ostudzi? - spytała Królowa.

- Jeśli będzie umiejętnie traktowany.

- Ustępowałam mu przez większość mego życia, sir.

- W rzeczy samej, pani. W zamian on troszczył się bez reszty o Waszą Wysokość.

- Dla dobra królestwa.

- Oraz z miłości, Wasza Wysokość.

- Niemniej każdego, kto poza nim zaczyna odnosić się do mnie z przyjaźnią, nazywa zdrajcą. Tak było z księżną Scaith, z doktorem Dee, tak jest z kapitanem Quire'cm. Jest o nich zazdrosny. Nie darzył zbyt wielką estymą lady Mary. Czy mam lękać się o życie wszystkich, których kocham, sir Thomasie?

Ffynne był przerażony.

- Nie sądzę, pani, by Montfallcon zdolny był wziąć na sumienie aż tak wielką winę. By decydować o czyimś życiu...

- Ale wydaje się, że bez skrupułów budzi poczucie winy we mnie -mruknęła Gloriana. - Wina odziedziczona to jedno. Wyrastałam z nią, dźwigam przez cały czas panowania. Tu jednak chodzi o coś innego. Twój przyjaciel, nasz Kanclerz, rzucając kalumnie na moich przyjaciół oskarża tym samym mnie. Czy na tym polega lojalność, o której wspomniałeś?

- Montfallcon dźwiga wiele ciężarów i nie wszystkie ujawnia. Niejedno brzemie wziął na swe barki po to jedynie, by nie obciążać twoich.

- Słucham? Jakie na przykład?

Tom Ffynne zmieszał się.

- Tego nie wiem, Wasza Wysokość. Nie zapoznał mnie ze szczegółami swych posunięć.

- Uprawianie polityki leży po prostu w jego naturze. Spiski to jego żywioł.

Temu admirał nie mógł zaprzeczyć. Rzucił okiem na Quire'a, który wyraźnie czekał na ciąg dalszy. Kapitan wstał, obszedł leżankę i wyjrzał przez okno na kwietną orgię, na tysiące szeleszczących pawich oczu, na zieloną gładź trawników, na których wygrzewały się ciężkie iguany. Quire udawał zakłopotanie właściwe obcym, wplątanym w cudze sprawy. Ffynne oburzył się, ale zaraz pomyślał, że właściwie nowy kochanek Królowej nie ma powodu, by zabierać głos. Dość było oskarżeń ze strony Montfallcona, którym najpewniej kierowała złość

po utracie sługi mogącego teraz zostać jego panem.

- Może coś na uspokojenie..? - zapytał kierowany zmysłem praktycznym doktor Dee

świadom, że zgromadzeni mogą poczytać to za hipokryzję. - Gdyby usnął... Mogę przygotować napój...

- Myślisz, że przyjąłby go z twoich rąk, mój pocziwcze? - Królowa Gloriana

roześmiała się i spojrzała na doktora bez wyrzutu. - Nie sądzę!

- Lord Montfallcon... - zaczął Quire, ale urwał widząc lokaja stojącego w otwartych drzwiach.

- Lord Kanclerz, Wasza Wysokość.

Gloriana zawahała się. Spojrzała błagalnie na Toma Ffynne'a, ale ten był bezradny. Na nowo ożyło w niej

poczucie lojalności, serce jej zmiękło i powróciły konwenanse.

- Wpuść go.

Lord Montfallcon wkroczył w dostojnych czerniach, ze złotym łańcuchem na szyi i z głową jakby bardziej siwą niż dotąd. Stanął przed zgromadzonymi jak śmierć przychodząca po zniwo. Zlustrował podejrzliwie wszystkie twarze, po czym nie pochodząc bliżej, skłonił się przed Królową.

- Wszystko wskazuje na to, że zejście Ingleborougha miało naturalny charakter - powiedział.

- Tak, mój panie. - Królowa skinęła lekko w kierunku Johna Dee. - Już to słyszeliśmy.

- Czasy mamy takie, że lepiej się upewnić - Tom Ffynne nieśmiało usiłował pomóc przyjacielowi.

- Takie czasy. Święta prawda. - Ku żalowi Królowej Montfallcon spojrzał twardo na Quire'a. Gloriana wstała.

- Milordzie? - spytała niecierpliwie. - Co masz nam do zakomunikowania?
- Widzę, że przeszkodziłem w jakiejś prywatnej naradzie. - Montfallcon nie uczynił kroku, by wejść dalej do komnaty. Nie miał tu sprzymierzeńców, oprócz Ffynne'a, a i ten wydawał mu się niepewny. - Przybywam jednak z pilną sprawą, Wasza Wysokość.
- A zatem, mój panie, powiedz nam, o co chodzi. - Zerknęła przy tym na Quire'a, który odwzajemnił spojrzenie.
- Rzecz dotyczy twoich publicznych obowiązków, pani. Muszę uzgodnić terminy audiencji. Skoro księżna Scaith nie pełni już funkcji twojej sekretarki, obawiam się, że będę musiał przejąć jej rolę przynajmniej do chwili, gdy twój... gdy kapitan Quire...
- Kapitan Quire nie piastuje żadnego oficjalnego stanowiska, mój panie.
- A zatem? Wasza Wysokość?
- Jakie to konkretne obowiązki mnie wzywają, lordzie?
- Wielu oczekuje na rozmowę z tobą. Ambasadorzy i tak dalej. Biorąc pod uwagę, że czasy mamy niespokojne i że zagraża nam wojna, dobrze byłoby osobiście wesprzeć potęgę Albionu.
- A zatem niech mają zagadkę, mój panie. Może nie mogąc się z nami zobaczyć, uznają nas za o wiele potężniejszych?
- Ale jest jeszcze sprawa dorocznego objazdu, Wasza Wysokość. W całym Królestwie najbardziej lojalna szlachta oczekuje twego przybycia. Od Południa do Pomocy, od Zachodu po Wschód gotowi są już na twoje przyjęcie. Biorąc pod uwagę, że udało się uspokoić nieco pretensje rodziny Perrottów, wskazane jest, byś spędziła nieco czasu z rodzinami, na których opiera się Królestwo. W przeciwnym razie buntownicy zaczną szukać pośród nich sprzymierzeńców dla swych postępów.

Królowa słuchała tylko jednym uchem.

- Postanowiliśmy, że nie będzie objazdu w tym roku, mój panie - odpowiedziała

niepewnie. - Uważamy, że letni turniej był dość wspaniały, by upewnić przyjaciół o naszych łaskach i zdrowiu, a wrogów o potęgę i posiadanym przez nas poparciu.

- Z pewnością, pani, to było istotne, ale musi zostać utrwalone. Tegoroczna wyprawa ma kluczowe znaczenie. Dwór powinien wyruszyć, by wzmocnić strukturę, na której opiera się Królestwo.

- A która wcale tego nie potrzebuje. - Kapitan Quire chyba od razu pożałował swoich słów. - Chcę tylko powiedzieć, że Albion nigdy nie był silniejszy.

Montfallcon spojrział na niego.

- Struktura jest silna na tyle, na ile czujny jest jej gospodarz. Zdarzyć się może, że gryzonie, wszy i zgnilizna rozpanoszą się w ścianach, pustosząc fundamenty i dźwigary, i nikt nie zauważy ruiny wspaniałego gmachu, aż pewnego dnia ten zawali się niespodziewanie.

- Słyszałem o kupcach, którzy w trosce o bezpieczeństwo swych dóbr gotowi są przepiłować mocne i zdrowe belki w poszukiwaniu robaków, podkopać najmocniejsze nawet fundamenty w pogoni za urojonym szkodnikiem, i sprawić w ten sposób, że domostwo runie im na głowę. - Kapitan Quire umilkł ostrzeżony niespokojnym spojrzeniem Królowej. - Niemniej ja nie znam się na podobnych sprawach, mój panie. Wybacz, że zabrałem głos w tej kwestii.

- Wydajesz się świetnie zorientowany, „sir Palmerin” w sprawach, które tyczą tępienia gryzoni. - Lord Montfallcon pozwolił, by w jego głosie zabrzmiało coś na kształt pogardy. -

Może sam ucierpiałeś kiedyś uciekając przed terierem? A może sam byłeś tym psem?

- Zaczynasz wyrażać się niezrozumiale, mój panie - odpowiedział Quire obojętnie, w sposób dający jednak do zrozumienia Królowej, że jego uczucia zostały urażone i że drażni go ta rozmowa.

- Zapominasz się, mój panie!

- W czym, Wasza Wysokość? - spytał całkiem niewinnie.
  - Nie pamiętasz o uprzejmości obowiązującej wobec gościa! Cóż takiego ci uczynił, by tak źle się o nim wyrażać?
  - Co mi uczynił? - Montfallcon zmarszczył brwi. Otworzył usta. - On... Znam jemu podobnych - powiedział w końcu tonem wymówki.
  - To znaczy jakich, wasza lordowska mość? - Quire zdawał się drżeć od tłumionej wściekłości.
  - Dość tego! - przerwała gniewnie Królowa. - Wszyscy wiemy, lordzie, że jesteś przemęczony, i wiemy też dlaczego. Jeśli pragniesz odpocząć, to chętnie spotkamy się z tobą popołudniu. Wtedy wrócimy do rozmowy i wyjaśnisz nam wszystko, skoro tak tego pragniesz.
  - Wykręcasz się od obowiązków, pani? Musisz wyruszyć w objazd!
  - Perlonie! - krzyknął Tom Ffynne zrywając się i kuśtykając w kierunku Montfallcona. -  
Poczekaj kilka godzin...
  - Musisz wyruszyć w objazd, Gloriano -mówił swym zwykłym, cichym, ale nabrzmiałym furią głosem. - Od tego zależy los Królestwa.
  - Albionowi nic nie grozi.
  - Nigdy nie znajdował się w większym niebezpieczeństwie.
  - Jakim niby?
  - Uwierz mi, pani, że tak jest.
  - Udowodnij mi to, Lordzie Kanclerzu.
  - Już niedługo dowody będą aż nadto widoczne.
  - Dobrze, mój panie, a zatem zaczekamy, aż się ujawnią.
- Twarz Montfallcona oblała się purpurą.
- Och, pani... - Oddychał ciężko. - Słuchasz złych doradców.

- Słucham tylko własnego sumienia, mój Montfallconie. Po raz pierwszy w życiu.

- Filozofia Herna przemawia przez ciebie! - Nadal trwał na swym miejscu przy drzwiach. - Słyszałem już to kiedyś, pani.

Znów ją rozzłościł.

- Możesz już odejść, lordzie.

Montfallcon wskazał drżącym palcem na Quire'a.

- Ten robak, pani, zaraża cię chorobą sofizmu, uczyni cię okrutną i znenawidzoną, mrok sprowadzi na Albion.

- Ależ, mój panie! Przemawiasz do Królowej!

Tom Ffynne usiłował ująć ramię Montfallcona.

- Perlonie, to co powiedziałaś, to niemal zdrada. Tak przynajmniej zostałyby osądzone w czasach Herna. Chodź.

Montfallcon nie ruszył się z miejsca.

- Jesteś po ich stronie, Tomie. Służysz im. Widzę, że popierasz Quire'a. Cóż, Lisuarte też polubił go i umarł. Zaakceptowanie tego człowieka oznacza przyjęcie cykuty.

- Jesteś zmęczony, Perionie. Pozwól, że pójdziemy teraz do ciebie i tam porozmawiamy.

Montfallcon odtrącił dłoń Ffynne'a.

- Zostałem sam. Samotnie będę bronił Albionu. I ją też będę chronił przed wszystkim, co może zagrozić, skądkolwiek pojawiłoby się niebezpieczeństwo. Zbyt długo tolerowałem zmysłowość drążącą potajemnie dwór. Samolubna żądza osłabia. Ujrzymy jeszcze powrót Herna, wspomnicie moje słowa.

- Ależ to nonsens, mój panie. - Królowa była już spokojna.

- A zatem wyjdź za mąż, pani. Poślub kogoś i skończ z tym wszystkim! Odegnaj

pokusy, którym ulegasz w prywatnych apartamentach rozrosłych do rozmiarów całego twego świata. Znajdź sobie męża szlachetnego urodzenia i pobierz się. To odwróci od nas groźbę wojny. Małżeństwo wzmacnia, żal dzieli na dwoje i ciężar odpowiedzialności rozkłada na barki dwojga. Nie poniżaj się do związku z tymi szalonymi rycerzami z plebsu, którzy mogą cię jedynie skrzywdzić i którzy nic słyszeć nawet nie chcą o ideałach Rycerstwa!

- Arabia chciałaby, abym poślubiła Wielkiego Kalifa. Uznasz go jako władcę, mój panie? Czy podzieli on ze mną mój osobisty żal?

- Jeszcze kilka miesięcy, a szlachta i lud powita arabską flotę jak wyzwoliciela. Czy nie dostrzegasz, jakie niebezpieczeństwa zawisną nad nami, jeśli zrezygnujesz z objazdu, odmawiając szansy zalotnikom? Wszystko już przygotowałem, mam nawet listę najwłaściwszych kandydatów. Najlepiej byłoby, gdybyś zaszczyciła któregoś z Perrottów. Jeśli nie wyruszysz i nie odwiedzisz krewnych Mary w ich włościach lub gdzieś w pobliżu, najpewniej znowu zaczną zbroić się na wojnę.

- Tyle postanowień, mój panie, i żadnej konsultacji! - Wzruszyła ramionami. - Zresztą, proszę, układaj dalej swoje plany, sir, ale nalegam usilnie, nie proś mnie o ich zatwierdzenie i nie mieszaj mnie do nich.

Montfallcon ledwie to słyszał oddychając ciężko i wpatrując się w mężczyznę, który okradł go z siły i władzy. Quire przysunął się do Królowej, jakby chciał ją ochronić.

- On jest zdolny do każdej zbrodni - wyszeptał Montfallcon. Jest straszniejszy niż Hern, bowiem nie jest szalony ani próżny.

- Sir Thomasie! Odprowadź, proszę, Lorda Kanclerza do jego apartamentów i zadbaj, by odpoczął należycie. Zobaczymy się, mój panie, gdy znów się uspokoisz. Doktorze Dee, jeśli mógłbyś pomóc, to udaj się z nimi, chociaż obawiam się...

Montfallcon spojrzał najpierw na Dee, potem na Ffynne'a, którzy stanęli po obu jego



bokach.

- Czy aresztujesz mnie?

- Oczywiście, że nie, Perionie - powiedział Ffynne. - Jesteś jednak przemęczony.

Królowa troszczy się o twoje zdrowie. Doktor Dee pomoże ci, o ile tego zapragniesz, jakimś lekiem, który poprawi ci nastrój.

- Co? Mam być otruty przez maga?

Rzuciwszy te słowa, pozwolił się, wyprowadzić.

Gloriana objęła Quire'a.

- Och, kochany, ile obelg musiałeś wycierpieć!

Quire odzyskał już spokój.

- Nie winię go, pani. - Poglaskał ją po twarzy, gdy wyciągała się obok niego na kanapie.

- Jak mówiłaś, jest poruszony śmiercią przyjaciela.

- Powiedz mi, że nie muszę wyruszać w objazd. To oznaczałoby rozstanie z tobą na tak długo. I nie sądzę, by przysłużyło się to naszej sprawie.

- Nie powinnaś się przemęczać, pani, tak długą podróżą. Albion potrzebuje twojej obecności na dworze. Kto wie, do jakiego zła może tu dojść? Dość już, jak słyszałem, zdarzyło się rzeczy niewyjaśnionych. Może okazać się jeszcze, że księżna Scaith żyje...

- Och, kochany, gdyby tylko tak było! Miałabym wówczas dwoje dobrych przyjaciół. -

Objęła go, mocno przytulając głowę do ramienia, a on leżał, jakby zakłopotany i oszołomiony siłą jej miłości.

## **ROZDZIAŁ 27**

**W KTÓRYM ODNOWIONE ZOSTAJĄ DAWNE ZNAJOMOŚCI I POWRACAJĄ ZAMIERZCHŁE SPRAWY**

Lord Shahryar zdjął spiczasty hełm; przyłbica opadła z trzaskiem, gdy odłożył go obok

zakrzywionej szabli na stół w prywatnym pokoju tawerny. Był już prawie świt i trzy godziny mijały, jak daremnie oczekiwał Quire'a. Miało to być ich trzecie spotkanie od czasu zawarcia porozumienia w starym magazynie. Obok zakrytego okiennicami okna, ubrany w wyświechtane brokaty i obszarpaną krezę, Tinkler wysączał ostatnie krople z butli, którą przyniósł dla obu, lecz opróżnił sam.

- Niedługo przyjdzie, mój panie.

- Skąd wiesz? To ja zawiadomiłem go o miejscu spotkania.

- Znam mojego starego pana.

- Bardziej interesuje mnie teraz twój nowy pan. - Lord Shahryar wyglądał na zdenerwowanego. - Co o nim powiesz?

- Lord Montfallcon dał mi do zrozumienia, że mam przejąć obowiązki kapitana. Więc służyłem mu. Teraz, gdy Quire wrócił, jestem do dyspozycji tego samego pana, co on. -

Głosowi Tinklera brakło pewności siebie. - Nie zdradzę cię, sir, bo wtedy zdradziłbym kapitana. - Podrapał się po swędzącej głowie.

Do pokoju wpadł zdyszany Quire.

- Przebywanie tak blisko monarchini niesie ze sobą pewne niewygody - powiedział, zatraskując drzwi i zdejmując płaszcz. Zwykłą czerń stroju uzupełnił tym razem czerwoną szarfą związaną z prawej strony; wyglądało, jakby dolna część jego ciała skąpana była we krwi.

Położył sombrero obok hełmu Saracena. - Już przygotowujesz się do wojny, mój panie?

- To dworski strój. Tydzień czekałem przed drzwiami na audiencję u Królowej. Razem ze mną czekała liczna delegacja od Kalifa, który coraz bardziej wątpi, Quire, by nasze działania mogły zakończyć się sukcesem.

- A nie powinien. Wszystko postępuje zgodnie z planem. - Mrugnięcie do Tinklera. -

Wyglądasz nader elegancko, Tink. Złoto Montfallcona?

- Płaci mi pełną twoją stawkę.

- Szczodry jest. Nadal mu służysz?

- Teraz, gdy wróciłeś, kapitanie... - Tinkler wyraźnie się odprężył.

Quire usiadł naprzeciwko lorda Shahryara i złożył skrzyżowane ramiona na stole. -

Wybacz mi, ale jestem zmęczony. Obowiązki mnie wyczerpują.

Tinkler roześmiał się chrapliwie, a lord Shahryar okazał niejaki niesmak.

- Potrzebuję więcej konkretnych informacji. Wszystko zdaje się iść dobrze, ale

podejrzewam, że coś jednak zawodzi. Śmierć dziewczyny wywołała taki dokładnie efekt, jak

przewidziałeś. Twój występ podczas święta nie ma równych. Teraz jednak, poza śmiercią

Ingleborougha, której można było zresztą oczekiwać i która nic nie zmieniła, panuje dziwna

cisza (paź, nawiasem mówiąc, został zabrany do Arabii, jako prezent dla Kalifa). Zupełnie

jakbyś porzucił wszelkie działania.

- Mam w ręku większość Tajnej Rady. Ci ucziwi dżentelmeni niczym pajace na

sznurkach zaakceptują każdą decyzję, którą pod moim wpływem podejmie Królowa.

Montfallcon już się nie liczy, wypadł z łask i brakuje tylko, żeby został wygnany. Królowa go

nie słucha, podejrzewając, że oszalał z zazdrości. Dwór dzieli się na dwa obozy: tych, którzy

podzielają zdanie Montfallcona i tych, którzy są we wszystkim posłuszni Królowej, a należy

oczekiwać dalszych rozłamów. Objazd nie odbędzie się i Królestwo nie zostanie wzmocnione

w swej wierze w Królową. Rodzina Perrottów zbroi swoją flotę i niedługo pożegluje przeciwko

Arabii, dając wam pretekst do wojny i pozwalając jednocześnie wstrzymać się od niej

miłosiernie i podyktować warunki pokoju, chociaż najpierw warto będzie pokonać Perrottów i

tych, którzy pożeglują z nimi. Jest ich wielu i zapewne przybędzie ich, bo sprzyjają im moiżni,

urazeni odrzuceniem przez Królową ich zaproszeń. Niedługo zaczną owocować też pomniejsze

działania. Nadal jesteś niezadowolony, mój panie? Jeśli tak... - teatralnym gestem Quire sięgnął

po kapeluszu - to ja zawsze mogę znaleźć sobie nowego patrona i wykorzystać wszystko, co wiem...

- Zawdzięczasz mi życie, kapitanie Quire. I przysięgałeś, że będziesz służył mojej sprawie.

Quire opadł wygodnie na krzesło.

- Ale jeśli źle wywiążę się z obowiązków, mój panie, to nie ma sensu, byś dłużej mnie zatrudniał. Czy jakikolwiek inny człowiek dokonałby w pojedynkę tego, co ja uczyniłem? Tak jak Montfallcon niemal sam wznosił podwaliny pod Wiek Złoty, tak ja je zniszczyłem. Zresztą, jego dzieło nie zasługiwało na lepszy los: mit jest tylko innym określeniem ignorancji.

- To jak długo jeszcze trzeba będzie oczekiwać całkowitej realizacji planu? Kiedy wszystko będzie gotowe?

- Za miesiąc. W październiku szlachta z radością powita małżeństwo pomiędzy Glorianą a Hassanem. To uspokoi jej lęki.

- A co ja mogę zrobić dla ciebie, kapitanie? - spytał gorliwie Tinkler, który pijany ledwie słyszał treść rozmowy. - Zabić Montfallcona?

- Bym stał się od razu pierwszym podejrzanym? Nie, on sam skończy ze sobą. Chcę, byś dalej dla niego pracował, Tink.

- Co? Nie mogę!

- Tak będzie najlepiej. Twoje informacje bardzo mi się przydadzą.

- Nie chcesz, kapitanie, abyśmy powrócili do dawnej współpracy?

- Nie. Służ Montfallconowi i rób, czego zażąda, tylko informuj mnie o wszystkim, gdy nadarzy się okazja.

Tinkler wzruszył ramionami.

- Jeśli tak mówisz, mój panie.

- Jako sługa Montfallcona jesteś dla nas wprost bezcenny.

- Dobrze, kapitanie. - Tinkler wydawał się nieco urażony.

Lord Shahryar podniósł hełm.

- No to co mam powiedzieć Kalifowi?

- Że Królowa znajduje się w mojej mocy i zrobi wszystko, co jej każe. Niedługo

nadejdzie chwila, gdy podsunę jej takie pomysły, które skierują ją wprost do łóża małżeńskiego Wielkiego Kalifa, chociaż z drugiej strony pojęcia nie mam, co dobrego może z tego wyniknąć...

- Kapitanie Quire! - Shahryar uniósł zakrzywioną szablę. - Nie żartuj sobie z mojego pana!

- Żartuję wtedy, kiedy sam uznaję to za stosowne - odparł zimno Quire. - Ostatecznie wszystko co wiem, zostało, jak zwykle, zapisane. Jeśli umrę, twój plan upadnie. Gdyby to się stało, Królestwo zjednoczy się momentalnie i cała robota pójdzie na marne. Dlatego też lord Montfallcon boi się mnie wydać. Przez lata wspierał swój mit kłamstwami, szpiegostwem, morderstwami, torturami i zniszczeniem, a wszystko wbrew powszechnej opinii. Okazałoby się, a we właściwej chwili mógłbym wszystko ogłosić, że panowanie Gloriany skąpane jest we krwi nie mniej, niż za jej ojca. Tysiące moźnych obróciłoby się przeciwko Królowej, obalając jedną postać w naiwnej wierze, że zniszczyli wszelkie zło.

- Kapitanie, czy oczekujesz, że w zamian za wszystkie te sekrety uda ci się wytargować koronę? - Shahryar schował szablę do pochwy u pasa. - Tak? Zamierzasz wszystkich oszukać?

- Zostać królem oznacza zostać kaleką, mój panie. Wolność ruchów jest skrępowana.

Władza znajduje się pod kontrolą. Nawet Hern do tego nie dorósł. Owszem, na początku panowania, podobnie jak teraz córka, miał wiele pięknych idei. Ciężar korony przygniótł go jednak i stopniowo Hern zaczął się litować nad samym sobą. Za to właśnie okrzyknięto go

cynicznym. Prawdziwy jednak cynizm polega na tym, by kontrolować zarówno słabych, jak i własną słabość. Hern został opanowany przez jedno i przez drugie.

- A ty nie?

- Nie, mój panie. Artysta potrzebuje swobody, by ukończyć swe dzieło. Żaden król nie jest wolnym człowiekiem.

- Chciałbym, żeby to nie było twoje kolejne oszustwo. - Saracen otulił się materia i naciągnął kaptur na hełm. - Mam też nadzieję, że twoja opieszałość nie wynika z nagłego afektu, którym mogłeś zapalać do nowej kochanki. O wiele szczęśliwsza będzie, gdy Kalif się z nią ożeni.

- Na tym najbardziej ci zależy. Chcesz, by nastąpiło to jak najszybciej - skrzywił się Quire. - Ale nic dziwnego. Nie powiedziałaś mi wszystkiego, ukrywasz coś przede mną, okłamujesz mnie i boisz się, że ja postępuję tak samo.

- Okłamuję cię? Jak?

- Miał miejsce pojedynek między Polską a Arabią. Na statku. Hrabia Korzeniowski powiedział o tym lordowi Rhoone'owi, który przekazał to mnie, jako osobie najbliższej obecnie Królowej, bym mógł opowiedzieć jej o tym, gdyby była ciekawa.

- No i co z tego?

- Polak został ciężko ranny i wrócił do kraju, gdzie parlament osadził go w areszcie.

Wybrano już nowego władcę.

- Też o tym słyszałem.

- A ten nowy król, wojowniczo nastawiony ksiązę Piat z Ukrainy (znany z zamiłowania do pobrzękiwania szabelką i popierany przez parlament) chce się zemścić na Arabii.

- Walka była uczciwa i mój pan wygrał.

- Wierzę ci. Piat jednak obawia się, że jeśli Arabia umknie kary, wówczas stanie się

nazbyt wielkim zagrożeniem. Niektórzy boją się też jej unii z Tataria.

- To niemożliwe.

- Ale nie przekonasz o tym Polaków, bowiem szykujecie obecnie wielką flotę wojenną.

Możecie zostać zaatakowani z dwóch stron.

- Wówczas Albion przyjdzie nam na pomoc, zgodnie z traktatami.

- Tak. I wpędzi się w wiele kłopotów, niemniej w ten sposób twój Kalif nie objawi się jako rycerz niepokalany i zbawca Imperium. W zasadzie role odwrócą się wtedy. Pojedynek był głupim pomysłem.

- W grę wchodził honor.

- Nie ma czegoś takiego, jak honor. Jest tylko duma.

- Raczej miłość własna, kapitanie Quire. Jeśli jednak podobne odczucia są ci niedostępne...

- Znam je świetnie. Ale to nie to samo, co duma. Duma może zniweczyć i twoje, i moje plany. Oto, dlaczego tak pragniesz szybkiego zakończenia sprawy.

- Jeśli chcesz tak myśleć. - Lord Shahryar wzruszył ramionami.

- Podejrzewam, mój panie, że stawką jest też twoja głowa. Czyż nie mam racji?

Czarne oczy Saracena zawrzały gniewem.

- A na samym końcu twoja, kapitanie Quire!

Powiewając ciemnym płaszczem wyszedł z pokoju, zostawiając Quire'a i Tinklera, patrzących na siebie jak starzy przyjaciele, którzy ze zdumieniem zdają sobie sprawę, że ich wspólne dotąd interesy przestały ich łączyć. Tinkler milczał dość długo, aż w końcu otworzył usta.

- Czy to prawda, kapitanie, że przywodzisz Albion do zguby?

- Tego tak łatwo dokonać nie można, Tink. Zmienię jedynie to i owo. Gloriana i Kalif

rzządzić będą wielkim imperium, które szybko zdobędzie sobie wrogów i zapragnie rozszerzyć swe granice o ziemie Polski, Tatarii, całego świata...

- A zatem przyszłość przyniesie nam wojny.

- Najpewniej, Tink.

- Co wtedy zrobimy, kapitanie?

Quire nasunął sombrero na oczy i przeczesał wronie pióra.

- Rozkwitniemy, Tink. W takim świecie...

Tinkler zastanowił się, jakie złodziej może mieć korzyści z nowego porządku świata, i odchrząknął.

- To będzie o wiele mniej skomplikowany porządek.

- Wojna zwykle wszystko upraszcza, Tink. Większość ludzi z radością wita jej nadejście, bowiem ich życie staje się łatwiejsze. Czas pokoju dezorientuje i tylko nieliczni mają dość siły, by znosić długo wynikający z braku wojny ciężar odpowiedzialności. Większa część świata zamieszкана jest przez ludzi słabych, Tink. Wojna dodaje im odwagi. Nikt tak nie uwielbia walki, jak słabeusze!

Posłał przez powietrze całusa zdumionemu i wystraszonemu przyjacielowi, po czym wyszedł.

## **ROZDZIAŁ 28**

**W KTÓRYM FAWORYCI KRÓLOWEJ ZAŻYWAJĄ ZABAWY, A LORD MONTFALLCON OSTRZEGA PRZED KATASTROFALNYMI SKUTKAMI BEZBOŻNOŚCI**

Woda wytrysnęła z fontanny ukrytej pomiędzy zieleńszantami tak nagle, że niepewnie stąpająca lady Lyst przewróciła się z okrzykiem zaskoczenia. Gubiąc kapelusz siadła na ziemi, płacząc nogi w fałdach długiej, indyjskiej szaty, podczas gdy Królowa i jej świta zanosili się serdecznym śmiechem w promieniach późnosierpniowego słońca, spływającego patoką na



prywatne ogrody Gloriany. Wkoło kwitły kwiaty wszelkich gatunków, zasadzone tak, by ich kolory kontrastowały ze sobą. Rabatki miały kształt kwadratów, kół i półksiężyców oddzielonych wąskimi ścieżkami, wilgotnymi trawnikami, a czasem przyciętym starannie żywopłotem. Symetria oswojonej przyrody panowała niewzruszenie. Ernest Wheldrake schował do kieszeni niewielką książeczkę i pomógł wstać swej kochance. I on ubrał się zgodnie z wymogami pogody w czarno-złote szaty mauretańskiego wzoru i przypominał małego kogucika, który sobie tylko znanym sposobem pożyczył upierzenie od orła. Turban zsunął mu się na twarz, ale ostatecznie zdołał przemóc bezwład lady Lyst i przywrócić jej postawę pionową.

- Przerazające! - jęknęła chwiejąc się. - Cała przemokłam!

Odpowiedział jej kolejny wybuch śmiechu.

Kapitan Quire, który nigdy nie zważał na wymogi mody, pozostał przy skromnych czerniach i ocieniającym twarz sombrero (krucze pióra ostro kontrastowały z upierzeniem Wheldrake'a), śmiał się razem z Królową. Spośród pozostałych tylko sir Thomas Ffynne nie wdział letniego stroju i nosił wciąż żałobną purpurę (po Lisuarte), uzupełnioną kolczykiem w uchu. Nieco otyły sir Amadis Corafield kroczył półnagi w złocie i pióropuszu niczym jakiś inkaski król. Tworzył on świetną parę z lordem Goriusem wystrojonym w paciorki i koralowe bransolety, jak dostojnik z Indii Wschodnich. Obaj zwracali baczną uwagę na Alys Finch, która tańczyła teraz dla nich pomiędzy fontannami, a rozpryski wody zwilżały jej sarong, aż ten szczelnie przylgął do ciała, ukazując smukłą, chłopięcą sylwetkę. Westchnęli w zachwycie. Umalowany jak zwykle Phil Starling, tancerz w złocie i opasce na biodrach, leżał na trawie, u stóp na wpół omdlałego Wallisa, osobliwego mandaryna. Z wylotu pobliskiego labiryntu wybiegł mistrz Auberon Orme w tatarskim stroju, ścigany przez dwie damy Królowej przebrane za birmańskie kurtyzany. Orme omal nie potknął się o Poila, który skrzywił się

wpatrzony w smukłego Turka, Marsiliusa Gallimarięgo, obejmującego dwie nieduże Murzynki. Ich skromność chroniły jedynie łańcuszki z bladego złota, zwieszające się z przodu i z tyłu. Wszystkich ogarnęła euforia i przesycone erotyzmem powietrze, którym oddychało ostatnio najbliższe otoczenie Królowej.

Gloriana objęła i ucałowała lady Lyst.

- Odpocznijmy tutaj. - Usiadły na marmurowej ławie, uśmiechając się do Quire'a i Wheldrake'a. - Kiedy wreszcie skończy się to lato? - Pytanie było czysto retoryczne, bowiem mało kto naprawdę pragnął chłodu jesieni. - Zastanawialiśmy się nad stanowiskiem dla kapitana Quire'a. Teraz, gdy lord Rhoone wyjechał z rodziną na wieś, potrzebny nam tymczasowy dowódca Gwardii Królewskiej. Co byś powiedział na taką godność, kapitanie? Quire potrząsnął głową.

- Nijak nie dorównuję dobremu, prostodusznemu lordowi Bramandilowi. - Zmarszczył czoło udając zastanowienie. Wyjazd lorda Rhoone'a (wynik sugestii Quire'a) pozwolił mu odetchnąć z ulgą, bowiem każde spotkanie z kimś, kto widział go już przedtem, niesło ze sobą pewne niebezpieczeństwo. Lord Rhoone, wdzięczny Quire'owi za ocalenie żony i dzieci, nie podejrzewał nawet, że to ten sam człowiek, którego kiedyś prowadził jako zakapturzonego łotra na audiencję do lorda Montfallcona. W atmosferze podejrzeń Rhoone mógł jednak dodać w końcu dwa do dwóch i stać się wrogiem miast przyjacielem. Z tego samego powodu pierwszą ofiarą Quire'a padł w swoim czasie sir Christopher (który został otruty, ponieważ pamiętał zarówno jego nazwisko, jak i twarz). Teraz, poza dyskredytowanym przy każdej okazji Montfallconem, w otoczeniu Królowej nie pozostał już nikt znający przeszłość kapitana. Quire rozważał przez chwilę zajęcie miejsca lorda Ingleborougha, ale to przejął już sir Thomas. Spojrzał na Ffynne'a, który w tym czasie podszedł do nich z jedną z dam.

- Królowa uważa, że powinienem znaleźć sobie jakieś uczciwe zajęcie, sir Thomasie.

Stary żeglarz spojrział przenikliwie na Quire'a, ale zaraz wzrok mu złagodniał.

- A ku czemu czujesz największe powołanie, kapitanie? Zapanowała ogólna wesołość.

Królowa i lady Lyst znów padły sobie w ramiona. Quire udał zakłopotanie wymieniając szybkie, ironiczne spojrzenie z Ffynnem.

- Obawiam się, że nie czuję żadnego powołania. Zapewne mam trochę talentów aktorskich. - Obecni uznali, że nawiązuje do swego wystąpienia podczas turnieju.

- Mój przyjaciel Montfallcon uważa cię za szpiega - powiedział sir Thomas. - Miejsce sir Christophera Martina jest w gruncie rzeczy nadal wolne.

- Och, sir Tomie! - krzyknęła Królowa. - Kapitan Quire nie będzie zniżał się do łapania złodziei!

- To może funkcja sekretarza? - Lady Lyst zamruwała oczami ze zdumieniem, słysząc swój własny niewyraźny głos i zamilkła.

Gloriana posmutniała, ledwie dając to po sobie poznać, ale Quire szybko wyczuł zmianę nastroju.

- Moim jedynym pragnieniem jest służyć Królowej na sposób, który ona wybierze, niech więc zatem Gloriana zdecyduje o moim losie.

Ujęła jego dłoń i posadziła między sobą a lady Lyst.

- Sprawa wymaga poważnego rozważenia. Przede wszystkim musisz nam, kapitanie, powiedzieć, w czym jesteś biegły.

Na tarasie powyżej pojawił się sir Orlando Hawes w typowo żałobnych, ciemnych kolorach: purpurze i czerni. Podobnie jak większość dworu, i on bolał po śmierci lorda Ingleborougha, którego pogrzeb odbył się kilka godzin wcześniej. Czarnoskóry sir Hawes przypominał cień, ale Quire zauważył, że spojrzenie szlachcica podążało za małą Alys, która tańcem rozpaliała pożądanie kochanków. Quire był wielce zadowolony zarówno z jej poczynań,

jak i postępów w nauce, stała się bowiem dziwką wysokiej klasy, rozmiłowaną w oszustwie tak, jak inna mogłaby pożądać wciąż nowej rozkoszy lub złota.

Sir Orlando zawahał się, wyraźnie zgorszony widokiem tej osobliwej maskarady, i może zakłopotany przebraniami przypominającymi stroje jego plemiennych przodków. Potem zszedł powoli do ogrodu, zdjął czarny kapelusz z piórami i skłonił się przed Królową.

- Wasza Wysokość, lord Ingleborough został już złożony do grobowca.

Gloriana, podobnie jak minutę wcześniej opanowała smutek, tak teraz stłumiła poczucie winy.

- Czy pogrzeb przebiegł bez zakłóceń?

- Uczestniczyły w nim tłumy ludzi, Wasza Wysokość, bowiem lord Ingleborough był kochany przez lud.

- I my go kochaliśmy - powiedziała zdecydowanie. - Czy wszyscy zostali poinformowani o naszej niezdolności do przybycia?

- Tak. Tłumaczyłem, że to z powodu choroby. - Wyprostował się i rozejrzył się wkoło.

- Tyle już smutku widziałam w minionych miesiącach - stwierdziła Królowa. - Chcę zapamiętać Ingleborougha takim, jakim był za życia.

Sir Orlando spojrział na sir Thomasa.

- Brakowało nam waści podczas uczy, sir.

- Widziałem sam pogrzeb i starczy. Wszyscy wiedzą, że nigdy nie przepadałem za tłumnymi uroczystościami.

Sir Orlando skrzywił się ledwo widocznie. Zawsze miał niskie mniemanie o sir Thomasie. Kapitana Quire'a nie považował w ogóle.

- Lord Montfallcon przemówił w twoim imieniu, Wasza Wysokość. Jako oficjalny przedstawiciel.

- Sir Thomas już mnie o tym poinformował.

- Lord Montfallcon i lord Kansas przybyli ze mną. Mnie wysłano, bym spytał...

- Pewnie Lord Kanclerz wolałby porozmawiać wieczorem? - zasugerowała.

- Wydarzenia całego dnia mocno go wyczerpały, ale lepiej będzie, Wasza Wysokość, jeśli zobaczysz się z nim teraz. - Sir Orlando wskazał w stronę tarasu. - Czeka za bramą.

Królowa spojrzała pytająco na Quire'a, który skinął przyzwalająco. Złośliwość wobec Montfallcona nie przyniosłaby niczego dobrego. Jeszcze nie teraz.

- Przyjmiemy tych dżentelmenów - powiedziała Gloriana.

Skłoniwszy się powtórnie, sir Orlando zniknął na chwilę i wrócił prowadząc lorda Montfallcona i lorda Kansasa, którzy również byli w stroju żałobnym.

Quire zauważył, że Królowej wstyd się zrobiło z powodu jej własnego, nieskromnego odzienia. Ścisnął jej dłoń i szepnął do ucha:

- Będą próbowali przeciągnąć cię na swoją stronę. Pamiętaj o tym i nie ufaj im, gdy zaczną wmawiać ci winę.

Wstała jak posłuszna dziewczynka i z uśmiechem poszła powitać obu szlachciców.

- Moi panowie, dziękuję, że przybyliście tak rychło. Pogrzeb przebiegł, jak słyszałam, w nastroju powagi i z godną oprawą.

- Tak, pani. - Montfallcon skłonił się niespiesznie. Był wyraźnie urażony. Virgińczyk spoglądał na niego z lękiem (jak zauważył Quire), a na jego obliczu malowało się zakłopotanie i współczucie. - Prosimy o wybaczenie, że przeszkodziliśmy wam w tych... - rozejrzał się powoli po ogrodzie, zlustrował baraszkuje postaci - ...zabawach.

- Oczywiście, mój panie. W tak melancholijnych chwilach chcemy odsuwać od siebie smutki. Rozważania o śmierci nie prowadzą do niczego dobrego. Musimy zachować optymizm, nieprawdaż?

Słyszając z jej ust tak obco brzmiące słowa, Montfallcon spojrział na Quire'a, widząc w nim najpewniejszego autora tych tez.

- Nie przyłączysz się do nas, panie? - spytał Quire drwiąco, ale zaraz zmienił ton na złośliwy. - A, przepraszam, zapomniałem, że lord Ingleborough był twoim najbliższym przyjacielem.

- Tak. - Montfallcon spojrział na Toma Ffynne'a. - Zostałem już sam i muszę polegać tylko na sobie.

- Jesteś przecież najmocniejszym z filarów, na których wspiera się Królestwo - szczebiotała Gloriana, ujmując go pod ramię. Spojrział na nią, jakby chciał się uwolnić, tylko konwenanse i nawyki mu na to nie pozwalały.

Dał się poprowadzić w kierunku labiryntu.

- Przybyłem z pewną pilną sprawą, pani.

Lord Kansas, kapitan Quire i sir Orlando Hawes postępowali za nimi niczym trzy czarne, chorobliwie wyglądające ptaki.

- Cóż to jest, mój panie?

- Sprawa stanu, pani. Trzeba będzie ogłosić niebawem zebranie Tajnej Rady. Są nowe wiadomości i twoje przewodnictwo jest wręcz niezbędne.

- A zatem zwołam radę na rano. - Pragnęła okazać, że nie porzuciła do końca swoich obowiązków.

- Lepiej byłoby dzisiaj po południu, pani.

- Teraz zabawiam przyjaciół.

Weszli do labiryntu. Głowa Montfallcona zniknęła zupełnie, ale popiersie Gloriany wystawało ponad żywopłoty. Potem w zieleń zagłębili się Quire, Kansas i na końcu Hawes.

Siedząca na ławie lady Lyst zaczęła chichotać. Ze swego miejsca widziała rude, spięte

rubinami włosy Królowej, zwieńczenie kapelusza sir Orlanda i wierzchołek głowy lorda Kansasa z pierzastą czapą. Wheldrake usiadł obok, pragnąc zorientować się, jaki jest powód śmiechu. Wskazała na dwie twarze widoczne w przeciwległych punktach labiryntu, obie były bardzo poważne. Powiewające pióra wyglądały jak sępy siedzące na ogrodzeniu. Nawet Wheldrake, który właśnie układał kolejny wiersz, zdobył się na uśmiech.

- Czemu weszli do labiryntu? - spytał.

Lady Lyst nie potrafiła odpowiedzieć.

Po chwili nadszedł przebrany już z czerni w lżejsze purpury doktor Dee i Tan

Hermiston w żałobnym stroju swego stanu; ten ostatni rozejrzał się wkoło i nie znalazł nic śmiesznego.

- Gdzie jest kapitan Quire? - spytał obejmując wielką dłonią podbródek. - Co to za bałwochwalstwo? Czy na dworze nie zostało już ani trochę pobożności? Czemu wszyscy są nadzy? Przecież dopiero co pożegnaliśmy lorda Ingleborougha...

- Królowa się bawi - wyjaśnił Wheldrake. - Znudziło ją obcowanie ze śmiercią.

- Kapitan Quire - dodała ze znaczącą wesołością lady Lyst - też tam jest!

Tan i Dee spojrzeli na labirynt.

- Wygląda na to, że wszyscy tu są pijani - powiedział cicho do Tana, jakby chciał kogoś usprawiedliwić. - Nie spodziewałem się tego po naszym gościu. - Mówił o kapitanie, którego przybycie błogosławił z głębi serca.

Phil Starling krzyknął i spojrzenia wszystkich podążyły w jego stronę.

Mistrz Wallis przygwoździł go do ziemi, jakby ćwiczył na młodzieńcu jakąś nową sztukę walki. Trudno było powiedzieć, czy to zabawa jeszcze, czy już brutalne siłowanie. Tan postąpił krok, ale zatrzymał się widząc, jak obaj toczą się w tę i w tamtą po trawie.

- Jak szybko zmieniają się obyczaje - mruknął Tan, który właśnie niedawno wrócił z

kolejnej podróży. - Królowa na to pozwala?

- Nawet zachęca - powiedziała nagle poważna lady Lyst. Dźwignęła się na nogi. - Nie zdarzyło się to od czasu zniknięcia księżnej Scaith. Wszyscy bolejemy nad jej odejściem.

- A dokąd ona odeszła? - dopytywał się Tan.

- Może do jakiejś innej sfery - mruknął Wheldrake. - Nigdzie jej nie ma. Oubacha Khan jej szukał i stwierdził, że najpewniej księżna Scaith przebywa wciąż gdzieś w pałacu.

- Jakim sposobem?

- W podziemiach - wyjaśniła lady Lyst. - Ale gdzie konkretnie, nie wiadomo.

- Montfallcon myśli, że to ona zabiła Perrotta - dodał doktor Dee.

- Nie Perrotta - stwierdziła lady Lyst.

- Nikogo nie zamordowała - zaznaczył jej kochanek.

- Właśnie, nikogo. - Lady Lyst potarła zaczerwienione oczy. - To nas podejrzewa się o usunięcie krewnego Lady Mary. Wheldrake'a i mnie. - Westchnęła.

- Montfallcon sądzi też, że Quire przyszedł właśnie spomiędzy murów - głos Dee był suchy. - Po prostu, on z reguły nie wierzy prawdzie. Montfallcon i Kansas naradzali się dzisiaj i mają zorganizować wyprawę. Nie po to, by odnaleźć księżną, ale dowieść pochodzenia Quire'a.

- Tych dowodów musieliby szukać znacznie dalej.

- Kapitan Quire rozporządza potęgą, która nie jest z tego świata - mruknął Dee. - To wspaniały alchemik.

- Niczego nam o sobie nie powiedział. - Lady Lyst włączyła się do' rozmowy, bowiem tylko dwie rzeczy interesowały ją w życiu: wino oraz filozofia przyrody.

- Jest bardzo skromny - zaznaczył Tan tonem aprobaty. - Będzie służył Królowej dobrymi radami.



- Niemniej niektórzy oskarżają go o próżność - powiedział Wheldrake.

- Mylą się. - Tan był pewien swego.

- Zresztą, jeśli nawet - dodał Dee zauważając, że Królowa i Montfallcon, idąc wciąż ramię w ramię, wynurzyli się z labiryntu - to ma po temu powód i dba o naszą Glorianę.

Montfallcon wyglądał na trochę uspokojonego. Tom Ffynne wyszedł zza żywopłotu,

ujrzał dawnego przyjaciela i zawrócił, zagarniając po drodze parę dam.

Kansas, Hawes i Quire nadal tkwili w zieleni.

- A zatem zobaczymy się dziś wieczorem, pani? - spytał Montfallcon.

- Dobrze - obiecała i odwróciła się do Wheldrake^ - Gdzie jest kapitan Quire?

- Tam, Wasza Wysokość - wskazał Wheldrake. - Poszedł za wami.

Glorianie wyraźnie nie podobało się tak długie rozstanie z ukochanym.

- Czy ktoś mógłby go poszukać?

Tan ruszył ku wysokim żywopłotom, ale doszedłszy do wejścia zatrzymał się z

okrzykiem, gdy spomiędzy listowia wypadł ścigany przez spoconego mistrza Wallisa

rozchichotany Starling. Rozmazany makijaż Phila nadawał mu zawadiacki wygląd rozpustnego

wyżła. Tan raz jeszcze spróbował wejść i tym razem mu się udało. Przez chwilę widać było

jeszcze jego bonnet. Phil i Wallis, obaj zdyszani, podbiegli do gromadki, wśród której

wyróżniał się rozzłoszczony Montfallcon.

- Mistrzu Wallisie!

Florestan Wallis zatrzymał się zjedną dłonią na smukłym ramieniu wciąż

uśmiechniętego chłopca i odchrząknął.

- Tak, mój panie?

- Ogłoszono zebranie Rady.

- Będę, mój panie. - Wallis opuścił rękę, a Phil wpatrywał się śmiało i lubieżnie w

Montfallcona. Uśmiechał się do niego jak kurwa do potencjalnego klienta. To było już za wiele dla Gloriany. Znowu władcza, odprawiła obu skinieniem dłoni.

- Bezbożność narasta - syknął Montfallcon niczym kobra. - Można zrozumieć troskę, którą Królowa otacza swój burdel. Ostatecznie czuje się zań odpowiedzialna. Miejmy nadzieję, że któregoś dnia to się skończy... - urwał z rozmysłem i na chwilę zapadła cisza - ...ale jeśli postanawia wietrzyć od czasu do czasu zawartość seraju, wystawiając towarzystwo na widok publiczny, można się zastanawiać, czy to mądrze ze strony Królowej ulegać tego rodzaju pokusom. To, co było sprawą osobistą i prywatną, staje się przedmiotem powszechnej, bezmyślnej zabawy! Czy dwór Albionu upodobni się do dekadentckiego dworu spasionego paszy? Czy też może Albion stanie się znów Albionem Heraa, gdzie ani żadna dziewczka, ani młodzieniec nie mogli umknąć infamii?

- Spotkamy się, mój panie, na naradzie - powiedziała chłodno Gloriana. - Gdzie kapitan Quire? Zgubił się?

Nikt nie odpowiedział. Lord Montfallcon nie mógł lub nie chciał odejść bez przyjaciół, którzy wciąż pozostawali wraz z Quire'em w labiryncie. Królowa zauważyła sir Amadisa, który dziwnie posmutniały włókł się szeroką ścieżką. Zamachała na niego.

- Sir Amadisie! - Ten spojrział, starając się ze wszystkich sił rozpogodzić rysy. Alys Finch zlekceważyła go tego dnia po raz trzeci czy czwarty, padając w ramiona lorda Goriusa, i to w chwili, gdy tamten flirtował z dwoma damami Królowej. Odwrócił się do nich plecami wiedząc, że wróci, gdy tylko zostanie wezwany. Był bezradny w niewoli lubieżnej nimfy.

- Sir Amadisie!

- Wasza Wysokość? - W końcu dołączył do towarzystwa.

- Ciekawa jestem, czy masz jakieś wiadomości od krewnych twojej żony. Czy dostałeś jakiś list?

To okrucieństwo, pomyślał, wypominać mu niestałość w chwili, gdy tak bolał nad płochością Alys.

- Nie dostałem żadnego listu, pani.

Czując na sobie palące spojrzenie Montfallcona, zaczął bawić się nerwowo paciorkami.

- Jej bracia nie pozwolą, by kontaktowała się z kimkolwiek na dworze-mówił dalej zdenerwowany, pragnąc uwolnić się z tej podwójnej opresji.

- A ty nie chciałbyś przyłączyć się do nich, sir? - Montfallcon nie wiedział nic o uwikłaniach sir Amadisa, zatem jego pytanie nie było złośliwe.

- Służę Królowej, mój panie.

Lord Montfallcon chrząknął.

- Jak i my wszyscy, sir Amadisie. Tajna Rada się zbiera. Wszystkie inne sprawy należy odłożyć aż do końca obrad.

- Jaka jest tego przyczyna? - Sir Amadis niemal całkiem oprzytomniał.

Lord Montfallcon nie chciał omawiać tego w obecności osób, które nie należały do Rady. Rozejrzał się na boki i do tyłu, by dać wszystkim do zrozumienia, jak niewłaściwe było pytanie sir Amadisa, i chrząknął znacząco kilka razy.

Sir Amadis spostrzegł z ulgą Quire'a wychodzącego z labiryntu.

- Oto jest i nasz kapitan...

Królowa pojaśniała.

Widząc ten raptowny rumieniec, Montfallcon przypomniał sobie nienaturalny odcień kwiatów maku, które alchemicy nawozili krwią i rzadkimi ziemiemi, by otrzymać intensywny, nietrujący zapach na kilka godzin przed uschnięciem rośliny.

- Uważaj, pani -mruknął i przywołał się do porządku.

Gloriana zignorowała jego uwagę.

Montfallcon wypatrywał lorda Kansasa i Hawesa, ale ci nie wyszli jeszcze z labiryntu.

Wieczorem, pomyślał, udam się razem z lordem Kansasem pomiędzy ściany. Jak wcześniej to uzgodnili, będą szukać dowodów pomocnych w zdemaskowaniu i odsunięciu Quire'a od Królowej. Wcześniej wysłał po Tinklera, by użyć byłego sługi Quire'a przeciwko swemu dawnemu panu.

Kapitan Quire stanął obok Królowej.

- Czy wszyscy członkowie Rady wiedzą już o spotkaniu? - Montfallcon spytał doktora Dee.

- Chyba tak, mój panie - stwierdził Dee, zaskoczony nieco uprzejmością Lorda Kanclerza, który odnajdywał ostatnio w starych wrogach nowe cnoty.

- Panie! - zawołała Królowa. - Do moich komnat! Muszę się przebrać.

Z Quire'em wciąż u swego boku skierowała się na taras. Damy gromadziły się z wolna, by podążyć za nimi. Unosząc wyżej głowy dworzanie spoglądali po sobie, zastanawiając się zapewne, jak wielu z nich zmieniło się w kilku ostatnich tygodniach. Rozgrzani zabawą stanęli naprzeciw żałobników niczym szeregi dwóch armii szykujących się do boju.

Słyszając znajome wołanie z labiryntu, sir Amadis przeprosił i gubiąc po drodze złote, indyjskie ozdoby pobiegł jak pies za tropem.

\* \* \*

W sypialni Królowa odprawiła damy, by poszukały jakichś bardziej oficjalnych sukni i została sama z Quire'em. Wyciągnęła się na prześcieradłach składając głowę na kolanach kochanka, a on pogłaskał ją ze znajomą czułością. Westchnęła.

- Och, Quire. Montfallcon jest zdecydowany zniszczyć naszą idyllę. Nie chce uwierzyć, że we właściwym czasie sama wrócę do pełnienia obowiązków.

- Co jest takie pilne - spytał obojętnie Quire - by zwoływać nagłe spotkanie?

- Przeczuwa zbliżającą się wojnę.

- Z Arabią?

- Ze wszystkimi. Obawia się, że utrzymanie obecnych tendencji doprowadzi Imperium do upadku. Tataria już teraz gotowa jest wykorzystać byle pretekst. Nadeszły informacje o rozważanych od jakiegoś czasu zamiarach zmian granic Kitaju. Afganistan pragnie sojuszu z Tataria, z którą, jak uważa, wiąże go wiele wspólnych interesów. Synowie Perrotta z kolei marzą o zemście na Arabii za śmierć ojca i gotowi są wywołać z tuzin różnych konfliktów. Jest jeszcze Polska i wojna, którą planuje. Tatarzy przy pierwszej okazji przekroczą granice Arabii, są bowiem pewni, że Arabia i tak wkrótce ich zaatakuje. Za kluczowe postaci tego bałaganu Montfallcon uznaje obecnie Perrottów i pragnie, bym wyszła za któregoś z potomków tej rodziny.

- Może powinnaś.

- Wtedy by nas rozdzielono! - zaniepokoiła się Gloriana.

- Ale nasze szczęście nie może ważyć na interesach państwa.

- Byłoby głupotą z mojej strony takie poświęcenie. Sam mówiłeś mi, Quire, że nie powinnam zaprzedać się z duszą i ciałem Królestwu, że wystarczy moja obecność i umysł! - Niczym małe, przestraszone dziecko spojrzała na jego ponure oblicze.

- Tak. Chyba zresztą Montfallcon się myli - pocieszył ją. - Kto wie, czy żywiąca tyle żalu i złości rodzina Perrottów miałaby ochotę na jakikolwiek związek? Chcą zemsty. A poza tym, wątpię, by małżeństwo mogło jeszcze powstrzymać wojnę. Chyba, że byłby to związek z Hassanem.

- Nie mogę go poślubić.

- Wówczas przynajmniej nadal moglibyśmy być kochankami - powiedział Quire z łagodnym uśmiechem. - Zapewne sam by to pochwalił, przynajmniej jak długo

zachowywalibyśmy dyskrecję.

Przyłożyła dłoń do jego warg, a on ucałował jej palce. Poglaskała ciężką szczękę.

- Żadnego cynizmu. Hassan żąda zbyt wiele. Wiem, że jest wielu pośród szlachty, którzy chętnie widzieliby taki związek, bowiem uznają go za silnego i męskiego, jednym słowem za odpowiedniego kandydata na mego władcę.

Quire przytaknęła.

- Gdybyś kiedykolwiek postanowiła ponieść ofiarę, a wiesz, że ogólnie odradzam ci takie postępowanie, to rozważ małżeństwo z Hassanem. To byłaby jedyna rozsądna decyzja.

Przyciągnęła go do siebie.

- Dość. Nie raz jeszcze to usłyszę. Kocham cię, Quire.

W jej głosie brzmiała nuta, której nie słyszał nigdy dotąd, gdy opierał się konsekwentnie jej emocjom.

- I ja cię kocham.

\* \* \*

Znów była Glorianą Reginą w całej wspaniałości oficjalnego stroju, z berłem w jednej i jabłkiem w drugiej dłoni, z dwoma sztywnymi kołnierzami rozpostartymi niczym skrzydła wróżki, z masywną, sterczącą krezą, w staniku i krynolinie, w różnokolorowych brokatakach, wyszywanych jedwabiami. Wielkie perły okrywały ją niczym łyzy, diamenty rozświetlały rękawy i piersi. Quire zdjął sombrero i ucałował jej dłoń. Wróciła właśnie z Rady. Wyjął jej berło i jabłko z rąk, przekazał służącemu, by umieścił je w szafce. Podał jej kielich wina. Upiła nieco i spojrzała z uśmiechem na swego niewysokiego dworzanina.

- Błada jesteś - powiedział. Obszedł ją i poluzował stanik, nie mogąc dosięgnąć krynoliny. Grzebał się z tasiemkami tak długo i niezdarnie, aż wybuchnęła śmiechem i zawołała damy.

- Na Radzie wyszło o wiele więcej spraw, niż oczekiwałam - powiedziała.

Usiadł i czekał, aż uśmiechające się do niego damy uwolnią ją od odzienia. Lubiły go, bowiem rozbudził w Królowej kobiecość, a tego one pragnęły dla niej od dawna.

- Mamy wojnę?

- Jeszcze nie. Montfallcon wiele mówił o tobie.

- Dalej mnie oskarża?

- Wierzy, że znalazł dowód przeciwko tobie. Czy wiesz, że te budynki wzniesione zostały na starszych jeszcze murach? Jasne, że wiesz, opowiadałam ci przecież o mojej przygodzie z Uną. Miałam po tym straszne sny, ale przy tobie, kochany, wszystkie lęki mnie opuściły.

- Tak. Una kazała zamurować wejście.

- Ale Montfallcon podejrzewa, że jest więcej wejść, w starym skrzydle, w pobliżu Sali Tronowej mego ojca. Opowiadałam ci, co mi się zdarzyło...

Quire uniósł dłoń, by zapobiec odbiegnięciu od tematu.

- Co z tymi wejściami?

- Powiedział, że mieszkałeś tam przez wiele miesięcy, zanim po raz pierwszy pojawiłeś się podczas turnieju. Mówił, że to ty zamordowałeś wszystkich, którzy zginęli lub zniknęli.

Uzyskał poparcie lorda Kansasa, który jest dobrym i odważnym człowiekiem. Razem organizują ekspedycję mającą zdobyć świadków, gotowych zeznawać przeciwko tobie.

Quire uśmiechnął się.

- Gdzież te morderstwa były popełnione? Przed publicznością szczurów chyba.

- Zaniepokoiło mnie to, kochany. Wolałabym, żeby nie ruszano murów. Ja... - zawahała się. Była już w koszuli i sama zrzucała buty. - Te miejsca należą do przeszłości.

- Myślisz, że z załomu korytarza wyjdzie nagle z nich twój ojciec jak żywy? - Poczekał,

aż podejdzie do niego w miękkiej bieli i usiądzie u jego stóp. Pogłaskał jej kark i ramiona, gestem dając znać damom, by opuściły sypialnię. Drzwi zamknęły się. Mimo wypowiedzianej kpiny, Quire był nadal uprzejmy.

- Jego duch - stwierdziła Gloriana. - To jest miejsce zamieszkane przez demony.

- Demony, mówisz?

- Opowiadałam ci. Nieszczęsne wraki ludzkie. Żal mi ich, ale nie potrafię o nich myśleć.

To ofiary mego ojca. Żyją w lochach jak gryzonie.

- A zatem zakaż Montfallconowi zagłębiać się w te rejony.

- Próbowałam, ale nie znalazłam żadnego argumentu, by go przekonać. Wiem też, że to moja własna słabość podpowiada mi, by zapomnieć o podziemiach i ich lokatorach. Tym samym nie mogę sobie pobłażać... Och, Quire!

- Mówiłem ci, przyznanie się do własnej słabości to nie oznaka pobłażania. Poza tym, skoro raz już uzna się własną niemoc, czasem należy jej pobłażać. To całkiem racjonalne postępowanie, moja najdroższa. Musisz troszczyć się o siebie, jeśli chcesz należycie dbać o Królestwo.

- Tak, słyszałam to od ciebie już wiele razy. Niemniej Montfallcon ma moje pozwolenie. Nie ośmieliłam się odmówić. Musiałam pokazać, że tobie ufam, i że pewna jestem bezowocności ekspedycji.

- Ilu pójdzie?

- Montfallcon, Kansas i kilku zbrojnych ze Straży Miejskiej. Może mają przewodnika, ale nie wiem na pewno. Montfallcon był dziwnie tajemniczy w tej kwestii.

- Jakiegoś mieszkańca podziemi?

- Kiedyś z Uną spotkałyśmy jednego. Może to ten sam.

Nie mogła w tej chwili dostrzec twarzy Quire'a, nic zatem nie stało jej uśmiechu.



- No cóż - powiedział. - Czy sądzisz, że wrócą z setką ludzi gotowych przysiąc, że widzieli, jak próbowałem otruć rodzinę lorda Rhoone'a?

- Ty ich uratowałeś. Wszyscy o tym wiedzą. - Poglaskała jego nogę. - Nie obawiaj się, kochany. Nie odważą się dalej cię oskarżać. Ostatnie stwierdzenia Montfallcona zostałyby w czasach mego ojca uznane za oczywistą zdradę. Uspokoi się, gdy przeminie jego żal. Podobnie będzie z innymi, którzy mają coś przeciwko tobie.

- To są jeszcze inni moi wrogowie? - Był ostentacyjnie rozbawiony. - Jestem przerażony.

- Ale też zyskałeś sobie wielu przyjaciół. Doktor Dee żywi do ciebie szacunek, bronił cię. Sir Thomas Ffynne, który wszedł ostatnio w skład Rady, uważa cię za łobuza, ale o dobrym sercu - uśmiechnęła się. - Sądzi to, co ja. Sir Amadis ani myśli cię skrzywdzić, podobnie lord Gorius, chociaż wszystkim wiadomo, jak bardzo ci dwaj poróżnili się w ostatnim czasie. No i Wallis. Jest jeszcze kilku, którzy z racjonalnych pobudek gotowi są udzielić ci poparcia. Z całej Rady tylko Hawes trzyma niezmiennie z Montfallconem, sir Vivien zaś powoli się ku nim skłania. To pewnie kwestia temperamentu.

- Zdziwiony jestem, ile uwagi poświęca się mojej osobie - mruknął Quire.

- Naprawdę? Czemu? Są zazdrośni. Dla nich jesteś prostakiem, który uzurpuje sobie prawo do władzy, zarezerwowanej, według nich, wyłącznie dla szlachty.

- Władza! Jakąż ja niby mam władzę?

- Sądzą, że podporządkowałeś mnie sobie i że tym samym możesz pośrednio rządzić Królestwem. Dowodzili, że bywało już tak w przypadkach kochanek wielu królów.

- Kto dowodził?

- Głównie sir Orlando. Z czasem jednak przekona się do ciebie.

- Może mają rację - powiedział Quire, jakby bił się właśnie z własnym sumieniem. -

Czy pomagam ci podejmować decyzje? To znaczy, czy wpływam na nie? Gdy przekonuję cię, że powinnaś dbać o swoje zdrowie, gdy nie przypominam wciąż o sprawach Królestwa?

Nie chciała go słuchać.

- Quire! Nie pozwolę, byś znalazł się w kłopotach. Jeśli to potrwa jeszcze dłużej, wówczas Montfallcon otrzyma dymisję. Ciebie zrobię baronem i krok po kroku zajmiesz jego miejsce.

- Ariocho broń! - Z rozmysłem użył dawnego wyrażenia, przypominającego Herna z chwil, gdy miał dobry humor. Wiedział, że takie nawiązanie przypomni Glorianie o pragnieniu zadowolenia swojego kochanka. - Taka odpowiedzialność! To nie dla Quire'a.

- Wiem, że nie zależy ci na piastowaniu wysokich urzędów. Do znudzenia to powtarzam Montfallconowi.

- A on ci nie wierzy.

- Staje się zgryźliwy. Nie może zaprzeczyć.

Quire nadal ją głaskał, ale milczał. Spojrzała na niego z niepokojem.

- Wiem, że bolą cię te wszystkie oskarżenia. Nie powinnam ci o tym mówić.

Westchnął. Pozwolił opaść ręce na poręcz krzesła. Wstała.

- Och, jaka ja jestem okrutna! Tu Montfallcon miał rację, często ostrzegał mnie przed tym, gdy jeszcze byłam dzieckiem. Wiele odziedziczyłam po ojcu. Powinnam lepiej nad tym spadkiem panować!

- Nie, nie - powiedział Quire i potrząsnął głową. - Przyznaję niemniej, że mocno mnie to wszystko niepokoi. Kierowany niewinnym impulsem pragnąłem ucieszyć cię podczas turnieju. Pewnie był to głupi pomysł. Gdy gościłem u mistrza Tolcharde'a i gdy ten pokazał mi rydwan, który dla ciebie przygotował, w mojej głowie zaląkł się plan romantycznej przygody. Potem pojawiła się reszta, czyli miłość. Teraz widzę, że wywołałem również nienawiść. Tak naprawdę

- powiedział odwracając głowę - nie przywykłem do bycia obiektem takiej nienawiści.

- Moja miłość zwalczy wszelkie złe odczucia - obiecała. - Jest silna. Nikt nigdy nie kochał nikogo tak, jak ja ciebie, mój najdroższy! - Przyciągnęła go do siebie. - To wszystko minie niedługo - przyrzekła.

Wstał i ucałował jej dłonie.

- Przejdę się po ogrodzie.

- Czy iść z tobą? - spytała nieśmiało. - Mam ochotę zaznać chłodnego powietrza.

Potrząsnął głową.

- Muszę zebrać myśli. Wrócę niedługo i zobaczysz, że będę bardziej zabawny. Znów szczęśliwy. I podzielę się z tobą tym szczęściem.

Gloriana nie chciała go puścić, ale wiedziała, że musi tłumić zazdrość, bo inaczej ona zapanuje nad nią. Posmutniała.

- Dobrze. Ale wracaj szybko.

Uśmiechnąwszy się na zgodę i pocałowawszy dla dodania odwagi, Quire otworzył drzwi i przeszedł pomiędzy wesołymi fantami do schodów. Minął ciche, mroczne pokoje bez okien i stanął na tarasie ponad ogrodem. Rozejrzał się wkoło, po czym wkroczył w smugę księżycowego blasku. Przez trawniki dotarł do labiryntu, gdzie wcześniej umówił się na zwykłe spotkanie z najistotniejszymi ze swych narzędzi, dwójgiem dobrze wyćwiczonych i nader pożytecznych zdrajców.

## **ROZDZIAŁ 29**

**W KTÓRYM WYPRAWA LORDA MONTFALLCONA POWRACA I PRZYNOSI WIEŚCI O DALSZYCH ZGONACH, SPRAWIAJĄC PRZY OKAZJI KAPITANOWI QUIRE'OWI MAŁĄ NIESPODZIANKĘ**

Wciąż nie mamy żadnych wieści od lorda Montfallcona - powiedziała Królowa z

niewymuszoną swobodą. Siedziała na kanapie obok Quire'a, który pogrążony był w lekturze greckiej książki pożyczonej od doktora Dee. W salonie panowała od rana pogodna atmosfera.

Kilka dam towarzyszyło Królowej, Tom Ffynne zajrzał i poszedł oznajmiwszy, że lord Montfallcon i lord Kansas weszli zeszłej nocy do podziemi biorąc ze sobą pochodnie i zbrojnych. Drzwi znaleźli na galerii ponad starą Salą Tronową.

- Miałaś rację mówiąc, że poszukiwania potrwać wiele godzin - stwierdził Quire zza książki.

- Nie znasz tych tuneli. Są liczne, długie i pogmatwane.

- Aha - stwierdził Quire obojętnie, jakby jej nie słuchał. - Może powinienem wziąć paru twoich ludzi i pójść ich poszukać?

- Och, nie! Czemu miałbyś szukać kogoś, kto źle ci życzy? Nie wychodzą tak długo, bo nie znajdują tego, czego szukają.

- Tak czy inaczej - powiedział Quire zamykając książkę - może dobrze byłoby wziąć kilku strażników do Sali Tronowej, by czekali tam na nich.

- Jesteś nazbyt miłosierny - Gloriana skupiła się na trudnym ściegu w swojej wyszywance. - Czemu miałbyś się nimi przejmować?

- Może pragnę po prostu, żeby moje własne troski zostały jak najszybciej rozproszone?

- Wybacz mi. - Odłożyła szycie. - Teraz rozumiem. Dobrze, weź paru ludzi, jeśli tak bardzo tego chcesz, ale błagam cię, nie wchodź w te tunele.

- Jesteś dla mnie za dobra. - Wstał i ucałował ją. - Dziękuję.

Wchodząc do Sali Audiencyjnej, wielkiego, wspaniałego i pustego pomieszczenia, Quire rozejrzał się, nim zawołał na jednego ze strażników.

- Weź sześciu ludzi i idźcie za mną. To z polecenia Królowej.

Gloriana już wcześniej kazała im słuchać jego rozkazów, strażnik odbiegł zatem, by

zebrać kompanię.

Quire kusił los, ale wiedział, że jeśli Montfallcon znalazł cokolwiek, to lepiej żeby

Królowa nie była obecna przy konfrontacji.

\* \* \*

Wkrótce Quire znalazł się w ponurych lochach Herna. Przyglądając się sufitom wspominał z niejaką przyjemnością wszystkie czyny, których tutaj dokonał. To stąd wysłał na miłosne podboje Alys i Phila; to tutaj Cornfield, Ransley i Wallis przychodzili znaleźć ujście dla swych żądź. Podśluchiwał toczone tu rozmowy, tutaj uprowadził Patcha. Teraz powrócił w to miejsce wiodąc drużynę gwardii Królowej i spoglądając na galerię, której nieraz używał od czasu, gdy Tallow zdradził mu jej istnienie. Tu było wejście do podziemi. Quire bolał nad śmiercią Tallowa, chociaż była konieczna; jednak jeszcze bardziej żałował, że człowiek ten uciekł w poszukiwaniu pomocy.

Uśmiechnął się myśląc, jak Montfallcon daje sobie radę z armią wagabundów, których Quire zebrał pośród tuneli, tworząc z nich regularne oddziały zbrojne, panujące niepodzielnie w podziemiach i terroryzujące pozostałych mieszkańców lochów. To właśnie przeraziło Tallowa. Pogonili za nim i zabili go, ponieważ nie chciał się przyłączyć. Quire westchnął. To była akurat najprostsza część planu. Codziennie wracał w myślach z nostalgią do tamtych dni. W końcu z góry doszedł jakiś hałas, błysnęła pochodnia. Quire odruchowo cofnął się w cień, widząc przeklinającego Montfallcona, który wypadł z tunelu, a za nim dwóch strażników. Nie dostrzegając nikogo na dole, Lord Kanclerz oparł się o barierkę galerii. Obaj strażnicy byli lekko ranni. Widać musiało dojść do walki i pościgu.

- Gdzie Kansas, mój panie? - spytał cicho Quire nie ruszając się z miejsca i wiedząc, że architektura sali wzmacni jego głos.

Montfallcon odwrócił się i spojrzał na niego.

- Łotrze! Kansas nie żyje i pół tuzina żołnierzy poległo razem z nim. Natrafiliśmy tam na prawdziwy dum. Twoi ludzie, prawda?

- Nadal przypisujesz mi wielką władzę, jak widzę. No i co teraz zrobisz? Wyślesz na nich całą armię?

- Może. - Podpierany przez strażników Montfallcon przeszedł galerią i zaczął schodzić po niewidocznych z dołu schodach, aż stanął ogarnięty zimną nienawiścią na wprost przebiegłego wroga. - Ty ich tego nauczyłeś, co Quire? Ty wyćwiczyłeś te szczury?

- Rozumowanie twoje, panie, jest zbyt subtelne i nie nadążam za tobą. Czy Królowa zezwoli na dalsze wyprawy do podziemi? Chyba raczej...

- Nie mów z taką poufałością o Królowej, łotrze! Nie w mojej obecności!

Skorumpowałeś ją. Ten jej straszny seraj...

- Zawsze tu był, milordzie. Ja go nie wymyśliłem. Zresztą, odkąd ją poznałem, zajrzała tam może dwa razy...

- To symbol jej słabości, znak tego, czym się stała. To dziedzictwo Herna, któremu ona pozwala rozkwitnąć...

- A może ucieka tam przed Bernem...

- ...i tobą! Och, Quire, jesteś nowym wcieleniem Herna. Znałem jego logikę.

Ostatecznie miałem szansę ją poznać, nieprawdaż? Teraz słyszę jak to samo, bardziej subtelne, płynie z ust jego córki. Jesteś narzędziem Zła, Quire!

- Zapewniam cię, mój panie, że nie mam wartości symbolicznej. Działam tylko na własne konto.

Montfallcon splunął na niego.

- Szczejniesz! Dopilnuję tego! Zepsucie, które posiałeś, też zniknie! Czy wiedziałeś, że

Kansas pragnął poślubić Królową? Wiedziałeś to? Starał się o jej względy i gdyby nie ty,

zostałby przyjęty! Chciałem Perrotta na króla, ale na bogów, i na Kansasa bym przystał. A teraz on nie żyje. To ty go zabiłeś!

- Ja? - Quire okazał komiczne zdziwienie. - Sami dobrowolnie poszliście między mury ignorując życzenie Królowej i wszystkie ostrzeżenia, że nie wspomnę o zdrowym rozsądku. Jak ja mogłem go zabić?

Nagle Quire zmarszczył brwi zdając sobie sprawę, że skądś zna twarz jednego ze strażników Montfallcona. Zawahał się. Tak, to ten człowiek widział, jak Quire zabił Saracena Ibrama w wigilię Nowego Roku. Żołnierz był zbyt zaskoczony i wstrząśnięty, by cokolwiek powiedzieć, wciąż bowiem przeżywał grozę walki w podziemiach, ale bezsprzecznie też rozpoznał Quire'a.

Kapitan odwrócił się.

- Zamelduję o tym wszystkim Królowej. Nie masz chyba nic przeciwko temu? Zapewne będziesz chciał wysłać następną ekspedycję, mój panie? A potem jeszcze jedną?

- Znajdziemy sposób, aby opanować zarazę - przysiągł Montfallcon. - I sposób na uczynienie sądu nad tobą, kapitanie Quire.

Quire wiedział, że strażnik za chwilę odzyska głos i powie Montfallconowi, co wie, a wtedy wizja sądu stałaby się nader realna i bliższa, niż siwowłosy lord oczekiwał. Nakazał strażnikom pałacowym zanieść złe wieści Królowej.

- Powiedzcie, że Kansas zginaj w walce na dole i że najlepiej będzie zamurować wejście na wypadek, gdyby ta banda, która zaatakowała lorda Montfallcona, chciała dostać się do pałacu.

Sam tymczasem pozostał na miejscu, odwrócony plecami do Montfallcona i reszty.

Wgryzł zęby w kłykcie.

Za jego plecami Montfallcon podniósł szablę i opuścił ją. Postanowił, że nie będzie już

żadnych zabójstw i wiedział też, że za zabicie Quire'a Królowa z pewnością każe go powiesić.

Był gotów oddać własne życie za Albion, nie chciał jednak umierać bez świadomości, że Królestwo jest silne i bezpieczne.

Quire bez słowa odprawił nagle straż i ruszył schodami w kierunku apartamentów doktora Dee. Musiał poprosić go o jeszcze jedną przysługę: potrzebna mu była trucizna. Potem Alys Finch będzie musiała uwieść strażnika i podać mu truciznę do wypicia. To nie powinno nastęczyć trudności. Z sir Christopherem Alys poradziła sobie wyśmienicie. Jedynym niepewnym ogniwem był Dee, ale wobec niego Quire mógł zastosować groźbę, która skutkowała dotąd, chociaż Quire żałował, że musi uciekać się do niej otwarcie. Poprzednio tak szermował argumentami, iż mag przekonany był o niewinności Quire'a, którego zły los zmusza do tego, czy tamtego. Może uda się raz jeszcze, jednak sztuka retoryki wymaga czasu na wypowiedź, a czasu nie było. Quire musiał dostać truciznę, przekazać ją Alys Finch i wrócić do Królowej, zanim ktokolwiek zacznie go szukać. A temu świadkowi nie można było pozwolić chodzić dalej po tym świecie. Łatwo rozpoznałby Quire'a jako mordercę, a teraz, gdy sir Christopher nie żył, Montfallcon nie musiał się już z nikim liczyć. Quire zostałby oskarżony, potem odbyłby się proces zwykłego zbrodniarza. Cokolwiek Quire by powiedział, zostałoby zinterpretowane jako próba wykręcenia się od wyroku.

Po paru chwilach dotarło do kapitana, że jego sytuacja jest bardziej złożona, i być może Montfallcon nie zdecydowałby się wykorzystać zeznań strażnika, jednakże był zbyt blisko osiągnięcia celu, by ryzykować. Śmierć szeregowego strażnika powinna przejść niezauważona, a ciało, w razie potrzeby, da się ukryć, choćby na zawsze.

Dotarł do drzwi doktora Dee i zapukał. Wewnątrz rozległy się jakieś szmery i w kratce ukazała się twarz człowieka, który zmęczonymi, przekrwionymi oczami rozpoznał swego dobroczyńcę.



- Proszę wejść, sir! Właśnie ją przygotowywałem. Obawiam się jednak, że będę musiał zwiększyć moc napoju. Coraz trudniej nad nią panować. Proszę spojrzeć! - zachichotał obciągając koszulę. - Podrapała mnie na karku. Mógłbyś mi pomóc tak jak wtedy?

- Oczywiście, doktorze Dee - powiedział Quire z głęboką troską.

- To cudowne stworzenie. Nie widziałem jeszcze tak wspaniałego tworu. Ale mówiłem ci to już wiele razy. Nasza nauka nie potrafi jeszcze skonstruować tak idealnych, niemal ludzkich istot. Wiesz przecież, ile niepowodzeń mnie spotkało, ile razy próbował mistrz Tolcharde. Rozumiesz, że nie narzekam, bo to tylko drobne awarie, ale...

- Rozumiem. Staje się zbyt gwałtowna.

Doktor Dee przytaknął i westchnął.

- Straciła łagodność. I jest bardzo silna.

- Zrobię, co będę mógł. Póki co, postępuj z nią ostrożnie.

- Och, ona jest taka kochana. Nieodparta. Gdyby chciała mnie zabić, sir, umarłbym szczęśliwy.

- Przyszedłem jednak w innej sprawie, doktorze. Potrzebuję pomocy. Pojawiły się kłopoty. W podziemiach krąży szaleniec prowadzący ze sobą bandę złoczyńców. Trzeba go zabić.

- Zabić? Na Zeusa! Kto to jest? Czy jesteśmy w niebezpieczeństwie?

- Jest szansa, że uda się go pokonać, potrzebuję jednak więcej trucizny, którą dostałem od ciebie ostatnio. Tej bardzo trudnej do wykrycia.

Dee przytaknął.

- Tak, mam ją jeszcze. Ale czemu trzeba się wobec tego szaleńca uciekać aż do tak wyrafinowanego specyfiku? Powinna wystarczyć byle trutka, jeśli już trzeba go otruć.

Najlepiej zaś byłoby chyba użyć miecza, kapitanie Quire. Tak, miecz będzie z pewnością

najlepszy, sir.

- Muszę mieć szybko tę miksturę.

Dee był zaniepokojony zachowaniem Quire'a.

- Chyba... - Przemyślał szybko sprawę i poczuł, jak ogrania go lęk. - Pomożesz mi z nią?

- Jak tylko załatwię moje sprawy.

- Przrzekasz, kapitanie?-Jego głos brzmiał żałośnie.

- Byłem dla ciebie dobry, doktorze, i w zamian proszę tylko o kilka przysług.

- Wiem, że jesteś bardzo zdolnym i byстрыm filozofem, sir. Przypuszczam zatem, że twoje sprawy nie służą złu - dodał z powątpiewaniem, ale powtarzał to sobie przez całą drogę do pracowni, gdzie wręczył Quire'owi flakonik. - Wrócisz wkrótce?

- Jak obiecałem. I pamiętaj, bądź ostrożny, doktorze. - Quire wymknął się uradowany z pokoju. Teraz musiał jeszcze tylko znaleźć tę małą dziwkę, Alys Finch.

## **ROZDZIAŁ 30**

### **W KTÓRYM KRÓLOWA I KAPITAN OAJIRE WYBIERAJĄ SIĘ NA POLOWANIE**

Lato niemal niezauważalnie przeszło w jesień, a październik trzynastego roku panowania Gloriany był najcieplejszym spośród wszystkich październików pamiętanych w Albionie. Nie pojawiły się wichry, które rozwiałyby groźbę wojny, nie nadeszły przymrozki mogące osłabić zapal Królowej do kochanka. Euforia dworu narastała w zaciszu apartamentów, podczas gdy gniewni ambasadorowie wypełniali korytarze i poczekalnie, tracąc z wolna resztki cierpliwości, podobnie jak ich władcy, których dobiegały coraz to nowe niepokojące wieści. Z braku oficjalnych wiadomości, informacje te w coraz większym stopniu składały się z pogłosek, plotek i domysłów (fantastyczność tych ostatnich wzrosła stokrotnie po pojawieniu się Quire'a w pałacu); ambasadorowie zaś pragnęli przede wszystkim rozproszenia wątpliwości, paru słów Królowej, które przekazane do ich stolic zapewniałyby o woli

utrzymania pokoju. Nie otrzymywali jednak ani potwierdzenia, ani zaprzeczenia i bezradnie wysłuchiwali coraz bardziej burzliwych rozmów o flotach i armiach, o działach i jeździe, które to dyskursy ukryć miały prosty i ponury fakt powolnego narastania chaosu. Stoły bieleły mapami, na których szaleńcy wodowali papierowe floty, ludzie rozsądni zaś patrzyli z rozpaczą na Królową, żywiąc nadzieję, że matczyną i królewską decyzją rozkaże ona odłożyć zabawki, zanim możliwe przerodzi się w nieuniknione.

Szlachta Albionu prowadziła utarczki z coraz bardziej niepewnymi i skorymi do zwady ambasadorami czekającymi na nowe instrukcje i skonsternowanymi nowym zwyczajem Królowej, która udzielała audiencji tak rzadko i przyjmowała wówczas gości z taką niefrasobliwością, że czyniła jeszcze więcej złego, niż uczynić mogło samo jej milczenie. Imperium wzniesione na micie musi się nim żywić, w przeciwnym razie czeka je rozpad. Wielu mieszkańców i gości pałacu dostrzegało już pierwsze oznaki anarchii i zaczęto mówić już gdzieś o ujawniającej się z czasem krwi Heraa. Szeptano o monstualnym apetycie Królowej i o legendarnym seraju, gdzie niemal każdej nocy miały być odgrywane sceny, przy których okrucieństwa Herna były niewinnym teatrykiem. Tylko Montfallcon i paru jego popleczników widziało Quire'a jako sprawcę tych zmian. Sam kapitan odgrywał rolę szlachetnego sługi, który próbował przypomnieć Królowej o jej obowiązkach, i który stał się jej ofiarą. Głośno twierdził, że miota nim ten sam niepokój, co innymi, bo przecież wiadomo wszystkim, jak głęboko przyjął do serca romantyczne ideały Albionu i jak wyglądało jego pierwsze spotkanie z Królową. Darzono go zatem wszelkimi względami jako kochanka Gloriany i kogoś, kto jest jej żywym wyrzutem sumienia. Zgodnie twierdzono, że gdyby Quire miał rzeczywiście pełny wpływ na Królową i prawdziwe było bredzenie Montfallcona, wówczas Albion miałby o wiele lepszą monarchię.

Wejścia do podziemi zostały, na rozkaz Królowej, ponownie zamurwane. Gloriana

rozważała plany zniszczenia lochów lub przynajmniej pogrążenia ich w zapomnieniu raz na zawsze. Winiła Montfallcona za śmierć lorda Kansasa, którego bardzo lubiła, jak i za inne zgony, w tym za zejście strażnika, który nie wiedząc czemu, umarł od niewielkich w gruncie rzeczy obrażeń w dzień po powrocie ekspedycji. Montfallcon wypadł z łask i Królowa w ogóle już go nie widywała, utrzymując z nim kontakt tylko przez pośredników, jak sir Orlando Hawes i sir Vivien Rich, którzy nie mieli nic przeciwko Quire'owi i z wolna przychylali się do stanowiska Toma Ffynne'a: „To szczęściarz raczej niż spryciarz, chociaż sam siebie uważa za skończonego łotra”. Wszyscy widzieli, że Quire kocha Królową, jakby nigdy dotąd nie znał miłości.

W tym samym czasie Oubacha Khan poradził swemu panu, by Tataria zażądała zwrotu ziem prawnie do niej należących; lord Shahryar wysyłał optymistyczne raporty do Arabii; księżę Korzeniowski błagał bezskutecznie nowego króla, by powściągnął armię; w Kencie zaś z każdą godziną rosły szeregi zwolenników Perrottów. Quire był dumny ze swych osiągnięć. Pozostał mu już tylko jeden ruch. „Rozmiłowała się we mnie” - powiedział Saracenowi - „z czego teraz powoli zaczyna wykluwać się prawdziwe uczucie. Niedługo wycofam się, a wtedy ona, załamana, padnie w ramiona twego pana”.

Królowa nie radziła się nikogo, prócz Quire'a. Doktora Dee uważała za zwiastuna złych wieści, pomimo że coraz bardziej jej obcy, stawał się z wolna zagorzałym zwolennikiem kapitana. Sir Tancred rzucił się z blanków Wieży Brana i wydawało się, że tamtego ranka wraz z nim w Albionie umarły ostatecznie ideały Rycerstwa, zaś z truchła uniósł się mroczniejący i złowieszczy duch erotomanii, która, jak nieraz to się zdarzało, przyjęła pozory romantyzmu.

Alys Finch oddała się po dwakroć sir Amadisowi Cornfieldowi i lordowi Goriusowi Ransleyowi, po czym nagle przypomniała sobie o skromności, doprowadzając obu dżentelmenów do szału: na jej skinienie obaj przybiegali dysząc jak psy, które raz poznawszy

smak mięsa nie zadowolą się już kością. Gotowi byli przyrzec jej wszystko, byle tylko mieć raz jeszcze tę samą Alys, na którą miotali z nienawiścią obelgi i oskarżenia o doprowadzenie ich do tego stanu. Phil Starling nie ustępował jej wymykając się przy każdej okazji z łoża Wallisa i zdradzając go z tuzinem pomniejszych dworzan lub zaglądając do seraju, który objawił mu się jako prawdziwy dom rozkoszy. Lord Rhoone powrócił ze wsi, ze zdumieniem znajdując dwór kompletnie odmieniony. Nie widział się z Królową, rozmawiał tylko z Tomem Ffynnem, którego spytał: „Czy Quire jest już królem? Co się stanie z Albionem?”, Tom zaś potwierdził, że faktycznie uważa Quire’a za idealnego kandydata na męża Gloriany, bowiem jest to człowiek patrzący trzeźwo, realnie, no i ma dość doświadczenia, poza tym nie wywodzi się z pokolenia Montfallcona, które lęka się powrotu Heraa tak bardzo, że gotowe jest dopuścić nawet do rozlewu krwi, by do tego nie doszło. Oubacha Khan natrafił na zdrowego już małego, biało-czarnego kota i wziął Elizabeth Moffett na spytki. W swych poszukiwaniach znalazł niespodziewanego sprzymierzeńca w osobie sir Orlanda Hawesa. Quire nakazał Alys zacząć umizgi do Hawesa. Mała kurewka znalazła drogę do jego łoża ale, jak powiedziała potem Quire’owi, musiała ofiarować mu o wiele więcej, niż innym. Kapitan uznał, że to nie jest zbyt wysoka cena. Oubacha Khan odwiedził zbrojnych ze swej świty, którzy rozłożyli się obozem u bram pałacu. Quire ubawił się tą wiadomością. Tinkler zeznał, że Montfallcon wyprawił go do podziemi na rozmowy z zamieszkującymi tam bandytami (Montfallcon nie wiedział, że to Tinkler prowadził ich do walki, w której zginął Kansas i inni, ani że Quire ustanowił Tinklera ich wodzem). Kapitan nakazał swemu słudze nadal słuchać pilnie we wszystkim Montfallcona do chwili, gdy otrzyma nowe polecenia. Montfallcon porozumiał się w tajemnicy z księciem Korzeniowskim, zdradzając udział Quire’a w porwaniu króla (ale przemilczając własny). Miał nadzieję, że Korzeniowski przekaze wszystko Królowej, ale miast tego książę porzucił dwór i odpłynął do Polski, by opowiedzieć się za jak najszybszym rozpoczęciem wojny. Montfallcon

popadał w coraz głębsze szaleństwo. Quire rósł w siłę. Królowa była niezmiennie zakochana.

Ernest Wheldrake otrzymał tytuł szlachecki, jedyny nadany w całym sezonie.

*Jesienią i morze i ziemia*

*Życie z weselem beztrosko jednoczą,*

*A wiatr próbując w lasach silnego westchnienia*

*Poswawoliwszy, wnet znika przed nocą,*

*Gałęzie gołe, a listeczki marne*

*I pieśni mniej, niż w wiosny zaraniu,*

*Lecz przecież wszystko nieustannie śpiewa*

*Chwałę życia na ziemi oraz nad wodami.*

Tak recytował poeta usadowiony na monstrualnym ogierze na podwórku pałacowych stajen, odziany w brązy dopasowane do jego płomienistych włosów. Z niejakim trudem odnalazł, wymachując nogami, strzemiona, a pochylona w swoim siodle lady Lyst odetchnęła z ulgą.

- Wspaniałe, sir Erneście! - zawołała Królowa, która nie zrozumiała ani słowa. W

kaftanie i pończochach siedziała po męsku na swym kasztanowatym wierzchowcu. Poza białą krezą i mankietami, strój jej utrzymany był w odcieniach leśnej zieleni, przy pasie zaś miała małą szabelkę, uzupełnienie ubioru łowieckiego; na rudych włosach widniała niewielka, spiczasta czapeczka. Ubrany na czarno kapitan Quire wspiał się na czarną klacz i uśmiechał się, gdy reszta kompanii kończyła przygotowania do polowania, które poprowadzić miał sir Vivien Rich zadowolony i szczęśliwy, że wreszcie zdołał namówić Królową i jej świtę do jakiejś zdrowej rozrywki.

- Hurra!

Zagrały rogi i sfora wyrwała się przed jeźdźców niczym dzikie, brunatno-czarne morze,

przemykając pomiędzy nogami wierzchowców. Sir Orlando Hawes jadący obok przyjaciela, sir Viviena, wybrał na tę okazję kolory rdzawe i złociste, zaś Alys Finch, po damsku dosiadająca niewielkiego wałacha, wdziała bladoczerwone, aksamitne suknie. Sir Amadis Cornfield wskoczył na siodło i przybliżył się do niej spoglądając to na Quire'a, to na dziewczynę, pragnąc odpowiedzi, której nie mógł otrzymać. Po drugiej stronie jechał lord Gorius. Obaj rywale nosili się na zielono.

Sir Thomas Ffynne, dosiadający własnego konia, pozdrowił Królową.

- Gdzie lord Rhoone? - spytała przepatrując szeregi.

- Wrócił ostatecznie na wieś.

Wzruszyła ramionami i oddała stajennemu czarękę, z której wypła strzemiennego. Sfora biegła przodem, gdy myśliwi powoli wyjechali przez bramy na pola, nad którymi unosiła się lekka mgiełka.

- Chyba o wiele lepiej czuje się teraz z dala od dworu.

- Na to wygląda. - Koń Sir Thomasa boczył się na przebiegającą sforę! sir Flynn nie był zapalonym myśliwym. - Rano widziałem lorda Montfallcona.

- On chyba nigdy nie śpi - rzuciła od niechcienia Królowa. - I co? Znow przemierzał korytarze w poszukiwaniu szpiegów?

- Powiedział, że rodzina Perrottów ma po swojej stronie połowę możnych domów Albionu.

- A niech biorą sobie całe to przeklęte Królestwo! - Pogoniła wierzchowca i już była daleko.

Wkrótce Królowa prześcignęła nawet Quire'a, który w rozwianym płaszczu, wymachując kapeluszem pogalopował za nią. Skakali przez wilgotne od rosy żywopłoty, biegli przez zielone łąki, z lubością wyczuwając w powietrzu pierwsze wonie jesieni. Quire

oczekiwał, że październik będzie miesiącem jego triumfu, i już cieszył się pędząc za Glorianą pomiędzy poczerwieniałe drzewa i zielone zarośla lasu, tratując mech i jesienne kwiaty, podczas gdy gdzieś daleko z przodu sfora ujadaniem ogłaszała bliskość zwierzyny.

- Czy nigdy nie uwolnisz się, pani, od ducha puszczy?- krzyknął. - Robin Hood i panna Marion! - zawołał po czym zaśpiewał to, co wszyscy znali:

*Raz Robin śmiały zszedł nad wodę,  
tam panią swoją zastał.*

*Och Marion, czy poślubisz mnie?*

*Kocham płomienną twą urodę.*

Gloriana z radością przyjęła pieśń, ale nie powściągnęła wierzchowca. Dalej uciekała przed Quire'em tak szybko, aż musiał użyć wszystkich zdolności jeździeckich, by nie stracić jej z oczu. Pochylając się przemykał pod nisko zwieszonymi gałęziami poruszając deszcz żółtych i brązowych liści.

Gnali przez puszcę pokrzykując i nawołując się. Gdy Quire galopował za Królową, sir Amadis i lord Gorius podążali za jadącymi blisko siebie Alys i sir Orlandem. Lady Lyst trzymała się sir Wheldrake'a, chichocząc i piszcząc za każdym razem, gdy gałęzie chłostały ją po twarzy, przez co miała wielkie kłopoty z utrzymaniem się w siodle. Tylko sir Thomas i sir Vivien wyglądali na naprawdę zainteresowanych polowaniem.

Wypadli spomiędzy drzew na zalane łagodnym blaskiem słońca niewielkie wzgórza, porośnięte ciemnym mchem i błękitnymi, jesiennymi krokusami; skierowali się ku najbliższej grani, by ponad wierzchołkami płomienistych buków dojrzeć sforę gnającą za lisem, który uciekał przez paprocie niby łosoś przemierzający głębiny. Gloriana zwolniła na chwilę, pozwalając Quire'owi zrównać się z jej wierzchowcem. Jej twarz zdołała się zarumienić.

- Och, Quire! Codziennie powinniśmy tak polować!



- Może być i tak, kochana.

Kasztanka znów ruszyła galopem w dół wzgórza, by wspiać się na przeciwległy stok, Quire zaś, świadom narastającego z wolna bólu i cierpienia kochanki, pogonił za nią. Mijał buki i w uszach brzmiał mu teraz tylko ich szum, łomot kopyt bijących ziemię, własny, sykliwy oddech. Quire nie był jej równy, ale nie chciał rezygnować. Drzewa odpłynęły do tyłu ustępując miejsca złocistym poprociom. Quire poczuł bogatą woń ziemi i aż zdumiał się, ile przyjemności znalazł we wdychaniu tego zapachu. Zamknął usta, by uniknąć kolejnego szoku. Przeskakiwał przez ogrodzenia, bramy i strumienie, a myśliwi gnali za nim i za sforą, która niewątpliwie osaczyła już zdobycz.

- Heeej!

Quire obejrzał się przez ramię. Sir Amadis i lord Gorius zostali daleko z tyłu i praktycznie nie brali już udziału w polowaniu. Z prawej miał Alys i sir Orlanda, przed nim, po tej samej stronie, jechali sir Vivien i Tom Ffynne, daleko z przodu była zaś Gloriana, krzykiem zachęcająca ich do szybszego biegu. Sfora i myśliwi roili się zbiegając ze złocistego wzgórza ku wodom Tamizy.

- Tam! - krzyknął sir Vivien. - Tam! Jest osaczony! - Obrócił się, by powiadomić o tym Królową, zachwiał się w siodle, złapał końskiej grzywy, po czym wraz z siodłem i całym rynsztunkiem spadł z grzbietu galopującego wierzchowca.

Królowa minęła go nie zdążywszy powściągnąć cugli, ale Quire zahamował swą czarną klacz i zeskoczył, by uklęknąć obok jęczącego szlachcica.

- Cholera! Mój grzbiet! Chyba przetrącony, Quire.

- Tylko poobijany. Co się stało?

- To sprawka stajennego. Popręg się rozpiął. Spadłem. Powinenem tego dopilnować. Ci pałacowi stajenni potrafią tylko zaprząć szkapę do karety. Ach! - Bolało, i to solidnie.

Królowa i Tom Ffynne przygalopowali z powrotem. Gdzieś w dali narastało coraz głośniejsze i bardziej zajadłe ujadanie sfory. Sir Orlando Hawes i Alys Finch spoglądali na Quire'a z wysokości siodeł.

- Co znowu? Kolejny wypadek? Bardzo się poturbowałeś, sir Vivien?

- Grzbiet przetrącony, ale żyję. - Pocił się z bólu. - Weźcie paru parobków i wyjmijcie z zawiasów jakąś bramę. - Spojrzał na przyjaciela. - A jak polowanie, sir Orlando?

Hawes spojrzał chłodno na stok wzgórza.

- Wygląda na to, że rychło już dopadną małego lisa...

## **ROZDZIAŁ 31**

W KTÓRYM MISTRZ TOLCHARDE PRZEDSTAWIA SWE NAJWIĘKSZE DZIEŁO I W KTÓRYM

ROZSTRZYGAJĄ SIĘ SPRAWY POMIĘDZY RYWAŁAMI I KOCHANKAMI

Powszechnie dostępne części pałacu niemal opustoszały, gdy Królowa zaprosiła gości do dusznych i wijących się labiryntem jaskiń swego seraju, gdzie na uczestników zabawy oczekiwały namaszczone oliwą nagie ciała dziewcząt i chłopców, jak i wszelkich dziwadeł: karłów, gigantów, hermafrodytów. Zeszłoroczne jesienne przedstawienie miało wprawdzie już za temat ucztę Bachusa, tym razem jednak szykowały się prawdziwe bachanalia w stylu północnobizantyjskim. Królowa leżała senna wraz z sardonicznie usposobionym Quire'em na wielkim łożu ustawionym na podwyższeniu pośrodku głównego pomieszczenia, goście zaś mieli swoje własne leżanki, na których, coraz bardziej ociężali, raczyli się winem i cudzymi ciałami.

Ukryta kapela grała słodko, a kilku tancerzy mistrza Priesta prowadzonych przez Alys Finch i Phila Starlinga, tańczyło leniwie w jej takt. Świat rozplynał się, zastygł w beztrosce i luksusie. Kilka lamp i pochodni rzucało blask na scenę, ale nie rozpraszało mroku, w którym ginęły zarówno ciemne stroje, jak i meble.

Rozebrany do pasa sir Ernest Wheldrake, pokazujący wszystkim plecy przepasane na krzyż rzemieniami, podał lady Lyst puchar z winem. W drugiej dłoni trzymał swą książkę z wierszami i czytał na głos:

*Czerwony był owoc wina,*

*Jakby krwawił,*

*Rubinowa czerwień, czerwień to podniosła*

*I magiczna jej władza,*

*Gdy wstrzymała czasu krosna.*

*Gdy godzinę za godziną*

*Omdlewały przy księżycu*

*Głowy nasze w mrok altany*

*Przyciągnięte, zaszepcane:*

*A to ty i to jest twoje,*

*A to ja i to jest moje,*

*A to miłość, co wyniszcza,*

*A to śmierć...*

*I śmierci zgliszcza.*

Marszcząc brwi, lady Lyst otworzyła oczy. Wino spływało jej po brodzie. Ze zdumieniem spojrzała na mały bukietek lilii w swej prawej ręce. Zamknęła powieki i zaczęła głęboko oddychać.

Sir Ernest miał znów zacząć czytać, gdy dwaj giganci, biały i czarny, pchnęli asymetryczne drzwi wpuszczając doktora Dee w todze wyszywanej w magiczne symbole i ze zwojami w dłoniach. Za nim podążali mistrz Tolcharde w najlepszych swych szatach i Tan Hermiston w barwach klanu.

- Proszę - powiedział Phil Starling, kładąc wyzywająco dłoń na ledwie zaznaczającym się biodrze - Oto mistrz Tolcharde cały wypchany, napchany i napuchany, a z wierzchu wysadzany klejnotami. - Parę osób się roześmiało, ale Quire i Królowa pozostali milczący. Dee skrzywił się słysząc wulgarność Phila, a mistrz Wallis próbował odciągnąć chłopaka, ten jednak wymknął się i biegał z miejsca na miejsce, pozdrawiając w przelocie swych przyjaciół. Wallis otworzył już usta, by coś powiedzieć, ale powstrzymał się i odwrócił doń plecami. Tan Hermiston stanął nieruchomo jakby napotkał wzrok Gorgony.

- Na Ariocha! Co tu się dzieje! - Broda mu się zjeżyła. - Niczego gorszego nie widziałem podróżując po mnogich światach.

Królowa uśmiechnęła się i uniosła dłoń.

- Prosimy do nas, kochany Tanie. Jakie wieści przywozisz z podróży? Może masz dla nas nowych więźniów? Kiedyś przywiodłeś kapitana Quire'a...

Twarz Tana poczerwieniała. Spojrzał na Quire'a.

- Kapitanie, ta kobieta zepsuła cię do szczytu!

Królowa znów się uśmiechnęła.

- Wręcz przeciwnie, sir!

- Co to ma znaczyć? Co to jest?

- Pałac rozkoszy - powiedziała.

- Pani... - Oblicze Dee było jakby ściągnięte. W okolicach szczęki widniała świeża, częściowo dopiero zagojona blizna. Usiłował zamaskować ją siwymi włosami. -

Przyprowadziliśmy Tana, ponieważ pragnął ci coś powiedzieć...

- Czy to coś zabawnego, kochany Tanie? Pamiętaj, że przyszedłeś na jesienną ucztę.

- Nie, to nic zabawnego, pani. Widziałem się z margrabią Simlem w Indiach

Wschodnich. Wojska tatarskie podeszły pod granice Imperium i gotowe są do ataku. Wojna ma

rozpocząć się w połowie miesiąca. Na dworze jest zdrajca, który o wszystkim informuje wroga.

- Kto nim jest, sir? - spytała beztrąsko.

- Tego margrabia nie wie.

Królowa spojrzała na sir Orlanda, który siedział nieco niespokojny na poduszkach.

- Często widzisz się z ambasadorem Tatarii, sir Orlando. Wspominał ci coś?

Sir Orlando wzruszył ramionami.

- Nic konkretnego, pani. Zapewne Tatarzy chcą wojny podobnie jak inni obecnie. Ale chyba to cię nie interesuje.

- Na razie jeszcze nic nie powiedziałaś, sir.

- Oubacha Khan utrzymuje, że Tataria ma zamiar zaatakować niektóre rejony Indii i

Kitaj jak tylko zacznie się wojna pomiędzy innymi narodami. Uważają, że to ułatwi im zadanie,

bowiem, jak udowodniał, ogień ogarnie cały świat. - Sir Orlando mówił spokojnie, jak ktoś, kto nie ma już nadziei, że jego zdanie zmieni cokolwiek.

- Ale to nic pewnego?

- Nie, pani. Znakiem do rozpoczęcia wojen będzie najpewniej wyprawa Perrottów przeciwko Arabii.

- Chcę, by sprowadzono tu któregoś z nich.

Sir Orlando spojrzał na nią z nadzieją.

- Jutro, pani?

- W przyszłym tygodniu.

- Tak, pani.

- Może należałoby zareagować trochę szybciej - szepnął jej Quire. - I zagrozić.

Powiedzmy Perrottom, że zostaną straceni jako zdrajcy.

- W Albionie nikogo nie karze się śmiercią.

- Dlatego proponuję tylko zagrozić.

- Rozumiem. Sir Orlando! Poinformujesz Perrottów, że popełniają zbrodnię zdrady państwa. Przypomnij o obowiązującym niegdyś za to wymiarze kary.

Sir Amadis Cornfield spojrział zdziwiony i potarł czoło, jakby chciał uporządkować myśli.

- Czy to wszystko, co zamierzasz uczynić wobec takich wieści, pani? - spytał Tan.

- A co jeszcze niby mogę zrobić, sir?

- Przeprowadzić śledztwo. Królestwo każdego dnia przybliża się nieuchronnie do otchłani chaosu!

Królowa wlała w siebie wielki puchar wina, jakby to właśnie miała być odpowiedź.

- Jak wiesz, sir, nie cierpię niepotrzebnego rozlewu krwi.

- Powstrzymałaś świat od wielkich wojen przez trzysta lat. Teraz przypominasz działo, które swym wystrzałem ma dać sygnał do największej bitwy w dziejach. Widziałem już takie wojny, światowe, w moich podróżach. Całe kontynenty legły pogrążone w ruinie i wypalone do cna. Czy taki ma być los Albionu?

- Oczywiście, że nie, sir.

Tan nachmurzył się.

- Odejdę zatem w poszukiwaniu miejsca o zdrowszym klimacie. - Spojrzął na Quire'a. -

Uwiodła cię, chłopcze, zamroczyła i oplotła swoimi sztuczkami.

Quire milczał.

Tan spojrzął na doktora Dee i Tolcharde'a, nawet na Quire'a, jakby oczekiwał, że wybiorą się w podróż razem z nim. Sam wyszedł z seraju, gniewnie łopocząc tartanem.

- Ta kobieta powinna wyjść za mąż! Trzeba z tym skończyć! Ba!

Mistrz Tolcharde poczekał taktownie, aż przyjaciel wyjdzie, po czym postąpił krok i

skłonił się wytwornie, choć niezgrabnie.

- Pani, kilka miesięcy temu obiecałem ci przedstawienie - powiedział nieśmiało. - Jest już gotowe. Jeśli zespół zagra stosowną muzykę, tancerze pojawią się na scenie.

- Z wielką chęcią, mistrzu Tolchardzie - odparła pogodnie Królowa, spoglądając ponad jego spoconą łysinę.

Skinęła na usadzonych na galerii muzyków i natychmiast popłynęła żywa, piękna melodia, mocno kontrastująca z nastrojem wieczoru. Królowa ujęła kolejny puchar wina, a Quire ułożył się wygodnie, machinalnie głaszcząc jej rękę.

Mistrz Tolcharde zaklaskał i z drugiego końca komnaty wyłonili się tancerze w błyszczących kostiumach, a szli tak lekko i zgrabnie, że trupa mistrza Priesta wydawała się przy nich zbieraniną kalek i paralityków. Tańczyli, podchodząc coraz bliżej w piruetach i skokach, muskając się dłońmi. Gdy byli już przed samą areną, wszyscy ujrzeli ich twarze będące nieruchomymi, metalowymi maskami. Oczy ich były puste, a usta nie wyrażały niczego. Oto Arielem w łaciatym przebraniu i kłowni: błazen, Pierrot i Kolombina, Isabella i Doktor oraz stary Pantalón. Dalej Scaramouche, czerwonołocy muszkieter ze szpadą i w krzykliwym stroju. Wszyscy oni stanęli rzędem przez Królową i gdy muzyka raptownie się urwała, dygnęli i skłonili się jednocześnie. Stroje ich w całości były z metalu, podobnie jak ich barwne stopy, dłonie, oblicza.

- Patrzcie - powiedział z dumą mistrz Tolcharde. - Oto moja mechaniczna arlekinada.

- To nie są ludzie, mistrzu Tolchardzie? - westchnęła Królowa. - Ani trochę? Są tacy piękni!

- Cali z metalu, pani. Nikt jeszcze nie stworzył lepszych istot.

(Doktor Dee zamienił jednoznaczne spojrzenie z Quire'em).

Znów zaczęli tańczyć, odgrywając całą sztukę o miłości zdradzonej i miłości

odzyskanej, o uczuciu zagrożonym i pomszczonym. Wprawdzie ich metalowe twarze nie wyrażały żadnych emocji, jednak mechaniczne ciała wypowiadały wszystko. Królowa przysunęła się bliżej Quire'a, a on zbliżył się do niej. Na scenie Arlekin podejrzewał właśnie, że Kolombina go zdradziła, bowiem Isabella była zazdrosna i chciała Arlekina dla siebie, a zatem dała mu do zrozumienia, że Kolombina kocha Scaramouche. Z kolei Arlekin oddał się Isabelli po to tylko, by zbyt późno odkryć prawdę, i gdy pospieszył wyznać wszystko Kolombinie, zginął od ciosu jej mściwego noża. Dowiedziawszy się wszystkiego, Kolombina zażyła truciznę. Ostatnim fragmentem tańca był powolny, pogrzebowy marsz, w którym odbijały się układy wcześniejszego tańca trupy mistrza Priesta.

Większość publiczności była żywo poruszona, szczególnie panowie Cornfield, Ransley i Wallis, którzy czuli się zdradzeni w miłości. Alys Finch płakała jak dziecko, sir Orlando ją uspokajał. Quire odniósł się do pantomimy obojętnie, ale gdy Królowa wypowiedziała się o niej pochwalnie, zaklaskał z entuzjazmem. Mechaniczne istoty tanecznym krokiem odpłynęły w mrok.

- Będziesz musiał przedstawić ich raz jeszcze, sir - powiedziała Królowa. - Jeszcze wiele razy. Czy grają też inne sztuki?

- Na razie jeszcze nie - przeproszał Tolcharde. - Tylko tę jedną. Ale to można zmienić. Od komedii do tragedii. Jeśli tylko pozwolisz, to przyprowadzę ich na następną zabawę.

- Oczywiście, mistrzu Tolchardzie. Dziękujemy ci.

Tolcharde nigdy nie był bardziej ukontentowany pochwałami. Rozpromieniony odszedł śladem swoich komediantów.

Quire'owi przyszło na myśl, że właśnie widział taniec ożywionych trupów. Wstał i powiedział Królowej, że musi się trochę przewietrzyć.

Gdy przechodził obok sir Amadisa, ten narzucił płaszcz.



- Kapitanie Quire? - Ton był proszący. Podpieszczany nieco dalej przez dwie gejsze, Ransley nastawił ucha.

- Tak, sir Amadisie? Co mogę dla ciebie zrobić?

- Twoja podopieczna, ta oto dziewczyna...

- Nie jestem już opiekunem Alys. Kiedyś broniłem jej dziewictwa, ale teraz nie ma już czego chronić. - Głos jego był pewny, a moralność niezachwiana.

- Ale kiedyś wstawiłeś się za mną.

- Nie powinienem tego robić.

- Czy mógłbyś jeszcze raz szepnąć słówko w moim imieniu, kapitanie?

- Nie, sir Amadisie. Musisz sam sobie poradzić.

Ransley wstał i podszedł do nich chwiejnie.

- Uważaj, Amadisie, byś nie stał się ofiarą spisku. Wszystko słyszałem.

Quire ruszył dalej.

- Nic nie mogę dla was zrobić, panowie. Sami musicie coś postanowić. Nie jestem bogiem.

- Ale masz boską władzę, Quire - powiedział lord Gorius. - Przynajmniej pod pewnym względem. Na Zeusa! Wszystkich nas uwiodłeś!

Quire zatrzymał się, wciąż odwrócony do nich plecami.

- A to niby jak, mój panie?

- Spójrz na nas. Pijani, opętani żądzą zmieniamy ten dwór w siedlisko rzymskiego tyrana. To wszystko twoje dzieło, Quire.

- W rzeczy samej. - Quire obrócił się. - Skoro tak mówisz, to naprawdę muszę chyba być bogiem, mój panie.

- Gdy pod koniec świata, a to już nie tak daleko, przeprowadzone zostanie śledztwo w

sprawie śmierci honoru w Albionie, werdykt będzie brzmiał: morderstwo. A imię zbrodniarza będzie brzmiało: Quire.

Kapitan podrapał się po potylicy.

- Zepsucie wynika z faktu, że mitem posłużono się do kreowania rzeczywistości. Czy

Albion mógłby upaść tak łatwo, gdyby fundamenty jego były solidne?

- Nie zaprzeczasz zatem...?

- Zaprzeczam wszystkiemu, mój panie.

- A co z Alys Finch? - Głos lorda Goriusa nieco się załamał. - Nie wstawisz się za jednym z nas?

- Powtarzam, nie jestem bogiem ani nawet królem. Jestem tylko Quire'em. Sami musicie rozwiązać wasz problem. - Powiedziawszy to wyszedł, zostawiając Ransleya i Cornfielda naradzających się po cichu.

Sir Orlando rozmawiał z Alys Finch o polityce, ta zaś stosowała dobrze opanowaną już sztukę polegającą na powtarzaniu interlokutorowi w zmienionej nieco formie jego własnych słów.

- To wszystko wina Montfallcona. Trwa desperacko przy swoich przekonaniach.

Uważa, że jedynym sposobem na utrzymanie jedności Imperium jest uczynienie Gloriany boginią i sprawienie, że i ona sama uwierzy w swoją boskość. Chowając ją w nieświadomości chce ocalić legendę. Czepia się tego z uporem szaleńca. Sądzę, że jest ofiarą Quire'a w tym samym stopniu, w jakim sam uważa innych za ofiary kapitana. Też gromadzę dowody na to, ale nie tak ostentacyjnie jak Montfallcon.

- Uważasz zatem, że kapitan Quire jest łotrem, który zamierza chyłkiem zasiąść na tronie?

- Nie mam właściwie nic przeciwko niemu. Byłby wspaniałym królem. Gdyby jeszcze

motywy jego działania nie różniły się tak od moich... Ale żywa tkanka Albionu niszczy na naszych oczach. To, co z taką pracowitością utkał Montfallcon, nie powinno zniknąć ot, tak, z dnia na dzień, bowiem ani szlachta, ani lud nie zniosą nagle objawionej prawdy. Kurtyna musi podnosić się powoli, cal po calu, przez wiele lat.

- Ale w tej zasłonie już teraz są dziury. To dlatego rodzina Perrottów ma tylu zwolenników. Widzą rozpustę pod szlachetnym brokatem, a przynajmniej tak im się wydaje. - Prawdziwego zepsucia tu nie ma. To tylko rozpacz osieroconej kobiety, a to przeminie. Quire sprawia jednak, że do głosu dochodzą skrajności. Niektórzy postrzegają nas, bawiących się dzisiaj, jako zapowiedź zmiany na gorsze, i uznają tę rozrywkę za przejaw czegoś strasznego, co niedostępne jest już ich oczom. Romantyzm wzmaga wyobraźnię, daje inspirację i skłania do szukania brzydoty raczej niż piękna, a to uwalnia piekielne zaiste moce.

- Podzielasz niechęć Quire'a do romantyzmu?

- To owszem. Ale obca mi jest jego nienawiść, Alys. A najgorszą spośród nich jest nienawiść wobec samego siebie. To właśnie tak zbliża go, chociaż nikt tego głośno nie powie, do Królowej.

- Uważasz, że on szczerze kocha Królową?

- Tak, o ile w ogóle zdolny jest do tego uczucia.

- Rozmawiałeś ostatnio z Oubachą Khanem. Planujecie razem wyprawę pomiędzy mury. Chcecie pójść w ślady Montfallcona?

- Tak. Może kot, którego znalazł Khan, doprowadzi nas do księżnej Scaith. Nie liczymy na wiele, ale wyruszymy w tajemnicy z pięćdziesięcioma Tatarami w pełnym uzbrojeniu. Oni z łatwością poradzą sobie z bandytami. To najlepsi żołnierze na świecie. Wiesz, Oubachą Khan kocha księżnę. Uważa, że padła ofiarą spisku Montfallcona czy Quire'a i pragnie odnaleźć ją, choćby nawet miał trafić na trupa.

- Sprawdziliście starą studnię, jak wiem?

- Tak, i znaleźliśmy tylko zwłoki jakiegoś włóczęgi, pewnie mieszkańca murów.

- Kiedy wyruszacie?

- Niedługo.

- Powiesz coś Montfallconowi?

- Nie. Zdradziłby niewątpliwie nasze plany. On już nie panuje nad sobą. Jest chory od pewnego czasu. Może od chwili śmierci lady Mary? Teraz na każdą wzmiankę o naszych bolączkach reaguje zapowiadając ogólne zniszczenie.

Alys Finch ujrzała swego pana, Quire'a, wracającego do komnaty. Zmarszczyła brwi.

Quire został zatrzymany przez zapłakanego Wallisa.

- Drogi kapitanie, twój chłopak mnie zdradza - wyszeptał Wallis. - Pomów z nim.

Umieram z bólu, któremu on jest winien.

Quire uśmiechnął się do biednego Wallisa i poklepał go po głowie.

- Oczywiście, porozmawiam. - Poszukał Phila wzrokiem. Starling bawił się właśnie w towarzystwie pół tuzina dam i elegantów z seraju, ale zaraz zauważył Quire'a i roześmiał się, szydząc z nich obu. Quire westchnął. - Brakuje mu manier, ale to grzech młodości. Zawsze taki był.

- Muisz przywołać go do porządku - powiedział Wallis z przejęciem.

Quire rozłożył bezradnie ręce.

- Ale jak?

- Jest pod twoją opieką.

Quire powoli przywołał uśmiech na twarz.

- Przychodzą do mnie, gdy Królowa ich odtrąca. - Zatęsknił za końcem całego dzieła.

- On mnie zabija - powiedział otwarcie Wallis.

- Znajdź innego. Tyłu ich tutaj. Będą zachwyceni, gdy ktoś o twojej pozycji zwróci na nich uwagę.

- Ale ja jego kocham!

- Aha. - Spoglądał na wstających właśnie i zbierających się do wyjścia sir Amadisa i lorda Goriusa. Przyłożył dłoń do warg. Potem spojrział na Królową: była już pijana. Kiwała na niego. - Przepraszam, ale muszę już iść. Obowiązki, panie Wallisie.

Zostawiając zrozpaczonego sekretarza, przeszedł pomiędzy poduchami ku podium, z którego wzywała go Gloriana.

- Chodźmy odpocząć - powiedziała z trudem.

Quire ujrzał, jak sir Ernest przewraca się z zamkniętymi oczami na uśpioną lady Lyst.

Połowa gości była w podobnym stanie. Mieszkańcy seraju usunęli się dyskretnie do swoich pomieszczeń. Quire poczekał, aż Gloriana zarzuci mu rękę na ramię i stanie pewnie na nogach.

Była o wiele wyższa od niego, musiał zatem zebrać wszystkie siły, by pomóc jej zejść po schodach.

- Moje dzieci - powiedziała.

Quire przystanął zdumiony.

- Obiecałam dziewczynkom, że je odwiedzę-wskazała na odległy koniec sali. - Są tam.

W osobnych apartamentach. Nie zaglądamy oczywiście tutaj...

- Wiem. Ale to miało być później. Jutro spędzisz z nimi cały dzień.

Szybko pogodziła się z tym i pozwoliła przeprowadzić się obok bliźniaczych strażników, a dalej przez korytarz i pokoje do sypialni. Pobrzękując klejnotami opadła na łóżko i momentalnie zachrapała.

Quire, który doprowadził ją do tego stanu, miał teraz pewność, że Królowa nie obudzi się przynajmniej przez kilka najbliższych godzin. Z czułością, która weszła mu już w nawyk,

ściągnął z niej większość biżuterii i te części odzieży, które można było rozplatać bez zbyteńgo zachodu, okrył ją kocem i wyszedł z sypialni. Przyłożony do ust palec powiedział służącym wszystko, co trzeba. Quire podszedł do głównych drzwi korytarza i już miał je otworzyć, gdy usłyszał głosy szepczące po drugiej stronie. Wychwycił zdanie: „Czy mamy pozwolić, by rządziła nami kurwa i zwykły złodziejaszek?”. Wyjrzał przez szparę.

- Trzeba położyć temu kres. To hańba dla Albionu. Jest sposób, aby tego dokonać.

Lord Montfallcon i Tan Hermiston rozmawiali półgłosem, przechadzając się po krużganku. Takiego aliansu Quire nie oczekiwał. Ci dwaj nigdy nie przestawali ze sobą i dlatego nie oczekiwał z tej strony żadnego niebezpieczeństwa. Bez wątpienia zbliżyły ich wspólne obawy. Gdy zniknęli mu z oczu, zamknął drzwi i ruszył znaną już trasą do Wschodniego Skrzydła, gdzie był umówiony. Zgodnie ze starym zwyczajem zawsze starał się być na miejscu wcześniej, niż go oczekiwano. Nie raz i nie dwa ocalił już w ten sposób życie. Doszedł do galerii ponad ogrodem, w którym wiosną Gloriana grała rolę Majowej Królowej. Światło księżyca wpadające przez liczne okna oświetlało galerię nie gorzej niż ogród. Quire odruchowo wyjrzał na zewnątrz, potem zatrzymał się i poszukał wzrokiem cienia, w którym mógłby się skryć. Z dołu dobiegały osobliwe dźwięki, jakby trzeszczenie i szelest, czy zgrzyt, przypominające odgłosy wydawane przez siekiere w rękach drwala. Gdy oczy Quire'a przywykły do ciemności, wydało mu się, że cały ogród z dębami i lasem, będącym schronieniem i żerowiskiem saren, kołyszą się. Po chwili zrozumiał, że ktoś musiał wejść na drewniane pomosty wiodące wokół parku. Sam wdrapywał się na nie parokrotnie i wiedział, że dają dobre oparcie dla nóg. W końcu usłyszał coś jeszcze, regularny, ostry odgłos: *kling-klang, kling-klang...* i ujrzał dwie postaci pojedynkujące się na szpady, podczas gdy kładki jęczały i skrzypiały pod nimi. Walczący przemieszczali się to tu, to tam, wpadali na liny, czasem celowo któryś rozkołysał ruchome podłoże.

Quire obserwował ich przez parę chwil świadom, że każde czekać swojemu gościowi, ale ciekaw był wyniku pojedynku, szczególnie, że odgadł, kim byli walczący. Koniec końców, sam zachęcił ich do walki.

*Kling-klang, kling-klang.* Zupełnie, jakby szalony ogrodnik postanowił o tej właśnie, później porze przyciąć martwe gałęzie. Skrzyp był coraz głośniejszy, jęki coraz bardziej urozmaicone. Pojedynkowicze pojawiali się i znikali pomiędzy gałęziami.

Nagle zapadła cisza. Quire dojrzał postać opartą o linę, potem kładka przechyliła się i postać spadła.

Jak mógł najszybciej, zbiegł po schodach do ogrodu.

Gdy dopadł ciała, zwycięzca już stał nad pokonanym przeciwnikiem. Sir Amadis oddychał głęboko chowając szpadę do pochwy.

- Chyba go zabiłem - powiedział. - Nie żył, gdy spadł. Biedny Gorius.

- To był głupi pomysł - powiedział Quire.

- Widziałeś nas? Ty i ilu jeszcze?

- Kto to może wiedzieć? - Quire był przekonany, że nie było innych świadków. -

Zostaniesz uwięziony, wygnany.

- Pragnąłem Alys. I on też.

- Teraz nie będzie chciała rozmawiać z żadnym z was.

- Wiem.

- Musisz wrócić do żony - powiedział Quire kierując się odruchem, po czym zamyślił

się. - Tak, do Kentu. Rodzina Perrottów cię ochroni.

- I co mam im powiedzieć?

- Że jesteś ofiarą. Że spieraliście się o status Perrottów i że Ransley nazwał ich

zdrajcami i chciał, by ich powywieszano. Usiłował cię zamordować. Coś w tym guście. Nie

powinni mieć oporów wobec ciebie.

- Wiem. Żona chce, abym jej towarzyszył. Ale nie mogłem. Lojalność mi nie pozwalała.

I żąda.

- Jeśli nadal chcesz pozostać wiernym Królowej, to oszczędź jej skandalu. - Quire był zachwycony. W ten sposób mógł utwierdzić Perrottów w ich nienawiści i przyspieszyć wypłynięcie floty. - Wyruszaj nie czekając, do rana będziesz już w Kencie. Tylko konia ci trzeba.

Sir Amadis spojrział z powątpiewaniem na Quire'a.

- Coś chętnie się mnie pozbywasz, mości kapitanie.

- Wiesz dobrze, że zawsze byłem twoim przyjacielem. Teraz próbuję tylko uratować cię od kary.

- Kent jest jedynym rozwiązaniem, masz rację. - Sir Amadis odchodził już zważym krokiem. - Zrobię co będę mógł, by ich uspokoić i uratować Albion od wojny. O ile to jeszcze możliwe.

- Będziesz potężniejszy, niż Quire - powiedział kapitan machając mu na pożegnanie.

Bez pośpiechu wrócił na galerię, gratulując sobie, że tak łatwo pozbył się dwóch postaci i rad, że szczęście go nie opuszcza.

Lorda Shahryara spotkał w miejscu, które niegdyś było pralnią, zbudowaną na potrzeby Herna. Po parze i pocie nie pozostał już nawet ślad, woda odpłynęła bóg jeden wie gdzie, i całe pomieszczenie śmierdziało ługiem. Quire oparł się o drewnianą balię i uśmiechnął do lorda Shahryara, któremu wcale ta atmosfera nie odpowiadała.

- Jeszcze tylko kilka dni - powiedział cicho - i flota Perrottów wyruszy w morze.

- Nasze statki już wypłynęły, ale zakotwiczą w pewnej zatoce w Iberii, gdzie będą czekały, by przyjść Albionowi z pomocą. - Lord Shahryar był jakby przygnębiony. - Czy to się



w ogóle uda, Quire?

- Z pewnością - powiedział takim tonem, jakby podzielał nastrój Saracena.

- Odrodzimy chwałę Albionu - zapalił się Shahryar. - Chociaż tak naprawdę nie ucierpiała ona ani trochę. Przystojny Hassan spodoba się narodowi.

- Tak. I na dodatek będziecie mieli na swój użytek kłamstwo lepsze, niż wszystko, co potrafił wymyślić Montfallcon.

Shahryar zauważył zgorzknienie brzmiące w tonie Quire'a.

- Chyba nas nie zdradzisz?

- Teraz? Jak mógłbym? Sprawy zaszły za daleko.

- Co zrobisz potem?

- Pewnie poszukam innego patrona. - Quire wołał nie podejmować tego tematu.

Shahryar roześmiał się.

- No tak. Zakochałeś się w niej. Banalna historia.

- Polubiłem tę nieszczęsną dziewczynę, którą tylko włos dzieli od klęski. Zawsze przywiązuję się do moich ofiar, sir.

- Nie, tym razem to coś więcej. - Shahryar postąpił parę kroków w jego stronę. -

Zastanawiam się, czy zdradziłbyś nas, gdybyś mógł. Bo sposób by się znalazł. Sir Thomas Ffynne jest już w Porthmouth i zbiera wielką flotę, która ma powstrzymać Perrottów. Gdyby jednak skierować ją przeciwko nam...

- Obawiam się, sir, że tego nie da się zrobić. Znany jestem z tego, że dotrzymuję słowa.

- Jak i z tego, że chętnie topisz prawdę w starannie dobranych komunałach. - Lord

Shahryar wzruszył ramionami. - Cóż, muszę ci zaufać. Nigdy jednak nie przestało mnie dziwić, czemu tak chętnie porzuciłeś służbę u Montfallcona i przystałeś do mnie...

- Tamtego dnia to był wyrok przeznaczenia. Straciłem cierpliwość do Lorda Kanclerza.

Byłem rozgoryczony. Gdybyś porwał mnie nazajutrz, sprawy przybrałyby zapewne inny obrót. Wówczas w imieniu Montfallcona starałbym się pokrzyżować wszystkie twoje plany. Może pochopnie dałem to słowo, ale dotrzymam go...

- Mówisz o tym, jakbyś żałował swego postępku, kapitanie Quire.

Ale kapitan już zakończył rozmowę i zanim Shahryar zauważył jego nieobecność, Quire podążył szybko do apartamentów Gloriany, która mogła niedługo się obudzić.

\* \* \*

Gloriana już nie spała. Była blada i wyraźnie poruszona. Obok łóżka stał sir Orlando Hawes. Skinął na Quire'a i ten podszedł.

- Co się stało? Czy Królowa zachorowała? - Zbliżył się do Gloriany, ale ta odpędziła go, bezbrzeżnie zdumionego, jednym gestem i powróciła do pisma, które trzymała w dłoni. Przeczytała je raz i drugi.

- Co tu mamy? - spytał Hawesa. - Wypowiedzenie wojny? - Żył po to, by ciągle zdobywać wiedzę i cierpiał katusze nie wiedząc czegoś, co inni bezsprzecznie świetnie znali. Gloriana pokazała mu list. Był od Wallisa.

- Znaleźliśmy go w jednym z małych pokoików w pobliżu głównej sali seraju - powiedział sir Orlando. Był zasmucony, ale triumfujący. - Wziął kartkę z książki sir Ernesta, pożyczył sobie jego pióro i inkaust. Zadał sobie cios sztyletem. W samo serce. Czysto i bezbłędnie.

Gloriana zaczęła płakać.

- Och, Quire! - Jej okrzyk brzmiał jak oskarżenie. List adresowany był do niego.

*Do kapitana Quire'a.*

*Sir, pełen wątpliwości po otrzymaniu od pana owej rady, postanowiłem na zawsze skończyć z wszelkimi rozterkami i cierpieniem. Służyłem waści i jedynie nieszczęść przez to*

*zaznałem, ale to ja sam jestem winien mojej miserii. Ufam, że spłaciłem wszystkie długi, które wobec waści zaciągnąłem i że mogę tym samym odejść z czystym sumieniem. Zdradziłem Królową i nie mogę nijak być wdzięczny panu, sir, za pomoc w tym postępku. Zemszczę się jednak, zdradzony przez ciebie i słup twoje, które tylu innych wydały śmierci we władanie. Aż do schyłku wszelkiego życia pozostanę, jak mam nadzieję, unizonym sługą waszeci. Florestan Wallis, Sekretarz Szlachetnej Mowy Albionu. Czynem tym powracający w szeregi lojalnych przyjaciół Królowej.*

- Koniec z tobą, Quire - powiedział sir Orlando. - Ten nieszczęśnik oskarżył cię i umarł, by dowieść swej racji.

Gloriana łkała gorzko.

## **ROZDZIAŁ 32**

### **W KTÓRYM REALIZACJA PLANÓW KAPITANA QUIRE'A NAPOTYKA NA DALSZE PRZESZKODY**

To niczego nie dowodzi - powiedział Quire. - Był zrozpaczony, opętany poczuciem winy. Znam młodego Phila, to jeden z tancerzy Priesta, znajdował się pod opieką Walli-sa. Młodzieniec flirtował ze wszystkimi, więc Wallis poprosił mnie o pomoc i zrobiłem, co mogłem, dlatego uważał się za mojego dłużnika. To jasno widać w liście. To, i jego przekonanie, że zaniedbał obowiązki, ulegając żądom.

Usiedli obok siebie na łóżku, gdy Gloriana raz jeszcze czytała list ignorując Quire'a.

- Sir Orlando ma rację. Okryłeś się infamią.

- Tylko w oczach Wallisa.

- Wallis był kronikarzem Albionu i miał dostęp do wszystkich spraw Królestwa. Mógł jako twój agent szpiegować na rzecz Tatarii. Lub odwrotnie. Wszystkie uwagi Montfallcona zaczynają nabierać sensu...

- Byle lokaj mógł mieć dostęp do tych samych informacji, co on. Przysięgam, że nie kontaktowałem się z Tatarami! Jak mogliście uwierzyć w coś takiego? - Czuł się pokrzywdzony. Oto ktoś, kto nie zginął z ręki Quire'a, oskarżał go o czyn, którego nie popełnił.

- Och, Quire, tyłu już mnie zdradziło, a ja wciąż nie traciłam wiary. - Spojrzała na niego bezradnie. - Wierzyłam w ideały Rycerstwa i w Albion, wierzyłam w sens mej służby i sumiennie wypełniałam obowiązki wobec Królestwa. Ty zaś nauczyłeś mnie stawiać ponad wszystko miłość własną i powiedziałaś, że to dla dobra Albionu. Teraz znów próbujesz mnie oszukać, na nowy sposób. Chcesz, abym zdradziła samą siebie. Cóż może być bardziej okrutnego?

- Nic podobnego. Jesteś zmęczona. I ciągle pijana.

- Nieprawda!

Quire się zasepił.

- Rozważasz fikcyjne problemy. Kocham cię. Ledwo cztery godziny temu powiedziałaś, że nasza miłość jest dość silna, by przetrwać każdą próbę.

- Odwróciłam się od Albionu. Stałam się cyniczna. Wielu zapłaciło za to życiem.

- Oni umarli o wiele wcześniej - powiedział. - Bez twojej wiedzy. Nie znałaś ich, może paru zaledwie. Jak myślisz, ilu zginęło śmiercią bardziej okrutną niż lady Mary?

- Co powiedziałaś? - Odwróciła się do niego marszcząc brwi. - Co wiesz?

Quire przypomniał sobie o ostrożności.

- To, co słyszałem. Spytaj Montfallcona. - Ryzykował. Gdyby Montfallcon dowiedział się, że Quire pisnął choć słówko, nie wahałby się ani minuty.

- Myślisz o czasach mego ojca?

- Tak. - Quire z ulgą zakończył temat.

Czuł, jak z każdą chwilą Gloriana otacza się coraz grubszym pancerzem. Spróbował go

skruszyć.

- Kocham cię.

Potrząsnęła głową i upuściła list.

- Wydaje ci się. Ja... owszem, mój miły kapitanie. - Wstała, by przejść kilka kroków. -

Dwór popada w ruinę, śmierć zbiera żniwo. Wierzyłam, że zapobiegnę dalszym ofiarom, tymczasem odszedł Wallis. I to w naszych tajnych pokojach, które miały być oazą życia, zaprzeczeniem śmierci i przeszłości. To już za wiele, Quire.

- Wygląda na to, że mnie oskarżasz.

- Wallis to uczynił.

- Tak. Mając zmacony umysł. Wielu chętnie zrobiłoby ze mnie kozła ofiarnego.

- Fenicki kozioł ofiarny przejmował grzechy całego plemienia i ginąc uwalniał ludzi od win. Nie chcę twojej śmierci, kochany. Co to za Królestwo, które potrzebuje kozła ofiarnego?

- W pełni się z tobą zgadzam.

- Pora odrodzić ducha Albionu. Powstrzymać wojny. Muszę pogodzić szlachtę.

- Już za późno. - Ujrzał, jak jej wola słabnie. Powoli zdobywał grunt. - To co, mam odejść? Na nic ci już wsparcie Quire'a?

- Jest mi potrzebne bardziej, niż kiedykolwiek. Ale nie takie. Zabawiałeś mnie, odwracałeś uwagę...

- Niezbyt mi ufałaś, jeśli byle list mógł cię aż tak odmienić.

- Nie wiem. Zapewne wielu rzeczy nie chciałam widzieć. Ciebie znam, bo kocham cię, Quire. Nie potrafię jednak wyrazić słowami, kim jesteś. Niczego już nie wiem.

- Wracaj do łóżka. Niech rozproszę twoje wątpliwości.

- Nie. Chcę sama to wszystko przemyśleć.

Quire zrozumiał, że przesadził. Ranek miał przynieść wiadomość o śmierci lorda

Goriusa i ucieczkę sir Amadisa, na dodatek pojawiły się głosy oskarżające kapitana o spowodowanie upadku sir Viviena. Leżał zamyślony na łóżku. Musiał zyskać przychylność Królowej na tych kilka dni, potrzebnych do pełnego zrealizowania planu. Trzeba jakoś do niej przemówić. Udać zgodę. Nie przerywał ciszy w nadziei, że ona nie wytrzyma i coś powie. Znał jej charakter.

W końcu odezwała się smutnym głosem:

- Nie jestem warta mego ludu. Nie mam dość rozumu. Z mojego najmądrzejszego kanclerza uczyniłam nieobliczalnego szaleńca.

Nadal milczał.

- Zdradziłam. Zaniedbałam moje obowiązki, pozwoliłam, by prawdziwi przyjaciele cierpieli, by odchodzili, podczas gdy fałszywi mieli się świetnie. Okryłam się niesławą i moi poddani obrócili się przeciwko mnie, bowiem sprzeniewierzyłam się im i tym samym zdradziłam siebie samą. W bólu i strachu szukałam ucieczki i pomocy u Erosa, ale ten wynagradza tylko mężnych, którzy przychodzą do niego dobrowolnie. Byłam głupia.

Wstał z łóżka okazując zniecierpliwienie.

- To zwykle litowanie się nad sobą.

- Co?

- Nadal winisz się za zbrodnie i słabość innych. W ten sposób nigdy nie sprawdzisz swej siły. Byłaś zabawką w rękach Montfallcona, teraz winisz mnie, że zająłem jego miejsce.

Musisz zastanowić się nad tym wszystkim i samodzielnie podjąć decyzję. Wychodzę zatem, jak sobie tego życzyłaś.

Zatrzymała go.

- Przebaczone, jestem zdenerwowana.

- Nie chcesz ukarać wrogów w obawie, że to przypomni krwawe czyny twego ojca.

Jednak wymierzanie sprawiedliwości nie jest okrucieństwem. Dotąd byłaś tylko odbiciem pragnień narodu. Musisz narzucić mu swoją wolę i pokazać, że jesteś silna. To jedyny sposób, by zakończyć całe to szaleństwo.

Ściągnęła piękne, masywne brwi.

- Jeśli dojdzie do jakiegokolwiek karania, ty ucierpisz najbardziej.

- Naprawdę? A zatem proszę o proces. Tobie zostawiam wybór składu sędziowskiego.

Ewentualnie możesz osądzić mnie sama.

Znów doprowadził ją do łez. Bez oporów wykorzystywał wszystkie jej kompleksy winy, ofiarował jej ucieczkę poprzez histerię. Nie przyjęła propozycji i miast tego wybrała godność. Wstała, wielka i współczująca, i niespodziewanie przytuliła go do piersi.

- Och, Quire, Quire...

- Potrzeba ci przynajmniej jednego dnia odpoczynku - jego głos był przytłumiony - zanim podejmiesz decyzje.

- Nie staraj się niczego mi doradzać, kochany. Nie próbuj ograniczać mych aspiracji.

Nauczyłeś mnie, bym nie przejmowała się strapieniami, ale ten ból jest jednocześnie moją miłością do Albionu. Zniosę go mężnie, skoro wymaga tego służba Królestwu.

- Ale to ważka decyzja...

- W ciągu tygodnia zdecyduję, co czynić dalej.

Odniósł sukces, ale czuł się, jakby spotkała go porażka.

Poddał się jej bezgranicznej dobroci.

\* \* \*

Następnego ranka wszyscy dowiedzieli się o Ransleyu oraz o tym, że sir Vivien zmarł na skutek obrażeń doznanych przy upadku. Królowa przyjęła oba zgony z zadziwiającym brakiem zainteresowania i wysłała po Toma Ffynne'a. Zamierzała przedyskutować z nim

sprawę zniknięcia Cornfielda, bowiem wiedzano już, że pogalopował wierzchem na południowy wschód drogą do Dover, bez wątpienia zamierzając przyłączyć się do krewnych. Gloriana nie zapomniała o swym kapitanie, ale nie radziła się go już. Dalej okazywała mu uczucie, ale macierzyńskie raczej, jakby Quire był kochanym, ale trudnym dzieckiem. Pozwoliła mu towarzyszyć sobie podczas ubierania w oficjalny strój. W końcu wzięła berło oraz jabłko i skierowała kroki do Sali Audiencyjnej, o której istnieniu niemal już zapomniała. Po drodze pozdrowiła zdumionych petentów, niemal już pozbawionych nadziei, że kiedykolwiek ujrzą oblicze Królowej. Zachowywała dystans, ale przyjazny. Nie była już taka bezpośrednia, bardziej przypominała monarchinię. Quire podążał za nią kłaniając się znajomym, okazując pozycję, której już nie posiadał, starając się wywołać wrażenie, że to on nakłonił Glorianę do podjęcia obowiązków.

Zasiadła na tronie, a Quire spoczął na krześle u stóp podwyższenia, na miejscu, które niegdyś należało do księżnej Scaith. Wezwano też lorda Montfallcona, ale ten kazał na siebie czekać.

Jako pierwszy ambasador przyjęty został lord Shahryar. Spojrzał ostro na Quire'a nie waząc się, nawet wzrokiem, zadawać żadnych pytań. Był wyniosły i pełen rezerwy, cały w jedwabiach, stali i złocie.

- Łaskawa pani, mój władca, Hassan, Wielki Kalif Arabii, przesyła pozdrowienia i prosi o przyjęcie wyrazów jego najgłębszego uczucia, które wypływa nie tylko z podziwu dla najpiękniejszej, najbardziej ukochanej i najczcigodniejszej władczyni świata rządzącej najpotężniejszym i najszlachetniejszym Imperium. Pan mój oczekuje chwili, gdy dasz mu znak, iż podzielasz jego afekt, tak aby mógł podążyć ku tobie i stanawszy przy twym boku pomóc ci w tej najczarniejszej dobie historii.

- Najczarniejszej dobie? - Wyglądała na rozbawioną. - Czemu niby takiej właśnie?



- Cóż, Wasza Wysokość, dochodzą mnie pewne niepokojące pogłoski. Niektórzy z twych poddanych, niemądrze i bezprawnie, wypowiedzieli ci posłuszeństwo...

- To tylko pomniejsza sprawa o lokalnym zasięgu, mój panie.

- Oczywiście, Wasza Wysokość. - Lord Shahryar zamilkł i nawet nie spojrzał na Quire'a. Ten wiedział jednak, że Saracen musi czuć się zdradzony i że nie mając nic do stracenia, rozważa najpewniej, czy nie wydać go.

Drzwi Sali Audiencyjnej jęknęły nie naoliwionymi zawiasami i do środka wszedł Montfallcon. Był w czarnej, urzędowej szacie, ze złotym łańcuchem na szyi. Szara twarz była ściągnięta, pokryta na policzkach czerwonymi, alkoholicznymi plamami; znak, że nie spał od wielu nocy. Ogarnął wzrokiem najpierw Quire'a, potem Królową i lorda Shahryara. Jedną ręką ujął ciężkie fałdy płaszcza, jakby chciał w nich znaleźć podporę, ale gdy przemówił, głos jego był ostry i gniewny.

- Wasza Wysokość mnie wzywała?

- Mam nadzieję, że nie kłopotaliśmy cię zbyt, drogi lordzie Montfallconie.

Spojrzał podejrzliwie.

- Co tu się odbywa?

- Udzielamy dziś audiencji, mój panie. Rozważamy istotne problemy stanu.

- Jeśli tak, to co on tu robi? - wskazał na Quire'a. - Ten szpieg. Sir Orlando powiedział mi o liście.

- To pismo o niczym nie świadczy - stwierdziła Królowa równie spokojnym głosem. - Nie ma żadnych dowodów obciążających kapitana Quire'a.

- Dowody są wszędzie - powiedział Montfallcon. - Również w twych poczynaniach. - Milknąc, zgromił oczami lorda Shahryara, który udał zakłopotanie.

Saracen bardzo chciałby zostać, ale etykieta nakazywała mu opuścić Salę Audiencyjną.

Skłonił się i wycofał, zostawiając całą trójkę w przestronnym pomieszczeniu, z wolna wypełniającym się łagodnym światłem ciepłej jesieni, przy którym gobeliny, wykładziny ścian i ozdoby sufitu wydawały się jeszcze piękniejsze niż zwykle.

- Pragniemy twej rady, mój panie - powiedziała cicho Królowa.

- Już ją dałem. Powiedziałem ci, co robić. Odpraw Quire'a. Porzuć tajemne sprawy.

Zaniechaj lubieżnego epikureizmu!

- Odprawić utrzymanków? Odprawić dzieci?

- Odrzuć to wszystko.

- A czy wówczas i ty poniechasz swych tajemnych sprawek, mój panie? - spytała.

- Słucham? - Rzut oka na Quire'a, który potrząsnął przecząco głową, by dać

Montfallconowi do zrozumienia, że nic nie powiedział.

- Słyszeliśmy, że znów wyprawiliś się pomiędzy mury. Zabroniliśmy ci tego.

Rozkazaliśmy zamurować wejścia.

- Wejść tych, jak odkryłem, jest wiele. Może nawet setki.

- Czy tak, kapitanie Quire?

- Nie wiem, pani - odparł niewinnie.

Roześmiała się.

- Przyznaj się, jesteś łotrem, który stamtąd właśnie przybył. Nie zaprzeczaj. Wszystko za tym przemawia. Nie oskarżam cię. Może z pomocą lorda Montfallcona mógłbyś wytępić te stworzenia, które nas niepokoją, a które bez wątpienia winne są ostatniej serii zgonów. To najprostsze rozwiązanie. Musimy ogłosić, że wykryliśmy morderców i kryminalistów przyczajonych u samych korzeni stanu i że to oni byli sprawcami wszystkich niedawnych wypadków. To oni zamordowali lady Mary i innych, skorumpowali naszych kanclerzy, którzy zginęli lub uciekli, usiłowali otruć samą Królową. Obiecamy też, że wobec takiego stanu

rzeczy, wyślemy pomiędzy mury ekspedycję, która uśmierci każdą spotkaną tam istotę.

Quire uśmiechnął się. Królowa wpadła na jedyny zapewne sposób szybkiego zjednoczenia szlachty dla wspólnego dobra. Był to niezły pomysł i Quire podziwiał jej bystrość, pomimo że realizacja zamiaru mogła zagrozić jego własnym planom.

- Pomiędzy mury? - Montfallcon przetarł oczy mruczając do siebie. - Nie, najpierw należy zrobić coś innego. Nie trzeba nikogo wysłać do podziemi. Jeszcze nie teraz.

- Co powiedziałaś, mój panie? Nie słyszę cię.

Quire, który wszystko dosłyszał, zerwał się na równe nogi.

- To wspaniały plan. Czy możemy połączyć nasze siły, lordzie Montfallconie?

Lord Kanclerz nie zwrócił na niego uwagi.

- Bandy z lochów nie mają wiele wspólnego z naszymi kłopotami. Powodem są wybujałe apetyty. Zła krew. Narośl rakowata, którą trzeba wypalić. Wszelkie zło musi zostać usunięte z pałacu.

Quire przygryzł wargi.

- Moglibyśmy jednak zacząć od podziemi, milordzie. - Próbował zjednać sobie

Montfallcona. - Najpierw zajmiemy się korupcją ukrytą, potem jawną, co ty na to, lordzie?

Montfallcon go nie słuchał.

- Wszyscy winni muszą umrzeć - zwrócił się do Królowej. Niepewnym krokiem podszedł bliżej tronu. - Nie ma już innego wyboru. Okaż Albionowi, że jesteś czysta. Wydaj wyrok na nieczystych!

- Ależ, lordzie Montfallconie. To właśnie proponujemy.

- A zatem pozwól mi wysłać ludzi, którzy tego dokonają.

- Taka jest nasza wola. - Zmarszczyła brwi szukając pomocy u Quire'a, który tylko bezradnie wzruszył ramionami.

- Dobrze - stwierdził Montfallcon i skierował się ku wyjściu.

- Wasza lordowska mość - powiedziała. - Jeszcze jedno. Co z Perrottami? Czy wiesz, kiedy zamierzają wyruszyć przeciwko Arabii?

- Za trzy dni - powiedział i zniknął.

- Aha. - Odwróciła się do Quire'a. - Trzeba przesłać Tomowi Ffynne'owi wiadomość do Porthmouth. Ale co mu kazać? Przyłączyć się do Perrottów czy zaatakować ich? Jeśli przystąpi do nich, wywoła wojnę na pół świata. Jeśli zaatakuje, będziemy mieli wojnę domową. Posunięcia Arabii zaś są dość osobliwe. Wiemy o wielkiej flocie, którą wysłali, nie mamy jednak pewności co do ich zamiarów. Czyżby lord Shahryar groził nam: wojna albo małżeństwo?

- To możliwe - zgodził się Quire. - Gdybyśmy chcieli uniknąć konfliktu zbrojnego...

- Oho! - Spojrzała na niego z góry. - Oddać się Hassanowi? Czy zgodziłbyś się na to, Quire?

Spuścił oczy.

- Możesz odejść.

- Co?

- Względy dyplomatyczne przemawiają za tym, żeby cię tu nie było. - Wyraźnie okazywała mu swą władzę. - Powiedz mi jeszcze, czy sadzisz, że wyprawa do podziemi nas zbawi?

- Do pewnego stopnia. Szlachta będzie miała zajęcie.

- A zatem uważasz mój sposób rządzenia za słuszny.

- Nigdy nie sądziłem inaczej. - Nie chciał wychodzić. Z drugiej jednak strony, musiał spotkać się z Alys i Philem, a także w miarę możliwości porozmawiać z Tinklerem. Trzeba ostrzec ich, wyznaczyć nowe zadania. Wstał, skłonił się godnie. - Kiedy Wasza Wysokość

pragnie widzieć mnie z powrotem?

- Dziś lepiej będzie, jeśli zejdziesz ludziom z oczu. Spotkamy się wieczorem, w mojej sypialni.

- A zatem przyjdzie mi być tajemnym kochankiem - stwierdził oschle. - Zostałem uznany za łotra.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, ty jesteś łotrem, kochany, mądry kapitanie. Teraz wiem, że szelmstwo jest twą naturą.

- Pragniesz mnie ukarać?

- Czemu niby? Wciąż cię kocham.

Zmieszany Quire tłumnymi salami przeszedł z powrotem do prywatnych apartamentów, a przez całą drogę starał się uporządkować myśli. Zrozumiał tyle, że od chwili samobójstwa Wallisa ich role odwróciły się. W przeszłości nigdy nie pozwoliłby postawić się w takiej sytuacji. Najpilniejsze było odzyskanie autorytetu. Najpierw poszedł do seraju, gdzie odszukał Phila, odprowadził go na bok i ukarał za głupotę. Potem kazał mu odnaleźć natychmiast Alys Finch i umówić ją na spotkanie w labiryncie. Następnie wysłał do miasta kuriera z wiadomością dla Tinklera. Nie miał jednak pewności, czy posłaniec znajdzie gdzieś jego dawnego sługę. Był sfrustrowany, odczuwał potrzebę działania, ale brakowało mu wystarczających informacji. Poszedł do doktora Dee, który przyjął go niechętnie, zajęty opatrywaniem rany na przedramieniu.

- Jest coraz gwałtowniejsza. Napoje już nie skutkują. Będziesz musiał zrobić mi nową. -

Doktor Dee był zbyt chory, by udać się do Sali Audiencyjnej jako ucho Quire'a.

Quire rozważył, czy samemu nie wejść pomiędzy mury, gdzie mógłby podsłuchać niemal wszystko, ale ryzyko było zbyt wielkie. Mógłby się natknąć na Tatarów lub

Montfallcon. Nie chciał zdradzać swoich związków z bandą oskarżaną o tak liczne zbrodnie.

Wpadł w gniew.

Poszedł do labiryntu, ale Alys Finch nie było. Czyżby razem z Oubachą Khanem i sir Hawesem zniknęła w tajnych przejściach i posłuszna rozkazom Quire'a wskazywała fałszywe tropy? Czyżby połowa dworu parała się teraz tym, czym niedawno Quire zajmował się samotnie? Tinklera nie udało się odnaleźć, a kapitan nie miał drugiego zaufanego sługi. W jedną noc stracił, jak się okazało, trzech użytecznych członków Rady i nagle został bez sojuszników. Królowa, raz zwalczwszy sentymenty, przestała być pomocna. Nad tym ostatnim Quire bolał najbardziej. Jak ponownie poruszyć ogromne pokłady uczuć drzemiące w tej kobiecie?

Dzień minął mu beczynn timer. Było to najgorsze doświadczenie jego życia: bezsilne oczekiwanie. Gdy w końcu spotkali się w łóżku, Gloriana opowiedziała mu o wszystkich wysiłkach uczynionych, by na powrót zjednoczyć Królestwo i zapewnić pokój światu. Zastanawiała się, dlaczego Quire jej nie chwali. Wspomniała, że Montfallcon zniknął, najpewniej w murach, i że Lord Kanclerz napełnił ją tego dnia lękiem. Wysłała też wiadomość do Perrottów błagając ich, aby nie wypływali z flotą. Wspomniała o krótkim spotkaniu z Oubachą Khanem i sir Orlandem Hawesem. Quire nastawił ucha, jednak wychodziło na to, że tych dwóch nic nie powiedziało Królowej o swoich zamiarach. Kochała go potem, ale on pozostał bierny, ledwo czasem ruszając dłonią. Dała mu spokój i przygotowała się do snu. Quire rozmyślał tymczasem, czy nie powinien raz jeszcze zajrzeć do labiryntu, bo może Alys jednak przyjdzie. Przyglądał się Glorianie głaszcząc bezmyślnie jej włosy, aż oddech jej stał się równy, głęboki.

Quire nie rozumiał, co się z nim dzieje. Niespodziewana zmiana nastroju Gloriany zupełnie wytrąciła go z równowagi. Z pewnym lękiem pojął, że boi się o nią, że gotów jest

zapłacić niemal każdą cenę, byle tylko podnieść ją na duchu. Ale przecież widywał Królową już w gorszym stanie. Czemu tym razem tak się przejął?

Z wolna zaczęło do niego docierać, że zależy mu, aby Gloriana zachowała o nim dobrą opinię, że pragnie, by miała o nim jakąkolwiek opinię. To było coś nowego. Usiadł na łóżku i rozmyślał, czy by jej nie obudzić, gdy z któregoś z odległych pokoi dobiegł go krzyk.

Gloriana obudziła się.

- Co to?

Quire wstał, odsuwając kotary. Długa koszula plątała mu się pomiędzy nogami. Znalazł szpadę i nasłuchując podszedł do drzwi; usłyszał narastający zgiełk kobiecych głosów.

- Jakieś niewiasty - powiedział. - Krzyczą.

Otworzył drzwi. Z dala widać było światło: lampy, świece, pochodnie. Wszędzie krążyły cienie kobiet umykających niby kury przed lisem. Nagle w drzwiach pojawił się gigant, który przedarł się przez miotające się w nocnych strojach białogłowy. Był niemal nagi, krew tryskała z kilku głębokich ran. Stał, nie wypuszczając z rąk wrywającej się małej dziewczynki. Był to jeden z bliźniaczych strażników seraju, albinos. Umierał. Quire podszedł bliżej. Dziewczynka była jedną z córek Gloriany, zapewne najmłodszą. Królowa wzięła dziecko od giganta i spytała:

- Czy tam trwa walka?

Quire wyminął strażnika w chwili, gdy ten padł na kolana, a następnie znieruchomiał na podłodze; krew przestała płynąć mu z ran. Mała postać w nocnym stroju, z długą iberyjską szpadą w prawej dłoni, pobiegła do półprywatnych apartamentów. Quire odsunął ciężkie draperie, szukając wejścia do seraju, aż znalazł je otwarte, z drzwiami, które pękły pod ciężarem giganta. Wśliznął się do środka. Słyszając coraz głośniejsze krzyki pokonał schody, przebiegł przez mroczne jaskinie. Brodząc po kostki w dywanach dotarł do drzwi, przy których

zwykle stali strażnicy. Murzyna nie było na posterunku.-Quire wszedł do środka i zaraz na progu natknął się na jego ciało.

- Na Ariocha!

Po całym podziemiu kręciły się obryzgane krwią postacie zarzynające wszystko, co dawało oznaki życia. Krzyk przeradzał się w coraz bardziej przenikliwy wrzask.

Poznał bandę z murów, która najwyraźniej postanowiła zabić każdego mieszkańca seraju. Większość tych nieszczęsnych istot była już martwa. Nieliczni biegali jeszcze w poszukiwaniu ukrycia: karły, gejsze, kaleki i młodzieńcy, których Gloriana otaczała opieką w tej menażerii zmysłowości. Przerażony, kulejący małopolud wpadł na ozdobną fontannę i wylądował z pluskiem w środku; z jego kosmatego grzbietu sterczały dwie długie piki. Obok Quire'a przebiegł mały chłopiec wymachujący kikutem odciętej dłoni. Odrażająca rzeź tworzyła obraz godny piekła.

Napastnicy dostali się tutaj paroma tajnymi przejściami, które, jak sądził Quire, znane były tylko jemu. Spojrzał na przejście do pokoi, w których mieszkały dzieci. Tam też spoczywały ciała, małe i duże: dziewczynki i ich opiekunki. Osiem córeczek Gloriany. Quire widział już pola bitewne, abordaże okrętów, masakry całych tłumów, ale ten widok był straszniejszy. Szedł przez ciała na pół metra wysoko zaścielające podłogę i próbował wydobyć z siebie głos.

Dojrzał biegnącego ku niemu Phila Starlinga. Paciorki podzwaniały na jego pokrytym oliwą i malunkami ciele.

- Pomocy, panie! Ratuj mnie, kapitanie! Nie chciałem ich wpuścić! Szukałem Alys!

Quire pragnął wycofać się, ale okazało się, że za plecami ma Glorianę. Wzdrygnął się i ruszył ku Philowi.

- Dalej, Phil, tędy!



Ale ktoś dopadł już Phila od tyłu i jednym uderzeniem miecza rozłupał jego ciało od szyi do bioder, niczym doświadczony rybak oprawiający solę. Phil padł, zwinął się i umarł. Jego zabójca stanął nad ciałem. Dyszał, przerażony swym postępkami i wypatrywał świadków jego czynu. Na głowie miał futrzaną czapkę równie znoszoną i zużytą, jak jego oblicze z ustami niemal pozbawionymi zębów. Jedwabny płaszcz zbryzgany był krwią. Quire poznał go.

- Tink!

Tinkler zamrugał, poruszył mieczem i wbił oczy w półmrok.

- Kapitanie?

Quire zebrał się na odwagę.

- Czy to ty kierujesz tym napadem?

- W twoim imieniu, kapitanie - powiedział Tinkler przywykły do posłuszeństwa. - W twoim imieniu. - Łapał ciężko powietrze jak ktoś, kto wpadł nagle do lodowatej wody.

- W moim imieniu? - Quire wykrzywił usta w piekielnym grymasie. - W moim, Tink? -

Podszedł powoli do sługi. Głos jego brzmiał matowo. - Przyprowadziłeś ich tutaj i uczyniłeś to wszystko w moim imieniu?

- Montfallcon wydał mi takie polecenie. Wiedział, że mianowałeś mnie przywódcą podziemi, albo domyślił się. Nie wiem. Kazałeś go słuchać. Nie mogłem cię znaleźć, kapitanie.

Montfallcon powiedział, że Królowa kazała nam to zrobić, i że ty się zgadzasz. Wydawało mi się, że mówi prawdę. - Zauważył Glorianę. - Kazał mi zniszczyć seraj, Wasza Wysokość. Czy zrobiłem coś złego?

- Złego? - Gloriana była równie zdumiona i przerażona jak Quire. - Montfallcon...? Ach, mściwy, ponury Achilles!

- Wasza Wysokość? - Tinkler chciał się skłonić, jak ktoś, kto wykonał skomplikowane

zadanie.

Nagle, z krzykiem bóleści i wściekłości, Quire złapał znów za szpadę i wbił stal prosto w serce swego sługi.

- Łotrze! - łkał. - Tępy rzeźniku! - Wycofał ostrze i przymierzył się do drugiego ciosu.

- Dość! - krzyknęła na niego Królowa. - Powstrzymaj ich, jeśli możesz! Dość zabijania!

Quire uspokoił się i opuścił szpadę stojąc ponad drgającym jeszcze ciałem Tinklera.

Odchrząknął, po czym przemówił głośno i wyraźnie:

- Starczy, chłopaki. - Wiedział, że zdradza w ten sposób swą prawdziwą tożsamość, przyznaje się do związków z bandą. - Do mnie! Kapitan wam rozkazuje. Quire przyszedł.

Powoli, po dwóch, po trzech, napastnicy stawali przed nim, chętni złożyć broń u jego stóp.

- Nie chciałem tego. Montfallcon wydał rozkaz - powiedział odwracając się do Gloriany.

- Wiem - stwierdziła i poszła po pałacowych żołnierzy.

\* \* \*

Gdy banda została wyprowadzona, Gloriana i Quire obejrzelili dzieci szukając oznak życia. Nie było żadnych. Quire oczekiwał, że zostanie zaaresztowany razem ze swymi ludźmi, ale Królowa nie wydała takiego rozkazu. Nie okazywała niemal żadnych emocji spoglądając na twarze dziewczynek, które zrodziła.

- To tego właśnie pragnął Montfallcon, gdy prosił mnie o pozwolenie zniszczenia wszystkiego, co nieczyste. To dlatego nie chciał wyprawy do podziemi. Użył ich przeciwko mnie. Właściwie przeciwko nam obojgu. - Westchnęła. - Poprosił o moją zgodę i otrzymał ją.

Czy przypominasz sobie, że dałam pozwolenie, kapitanie?

Nie odpowiedział.

- Po raz pierwszy usiłowałam rządzić samodzielnie. Myślałam, że wreszcie wzięłam sprawy we własne ręce. Pamiętasz, Quire? Zaraz potem odprawiłam cię.

Przytaknął.

- Pozwoliłam mu zabić moje dzieci. Moja pierwsza decyzja.

- To nie tak. - Wyciągnął dłoń w jej kierunku, ale ręka zaraz opadła. To nie miało sensu.

Pomyślał o własnej ucieczce, pewien że w końcu Gloriana zwróci się przeciwko niemu.

Zrozumiał, ile winy spoczywa również i na nim. Ostatecznie to on zorganizował ten tłum i ustanowił jego dowódcę.

- Gdzie jest Montfallcon? - spytała.

Potrząsnął głową.

- Najpewniej skrył się w murach. Lub we Wschodnim Skrzydle.

- Nieszczęsny. To ja go do tego doprowadziłam.

Quire ujrzał dwie starsze damy Królowej zdążające ku swej pani. Wstał i potarł

szczękę. Zastanawiał się, jaką drogę ucieczki wybrać. Mógł wrócić do miasta i spróbować

dostać się na jakiś statek. Lub na powrót zniknąć w podziemiach, przynajmniej na jakiś czas, by

odszukać Montfallcona i zabić go. Królowa niedługo z pewnością zapagnie zemsty. Teraz

łkała, jednak niebawem rozejrzy się za kozłem ofiarnym. Damy, które podeszły już blisko,

zostały odesłane. Gloriana podniosła cierpiącą twarz.

- Quire?

Czekał na wyrok.

- Tak?

- Musisz zastąpić Montfallcona. Zostaniesz moim doradcą. Mianuję cię kanclerzem.

Nie mogę sama podjąć kolejnej decyzji. Nie uczynię tego.

Quire otworzył usta i zamknął je bezgłośnie. Przygryzł dolną wargę. Był bezgranicznie

zdumiony.

- Czuję się zaszczycony, pani. - Marzył o takim rozwiązaniu, ale tak naprawdę nigdy na to nie liczył. To było ostatnie, czego oczekiwał. W jednej chwili cały Albion należał do niego. Pomógł jej wstać. Oparła się na nim.

- Czy potrafisz powstrzymać wojnę? Czy jest na to sposób?

Zawahał się.

- Quire?

- Jest jeden - stwierdził, opanowawszy się. - Wspominałem już o nim. Będzie wymagał wielkiego poświęcenia ze strony nas obojga.

- Uczynię to. Nie mam wyboru.

- Później o tym porozmawiamy.

Dziwne to było zwycięstwo. Quire czuł się pokonany, ale wiedział, że rankiem poinformuje lorda Shahryara, że Wielki Kalif może wpłynąć z flotą w górę Tamizy, by zniszczyć Perrottów i ocalić Glorianę. Czuł tylko rozczarowanie, niemal lęk, nie potrafił jednak wyjaśnić jego źródła. Gdy odprowadził Królową do sypialni, spytał niskim, nie mogącym skryć zaniepokojenia głosem:

- Czemu miałabyś mi wierzyć? Sam dowiodłem, że jestem kłamcą i zdrajcą.

Ona zaś odparła lodowato:

- Ufam jedynie, że będziesz w stanie wypełnić obowiązki Montfallcona. Nie mam nikogo innego na to stanowisko.

Kapitan Quire zadrżał słysząc to i ostatecznie poszedł poszukać miejsca do spania.

\* \* \*

Rano Królowa podjęła obowiązki. Przyjęła kolejnych ambasadorów, zebrała nowe wieści. Przez cały czas, odziany w spłowiałą czerń, Quire stał obok tronu i za każdym razem,

gdy zostawali sami, zagłębiał się w rozmowę z Glorianą. Powoli, ale i z niejaką ulgą, skłaniał ją do podjęcia ostatecznej decyzji, chociaż otwarcie więcej o tym nie wspomniał. Wezwano doktora Dee, ale ten odpowiedział przez posłańca, że jest chory i nie może przybyć. Oubachy Khana i sir Orlanda Hawesa nie można było nigdzie znaleźć.

- Cóż - powiedziała po skończonej paradzie petentów i wysłuchaniu mistrza

Palfreymana, gorliwie doradzającego błyskawiczne rozpoczęcie wojny ze wszystkimi wrogami jednocześnie; po przyjęciu szlachty błagającej, by wysłano Perrottom wiadomość o odnalezieniu zabójców ich ojca; po zapoznaniu się ze wszystkimi głosami i opiniami. - Co mam teraz uczynić, Kanclerzu Quire?

Zawahał się, ale nie był to zaplanowany efekt dramatyczny. Poczł, że z nieznanych przyczyn trudno jest mu powiedzieć cokolwiek. W końcu zebrał siły.

- Jedna tylko decyzja może uratować świat i Albion od wojny. - Głos jego brzmiał chropawo. Oblizał wargi.

Spojrzał jej w oczy, ale ona patrzyła gdzieś ponad jego głowę.

- Przyjmę to w spokoju. Wiem, że postanowiłeś już, co mi doradzisz.

- Musisz wyjść za Hassana al-Giafara.

- To spodoba się szlachcie.

- I ludowi.

Jej twarz posmutniała. Przez chwilę wyjrzała z niej inna jeszcze, dziewczęca Gloriana.

Odwrócił się, ale ona już zdecydowała.

- Trzeba wysłać po lorda Shahryara.

- Sam go wezwę - powiedział Quire, czując chwilową ulgę, że wszystko już się

dokonało. Wywiązał się ze zobowiązania wobec Shahryara, uczynił to, co obiecał. Ale

ostateczną nagrodą było tylko zmęczenie i niewytłumaczalny smutek. Ciężkim krokiem ruszył

ku drzwiom Sali Audiencyjnej.

Skinął już na lokaja, by otwarto wierzeje, gdy nagle usłyszał jakieś wzburzone głosy dochodzące z sąsiedniej komnaty. Przystanął nasłuchując i uśmiechnął się. Ogarnęło go podniecenie, niemal radość. Poznawał przynajmniej jeden z głosów. Nowoprzybyli żądali przyjęcia przez Królową.

- Czemu się wahasz? - spytała poprzez pustą salę. Ruszył z powrotem w kierunku tronu.

- Quire! - krzyknęła. - Co się stało?

Roześmiał się.

- Wygląda na to, że zaraz będziesz wolna od mojego towarzystwa. - Spojrzał spokojnie w jej zdumione oczy. Czemu właściwie się cieszył? - Nie ma już żadnego powodu do wojny.

Powinienem zabić tego starca, ale moje rozumowanie bywa czasem pokrętne. Ocaliłem go. Raz jeszcze moja własna przebiegłość zdradziła mnie!

- Dość zagadek! - rozkazała. - Kto tam jest?

Drzwi, pchnięte z drugiej strony, otworzyły się powoli ukazując stojącą w progu grupę.

Oubacha Khan w pełnej zbroi tatarskiej wręczający jednemu ze strażników pochwę z zakrzywionym mieczem; zmęczony i zakurzony sir Orlando Hawes w hełmie i napierśniku;

Alys Finch z małym biało-czarnym kotem na rękach, krzywiąca się triumfalnie do Quire'a;

księżna Scaith w męskim przebraniu, brudna i potargana, i sir Thomas Perrott w łachmanach, obszarpany, dawno nią myty, w podartej bluzie i z poczerwieniałymi oczami.

- Una!

Wszyscy oni patrzyli na Quire'a, nie na Królową, chociaż ta wykrzyknęła imię przyjaciółki.

Quire uśmiechnął się do dziewczyny, która uratowała więźniów uprzednio przez nią zdradzonych.

- Twoje uwielbienie zdrady wybujało wyżej, niż oczekiwałem, Alys. Uczeń postanowił prześcignąć mistrza.

- Niektórzy polują na płotki, inni na wielkie ryby - Alys roześmiała się mu serdecznie w twarz. Żadne z nich nie okazało złości. Królowa wstała z tronu.

- Una!

Quire był niemal szczęśliwy.

- Albion uratowany! Albion uratowany! Plany Arabii w gruzach! - Tańczył ku tylnej ścianie, wypatrując drogi ucieczki.

Ruszyli na niego.

- Una!

Księżna Scaith zawahała się, po czym dygnęła przed Królową.

- Wasza Wysokość, Alys Finch pragnie zeznawać przeciwko swemu panu...

- Uwierzycie słowom tej dziwki? - spytał Quire kpiąco, zrzucając płaszcz i sięgając po szpadę. Wciąż nosił czerwoną szarfę, symbol uczuć. - Jakie macie przeciwko mnie dowody? - Szpada odgrodziła go od pogoni. - Czy ktokolwiek mnie widział?

Nie widziano go, rzecz jasna. Nigdy nie zdejmował kaptura. Nie zmieniało to jednak całokształtu sprawy: to był koniec.

- Sir Thomas! - Królowa radośnie rozpoznała wreszcie najstarszego z Perrottów. - Sir Orlando! Szybko, posłaniec do Kentu! I drugi do Porthmouth!

- Już wyruszyli, Wasza Wysokość - powiedział Hawes i podszedł do Quire'a, który oparł się o drzwi prowadzące do apartamentów Montfallcona. - Wojna nam już nie grozi. Teraz jednak musimy jeszcze uwolnić się od Quire'a. Raz na zawsze.

- Hurra! - wrzasnął Quire wyjmując sombrero z za pasa, wygładzając pióra i nakładając kapelusz na głowę. - Cnota zatriumfowała i biedny kapitan został zdemaskowany, zhańbiony i

zwolniony.

Posłał zdezorientowanej Glorianie całusa, który wydał się całkiem szczery, po czym zniknął za draperią. Trzasnęły drzwi. Sir Orlando Hawes i Oubacha Khan rzucili się na nie zaraz wzywając pomoc, ale Quire przekręcił już klucz.

Gdy wreszcie udało się pokonać drzwi, ujrzano tylko niewielki ogień płonący w kominku i trochę kurzu krążącego w jesiennym blasku. Quire rozplątał się niczym złośliwy duch poddany egzorcyzmom.

### **ROZDZIAŁ 33**

**W KTÓRYM KRÓLOWA GLORIANA I UNA, KSIĘŻNA SCAITH, WSPOMINAJĄ PRZESZŁOŚĆ**

Nie czuję się winna-powiedziała słabym głosem Gloriana - i myślę, że nie powinnam.

Ale coś minęło, opuściło mnie prawdziwie silne uczucie. Seraj był mauzoleum utraconych nadziei. Moje dzieci... - westchnęła. - Nigdy nie byłam naprawdę świadoma własnych czynów, Uno.

Księżna Scaith, w fałdzistym stroju podróżnym, ujęła dłoń przyjaciółki. Były same w salonie. Gloriana miała na sobie ciemne barwy późnej jesieni. Za oknem kropił deszcz.

Gloriana odwzajemniła uścisk.

- Ale ty czujesz się już dobrze, Uno?

- Prawdę mówiąc podzielam twój niepokój, ostatecznie i ja powinnam być bardziej przerażona, tymczasem przyjąłam moje uwięzienie jako miłą odmianę. Zdjęło ze mnie wszelką odpowiedzialność. Gdy jeszcze sir Thomas Perrott przekonał się, że jestem mu przyjaciółką, czas w jego towarzystwie płynął całkiem miło. Wiele rozmawialiśmy. Loch był położony tak głęboko, że nie mieliśmy najmniejszych szans na ucieczkę, pogrążyliśmy się zatem w dyskusjach na wszelkie tematy. W pewnym sensie były to wakacje. Z przymusu, ale zawsze.

- Ale nie zostajesz na dworze?



- Może wrócę. Nie od razu jednak. Muszę odetchnąć powietrzem Scaith.

- Bierzesz ze sobą Oubachę Khana?

- Jako gościa - uśmiechnęła się Una. - Zarzeka się, że żyje w celibacie. Złożył śluby.

- Aha, śluby. - Gloriana straciła zainteresowanie tematem.

- A ty wciąż wzdychasz za Quire'em?

- To zdrajca.

- Perrott tak nie sądzi. Jest przekonany, że stał się raczej ofiarą lorda Montfallcona.

Gloriana wzruszyła ramionami.

- I co z tego. Obaj zniknęli.

- Ja nie żywię do niego urazy. Wiem, że go kochasz.

- Nie odczuwam żadnego uczucia.

- Kochasz Albion.

- Kocham tylko siebie. Albion i ja to jedno - jej ton nabrał goryczy. Było jednak gorzej:

to beznadzieja przez nią przemawiała.

Una zawahała się.

- Zostanę. Jeśli sądzisz, że...

Gloriana potrząsnęła głową.

- Jedź do Scaith razem ze swoim Tatarem. - Powoli, jak w kondukcje, podeszła do okna.

W komnacie od razu zrobiło się ciemniej. - Ryzykowałaś życiem dla Królestwa. Nie chcę, byś zaprzedała duszę dla symbolu tego Królestwa.

- Och, Gloriano!

Przyjaciółki objęły się. Una płakała rzewnie, ale zimne oczy Królowej pozostały suche.

## **ROZDZIAŁ 34**

**W KTÓRYM PRZESZŁOŚĆ DAJE O SOBIE ZNAĆ RAZ JESZCZE, A DAWNI WROGOWIE**

## WZNAWIAJĄ ZMAGANIA

Groźba wojny rozwiązała się, arabska flota uległa rozproszeniu, zanim Tom Ffynne i rodzina Perrottów zdążyli do niej dotrzeć. Ideały Rycerskości zostały odrodzone i Albion ogarnął optymizm. Królowa układała plany dorocznego objazdu i żałowała jedynie, że księżna Scaith nie będzie jej towarzyszyć w tym roku. Sir Orlando Hawes zaproponował Alys Finch małżeństwo i został przyjęty. Teraz, gdy ustały wpływy Quire'a, dziewczyna ukazała swą prawdziwą, niewinną naturę. Sir Amadis Cornfield został zaproszony do pałacu i przyjechał. Na znak przebaczenia i pojednania Królowa zaproponowała mu stanowisko Kanclerza, które wiązało się z godnością earla. Sir Amadis błagał jednak, by pozwolono mu wrócić do Kentu, stwierdził, że stracił serce dla polityki. Gloriana została sama. Była bardziej samotna, niż kiedykolwiek i co noc tęskniła za swym łotrzykowanym kochankiem, a jej głos rozlegał się w opustoszałych tunelach i lochach, w martwym seraju. Płakała, nigdy jednak nie wymieniając jego nazwiska, nawet wówczas, gdy spoczywała w przesłoniętym kotarami łożu. Jesień chłodziła z wolna, ale nadal było wyjątkowo ciepło. Tataria wycofała wojska z granic. Kazimierz został ponownie wybrany na króla Polski. Lady Yashi Akuya, straciwszy nadzieję na zdobycie Oubachy Khana, wróciła do Nipponii. Hassan al-Giafar poślubił księżną Sophie, siostrę Rudolfa z Bohemii, zaś lord Shahryar został wezwany do Arabii na egzekucję. Wyglądał na zaniepokojonego, gdy dowiedział się o zawieszeniu wyroku. Ostatnie liście zaczęły opadać z drzew szybując z wolna, by zaleć na ścieżkach. Sir Orlando Hawes mianowany został Kanclerzem, głową Tajnej Rady, by razem z admirałem Ffynnem służyć Królowej dobrą radą. Mistrz Gallimari i mistrz Tolcharde zorganizowali na wielkim podwórku ponowny występ mechanicznej arlekinady oklaskiwanej tak przez Królową, jak i pospólstwo. Sir Ernest Wheldrake oświadczył się w rzewnych wersach lady Lyst, która przyjęła go z pijaną radością. Tan Hermiston, pamiętając że mimowolnie zachęcił lorda Montfallcona do

ostatecznej zemsty, wsiadł do ryczącego wehikułu mistrza Tolcharde'a i więcej nie widziano go w Albionie. Doktor Dee nie opuszczał swoich apartamentów, odmawiając wizyt nawet samej Królowej. Jego eksperymenty, jak twierdził, są nadzwyczajnej wagi i nie może dopuszczać do nich niewtajemniczonych. Był na tyle humorzasty, że niektórzy zaczęli uważać go za obłąkanego. Los Montfallcona stał się przedmiotem rozmaitych spekulacji, spośród których największą popularność zdobyła teza o samobójstwie. Podobnie roztrząsano sprawę Quire'a, który po wymknięciu się pajęczymi drzwiami, schronił się najpewniej w podziemiu, by później uciec za granicę. Królowa nie chciała rozmawiać ani o jednym, ani o drugim. Księżna Scaith, zgodnie z obietnicą, nie powiedziała niczego, co mogłoby obciążyć Quire'a. Sir Thomas żywił głębokie przekonanie, że to Montfallcon go uwięził. Sir Orlando Hawes milczał z dwóch innych jeszcze powodów: po pierwsze, był dobrze wychowany, po drugie, nie chciał narażać na szwank reputacji świeżo poślubionej małżonki. Josias Priest wyemigrował do Mauretanii.

Dwór znów był wesoły i radosny, a Gloriana panowała z wdziękiem i dostojeństwem, chociaż nie słyszano już jej szczęśliwego śmiechu. Jeśli uśmiechnęła się, czyniła to z uprzejmości, a z jej oblicza wzywał smutek. Kochano ją jak przedtem, ale wydawało się, że pasja, która kazała jej poszukiwać spełnienia, odeszła na zawsze. Teraz była boginią, niemal żywym posągiem, łagodnym i trwałym symbolem Królestwa. Nocami niepostrzeżenie wychodziła do ogrodów, wiele czasu spędzała w labiryncie, przemierzając go tyle razy, aż poznała dobrze wszystkie zakątki. Mimo to nadal tam zaglądała. Niekiedy służący widywali z okien jej gołą głowę i ramiona jakby lewitujące pomiędzy cisowymi żywopłotami.

Czas płynął dla niej powoli i samotnie. Nie brała kochanków. Wolne chwile dzieliła pomiędzy sir Ernesta, lady Wheldrake i jedyną ocalałą córkę, infantkę, której syn, w wiele lat później, miał zasiąść na tronie Albionu. Uczyła ją skromności, której Glorianie nigdy nie

wpojono, tłumaczyła jak pogodzić romantyczne uniesienia z realistycznym spojrzeniem na rzeczywistość.

Pewnego wieczoru, gdy rozbierała się do snu, zapukał do jej drzwi służący z wiadomością. Odczytała niewyraźnie skreślone słowa. List był od doktora Dee, który pragnął zobaczyć się z nią sam na sam. Napisał też, że umiera i pragnie oczyścić przed nią swoje sumienie. Zmarszczyła > brwi, zastanawiając się, czy nie wziąć jednak kilku zbrojnych do towarzystwa, ale potem zdecydowała, że jeśli Dee naprawdę umiera, to nie ma czasu do stracenia. Narzuciła ciężką, obszerną szatę z brokatu, nagie stopy wsunęła w pantofle i pobiegła ze świeczką w dłoni do Wschodniego Skrzydła, ku apartamentom doktora Dee. Droga biegła przez zimną starą Salę Tronową, wciąż określaną jako komnata Herna. Gloriana unikała zawsze tego miejsca, budziło w niej nieprzyjemne wspomnienia. Zadrżała. Nie była tu od czasu śmierci ojca. Podobnie jak całe jej pokolenie nie podzielała zachwyty dla „saraceńskiego” stylu architektonicznego, uznawała go za barbarzyński i niehumaniczny. Poczuli się, jakby znów wstąpiła pomiędzy mury i pożałowała, że kiedykolwiek poszła za Uną w te ostępy. Sala pogrążona była w mroku, jedynie samotna smuga księżycowego blasku wpadająca przez otwór w sklepieniu ukazywała jej oczom kamienny blok spoczywający na płytach mozaiki. Pod ścianami majaczyły wielkie, niby-ludzkie postaci posągów wznoszące się aż do nieregularnych sklepień. Gloriana przystanęła. Nie było się już czego bać; banda rzeźmieszków przewieziona została do nowych egzotycznych prowincji Imperium. Pozostały tylko nieprzyjemne wspomnienia. Niemniej, gdy wstąpiła na najniższy stopień podestu, wydało się jej, że usłyszała jakiś hałas. Uniosła wyżej świeczkę.

W ostatnich miesiącach widziała aż nazbyt wiele krwi, szczególnie podczas masakry w seraju. Bez trudu poznała wyniszczoną twarz maga. Bezzębne usta otwierały się bezgłośnie, porażone blaskiem oczy zmrużyły się w małe szparki. Krew była na jego brodzie, na podartej

koszuli nocnej, na rękach i nogach.

- Dee! - Wspięła się na podwyższenie i ustawiła świeczkę na stopniu, by wziąć jego głowę na kolana. - Co się stało? Masz atak? - Ale zaraz dostrzegła małe ale liczne rany, które pokrywały całe jego ciało jakby pogryzione przez stado szczurów. - Czy możesz wstać? - Pomyślała, że musiał chyba eksperymentować ze zwierzętami, które uciekły i napadły go w nocy.

- Szedłem do ciebie - wyszeptał. - Wymknęła się spod mojej kontroli. Odkąd Quire zniknął... Obawiałem się, że i ciebie będzie chciała zabić.

- Kto ci to uczynił? Muszę ostrzec pałac.

- Ty. Ona jest tobą...

Gloriana sprawdziła, czy byłaby w stanie go unieść. Był ciężkim starcem. Bredził.

Uśmiechnął się, gdy próbowała postawić go na nogi.

- Mną? Ja jestem tylko jedna. Dalej, doktorze Dee.

Usiadł z ręką przerzuconą przez jej ramię. Uniósł powieki. Spojrzawszy w jego oczy dostrzegła miłość. Patrzył na nią jak kochanek. Znała to aż nazbyt dobrze... Przełękła się.

- Ona była tobą. Ale oszalała. A z początku była tak uległa. Quire zrobił ją dla mnie. Jej ciało... Było jak prawdziwe. To był geniusz. Spróbowałem tego samego, z metalu, ale nie udało mi się. Mistrzowi Tolcharde'owi też się nie powiodło. Potem Quire zniknął. Może dlatego, że nie mogłem już dłużej wspierać go truciznami...

- Co zrobił Quire?

- Ją. Twój sztuczny sobowtór. Było mi wstyd. Chciałem ci wyznać... Ale za głęboko w to wszedłem... Tak długo było mi z nią dobrze... Nie mogłem mieć ciebie, ale ona była prawie tobą...

- Prawie? - Przypomniała sobie jego wielką namiętność. - Och, kochany Dee. Cóż

takiego uczyniłeś, że Quire doprowadził cię do zguby?

- Ona oszalała. Zaatakowała mnie. Napoje, które dostałem od Quire'a skończyły się, a ja bałem się eksperymentować, chociaż próbowałem. Zaczęła dziwnie się zachowywać. Teraz chce mnie zabić. Mówi, że ją wykorzystywałem. Jak gdyby nie do tego właśnie została stworzona... Zupełnie, jakby zaczęła się budzić, żyć naprawdę...

- Gdzie ona jest? - Gloriana nie próbowała nawet nadażyć za jego majakami.

- Poszła za mną. Pewnie jest gdzieś tutaj. - Wskazał dłonią na salę. Gloriana uniosła świeczkę i ujrzała wielki cień na kamieniu za humanoidalnymi posągami. Zadrżała.

- Chodź - powiedziała. - Wstań.

- Nie mogę. Lepiej idź już stąd, Wasza Wysokość. Wyznałem ci mój sekret. Nie myśl o mnie źle. Miałem dobre zamiary i aż do końca służyłem ci wiernie. Żałuję tylko, że dawałem Quire'owi truciznę. Że pozwalałem się oszukiwać.

Rozległ się jazgot, jakby ktoś ciągnął coś metalowego po kamiennej posadzce, ale cień pozostał tam, gdzie był.

Gloriana nie widziała źródła hałasu, aż nagle w krąg księżycowego światła wkroczył starzec w żelaznej, pradawnej zbroi. Na ramieniu dźwigał wielki, czarny, oburęczny miecz.

Oczy jego przypominały ślepią wściekłego królika. Szara twarz i takąż broda były wymizerowane, policzki zapadnięte. Był to Montfallcon wbity w strój bojowy z lat swej młodości.

- On wynalazł dla mnie idealne odbicie - ciągnął Dee, nie zauważając niemal przybysza.

- Istotę bez duszy, którą mogłem niewinnie czcić i kochać, nikogo nie krzywdząc...

- Odbicie!?! - warknął Montfallcon głośno, obracając się ku cieniowi, który teraz się poruszył. - Ty stary głupcze! To prawdziwa kobieta.

Dee oddychał płytko i gwałtownie.

- Nie, nie, Montfallconie. To nie mogła być jej bliźniaczka. Nigdy nie słyszałem, aby Królowa miała siostrę. Przecież wszyscy widzieli, jak się urodziła, prawda? Ach... - uśmiechnął się. - Może ona przybyła z innego świata? Kiedyś marzyłem o tym... To może tam Quire ją znalazł?

- Świat jest tylko jeden - Montfallcon ze zgrzytem postąpił kilka kroków i oparł się o kamienny blok. - Ty idioto! Miałeś do czynienia z jej matką!

- Z Flaną? - Głos doktor był coraz cichszy. - Flana umarła przy porodzie.

- Nie. Byłem świadkiem jej gwałtu, a w dziewięć miesięcy później widziałem, co z tego wynikło. Miała trzynaście lat, gdy urodziła Królową. Wszyscy musieli na to patrzeć. I na jedno, i na drugie. Hern był dumny z siebie. Ostatecznie aż do tamtej chwili raz tylko się zdarzyło, aby zdolny był posiąść kobietę. Z jakiegoś powodu Flana, która była moją córką, pobudziła go w dostatecznym stopniu. Flana?

Cień jęknął.

Gloriana wstała. Nie chciała słuchać tego wszystkiego. Była przerażona, Montfallcon ciągnął tymczasem zmęczonym głosem:

- Na tym tutaj kamieniu Hern zgwałcił moją córkę i tutaj też to samo uczynił z moją wnuczką. Dwakroć w życiu był zdolny do stosunku. Widziałem oba. Krew zawsze była zła, po obu stronach. Teraz już to wiem. Chciałem za wszelką cenę wypalić tę wiedzę. Pragnąłem, by Gloriana była inna. Ale krew nadal jest nie ta. Teraz już koniec. Jestem zgubiony, znenawidzony przez wszystkich, ponieważ kochałem Albion. Historia zapamięta najbardziej lojalnego sługę Waszej Wysokości jako zwykłego łotra.

Cień podniósł się mruczając coś do siebie. Gloriana zamarła. W ustach jej zaschło, ale nie potrafiła zamknąć oczu.

Montfallcon skinął na wariatkę.

- Chodź, Flana. Chodź do ojca i do córki.

Ze szczególnym wdziękiem Flana weszła w krąg światła. Wyglądała młodo, jak czasem zdarza się to szaleńcom, chociaż twarz jej była naznaczona piętnem obłędu, a rude, jak u córki, włosy były miejscami przebarwione.

- Oto ona-powiedział lord Montfallcon. - Urodziwszy cię, Gloriano, Flana uciekła pomiędzy mury i żyła tam, aż Quire jej nie znalazł, nie nafaszerował narkotykami i nie podsunął doktorowi Dee w zamian za sekrety i trucizny. Powinienem się tego domyślić, ale podobnie jak ty. odsuwałem od siebie wszystkie sprawy, których wątki ginęły w tajnych przejściach. Sam przed sobą taiłem fakt istnienia Flany. Ona cię kochała, może nadal kocha. Czy kochasz swoją córeczkę, Flano?

- Nie - powiedziała kobieta głosem grubym i strasznym. - Była zła.

- Z ukrycia w murach widziała, jak Hern cię zgwałcił. - stwierdził Montfallcon. -

Począł, aż będziesz miała dokładnie tyle samo lat, co ona, i posiadał cię w twoje urodziny.

Pamiętasz, Gloriano?

- I cały dwór patrzył. Cały dwór się śmiał... Pamiętam. Matko...

Wariatka podbiegła do Montfallcona, który ujął jej ramię.

- Klęknij! - rozkazał.

Poddała mu się biernie. Spojrzała w oczy ojca, swego bohatera. Uśmiechnęła się i uklękła.

Jej głowa spoczywała na kamiennym bloku. Miecz Montfallcona uniósł się, zanim

Gloriana zdążyła zawołać:

- Nie!

Miecz opadł. Ruda głowa spadła z ramion. Dee zadrżał i skonał.

- Ciało z twego ciała - powiedziała Gloriana. - Dlaczego? - Zostawiła Dee i pęzła po



stopniach w górę, byle dalej od trupów.

- Zepsute ciało - wyjaśnił beznamiętnie Montfallcon, zarzucając znowu miecz na ramię i spoglądając na swą ofiarę. - Powinna była umrzeć razem z pozostałymi dziewczętami. Ale ona zgodziła się na propozycję Herna. To miało kupić jej życie. Nie mogłem jej wówczas powstrzymać. Gdy już się urodziłaś, miałem nadzieję, że odkupisz wszystko, co tu się zdarzyło. Ale nie trwało długo, a stałaś się taka jak ona. Potem odeszła moja żona. I chłopcy. Rozumiesz, nie pozwoliłbym mu mieć mojej żony ni synów. Jak większość potworów, tak i twój ojciec pozbawiony był wyobraźni. Znosiliśmy władzę bezmyślnej bestii! Ale ja czekałem. Miałem własne ambicje, snułem własne plany. Chciałem, abyś była złotą istotą, która nagrodzi wszystkie me cierpienia. Ty i Albion. Przez prawie trzynaście lat wydawało się, że moje ofiary nie były daremne i że razem zbudujemy Wiek Złoty. Ale potem i ty oddałaś się potworowi. Teraz zabiję cię i skończymy z tym wszystkim. Gloriana oczekiwała tego. Nie potrafiła go przekonywać. Zaczęła wdrapywać się jeszcze wyżej. Stopień po stopniu, szybciej i szybciej... Ale i tak zbliżał się do niej szcękając żelazem, z oczami wbitymi w jej gardło. Dosięgnęła tronu i zanim się zorientowała, zasiadła na nim. Montfallcon zatrzymał się.

- Niedługo wszystko może zacząć się od nowa - powiedział. - Ale zła krew wyginie raz na zawsze.

Gloriana złękła się o życie swej jedynej, ocalałej córki.

- Chodź - skinął w kierunku kamiennego bloku. - Powinnaś umrzeć tam, gdzie się urodziłaś. Niepotrzebnie w ogóle zaistniałaś na tym świecie. Jesteś widmem.

Gloriana jęknęła, błagając nie tyle o własne życie, co lękając się o jego duszę, bowiem Montfallcon nie wiedział najwyraźniej, że najmłodsza córka Królowej uszła cało z pogromu.

- Grzech na grzechu. Powinienem już wtedy powstrzymać zarazę. Za długo zwlekałem i Albion omal nie popadł przez to w ruinę. Chodź.

- Nie.

Wyciągnął szarą dłoń w rękawicy i niemal łagodnie złapał ją za nadgarstek.

- Chodź!

Cała jej siła gdzieś zniknęła. Wstała posłusznie i powoli. Świeczka u jej stóp zaczęła migotać.

Wprowadził Glorianę w krąg księżycowego blasku. Nie wypuszczając jej ręki, odepchnął bezgłowe ciało jej matki. Gloriana omdlewając padła na kolana, w kałużę krwi.

Z galerii w górze rozległ się zimny, rozbawiony głos:

- Aha, Glory. Widzę, że odnalazłaś starego przyjaciela.

Montfallcon warknął i przycisnął jej głowę do granitu.

- Tutaj jestem - powiedział Quire głosem spokojnym, jakby w ogóle nie rozstawał się z Glorianą. - Szukał mnie całymimi tygodniami. Mont i ja bawiliśmy się w podziemiach w kotka i myszkę.

- Ach! - wyrwała się i zaczęła pełznąć w kierunku podwyższenia.

Montfallcon przestąpił ponad ciałem córki i powoli podnosił wielki miecz, by dosięgnąć Glorianę.

Nagle Quire zbiegł po schodach z rapierem w małej dłoni. Czarny płaszcz powiewał za nim, zgubił po drodze sombrero, bujne włosy okalały mu burzliwie twarz. Jak terier na niedźwiedzia, tak on rzucił się na Montfallcona, aż stanął pomiędzy nim a Glorianą.

- Tutaj jestem, Mont.

Miecz opadł ze świstem mierząc w gardę Quire'a. Montfallcon zachichotał, gdy Quire się uchylił. Wyprostował się zaraz, sięgając wolną ręką po wiszący w pochwie u pasa sztylet, ale pas przesunął się za daleko na biodrach. Schylił się zatem i przemknął pod pochylonym Montfallconem, unikając kolejnego ciosu, który mógłby go rozszczępić na dwoje. Odskoczył,

wyprowadzając ripostę w jedyną nieosłoniętą część ciała Montfallcona - w jego poszarzałą twarz. Szpada dotknęła policzka tuż pod okiem, ale została odrzucona przez żelazo. Miecz uniósł się znowu.

- Nie! - krzyknęła Gloriana. Dość miała zabijania i gotowa była już raczej sama umrzeć.

Quire uśmiechnął się, gdy cienkie ostrze wbiło się w oko Montfallcona. Przekręcił rapier w ranie.

Huk upadku siwego lorda odbił się nie milknącym echem w głowie Gloriany. Zakryła uszy, zamknęła oczy. Płakała.

Quire zbliżył się do niej w ciemności i znowu zaczęła uciekać przed nim w górę. Bała się go nie mniej, niż dziadka.

Kapitan zatrzymał się.

- Uratowałem cię, Glory.

- To nieważne.

- Co? Żadnej wdzięczności? Żadnej miłości?

- Niczego. Dobrze nauczyłeś mnie kochać tylko samą siebie.

Cieszył się ze zwycięstwa nad Montfallconem. Zbliżył się trzymając wciąż oręż w dłoni.

- Ale dzisiaj jestem bohaterem, nie łajdakiem. To chyba okoliczność łagodząca? Całus przynajmniej, Glory. Dla twego Quire'a, który kocha cię mocno i nigdy nie przestanie.

- Kłamco! Nie jesteś zdolny do żadnego uczucia. Jesteś istotą ożywianą wyłącznie nienawiścią. Potrafisz udawać wszelkie emocje, ale tak naprawdę nic nie czujesz.

Quire rozważył jej słowa.

- To była prawda. Kiedyś. - Znow się zbliżył. - Ale kocham cię. - Schował szpadę. -

Pójdę już. Tylko mi podziękuj.

- Jak długo tu byłeś? Jak długo się przyglądałeś? Czy czekałeś, aż dramat dojdzie kulminacji, by wkroczyć? Czy nie mogłeś uratować tej nieszczęsnej istoty, mojej matki, którą wykorzystasteś tak niegodziwie?

- Dee znalazł w niej rozkosz, gdy przekazałem mu ją otepioną narkotykiem. Obdarował ją rozkoszą. Byli szczęśliwi przez parę miesięcy. O wiele szczęśliwsi niż kiedykolwiek przedtem. Nie zapominaj poza tym, że to ona zabiła doktora Dee.

- Mogłeś ją uratować.

- Po co? - wzruszył ramionami.

- Wciąż jesteś zatem tym samym, okrutnym Quire'em.

- Kieruję się tylko zmysłem praktycznym. To inni przypisują mi podłe cechy. Nazywam się kapitan Arturus Quire. Jestem uczonym i żołnierzem. Pochodzę z dobrej rodziny.

- I jestem największym, a także najpotężniejszym łotrem w historii Albionu - szydziła. -

Nie ucałujesz mnie, Quire? Jesteś zbiegiem! Sam siebie pozbawiłeś argumentów.

- Co? Miałem może czekać, aż mnie dopadną? Postąpiłem bez wątpienia stosownie do sytuacji. - Zrobił następny krok.

Uśmiechnęła się.

- Teraz nikt cię nie oskarża. Oto ironia losu! Twoje ofiary nie chcą uwierzyć, że to ty jesteś przyczyną ich nieszczęść! - Cofnęła się.

Stanął i oparł ręce na biodrach.

- Nie mam zamiaru udawać bohatera. Powiedziano mi kiedyś, że jeśli ktoś uratuje damę od śmierci, może liczyć na jej łaskę. - Jego ton spoważniał. - Pragnę cię, Glory.

- Nie możesz mnie mieć, kapitanie Quire. Jestem Królową Albionu. Nie należę do rasy śmiertelników. Poza tym nauczyłeś mnie nienawiści. Aż dotąd nie znałam tej emocji.

Quire tracił z wolna panowanie nad sobą.

- Czekalem na ciebie. Bylem cierpliwy. Nauczylem cie byc silna. Dzieki tobie zas poznalem, co to miłość. Powiedz, jakie sa twoje warunki. Przyjme je. Kocham cie, Glory.

- Cierpliwosc nie niesie zadnej nagrody, prucz samej siebie - powiedziala wciaz pelna lęku. - Zwykle oddawac sie kazdemu, komu dokuczal ogien ledzwi, bo wiedzialam, co to za bol. Sama tak cierpialam, Quire. Potem ty go ukoiles i zgubilam sie. Teraz znów cierpie, ale nie wspolczuje juz nikomu, bowiem zaspokajajac cudza ządze zostawalam zawsze obolala i nienasycona.

- Romans zawsze sprzega sie z wina - powiedzial tonem wyroczni, po czym wyciagnal szpade. Oczy jego nabieraly blasku. - Chodz do mnie, Glory!

- Znów mi grozisz. Ta sama śmiertcia, od ktorej mnie uratowales. Czynisz to z taka sama buta. Dobrze, kapitanie Quire. Dla ciebie wróce na kamien. - Zaczęła schodzić.

Warknal i wzial ja na rece porzucajac szpade.

- Gloriano!

- Kapitanie Quire! - Spoczywala biernie w jego ramionach.

Opuścił ja.

Minęła go, by zimnymi, widmowymi korytarzami wyjść do ogrodu. Wciaz pachniało tu ciepła jesienią.

Przeszła ogrody, przekroczyła prywatną bramę podwórca. Minęła labirynt, ciche fontanny i umierające kwiaty. Weszła do własnej sypialni.

Nie poszedł za nią.

Wspominając swoje obawy pomyslała o córce. Tajnymi drzwiami wemknęła się do seraju.

Po pokrytym rdzawymi plamami dywanie przeszła w ciemność. Teraz juz nikt tu nie mieszkał. Przypomniała sobie, że wysłała córkę do Sussex. Chciała juz wracać, ale przystanęła.

Nagle wróciły do niej wszystkie krwawe wizje.

- Och!

W absolutnym mroku seraju upadła na poduszki i rozpłakała się.

- Quire!

- Glory - dobiegł ją skądś głos Quire'a.

Złudzenie. Podniosła oczy. Pod hakiem wejścia do głębszych podziemi płonęła świeczka. Światło przybliżało się, ujawniając umęczoną twarz kapitana.

Wstała, znów zimna jak gład.

Westchnął i wsunął świeczkę w uchwyt w jednej z przypór.

- Kocham cię. I będę cię miał. To moje prawo, Glory.

- Nie masz żadnych praw. Jesteś mordercą, szpiegiem, zdrajcą.

- Nienawidzisz mnie?

- Znam cię dobrze. Jesteś samolubny. Nie masz serca.

- Dość - powiedział. - Wcale tego nie pragnąłem. Sprzeniewierzyłem się wszystkiemu, co uważałem za cenne. Ale w zamian nauczyłaś mnie wierzyć w miłość. Nauczyłaś mnie przyjmować miłość. Czy przyjmiesz moją?

- Kocham jedynie Albion. A Gloriana to Albion.

- Czy Gloriana nigdy nie bywa tylko kobietą?

Przez chwilę doszły w niej do głosu instynkty i podświadoma pamięć, ale zaraz potrząsnęła ognistą głową. Odezwała się monarsza krew.

- To jedno i to samo. Gloriana i Albion to jedno. Takie jest nasze przeznaczenie, kapitanie Quire.

- Przeznaczeniem twoim, pani, jest śmierć. - Przez chwilę obudziła się w nim bestia, która zaraz została okiełznana. W jego głosie brzmiało rozbawienie i echa wszystkich

insynuacji, które oczarowały ją kiedyś i wciąż hipnotyzowały. - Czy zatem mam zgwałcić Albion? - Wyciągnął szpadę i przytknął czubek ostrza do jej gardła. Ona przysunęła się bliżej, jakby prowokując do pchnięcia. Uśmiechnęła się władczo. W tym szczerym grymasie dojrzał odbicie swej własnej twarzy.

- Albionem nie można rządzić za pomocą brutalnej siły, kapitanie Quire. - Jak kotka otarła szyję o rapier. Jej figlarność była imitacją jego beztroski. Głos Gloriany brzmiał jak mruczenie, był nastrojony niczym głos śpiewaka. - Albionu nie można zgwałcić.

Oczy Quire'a załśniły jak ślepią dzikiej bestii. Drżącymi pakami zebrał w garść fałdy jej koszuli i szarpnął materię. Oddychał chrapliwie jak zwierzę, ona zaś stała nieruchomo, gdy rwał i strzępił na niej odzienie, aż naga spojrzała z pogardliwym obrzydzeniem w jego oblicze. Była jak lwica stojąca na drodze grzywiastego lwa. Quire upuścił szpadę, objął dłońmi jej piersi i biodra, musnął łono i usta. Nie poruszała się, kołysząc się jedynie, gdy jego gwałtowniejszy ruch groził jej upadkiem. Obejmując udo, Quire wspiął się wyżej i ściągnął ją na poduszki. Rozwarł jej nogi i zrzucił spodnie ukazując to, co tylekroć widziała już przedtem.

W tejże chwili opanowała ją zimna determinacja. Postanowiła nie błagać o ocalenie miłości, którą Quire zamierzał właśnie zniszczyć, nie błagać go, by nie sprowadzał i siebie i jej aż tak nisko. Wypełniło ją wszechwładne poczucie krzywdy. Wzbierał gniew. To nie powinno się zdarzyć. Quire nie miał prawa niszczyć jedynej cennej rzeczy, którą kiedykolwiek wielbił, prócz samego siebie.

Miała wrażenie, że oto budzi się wreszcie z długiego transu, w którym niewiele różniła się od matki; stanu, który również spowodowany był po części strachem, po części świadomością posiadania boskiej niemal władzy. Ciężarem trudnej do ogarnięcia odpowiedzialności.

Zrozumiała, że istnieje tylko jeden sposób powstrzymania Quire'a przed okrutnym

zaspokojeniem żądzy. Nie mogła jednak uczynić tego w imię Albionu, ni w imię pokoju ani dla zemsty, ani pod żadnym innym pozorem, który fikcyjną rycerskość i fałszywy romantyzm sprowadziłby do brutalnej natury zamierzonej przezeń zbrodni.

Wściekłość i zdecydowanie pozwoliły jej okiełznać emocje. Przyjrzała się spokojnie jego pośladowcom, które właśnie unosiły się, szykując lędźwia do ciosu. Ponad ramieniem dostrzegła schowany w pochwie u pasa nóż; dłoń bez trudu odnalazła rękojeść. Quire pomrukiwał, przeklinał i całował ją, niemal gotów do rozpoczęcia dzieła.

Patrząc w płomień świecy uniosła sztylet. Przed jej oczami pojawił się nagle zbryzgany krwią kamienny blok, który tak często powracał w jej snach przez całe lata. Łzy popłynęły po policzkach, ale ta gorycz dodała jej tylko sił.

Sztylet gotów był do ciosu, mogła zabić Quire'a nie dając mu szansy zrozumienia, czemu umiera. Nie, żeby się wahała. Postanowienie już zapadło i minął czas wszelkich wątpliwości. Po raz pierwszy w życiu działała pewnie i zdecydowanie, i nie kierował nią fizyczny strach, tylko uświadomiony lęk. Gniew jej buchnął płomieniem, gdy wspomniała Montfallcona tresującego ją latami niczym ptaka w złotej klatce i grożącego wszelkimi karami za odstępstwo od monarszej powinności. Potem złożył na jej barkach brzemię dziedzictwa krwi i kazał jej żyć z tym ciężarem, i nie myśleć o jego zrzuceniu. Osiągnął swoje: córka Herna stała się Albionem, symbolem spokoju narzuconym Królestwu.

- Nie! - krzyknęła. - Nie! Nie zgwałcisz *mnie!* - Jednym ruchem skierowała ostrze prosto pomiędzy nogi Quire'a. Poczowała przyływ siły tak wielkiej, że aż przeszedł ją dreszcz. To nie było znajome poddanie się losowi, który niegdyś kazał jej daremnie poszukiwać spełnienia. To była śmiertelna groźba, naga przemoc pozbawiona pozorów reguł dworskich i rycerskich kodeksów. Chciała doprowadzić dzieło do końca. Pragnęła tego równie mocno i nieodwołalnie, jak Quire, gdy bawił się ze swoimi niezliczonymi ofiarami. Chyba po raz



pierwszy kapitan natknął się na przeszkodę nie do pokonania, poznał przerażenie i wyczytał na jej triumfującym obliczu groźbę śmierci. Wraz z ostrym żelazem, które spoczęło na jego wycofującej się powolnym ruchem męskości, przyszedł lęk.

Gloriana odzyskała panowanie nad swym duchem i ciałem. Zmysły, krew i płeć znów były jej posłuszne. Nie dzieliła ich z nikim. Nie było współodpowiedzialnego. Poznała radość, która jednak nie skłaniała jej do ułaskawienia zdezorientowanego kapitana Quire'a, który dojrzał w jej twarzy coś, co odebrało mu ochotę na uprawianie seksu i rozciągnęło jego wargi w niedowierzającym uśmiechu.

- Glory?

Nie była już Albionem. Koniec ze sprawiedliwością, miłosierdziem i mądrościami.

Koniec z pogonią za prawością, za nadzieją i ideałami ludu. Tak, miała na imię Glory. Była sobą. Sięgnęła po broń nie dla zasady, ale w swoim własnym interesie, z szacunku dla wszystkiego, co szczerze ukochała. Zrozumiała wreszcie zarówno swą powszedniość jak i wyjątkowość, uświadomiła sobie, w czym podobna jest wszystkim kobietom i mężczyznom świata, a w czym jest jedyna i неповtarzalna. Odmówiła w tym momencie prawa do gnieźdzenia się w jej ciele wszystkiemu, co nie było jej własną, skołataną duszą.

Quire odpełznął zaplątany w czarną materię. Bestia spojrzała z lękiem, po czym zniknęła na dobre. Quire wpatrywał się w Glorianę niczym zdumiony pustelnik witający po raz pierwszy ukazujące się nagle w upale oblicze wszechwładnego bóstwa. Nie potrafił wykrztusić słowa.

- Nic mi nie zrobisz, kapitanie Quire. Niczego nie uczynisz, o ile ci nie rozkażę.

Łkając, ukląkł na płytach posadzki, niezdolny do podniesienia głowy i spojrzenia na nią. Niewart łaski robak. Owszem, potrafił knuć, by doprowadzić do ruiny Królową, pogrzyć naród, ale nie umiał wystąpić przeciwko tej kobiecie. Chylił głowę przed jedynym autorytetem,

który do niego przemówił. Przed Glory.

Gdy tak klęczał skulony, Gloriana wciągnęła ciężko powietrze. Wstała z nożem w dłoni niczym tragiczna mścicielka, przepełniona nowym zupełnie poczuciem siły tak przemożnym, iż wydało się jej, że to nie ona drży, ale cały pałac się trzęsie i zaraz runie. Krzyknęła, ale on nadal nie ważył się podnieść na nią oczu. Krzyknęła znowu, a głos jej był tak potężny, że zdawał się wichrować przestrzeń: oto kosmiczna bogini obwieszczała triumfalnie światu swoją rozkosz.

Przeszedł ją dreszcz. Takiej ekstazy jeszcze w życiu nie zaznała. Oto była nagroda za wszystkie nieszczęścia. Uniosła głowę witając następny przypływ i krzyknęła raz jeszcze dziko i uroczyście, a głos jej wstrząsnął ścianami i poruszając wielowiekowe pokłady kurzu zadudnił w całym pałacu, a echo jego dotarło do najdalszych zakątków Albionu. Gloriana doznała tego, czego od zawsze boleśnie pragnęła, poznała jedyną rzecz, której dotąd los jej odmawiał.

Odzyskała duszę i człowieczeństwo.

Nie honorowała tym Albionu. To było wyłącznie jej święto. To ona sama, a nie jej naród, stawiała opór Quire'owi. Sama z siebie, a nie z poczucia obowiązku, pokonała bestię.

Była niczym palenisko rozświetlające całą salę, cały pałac, a rozniecony przez nią płomień krążył po komnatach i korytarzach wypalając zaschnięte ślady rozlanej krwi i spopielając stare kości, unicestwiając zastarzałą hipokryzję i kłamstwa.

Trzęsła się wciąż, jęczała i wrzeszczała, niczym wszechświat w momencie stworzenia.

Unicestwiła poczucie winy, wygnała strach. Podniosła groźne stałą dłonie i wykrzyczała swój triumf po raz trzeci, niepomna klęczącego u jej stóp zapłakanego Quire'a, który poznawał właśnie, co to takiego wyrzuty sumienia.

Skóra jej lśniła niby srebro i rtęć. Gdyby ujrzeć mógł ją teraz doktor Dee, poznałby swój ideał. Nie wzór władczyni, ale kobiety wolnej od ograniczeń stanu i sztucznej filozofii.

- Królową będę wtedy tylko, gdy sama tego zapragnę - powiedziała i spojrzała na ofiarę błyszczącymi, ale przytomnymi oczami. - Albo gdy oni tego zapragną. - Uśmiechnęła się. - Och, biedny Quire. - Wybaczała. Jej wspaniałe ciało wyrażało samą zmysłowość. Schyliła się i pocałowała go w czoło.

Czując palący dotyk ust, podniósł wzrok, w którym malowało się dokładnie to, czego oczekiwała.

- Przepraszani, Glory.

Ujrzał w jej oczach czułość i obietnicę pojednania. Rysy mu się wygładziły. Wstał podskakując beztrosko jak dziecko. Stawiła mu opór, nie pozwoliła zniszczyć miłości.

Wybawiła go. Nadała znaczenie wszystkim emocjom i słowom, które przez całe życie były dlań bez wartości. Odrzuciła jego warunki, przedłożyła czyny nad próżne gesty, odrodziła i jego, i siebie.

Gloriana drżała wciąż z rozkoszy owego renesansu. Krzyknęła raz jeszcze i zdało się, że świt nagły zajaśniał nad całym Królestwem. Wiedziała, i była to wiedza dojmująca, że potrafi odegnąć ciemność i wtłoczyć podłość w mroki przeszłości tak, by nigdy już nie powróciły.

Porządkując nieprzytomnie odzienie, Quire zrozumiał, że niezwykła odwaga Gloriany, jej opór wobec tchórzliwej zbrodni i sięgnięcie po oręż uwolniło ją od niesprawiedliwie złożonego na jej barki brzemienia, i zmasało wszelkie grzechy z jej duszy. Tą szlachetną alchemią na nowo stworzyła i siebie, i jego.

Jej piękne, rosłe ciało zadrżało ponownie i po raz kolejny krzyk triumfalnej rozkoszy wydarł się z jej gardła.

Quire odgadł, że to dziwne uczucie, które go opanowało, to szczęście. Głośnym śmiechem przyłączył się do echa jej głosu i ujrzał, jak Gloriana z całą siłą opuszcza dłoń ze sztyletem, aż stal uderza o kamienie i rozpryskuje się na kawałki opadające srebrnym deszczem

na brudne, granitowe płyty upiornej komnaty.

- Ha, Gloriana!

Skłonił się i zapłakał z ulgą.

- Och, Quire. Wreszcie oboje zazналиśmy spełnienia.

## **ROZDZIAŁ 35**

W KTÓRYM ALBION WKROCZY W NOWĄ, PRAWDZIWIE WSPANIAŁĄ EPOKĘ, W IDEALNYCH PROPORCJACH ŁĄCZĄCĄ ROMANTYZM Z ROZUMEM

Gdy ciepła jesień ustąpi ostatecznie przed chłodami zimy, romantyczny Księżyc poślubiony zostanie Słońcu rozumu i Gloriana, Królowa Albionu wyjdzie za księcia Arthura z Valentii, a całe Imperium hucznie uczci to wydarzenie. Za sprawą sir Thomasa Ffynne'a, Pierwszego Admirala Królowej, stanie się bowiem wiadome, że kapitan Arthurus Quire był powierzonym jego opiece jedynym ocalałym potomkiem lorda Montfallcona, którego cała pozostała rodzina zginęła za sprawą króla Herna. Opowieść o tym, jak wychowany w prostej rodzinie kapitan Quire dostał się na dwór, wziął udział w przedstawieniu, a następnie zdobył najpierw poważanie, a potem miłość Królowej, znajdzie się na ustach wszystkich. Będzie się powtarzać, że wrogowie pozazdrościli Quire'owi pozycji i że nieszczęsny Montfallcon, nie wiedząc nic o prawdziwym pochodzeniu Quire'a, spiskował przeciwko niemu i innym, w tym i sir Thomasowi Perrottowi, po czym sam zadał sobie śmierć, zrozumiawszy, że pragnął unicestwić własnego potomka. Wszyscy dowiedzą się, jak kapitan Quire niemal w pojedynkę ocalił Królestwo i przyniósł pojednanie Królowej, zwalczającym się frakcjom, Albionowi i całemu światu.

Rycerskość rozkwitnie raz jeszcze, zmieni się jednak pod wpływem księcia Arthura, ubędzie jej bowiem romantyczności (której dość znajdzie każdy w opowieści o kapitanie), a przybędzie realizmu, tak że honor pojmowany będzie jako cnota bardziej niezwykła i

powszechna zarazem, niż pamiętają to najstarsi mieszkańcy Albionu.

Gloriana i Quire pobiorą się w listopadzie, akurat na czas, by wyruszyć na objazd

Królestwa i zdążyć przed świętem Yule Tide. W czasie ich nieobecności mury wielkiego pałacu zostaną odnowione i światło zajrzy do najstarszych nawet zakątków, zaś włóczędzy zamieszkujący podziemia otrzymają wygodne, specjalnie dla nich urządzone komnaty.

Wielkie, niedostępne dotąd przestrzenie pałacu udostępnione zostaną obywatelom Londynu na miejsca rozrywki.

Księżę Arthur i Królowa Gloriana rozpoczną objazd wsiadając na złoty galeon o wysokich burtach, ten sam, którego używali przodkowie, by popłynąć rzeką aż do morza i zagościć u sir Amadisa Cornfielda i rodziny Perrottów, których ziemie otaczają ujście Tamizy.

Wyłyną z doków przy Charing Cross i miną brzegi porośnięte dwoma szeregami nagich wiązów. Brodząc w martwych liściach kroczyć będą po obu stronach kasztanowate i czarne konie, niosące na grzbietach rycerzy eskortujących galeon. Rycerze przywdzieją na ten dzień zbroje z ciemnego złota i srebra, płaszcze ich będą rdzawe, a na lancach załopocą wszystkie proporce Albionu. Królowa spojrzy na rzekę i obejrzy się ku murom Londynu, na zielone i żółte wzgórza, po czym zwróci się do swego męża odzianego w czarne atłasy i niezgrabną koronę z czarnych niemal rubinów i złota, i obejmie go mówiąc:

- Och, kochany! Jakimż to trzeźwo myślącym królewiałkiem się stałeś!

A za nimi ukaże się pałac, którego lśniące dachy podnosić się będą i opadać jak ulegające przypluwom i odpływom fale oceanu, a wieże i iglice tej wspaniałej budowli sięgną ku niebu niczym maszty i kadłuby wielkich okrętów.